

Lata wędrówki Wilhelma Meistra, czyli wyrzekający się





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JOHANN WOLFGANG VON GOETHE

*Lata wędrówki Wilhelma Meistra,
czyli wyrzekający się*

TŁUM. PIOTR CHMIEŁOWSKI

KSIĘGA I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ucieczka do Egiptu

W cieniu potężnej skały siedział Wilhelm w strasznym, wydatnym miejscu, gdzie się stroma ścieżka górską wkoło wystającego rogu nagle zwracała ku głębinie. Słońce stało jeszcze wysoko i oświecało wierzchołki sosen na skalistym gruncie u stóp jego. Coś właśnie notował w swym pugilaresie¹, kiedy Feliks, który się wszędzie wdrapywał, przyszedł do niego z jakimś kamieniem w ręku.

— Jak się nazywa ten kamień, ojcze? — zapytał chłopiec.

— Nie wiem — odparł Wilhelm.

— Czy to naprawdę złoto, co w nim tak błyszczy? — rzekł tamten.

— Wcale nie — odpowiedział ojciec — i przypominam sobie, że ludzie nazywają to kocim złotem².

— Kocim złotem? — spytał chłopiec, uśmiechając się. — A dlaczego?

— Prawdopodobnie dlatego, że jest fałszywe, a i koty uważane są za fałszywe.

— Zaznaczę to sobie — rzekł syn i włożył kamień do skórzanej torebki, ale zaraz wydobył coś innego, pytając:

— Co to takiego?

— Jakiś owoc — odrzekł ojciec — a sądząc po łuskach, musi być spokrewniony z szyszkami jodłowymi.

— Ale nie wygląda jak szyszka, jest przecież okrągły.

— Musimy spytać strzelca. Oni znają las cały i wszystkie owoce, umieją siać, sadzić i czekać; potem pozwalają latoroślom rosnąć i dojrzewać wedle ich możliwości.

— Strzelcy wiedzą wszystko. Wczoraj pokazał mi posłaniec, jak jeleni przechodził przez drogę. Przywołał mnie do siebie i zwrócił moją uwagę na tropy³, jak on je nazwał. Przeskakiwałem przez nie, wtem dojrzałem wyraźnie parę kopyt odciśniętych; musiał to być duży jeleni.

— Ja słyszałem, jak żeś wypytywał posłańca.

— On dużo wiedział, chociaż nie jest strzelcem. Ale ja chcę zostać strzelcem. To bardzo ładnie być cały dzień w lesie i słuchać ptaków, wiedzieć, jak się nazywają, gdzie są ich gniazda, jak się wyjmują jajka lub młode, jak się je żywi i kiedy się łapie stare. To bardzo wesołe.

Zaledwie to wymówił, ukazało się na spadzistej ścieżce dziwne zjawisko. Dwaj chłopcy, piękni jak dzień, w kolorowych kaftanikach, które by można było wziąć za przewiązane koszulki, zeskakiwali jeden za drugim, a Wilhelm miał sposobność przypatrzania się im bliżej, kiedy się przed nim zdziwieni zatrzymali i przez chwilę milczeli. Wkoło głowy starszego rozwiewały się bogate blond pukle, na które najprzód⁴ spojrzeć się musiało, kiedy się nań patrzyło; potem ściągały na siebie wzrok jasnyniebieskie oczy, chociaż i cała jego piękna postać miły sprawiała widok. Drugi, przedstawiający raczej przyjaciela niż brata, zdobny był w ciemne i gładkie włosy, zwisające mu na ramiona, a ich odbłysek zdawał się przegłądać w jego oczach.

Wilhelm nie miał czasu przyjrzeć się dokładnie tym dwóm dziwnym — a w puszczy całkiem niespodziewanym — istotom, kiedy posłyszał głos męski, który spoza rogu skały poważnie, ale przyjaźnie wołał:

— Czemu żeście się zatrzymali? Nie tamujcie nam drogi!

Wilhelm spojrział w górę, a jeżeli w zdziwienie go wprawiły dzieci, to, co się teraz oczom jego nasunęło, napełniło go zdumieniem. Tęgi, dzielny, niezbyt duży młodzieniec, lekko podkasany⁵, o smagłej cerze i czarnych włosach, schodził krzepko a ostrożnie

¹pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

²kocie złoto — chodzi o minerał często występujący w skalach, mikię lub piryty. [przypis edytorski]

³trop — tu: ślad zwierzęcej stopy. [przypis edytorski]

⁴najprzód (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

⁵podkasany (daw.) — tu: swawolny, frywolny. [przypis edytorski]

ścieżką górską, prowadząc za sobą osła, który ukazał najprzód swoją wypasioną i wystrojoną głowę, a potem dał widzieć piękne brzemię, jakie dźwigał. Na dużym, dobrze okutym siodle siedziała łagodna, miła kobieta. W błękitnym płaszczu, który ją otaczał, trzymała dziecko tygodniowe i przyciskała je do piersi, spoglądając na nie z nieopisaną rozkoszą. Z przewodnikiem tak się stało jak z dziećmi: zatrzymał się na chwilę zdziwiony, ujrawszy Wilhelma. Zwierzę zwalniało kroku, ale spadek był zbyt stromy — mijający nie mogli się zatrzymać i Wilhelm ze zdziwieniem ujrzał, jak znikli poza wystającą ścianą opoki.

Nic bardziej naturalnego, że go to dziwne zjawienie wyrwało z rozmyślań. Wstał, ciekawością zdjęty, i ze swego miejsca spojrzął ku głębinie, śledząc, czy nie zobaczy ich gdzie znowu się ukazujących. Zamierzał właśnie zejść na dół i przywitać tych osobliwych wędrowców, kiedy nadszedł Feliks i rzekł:

— Ojczy, czy nie mógłbym pójść z tymi dziećmi do ich domu? Chcą mnie zabrać ze sobą! A i ty także powinien być pójść ze mną, jak mi powiedział ten mężczyzna. Chodź! Tam na dole się zatrzymali.

— Pomówię z nimi — odrzekł Wilhelm.

Zastał ich na miejscu, w którym droga mniej była spadzista, i połykał oczyma cudne obrazy, co tak silnie zwróciły na siebie jego uwagę. Teraz dopiero zdołał zauważyć ten i ów osobliwy szczegół. Krzepki mężczyzna miał rzeczywiście toporek na ramieniu i długą, chwiejną, żelazną węgielnicę⁶. Dzieci trzymały wielkie kity sitowia, jakby to były palmy. A jeżeli z tego względu podobne były do aniołów, to znów ciągnęły małe koszyczki z jedzeniem i podobne były w tej mierze do codziennych posłańców, jacy zwykli przechodzić górę w tę i tamtą stronę. Matka, gdy się jej przyjrzał bliżej, pod niebieskim płaszczem miała czerwonawą, lekko zabarwioną suknię, tak że przyjaciel nasz, który tak często widział malowaną w ten sposób *Ucieczkę do Egiptu*⁷, spotykał ją teraz niejako w rzeczywistości.

Powitano się, a gdy Wilhelm ze zdumienia i bacznego wpatrywania się nie mógł przyjść do słowa, mężczyzna rzekł:

— Dzieci nasze zawarły już w tej chwili przyjaźń ze sobą. Czy nie zechcecie pójść z nami, ażeby się przekonać, że też i wśród dorosłych może się zawiązać dobry stosunek?

Wilhelm namyślił się nieco, a potem odrzekł:

— Widok waszego rodzinnego orszaku budzi zaufanie i skłonność⁸ oraz, wyznając to natychmiast, zarówno ciekawość, jak i żywe pragnienie poznania was bliżej. Bo w pierwszej chwili można było zadać sobie pytanie, czy jesteście rzeczywistymi wędrowcami czy też tylko duchami, które znajdują przyjemność w ożywianiu swym miłym zjawianiem się tych gór niegościnnych.

— Więc chodźcie z nami do naszego mieszkania — rzekł tamten.

— Chodźcie! — zawołały dzieci, pochwycawszy już ze sobą Feliksa.

— Chodźcie! — rzekła kobieta, zwracając swoją miłą uprzejmość od niemowlęcia na obcego.

Nie namyślając się, rzekł Wilhelm:

— Przykro mi, że nie mogę natychmiast pójść za wami. Co najmniej noc tę muszę spędzić tam, na górze, w domku granicznym. Mój tłumok, moje papiery, wszystko leży jeszcze tam na górze, niezapakowane i niezabezpieczone. Ażeby jednak dowieść wam życzenia swego i chęci zadośćuczynienia waszemu uprzejmemu zaproszeniu, daję wam swego Feliksa w zakład. Jutro będę przy was. Jak daleko stąd?

— Dojdziemy do mieszkania naszego jeszcze przed zachodem słońca — rzekł cieśla — a od domku granicznego macie już tylko półtorej godziny. Wasz chłopiec powiększy nasze gospodarstwo na tę noc, jutro czekamy na was.

Mężczyzna i zwierzę ruszyli. Wilhelm z zadowoleniem widział swego Feliksa w tak dobrym towarzystwie. Mógł go porównać z miłymi aniołkami, od których silnie się odcinał. Na swoje lata nie był duży, ale krępy, o szerokiej piersi i krzepkich ramionach.

⁶węgielnica — przyrząd służący cieślom i murarzom do wytyczania kątów prostych. [przypis edytorski]

⁷Ucieczka do Egiptu — prawdopodobnie chodzi o obraz Rembrandta (1606–1669) przedstawiający biblijną ucieczkę Świętej Rodziny, będącą następstwem prześladowań ze strony Heroda. [przypis edytorski]

⁸skłonność — tu: Goethe często używa tego słowa w dawniejszym znaczeniu (przychyłość, sympatia, zainteresowanie). [przypis edytorski]

W jego usposobieniu była właściwa mu mieszanina panowania i służenia. Pochwycił już gałąź palmową i koszyk, czym niby zaznaczał i jedno, i drugie. Już pochód groził zniknięciem ponownym za inną opoką, gdy Wilhelm opamiętał się i zawołał:

— Jakże się ja o was dopytam?

— Zapytajcie jeno⁹ o świętego Józefa¹⁰! — rozległo się z głębi i całe zjawisko znikło poza siniejącymi skałami. Śpiew pobożny, wielogłosowy rozbrzmiewał z dali, a Wilhelmowi się zdawało, że odróżnia głos swego Feliksa.

Wchodził na górę i opóźniał przez to dla siebie zachód słońca. Ciało niebieskie, które tracił niejednokrotnie, oświecało go znowu, gdy się dostał wyżej, i był dzień jeszcze, gdy się dostał do swojego schronienia. Raz jeszcze nacieszyć się mógł widokiem gór, a potem udał się do swego pokoju, gdzie zaraz pochwycił pióro i część nocy spędził na pisaniu.

Wilhelm do Natalii

„I oto wreszcie do szczytu doszliśmy, do szczytu gór łańcucha, który potężniejszy między nami robi przedział niż cały obszar kraju dotychczasowy. Dla uczucia mego jest się wciąż w pobliżu swoich ukochanych, dopóki strumienie od nas ku wam biegną. Dziś jeszcze mogę sobie wyobrazić, że gałązka, którą rzucam w potok leśny, mogłaby przecież spłynąć do ciebie, mogłaby za dni kilka wylądować przed twoim ogrodem. I tak duch nasz przesyła dogodniej obraz swój, a serce — uczucia swoje w waszą stronę. Ale z tamtej strony, lękam się, czy się wyobraźni i uczuciu nie przeciwstawi mur graniczny. Jednak może to jeszcze troska przedwczesna, gdyż i po tamtej stronie nie będzie chyba inaczej jak po tej. Cóż by mogło oddzielić mnie od ciebie! Od ciebie, do której należą na wieki, chociaż los cudaczny rozłącza mnie z tobą i zamyka przede mną niebo, którego byłem tak bliski.

Miałem czas przyjść do siebie, a przecież żaden nie byłby wystarczyl na danie mi tego panowania nad sobą, gdybym go nie był otrzymał z ust twoich w owej chwili stanowczej. Jakżeby był mógł oderwać się, gdyby nie była wyprzedzona ta trwała nić, co nas ma połączyć docześnie i wiecznie. Ale nie powinienem mówić o tym wszystkim; nie chcę przekraczać twoich tkliwych rozkazów. Niech to będzie po raz ostatni na tym szczycie, iż wymawiam słowo: rozstanie z tobą. Życie moje ma się stać wędrówką. Mam spełniać osobliwe obowiązki wędrowca i przetrwać właściwe próby. Jakże się uśmiecham niekiedy, odczytując warunki, które mi podało stowarzyszenie, które ja sam sobie przepisałem! Jedno się zachowa, drugie się przekroczy, ale nawet przy przekraczaniu służy ten papier, to świadectwo ostatniej spowiedzi mojej, mojego ostatniego rozgrzeszenia, zamiast nakazu sumienia, i znowu zawraca na drogę prawą. Pilnuję się, a błędy moje nie spadają już tak jak wody górskie — jedno na drugie.

Wyznać ci atoli¹¹ muszę, że częstokroć podziwiam owych nauczycieli i przewodników ludzi, którzy na uczniów swoich nakładają tylko zewnętrzne, mechaniczne obowiązki. Ułatwiają pracę sobie i światu! Albowiem właśnie tę część zobowiązań moich, które mi z początku wydały się najbardziej uciążliwe, najbardziej dziwaczne, zachowuję najłatwiej, z największym upodobaniem.

Nie powinienem dłużej nad trzy dni pozostawać pod jednym dachem. Nie powinienem opuszczać żadnej oberży, nie oddaliwszy się od niej na milę przynajmniej. Te nakazy są zaiste do tego skierowane, by lata moje uczynić latami wędrówki i nie pozwolić, aby bodaj najmniejsza pokusa do osiedlenia się we mnie się znalazła. Temu warunkowi poddawałem się dotychczas skrupulatnie, bo ani razu nie posłużyłem się danym mi pozwoleniem. Tu właściwie po raz pierwszy dopiero zatrzymałem się, po raz pierwszy trzecią noc przesypiam w tym samym łóżku. Stąd posyłam ci niejedno z tego, com dotychczas posłyszał, zauważył, zaoszczędził. A potem, jutro z rana, spuszczałem się na drugą stronę. Najprzód do dziwnej rodziny, mógłbym powiedzieć: «do świętej rodziny», o której w dzienniku moim znajdziesz więcej. Teraz bądź zdrowa i wypuść z ręki list ten z takim uczuciem, iż ma on jedno tylko do powiedzenia, chciałby jedno tylko mówić i wciąż powtarzać, ale nie chce powiedzieć, nie chce powtarzać, dopóki nie będę miał szczęścia

⁹jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

¹⁰święty Józef a. Józef z Nazaretu — bohater biblijny, małżonek Marii z Nazaretu, matki Jezusa. [przypis edytorski]

¹¹atoli (daw.) — jednak, wszakże. [przypis edytorski]

List

Rozstanie, Podróż

znów u nóg twoich leżeć, a na rękach twoich wypłakać się za to wszystko, czego mi tu braknie”.

Rankiem

„Jużem spakowany. Przewodnik przysnurowuje tłumok do kija. Słońce jeszcze nie wzeszło, mgły dymią ze wszystkich otchłani, ale w górze niebo jest pogodne. Zstępujemy w mroczną głębinę, która także rozjaśni się niebawem nad naszymi głowami. Pozwól mi przesłać sobie ostatnie moje «Ach!». Niech ostatnie spojrzenie moje ku tobie napelni się łzą mimowolną! Jestem zdecydowany i mam silne postanowienie. Już nie posłyszysz ode mnie skarg żadnych; posłuchasz tylko, co spotka wędrowca. A jednak, kiedy chcę skończyć, krzyżują się wciąż jeszcze tysiączne myśli, życzenia, nadzieje i zamiary. Szczęściem popędzają mnie. Posłaniec woła, a gospodarz sprząta w mojej obecności, jakby mnie już nie było — na podobieństwo nieczułych spadkobierców, co nie skrywają przed umierającym przygotowań do wejścia w posiadanie”.

ROZDZIAŁ DRUGI

Święty Józef drugi

Już wędrowiec, idąc za swoim przewodnikiem, pozostawił za i nad sobą strome skały. Przeszli łagodniejszą przełęcz i śpieszyli wciąż naprzód przez niejeden las dobrze zarosły, przez niejedną wesołą polankę, aż wreszcie znaleźli się na urwisku i spoglądali na starannie uprawną, wzgórzami wkoło zamkniętą dolinę. Wielki — do połowy w gruzach leżący, do połowy dobrze utrzymany — budynek klasztorny ściągnął zaraz uwagę na siebie.

— To jest Święty Józef — rzekł przewodnik. Wielka szkoda pięknego kościoła! Patrzenie no, jak jego słupy i filary, w tak dobrym jeszcze stanie, przeglądają przez krzewy i drzewa, chociaż sam kościół już od wielu setek lat leży w gruzach.

— Ale budynki klasztorne, jak widzę — odrzekł Wilhelm — są jeszcze dobrze utrzymane.

— Tak — odpowiedział tamten — mieszka w nich rządcą, który się zajmuje gospodarstwem, odbiera czynsze i dziesięciny, jakie wszędzie i wzdłuż tu mają być opłacane.

Podczas tej rozmowy dostali się otwartą bramą na obszerny dziedziniec, który, otoczony masywnymi, dobrze utrzymanymi budowlami, zapowiadał się jako pobyt spokojnego zgromadzenia. Feliksa swego wraz z wczorajszymi aniołkami ujrzał natychmiast zajętego przy koszu, który tęga jakaś kobieta postawiła przed sobą. Zamierzali kupić wiśnię, właściwie jednak targował się Feliks, który zawsze miał nieco pieniędzy przy sobie. Otóż teraz, jako gość, wystąpił w roli gospodarza, obdzielał owocami obficie swoich towarzyszy zabawy. I dla ojca nawet orzeźwienie miłe było wśród tych nieurodzajnych puszczy mszystych, gdzie barwne, połyskliwe owoce podwójnie piękne się wydawały.

— Przynoszę je z daleka, z pięknego ogrodu — zauważyła przekupka, by skłonić do przyjęcia ceny, która kupującym zdała się trochę za wysoka.

— Ojciec wkrótce powróci — rzekły dzieci — niech pan tylko na chwilę pójdzie do sali i tam wypocznie.

Jakże zdziwiony był Wilhelm, gdy go dzieci zaprowadziły do miejsca, które nazwały salą. Zaraz z dziedzińca wchodziło się tam przez wielką bramę, a wędrowiec nasz znalazł się w czystośćnej, dobrze zachowanej kaplicy, która jednak, jak łatwo spostrzegł, urządzona była do domowego użytku życia codziennego. Po jednej stronie stał stół, krzesło, wiele stołków i ławek, po drugiej — ładnie rzeźbione półki z różnobarwnymi sprzętami glinianymi, dzbanami i szklankami. Nie brakło też kilku skarbonek i skrzynek, a chociaż wszystko było w porządku, brakowało jednak przytulności domowego, codziennego życia. Światło wysokimi oknami wpadało z boku. Co atoli najbardziej zastanowiło wędrowca, to kolorowe, na ścianie malowane obrazy, które pod oknami na dość znacznej wysokości, jak kobierce, trzy części kaplicy wkoło obiegały i zachodziły na futrowanie¹², jakie pokrywało pozostałą ścianę aż do ziemi. Malowidła przedstawiały historię świętego Józefa. Tu widać go było zajętego swoją ciesiołką; tam spotykał Marię¹³, a lilia wyrastała

¹²futrowanie — obijanie ściany deskami albo wylepianie gliną lub gipsem. [przypis edytorski]

¹³Maria — postać biblijna, matka Jezusa. [przypis edytorski]

z ziemi pomiędzy obojgiem. Aniołowie, nasłuchując, latali wkoło nich. Tu następują zaślubiny, potem idzie pozdrowienie anielskie. Tam siedzi smutny wśród zaczętej roboty, upuszcza siekiere i myśli o opuszczeniu małżonki. Ale oto zjawia mu się we śnie anioł, a położenie jego zmienia się. Z nabożeństwem przygląda się nowo narodzonemu dziećciu w stajence w Betlejem¹⁴ i cześć mu składa. Niebawem następuje cudnie piękny obraz. Widać kawałki ociosanego drzewa; mają być właśnie ułożone i przypadkowo dwa kawałki tworzą krzyż. Dziecię usnęło na krzyżu, matka siedzi obok i spogląda na nie z gorącą miłością, a piastun wstrzymuje się z robotą, by snu nie przerywać. Zaraz potem idzie ucieczka do Egiptu. Wywołała ona uśmiech u przypatrującego się wędrowca, ponieważ ujrzał tu na ścianie powtórzenie wczorajszego, żywego obrazu.

Niedługo mógł się rozmyślanii oddawać, gdyż wszedł gospodarz, w którym od razu poznał przewodnika wczorajszej świętej karawany. Powitali się jak najserdeczniej. Rozpoczęła się rozmowa o tym i owym, ale uwaga Wilhelma zwrócona była na malowidła. Gospodarz spostrzegł zajęcie¹⁵ gościa swego i zaczął, uśmiechając się:

— Podziwiacie pewnie zgodność tego budynku z jego mieszkańcami, których poznaliście wczoraj. Ale jest ona może jeszcze dziwniejsza, niżby domyślać się było można: budynek wytworzył właściwie mieszkańców. Bo jeżeli rzecz nieżywa jest żywotna, to może też wydawać z siebie żywe.

— O tak! — odparł Wilhelm. — Dziwiłoby mnie, gdyby duch, który przed wiekami działał tak potężnie w tej skalistej pustyni i przyswoił sobie tak wielkie ciało budowli, posiadłości i przywileje, a za to rozszerzał w okolicy różnorodną kulturę, dziwiłoby mnie, gdyby i z tych zwalisk jeszcze nie wywierał swego wpływu żywotnego na istotę żyjącą. Ale nie bawmy przy ogólnikach, zaznajomcie mnie ze swoją historią, abym się dowiedział, jak to się stało, iż bez kuglarstwa i zarozumiałości przeszłość się w was odbija, a to, co minęło, wraca znowu.

Gdy właśnie Wilhelm oczekiwał objaśniającej odpowiedzi z ust gospodarza, miły jakiś głos wywołał na dziedzińcu imię Józef. Gospodarz posłuchał i poszedł ku drzwiom.

— A więc nazywa się także Józef! — rzekł Wilhelm sam do siebie. — To dość dziwne, a jednak nie tak jeszcze dziwne jak to, że w życiu wyobraża swego patrona.

Równocześnie spojrzął ku drzwiom i zobaczył wczorajszą Matkę Bożą, rozmawiającą z mężem. Rozstali się wreszcie; kobieta poszła do przeciwległego mieszkania.

— Mario! — zawołał za nią. — Jeszcze słowo.

„A więc ona zwie się Maria — myślał Wilhelm — niewiele brakuje, żebym się uczuł przeniesiony o osiemnaście wieków w ty!”

Wyobraził sobie solidnie zamkniętą dolinę, w której się znajdował, zwaliska i spokój, i opanował go dziwnie starożytny nastrój. Było to w chwili, gdy nadszedł gospodarz i dzieci. Te zawezwały Wilhelma na przechadzkę, kiedy gospodarz chciał jeszcze dopilnować kilku zajęć. Szli tedy przez ruiny kościoła bogatego w kolumny, którego wysokie szczyty i ściany zdawały się wzmocniać na wietrze i wśród niepogody, gdy grube drzewa od wieków się wkorzeniły w szerokie grzbiety murów i w towarzystwie rozmaitej trawy, kwiatów i mchu przedstawiały śmiało w powietrzu wiszące ogrody. Łagodne ścieżki na polankach prowadziły ku rwącemu potokowi, a z pewnej wyżyny mógł wędrowiec przypatrywać się budowli i jej położeniu z tym większym zajęciem, im dziwniejszy stawał się dla niego jej mieszkaniec, budząc w nim najżywszą ciekawość harmonią swoją z otoczeniem.

Po powrocie zastano w nabożnej sali stół nakryty. U góry stało krzesło poręczowe, na którym zasiadła gospodyni. Obok siebie miała wysoki koszyk, w którym leżało dzieciątko, następnie ojca po lewej, a Wilhelma po prawej ręce. Troje dzieci obsiadło niższą część stołu. Stara służąca przynosiła dobrze przyrządzone potrawy. Zastawa do jedła i napoju przypominała również dawne czasy. Dzieci dawały pochop¹⁶ do rozmowy, gdy Wilhelm nie mógł się napatrzyć postawy i zachowania się swojej świętej gospodyni.

Po obiedzie towarzystwo się rozproszyło. Gospodarz zaprowadził gościa swego do ocienionego miejsca w ruinach, gdzie z wyniesionego punktu miało się zupełnie przed

¹⁴Betlejem — miasto w Palestynie, miejsce narodzin Jezusa Chrystusa. [przypis edytorski]

¹⁵zajęcie — tu: zainteresowanie. [przypis edytorski]

¹⁶pochop (daw.) — impuls, pobudka, asumpt. [przypis edytorski]

sobą przyjemny widok na całą dolinę i widziało się wyrastające jedne za drugimi wzgórza niżej położone, z ich urodzajnymi pochyłościami i lesistymi grzbietami.

— Słuszną jest rzeczą — rzekł gospodarz — żebym zadowolili ciekawość pańską, tym bardziej, że czuję po panu, że zdołasz nawet cudowność przyjmować poważnie, jeżeli ona spoczywa na podstawie poważnej. Ten zakład duchowny, którego resztki pan jeszcze widzisz, poświęcony był świętej rodzinie i od wieków słynął jako miejsce pielgrzymki z powodu niejednego cudu. Kościół był poświęcony matce i synowi. Od kilku stuleci jest on już zniszczony. Kaplica, poświęcona świętemu piastunowi, utrzymała się, a także użyteczna część budynków klasztornych. Dochody pobiera już od lat wielu książę świecki, który ma tu swego rządcę, a tym jestem ja, syn poprzedniego rządcy, który tak samo po swoim ojcu miejsce to objął.

Święty Józef, chociaż od dawna tu na górze ustalo wszelkie kościelne nabożeństwo, był tak dobroczynny dla rodziny naszej, że nie trzeba się dziwić, jeśli się czuło względem niego dobre usposobienie¹⁷. Stąd też poszło, że na chrzcie nazwano mnie Józefem i przez to określono do pewnego stopnia tryb życia mego. Rosłem, a jeśli się przyłączałem do ojca, kiedy się zbieraniem dochodów zajmował, to równie ochoczo, a nawet chętniej, skłaniałem się ku matce, która lubiła wedle możliwości wydawać i ze swej dobrej woli oraz z dobrodziejstw znana była i kochana w całych górach. Posyłała mnie to tu, to tam, żebym coś przyniósł lub zamówił, lub czegoś dopilnował, a ja bardzo się dobrze odnalazłem w tego rodzaju pobożnym rzemiośle.

W ogólności życie górskie ma coś bardziej ludzkiego w sobie niż życie na płaszczyźnie. Mieszkańcy bliżej są sobie, a jeżeli chcecie, to i dalej. Potrzeby są szczuplejsze, ale bardziej nagle. Człowiek bardziej jest sobie samemu zostawiony; musi się nauczyć zaufania do rąk, do nóg swoich. Robotnik, posłaniec, tragarz, wszyscy łączą się w jednej osobie. Jeden też względem drugiego jest bliżej, spotyka go częściej i żyje z nim w zawodowej wspólnocie.

Ponieważ byłem jeszcze młody, a ramiona moje niewiele udźwignąć mogły, wpadłem na myśl obciążenia osiołka koszykami i pędzenia go przed sobą po stromej ścieżce w górę i na dół. Osioł nie jest w górach tak pogardzanym zwierzęciem jak na równinach, gdzie parobek orzący końmi uważa się za lepszego od tego, który przerzyna rolę wołami. Szedłem sobie za swym zwierzęciem bez wahania — tym bardziej, że wcześniej zauważyłem w kaplicy, iż dostąpiło ono zaszczytu wożenia Boga i matki jego.

Ale wówczas kaplica ta nie była w takim stanie, w jakim się obecnie znajduje. Obchodzono się z nią jak z szopą, ba, jak z oborą. Drwa, żerdzie, statki¹⁸ domowe, beczki, drabiny i co tylko chcecie było tam na kupę zwalone. Na szczęście obrazy są wysoko, a podłoga wytrzymała. Ale jako dziecko już miałem w tym szczególną przyjemność, że po wszystkich tych gratach się wdrapywałem i oglądałem obrazy, których mi nikt rzetelnie objaśnić nie umiał. Dość, że wiedziałem, iż święty, którego życie tam odmalowano, był moim chrzestnym ojcem i radowałem się z niego, jakby był moim stryjem. Wzrastałem, a ponieważ było osobno zawarowane, żeby ten, kto się ubiegał o dochodowe miejsce rządcy, zajmował się rzemiosłem, musiałem więc stosownie do woli rodziców, którzy pragnęli, ażebym kiedyś odziedziczył tę dobrą posiadłość, uczyć się rzemiosła i to takiego, które by tu w górach pożyteczne było przy gospodarstwie.

Ojciec mój był bednarzem i sam dostarczał wszystkiego, co tylko w takiej robocie potrzebne było — stąd i dla niego, i dla całości wielki wzrastał pożytek. Ja wszakże nie mogłem się odważyć pójść za nim w tym względzie. Pragnienie ciągnęło mnie niepowstrzymanie do ciesiołki, której narzędzie widziałem od wczesnego dzieciństwa tak dokładnie odmalowane przy moim świętym. Wyraziłem życzenie swoje. Nie opierano mu się, tym bardziej, że przy niejednej budowli często przez nas musiał być wzywany cieśla, a nadto przy niejkiej zręczności i zamięlowaniu do roboty delikatniejszej, zwłaszcza w okolicach lesistych, stolarstwo i snycerstwo¹⁹ naturalnie się łączą ze sobą.

A co mnie jeszcze silniej utwierdziło w moich wyższych widokach, to ów obraz, który niestety obecnie spełził prawie zupełnie. Dowiedziawszy się, co ma przedstawiać, potrafisz go pan sobie odszyfrować, kiedy pana przedeń zaprowadzę potem. Świętemu Józefowi

Cud

¹⁷usposobienie (daw.) — tu: nastawienie, chwilowy stan ducha, nastrój. [przypis edytorski]

¹⁸statek — tu: sprzęt domowy, naczynie. [przypis edytorski]

¹⁹snycerstwo — sztuka rzeźbienia w drzewie, rzemiosło artystyczne. [przypis edytorski]

zlecono ni mniej, ni więcej, tylko zrobienie tronu dla króla Heroda²⁰. Pomiędzy dwiema oznaczonymi kolumnami ma być wzniesione wspaniałe krzesło. Józef bierze starannie miarę szerokości i wysokości i obrabia pyszny tron królewski. Ale jakiegoż doznaje zdziwienia i zmieszania, kiedy odnosi wspaniałe krzesło. Okazuje się ono za wysokie, a nie dość szerokie. Z królem Herodem, jak wiadomo, nie było co żartować; pobożny cieśla znajduje się w największym zakłopotaniu. Dziecię Jezus, przyzwyczajone towarzyszyć mu wszędzie i nosić za nim w dziecięco pokornej igraszce narzędzia, spostrzega jego kłopot i zaraz mu śpieszy z radą i pomocą. Cudowne dziecko żąda od piastuna, aby przytrzymał tron z jednej strony, sam zaś chwyta drugą stronę rzeźbionego dzieła i obaj zaczynają ciągnąć. Lekko i wygodnie, jak by był ze skóry, wyciąga się tron wszerek, traci w odpowiednim stosunku na wysokości i wybornie przypada do oznaczonego miejsca, ku największej pociesze uspokojonego majstra i ku zupełnemu zadowoleniu króla.

Tron ów w młodości mojej dobrze jeszcze widzieć było można, a z resztek jednej strony będziesz pan mógł zauważyć, że snycerskich ozdób wcale nie szczędzono, co pewnie malarzowi łatwiej przyszło zrobić niż cieśli, gdyby ich od niego zażądano. Stąd jednak nie brałem wcale pochopu do żadnego skrupułu, ale ujrzałem rzemiosło, któremu się poświęciłem, w świetle czcigodnym, tak że wytrzymać nie mogłem, póki mnie do terminu²¹ nie oddano; co tym łatwiej spełnić było można, że w sąsiedztwie mieszkał majster, który robił dla całej okolicy i mógł zatrudnić wielu czeladników i terminatorów.

Pozostałem tedy w pobliżu rodziców moich i do pewnego stopnia po dawnemu pędziłem życie, obracając godziny i dni wolne, świąteczne na poselstwa dobroczynne, które mi matka w dalszym ciągu powierzała.

Nawiedzenie

— Tak minęło lat kilka — mówił opowiadający dalej. — Bardzo prędko zrozumiałem zalety rzemiosła, a ciało moje, wyćwiczone pracą, było w możności podjąć się wszystkiego, czego się przy tym wymaga. Prócz tego sprawowałem swoją dawniejszą służbę, jaką wykonywałem dla mojej dobrej matki, a raczej dla chorych i potrzebujących. Przeciągałem ze swym zwierzęciem przez góry, rozdzielałem zapasy akuratnie, a od kramarzy i kupców brałem nazad to, czego nam tu, w górach, brakowało. Majster mój był ze mnie zadowolony, rodzice również. Miewałem już tę przyjemność, że widział wśród wędrówek swoich niejedną dom, przy którym i ja pracowałem, który przyozdabiałem. Bo szczególnie to nacinanie belek, to wyrzynanie pewnych prostych kształtów, to wypalanie zdobiących figur, to malowanie na czerwono niektórych zagłębień, przez co drewniany dom górski nabywa tak wesołego wyglądu, takie właśnie sztuki mnie były głównie powierzane, ponieważ najlepiej się wywiązywałem z zadania, mając ciągle w pamięci tron Heroda i jego ozdoby.

Pomiędzy osobami potrzebującymi wsparcia, o które matka moja szczególne miała staranie, na pierwszym miejscu stały młode kobiety przy nadziei, jak to powoli zmiarkować mogłem, chociaż w takich wypadkach zlecenia mi dawane tajemniczo traktowano. Nie miałem przy tym nigdy rozkazu bezpośredniego, ale wszystko się odbywało za pośrednictwem jednej, poczciwej kobiety, która mieszkała niedaleko w kierunku doliny, a zwała się Elżbieta. Matka moja, sama doświadczona w tej sztuce, która niejednego zaraz przy wejściu w życie ocaliła dla życia, była z Elżbietą zawsze w dobrym porozumieniu. A ja nieraz ze wszystkich stron nasłuchiwałem się, że ten i ów z naszych tęgich górali zawdzięcza swe istnienie tym dwóm kobietom. Tajemniczość, z jaką mnie zawsze przyjmowała Elżbieta, związła odpowiedzi na moje zagadkowe pytania, których sam nie rozumiałem, wzniciły we mnie osobliwe dla niej uszanowanie, a dom jej, nadzwyczaj chędogi²², był dla mnie niby rodzajem malej świątyni.

Tymczasem wiadomościami swymi i działalnością rzemieślniczą pozyskałem wpływ niejaki w rodzinie. Gdy mój ojciec jako bednarz zajął się piwnicą, ja zabrałem się do dachu i pokojów i poprawiłem niejedną uszkodzoną część starego budynku. Potrafiłem zwłaszcza parę zniszczonych schodów i wozownie uczynić znowu zdatnymi do użytku

²⁰Herod a. Herod Wielki (73/-4 p.n.e.) — w latach 37-4 p.n.e. król Judei, odpowiedzialny za tzw. rzeź niewiniątek. [przypis edytorski]

²¹termin (daw.) — nauka rzemiosła u majstra. [przypis edytorski]

²²chędogi (daw.) — schludny. [przypis edytorski]

domowego. A zaledwie tego dokonawszy, zacząłem uprzątać i oczyszczać swoją ulubioną kaplicę. W kilka dni doprowadziłem ją do porządku, takiego prawie, jak go teraz widzicie; przy czym starałem się brakujące lub uszkodzone części futrowania dostosować dokładnie do całości. I te oto podwoje u wejścia mógłbyś pan wziąć za dosyć stare, a one są przecież mojej roboty. Wiele lat spędziłem na wyrzynaniu ich w godzinach odpoczynku, złożywszy je poprzednio należycie z mocnych, dębowych dylów²³. Co z obrazów nie było do tego czasu uszkodzone lub spelzłe, utrzymało się do dziś dnia, a szklarzowi przy pewnej nowej budowli pomagałem pod tym warunkiem, że przywróci tu szyby różnobarwne.

Jeżeli owe obrazy i myśli o życiu świętego zajmowały moją wyobraźnię, to wszystko to jeszcze się żywiej we mnie odbiło, kiedy mogłem miejsce to uważać znowu za świątynię, bawić w niej — zwłaszcza latem — i rozmyślać swobodnie o tym, com widział lub przypuszczał. Była we mnie niepokonana skłonność do naśladowania tego świętego, a ponieważ niełatwo wystarać się było można o zdarzenia podobne, chciałem rozpocząć przynajmniej od dołu do góry upodobnianie się do niego, jak to rzeczywiście już dawno zrobiłem przez posługiwanie się zwierzęciem jucznym. Małe stworzonko, którym się dotychczas posługiwałem, już mi nie wystarczało. Wyszukałem sobie o wiele okazalszego nosiciela, postarałem się o dobrze zrobione siodło, zdatne zarówno do jazdy wierzchem, jak i do ładowania. Sprawilem sobie parę nowych koszów, a siatka z różnobarwnych sznurów, koszyków i kwiatów, z brzęczącymi kółkami metalowymi, zdobiła kark długouchego stworzenia, które się niebawem mogło pokazać obok swego wzoru na ścianie. Nikomu nie przyszło na myśl drwić ze mnie, kiedy przebywałem góry z takim zaprzęgiem, bo chętnie się pozwala dobroczynności na dziwaczną zewnętrzną.

Tymczasem wojna, a raczej jej następstwa, zbliżyły się do naszej okolicy; gdy się kilkakrotnie niebezpieczne kupy zbiegłych maruderów zbierały i tu, i owdzie niejeden gwałt, niejedną rozpustę popełniały. Wskutek dobrego urzędnictwa policji wiejskiej, wskutek wypraw i ustawicznej czujności zapobieżono wprawdzie rychło złu. Ale za szybko oddano się znowu bez trosce, a zanim się obejrzano, pojawiły się świeże przestępstwa.

W naszej okolicy długo było cicho, a ja ze swoim jucznym rumakiem spokojnie przechodziłem zwykłą ścieżką. Aż pewnego dnia, dostawszy się do świeżo zasianego wyřębu, zastałem na skraju zagrodzenia siedzącą, a raczej leżącą postać kobiecą. Zdawała się spać albo być w omdleniu. Zakrzętałem się koło niej, a ona, podniósłszy piękne swe oczy i wyprostowawszy się, zawołała z żywością: „Gdzie on? Czyście go widzieli?”. Ja zapytałem: „Kogo?”. Ona odpowiedziała: „Mego męża”.

Wobec jej nader młodzieńczego wyglądu odpowiedź ta była dla mnie niespodziewana, ale tym chętniej dopomagałem jej dalej i zapewniałem o moim dla niej współczuciu. Dowiedziałem się, że oboje podróżni z powodu uciążliwej drogi oddalili się od swego wozu, by na bliższą wejść ścieżkę. Niedaleko stąd zostali napadnięci przez uzbrojonych. Mąż jej, walcząc, oddalił się, ona nie mogła iść za nim daleko i legła w tym miejscu; nie wie od jak dawna. Prosiła mnie usilnie, bym ją opuścił, a poszedł szukać jej męża. Stała na nogi i najpiękniejsza, najmiłsza postać zjawiła się przede mną. Ale łatwo spostrzec mogłem, że się znajduje w stanie, w którym bardzo może prędko będzie potrzebowała pomocy matki mojej i Elżbiety. Spieraliśmy się przez chwilę, ja bowiem pragnąłem jej najprzód bezpieczeństwo zapewnić, ona zaś wołała przedtem mieć wiadomość o mężu. Nie chciała się oddalić od jego śladu i wszystkie moje tłumaczenia nie poskutkowałyby może, gdyby właśnie nie przebiegał przez las oddział milicji naszej, którą poruszyła wiadomość o świeżych zbrodniach. Powiadomiliśmy ją o sprawie, uzgodniwszy, co było potrzeba, wyznaczony miejsce spotkania i tak na ten raz rzecz została załatwiona. Szybko ukryłem swoje kosze w pobliskiej jaskini, która mi już nieraz za skład służyła, siodło urządziłem do wygodnego siedzenia i podniosłem, nie bez osobliwego uczucia, piękne brzemie na swe posłuszne zwierzę, które samo potrafiło natychmiast odnaleźć zwykłe ścieżki, dając mi sposobność postępować obok.

Domyślcie się, bez szerokiego z mej strony opisu, jak dziwnie było mi na sercu. Czegom szukał od tak dawna, znalazłem naprawdę. Doznawałem takiego uczucia, jakbym śnił, to znowu, jakbym właśnie z marzeń się zbudził. Ta postać niebiańska, jak ją widziałem niby unoszącą się w powietrzu i poruszającą się przed zielonymi drzewami,

²³dyl — tu: belka drewniana. [przypis edytorski]

wydawała mi się teraz niby sen, który się zrodził w mej duszy wskutek owych obrazów w kaplicy. To znów obrazy te wydawały mi się tylko snami, które tu w piękną zamieniały się rzeczywistość. Pytałem ją o to i owo, odpowiadała mi łagodnie i uprzejmie, jak przystoi osobie szczerze zasmuconej. Często prosiła mnie, kiedyśmy weszli na gołą wyżynę, bym się zatrzymał, obejrzał, nasłuchiwał. Prosiła mnie z takim wdziękiem, z takim głęboko życzliwym spojrzeniem spod swych długich, czarnych rzęs, że musiałem robić wszystko, co tylko było można. Ba, wdrapałem się nawet na samotnie stojącą, konarów pozbawioną, sosnę. Nigdy mi bardziej pożądana nie była ta sztuczka mojego rzemiosła, nigdy z większym zadowoleniem nie zdejmowałem na uroczystych obchodach i jarmarkach wstążek i jedwabnych chustek z podobnych wierzchołków. Ale tym razem, niestety, zszedłem bez łupu i tam, w górze, nic nie zobaczyłem i nic nie usłyszałem. W końcu ona sama zawołała, żebym zszedł, i bardzo żywo dawała znaki ręką; a nawet, gdy wreszcie przy ześlizgiwaniu się puściłem się z dość znacznej wysokości i zeskoczyłem, wydała okrzyk i łagodna serdeczność rozlała się na jej twarzy, gdy mnie zobaczyła przed sobą nieuszkodzonego.

Ale co mam zabawiać was długo setkami uprzejmości, którymi przez całą drogę starałem się jej przypodobać, rozerwać ją. I czyżbym mógł nawet! Jest to bowiem właściwość prawdziwej uprzejmości, że w danej chwili nic zamienia we wszystko. Dla uczucia mego kwiaty, jakie jej znosiłem, dalekie okolice, które jej pokazywałem, góry, lasy, których nazwy jej wymieniałem, były równie cennymi skarbami, które jej na własność dawałem, ażeby z nią nawiązać stosunek, jak się o to staramy za pomocą podarunków.

Już mnie sobie na całe życie pozyskała, kiedyśmy się tu przed drzwiami owej pocziwej kobiety dostali, a ja widziałem już przed sobą bolesne rozstanie. Raz jeszcze przebiegłem wzrokiem całą jej postać, a kiedy oczy moje zeszły aż do stopy, schyliłem się, jakbym miał coś do poprawienia w popręgu²⁴ i ucałowałem trzewiczek najśliczniejszy, jaki w swoim życiu widziałem — ale tak, że ona tego nie spostrzegła. Pomogłem jej zejść, poskoczyłem na stopnie i zawołałem do drzwi: „Pani Elżbieto, macie odwiedziyny!”

Pocziwina wyszła, a ja, poprzez jej ramiona patrząc na dom, widziałem, jak piękna istota wstępowała na schody, z wdzięcznym smutkiem i serdecznym, bolesnym poczuciem. Potem moją zaczął staruszkę uściskała przyjaźnie i poszła za nią do lepszej izby. Zamknęły się, a ja stałem przy swoim osle przed drzwiami, jak ten, co wyładował oto cenne towary i znowu jest tak biednym poganiaczem jak pierwej.

Łodyga lili

— Zwlekałem jeszcze z odjazdem, gdyż nie byłem pewny, co mam robić, kiedy Elżbieta podeszła do drzwi i poprosiła mnie, żebym matkę do niej wezwał, a potem obszedł okolicę wkoło i jeżeli można, przyniósł wieści o mężu. „Maria kazała poprosić o to panna bardzo”, rzekła. „Czy nie mógłbym z nią jeszcze sam pomówić?”, zapytałem. „To nie wypada”, odpowiedziała Elżbieta i rozstaliśmy się.

Bardzo prędko dostałem się do naszego mieszkania. Matka moja gotowa była jeszcze tegoż wieczoru pośpieszyć z pomocą młodej nieznaomej. Ja pobiegłem w okolicę, na dół i spodziewałem się znaleźć najpewniejsze wiadomości u amtmanna²⁵. Ale on sam nic pewnego nie wiedział, a znając mnie, kazał mi noc u siebie spędzić. Nieskończenie długa mi się ona wydała, a wciąż miałem przed oczyma piękną postać, jak się kołysała na zwierzęciu i spoglądała na mnie w sposób boleśnie przyjazny. Co chwila oczekiwałem jakiejś wieści. Życzyłem z serca pocziwemu małżonkowi życia, a jednak lubiłem wystawiać²⁶ ją sobie jako wdowę. Oddział robiący wycieczkę powoli zgromadził się w całości, a po kilku zmieniających się pogłoskach wykryła się w końcu pewność, że wóz został ocalony, ale nieszczęśliwy małżonek zmarł z powodu ran w wiosce pobliskiej. Dowiedziałem się także, iż według uprzedniej umowy kilku poszło zanieść to żałobne poselstwo Elżbiecie. Nie miałem już tedy nic tam do czynienia ani do pomożenia, a jednak nieposkromiona niecierpliwość i niezmierna żądza gnały mnie przez górę i las ku jej schronieniu. Była noc, dom zamknięty; widziałem światło w pokojach, widziałem cienie ruszające się za

²⁴popręg — pas przytrzymujący siodło. [przypis edytorski]

²⁵amtman (z niem. *Amtmann*) — zarządca. [przypis edytorski]

²⁶wystawiać (daw.) — tu: wyobrażać. [przypis edytorski]

frankami, i tak siedziałem naprzeciwko na ławce wciąż z zamiarem zastukania i wciąż powstrzymywany różnorodnymi myślami.

Ale po co ja opowiadam szczegółowo to, co właściwie nie budzi zainteresowania. Dość, że i w dniu następnym nie wpuszczono mnie do domu. Znano smutną wiadomość. Mnie już nie potrzebowano, odprawiono mnie do ojca, do mojej pracy. Nie odpowiadano na moje pytania, chciano mnie się pozbyć.

Przez tydzień tak ze mną się obchodzono, aż mnie wreszcie Elżbieta zawołała z wnętrza. „Stąpajcie po cichu, mój przyjacielu, rzekła, ale zbliżcie się śmiało!”.

Wprowadziła mnie do czystutkiego pokoju, gdzie w rogu ujrzałem poprzez na wpół odchyloną zasłonę łóżka moją piękną, siedzącą. Elżbieta podeszła do niej, niby dla oznajmienia mnie, wzięła coś z łóżka i przyniosła do mnie najpiękniejszego chłopca, obwinie- tego w najbielsze chusty. Trzymała go akurat pomiędzy mną a jego matką i zaraz przyszła mi na myśl lodyga lilii, wystająca z ziemi na obrazie pomiędzy Marią a Józefem na świadectwo czystego stosunku. Od tej chwili ustąpiło wszelkie przygnębienie z mego serca, byłem pewny swej sprawy, byłem pewny swego szczęścia. Mogłem swobodnie do niej przystąpić, mówić z nią, znieść wzrok jej niebiański, brać chłopca na ręce i wycisnąć mu na czole pocałunek serdeczny. „Jakże dziękuję wam za waszą przychylność dla tego osieroconego chłopca!”, rzekła matka. Bez namysłu a żywo zawołałem: „Już nie jest sierotą, jeżeli tylko zechcecie!”. Elżbieta, bardziej doświadczona ode mnie, odebrała mi dziecko i mnie oddalić umiała.

Dotąd jeszcze wspomnienie owej chwili służy mi za najmiłą uciechę, kiedy zmu- szony jestem przebywać nasze góry i lasy. Dotąd jeszcze potrafię przypomnieć sobie naj- drobniejszy nawet szczegół, czego jednak słusznie wam oszczędzę. Mijały tygodnie. Ma- ria przyszła do siebie, mogłem ją częściej widywać; obcowanie z nią moje było szeregiem usług i przychylności. Stosunki jej rodzinne pozwalały jej obrać miejsce zamieszkania gdziekolwiek. Zrazu bawiła u Elżbiety, potem nas odwiedziła, by podziękować matce mojej i mnie za tyle i tak przyjaznej opieki. Podobało się jej u nas, a ja pochlebiałem sobie, że po części tak było z mego powodu. Ale to, com tak bardzo rad był powiedzieć, a czego powiedzieć nie śmiałem, wyjawione zostało w sposób dziwny a miły, kiedy ją zaprowadził do kaplicy, którą już wtedy zamieniłem na salę mieszkalną. Pokazywałem jej i objaśniałem obrazy, jeden po drugim, i rozwodziłem się przy tym nad obowiązkami piastuna tak żywo i tak serdecznie, że łzy jej napłynęły do oczu, a ja nie mogłem dokończyć tłumaczenia malowideł. Byłem pewny jej skłonności, lubo²⁷ nie byłem dość zarozumiały, bym żądał, żeby wspomnienie jej męża zatarło się tak szybko. Prawo zobowiązuje wdowy do roku żałoby i z pewnością potrzebny jest sercu czującemu taki przeciąg czasu, obejmują- jący w sobie zmianę wszystkich rzeczy ziemskich, by złagodzić bolesne uczucie wielkiej straty. Widzimy kwiaty więdnące, liście opadające, ale też widzimy dojrzewające owoce i kielkujące nowe pączki. Życie należy do żywych, a kto żyje, musi być przygotowany do zmiany.

Rozmówiłem się z matką co do sprawy, która mi tak bardzo na sercu leżała. Ona mi na to oznajmiła, jak bolesna była dla Marii śmierć jej męża i jak jedynie skutek myśli, że dla dziecka żyć powinna, przyszła do zdrowia. Przywiązanie moje nie pozostało kobie- tom nieznanne i już Maria zżyła się z wyobrażeniem życia z nami. Bawiła jeszcze czas jakiś w sąsiedztwie, potem sprowadziła się do nas i przeżyliśmy chwil niemało w najświętszym i najszcześniejszym stanie narzeczeństwa. W końcu połączyliśmy się. Owo pierwsze uczu- cie, które nas pociągnęło ku sobie, nie zanikło. Obowiązki i przyjemności piastuna i ojca zjednoczyły się ze sobą i tak nasza mała rodzina, pomnażając się, prześcignęła wprawdzie swój wzór co do liczby osób, ale cnoty owego mistrzowskiego wzoru wierności i czystości usposobień święcie były przez nas zachowywane i wykonywane. I tak też utrzymujemy w miłym przyzwyczajeniu wygląd zewnętrzny, który nabyliśmy przypadkowo i który tak dobrze przystaje do naszego wnętrza. Bo chociaż wszyscy jesteśmy dobrymi piechotni- kami²⁸ i dzielnymi tragarzami, to przecież zwierzę juczne pozostaje wciąż w towarzystwie naszym, by przewieźć to lub owo brzemie, kiedy nas zmusza interes albo odwiedziny prze- bywać te góry i doliny. Jak żeście spotkali nas wczoraj, tak zna nas cała okolica i dumni

²⁷lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

²⁸piechotnik (daw.) — piechur. [przypis edytorski]

z tego jesteśmy, że pożycie nasze takiego jest rodzaju, iż żadnej nie przynosi ujmy owym świętym imionom i postaciom, do naśladowania których się przyznajemy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wilhelm do Natalii

„Właśnie co skończyłem miłą, na wpół cudowną historię, którą dla ciebie spisałem z ust dzielnego człowieka. Jeżeli to niezupełnie jego są słowa, jeżeli tu i owdzie wyraziłem swoje myśli z tej okazji, to było całkiem naturalną rzeczą wobec powinowactwa, jakie względem niego odczuwałem. Owa cześć dla żony czyż nie równa jest tej, jaką ja odczuwam dla ciebie? I czyż samo spotkanie się tych dwojga kochanków nie ma pewnego podobieństwa do naszego? Ale że on tak jest szczęśliwy, iż postępuje obok zwierzęcia, które dźwiga podwójnie piękne brzemie, że żyje nierozdzielnie ze swą ukochaną, ze swoimi — tego mu po cichu zazdrościć muszę. Nie mogę atoli i na mój los się skarżyć, ponieważ ci obiecałem milczeć i cierpieć, jak i ty się tego podjęłaś.

Niejeden piękny rys pożycia tych pobożnych i pogodnych ludzi pominąć muszę — bo czyż można wszystko opisać? Parę dni przeszło mi przyjemnie, ale trzeci napomina mnie, bym o dalszej drodze pomyślał.

Z Feliksem miałem dzisiaj maleńkie przejście, gdyż on chciał mnie prawie zmusić, bym przekroczył jedno z moich dobrych postanowień, które tobie ślubowałem. Błędem, nieszczęściem, dołą jest to już moja, że zanim się opatrzę, mnoży się wkoło mnie towarzystwo, że nowe wkładam na siebie brzemie, które potem dźwigać i znosić muszę. Otóż w wędrowce mojej nikt trzeci nie powinien się stać naszym stałym towarzyszem. Chcemy i powinniśmy być i pozostać we dwóch. A właśnie zdawało się, iż gotowy był do nawiązania się świeży, niezbyt miły stosunek.

Do dzieci domowych, z którymi Feliks przez te dni bawił się, igrając, przyłączył się jakiś rzeński, biedny chłopak, który się dawał używać i nadużywać, jak tego gra wymagała, i bardzo szybko dostał się w łaski u Feliksa. Zmiarkowałem z różnych odezwań się, że ten już sobie wybrał towarzysza na przyszłą drogę. Chłopiec jest tu w okolicy znany, z powodu swej rzeńskości wszędzie cierpiany i przy sposobności dostaje jałmużnę. Mnie wszakże nie podobał się, więc prosiłem gospodarza, by go oddalił. Tak się stało, ale Feliks był z tego nierad i zaszła mała scenka.

Przy tej sposobności zrobiłem odkrycie, które mi sprawiło przyjemność. W rogu kaplicy czy sali stała skrzynia z kamieniami, którą Feliks, co w ciągu naszej wędrowki przez góry nabrał namiętnego upodobania do minerałów, wyciągnął z zapalem i przetrząsnął. Były tam i piękne, w oczy wpadające rzeczy. Gospodarz nasz powiedział, że dziecko wybrać sobie może, co zechce, że te kamienie pozostały z wielkiej masy, jaką pewien przyjaciel niedawno stąd gdzieś wysłał. Nazwał go Montanem, a możesz sobie wyobrazić, jak się ucieszyłem, słysząc to nazwisko, pod jakim podróżuje jeden z najlepszych przyjaciół naszych, któremu to i owo zawdzięczamy. Wypytawszy się o czas i okoliczności, mogę mieć nadzieję spotkania go niebawem w mojej wędrowce”.

*

Wiadomość, że Montan znajduje się w pobliżu, pobudziła Wilhelma do zastanowienia. Zauważył, że nie należy zostawiać jedynie przypadkowi, czy będzie mógł zobaczyć się z tak drogim przyjacielem. Wywiadywał się więc od gospodarza swego, czy nie wiadomo, dokąd podróżny ten drogę swą skierował. Nikt nie miał dokładnej o tym wiedzy i już Wilhelm postanowił ciągnąć dalej wędrowkę swoją według pierwotnego planu, kiedy Feliks zawołał:

— Gdyby ojciec nie był tak uparty, to byśmy już znaleźli Montana.

— Jakim sposobem? — zapytał Wilhelm.

Feliks odpowiedział:

— Mały Fitz mówił wczoraj, że odnajdzie pana, co ma przy sobie piękne kamienie i zna się na nich dobrze.

Po kilku pytaniach i odpowiedziach postanowił w końcu Wilhelm zrobić próbę i tym większą zwrócić bacność na podejrzanego chłopca. Znaleziono go niebawem; dowie-

dziawszy się, o co idzie, przyniósł bijak²⁹, żelazo i potężny młot wraz z małą torbą i rzeńsko pobiegł naprzód w swoim stroju górniczym.

Droga szła bokiem, znowu w górę. Dzieci prześcigały się ze skały na skałę, przez pnie i kamienie, przez strumienie i źródła, a Fitz, nie mając przed sobą ścieżki, śpiesznie pędził wyżej, patrząc to na prawo, to na lewo. Ponieważ Wilhelm, a zwłaszcza obładowany tragarz, nie mogli tak prędko nadążyć, więc chłopcy kilkakrotnie robili drogę naprzód i nazad, a przy tym śpiewali i gwizdali. Kształt kilku nieznanych drzew obudził uwagę Feliksa, który tutaj po raz pierwszy zawarł znajomość z modrzewiami i sosnami syberyjskimi, a oczarowany był cudnymi goryczkami. I tak w uciążliwej wędrówce z jednego miejsca na drugie nie brakło rozrywki.

Mały Fitz stanął nagle i nasłuchiwał. Skinął na innych.

— Słyszycie stukanie? — rzekł. — To odgłos młota uderzającego w skałę.

— Słyszemy — odpowiedzieli inni.

— To Montan! — zapewnił. — Albo ktoś, kto nam o nim może dać wiadomość.

Poszedłszy za odgłosem, który się kiedy niekiedy powtarzał, dostali się na poręb³⁰ i ujrzeli stromą, wysoką, nagą skałę, wystającą ponad wszystko, pozostawiającą nawet wysokie lasy głęboko pod sobą. Na szczycie zobaczyli jakąś osobę. Za daleko stała, by ją poznać było można. Dzieci rzuciły się natychmiast do wdrapywania się po spadzistych ścieżkach. Wilhelm postępował za nimi z pewnym trudem — ba, niebezpieczeństwem, gdyż kto pierwszy wchodzi na skałę, idzie zawsze bezpieczniej, ponieważ wyszukuje sobie dogodności; ten kto idzie potem, widzi tylko, dokąd tamten się dostał, ale nie wie jak. Chłopcy niebawem stanęli na szczycie, a Wilhelm usłyszał głośny okrzyk radości.

— To Jarno! — zawołał Feliks do ojca.

I Jarno wyszedł zaraz na strome miejsce, podał rękę przyjacielowi i wciągnął go do góry. Uściskali się i przywitali z zachwytem w swobodnej atmosferze.

Zaledwie się atoli rozłączyli, Wilhelmmowi zawróciło się w głowie — nie tyle ze względu na siebie, ile z powodu dzieci, które ujrzal zwieszono nad olbrzymią przepaścią. Jarno to spostrzegł i kazał zaraz usiąść wszystkim.

— Nic bardziej naturalnego nad to — rzekł — że dostajemy zawrotu głowy wobec wielkiego widoku, przed którym stajemy niespodziewanie, by równocześnie odczuć swą małość i swą wielkość. Ale też nie ma w ogóle rzetelnej rozkoszy, jeżeli się z początku nie doznaje zawrotu.

— Czy te tam, na dole, wielkie góry to te same, po których wchodziliśmy? — spytał Feliks. — Jakże małe się wydają! A tu — mówił dalej, wyjmując kawałek kamienia z wierzchołka — znowu się znajduje kocie złoto. Czy tak jest wszędzie?

— Jest tego dużo wzdłuż i wszerz — odparł Jarno. — A ponieważ pytasz o takie rzeczy, to zapamiętaj sobie, że obecnie siedzisz na najstarszej skałe, na najwcześniejszych kamieniach świata tego.

— Czyż świat nie został stworzony od razu? — spytał Feliks.

— Chyba nie — odparł Montan. — Dobra rzecz wymaga czasu.

— Tam niżej jest więc inna skała — rzekł Feliks — a tam znowu inna i wciąż to inna! — i wskazywał od gór najbliższych na coraz dalsze i aż na równinę.

Dzień był piękny i Jarno zachęcił ich do obejrzenia wspaniałego widoku w szczegółach. Tu i owdzie stało jeszcze kilka szczytów podobnych do tego, na którym się znajdowali. Przełęcz, zdawało się, chciała dorosnąć, ale daleko jej było do osiągnięcia tej wyżyny. A dalej coraz się bardziej robiło płasko, ale ukazywały się znowu dziwnie wyskakujące kształty. W końcu w dali widoczne też były jeziora i rzeki, a urodzajna okolica rozlewała się niby morze. Jeżeli się wzrok cofał, to wpadał w okropne głębie, wodospadami szumiące, splątane ze sobą jak labirynt.

Feliks niezmordowany był w pytaniach, a Jarno na tyle uprzejmy, że mu na każde odpowiadał; przy czym jednak zdawało się Wilhelmmowi, że nauczyciel niezupełnie i nie zawsze mówił prawdę. Kiedy więc niespokojni chłopcy dalej się wdrapywali, rzekł do swego przyjaciela:

— Z dzieckiem mówiłeś o tych rzeczach nie tak, jak mówisz o tym ze sobą.

²⁹bijak — kij służący do mlócenia. [przypis edytorski]

³⁰poręb (daw.) — miejsce wycinki drzew. [przypis edytorski]

— Za duże to wymaganie — odparł Jarno. Toż i ze sobą nie zawsze się tak mówi, jak się myśli, a obowiązkiem jest to tylko mówić innym, co inni zrozumieć mogą. Człowiek to jedynie pojmuje, co dla niego jest stosowne. Zatrzymać dzieci w chwili obecnej, przekazać im nazwę, określenie, to rzecz najlepsza, jaką zrobić można. I bez tego dość wcześnie pytają o przyczyny.

— Nie ma się co im dziwić — odparł Wilhelm. — Różnorodność przedmiotów wprawia każdego w zamęt. I jest dogodniej, zamiast ją rozwikływać, zapytać co prędzej, skąd i dokąd.

— A jednak — rzekł Jarno — ponieważ dzieci widzą przedmioty powierzchownie tylko, można z nimi o stawaniu się i o celu rozmawiać jedynie powierzchownie.

— Większa część ludzi — odpowiedział Wilhelm — przez całe życie pozostaje w tej sytuacji i nie dochodzą oni do tego wspaniałego etapu, kiedy rzecz zrozumiała wydaje się nam pospolita i głupia.

— Można go zapewne nazwać wspaniałym — odparł Jarno — gdyż jest stanem pośrednim między zwątpieniem i ubóstwieniem.

— Pozostanmy przy chłopcu — rzekł Wilhelm — który mnie przede wszystkim obchodzi. Nabral zamięłowania do kamieni, odkąd jesteście w podróży. Czy nie możesz mnie nauczyć tyle, żebym mógł mu wystarczyć, na czas jakiś przynajmniej?

— To nie uchodzi — odparł Jarno. — W każdym nowym zakresie potrzeba zaczynać jak dziecko, zająć się namiętnie jakąś sprawą, radować się najpierw łupiną, dopóki się nie poszczęści dostać do jądra.

— To powiedz mi — odparł Wilhelm — jak doszedłeś do tych wiadomości i poglądów? Boć przecież nie tak to dawno, jak żeśmy się rozstali...

— Mój przyjacielu — odrzekł Jarno — musieliśmy zrezygnować, jeżeli nie na zawsze, to na czas długi. Pierwszą rzeczą, jaka wśród takich okoliczności przychodzi na myśl dzielnemu człowiekowi, jest rozpocząć życie nowe. Nowe przedmioty nie wystarczają mu; nadadzą się one jedynie do rozerwania myśli. Wymaga on nowej całości i staje zaraz w jej środku.

— Ale po cóż zaraz — przerwał mu Wilhelm — to wszech dziwactwo, ta najbardziej samotna ze wszystkich skłonności?

— Właśnie dlatego — zawołał Jarno — że jest pustelnicza. Chciałem uniknąć ludzi. Im dopomóc nie można, a oni przeszkadzają nam w pomaganiu sobie samym. Jeśli są szczęśliwi, to trzeba ich pozostawić wśród ich niedorzeczności. Jeśli są nieszczęśliwi, to trzeba ich ratować, nie dotykając tych niedorzeczności. A nikt nigdy nie pyta, czy ty jesteś szczęśliwy lub nieszczęśliwy.

— Nie jest jeszcze tak źle z nimi — odrzekł Wilhelm, uśmiechając się.

— Nie myślę odbierać ci twego szczęścia — powiedział Jarno. — Idź tylko dalej, ty nowy Diogenesie³¹! Nie daj zgasnąć swej lampce w dzień jasny! Tam, z drugiej strony, leży świat nowy przed tobą, ale założyłbym się, iż w nim tak samo się dzieje jak w starym poza nami. Jeżeli nie możesz rajfurować³² i długów płacić, to na nic się wśród nich nie zdasz.

— Wydają mi się to jednak bardziej zajmujące — odrzekł Wilhelm — niż twoje nieruchome skały.

— Wcale nie — odparł Jarno — gdyż tych przynajmniej pojąć nie można.

— Szukasz wybiegu — powiedział Wilhelm — bo to wcale nie po twojemu zajmować się rzeczami, które nie dają żadnej nadziei, żeby mogły być pojęte. Bądź szczerzy i powiedz mi, coś znalazł w tym zimnym i stężalym amatorstwie.

— Trudno to powiedzieć o jakimkolwiek hobby, a zwłaszcza o tym.

Potem, namyśliwszy się chwilę, rzekł:

— Litery są zapewne piękną rzeczą, a jednak wcale nie są przydatne do wyrażania tonów. Bez tonów nie możemy się obejść, ale zupełnie niedostateczne są one do wygłoszenia istotnej myśli. W końcu przyklejamy się do litery i tonu, i wcale nam z tym nie

³¹ *Diogenes* a. *Diogenes* z *Synopy* (ok. 413–ok. 323 p.n.e.) — grecki filozof, przedstawiciel szkoły cyników; wg znanej opowieści Diogenes chodził w dzień po mieście z zapaloną latarnią, a zapytany o powód odrzekł, że szuka człowieka, toteż „latarnia Diogenesa” stała się symbolem niewiary w istnienie prawdziwego człowieczeństwa. [przypis edytorski]

³² *rajfurować* a. *rajfurzyć* (daw.) — być stręczycielem. [przypis edytorski]

lepiej, niż gdybyśmy zgoła ich nie mieli. Czego sami udzielamy, co nam przekazują, jest to zawsze tylko rzecz najpospolitsza, niewarta wcale trudu.

— Chcesz mi się wymknąć — rzekł przyjaciel — bo jakież to ma związek z tymi skalami i rysami?

— A gdybym ja — odparł tamten — właśnie te rysy i wyrwy traktował jako litery i starał się je odcyfrować, tworzyć z nich wyrazy i nauczył się biegle je czytać? Miałbyś coś przeciwko temu?

— Nie, ale wydaje mi się to rozległym abecadłem.

— Mniejszym, niż sądzisz. Potrzeba się go tylko nauczyć, jak każdego innego. Natura ma jedno tylko pismo i nie potrzebuję zaprzętać sobie głowy tak wieloma bazgrota³³. Tu nie mam obawy, jak to się zdarza, kiedy się długo i z zamiłowaniem namęczył nad pergaminem, żeby przyszedł bystry krytyk i zapewnił mnie, że to wszystko jest podrobione.

Uśmiechając się, odparł przyjaciel:

— A jednak i tutaj twoje sposoby odczytania mogą być zakwestionowane.

— Właśnie dlatego — odrzekł tamten — z nikim o tym nie mówię i nie chcę też z tobą, dlatego właśnie, że cię kocham, handlować dalej głupią materią pustych słów i wymieniać ją zwodniczo.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obaj przyjaciele, nie bez baczności i trudu, zeszli na dół, by się dostać do dzieci, które się rozłożyły w miejscu cienistym. Prawie z większym zapalem wypakowane zostały przez Montana i Feliksa zebrane kamienie niż zapasy żywności. Drugi miał dużo pytań na ustach, pierwszy dużo odpowiedzi. Feliks cieszył się, że tamten zna nazwy wszystkich i zatrzymywał je szybko w pamięci. W końcu wydobył jeszcze jeden i zapytał:

— A jakże się ten nazywa?

Montan patrzył nań ze zdziwieniem i rzekł:

— Skądże go macie?

Fitz odpowiedział pośpiesznie:

— Ja go znalazłem, on jest z tego kraju.

— On nie z tej okolicy — odparł Montan.

Fitz cieszył się, widząc pewne wątpliwości u bardziej znającego się na rzeczy człowieka.

— Dostaniesz dukata — rzekł Montan — jeśli mnie zaprowadzisz w miejsce, gdzie on się znajduje.

— Łatwo go zarobić — odparł Fitz — ale nie zaraz.

— To określ mi dokładnie miejsce, żebym je odszukał na pewno. Ale to rzecz niemożliwa, bo to jest kamień krzyżowy, pochodzący od św. Jakuba³⁴ w Composteli³⁵. Zgubił go jakiś cudzoziemiec, jeżeliś go nie zwędził dlatego, że tak dziwnie wygląda.

— Dajcie swego dukata — rzekł Fitz — towarzyszowi podróży do przechowania, a ja wyznam otwarcie, skąd mam kamień. W zrujnowanym kościele św. Józefa znajduje się również zrujnowany ołtarz. Pomiędzy jego rozpadłymi, górnymi kamieniami odkryłem warstwę tej skały, która służyła tamtym za podstawę, i odłupałem z niej tyle, ile zabrać mogłem. Gdyby się zdjęło górne kamienie, to by z pewnością wiele się jeszcze tego znalazło.

— Weź swój czerwony złoty — odrzekł Montan — zasługujesz nań tym odkryciem. Jest ono dosyć ładne. Słusznie się radujemy, kiedy natura wydaje podobieństwo tego, co kochamy i czcimy. Ukazuje się nam ona w postaci Sybilli³⁶, która z góry złożyła świadectwo tego, co od wieków było postanowione i dopiero z czasem ma się stać rzeczywistością. Na tym, jako na cudownej, świętej warstwie, wzniesli księża swój ołtarz.

³³bazgrota (daw.) — bazgranina, bazgroły. [przypis edytorski]

³⁴święty Jakub — a. Jakub Większy (zm. 43/44) — jeden z dwunastu apostołów Jezusa, męczennik i święty Kościoła katolickiego; jego szczątki znajdują się prawdopodobnie w Santiago di Compostela. [przypis edytorski]

³⁵Compostela a. Santiago di Compostela — miasto w pln.-zach. Hiszpanii, stolica regionu Galicja i znany ośrodek pielgrzymkowy. [przypis edytorski]

³⁶Sybilla — w mitologii greckiej wieszczka przepowiadająca przyszłość. [przypis edytorski]

Wilhelm, przysłuchując się czas jakiś i zauważywszy, że niejedna nazwa, niejedno określenie wracało, powtórzył poprzednio już wyrażone życzenie, żeby Montan na tyle go objaśnił, ile potrzeba było do pierwszej nauki dziecka.

— Daj temu pokój — odparł Montan. — Nie ma nic okropniejszego nad nauczyciela, który nie umie więcej nad to, co uczniowie, bądź co bądź, wiedzieć powinni. Kto chce nauczać innych, może nieraz zamilczeć rzecz najlepszą, jaką wie, ale nie powinien być na wpół uczonym.

— Ale gdzie znaleźć tak doskonałych nauczycieli?

— Znajdziesz ich bardzo łatwo — odparł Montan.

— Gdzie? — powiedział Wilhelm z pewną niewiarą.

— Tam, gdzie rzecz, której się chcesz nauczyć, jest u siebie — odrzekł Montan. — Najlepszą naukę wyciąga się z całego otoczenia. Czyż obcych języków nie uczysz się najlepiej w krajach, gdzie one są u siebie? Gdzie te tylko, a nie inne, do uszu twoich dochodzą?

— A więc ty niby — spytał Wilhelm — wśród gór osiągnąłeś ich znajomość?

— Rozumie się.

— Nie przestając z ludźmi? — zapytał Wilhelm.

— Z takimi jedynie ludźmi — odparł tamten — którzy góry znali. Tam, gdzie Pigmeje³⁷, zachęteni żyłami metalu, rozsadzają skałę, czynią dostępnym wnętrze ziemi i starają się wszelakimi sposobami dokonać najtrudniejszych zadań, tam jest miejsce, gdzie żądny wiedzy myśliciel stanąć powinien. Patrzy na pracę, działanie, stawanie się i raduje się z pomyślnego lub niepomyślnego wyniku. Co jest pożyteczne, to stanowi część tylko tego, co ważne. Aby całkowicie przedmiot jakiś posiadać, opanować, trzeba się nad nim zastanawiać dla niego samego. Mówiąc atoli o rzeczy najwyższej i ostatniej, do której wznosimy się dopiero później za pośrednictwem licznych i bogatych spostrzeżeń, widzę przed sobą chłopców, u których brzmi to zupełnie inaczej. Każdy rodzaj czynności chciałoby dziecię pochwytać, gdyż wszystko wygląda na łatwe, co jest wybornie wykonywane. Każdy początek jest trudny! To w pewnym znaczeniu jest prawdą, ale można powiedzieć ogólniej: każdy początek jest łatwy, a na ostatnie stopnie wstępuje się najtrudniej i najrzadziej.

Wilhelm, namyśliwszy się tymczasem, rzekł do Montana:

— Czyżbyś istotnie doszedł do tego przekonania, że wszystkie czynności, tak w wykonywaniu jak i w nauczaniu, rozdzielać należy?

— Nie znam nic innego ani lepszego — odparł tamten. — Co ma wykonać człowiek, to musi się od niego oddzielić jakby drugie „ja”, a jakżeby to stać się mogło, gdyby pierwsze jego „ja” nie było tym na wskroś przeniknięte?

— Uważano jednakże wykształcenie wielostronne za korzystne i konieczne.

— Może ono być takie w swoim czasie — odrzekł tamten. — Wielostronność przygotowuje tylko właściwie żywiol, w którym działać może jednostronny, otrzymawszy tym sposobem dosyć pola dla siebie. Tak, teraz jest czas jednostronności. Błogo temu, kto to rozumie i w tym duchu pracuje dla siebie i innych. W pewnych rzeczach pojmuje się to na wskroś i od razu. Wycwicz się na dzielnego skrzypka i bądź pewny, że kapelmistrz chętnie wskaże ci twoje miejsce w orkiestrze. Zrób z siebie organ i czekaj, jakie ci miejsce wyznaczy rozumnie ludzkość w życiu powszechnym. Dajmy temu pokój! Kto wierzyć temu nie chce, niech idzie swoją drogą, bo i tak niekiedy poszczęścić się może. Ale ja powiadam: służyć od dołu ku górze wszędzie jest rzeczą konieczną. Najlepiej poprzestać na rzemiośle. Dla głowy najszczuplejszej będzie to na zawsze rzemiosłem, dla lepszej sztuką, a najlepsza, robiąc jedno, robi wszystko. Albo, ażeby mniej być paradoksalnym, w tym jednym, co robi dobrze, widzi symbol wszystkiego, co się dobrze robi.

Rozmowa ta, którą szkicowo tylko podajemy, przeciągnęła się do zachodu słońca, który, jakkolwiek wspaniały, zmusił jednak towarzystwo do namysłu, gdzie też noc spędzą.

— Pod dach nie potrafiłbym was zaprowadzić — rzekł Fitz — ale jeżeli zechcecie w ciepłym miejscu u poczciwego, starego węglarza noc przesiedzieć lub przeleżeć, to proszę za mną.

³⁷Pigmeje — ludy negroidalne zamieszkujące Afrykę Środkową, charakteryzujące się niskim wzrostem. [przypis edytorski]

I tak poszli za nim wszyscy osobliwymi ścieżkami do spokojnego miejsca, gdzie się każdy niebawem miał poczuć jak u siebie.

Pośrodku pewnej ograniczonej przestrzeni leśnej wznosiła się, dymiąc i grzejąc, dobrze sklepiona węglarnia; obok chata z gałęzi jodłowych, a przy niej jasny ogieniek. Usiedli, urządzili się. Dzieci skupiły się zaraz koło żony węglarza, która gościnnością przejęta, grzała kromki chleba, by je masłem napoić i posmarować, przygotowując cudnie tłuste kawałki dla zgłodniałych łakomnisiów.

Kiedy następnie chłopcy grali w chowanego wśród zaledwie oświetlonej choiny³⁸, wyli jak wilcy, szczekali jak psy, tak że nawet odważny wędrowiec musiałby się być przestraszyć, przyjaciele rozmawiali poufnie o swoich stosunkach. Atoli do dziwnych zobowiązań pomiędzy wyrzekającymi się należało i to, że spotykając się, nie powinni byli mówić ani o przeszłości, ani o przyszłości — terażniejszość tylko miała ich zajmować.

Jarno, którego głowa pełna była przedsięwzięć górniczych i wymaganych przez nie wiadomości i uzdolnień, wykladał Wilhelmowi bardzo szczegółowo i wyczerpująco, a namiętnie, co sobie w obu częściach świata obiecuje ze względu na poznanie tej sztuki i wdrożenie się do niej. O tym jednak przyjaciel, który w sercu tylko ludzkim szukał zawsze prawdziwego skarbu, ledwie jakie takie mógł sobie wyrobić pojęcie. W końcu powiedział:

— Jesteś więc ze sobą w sprzeczności, zaczynając w starszych dopiero latach zajmować się tym, do czego od młodości trzeba się było pokierować.

— Wcale nie! — odparł tamten. — Właśnie bowiem dlatego, że w dzieciństwie, u kochającego mnie wuja, wysokiego urzędnika górniczego, byłem wychowywany, dlatego, że wyrósł wśród młodych górników, wraz z nimi po rowach górskich spuszczać łódeczki z kory, znowu powróciłem do tego koła, gdzie się czuję zadowolony i w swoim żywiole. Ten wyziew z węglarni nie może chyba tak być dla ciebie miły jak dla mnie, com przywykł od dzieciństwa wdychać go jak kadzidło. Długom szukał po świecie i wszem znajdował toż samo: w przyzwyczajeniu spoczywa jedyna błogość człowieka. Nawet nieprzyjemności, do której przywykliśmy, pozbywamy się niechętnie. Dręczyłem się raz długo raną, która się nie chciała zagoić, a kiedym w końcu wyzdrowiał, było mi nadzwyczaj niemiło, kiedy się już nie zjawiał chirurg, nie przewiązywał jej i nie jadł ze mną razem śniadania.

— Ja jednak — odparł Wilhelm — chciałbym synowi swemu zapewnić swobodniejszy pogląd na świat, niż je dać może ograniczone rzemiosło. Ograniczajcie człowieka, jak chcecie, w końcu rozejrzy się on przecież po swej epoce, a jakże ją zrozumieć zdoła, jeżeli nie wie mniej więcej, co ją poprzedziło. I czyżby nie musiał wchodzić ze zdumieniem do każdego sklepu korzennego, gdyby nie miał wcale pojęcia o krajach, skąd te nieodzowne osobliwości przybywają aż do nas?

— Po co ceremonia? — odparł Jarno. — Niech czyta gazety jak każdy filister³⁹ i niech pije kawę jak każda baba. Ale jeśli tej myśli porzucić nie możesz i jeśli tak się już uwziąłeś na doskonałe wykształcenie, to nie pojmuję, jak możesz być tak ślepy. Jak chcesz długo jeszcze poszukiwać, jak nie spostrzegasz, iż się znajdujesz tuż obok wybornego zakładu wychowawczego.

— Tuż obok? — rzekł Wilhelm, potrząsając głową.

— Naturalnie! — odparł tamten. — Cóż tu widzisz?

— Gdzie?

— Tu, na wprost nosa.

Jarno wyciągnął palec wskazujący, dając znak i wołając niecierpliwie:

— No i cóż to?

— A cóż? — rzekł Wilhelm. — Węglarnia. Ale co to ma do tego?

— No przecież, węglarnia! Jakże się postępuje, ażeby ją ułożyć?

— Kładzie się polana przy sobie i jedne nad drugimi.

— To zrobiwszy, cóż się robi dalej?

³⁸choina — tu: młody, niski las sosnowy. [przypis edytorski]

³⁹filister — człowiek ograniczony, moralnie zakłamanym i pozbawionym aspiracji; (daw.) członek korporacji akademickiej niebędący studentem. [przypis edytorski]

— Jak się zdaje — rzekł Wilhelm — chcesz mi metodą sokratyczną⁴⁰ ten honor okazać, że mi dowiedziesz, że mnie wyznać przymusisz, iż jestem niezmiernie głupi i tępy.

— Wcale nie — odrzekł Jarno. — Odpowiadaj no, przyjacielu, akuratnie na pytania. A więc! Co się dzieje, kiedy regularny stos drzewa ułożony został gęsto, a jednak przewiewnie?

— No cóż? Zapala go się.

— A kiedy już w całości zapalony, kiedy płomień przebija się przez każdą szczelinę, jakże postępują? Czy dają palić się dalej?

— Bynajmniej! Pośpiesznie murawę i ziemię, miałem węglowym i co tylko ma się pod ręką, przykrywają wydobywający się na zewnątrz płomień.

— Aby go zagaścić?

— Bynajmniej! Aby go przytłumić.

— A więc zostawiają mu tyle powietrza, ile potrzeba, żeby wszystko przeniknęło żarem, ażeby się wszystko należycie zgotowało. Wówczas zamykają każdą szczelinę, przeszkadzają wszelkiemu wybuchowi, żeby wszystko powoli samo w sobie wygasło, zwęgliło się, ochłodziło, a w końcu rozpadło, wydzieliło jako towar sprzedawany kowalowi i ślusarzowi, piekarczowi i kucharzowi, a wysłużwszy się dostatecznie na korzyść i pożytek kochanego chrześcijaństwa, zostało zużyte jako ług przez praczek i fabrykantów mydła.

— No — odpowiedział Wilhelm, śmiejąc się — zastosowawszy to porównanie do siebie, jakże ty wyglądasz?

— Nietrudno na to odpowiedzieć — odrzekł Jarno. — Uważam się za stary kosz, szczelnie napełniony bukowymi węglami. Przy tym pozwalam sobie na to dziwactwo, żeby się spalać tylko dla siebie samego. Z tego też powodu wydają się ludziom bardzo dziwaczny.

— A mnie — rzekł Wilhelm — jakżebyś mnie określił?

— Teraz zwłaszcza — odpowiedział Jarno — patrzę na ciebie jak na kij podróżny, mający tę dziwną własność, że się zieleni w każdym kącie, gdzie go się wetknie, ale nigdzie nie zapuszcza korzeni. A teraz rozprowdź sobie dalej to porównanie i naucz się rozumieć, jeśli nie potrafi z ciebie nic zrobić ani leśnik, ani ogrodnik, ani węglarz, ani stolarz, ani żaden rzemieślnik.

W trakcie tej rozmowy dobył Wilhelm, nie wiadomo na jaki użytek, z zanadru coś, co wyglądało na wpół jak pugilares, na wpół jak sztuciec⁴¹, a co przez Montana powitane zostało jako rzecz od dawna znana. Przyjaciel nasz nie zaprzeczył, że nosi to niby jakiś fetysz z tym zabobonem, że od posiadania tegoż przedmiotu los jego w pewnym względzie zależy.

Ale co to było, nie możemy jeszcze w tym miejscu odkryć czytelnikowi. Tyle tylko powiedzieć winniśmy, że się wywiązała stąd rozmowa, której wyniki w tym się w końcu streściły, iż Wilhelm wyznał, że od dawna był już skłonny do poświęcenia się jakiemś określonym zajęciu, jakiejś istotnie pożytecznej sztuce, przypuszczając, iż Montan wystara się o to u związkowych, aby najuciążliwszy ze wszystkich warunków życia (tj. bawienia w jednym miejscu nie dłużej nad trzy dni) jak najrychlej został uchylony i aby mu dozwolone było zatrzymywać się dla osiągnięcia celu tu lub owdzie zupełnie dowolnie. Montan obiecał to sprawić, gdy Wilhelm ślubował uroczyście dążyć nieustannie do spełnienia poufnie wyrażonego zamiaru i najwierniej się trzymać raz obranego przedsięwzięcia.

Omawiając to wszystko poważnie i wciąż sobie odpowiadając, oddalili się od swego noclegu, gdzie się powoli zebrało dziwnie podejrzone towarzystwo. O świcie wyszli z lasu na polankę, gdzie spotkali trochę zwierzyny, która wiele przyjemności sprawiła szczególnie Feliksowi, radośnie wszystko przyjmującemu. Przygotowano się do rozstania, gdyż ścieżki tutaj rozchodziły się w rozmaite strony świata. Rozpytywano Fitza o rozmaite kierunki, ale ten wydawał się roztargniony i wbrew zwyczajowi swemu dawał odpowiedzi splecione.

— W ogóle jesteś nicponiem — rzekł Jarno. — Tych ludzi, co tej nocy w koło nas obsiedli, znałeś wszystkich. Byli tam drwale i górnicy, to mogło uchodzić, ale ostatnich uważam za przemytników, za kłusowników. A ten wysoki, co na samym końcu przyszedł,

⁴⁰metoda sokratyczna — przypisywany Sokratesowi specyficzny sposób prowadzenia dialogu, mający na celu wydobyć prawdę. [przypis edytorski]

⁴¹sztuciec — tu zapewne chodzi o instrument chirurgiczny, lancet albo skalpel. [przypis edytorski]

co wciąż znaki na piasku robił, a którego inni traktowali z niejakim poważaniem, był pewnie kopaczem skarbów, z którym potajemnie się znośisz.

— To wszystko pocziwi ludzie — dał się na to słyszeć Fitz. — Żyją nędznie, a jeżeli robią kiedy coś, czego inni zabraniają, toć przecież to biedacy, którzy sami sobie dawać muszą pozwolenie, aby tylko wyżyć.

Widząc przygotowania przyjaciół do rozstania się, mały łotrzyk zamyślił się poważnie. Coś sobie po cichu rozważał, gdyż wahał się, za którym z dwóch oddziałów pójść ma. Obrachował swe korzyści. Ojciec i syn szli lekkomyślnie ze srebrem, Jarno zaś ze złotem; tego nie opuszczać poczytał za rzecz najlepszą. Pochwycił więc natychmiast nastroczającą się okazję i gdy rozstając się, Jarno rzekł do niego:

— No, jak przyjdę do św. Józefa, to zobaczę, czyś uczciwy. Poszukam kamienia krzyżowego i ołtarza.

Fitz odpowiedział:

— Nic nie znajdziecie, a ja przecież uczciwym pozostanę. Kamień jest stamtąd, ale ja wszystkie kawałki wybrałem i schowałem je tu na górze. Jest to kamień cenny, bez niego nie można dobyć żadnego skarbu. Za kawałeczki małe płacą mi bardzo drogo. Miałeś pan słuszność, stąd poszła moja znajomość z owym chudym człowiekiem.

Nastąpiły nowe układy. Fitz zobowiązał się dostarczyć Jarnie, za jednego jeszcze dukata, potężny kawał tego rzadkiego kruszcu i to w niewielkiej odległości. Odradzał natomiast wycieczki do olbrzymiego zamku. Ponieważ jednak Feliks obstawał przy tym, zalecił tragarzowi, ażeby nie pozwolił podróżnym zapuszczać się zbyt głęboko, gdyż nikt by nigdy się nie wydostał z tych dziur i przepaści. Rozstano się, a Fitz obiecał spotkać się z nimi w czasie właściwym w salach olbrzymiego zamku.

Tragarz szedł naprzód, ci dwaj za nim. Ale zaledwie tamten uszedł trochę w górę, gdy Feliks zauważył, że nie idzie się drogą, którą wskazał Fitz. Tragarz atoli odpowiedział:

— Muszę to chyba lepiej wiedzieć, bo dopiero w tych dniach gwałtowna burza zniszczyła najbliższy pas lasu. Na krzyż zwalone na siebie drzewa tarasują tę drogę. Idźcie za mną, a zaprowadzę was, gdzie potrzeba.

Feliks skracał sobie uciążliwą ścieżkę żywymi krokami i skokami ze skały na skałę i cieszył się nabytą wiedzą, że przeskakuje z granitu na granit.

I tak posuwano się w górę, aż w końcu zatrzymano się na obalonych, czarnych kolumnach i ujrzano nagle przed oczyma zamek olbrzymi. Na samotnym szczycie sterczały ściany z kolumn; przystające do siebie kolumnady tworzyły furty przy furtach, chodniki po chodnikach.

Poważnie ostrzegął tragarz, żeby się tam nie zapuszczać, a widząc popielisko po swych poprzednikach, zajął się niecenieniem pryskającego ognia w miejscu słonecznym, dającym widok rozległy. Kiedy — wedle zwyczaju na takich odpoczynkach — zaczął przygotowywać skromną ucztę, a Wilhelm, korzystając z obszernego widoku, zaznajamiał się dokładniej z okolicą, przez którą zamyślał wędrować, Feliks zniknął. Zapewne zabłąkał się na wyżynę; nie odpowiadał na wołanie i gwizdanie i nie pokazywał się wcale.

Lecz Wilhelm, który, jak przystoi pielgrzymowi, był przygotowany na różne wypadki, dobył ze swej torby myśliwskiej kłębek szpagatu, przywiązał go starannie i powierzył się nici przewodniej, za pomocą której powziął zamiar sprowadzenia syna swego. Tak szedł naprzód i kiedy niekiedy dął w piszczałkę — przez czas długi na próżno. Ale wreszcie wydobył się z głębi świst ostry, a wkrótce potem wyjrzał Feliks na ziemię z przepaści czarnego kamienia.

— Czy sam jesteś? — szepnął ostrożnie chłopiec.

— Sam jeden! — odparł ojciec.

— Podaj mi szczapy! Podaj mi polana! — rzekł chłopiec, a dostawszy je, zniknął, wolając trwoźnie: — Nie wpuszczaj nikogo do jaskini.

Po niejakim czasie ukazał się znowu, żądając dłuższego i mocniejszego jeszcze drewna. Ojciec czekał tęsknie na rozwiązanie tej zagadki. Na koniec wyskoczył śmiało z rozpadliny i przyniósł ze sobą skrzynkę nie większą od tomu w ósemce⁴², wyglądającą wspaniale, po staremu. Zdawało się, że jest ze złota, ozdobiona emalią.

⁴²tom w ósemce a. octavo (łac.) — w typografii trzykrotnie złożony arkusz papieru, tworzący osiem kart i szesnaście stron. [przypis edytorski]

— Schowaj to przy sobie, ojczu, i nie pokazuj nikomu!

Opowiedział potem pośpiesznie, jak z tajemnego, wewnętrznego popędu wczuł się do owej rozpadliny i znalazł w dole przestrzeń na wpół jasną. Stała w niej, jak powiadał, duża, żelazna skrzynia, niezamknięta wprawdzie, ale której wieka nie można było podnieść, a uchylić się ledwie dawało. Aby nią móc zawładnąć, zażądał kawałków drzewa, ażeby je już to ustawić pod wiekiem jako podpory, już to wepchnąć jako kliny. W końcu znalazł wprawdzie skrzynię pustą, ale w jednym jej rogu była owa wspaniała szkatułka. Obiecali sobie nawzajem zachować o tym głęboką tajemnicę.

Minęło południe. Zjedzono cokolwiek, Fitz nie przyszedł jeszcze według przyrzeczenia, ale Feliks, niezmiernie niespokojny, chciał zdecydowanie oddalić się z miejsca, gdzie skarb zdawał się wystawiony na roszczenia ziemskie lub podziemne. Kolumny wyglądały dla niego czarniej, jaskinie — głębiej. Obarczony był tajemnicą, posiadaniem prawowitym czy nie, pewnym czy niepewnym? Niecierpliwość pędziła go z miejsca. Sądził, że pozbędzie się troski, jeśli zmieni miejsce.

Wybrali się drogą wiodącą ku owym obszernym dobrom wielkiego posiadacza ziemskiego, o którego bogactwie i dziwactwach tyle im naopowiadano. Feliks już nie skakał jak rano i wszyscy trzej godzinami całymi szli przed siebie. Parę razy chciał obejrzeć szkatułkę. Ojciec, wskazując na tragarza, przywoływał go do porządku. To wielce pragnął, żeby Fitz nadszedł, to znowu lękał się łotryzka; to świstał, by sygnał podać, to mu żal było, że to zrobił. I tak wahanie się trwało wciąż, aż wreszcie Fitz z dala na piszczałce swej dał się słyszeć. Usprawiedliwiał ominięcie olbrzymiego zamku tym, że się spóźnił z Jarnem, że zerwanie się wiatru przeszkodziło mu. Potem wybałał dokładnie, jak im poszło wśród kolumn i jam i jak głęboko się wdarli. Feliks opowiadał mu jedną bajkę po drugiej, na wpół zuchwale, na wpół z zakłopotaniem. Spoglądał, uśmiechając się, na ojca, targał go ukradkiem i robił wszystko, by wyjawić, że ma jakąś tajemnicę i że udaje.

Dostali się wreszcie na drogę jezdną, która miała wygodnie ich zaprowadzić do owych posiadłości. Ale Fitz utrzymywał, że zna drogę bliższą i lepszą, na której tragarz nie chciał im towarzyszyć i poszedł prostym, szerokim, bitym gościńcem. Dwaj wędrowcy zaufali swawolnemu chłopakowi i sądzili, że zrobili dobrze, bo szło się stromo z góry przez las wysoko i smukło piennych modrzewi, który, stając się coraz przejrzystszy, pozwolił im w końcu oglądać najpiękniejszy majątek, jaki sobie wyobrazić można, w najsilniejszym oświetleniu słonecznym.

Wielki ogród, przeznaczony, jak się zdawało, wyłącznie na drzewa owocowe, rozciągał się wyraźnie, choć obficie zarosły drzewami, przed ich oczyma, pokrywając regularnie, w kilku działach, grunt wprawdzie w całości pochyły, ale różnorodnie to wzniesiony, to zagłębiony. Rozsianych tam było kilka domów mieszkalnych, tak że przestrzeń ta zdawała się należeć do różnych posiadaczy, chociaż, jak zapewniał Fitz, była ona własnością użytkowaną przez jednego pana. Za ogrodem widzieli krajobraz nieprzejrzany, uprawiony i roślinami pokryty. Jeziora i rzeki wyraźnie odróżnić mogli.

Spuszczali się z góry coraz bliżej, sądząc, że zaraz wejdą do ogrodu, gdy Wilhelm przystanął zdziwiony, a Fitz nie zdołał ukryć złośliwego zadowolenia. U stóp góry otwierała się przed nimi spadzista przepaść, a naprzeciwko ukazał się zakryty dotychczas mur wysoki, z zewnątrz dosyć stromy, chociaż od wewnątrz całkowicie z ziemią zrównany. Rów tedy głęboki dzielił ich od ogrodu, do którego zagłędali bezpośrednio.

— Musimy zrobić jeszcze duży zakręt — rzekł Fitz — jeżeli chcemy się dostać do gościńca, który tam prowadzi. Ale znam ja także wejście i z tej strony, którędy o wiele prędzej dojdziemy. Sklepienia, przez które woda górską w czasie deszczów wpada do ogrodu ujęta w karby, tu mają otwór. Są one dość wysokie i szerokie, żeby przejść nimi z jako taką wygodą.

Usłyszawszy o sklepieniach, Feliks nie mógł się obronić przed żądzą spróbowania tego wejścia. Wilhelm poszedł za dziećmi, zstępowali więc razem na dół po zupełnie suchych, wysokich stopniach tego sklepionego kanału. Znajdowali się to wśród jasności, to w ciemności, stosownie do tego, czy z bocznych otworów wpadało światło czy też było skryte za słupami i ścianami. Na koniec dostali się na miejsce dosyć równe i postępowali powoli, kiedy nagle w ich pobliżu padł strzał, a równocześnie dwie tajemne kraty wyskoczyły i zamknęły ich z obu stron. Ale nie całe towarzystwo — Wilhelm tylko i Feliks dostali się do niewoli. Bowiem, gdy tylko padł strzał, Fitz natychmiast odskoczył, a wy-

Niewola

skakująca krata pochwyciła jedynie szeroki jego rękaw. On sam zaś, co prędzej kaftanik zrzuciwszy, umknął, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Dwaj więźniowie zaledwie czas mieli ochłonąć ze zdziwienia, gdy usłyszeli głosy ludzkie, które zdawały się przybliżać z wolna. Wkrótce potem przystąpili uzbrojeni do kraty, z pochodniami i ciekawym spojrzeniem, jaki to połów im się dostał. Zaraz spytali, czy się poddają dobrowolnie.

— Tu nie może być mowy o poddaniu się — odparł Wilhelm. — Jesteśmy w mocy waszej. My raczej moglibyśmy spytać, czy nas zechcecie oszczędzić. Jediną broń, jaką mamy przy sobie, wręczam wam.

To mówiąc, podał swój kordelas⁴³ przez kratę. Ta się natychmiast otwarła. Poprowadzono spokojnie przybyszów ze sobą i jak gdyby kręconymi schodami wywiedzeni, znaleźli się niebawem w dziwnym miejscu. Był to obszerny, czysty pokój, oświetlony małymi okienkami znajdującymi się pod gzymsem, które — pomimo mocnych prętów żelaznych — rozlewały dosyć światła. O siedzeniach, posłaniach i o wszystkim zresztą, czego wymagać by można w skromnej jakiejś oberży, pomyślano tutaj; temu, kto się tu znalazł, wydawało się, iż mu niczego nie brak prócz wolności.

Zaraz po wejściu Wilhelm usiadł i rozmyślał nad sytuacją. Feliks natomiast, ochłonawszy z pierwszego zdumienia, wpadł w niesłychaną wściekłość. Te strome mury, te wysokie okna, te mocne drzwi, to zamknięcie, to ograniczenie — były dla niego zupełną nowością. Oglądał się, biegał wte i wewte, tupał nogami, płakał, wstrząsał drzwiami i bił o nie pięściami. Ba, byłby zapewne czaszką o nie uderzył, gdyby go Wilhelm nie pochwycił i siłą nie przytrzymał.

— Rozejrzyj się w tym zupełnie spokojnie, mój synu — zaczął ojciec — bo niecierpliwość i gwałtowność nie wyrwą nas z tego położenia. Tajemnica się wyjaśni. Albo się strasznie mylę, albo nie popadliśmy w złe ręce. Rozważ te napisy: „Niewinnemu oswobodzenie i wynagrodzenie, złąkanemu litość, winnemu karząca sprawiedliwość”. Wszystko to pokazuje nam, że te zakłady są dziełem konieczności, a nie okrucieństwa. Człowiek aż zanedo ma powodów do bronięcia się przed człowiekiem. Złego chcących jest bardzo dużo, zło czyniących niemało. Ażeby żyć, jak należy, nie dosyć jest zawsze tylko dobrodziejstwa świadczyć.

Feliks opamiętał się, ale też zaraz rzucił się na posłanie, nic już nie mówiąc i nie odpowiadając. Ojciec nie przestał i mówił dalej:

— Niech to doświadczenie, któremu ulegasz tak wcześniej i tak niewinnie, pozostanie żywym świadectwem, w jakim i w jak doskonałym urodziłeś się stuleciu. Jakaż to drogę przebyć musiała ludzkość, zanim doszła do tego, żeby nawet względem winnych być łagodną, względem przestępców wyrozumiałą, względem nieludzkich ludzką! Z pewnością byli to ludzie boskiej natury, co pierwsi tak nauczali, co życie na to poświęcili, by wykonanie tej nauki uczynić możliwym i przyspieszyć. Ludzie rzadko są uzdolnieni do piękna, częściej do dobra. Jakżeż więc wysoko musimy stawiać tych, co z wielkimi ofiarami starają się je rozwijać.

Tych pocieszająco pouczających słów, które zupełnie jasno przedstawiały cel zamknięcia na osobności, Feliks nie słyszał. Leżał w śnie najgłębszym, piękniejszy i świeższy niż kiedykolwiek, namiętność bowiem, niełatwo go zresztą opanowująca, wypchnęła całe jego wnętrze na pełne policzki. Patrząc nań z przyjemnością, stał ojciec, kiedy wszedł przystojny młodzieniec, który przyjaźnie przypatrzywszy się chwilę przybyszowi, zaczął go wypytywać o okoliczności, które go wprowadziły na niezwykłą drogę i w tę pułapkę. Wilhelm opowiedział zdarzenie całkiem po prostu, wręczył mu parę papierów, służących do wyjaśnienia jego osoby, i powołał się na tragarza, który niebawem powinien by nadejść zwykłą drogą z innej strony.

Gdy się to wszystko rozświetliło, urzędnik poprosił gościa, by poszedł za nim. Feliksa niepodobna było obudzić, podwładni ponieśli go tedy na porządnym materacu na świeże powietrze — jak niegdyś uspiętego Ulissesa⁴⁴.

Wilhelm poszedł za urzędnikiem do pięknego pokoju ogrodowego, gdzie zastawiono różne ochłody, które miał spożyć, gdy tamten udał się ze sprawozdaniem do wyższej

Dobro, Piękno, Kondycja
ludzka

⁴³kordelas — rodzaj noża myśliwskiego. [przypis edytorski]

⁴⁴Ulysses a. *Odyseusz* — w mitologii starożytnej król Itaki, bohater wojny trojańskiej, który wslawił się wieloletnią podróżą morską, pełną niezwykłych przygód. [przypis edytorski]

instancji. Gdy Feliks, obudzony się, spostrzegł nakryty stół, owoce, wino, sucharki, a zarazem swobodę drzwi otwartych, zrobiło mu się dziwnie na sercu. Wybiegł na dwór, wrócił, sądził, że wszystko mu się przyśniło. I wkrótce wobec tak dobrego pożywienia i tak przyjemnego otoczenia zapomniał o poprzednim przestępstwie i całości udręczenia — jak o śnie ciężkim wobec pogodnego poranka.

Tragarz przybył. Urzędnik wrócił z nim i z jakimś innym, w podeszłym wieku, a jeszcze uprzejmiejszym człowiekiem, a rzecz wyjaśniła się w sposób następujący: pan tego majątku, dobroczynny w wyższym znaczeniu, tak że wszystko wkoło siebie pobudzał do czynu i działalności, dawał ze swych niezmiernych szkółek, od lat wielu, pilnym i staranym kolonistom młode latorośle darmo, opieszałym za pewną cenę, a tym, którzy nimi handlować chcieli, tak samo, tylko za niższą. Ale i te dwie klasy żądały za darmo, co otrzymywali darmo godni, a ponieważ im nie ustąpiono, starali się kraść latorośle. Udawało się to im w różny sposób. Gniewało to właściciela tym bardziej, że szkółki drzewne nie tylko rabowano, ale wskutek pośpiechu i niszczone. Wyśledzono, że złoczyńcy wchodziły kanałami, i dlatego to urządzono ową pułapkę kratową z samostrzałem, który miał służyć tylko za sygnał. Młody chłopak pod różnymi pozorami kilkakrotnie pokazywał się w ogrodzie i rzecz najbardziej naturalna, iż z zuchwalstwa i złośliwości chciał prowadzić obcych drogą, którą przedtem odnalazł dla innego celu. Życzono sobie pochwycić go osobiście, tymczasem złożono jego kaftan pomiędzy inne sądowe przedmioty.

Kradzież

ROZDZIAŁ PIĄTY

W drodze do zamku nie znalazł przyjaciela naszego, ku swemu zdziwieniu, nic, co by podobne było do dawnego wirydarza⁴⁵ lub nowoczesnego parku. W prostej linii zasadzone drzewa owocowe, grzyby warzywne, wielkie kawałki zajęte przez zioła lecznicze i co tylko mogło być poczytywane za użyteczne, objął on jednym spojrzeniem na łagodnie pochylającej się płaszczyźnie. Plac, ocieniony wysokimi lipami, rozciągał się wspaniale jako przedsionek okazałego gmachu. Długa, przytykająca do niego aleja, o jednakiej drzew wysokości i piękności, dawała o każdej dnia godzinie możliwość przebywania i przechadzania się na świeżym powietrzu. Wchodząc do zamku, znalazł ściany sieni pokryte w sposób szczególny; wielkie karty geograficzne czterech części świata wpadły mu w oko. Pyszne ściany przy schodach były ozdobione również rysami państw poszczególnych, a wpuszczony do głównej sali znalazł się otoczony widokami miast najważniejszych, ujętymi z góry i z dołu krajobrazowymi odtworzeniami okolic, w których miasta te leżały. Wszystko wykonane artystycznie, tak że szczegóły wpadały wyraźnie w oczy, a zarazem dawała się dobrze zauważyć łączność nieprzerwana.

Pan domu, mały, żywy człowieczek w latach podeszłych, powitał gościa i zapytał, bez żadnego wstępu, wskazując ściany, czy mu które z tych miast nie jest znane i czy kiedyś się w nich nie zatrzymywał. O niejednym mógł przyjaciel nasz zdać teraz dostateczną relację i dowieść, że wiele miejsc nie tylko widział, ale umiał nadto zauważyć ich stosunki i właściwości.

Pan domu zadzwonił i rozkazał dać pokój obu przybyłym, a potem sprowadzić ich na wieczerzę. Tak się też stało. W dużej sali parterowej spotkały Wilhelma dwie kobiety, z których jedna rzekła do niego z wielką wesołością:

— Spotykasz tu pan małe, ale dobre towarzystwo: ja, młodsza siostrzenica, mam na imię Hersylia, a ta, starsza moja siostra, to Julka. Dwaj panowie są to ojciec i syn. Urzędnicy, których pan już znasz, to przyjaciele domu, używający wszelkiego zaufania, na jakie zasługują. Siadajmy!

Dwie kobiety wzięły Wilhelma między siebie, urzędnicy usiedli na obu rogach, a Feliks po drugiej stronie, skąd zaraz przesunął się naprzeciwko Hersylii i oka z niej nie spuszczał.

Po wstępnej rozmowie ogólnej pochwyciła Hersylia sposobność mówienia, powiadając:

— Żeby obcy tym prędzej się z nami spoufalił i wtajemniczył w naszą rozmowę, wyznać powinnam, że się u nas dużo czytuje i żeśmy się, czy to przypadkiem, czy z zamiłowania, czy nawet z ducha przeciwności, podzielili na rozmaite literatury. Stryj jest

⁴⁵wirydarz (daw.) — niewielki, cienisty ogród. [przypis edytorski]

za włoszczyzną, ta tu dama nie bierze za złe, gdy się ją ma za skończoną Angielkę, ja zaś trzymam się Francuzów, o ile są weseli i zabawni. Tu amtman-papa rozkoszuje się starożytnością niemiecką, a syn, słusznie, zwraca swe zainteresowanie do nowszej, młodszej. Według tego będziesz pan sądził, według tego brał udział, zgadzał się lub spierał; pod wszelkim względem będziesz pan pożądanym.

I w tym też duchu potoczyła się ożywiona rozmowa.

Tymczasem kierunek ognistych spojrzeń pięknego Feliksa nie uszedł bynajmniej uwagi Hersylii. Czuła się zdziwiona, pochlebiało jej to, więc mu przesyłała najsmaczniejsze kąski, które on przyjmował z radością i wdzięcznością. Wtem, gdy przy wetach⁴⁶ spojrzął ku niej ponad talerzem jabłek, zdało się jej, że w powabnych owocach dostrzega tyłuż rywali. Co pomyślała, to zrobiła! Wzięła jabłko i przez stół podała je dorastającemu awanturnikowi. Ten, pośpiesznie je chwytając, zaraz zaczął obierać. Stałe jednak wpatrując się w czarującą sąsiadkę, zaciął się głęboko w wielki palec. Krew silnie popłynęła, Hersylia przyskoczyła, zakrzętnęła się koło niego, a krew zatamowawszy, zakryła ranę plasterem angielskim. Ale chłopak objął ją i nie chciał puścić. Ruszono się gromadnie od stołu, który został sprzątnięty, i zabierano się do rozstania.

— Czytasz pan pewnie przed zaśnięciem? — rzekła Hersylia do Wilhelma. — Przyślę panu rękopis, tłumaczenie mojej ręki z francuskiego, a pan mi powiesz, czyś spotkał kiedy coś wdzięczniejszego. Występuje tu dziewczyna obłąkana! To zapewne nie byłoby szczególną zaletą, ale gdybym kiedykolwiek miała się stać wariatką, jak na to niekiedy bierze mnie chęćka, to bym nią była w taki sposób.

Pielgrzymująca wariatka

Pan Revanne, człowiek bogaty, jest posiadaczem najpiękniejszych majątków w prowincji swojej. Wraz z synem i siostrą zamieszkuje na zamku, który by godny był księcia. I rzeczywiście, kiedy jego park, wody, folwarki, rękodzielnie⁴⁷, gospodarstwo domowe wyżywiają połowę mieszkańców na sześć mil wokoło, to on — dzięki poważaniu i temu dobru, jakie czyni — prawdziwym jest księciem.

Przed kilku laty przechadzał się wzdłuż murów swego parku po gościńcu i podobało mu się wypocząć w gajku, w którym podróżny chętnie przebywa. Wysokopienne drzewa wznoszą się ponad młodymi, gęstymi zaroślami; ma się tu zabezpieczenie od wiatru i słońca. Czysto utrzymane źródło rozsyła swą wodę po korzeniach, kamieniach i murawach. Przechadzający się miał ze sobą, jak zazwyczaj, książkę i strzelbę. Starał się tedy czytać, często śpiewem ptaków, niekiedy skutek kroków wędrowca, mile odrywany i zabawiany.

Piękny poranek daleko już był posunięty, gdy jakaś młoda i miła dziewczyna ku niemu się zbliżała. Opuściła gościniec, obiecując sobie zapewne wypoczynek i orzeźwienie w chłodnym miejscu, w którym on się znajdował. Pielgrzymka o oczach najpiękniejszych w świecie i o twarzy przyjemnie ożywionej ruchem, tak dalece się odznaczała budową, chodem i przystojnością⁴⁸, iż on mimowolnie wstał ze swego miejsca i wyjrzał na gościniec, by zobaczyć orszak, jakiego się za nią spodziewał. Potem sama postać, która mu się szlachetnie ukloniła, ściągnęła znów na siebie jego uwagę; z uszanowaniem oddał jej ukłon. Piękna podróżna usiadła na skraju źródła, wzdychając, lecz słowa nie mówiąc.

— Dziwne działanie sympatii! — zawołał pan Revanne, opowiadając mi swoją przygodę — westchnieniu jej zawtórowałem po cichu. Stałem, nie wiedząc, co mam mówić lub robić. Oczu mi nie starczyło, by objąć te doskonałości. Wyciągnięta wzdłuż i wsparta na łokciu, była najpiękniejszą postacią kobiecą, jaką sobie wyobrazić było można! Trzewiki jej dały mi pochop do osobnych rozmyślań; całkowicie zakurzone wskazywały daleko przebytą drogę, a jednak jej jedwabne pończochy były tak błyszczące, jakby dopiero co wyszły spod żelazka. Podkasana suknia nie była pomięta. Włosy jej, zdało się, układane były dziś rano. Cienka bielizna, cienkie koronki; tak była ubrana, jakby na bal iść miała. Nic w niej nie wskazywało włóczęgi. A jednak była nią, ale godną pożałowania, zasługującą na uszanowanie. Na koniec skorzystałem z kilku spojrzeń, jakie na mnie rzuciła, by ją

⁴⁶wety (daw.) — deser, słodczyce. [przypis edytorski]

⁴⁷rękodzielnia (daw.) — manufaktura, zakład produkcyjny bazujący na pracy ręcznej. [przypis edytorski]

⁴⁸przystojność — w tekście bardzo często pojawia się to określenie w dawniejszym znaczeniu: zachowanie zgodne z obyczajami i zasadami dobrego wychowania, przyzwoitość *etc.* [przypis edytorski]

spytać, czy podróżuje sama. „Tak, panie, odrzekła, sama jestem na świecie”. „Jak to, miałabyś pani być bez rodziców, bez znajomych?”, zapytałam. „Tęgom nie chciała właściwie powiedzieć. Rodziców mam i dosyć znajomych, ale nie mam przyjaciół”, odpowiedziała. „Temu, mówiłem dalej, nie możesz pani z pewnością być winna. Masz pani postać, a zarazem i serce pewnie, którym daje się wiele wybaczyć”.

Poczuła ten rodzaj zarzutu, jaki krył w sobie mój komplement, a ja nabrałem dobrego wyobrażenia o jej wychowaniu. Otworzyła na mnie parę niebiańskich oczu o najdoskonalszym, najczystszy błękit, przejrzystych i błyszczących. Potem mówiła tonem szlachetnym, że nie może mieć za złe człowiekowi honorowemu, jakim się wydaję, gdy młodą dziewczynę, którą spotyka na gościńcu samą, uważa za nieco podejrzaną; że się to jej już nieraz przytrafiło, ale, chociaż jest obca, chociaż nikt nie ma prawa wypytywać jej, prosi, by wierzyć, że cel jej podróży może się pogodzić z najskrupulatniejszą uczciwością. Przyczyny, z których nikomu nie potrzebuje zdawać sprawy, zmusiły ją obnosić swe cierpienia po świecie. Zauważyła, że niebezpieczeństwa, jakich się obawiają dla płci jej, są urojone, i że cześć kobiety, nawet wśród rozbójników, wystawiona jest na szwank tylko wobec słabości serca i zasad. Zresztą chodzi tylko w tych godzinach i po takich drogach, gdzie się uważa za bezpieczną, mówi nie z każdym i bawi niekiedy dłużej w stosownych miejscach, gdzie by mogła zarobić na życie, oddając usługi, do których ją wdroszyło wychowanie.

Tu głos jej się załamał, powieki opadły. Ujrzałem kilka łez, staczających się na jej policzki.

Odparłem na to, że bynajmniej nie wątpię o dobrym jej pochodzeniu, jak i postępowaniu godnym szacunku; że żałuję tylko, iż jakaś konieczność zmusza ją do służenia, gdy się wydaje tak godna mieć służących, i że pomimo żywej ciekawości nie myślę na nią dalej nalegać. Owszem, pragnę się przekonać, zapoznając się z nią lepiej, iż wszędzie równie dbała o swą sławę, jak i o cnotę.

Słowa te zdawały się ją znowu dotykać, gdyż odpowiedziała: „Ukrywam nazwisko i ojczyznę właśnie dla sławy, która przecież, bądź co bądź, po większej części mniej zawiera rzeczywistości niż przypuszczeń. Jeżeli ofiaruję swe usługi, to pokazuję świadectwa ostatnich domów, gdzie cośkolwiek robiłam, i nie ukrywam, iż nie chcę być wypytywana o ojczyznę i rodzinę. Według tego muszą się ludzie kierować i pozostawić niebu albo słowom moim niewinność mego całego życia i mojej rzetelności”.

Tego rodzaju oświadczenia nie pozwalały wcale przypuszczać zboczenia umysłowego u pięknej awanturnicy. Pan Revanne, który nie mógł dobrze zrozumieć postanowienia bieganina po świecie, przypuszczał, że ją może chciano wydać za męża wbrew jej skłonności. Potem wpadł na myśl, że może to i rozpacz z miłości. I w dość dziwny sposób, chociaż zdarzający się nierzadko, domyślając się u niej miłości dla kogoś innego, sam się zakochał i bał się, by nie odeszła dalej. Nie mógł oczu oderwać od ślicznej twarzy, którą upiększało zielone półświatło. Jeżeli istniały kiedy nimfy, to nigdy się nie ukazała piękniejsza, wyciągnięta na murawie, a romansowy trochę charakter tego spotkania taki rozsiewał urok, iż mu się oprzeć nie zdołał.

Nie rozważając tedy rzeczy dokładnie, skłonił pan Revanne piękną nieznajomą, by się dała zaprowadzić do zamku. Nie robi wcale trudności, idzie razem z nim i przedstawia się jako osoba, której wielki świat jest znany. Przynoszą ochłody, które spożywa, bez fałszywej uniżoności z najczarowniejszym podziękowaniem. W oczekiwaniu obiadu pokazuje jej dom. Zwraca uwagę na to tylko, co zasługuje na wyróżnienie — czy to w meblach i malowidłach czy też w stosownym rozkładzie pokojów. Znajduje bibliotekę, zna dobrze książki i mówi o nich ze smakiem, a skromnie. Ani paplaniny, ani zakłopotania. Przy stole równie szlachetne i naturalne zachowanie się oraz najmiłszy ton w rozmowie. Aż dotąd wszystko jest rozsądkiem w jej rozmowie, a jej charakter wydaje się równie przyjemny jak jej postać.

Po obiedzie piękniejszą jeszcze uczynił ją pewien rys swobodny; zwracając się z uśmiechem do panny Revanne, rzecze:

— Jest moim zwyczajem płacić za obiad jakąś pracą i jeżeli brak mi pieniędzy, żądam igieł od gospodyń. Pozwól mi, pani — dodała — żebym na krosienkach pani zostawiła kwiat, byś potem, spoglądając nań, raczyła przypomnieć sobie biedną nieznajomą.

Szaleństwo, Szaleniec

Pielgrzym

Panna Revanne odparła na to, iż jej bardzo przykro, że nie ma rozciągniętego tła i że musi odmówić sobie przyjemności podziwiania jej uzdolnienia. Wówczas pielgrzymka zwróciła wzrok na klawikord.

— To splączę dług swój — rzekła — monetą wietrzną, jak to od dawna już było zwyczajem wędrownych śpiewaków.

Spróbowała instrumentu w dwu czy trzech przygrywkach, które zapowiadały rękę bardzo wprawną. Już nie wątpiono, że jest panną wysokiego rodu, obdarzoną wszystkimi przyjemnymi talentami. Z początku gra jej była żywa i świetna. Potem przeszła do tonów poważniejszych, do tonów głębokiej boleści, którą równocześnie spostrzeżono w jej oczach. Zalały się one łzami, twarz jej zmieniła się, a palce zatrzymały. Lecz nagle zdziwiła wszystkich, wyśpiewując najpiękniejszym w świecie głosem wesoło i śmiesznie pustą piosenkę. Ponieważ potem miano powód do mniemania, iż ta komiczna romanca⁴⁹ cokolwiek bliżej ją obchodzi, to wybaczą czytelnicy, iż zostanie tu załączona.

Cóż to tam w płaszczu tak się rucha,
Kiedy na wschodzie ledwie brzask?
Czyżby druh, gdy dmie zawierucha,
W zbożnej pielgrzymce szukał łask?
Któż go to kapelusza zbawił?
Miałżeby z chęci bosy bieg?
Jakże się on tu w lesie zjawił
Po górach, które kryje śnieg?

Dziwne! Z ciepłutkiego siedliska,
Gdzie lepiej bawić się chciał,
Gdyby nie wziął płaszcza z leżyska,
Jakżeby to od wstydu drgał!
Tak go ów łotr stamtąd wyprztykał
I zawiniątko mu zdjął!
Biedny druh tedy rączo zmykał
Niby Adam nagi i goł.

Po cóż szedł po takiej drożynie,
Po owo jabłko pełne zła!
Co pięknie wzrastało przy młynie,
Jako w raju jabłonka ta.
Nieprędko żart go znowu zbodzie;
Umknął z domu, bo tam mu źle;
Wybuchając na swobodzie,
Głośnie i gorzkie skargi śle:

„Zdrady w spojrzeniach jej ognistych
I głoskim nie dojrzał, o, nie;
Kochać się zdała w ogniach czystych,
A serce miała takie złe!
Czyż bo mogłem śnić w jej objęciach,
Jaki to rozbój w piersi jej!
Amora miała w swych zakłęciach,
Co nam nie skąpił łaski swej.

Miłością moją się cieszyła
Nocą, której niewidny kres,
Aż gdy ranku chwila wybiła,
Matki wezwała pośród łez.
Wtedy się tuzin wdarł pokrewnych,

⁴⁹romanca — utwór pokrewny balladzie, opiewający bohaterskie dzieje. [przypis edytorski]

Prawdziwy zalew ludzkich głów,
Więc braci i cioteczek rzewnych,
Kuzynów i stryjów też znów!

Toż było wrzasku i ryczenia!
Każdy się zdawał niby zwier.
Żądali wieńca ukwiecenia
Z krzykami i groźbami też.
«Czegóż jak wariaci godzicie
W młodzieńca, co niewinnym jest!
Boć skarbów takowych nabycie
Większej zręczności daje chrzest.

Toż Amor z tego przecie słyńie,
Iż wczas igraszek szukać rad;
I nie pozwoli stać tam w młynie
Kwiatom szesnaście długich lat!...»
I chwycili mi me ubranie
I płaszcz mój chcieli zabrać też;
Tyle plugastwa wpadło na nie
W tym ciasnym domku wzdłuż i wszecz!

Skoczyłem pewien, że przede mną
Wszystkich ich poroztrącam tam!
Spojrzałem jeszcze na nikczemną,
Ach taką piękną! — głowę łam!
Wszyscy odbiegli przed mą złością,
Wrzeszcząc niejedno słowo złe;
Z pioruną więc głosu gromkością
Porzuciłem jaskinię tę.

Jak dziew miejskich tak i wioskowych
Unikany winien być próg;
Lecz spuścież dla dam pałacowych
Rozkosze rozbierania sług!
A jeśliście spomiędzy szczywanich,
Nie znając powinności cnych:
Zmieniajcież swoich ukochanych,
Ależ bo nie zdradzajcie ich”.

Tak śpiewa on w porze zimowej,
Gdy zielonego nie ma źdźbła;
Śmiech mię bierze z rany sercowej,
Boć zasłużona rana ta;
Tak niech z każdym, co okłamuje
Szlachetną swą kochankę w dzień,
W nocy zaś zbyt śmiałym się czuje,
Włóżąc w Amora zdrożną sień.

Zastanawiało to mocno, iż się w taki sposób zapomnieć mogła, a wybryk ten mógł uchodzić za oznakę problemów z głową, która nie zawsze była jednakowa.

— Ale — mówi mi pan Revanne — i myśmy zapomnieli o wszystkich uwagach, jakie żeśmy zrobić byli mogli. Nie wiem, jak się to stało. Musiał nas przekupić nieopisany wdzięk, z jakim te żarty wypowiadała. Grała nęcąco, ale rozważnie. Palce słuchały jej w zupełności, a głos był istotnie czarujący. Skończywszy, okazała się tak pewna siebie jak przedtem. Sądziliśmy, że chciała tylko rozweselić chwile trawienia.

Wkrótce potem prosiła o pozwolenie puszczenia się w dalszą drogę, ale na moje skienienie rzekła siostra, że jeżeli nie potrzebuje się śpieszyć, a ugoszczenie nie wywołuje w niej nieupodobania, to będzie dla nas świętem widzieć ją u nas dni kilka. Myślałem o zaproponowaniu jej jakiegoś zajęcia, gdy się skłoniła do pozostania. Ale tego pierwszego i następnego dnia oprowadzaliśmy ją tylko. Ani na chwilę nie zaprzeczyła sobie. Była ona rozumem, obdarzonym wszelkimi wdziękami. Duch jej był subtelny i dobitny, pamięć tak dobrze uposażona, a serce tak piękne, że bardzo często wzbudzała w nas podziw i utrzymywała uwagę naszą w naprężeniu. Przy tym znała prawidła dobrego zachowania się i stosowała je względem każdego z nas, jak nie mniej względem kilku przyjaciół, którzy nas odwiedzali, tak doskonale, że już zgoła nie wiedzieliśmy, jak zjednoczyć owe dziwactwa z takim wychowaniem.

Rzeczywiście, nie odważyłem się już poddawać jej projektu służenia domowi naszemu. Siostra moja, która ją polubiła, uważała również za obowiązek oszczędzać wrażliwość nieznajomej. Obie razem krzątały się około spraw domowych, a tu nieraz poczciwa dziewczyna zniżala się aż do pracy ręcznej i potrafiła zaraz potem zorientować się we wszystkim, co wymagało wyższego ładu i rachunku.

W krótkim czasie zaprowadziła tu porządek, którego żeśmy do dziś dnia w zamku nie pożałowali. Była bardzo rozsądną gospodynią, a że od początku samego siadywała razem z nami i przy obiedzie, nie wycofała się bynajmniej z fałszywej skromności, ale bez skrupułu jadła z nami i dalej. Lecz nie ruszyła ani karty, ani instrumentu, póki nie zakończyła wziętych na siebie zatrudnień.

Muszę wyznać, że mnie los tej dziewczyny serdecznie zaczął wzruszać. Żałowałem rodziców, którym prawdopodobnie bardzo brakło takiej córki. Wzdychałem nad tym, że tak łagodne cnoty, że tyle przymiotów miało zmarnieć. Żyła już z nami kilka miesięcy, a ja miałem nadzieję, że zaufanie, jakim ją przejął staraliśmy się, wywoła wreszcie tajemnicę na jej usta. Jeśli to było nieszczęście, mogliśmy dopomóc. Jeśli to był błąd, to można się było spodziewać, że pośrednictwo, że świadectwo nasze, mogłyby jej wyjednać przebaczenie chwilowego omamienia. Ale wszystkie nasze zapewnienia przyjaźni, prośby nawet, okazały się nieskuteczne. Kiedy spostrzegła zamiar, iż chcemy wydobyć od niej jakieś wyjaśnienie, to się kryła poza ogólnikowe maksymy moralne, aby się usprawiedliwić, w niczym nas nie pouczając.

Na przykład, kiedyśmy mówili o jej nieszczęściu, ona odpowiadała: „Nieszczęście pada na dobrych i złych. Jest to skuteczne lekarstwo, które działa zarówno na dobre soki, jak i na złe”. Kiedyśmy usiłowali odkryć przyczynę jej ucieczki z domu rodzicielskiego, ona mówiła z uśmiechem: „Jeżeli sarna ucieka, to nie ona temu winna”. Kiedyśmy pytali, czy doznała prześladowań, odpowiadała: „Jest to losem wielu panien dobrego rodu doznać i wycierpieć prześladowania. Kto płacze z powodu obrazy, tego spotkają inne”. Ale jak się mogła zdecydować, by życie swe wystawiać na grubiaństwo tłumu albo co najmniej zawdzięczać je niekiedy jego litości? Na to śmiała się znowu, mówiąc: „Biednemu, który pozdrowia bogatego przy obiedzie, nie brak rozsądku”.

Raz, gdy się rozmowa skłaniała ku żartom, mówiliśmy jej o kochankach i zapytaliśmy, czy też nie zna zmarzniętego bohatera swojej romancy. Słowo to, pamiętam jeszcze doskonale, zdało się ją przeszywać. Wpatrzyła we mnie parę swych oczu tak poważnie i surowo, że moje nie mogły wytrzymać takiego spojrzenia. I w ogóle ilekroć potem mówiło się o miłości, to można było oczekiwać, iż się zobaczy zamięnienie wdzięku w jej zachowaniu się i żywości jej ducha. Zaraz wpadała w zamyślenie, które pocztywaliśmy za objaw gniewu, a które zapewne bólem tylko było. Pozostała jednak ogólnie pogodna, tylko bez wielkiej żywości, szlachetna bez ubiegania się o wyraz dostojności, prosta bez otwartości, zamknięta w sobie bez trwożliwości, raczej cierpliwa niż łagodna i bardziej niż serdeczna, wdzięczna za pieszczoty i grzeczności. Z pewnością była to kobieta wykształcona na to, by przewodniczyć wielkiemu domowi. A przecież nie wydawała się starsza niż lat dwadzieścia jeden.

Tak się przedstawiała ta młoda, nieodgadnięta osoba, która mną całkiem zawładnęła w ciągu dwóch lat, jakie podobało się jej u nas zabawić. Aż skończyła głupstwem, które o wiele bardziej jest osobliwe, niż były jej zalety zaszczytne i świetne. Syn mój, młodszy ode mnie, będzie się mógł pocieszyć. Co do mnie, to lękam się, czy nie będę na tyle słaby, by mi jej brakło na zawsze.

Miłość, Milczenie,
Tajemnica

Opowiem tedy o głupstwie rozsądnej kobiety, aby okazać, że głupstwo często nie bywa niczym innym, jak rozumem pod inną powierzchownością. Prawda to, że łatwo zauważyć szczególną sprzeczność pomiędzy szlachetnym charakterem pielgrzymki i komicznym podstępem, jakim się posłużyła. Ale znamy już przecież dwie jej nierówności: samo wędrowanie i piosenkę.

Jasną jest rzeczą, że pan Revanne zakochał się w nieznajomej. Zapewne nie mógł już polegać na swej pięćdziesięcioletniej twarzy, chociaż wyglądał tak świeżo i rześko jak trzydziestolatek, ale spodziewał się może podobać swoim czystym, dziecięcym zdrowiem, swoją dobrocią, pogodą, łagodnością, szlachetnością swego charakteru, a może nawet majątkiem swoim, lubo dosyć tkliwy był na to, by odczuć, że się nie kupuje tego, co nie ma ceny. Z drugiej atoli strony syn — przyjemny, czuły, ognisty — nie namyślając się dłużej od ojca, bez opamiętania rzucił się w awanturę. Z początku starał się oględnie pozyskać nieznajomą, która mu dopiero wskutek pochwał i przyjaźni ojca oraz ciotki stała się drogą naprawdę. Szczerze się ubiegał o łaskę kobiety, która namiętności jego wydała się o wiele wyższa ponad obecny stan niewiast. Jej surowość, bardziej niż jej zalety i piękność, rozplamiała go. Odważył się mówić, zabiegać, obiecywać.

Ojciec mimo woli dawał swojemu staraniu się zawsze pozór nieco ojcowski. Znał siebie, a poznawszy swego współzawodnika, nie spodziewał się go zwyciężyć, jeśliby się nie chwycił środków, które nie przystoją mężowi rządzącemu się zasadami. Mimo to szedł swoją drogą, chociaż wiedział, że dobroć, a nawet majątek, są to powaby, którym się kobieta oddaje z rozważą, ale które są zgoła nieskuteczne, skoro się ukaże miłość z urokiem i w towarzystwie młodości. Przy tym popełnił pan Revanne inne błędy, których potem żałował. Obok przyjaźni pełnej uszanowania, mówił o trwałym, tajemnym, prawowitym związku. Uskarżał się nawet i wypowiedział słowo „niewdzięczność”. Z pewnością nie znał tej, którą kochał, gdy razu pewnego rzekł do niej, że wielu dobroczyńców otrzymywało zło za dobro. Ona odpowiedziała mu po prostu, że wielu dobroczyńców chciałoby swoim pupilom odebrać wszystkie prawa za soczewicę.

Piękna nieznajoma, uwikłana w starania dwóch przeciwników, kierowana nieznany mi pobudkami, nie miała, zdaje się, innego zamiaru nad oszczędzenie sobie i innym głupstw niesmacznych, chwytając się wśród tych przykrych okoliczności dziwnego wybiegu. Syn nalegał ze śmiałością swego wieku i groził, jak zazwyczaj, że życie swoje poświęci dla nieubłaganej. Ojciec, mniej trochę nierozumny, był przecież równie natarczywy. Szczerzy byli obaj. Ta miła istota mogłaby tu była zapewnić sobie zasłużone stanowisko, gdyż obaj panowie Revanne zapewniają, iż ich zamiarem było pojęcie jej za żonę.

Atoli na przykładzie tej dziewczyny niech się nauczą kobiety, że chociażby umysł był omamiony próżnością albo rzeczywistym obłędem, to serce uczciwe nie drażni ran serdecznych, których uleczyć nie chce. Pielgrzymka czuła, że się znajduje na samym skraju, gdzie jej niełatwo będzie bronić się długo. Była w mocy dwóch kochających, którzy wszelką natarczywość mogli usprawiedliwić czystością zamiarów swoich, ponieważ chcieli zuchwałstwo swoje uprawnić związkiem uroczystym. Tak było i tak to ona zrozumiała.

Mogła się była oszańcować za panną Revanne. Zaniechała tego, bez wątpienia oszczędzając i szanując dobroczyńców swoich. Nie traci jednak pewności siebie, wymyśla środek, by każdy cnotę swą zachował, gdy ona o swojej wątpić pozwala. Obłąkana jest z wierności, na którą kochanek z pewnością nie zasługuje, jeżeli nie odczuwa tych wszystkich poświęceń, chociażby miały mu pozostać nieznane.

Dnia pewnego, kiedy pan Revanne trochę nazbyt żywo odwzajemnił przyjaźń i wdzięczność, jaką mu okazywała, nagle przybrała minę naiwną, która go zdziwiła.

— Dobroć pańska — rzekła — trwoży mnie. Niech pan pozwoli szczerze wyjawić dlaczego. Czuję to dobrze, że panu tylko wszelka ode mnie należy się wdzięczność, ale doprawdy...

— Okrutna dziewczyno! — rzekł pan Revanne — rozumiem cię. Syn mój wzruszył serce twoje.

— Ach, panie! Na tym nie koniec. Mogę tylko zmieszaniem swoim wyrazić...

— Jak to, panno, byłąś byś...

— Myślę, że tak — odrzekła, głęboko się kłaniając i łzę upuszczając, bo nigdy nie brak łez kobietom przy ich podstępach, nigdy nie brak uniewinnienia ich niewłaściwego postępku.

Kobieta, Kondycja ludzka,
Pozycja społeczna, Pozory,
Podstęp

Podstęp, Łzy

Jakkolwiek zakochany był pan Revanne, musiał przecież podziwiać ten nowy sposób niewinnej szczerości pod czepeczką matczyną i uznał ukłon za zupełnie stosowny.

— Ale, proszę pani, to dla mnie nie do pojęcia...

— I dla mnie także — odpowiedziała, a łzy popłynęły obficie.

Płynęły póty, aż pan Revanne, w zakończeniu bardzo przykrego rozmyślenia, ze spokojniejszą miną zabrał głos na nowo, mówiąc:

— To mnie oświeca! Widzę, jak śmieszne są moje wymagania. Nie robię pani żadnych wyrzutów, a jako jedyną karę za ból, jaki mi sprawiasz, obiecuję pani z jego dziedzictwa tyle, ile potrzeba, ażeby się dowiedzieć, czy on tak mocno kocha panią jak ja.

— Ach, panie! Zlituj się pan nad moją niewinnością i nic mu o tym nie mów.

Prosić o milczenie nie jest środkiem otrzymania go. Po tych krokach oczekiwała tedy piękna nieznajoma, że ujrzy swego kochanka pełnego złości i w najwyższym stopniu na nią oburzonego. Wkrótce też ukazał się ze spojrzeniem, które zapowiadało druzgocące słowa. Ale się zająknął i nie mógł nic więcej wymówić nad to:

— Jak to? Pani, czyż to możliwe?

— Cóż takiego, panie? — odrzekła z uśmiechem, który w takim położeniu może doprowadzić do rozpacz.

— Jak to co? Dajże pani pokój, piękna mi istota. Ale przynajmniej nie należałoby wydziedziczać dzieci prawowitych, wystarczy już oskarżyć je. Tak, pani, przenikam spisek jej z ojcem moim. Oboje dajecie mi syna, a to przecież mój brat, jestem tego pewny.

Z tak samo spokojnym i pogodnym czołem odpowiedziała mu piękna nieroztropna:

— Niczego pewien pan nie jesteś. To ani syn, ani brat pański. Chłopcy są złośliwi, nie chciałam ich wcale, to biedna dziewczynina, którą poprowadzę dalej, dalej, bardzo daleko od ludzi, od złych, od głupców i od niewiernych.

Potem, sercu swojemu mówić pozwalając, ciągnęła dalej:

— Bywaj pan zdrow! Bywaj zdrow, kochany panie Revanne! Z natury masz serce prawe, zachowaj zasady szczerości. One nie są niebezpieczne przy ustalonym bogactwie. Bądź pan dobry względem biednych. Kto pogardza prośbą zasmuconej niewinności, sam kiedyś prosić będzie i nie zostanie wysłuchany. Kto sobie nie robi skrupułu, gardząc skrupułem bezbronnej dziewczyny, ten stanie się ofiarą kobiet bez skrupułów. Kto nie czuje, czego doznawać musi uczciwa dziewczyna, kiedy się o nią starają, ten nie zasługuje, by ją osiągnął. Kto wbrew rozumowi, wbrew zamiarom, wbrew planowi rodziny swojej kuje projekty na rzecz swych namiętności, zasługuje na to, by nie miał owoców swej namiętności i obchodził się bez szacunku swej rodziny. Wierzę, że pan kochałeś mnie uczciwie, ale, mój kochany Revanne, kot wie dobrze, komu liże brodę. A jeżeli kiedyś będziesz ukochanym zanej kobiety, to sobie przypomnij młyn niewiernego. Naucz się pan na moim przykładzie poprzestawać na stałości i milczeniu swojej ukochanej. Pan wiesz, czy jestem niewierna, i pański ojciec wie także. Zamierzyłam przebiec świat i wystawić się na wszelkie niebezpieczeństwa. Z pewnością największe są te, które mi grożą w tym domu. Ale ponieważ jesteś pan młody, mówię więc samemu tylko panu i to w zaufaniu: mężczyźni i kobiety są niewierni tylko z własnej woli. I tego właśnie chciałam dowieść przyjacielowi z młyna, który może mnie jeszcze zobaczyć, jeżeli serce jego stanie się dość czyste, by mógł się obejść bez tego, co utracił.

Młody Revanne słuchał jeszcze, gdy ona mówić już przestała. Stał jakby rażony błyskawicą. Łzy na koniec popłynęły mu z oczu i wśród tego wzruszenia pobiegł do ciotki i do ojca, by im powiedzieć, że panna odchodzi, że panna jest aniołem, a raczej demonem, włączającym się po świecie, by dręczyć serca wszystkich.

Pielgrzymka atoli tak dobrze wszystko zaplanowała, że jej nie znaleziono. A kiedy ojciec z synem złożyli sobie wzajemne wyjaśnienia, nie wątpiono już o jej niewinności, o jej talentach i o jej obłąkaniu. Jakkolwiek pan Revanne dużo sobie od tego czasu zadawał trudu, nie powiodło mu się jednak zasięgnąć choćby najmniejszego objaśnienia co do tej pięknej osoby, która się tak ulotnie jak anioł i tak uroczo ukazała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po długim i gruntownym wypoczynku, którego wędrowcy niewątpliwie potrzebowali, wyskoczył Feliks żywo z łóżka i poszedł się ubierać. Ojcu zdawało się, że z większą niż

dotychczas dbałością — nic nie pasowało dostatecznie i nic nie było dla chłopaka dość eleganckie; życzyłby też sobie mieć wszystko nowsze i świeższe. Pobiegł do ogrodu i po drodze pochwycił coś niecoś z przekąsek, które służący przyniósł dla gości, gdyż kobiety miały dopiero godzinę potem zjawić się w ogrodzie.

Służący przywykł był zabawiać obcych i pokazywać to i owo w domu. Zaprowadził też przyjaciela naszego do galerii, gdzie wisiały i stały same portrety osób, które żyły w wieku osiemnastym — wielkie i wspaniałe towarzystwo; zarówno obrazy, jak popiersia, o ile się dało, ręki znakomitych mistrzów.

— Nie znajdziesz pan — rzekł kustosz — w całym zamku ani jednego obrazu, który by, chociaż tylko z daleka, odnosił się do religii, tradycji, mitologii, legendy lub baśni. Pan nasz chce, żeby wyobraźnia o tyle tylko była rozwijana, iżby mogła sobie uprzytomnić prawdę. „I tak dosyć bajamy — zwykł on mawiać — żebyśmy potrzebowali jeszcze zewnętrznymi, drażniącymi środkami wzmacniać tę niebezpieczną władzę”.

Na pytanie Wilhelma, kiedy mu będzie można złożyć uszanowanie, odpowiedziało wiadomością, że pan swoim zwyczajem wyjechał bardzo rano i że zwykł on mawiać: „Uwaga jest życiem!”.

— Te i tym podobne maksymy, w których się on odzwierciedla, zobaczysz pan wypisane na polach ponad drzwiami, jak oto np. zaraz tutaj natrafiamy: „*Od pożytku, przez prawdę, ku pięknu*”.

Kobiety już przygotowały śniadanie pod lipami. Feliks żartował z nimi i usiłował się odznaczyć wszelkiego rodzaju głupstwami i figlami, aby zdobyć napomnienie czy wyrzut od Hersylii. Siostry szczerością i wywnętrzaniem się usiłowały pozyskać zaufanie milczącego gościa, który im się podobał. Opowiadały o jednym zacnym krewnym, który po trzyletniej nieobecności był właśnie oczekiwany, o godnej ciotce, która niedaleko w zamku swym mieszkając, uważaną być winna za ducha opiekuńczego rodziny. W chorowitym nienickieniu ciała, w kwitnącym zdrowiu ducha malowano ją tak, jak gdyby głos niewidzialnej, pierwotnej Sybilli wypowiadał całkiem po prostu czyste, boskie słowa o rzeczach ludzkich.

Nowy gość skierował rozmowę i pytania na czas obecny. Pragnął bardzo poznać szlachetnego stryja w jego stanowczej działalności. Wspomniał o wskazanej drodze od pożytku, przez prawdę, ku pięknu i starał się te słowa wyłożyć po swojemu, co mu się udało dobrze i miało szczęście pozyskać poklask Julisi.

Hersylia, która dotychczas, uśmiechając się, zachowywała milczenie, zauważyła na to:

— My, kobiety, jesteśmy w szczególnym położeniu. Maksymy mężczyzn słyszymy wciąż powtarzane, ba, musimy je widzieć nad naszymi głowami wypisane złotymi literami. A jednak my, dziewczyny, potrafiłybyśmy w cichości powiedzieć coś odwrotnie, co by także wartość miało, jak to właśnie jest w tym wypadku. *Piękna* znajduje czcicieli, a także starających się, a w końcu i męża. Potem dowiaduje się *prawdy*, która nie zawsze bywa pocieszająca, i jeżeli jest rozsądna, to się oddaje *pożytkowi*, dba o dom i dzieci i trwa przy tym. Tak mnie przynajmniej często widzieć się zdarzało. My, dziewczęta, mamy czas obserwować, a wówczas zazwyczaj znajdujemy to, czego nie szukałyśmy.

Nadbiegł posłaniec od stryja z wiadomością, że całe towarzystwo jest zaproszone na obiad do pobliskiego domku myśliwskiego, że można jechać tam konno i powozem. Hersylia wybrała jazdę konną. Feliks prosił usilnie, żeby i jemu dano konia. Zgodzono się, żeby Julisia pojechała z Wilhelmem w powozie, a Feliks, jako paź, miał zawdzięczać pierwszy swój wyjazd na koniu dumie swego młodziutkiego serca.

Julisia jechała tedy z nowym przyjacielem przez szereg miejsc, które wszystkie wykazywały pożytek i użycie. Ba, niezliczone drzewa owocowe wzbudzały wątpliwość, czy wszystkie owoce mogą być spożyte.

— Wszedłeś pan do naszego towarzystwa przez tak dziwny przedpokój i zastałeś tu niejedną rzeczywiście osobliwość i szczególność, muszę zatem przypuszczać, iż pragnąłbyś znać łączność tego wszystkiego. Wszystko polega na duchu i myśli mego zacnego stryja. Lata dzielności męskiej tego szlachetnego człowieka przypadły na czas Beccarii⁵⁰ i Filangeriego⁵¹. Maksymy o wszech-ludzkości działały wówczas na wszystkie strony. Ale tę

⁵⁰Beccaria, Cesare (1738–1794) — włoski prawnik i pisarz polityczny, przedstawiciel humanitaryzmu prawniczego. [przypis edytorski]

⁵¹Filangeri, Gaetano (1753–1788) — włoski uczoney i prawnik, reformator oświeceniowy. [przypis edytorski]

powszechność ukształtował sobie czynny duch, poważny charakter wedle nastroju, który się całkowicie zwracał do praktyki. Nie skrywał przed nami, jak on po swojemu owo hasło liberalne: „Dla jak największej liczby ludzi co można najlepszego” zamienił na „Dla wielu co pożądane”. Największa liczba ludzi nie da się odnaleźć i nie może ona dojść, co jest najlepsze. Ale wielu zawsze jest wokoło nas; czego oni sobie życzą, dowiadujemy się; czego by życzyć sobie powinni, rozważamy. I tak, bądź co bądź, zawsze można i stworzyć, i zdziałać coś ważnego. W tym duchu wszystko — mówiła dalej — co tu pan widzisz, zostało zasadzone, zbudowane, urządzone; i to dla bliskiego, łatwo zrozumiałego celu. Wszystko to stało się na rzecz wielkiego, pobliskiego łańcucha gór. Zaczny człowiek, rozporządzając siłą i majątkiem, rzekł do siebie: „Zadnemu tam w górach dziecku nie powinno zbywać na wiśni, na jabłku, na co oni słusznie tak są łakomi. Gospodyni nie powinno brakować w garnku ani kapusty, ani rzepy, ani innej jarzyny, ażeby nieszczęsnemu spożywaniu kartofli choć jaką taką dać równowagę”. W tym duchu, w ten sposób stara się on świadczyć, do czego mu daje sposobność jego majątek, i tak to od lat kilku wyrobili się roznosiciele i roznosicielki, co do najgłębszych wązów górskich dostarczają owoce na sprzedaż.

— Ja sam rozkoszowałem się tym jak dziecko — odrzekł Wilhelm. — Tam, gdzie się czegoś podobnego zastać nie spodziewałem, pomiędzy jodłami i skałami, mniej mnie zadziwiła czysta pobożność niż orzeźwiająca, świeża owoce. Dary ducha są wszędzie u siebie, dary natury oszczędnie rozdzielono na ziemi.

— Ponadto nasz zacny pan przywiózł wiele potrzebnych rzeczy z odległych miejsc bliżej gór. W tych oto budowlach u ich stóp znajdziesz pan nagromadzoną sól i zapasy korzeni. O tytoń i wódkę pozwala on dbać innym. „To nie są potrzeby — powiada — ale zachcianki, a w tym względzie dosyć się znajdzie pośredników”.

Przybywszy na miejsce wyznaczone, do obszernej leśniczówki, towarzystwo zebrało się razem i zaraz nakryto do małego stolika.

— Siadajmy — rzekła Hersylia. — Stoi tu wprawdzie krzesło stryja, ale on z pewnością nie przyjdzie, jak zazwyczaj. W pewnej mierze miło mi, że nowy gość nasz, jak słyszę, niedługo bawić będzie między nami, gdyż mogłoby mu się sprzykrzyć poznawanie naszej grupy. Jest to rzecz wiecznie w romansach i dramatach powtarzana: dziwaczny stryj, łagodna i wesoła siostrzenica, roztropna ciotka, domownicy znanego rodzaju, a jeśliby jeszcze wrócił krewny, to by poznał fantastycznego podróżnika, który by może przyprowadziłby ze sobą jeszcze osobliwszego towarzysza. I tak by się ułożyła żalosna sztuka i w rzeczywistość zamieniła.

— Dziwactwa stryja winniśmy szanować — odparła Julisia. — Dla nikogo one nie są ciężarem, owszem, dla każdego są wygodne. Ściśle oznaczona godzina obiadu jest mu niemiła, rzadko więc jej dotrzymuje, bo jak zapewnia: „Jednym z najpiękniejszych wynalazków nowszej doby jest jedzenie z karty”.

Pośród innych szczegółów rozmowy doszli i do zamięłowania zacnego męża do umieszczenia wszędzie napisów.

— Moja siostra — rzekła Hersylia — umie je wszystkie tłumaczyć. Z kustoszem zakłada się w tej mierze. Ale ja mniemam, że można je wszystkie odwrócić i że wtedy równie będą prawdziwe, a może nawet i prawdziwsze.

— Nie przeczę — odrzekł Wilhelm — są tam rzeczy, które się same w sobie niszczyć zdają. I tak widziałem np., bardzo wydatnie napisane: „Posiadanie i dobro wspólne”. Czyż te dwa pojęcia nie znoszą się wzajem?

Hersylia przerwała:

— Napisy takie przejął, zdaje się, stryj ze Wschodu, gdzie na wszystkich ścianach zdania *Koranu*⁵² są raczej czczone niż rozumiane.

Julisia, nie dając się zbić z tropu, odpowiedziała na powyższe pytanie:

— Niech pan określi dokładniej te skąpe wyrazy, a sens natychmiast zajaśnieje.

Po kilku wtrąconych uwagach Julia objaśniała dalej, jak to rozumieć należy:

— Niech każdy stara się to posiadanie, jakiego mu natura lub los udzieliły, cenić, utrzymywać i wzmagać. Niech sięga wszystkimi uzdolnieniami swymi tak daleko, jak tylko dosięgnąć może. Ale niechaj przy tym zawsze myśli, jak też zamierza pozwolić w tym

⁵²*Koran* — święta księga islamu, powstała według tradycji muzułmańskiej w latach 610–632. [przypis edytorski]

na uczestnictwo innym; gdyż zamożni o tyle tylko bywają cenieni, o ile inni dzięki nim używają.

Kiedy się obejrzano za przykładami, znalazł się dopiero przyjaciel w swoim żywiole. Współubiegano się, prześcigano się, ażeby owe lakoniczne słowa uznać za rzetelną prawdę.

— Czemu — mówiono — czci się panującego, jeśli nie z tej przyczyny, że może każdego zaprząć do działania, dopomagać, ułatwiać mu je i jakby uczynić uczestnikiem swojej władzy absolutnej? Czemu wszyscy spoglądają na bogacza, jeśli nie dlatego, że on, najwięcej potrzeb mający, wszędzie życzy sobie uczestników w swoich zbytkach? Czemu wszyscy ludzie zazdroszczą poecie? Ponieważ natura jego czyni koniecznym udzielanie się. Ba, jest samym udzielaniem się. Muzyk jest szczęśliwszy od malarza: tamten rozdaje pożądane dary osobiście, bezpośrednio, gdy ten daje tylko wówczas, gdy dar się od niego oddzielił.

Potem mówiono w ogólności, że każdy rodzaj posiadania powinien człowiek podtrzymywać; że powinien stać się punktem środkowym, z którego wychodzić ma dobro wspólne. Musi być samolubem, ażeby nie zostać samolubem, gromadzić, ażeby mógł udzielać. Co to ma znaczyć: dawać ubogim posiadanie i dobro? Chwalebniej postępować z nimi jako rządcą. Takie jest znaczenie słów: „Posiadanie i dobro wspólne”. Kapitału nikt nie powinien naruszać, procenty w obiegu światowym i bez tego należeć już będą do każdego.

Jak się w rozwoju rozmowy okazało, zarzucano stryjowi, że mu dobra jego nie dawały takiego dochodu, jaki przynosić powinny. Odparł on na to:

— Zmniejszenie dochodu uważam za wydatek, który mi sprawia przyjemność, ponieważ przezeń ułatwiam życie innym, nie zadając sobie nawet trudu, żeby dar ten przechodził przez moje ręce. I tak wszystko powraca do równowagi.

Tym sposobem zabawiały się wcale różnostronnie panny z nowym przyjacielem, a wobec wciąż rosnącego wzajemnego zaufania, opowiadały o spodziewanym lada chwila krewnym.

— Uważamy jego dziwne zachowanie się za umówione ze stryjem. Od lat kilku nie daje nic o sobie słyszeć, przysłała milutki, pobyt jego alegorycznie wskazujące, podarunki. To znów nagle pisze z bardzo bliska, ale nie chce przybyć do nas wprzód, zanim mu nie damy wiadomości o naszym położeniu. Zachowanie się takie nie jest naturalne. Co się za tym kryje, musimy się dowiedzieć przed jego powrotem. Dziś wieczorem damy panu zeszyt listów, z których reszty domyślić się można.

— Wczoraj — dodała Hersylia — zaznajomiłam pana z obłąkaną włóczęgą, dziś dowiesz się pan o szalonym podróżniku.

— Przyznaj się wszakże — wtrąciła Julisia — że to zakomunikowanie jest nie bez zamiaru.

Hersylia pytała właśnie niecierpliwie: „A gdzie wety!”, kiedy oznajmiono, że stryj oczekuje na towarzystwo, by z nim spożyć deser w dużej altanie. Po drodze spostrzeżono kuchnię polową, w której bardzo skrzętnie zajmowano się pakowaniem brzęczących i świejących się od czystości rondli, półmisek i talerzy. W obszernej altanie zastano starego pana przy dużym, okrągłym, świeżo nakrytym stole, na który, w czasie gdy się reszta rozsiadała, wnoszono najpiękniejsze owoce, pożądane pieczywo i najlepsze słodczyce w wielkiej obfitości. Na pytanie stryja: „Co się stało dotychczas? O czym rozmawiano?”, odpowiedziała Hersylia z pośpiechem:

— Nasz dobry gość nie byłby sobie dał rady z twoimi, stryju, lakonicznymi napisami, gdyby mu nie przysłała na pomoc Julisia ze swym nieprzerwanym komentarzem.

— Masz coś zawsze do Julisi — odparł stryj. — To dzielna dziewczyna, która chce się jeszcze nauczyć czegoś i coś zrozumieć.

— Ja bym wołała o wielu rzeczach zapomnieć, które znam; a co zrozumiałam, także nie wiele to warte — odparła Hersylia wesoło.

Potem zabrał głos Wilhelm i rzekł z namysłem:

— Związłe maksymy wszelkiego rodzaju umiem szanować, zwłaszcza gdy mnie pobudzają do przeniknięcia rzeczy wprost przeciwnych i do pogodzenia ich ze sobą.

— Bardzo słusznie — odpowiedział stryj — toż przecież człowiek rozumny nie miał jeszcze innego zajęcia w całym życiu swoim.

Tymczasem zasiedli się w koło stołu tak gęsto, że spóźnieni ledwie mogli znaleźć miejsce. Przyszli obaj urzędnicy, strzelec, koniuszy, ogrodnik, leśniczy i inni, których zajęcie nie od razu można było odgadnąć. Każdy miał coś z ostatniej chwili do opowiedzenia i oznajmienia, czego stary pan słuchał z zadowoleniem, a nawet wywoływał je pytaniami, świadczącymi o zainteresowaniu. W końcu jednak powstał i pożegnawszy towarzystwo, które się nie miało ruszyć, oddalił się z obydwoma urzędnikami. Owocami nasycali się wszyscy, cukierkami — młodzież (wyglądająca trochę dziko co prawda). Jeden po drugim wstawał, kłaniał się pozostałym i odchodził.

Panny, spostrzegłszy, że na to, co się działo, gość zwracał uwagę z niejakim zdziwieniem, objaśniły tę rzecz w sposób następujący:

— Widzisz pan tu znowu skutki właściwości naszego zacnego stryja. Utrzymuje on, że żaden wynalazek tego stulecia nie zasługuje na większy podziw niż to, że w restauracjach, przy osobnych stolikach, jeść można z karty. Zauważywszy to, starał się to zaprowadzić w swojej rodzinie, tak dla siebie, jak dla innych. Kiedy jest w najlepszym humorze, lubi żywo przedstawiać okropności obiadu rodzinnego, gdzie każdy z członków siada, odrębnymi myślami zajęty, słucha niechętnie, mówi z roztargnieniem, milczy ospale, a jeżeli jeszcze nieszczęście sprowadzi małe dzieci, to chwilową pedagogiką wywołuje najprzykrzejszy rozstrój. „Niejedno złe trzeba znosić, mówił on, od tego potrafiłem się oswobodzić”. Rzadko się ukazuje przy naszym stole i przysiada na krzesło, które nań czeka puste, na chwilę tylko. Swoją kuchnię polową zawsze wozi ze sobą; je zazwyczaj sam, a inni niech się troszczą o siebie. Ale kiedy już ofiaruje śniadanie, wety lub jakie ochłody, to się gromadzą wszyscy domownicy i spożywają, co zastawiono, jak żeś to pan widział. Sprawia mu to przyjemność, ale niech nikt nie przychodzi, kto nie przynosi z sobą apetytu. Każdy, co się już nasycił, wstać powinien. Tym sposobem upewnia się, że zawsze jest otoczony przez używających. „Jeżeli się chce zabawić ludzi, słyszałam jego słowa, to trzeba się starać dać im to, czego rzadko albo nigdy nawet dostąpić nie mogą”.

W drodze powrotnej niespodziewany wypadek zmącił nieco nastrój towarzystwa. Hersylia rzekła do jadącego obok niej Feliksa:

— Patrz no tam, jakie to kwiaty? Pokrywają one całą słoneczną stronę pagórka. Nigdy ich jeszcze nie widziałam.

Feliks spał natychmiast konia, skoczył z kopyta i wracając, powiewał z dala całym pękiem kwitnących koron, gdy nagle zniknął wraz z koniem. Wpadł do rowu. Zaraz oddzieliło się od towarzystwa dwóch jeźdźców, pędzących ku owemu miejscu.

Wilhelm chciał wsiąść, ale Julisia nie pozwoliła.

— Pomoc jest już przy nim — rzekła — a prawo nasze w takich wypadkach nakazuje, żeby z miejsca ruszał tylko pomagający.

Hersylia zatrzymała konia.

— Tak jest — powiedziała — lekarzy rzadko się potrzebuje, chirurgów co chwila.

Już Feliks pędził naprzód z obwiązaną głową, trzymając kwitnącą zdobycz i wysoko ją podnosząc. Z zadowoleniem z siebie wręczył bukiet swej pani, a Hersylia dała mu w zamian lekką, różnobarwną chusteczkę na szyję.

— Biała opaska nie jest ci do twarzy — rzekła — ta będzie wyglądała weselej.

I tak wrócili do domu — uspokojeni wprawdzie, lecz czulej nastroszeni.

Było już późno. Rozstano się z przyjazną nadzieją jutrzejszego zobaczenia się. Ale zamieszczona poniżej korespondencja zatrzymała przyjaciela naszego jeszcze parę godzin na rozmyślach i czuwaniu.

Leonard do ciotki

„Na koniec, po trzech latach, odbierasz pierwszy list ode mnie, kochana ciotko — stosownie do naszej umowy, która, zaiste, dosyć była dziwna. Chciałem świat widzieć i oddać mu się i chciałem na ten czas zapomnieć o swym kącie rodzinnym, z którego wychodziłem, do którego wrócić się spodziewałem. Chciałem zatrzymać wrażenie całości, a szczególności nie miały mnie uwodzić w dal. Tymczasem nieodzowne oznaki życia chodziły w tę i ową stronę. Ja otrzymałem pieniądze, a drobne dary dla moich najbliższych wręczone ci zostały do rozdziału. Po nadesłanych towarach mogłaś widzieć, gdzie i jak przebywam. Po winach wysmakował pewnie mój stryj każdorazowy mój pobyt, a ko-

Jedzenie, Uczta, Obyczaje

List

ronki, drobiażdżki, wyroby stalowe oznaczyły dla kobiet drogę moją przez Brabancję⁵³ na Paryż i do Londynu. Tak więc na waszych biurkach, stolikach do roboty i do herbaty, w waszych negliżach i sukniach odświętnych znajdę ślad niejednego, do którego mogę nawiązać opowiadaniem o swoich podróżach. Towarzyszyłaś mi, nie słysząc o mnie, a może nie jesteś nawet ciekawa dowiedzieć się czegoś więcej. Dla mnie natomiast niezmiernie potrzebną jest rzeczą za pośrednictwem dobroci twojej posłyszeć, co też się dzieje w kółku, do którego wejść znowu zamyślam. Chciałbym rzeczywiście z obczyzny przybyć jako obcy, który, aby się stać miłym, wpierw się wywiada, czego też w domu chcą i co lubią, i nie wyobraża sobie, żeby go przyjąć należało takim, jak jest, dla jego pięknych oczu albo włosów.

Napisz mi tedy o dobrym stryju, o lubych siostrzenicach, o sobie samej, o naszych krewnych, bliższych i dalszych, a nawet o dawnych i nowych służących. Słowem, pozwól swemu wprawnemu pióru, któregoś dla swego siostrzeńca tak dawno nie zamaczała, pobiegać na jego rzecz po papierze. Twój list informujący będzie zarazem dla mnie wierzitelnym, z którym się zgłoszę, skoro go tylko odbiorę. Od ciebie zatem zależy widzieć mnie w swoich objęciach. Zmieniamy się o wiele mniej, niż sądzimy, a i stosunki pozostają po większej części podobne do siebie. Nie to, co się zmieniło, ale co zostało, co powoli zwiększało się i zmniejszało, chcę poznać od razu i zobaczyć się w znajomym mi zwierciadle. Pozdrów serdecznie wszystkich naszych i wierz mi, że w dziwnym sposobie oddalenia się i powracania mego tyle zawiera się ciepła, ile go czasami nie ma w ustawicznym współludzianiu i żywej wymianie uczuć. Tysiąc pozdrowień wszystkim razem i każdemu z osobna!”

Dopisek

„Nie omieszkaj też, najdroższa ciotciu, zamieścić słówka o ludziach zajmujących się naszymi interesami. Co się dzieje z naszymi urzędnikami i dzierżawcami? Co się stało z Waleryną, córką dzierżawcy, którego stryj na krótko przed moim odjazdem wypędził (słusznie wprawdzie, ale, jak mi się zdaje, z pewną szorstkością)? Widzisz, pamiętam jeszcze niejedną okoliczność; wiem jeszcze wszystko. Z przeszłości będziesz mnie egzaminowała, jeżeli mnie o terażniejszości powiadomisz”.

Ciotka do Julisi

„Na koniec, kochane dzieci, list od trzyletniego milczka! Jakże dziwni są dziwni ludzie! On mniema, że jego towary i znaki równie są dobre jak jedno dobre słowo, jakie przyjaciel przyjacielowi powiedzieć lub napisać może. Wyobraża sobie istotnie, że dał zaliczkę, i chce, żebyśmy ze swej strony dostarczyli naprzód tego, czego on odmówił tak twardo i nieuprzejmie. Cóż zrobimy? Co do mnie, zaraz bym w długim liście spełniła życzenia jego, gdyby się nie był zjawił ból głowy, który mi tę oto stronicę ledwie do końca dopisać pozwala. Wszyscy widzieć go pragniemy; zajmijcie się, moje kochane, tą sprawą. Jeżeli ozdrowię, zanim ją skończycie, to dołączę swoją pisaninę. Wybierzcie sobie osoby i stosunki, które byście najchętniej mu opisywały. Podzielcie się nimi. Wy zrobicie to wszystko lepiej ode mnie. Posłaniec przyniesie przecież od was słóweczko?”

Julisia do ciotki

„Zaraz żeśmy odczytały, rozważyły i przez posłańca ślemy swoje zdania — każda z osobna — zapewniwszy najprzód razem, że nie jesteśmy tak pobłażliwe jak nasza droga ciotka względem zawsze pieszczonemu siostrzeńcu. Kiedy on przez trzy lata trzymał karty swoje przed nami zakryte i dotąd jeszcze je zakryte trzyma, my mamy swoje rozłożyć i grać w grę otwartą przeciw utajonej. Co wcale nie uchodzi, ale mniejsza z tym, gdyż najrzęczniejszy nawet często się oszukuje, właśnie dlatego, że się zanadto ubezpiecza. Nie zgadzamy się jedynie, co i w jaki sposób przesłać mu mamy. Pisać, co się myśli o swoich, jest to, dla nas przynajmniej, dziwne zadanie. Zazwyczaj myśli się o nich tylko w tym lub owym wypadku, jeśli komuś sprawiają szczególną przyjemność lub przykrość. Zresztą pozostawiamy się sobie samym nawzajem. Ty tylko jedna, kochana ciotko, mogłabyś to zrobić, bo masz i rozważę, i wyrozumiałość. Hersylia, która, jak wiesz, łatwo się zapala, zaraz mi pośpiesznie na poczekaniu skrytykowała całą rodzinę jak najwesielej.

List

⁵³Brabancja — historyczna kraina w zach. Europie położona obecnie na terenie Holandii i Belgii, znana z wyrobu koronek. [przypis edytorski]

Chciałabym, żeby to było na papierze, iżby nawet u ciebie, znękanego cierpieniem, wywabić uśmiech, ale nie po to, aby mu to posyłać. Moją zaś propozycją jest zakomunikować mu naszą korespondencję za te trzy lata. Niech sobie ją odczyta, jeśli ma odwagę, albo niech przybywa, by zobaczyć, gdy czytać nie chce. Twoje listy do mnie, kochana ciociu, są w największym porządku i zaraz nimi rozporządzić możesz. Z tym zdaniem Hersylia się nie zgadza. Wymawia się nieuporządkowaniem swoich papierów itd., jak ci to sama opowie”.

Hersylia do ciotki

„Chcę i muszę być bardzo krótka, kochana ciociu, bo posłaniec okazuje się niegrzecznie niecierpliwym. Uważam za nadmierną dobroć — i to całkiem niestosowną — posyłać Leonardowi listy nasze. Po co ma on wiedzieć, coś dobrego o nim powiedziały? Po co ma wiedzieć, coś złego o nim mówiły? Ażeby z tego drugiego więcej niż z pierwszego wynioskować, że jesteśmy dobre dla niego! Niech ciocia krótko go trzyma, bardzo proszę! Jest coś wyrachowanego i butnego w tym żądaniu, w tym zachowaniu się, jak to zazwyczaj robią mężczyźni, kiedy z obcych krajów wracają. Uważają pozostałych w domu zawsze za niepełnych. Niech ciocia wymówi się bólem głowy. I tak przybędzie, a jeżeliby nie przybył, to jeszcze trochę poczekamy. Może wtedy przyjdzie mu na myśl zainstalowanie się u nas w jakiś sposób tajemny i osobliwy, by nas poznać niepoznany. Cokolwiek by zresztą weszło w plan tak sprytnego człowieka! Byłoby to ładnie i dziwnie! To by wywołało różnorodne stosunki, które by przy tak dyplomatycznym wstąpieniu do swej rodziny, jakie teraz zamierza, nie mogłyby się wcale rozwinąć.

Posłaniec! Posłaniec! Niech ciocia lepiej pilnuje swoich starych ludzi albo niech przysła młodych. Temu nie można dogodzić ani pochlebstwem, ani winem. Zdrowia po tysiąc razy!”

Dopisek do dopisku

„Niech mi ciocia powie, czego chce kuzynek w swoim dopisku z tą Waleryną? Pytanie to zastanowiło mnie podwójnie. Jest to jedyna osoba, którą wzmiankuje imiennie. My, reszta, to siostrzenice, ciotki, zajmujący się interesami — nie osoby, ale rubryki. Waleryna, córka naszego sędziego. To piękne dziecko o blond włosach, co panu kuzynowi zaświeciło w oczy przed jego podróżą. Poszła za męża, jest dobra i szczęśliwa; tego ci mówić nie potrzebuję. Ale on nie wie o tym, tak samo zresztą jak i o nas. Nie zapomnij więc donieść mu również w dopisku, że Waleryna z dniem każdym piękniejsza się stawała i stąd zrobiła dobrą partię, że jest żoną bogatego właściciela ziemskiego, że piękna blondynka jest zamężna. Opisz mu to dokładnie. No, ale to nie wszystko, ciociu kochana. Jak on mógł tak dobrze zapamiętać piękną blondynkę i pomieszać ją z córką lichego dzierżawcy, nieokrzesaną i hałaśliwą brunetką, co się zwała Nachodyna i nie wiadomo, gdzie się podziała. To dla mnie rzecz zgoła niepojęta i zaciekawia mnie nadzwyczajnie. Bo, jak się zdaje, pan kuzyn, chwalcący się swoją dobrą pamięcią, miesza imiona i osoby w sposób zabawny. Może on czuje ten brak i chce odświeżyć sobie za pośrednictwem opisu twojego to, co się zatarło. Niech go ciocia trzyma krótko, bardzo proszę, ale niech się stara dowiedzieć, co się dzieje z Walerynami i Nachodynami i ze wszystkimi zresztą -inami i -trynami, jakie się w jego wyobraźni zachowały, podczas gdy -isie i -ylie z niej znikły. Posłaniec, przeklęty posłaniec!”

Ciotka do siostrzenic. Dyktowane

„Po co się tak bardzo skrywać przed tymi, z którymi ma się życie spędzić! Leonard ze wszystkimi dziwactwami swymi zasługuje na zaufanie. Posyłam mu oba wasze listy — z nich pozna was, a mam nadzieję, że my, inni, nieświadomie skorzystamy z okazji, by mu się tak samo jak najprędzej przedstawić. Bywajcie zdrowi! Cierpię bardzo”.

Hersylia do ciotki

„Po cóż tak bardzo ukrywać się przed tymi, z którymi się życie spędza! Leonard jest rozpieszczonym siostrzeńcem. To okropne, że mu listy nasze posyłasz. Z nich on nas nie pozna, a ja pragnę jedynie okazji, by mu się jak najprędzej z innej strony przedstawić. Ciocia innym sprawia dużo cierpień, sama cierpiąc i ślepo kochając. Szybkiej ulgi w twych cierpieniach. Miłości twojej uleczyć niepodobna”.

Ciotka do Hersylii

„Ostatni twój bilecik byłabym zapakowała z innymi dla Leonarda, gdybym była w ogóle pozostała przy projekcie, który mi podsunęła nieuleczona skłonność, cierpienia moje i dogodność. Listy wasze nie zostały wysłane”.

Wilhelm do Natalii

„Człowiek jest istotą towarzyską, rozmowną. Wielką mu sprawia rozkosz, gdy posługuje się zdolnościami, któremu są dane, chociażby nawet nic przy tym nie osiągał. Jakże często skarżą się w towarzystwie, że jeden drugiemu nie daje przyjść do słowa, a podobnie można powiedzieć, że jeden drugiemu nie dałby przyjść do pisania, gdyby pisanie nie było zazwyczaj zajęciem, które samemu i samotnie praktykować trzeba.

Ile piszą ludzie, o tym nie ma się zgoła pojęcia. O tym, co z tego bywa drukowane, nie chcę wcale mówić, chociaż i tego już dosyć. Ale ile to listów i zawiadomień, historii, anegdot, opisów współczesnego położenia ludzi poszczególnych w korespondencji dłuższej i krótszej krąży po cichu — o tym można sobie wyrobić niejaki wyobrażenie, kiedy się czas jakiś żyje, jak ja obecnie, wśród rodzin wykształconych. W sferze, w której się teraz znajduję, prawie tyle spędza się czasu na komunikowaniu krewnym i przyjacielom tego, czym się kto zajmuje, ile się czasu na samo to zajęcie zużyło. Spostrzeżenie to, narzucające mi się od dni kilku, notuję tym chętniej, iż zamiłowanie moich nowych przyjaciół w pisaniu daje mi sposobność szybkiego poznania ich stosunków pod każdym względem. Ufają mi, dają mi paczkę listów, parę zeszytów dziennika podróży, wyznania umysłu, który sam ze sobą nie przyszedł jeszcze do zgody — i tak w krótkim czasie jestem wszędzie jak u siebie. Znam najbliższe towarzystwo, znam osoby, z którymi zawrzeć mam znajomość, i wiem o nich więcej niemal niż oni sami; boć oni przecież są oplątani swoim położeniem, a ja obok nich przepływam tylko, zawsze z tobą za rękę, rozmawiając z tobą o wszystkim. I to jest pierwszym warunkiem, zanim przyjmę jakieś zwierzenie, żebym się mógł nim z tobą podzielić. Tu oto kilka listów, które cię wprowadzą w kółko, w którym się obecnie kręcę, nie łamięc ani nie obchodząc mego ślubu”.

List

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bardzo wczesnym rankiem znalazł się nasz przyjaciel sam w galerii i lubował się niejedną znaną postacią. Co do nieznanych dawał mu znalezione katalogi pożądane objaśnienia. Portret, jak i życiorys, budzi sobie właściwe zainteresowanie. Mąż znakomity, którego nie można sobie wyobrazić bez otoczenia, występuje tu oddzielnie i staje przed nami jak przed zwierciadłem; jemu poświęcać musimy skupioną uwagę, musimy zajmować się nim wyłącznie, gdy on swobodnie zajęty jest sobą przed szybą zwierciadlaną. Jest to hetman, reprezentujący obecnie całe wojsko. Poza nim zarówno cesarz, jak i królowie, za których on walczy, w cień się usuwają. Stoi oto przed nami wytrawny dworzanin, jak gdyby nam się zalecał. Nie myślimy przy tym o wielkim świecie, dla którego on właściwie wykształcił się tak ujmująco. Zastanowiło następnie widza naszego podobieństwo niejednego, od dawna zgasłego, z żywym, znanym mu i na własne oczy widzianym człowiekiem — ba, podobieństwo z nim samym! I dlaczegoż by bliźnięta powstać miały z *jednej* tylko matki? Czyżby wielka matka bogów i ludzi nie mogła wydawać ze swego płodnego łona podobnych tworów równocześnie lub z pewnymi przerwami?

W końcu tedy uczuciowy obserwator sam przed sobą nie mógł zaprzeczyć, że przed oczyma jego przesuwają się niejeden obraz pociągający i niejeden obudzający obrzydzenie.

Wśród takiego rozpatrywania zastał go pan domu, z którym otwarcie rozmawiał o tych przedmiotach i którego życzliwość następnie coraz bardziej zyskiwać się zdawał. Zaprowadzony został bowiem uprzejmie do pokojów wewnętrznych przed najwyborniejsze obrazy mężów z szesnastego stulecia w całej ich rzeczywistości — jak żyli sami w sobie i dla siebie, nie przeglądając się ani w zwierciadle ani w oczach oglądającego, na sobie oparci, sobie wystarczający i oddziaływający swoim istnieniem, a nie poprzez wolę jakąś lub intencję.

Pan domu, zadowolony, że gość doskonale ocenić umiał tę tak obficie przedstawioną przeszłość, pokazał mu rękopisy niektórych osób, o których mówili poprzednio w galerii,

Portret

a w końcu nawet pozostałości, co do których miano pewność, że poprzedni właściciel posługiwał się nimi, dotykał ich.

— To jest mój rodzaj poezji — rzekł pan domu, uśmiechając się. — Wyobraźnia moja musi się oprzeć na czymś. Ledwie mogę uwierzyć, że coś istniało, czego już obecnie nie ma. O takich świętościach czasów minionych staram się dostać jak najbardziej wyraźne świadectwo, inaczej ich tu nie przyjmuję. Najsurowiej badane bywają dowody piśmienne, bo wierzę, że mnich napisał kronikę, ale temu, o czym on świadczy, wierzę rzadko.

Na koniec podał Wilhelmowi białą kartę z prośbą o kilka linijek, ale bez podpisu. Po czym gość przez drzwi tapetowe⁵⁴ wpuszczony został do sali i znalazł się u boku kustosza.

— Cieszy mnie — rzekł tenże — żeś pan podobał się naszemu panu. Już to, żeś pan wyszedł tymi drzwiami, stanowi dowód. Ale czy pan wiesz, za co go on ma? Uważa pana za pedagoga praktycznego, w chłopcu przypuszcza potomka rodu dostojnego, potomka, powierzonego kierownictwu pańskiemu, by wraz z trafnym rozumem zawczasu został wtajemniczony według zasad w świat i jego różnorodne stosunki.

— Za dużo mi robi zaszczytu — odrzekł nasz przyjaciel. — Ale nie chcę, żebym na próżno słowo to słyszał.

Przy śniadaniu, gdzie zastał już Feliksa zajętego pannami, wyraziły one przed nim życzenie, żeby, ponieważ go zatrzymać niepodobna, zechciał się udać do szlachetnej ciotki Makarii, a stamtąd może do kuzyna, by wyświetlić dziwaczne ociąganie się. Stanie się przez to zaraz członkiem ich rodziny, odda im wszystkim stanowczą przysługę i zawrze z Leonardem — bez wielkiego przygotowania — stosunek poufny.

On zaś odparł na to:

— Dokąd mnie, panie, posyłacie, udam się chętnie. Wyszędłem, by patrzeć i myśleć. U państwa więcej się dowiedziałem i nauczyłem, niż się spodziewać mogłem, i jestem przekonany, że na najbliższej, wskazanej mi drodze zauważę i nauczę się więcej, niż mogę oczekiwać.

— A ty, zręczny ladaco! Czegóż ty się nauczysz? — zapytała Hersylia, na co chłopiec odrzekł zuchwale:

— Nauczę się pisać, abym mógł przesłać ci list, i jeździć konno jak nikt, abym zawsze znów był przy tobie.

Hersylia odpowiedziała na to z namysłem:

— Z dotychczasowymi wielbicielami nigdy mi się nie szczęściło. Zdaje się, że mi następne pokolenie w najbliższym czasie to powetuje.

*

My atoli odczuwamy wraz z przyjacielem naszym, jak boleśnie zbliża się godzina rozstania, i chcielibyśmy wyrobić sobie jasne pojęcie o właściwościach jego zacnego gospodarza, o dziwactwach nadzwyczajnego męża. Aby go jednak nie osądzić fałszywie, musimy zwrócić uwagę na pochodzenie i na rozwój tej już sędziwych lat doszłej osobistości. Oto, czego żeśmy się dopytać mogli:

Dziadek jego żył jako czynny członek poselstwa w Anglii, właśnie za ostatnich lat Williama Penna⁵⁵. Wielka życzliwość, czyste zamiary, nieustanna działalność tak znakomitego męża, starcia, w które z tego powodu popadł ze światem, niebezpieczeństwa i udręczenia, pod którymi szlachetny upadać się zdawał, obudziły we wrażliwej duszy młodzieńca stanowcze zainteresowanie. Pobarał się ze sprawą i w końcu sam też wybrał się do Ameryki. Ojciec naszego pana urodził się w Filadelfii⁵⁶ i obaj chlubili się, że dopomogli w tym, iż w koloniach wyznanie religijne stało się powszechnie swobodniejsze.

Tu się rozwinęła maksyma, że naród w sobie zamknięty, zgadzający się ze sobą w obyczajach i religii, powinien się strzec wszelkiego obcego wpływu, wszelkiej przemiany; ale że tam, gdzie na świeżym gruncie chce się zwołać ze wszystkich stron członków wielu, należy zapewnić możliwie nieograniczoną aktywność przemysłową i swobodny ruch wyobrażeń moralnych i religijnych.

⁵⁴*drzwi tapetowe* — niewidoczne drzwi, bez ramy, oddzielone jedynie wąską fugą od dopasowanej ściany. [przypis edytorski]

⁵⁵*Penn, William* (1644–1718) — angielski kwakier, założyciel Pensylwanii. [przypis edytorski]

⁵⁶*Filadelfia* — miasto na płn.-wsch. wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w stanie Pensylwania. [przypis edytorski]

Religia, Wolność, Obraz
świata

Żywy pęd do Ameryki w początkach wieku osiemnastego był wielki, ponieważ każdy, kto z tej strony oceanu czuł jakąś niedogodność, po tamtej stronie spodziewał się mieć swobodę. Pęd ten podtrzymywany był nadzieją pożądaną posiadłości, jakie można było zdobyć, zanim się ludność dalej na zachód posunęła. Całe tak zwane hrabstwa były jeszcze do sprzedania na granicy osiedlonego kraju, toteż i ojciec naszego pana znaczne tam nabył majątki.

Atoli jako w synach często się objawia przeciwieństwo względem usposobienia ojca, tak się też stało i tutaj. Nasz pan domu, dostawszy się do Europy jako młodzieniec, czuł się tu zupełnie inaczej. Ta nieoceniona kultura, powstała przed kilku lat tysiącami, wzrosła, rozszerzona, przytłumiana, uciskana, nigdy całkiem niestłumiona, znowu oddychająca, znowu ożywająca i jak dawniej ukazująca się w nieskończonej różnorodności działania, przeniknęła go zupełnie innymi pojęciami, dokąd ludzkość dojść może. Wolał brać udział w wielkich, nieprzejrzanych korzyściach i raczej wśród wielkiej, prawidłowo działającej masy współdziałając zniknąć, niż tam, za morzem, spóźniwszy się o całe stulecie, grać rolę Orfeusza⁵⁷ i Likurga⁵⁸. Mówił on: „Wszędzie człowiek potrzebuje cierpliwości, wszędzie musi zachowywać względy, a ja wolę przecieżyć się ze swym królem, aby mi przyznał ten lub ów przywilej, wolę się zgodzić ze swymi sąsiadami, żeby mnie zwolnili z pewnych ograniczeń, jeśli im ustąpię z innej strony, niż się opędzać Irokezom⁵⁹, żeby ich wygnać albo oszukiwać za pomocą umów, by ich wyprzeć z ich błot, gdzie od moskitów na śmierć można być zakłutym”.

Przejął tedy majątki rodzinne; umiał się z nimi rozumnie obchodzić, ekonomicznie je urządzić, szerokie, na pozór do niczego niezdatne obszary sąsiednie roztropnie przyłączyć. I tym sposobem, w świecie ucywilizowanym, który w pewnym względzie zbyt często może być puszcza nazwany, zdobył i uprawił umiarkowaną przestrzeń, która dla ograniczonych stosunków, bądź co bądź, jest jeszcze dosyć utopijna.

Swoboda religijna jest zatem na tym obszarze naturalna. Kult publiczny uważany jest za swobodne wyznanie, iż się do łączności przyznaje na życie i śmierć, ale następnie bardzo się tego dogłąda, żeby się nikt nie odłączał.

W poszczególnych osadach spostrzega się budynki średniej wielkości. Jest to przestrzeń, jaką właściciel obowiązany jest dawać każdej gminie. Tu się schodzą najstarsi na narady, tu gromadzą się członkowie, aby wysłuchać nauki i pobożnych zachęt. Ale przestrzeń ta służy także i do radosnej zabawy — tu się odbywają tańce weselne, a dzień uroczysty kończy się muzyką.

Na to naprowadzić nas może sama przyroda. Przy pogodnym zazwyczaj stanie nieba widzimy pod tą samą lipą schodzącą się starszyznę na naradę, gminę na zbudowanie, a młodzież na taniec. Na poważnym tle życia świętość wydaje się tak piękna; powaga i świętość miarkują zabawę, a tylko dzięki umiarkowaniu się utrzymujemy.

Jeżeli gmina jest innego zdania, a dosyć można, to wolno jej różne budowle przeznaczać na różne cele.

Ale jeżeli to wszystko obliczone jest na obrzęd publiczny i ogólnie moralny, to właściwa religia pozostaje czymś wewnętrznym, ba, indywidualnym. Gdyż ona ma do czynienia z samym tylko sumieniem — to winno być obudzone i zaspokojone. Obudzone, jeśli się zachowuje niewrażliwie, nieczynnie, nieskutecznie; zaspokojone, jeśli wskutek żalosego niepokoju grozi rozgoryczeniem. Jest to bowiem nader blisko spokrewnione z troską, która w cierpieniu przejść może, jeśliśmy z własnej winy ściągnęli zło na siebie lub na innych.

Ponieważ jednak do rozmyślań, jakich rzecz ta wymaga, nie zawsze jesteśmy usposobieni, a nawet nie zawsze chcemy być pobudzeni, więc przeznaczona jest na to niedziela, kiedy wszystko, co uciska człowieka pod względem religijnym, moralnym, towarzyskim czy ekonomicznym, powinno się odezwać i przemówić.

*

⁵⁷ *Orfeusz* — w mitologii greckiej tracki śpiewak i poeta, uczestnik wyprawy Argonautów. [przypis edytorski]

⁵⁸ *Likurg* — według tradycji starogreckiej prawodawca i twórca ustroju Sparty (hipoteza obecnie raczej odrzucana przez historyków). [przypis edytorski]

⁵⁹ *Irokezi* — liga plemion Indian północnoamerykańskich. [przypis edytorski]

— Gdybyś pan pozostał z nami czas jakiś — rzekła Julisia — to by i nasza niedziela nie uprzykrzyła się panu. Pojutrze z rana zauważyłbyś pan wielką ciszę; każdy pozostaje samotny i poświęca się przepisanej rozmyślaniu. Człowiek jest istotą ograniczoną, roztrząsając ograniczenie nasze jest rzeczą poświęconą niedzieli. Jeżeli to są cierpienia cielesne, na które żeśmy w ciągu tygodniowego odurzenia może za mało uważali, to na początku nowego tygodnia powinniśmy natychmiast wezwać lekarza. Jeżeli ograniczenie nasze jest ekonomiczne czy w ogóle obywatelskie, to urzędnicy nasi są obowiązani odbyć swe posiedzenia. Jeżeli to, co nas zamracza, jest duchowej, moralnej natury, to powinniśmy się zwrócić do jakiegoś przyjaciela, do kogoś życzliwego, prosząc go o radę, o współdziałanie. Słowem, jest to prawem, iżby nikt nie przenosił na tydzień następny sprawy, która go niepokoi lub dręczy. Od uciążliwych obowiązków może nas oswobodzić tylko najsumienniejsze ich spełnianie, a czego zgoła niepodobna wykonać, pozostawiamy w końcu Bogu, jako istocie wszystko warunkującej i wszystko wyswobodzającej. Sam nawet stryj nie zaniedbuje takiej próby. Bywały wypadki, kiedy rozmawiał z nami poufnie o sprawie, której przeprowadzić w danej chwili nie potrafił. Po większej części jednak naradza się z naszą szlachetną ciotką, odwiedzając ją od czasu do czasu. Zwykł także pytać w niedzielę wieczorem, czy się ze wszystkiego należyście wypowiediano i czy wszystko załatwiono. Widzisz pan z tego, że my dokładamy starania, by nie być przyjętymi do zakonu pańskiego, do społeczności wyrzekających się.

— Porządne to życie! — zawołała Hersylia. — Jeżeli co siedem dni z czegoś zrezygnuję, to przy trzechsetnym sześćdziesiątym piątym mam to przecież w zysku.

Przed odjazdem otrzymał jeszcze przyjaciel nasz od młodszego urzędnika paczkę z dołączonym listem, z którego ustęp przytaczamy:

„Zdaje mi się jakoś, że w każdym narodzie przewodniczy inny duch, którego zadowolenie czyni jedynie naród ten szczęśliwym — i spostrzega się to nawet już w różnych ludziach. Ktoś, co ucho swoje pragnie mieć przeniknięte pełnymi, cudnie ułożonymi tonami, a przez to mieć pobudzony umysł i serce, czyż mi podziękuje, chociażbym mu najpiękniejszy obraz stawiał przed oczami? Zwolennik malarstwa pragnie patrzeć, a nie dopuści, by jego wyobraźnię pobudzał poemat lub romans. Któż jest tedy tak utalentowany, żeby mógł się rozkoszować wszechstronnie?

Ale ty, przelotny przyjacielu, takim się wydałeś. A jeżeliś potrafił ocenić wdzięk dostojnego, bogatego obłąkania francuskiego, to mam nadzieję, że nie pogardzisz także prostą, wierną uczciwością stosunków niemieckich i darujesz mi, jeżeli ja stosownie do swego nastroju i sposobu myślenia, z pochodzenia i stanowiska nie widzę powabniejszego obrazu nad ten, jaki nam przedstawia stan średni niemiecki w swoim czystym pożyciu domowym.

Przyjmij pan to i pamiętaj o mnie”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kto jest zdrajcą?

— Nie! Nie! — zawołał, wchodząc pośpiesznie i gwałtownie do wskazanego sobie pokoju i stawiając świecę. — Nie! To niepodobna! Ale dokąd się zwrócę? Po raz pierwszy myślę inaczej od niego, po raz pierwszy czuję, chcę inaczej... O mój ojcze! Gdybyś mógł tu niewidzialnie być obecnym, przenikać mnie na wskroś, to byś się przekonał, że wciąż jestem tym samym, wciąż wiernym, posłusznym, kochającym synem... Powiedzieć „Nie!”, sprzeciwić się najdroższemu, długo pieszczonemu życzeniu ojca! Jakże ja to wyjawię? Jakże ja to wyrażę? Nie, ja nie mogę ożenić się z Julią... Wypowiadając to, doznaję przerażenia. I jakże ja przed nim stanę, jak mu to odkryję, dobremu, kochanemu ojcu? Spogląda na mnie zdziwiony i milczy, wstrząsa głową; rozważny, roztropny, uczony mąż nie umie słów znaleźć. Biada mi!... O, wiedziałbym doskonale, komu powierzyć te katusze, to zmartwienie, kogo wybrać na swojego obrońcę. Spomiędzy wszystkich ciebie, Lucyndo! I tobie najprzód chciałbym powiedzieć, jak cię kocham, jak ci się oddaję i jak proszę cię błagalnie: „Wstaw się za mną, a jeśli mnie kochasz, jeśli chcesz być moja, to wstaw się za nami obojgiem”.

Ażeby jednak ten krótki, serdecznie namiętny monolog objaśnić, potrzeba będzie użyć słów sporo.

Profesor N. w N. miał jedynaka, chłopca cudnej piękności, którego do ósmego roku pozostawił staraniom żony, kobiety najzacniejszej. Ona to kierowała godziny i dni dziecka ku życiu, nauce i dobremu postępowaniu. Umarła, a w tej chwili poczuł ojciec, że tej troskliwości osobiście dalej rozwijać nie może. Dotychczas stało wszystko zgodą między rodzicami; pracowali w jednym celu, uchwalali wspólnie, co w najbliższej przyszłości robić należy, a matka umiała wszystko mądrze przeprowadzić. Podwójna tedy i potrójna była troska wdowca, który wiedział i codziennie na własne oczy widział, że nawet synom profesorów akademickich pomyślnie wykształcenie cudem tylko dostać się może.

W tym kłopotcie zwrócił się do przyjaciela swego, oberamtmana⁶⁰ w R., z którym już dawniej omówił plany ściślejszych związków rodzinnych. On potrafił doradzić i dopomóc, by syn przyjęty został do jednego z lepszych zakładów naukowych, jakie w Niemczech kwitły, a w którym dbano możliwie jak najlepiej o całego człowieka — o ciało, duszę i ducha.

Syn tedy został tam umieszczony, ale ojciec czuł się zbyt osamotniony, będąc pozabawionym małżonki i oddalonym od miłej obecności chłopca, którego widział bez własnego wysiłku tak pięknie kształconego. I tu się przydała przyjaźń oberamtmana. Odległość miejsc zamieszkania znikła wobec skłonności, wobec przyjemności ruchu, rozrywki. Tu znalazł osierocony profesor w kółku rodzinnym, również niemające matki, dwie piękne, dorastające, a odmiennie miłe, córeczki. Tu obaj ojcowie coraz to bardziej utwierdzali się w myśli, w nadziei zobaczenia kiedyś najradośniejszego połączenia swych domów.

Żyli w jednym, szczęśliwym księstwie. Zacny człowiek pewny był stanowiska swego na całe życia, a pożądanym następcą — prawdopodobny. Otóż według rozumnego planu rodzinnego i ministerialnego, miał się Lucydor przygotowywać do ważnej posady swego przyszłego teścia. I wiodło mu się to stopniowo. Niczego nie zaniedbano, by przekazać mu całą wiedzę, by w nim rozwinąć wszystkie uzdolnienia, jakich państwo potrzebuje w każdej chwili — więc było tam przestrzeganie surowego prawa sądowego i tego bardziej dowolnego, w którym roztropność i zręczność powinny towarzyszyć wykonawcy; były rachunki do użytku codziennego, nie wyłączając wyższych poglądów, ale wszystko bezpośrednio w zastosowaniu do życia, jak się tym na pewno i nieodwołalnie posługiwać należy.

W tym duchu spędził Lucydor swoje lata szkolne i został przez ojca i opiekuna przygotowany do akademii. Okazywał do wszystkiego talent niepospolity, a nadto zawdzięczał jeszcze naturze to rzadkie szczęście, że z miłości ku ojcu i z uszanowania dla przyjaciela chciał zdolności tam właśnie zwracać, gdzie mu wskazywano — zrazu wskutek posłuszeństwa, potem wskutek przekonania. Posłany został do zagranicznej akademii i tam zarówno według własnych sprawozdań, jak wedle świadectwa nauczycieli i inspektorów, szedł drogą, która go miała zaprowadzić do celu. Tego tylko nie można było chwalić, że w niektórych wypadkach okazywał się porywczo odważny. Ojciec z tego powodu kiwał głową, oberamtman mrugał. Któż by sobie nie życzył takiego syna?

Tymczasem dorastały córki, Julia i Lucynda. Młodsza — nęcąca, miła, niestała, nadzwyczaj rozmowna. Drugą trudno określić, gdyż w prostocie i czystości przedstawiała to, co uważamy za pożądane we wszystkich kobietach. Odwiedzano się wzajemnie, a Julia w domu profesora znalazła niewyczerpane przedmioty zainteresowania.

Geografia, którą umiał ożywić przez topografię, należała do jego zawodu. A gdy tylko Julia spostrzegła jeden tom, których z drukarni Homanna⁶¹ stał tam cały szereg, to zaraz wszystkie miasta były oglądane, oceniane, chwalone lub ganione. Wszystkie porty miały szczególne u niej łaski. Inne miasta, jeżeli chciały choć do pewnego stopnia otrzymać jej poklask, musiały się starannie odznaczać licznymi wieżami, kopułami i minaretami.

Ojciec zostawiał ją całymi tygodniami u wypróbowanego przyjaciela. Zyskiwała rzeczywiście na wiedzy i rozwadze i znała dosyć dobrze świat zamieszkały według zarysów głównych punktów i miejscowości. Zwracała też wielką uwagę na ubiory obcych naro-

⁶⁰oberamtman (z niem. *Oberamtmann*) — przedstawiciel wyższej administracji, w Niemczech dawniej zarządca okręgu. [przypis edytorski]

⁶¹drukarnia *Homanna* — *Homannische Offizin*(niem.), historyczne wydawnictwo niemieckie. [przypis edytorski]

Rodzina

Nauczyciel

dów, a kiedy jej opiekun pytał czasami żartem, czy spomiędzy wielu ładnych młodzieńców, co przed oknem się snuli, ten lub ów nie podoba się jej naprawdę, ona odpowiadała: „O tak, rzeczywiście, jeżeli wygląda dziwnie”. A że nasi młodzi studenci nigdy się w tym nie opuszczają, miała więc często sposobność zainteresowania się tym lub owym. Przypominała sobie na nim jakiś ubiór narodów obcych, ale w końcu zapewniała, że musiałby chyba zjawić się przynajmniej Grek, wystrojony całkiem po narodowemu, żeby mu chciała poświęcić szczególną uwagę. Z tego też powodu pragnęła być na jarmarku lipskim⁶², gdzie takich ludzi można widzieć na ulicy.

Po swych suchych, a niekiedy przykrych pracach, nie miał nasz nauczyciel chwil szczęśliwszych nad te, kiedy ją, żartując, nauczał. I przy tym tajemnie tryumfował, że sobie wychowuje tak miłą, zawsze zainteresowaną, zawsze interesującą synową. Obaj zresztą ojcowie zgodzili się na to, żeby dziewczęta nie domyślały się nawet zamiaru. Ukrywano go także przed Lucydorem.

Tak mijają lata, jak w ogóle mijają łatwo. Lucydor się zjawił, skończony, przechodząc wszystkie egzaminy, nawet ku radości wyższych przełożonych, którzy tego tylko pragnęli, aby mogli z czystym sumieniem urzeczywistnić nadzieję starych, zacnych, łaskami obsypywanych i łask godnych sług państwa.

I tak tedy sprawa ta miarowym krokiem w końcu do tego doszła punktu, że Lucydor, wzorowo się prowadząc na stanowiskach podrzędnych, miał osiągnąć właśnie wedle zasługi i życzenia korzystną posadę, położoną jakby pośrodku między akademią a oberamtmanem.

Ojciec więc powiedział synowi o Julii, o której dotychczas napomykał tylko, jako o jego narzeczonej i małżonce, nie podnosząc wcale wątpliwości ani warunków i chlubiąc się szczęściem, że przyswoił sobie taki żywy klejnot. W duchu widział swoją synową znów od czasu do czasu u siebie, zajętą mapami, planami i wizerunkami miast. Syn natomiast przypominał sobie najmiłą, wesołą istotę, która go za czasów dzieciństwa zawsze rozweselała zarówno drażnieniem, jak uprzejmością. Miał właśnie Lucydor pojechać do oberamtmana, przypatrzeć się dorosłej piękności przez kilka tygodni dla przyzwyczajenia się i zaznajomienia, żyć się z całym domem. Jeżeli młodzi, jak się spodziewano, wkrótce porozumieją się z sobą, to miano dać znać. Ojciec zjawiłby się natychmiast, aby uroczyste zaślubiny zapewniły oczekiwane szczęście na wieki.

Lucydor przybywa, zostaje przyjęty jak najprzyjaźniej, ma sobie wyznaczony pokój, urządza się i ukazuje. Oprócz znanych nam już członków rodziny, zastaje na wpół dorosłego jeszcze syna, rozpieszczonego co prawda, lecz zręcznego i dobrodusznego, tak że gdyby się go chciało wziąć za wesołego radcę, wcale by nieźle przystawał do całości. Dalej, należał też do domu bardzo stary, ale zdrowy, wesoły mężczyzna, cichy, grzeczny, rozumny, dożywający resztek życia, tylko tu i owdzie coś robiący. Zaraz po Lucydorze przybył jakiś obcy, już niemłody, ze znaczącą powierzchownością, pełen godności, obyty w świecie, a wysoce zajmujący znajomością najdalszych jego stron. Zwali go Antonim.

Julia przyjęła zapowiedzianego sobie narzeczonego przystojnie, ale uprzejmie. Lucynda zaś robiła honory domu, jak tamta swojej osoby. Tak przeszedł dzień niezmiernie przyjemnie dla wszystkich, tylko nie dla Lucydora. On, i tak miłkiwy, musiał się kiedy niekiedy, aby nie zamilknąć zupełnie, posługiwać pytaniami, z czego nikt nie odnosi korzyści.

Całkiem był roztargniony, od pierwszego bowiem spojrzenia poczuł względem Julii nie niechęć lub wstręt, ale dystans. Lucynda natomiast przyciągała go tak, że drżał, kiedy nań spojrzała swymi pełnymi, jasnymi, spokojnymi oczyma.

Tak udręczony, dostał się tego pierwszego wieczoru do swej sypialni i wylał swe uczucia w owym monologu, od którego zaczęliśmy. Atoli, ażeby go objaśnić, oraz wytłumaczyć, jakim sposobem gwałtowność takiej pełni słów zgadzać się może z tym, co już o nim wiemy, potrzeba będzie krótkiego zastanowienia.

Lucydor głęboko był uczuciowy i zazwyczaj miał na myśli co innego, niż to, czego obecność wymagała — stąd w zabawie i w rozmowie nigdy mu się nie szczęściło. Czuł to i milczał, chyba że mówiono o pewnych określonych przedmiotach, które przestudiował,

⁶²*Jarmark lipski* — tradycyjny jarmark odbywający się w Lipsku, jednym z największych miast w niemieckiej Saksonii. [przypis edytorski]

z których zawsze mu wszystko było na usługi, czego potrzebował. Przyczyniło się do tego również to, że najprzód w szkole, potem w uniwersytecie zawiódł się na przyjaciół i wylewy serca swego nieszczęśliwie zmarnował. Każde zwierzenie przejmowało go obawą, a obawa przecina wszelkie zwierzenie. Z ojcem przywykł mówić *unisono*⁶³ tylko, a pełnia jego serca wybuchała jedynie w monologach, kiedy był sam.

Nazajutrz zebrał siły, a przecież o mało przytomności nie stracił, gdy go Julia przywitała jeszcze przyjaźniej, weselej i swobodniej. Umiała dużo wypytywać o jego podróże po lądzie i wodzie, kiedy jako student z tłumaczkiem na plecach przewędrował i przedrapał się po Szwajcarii, a nawet zaszedł za Alpy⁶⁴. To chciała się wiele dowiedzieć o pięknej wyspie, na dużym południowym jeziorze, to znowu, cofając się, pragnęła towarzyszyć Renowi⁶⁵, od źródła poczynając, poprzez wcale niezabawne okolice wciąż na dół wśród zmian i zagieć przeróżnych, aż wreszcie między Moguncją⁶⁶ i Koblencją⁶⁷ warte było jeszcze zachodu wypuścić z czcią rzekę z ostatniego jej ograniczenia w świat szeroki, do morza.

Lucydor czuł się tu znacznie swobodniejszy, opowiadał chętnie i dobrze, tak, iż Julia zachwycona zawołała: „Coś takiego trzeba widzieć samowtór⁶⁸”. To znowuż przeraziło Lucydora, gdyż zdało mu się, że w tym się kryje napomknienie o wspólnej ich wędrówce przez życie.

Od obowiązku opowiadacza został jednak niebawem zwolniony, gdyż obcy, którego zwano Antonim, zamącił nader szybko wszystkie źródła górskie, brzegi skalne, ściśnięte i swobodne rzeki. Teraz szło się wprost do Genui⁶⁹, Livorno⁷⁰ leżało niedaleko, najbardziej interesujące rzeczy w kraju brało się szturmem. Neapol⁷¹ trzeba było widzieć, zanim by się umarło, potem zostawał jeszcze Konstantynopol⁷², którego także nie można było zaniedbać. Opis, jaki Antoni dawał o dalekim świecie, porywał wyobraźnię wszystkich, chociaż nie okazywał on wiele zapału. Julia, nie posiadając się z radości, nie chciała na tym poprzestać. Wzdychała jeszcze do Aleksandrii⁷³ i Kairu, a zwłaszcza do piramid, o których dosyć wyczerpujące powzięła wiadomości z nauk swego domniemanego teścia.

Lucydor, zaraz wieczorem — ledwie drzwi przymknąwszy, a świecy jeszcze nie postawiwszy — zawołał:

— No, namyśl się teraz! To rzecz serio. Wiele żeś się nauczył i przemyślał rzeczy serio. Na cóż się zdała erudycja prawna, jeżeli teraz nie działasz jako człowiek prawy? Uważaj siebie za pełnomocnika, zapomnij o sobie samym i rób to, co byś obowiązany był robić dla innych. Zacieśniają się więzy w sposób okropny. Cudzoziemiec bawi tu oczywiście dla Lucyndy. Ona mu okazuje najpiękniejsze, najszlachetniejsze, towarzysko domowe względy. Mała wariatka chciałaby z każdym latać po świecie, tak sobie, byle latać. Prócz tego jest ona figlarka; jej zajęcie się miastami i krajami to żarty, którymi nas zmusza do milczenia. Ale dlaczego patrzy na tę rzecz tak mętnie i ciasno? Czyż oberamtman sam nie jest najrozsądniejszym, najrozwważniejszym, najmilszym pośrednikiem? Powiedz mu, co czynisz i myślisz, a on wspólnie myśleć, jeśli nie współczuć, będzie. Wymoże on wszystko na ojcu. I czyż jedna i druga nie są jego córkami? A cóż ten Antoni podróżnik chce od Lucyndy, zrodzonej dla domu, aby szczęśliwą być i szczęście tworzyć. Niech się to drgające, żywe srebro przylepi do Żyda Tułacza⁷⁴, a będzie to partia najprzyjemniejsza.

⁶³*unisono* (wł.) — jednogłośnie, zgodnie. [przypis edytorski]

⁶⁴*Alpy* — najwyższy łańcuch górski Europy Zachodniej. [przypis edytorski]

⁶⁵*Ren* — europejska rzeka, tworząca granicę między Francją a Niemcami. [przypis edytorski]

⁶⁶*Moguncja* — miasto powiatowe w Niemczech, obecna stolica kraju związkowego Nadrenia-Palatynat. [przypis edytorski]

⁶⁷*Koblencja* — niemieckie miasto powiatowe miasto w kraju związkowym Nadrenia-Palatynat. [przypis edytorski]

⁶⁸*samowtór* (daw.) — we dwoje. [przypis edytorski]

⁶⁹*Genua* — stolica włoskiego regionu Liguria. [przypis edytorski]

⁷⁰*Livorno* — włoskie miasto portowe w regionie Toskania. [przypis edytorski]

⁷¹*Neapol* — stolica włoskiego regionu Kampania. [przypis edytorski]

⁷²*Konstantynopol* a. *Bizancjum* — obecnie Stambuł, miasto w Turcji; dawna stolica Cesarstwa Bizantyjskiego. [przypis edytorski]

⁷³*Aleksandria* — starożytne i współczesne miasto egipskie. [przypis edytorski]

⁷⁴*Żyda Tułacza* a. *Żyd Wieczny Tułacz* — legendarna postać Żyda, który rzekomo zniewazył Chrystusa, za co został ukarany wieczną tułaczką po świecie. [przypis edytorski]

Z rana zszedł Lucydor na dół z mocnym postanowieniem rozmówienia się z ojcem i zajścia do niego w tym względzie bez zwłoki w znanych godzinach wolnych. Jakże wielki był ból jego i zakłopotanie, gdy się dowiedział, że oberamtman, wyjechawszy za interesami, spodziewany jest dopiero pojutrze. Julia, zdawało się, miała dziś także swój dzień podróży. Trzymała się wędrowca i po kilku dowcipkach, odnoszących się do spraw domowych, Lucydora pozostawiła Lucyndzie. Jeśli przedtem przyjaciel nasz, widząc szlachetną dziewczynę z pewnej odległości, według ogólnego wrażenia, serdecznie się już do niej przywiązał, to będąc teraz bardzo blisko, musiał podwojone i potrojone postrzegać to wszystko, co go pociągnęło najprzód ogólnie.

Uwydatnił się teraz poczciwy, stary przyjaciel domu, zastępujący nieobecne gościa. I on żył, kochał i pomimo licznych perypetii życiowych stał przecież wyświeżony i dobrze zachowany u boku przyjaciela swojej młodości. Ożywiało go rozmowę; rozwodził się mianowicie nad omyłkami w wyborze małżonki, opowiadał ciekawe przykłady za wczesnych i spóźnionych oświadczeń. Lucynda ukazała się w całym swym blasku. Wyznała, że przypadek wszelkiego rodzaju w życiu, a więc i w związkach małżeńskich, może dokonać rzeczy najlepszych, ale że daleko jest piękniej, podniosłej, jeżeli człowiek ma prawo powiedzieć sobie, iż szczęście swoje zawdzięcza sobie samemu, cichemu, spokojnemu przeświadczeniu swego serca, szlachetnemu zamiarowi i szybkiemu postanowieniu. Lucydorowi stały łzy w oczach, kiedy temu przyklaskiwał. Po czym panny niebawem się oddaliły. Stary przyjaciel chętnie wdawał się w opowiadanie historii różnorodnych i rozmowa przeszła na weselsze przykłady, które jednak na tyle blisko obchodziły bohatera naszego, że tylko tak pięknie wykształcony młodzieniec mógł przemóc się, by nie wybuchnąć. Lecz wybuchnął, gdy tylko sam został.

— Trzymałem się! — zawołał. — Takim bałamuctwem nie chcę dręczyć swego dobrego ojca. Trzymałem się, gdyż widzę w tym zacnym przyjacielu domu zastępcę obu ojców. Jemu powiem, jemu wszystko odkryję, on zostanie z pewnością pośrednikiem. Wypowiedział już prawie to, czego ja pragnę. Mógłby w poszczególnym wypadku ganić to, co pochwała w ogóle? Jutro rano pójdę do niego, muszę od tego ucisku odetchnąć.

Przy śniadaniu nie było starca. Stwierdzono, że wczoraj wieczorem mówił za dużo, siedział za długo i wypił parę kropli wina ponad swój zwyczaj. Wiele powiedziano na jego pochwałę — i to właśnie takie zdania i czyny do rozpacz doprowadzały Lucydora, który żałował, że się nie zwrócił ku niemu natychmiast. To nieprzyjemne uczucie zaostriżyło się jeszcze, kiedy się dowiedział, że wobec takich wypadków poczciwy staruszek niekiedy nie pokazywał się przez cały tydzień.

Pobyty na wsi ma dla pożytku towarzyskiego wielkie zalety, zwłaszcza, gdy ugaszczający, jako osoby myślące i czujące, czuli się przez lat wiele zobowiązani do przychodzenia z pomocą naturalnemu charakterowi swego otoczenia. Tak się szczęśliwie stało tutaj. Oberamtman, z początku niezonaty, potem w długim, szczęśliwym małżeństwie, sam z siebie zamożny, mający korzystną posadę, według własnego smaku i rozważliwej, z amatorstwa żony, a w końcu dla dogodzenia życzeniu i zachciankom dzieci, postarał się od dawna o większe i mniejsze oddzielne budynki, które dzięki starannej opiece powoli połączone gustownie roślinnością i ścieżkami, nastroczały przechadzającemu się nadzwyczaj miłe, różnorodnie od siebie odskakujące, charakterystyczne scen następstwo. Taką pielgrzymkę zorganizowali też nasi młodzi członkowie rodziny swemu gościowi, bo się swoje włości chętnie pokazuje obcemu, ażeby to, co dla nas zwykle się stało, zauważył ze zdziwieniem i zachował się na zawsze przyjemne wrażenie.

Najbliższa jak i dalsza okolica była w wysokim stopniu stosowna dla skromnych zabudowań i prawdziwie wiejskich domków. Urodzajne wzgórza następowały po dobrze nawodnionych łąkach, tak że całość widzieć było można od czasu do czasu, chociaż nie była płaszczyną. A jeżeli grunt i ziemia pożytkowi głównie były poświęcone, to przecież wdzięku i powabu wcale nie wykluczono.

Do zabudowań głównych i gospodarskich przytykały wirydarze, sady i trawniki, z których niespodziewanie dostawano się do lasu, przez który wily się drogi w najrozmaitszych kierunkach. Tu w środku, na miejscu najwyższym, wznosiła się sala z przytykającymi do niej pokojami. Kto wszedł drzwiami głównymi, widział w wielkim zwierciadle najładniejszy widok, jakiego dostarczyć mogła okolica, i znów się rychło odwracał, by odпочąć w rzeczywistości po niespodziewanym obrazie. Gdyż wejście było urządzone

Wieś

dosyć kunsztownie i ukryte zostało przebiegle wszystko, co miało wywołać niespodziankę. Nikt tu nie wchodził, kto by się nie chciał po kolei zwracać od zwierciadła do natury i od natury do zwierciadła.

Wybrawszy się w drogę w dzień prześliczny, nader pogodny i najdłuższy, odbywano rozumną wycieczkę po niwach, wokoło całości i przez nią. Tu wskazywano spoczynek wieczorny dobrej matki, gdzie buk wspaniały zatrzymał dla siebie swobodną wokół przestrzeń. Zaraz potem Julia na wpół drwiąco wymieniła nabożeństwo poranne Lucynydy, w pobliżu potoku, między topolami i olszyną, przy spuszczać się w dół łąkach, a wznoszących się w górę rolach. Niepodobna opisać, jakie to ładne! Widziało się to niby już wszędzie, lecz nigdzie tak znaczące i tak pożądane w swojej prostocie. Natomiast junkier⁷⁵, także po części wbrew woli Julii, wskazywał malutkie altanki i dziecinne ogródki, które ledwie dostrzec było można przy zacisznie położonym młynie. Pochodziły one jeszcze z czasów, kiedy Julia, w dziesiątym może roku życia, wbiła sobie w głowę zostać młynarką i po odejściu dwojga starych, samej się zająć i wyszukać sobie dzielnego młynarczyka.

— Było to w epoce — zawołała Julia — kiedy nic jeszcze nie wiedziała o miastach, leżących nad rzekami, lub o morzu, nic o Genui itd. Pański poczciwy ojciec, Lucydorze, nawrócił mnie i od tego czasu nieczęsto tu zachodzę.

Usiadła przekornie na ławeczce, która ją ledwie udźwignąć mogła, pod krzakiem bzu, który się nachylił za nisko.

— Pfe z tym nachylaniem się! — zawołała, poskoczywszy i pobiegłszy naprzód z wesołym bratem.

Pozostała za nimi para rozmawiała rozsądnie, a w takich wypadkach rozsądek zbliża się bardzo do uczucia. Przebiegać kolejno proste przedmioty natury, spokojnie rozważać, jak rozsądny, zacny człowiek umie z nich korzyść odnieść, jak wglądnięcie w to, co istnieje, łącząc się z poczuciem jego potrzeb, robi cuda, by świat uczynić naprzód mieszkalnym, potem go zaludnić, a w końcu przeludnić — wszystko to mogło tu stać się przedmiotem rozmowy. Lucynda zdawała ze wszystkiego sprawę i, jakkolwiek była skromna, nie mogła ukryć, że wygodne, przyjemne połączenia oddalonych części były jej dziełem, dokonany pod wskazówkach, pod kierunkiem i opieką uwielbianej matki.

Ale że najdłuższy dzień nawet w końcu chylił się ku wieczorowi, trzeba więc było pomyśleć o powrocie. A kiedy zamierzano pójść jakimś przyjemnym manowcem, wesoły brat zażądał, żeby się puścić krótszą, chociaż nie zabawną, ba, uciążliwą nawet, drogą.

— Bo wy — zawołał — chlubiłyście się swymi budowlami i przybudówkami, jak żeście upiększyły i ulepszyły okolicę dla oczu malarskich i serc czułych. Ale pozwólcież i mnie zdobyć uznanie.

Musiano tedy po zaoranych miejscach i chropowatych ścieżkach — ba, nawet po przypadkowo narzucanych na bagniska kamieniach — wędrować. I ujrano, już z pewnej odległości, zmieszana kupę różnorodnych przyrządów. Rozpatrzony bliżej, był to wielki plac gier i zabaw, urządzone nie bez rozumu, a w duchu ludowym do pewnego stopnia. Stały więc tu, postawione w odpowiednich odległościach: wielki młyn diabelski, na którym bujający się w górę lub na dół zawsze jednakowo siedzą poziomo, innego rodzaju huśtawki, trampoliny, drążki, kręgle i co tylko wymyślić można, aby na dużym wygonie⁷⁶ zająć i zabawić tłum ludzi w sposób najrozmaitszy, a równomierny.

— To — zawołał — jest moim wynalazkiem, moim zakładem! A chociaż ojciec łożył na to pieniądze, a biegły rzemieślnik głowy użyczył, to przecież gdyby nie ja, którego często zowiecie nierozumnym, rozum i pieniądze nie zeszyłyby się były razem.

W tak wesołym usposobieniu wrócili wszyscy czworo wraz z zachodem słońca do domu. Zjawił się Antoni, a mała, której jeszcze nie wystarczył ten dzień ruchliwy, kała zaprząć i pojechała przez wieś do przyjaciółki, zrozpaczona, że jej od dwóch dni nie widziała. Czworo pozostałych czuło zakłopotanie; zanim się na tym spostrzeżono, wypowiedziano nawet myśl, że nieobecność ojca niepokoi domowych. Rozmowa zaczęła ustawać, gdy nagle wesoły junkier poskoczył i powrócił niebawem z książką, proponując

⁷⁵junkier — tu: młodszy syn rodziny szlacheckiej. [przypis edytorski]

⁷⁶wygon — spore, wspólne dla całej wsi pastwisko. [przypis edytorski]

siebie na lektora. Lucynda nie powstrzymała się od pytania, skąd mu się wzięła ochota, której nie miał od roku. Na co on odparł wesoło:

— Mnie wszystko przychodzi do głowy w czasie właściwym, czym wy pochłubić się nie możecie.

Czytał cały szereg istotnych baśni, które wywodzą człowieka z siebie samego, pochlebają jego życzeniom i każą mu zapominać o wszelkim uwarunkowaniu, w jakim zawsze jesteśmy zamknięci — nawet w chwilach najszcześniejszych.

— Co ja pocznę! — zawołał Lucydor, sam zostawszy wreszcie. — Godziny pędzą. Do Antoniego nie mam wcale zaufania, on jest zupełnie obcy. Nie wiem, kto on, jakim sposobem wszedł do tego domu ani czego chce. Zdaje się, że się stara o Lucyndę. Czego bym więc po nim mógł się spodziewać? Nie pozostaje mi nic innego, jak się wprost zwrócić do Lucyndy. Ona o tym wiedzieć powinna, ona pierwsza. Takie było pierwsze moje uczucie. Dlaczego dajemy się sprowadzić na drogi przebiegłości? Pierwsze powinno być też ostatnim i mam nadzieję, że dojdę do celu.

W sobotę rano chodził Lucydor, wcześniej ubrany, po swym pokoju, rozważając z tej i owej strony, co ma powiedzieć Lucyndzie. Wtem posłyszał za swymi drzwiami coś niby żartobliwą sprzeczkę, która się jednak rychło skończyła. Wesoły junkier popchnął przed sobą chłopca z kawą i pieczywem dla gościa, sam niósł zimne mięsiwa i wino.

— Powinieneś iść naprzód — wołał młodzik — gdyż gość musi być wprawdzie obsłużony, ja przywykłem służyć sam sobie. Przyjacielu! Dzisiaj przychodzę trochę wcześniej i z hałasem. Spożyjmy śniadanie w spokoju, a potem zobaczymy, co robić, bo od towarzysztwa niewiele się możemy spodziewać. Mała nie wróciła jeszcze od swej przyjaciółki. One muszą co najmniej raz na dwa tygodnie wytrząsnąć swe serce, jeżeli nie ma pęknąć. Lucynda w sobotę jest do niczego, posyła ojcu punktualnie swój rachunek gospodarczy. Do tego i ja bym powinien się przyczynić, ale niech mnie Bóg broni i zachowa! Kiedy wiem, ile kosztuje jakaś rzecz, to mi żaden kęsek nie smakuje. Na jutro spodziewani są goście. Stary jeszcze nie przyszedł do równowagi. Antoni na polowaniu. I my zrobimy to samo.

Strzelby, torby i psy były gotowe, kiedy zeszli na podwórze. Potem udali się polami, gdzie, bądź co bądź, zastrzelono młodego zająca i biednego, obojętnego ptaszka. Tymczasem rozmawiano o obecnych stosunkach domowych i towarzyskich. Wymienione zostało nazwisko Antoniego, a Lucydor nie zaniechał wywiedzieć się o nim dokładniej. Wesoły junkier, z niejakim zadowoleniem z siebie samego, zapewniał, że tego dziwnego człowieka, chociaż się tak tajemniczo przedstawia, przeniknął przecież na wskroś.

— Jest to niewątpliwie — mówił dalej — syn bogatego domu handlowego, który zbankrutował właśnie w chwili, gdy on w pełni młodości zamyślał wziąć udział z siłą i rzeźwością w wielkich interesach, a przy tym korzystać z obficie nastroczających się rozkoszy. Strącony ze szczytu swoich nadziei, zebrał siły i służąc innym, czynił to, czego już nie mógł dokonać dla siebie i swoich. Tak przejechał sobie świat, poznał go i wzajemne jego stosunki jak najdokładniej, a nie zapominał przy tym o swych korzyściach. Niestrudzona działalność i wypróbowana uczciwość zapewniły mu i zachowały u wielu zaufanie bezwarunkowe. Tym sposobem pozyskał sobie wszędzie znajomych i przyjaciół. Ba, łatwo nawet zauważyć, że majątek jego tak szeroko rozdzielony jest po świecie, jak daleko sięgają jego znajomości, a z tego powodu jego obecność we wszystkich czterech częściach świata jest od czasu do czasu konieczna.

Szczegółowiej i naiwniej opowiedział to wszystko wesoły junkier, dołączając niejedną żartobliwą uwagę, jakby bajkę swoją zamierzał bardzo szeroko rozsnuwać.

— Od jakże dawna zostaje on w związku z moim ojcem! Moi sądzą, iż ja nic nie widzę, dlatego, że się o nic nie troszczę. Ależ właśnie dlatego widzę tym lepiej, że mnie to nic nie obchodzi. U ojca mego złożył dużo pieniędzy, a ten znowu umieścił je korzystnie i w pewnym miejscu. Nie dawniej jak wczoraj wręczył starym szkatułkę z klejnotami. Nie widziałem nic prostszego, piękniejszego i cenniejszego, chociaż jednym tylko rzutem oka, gdyż robiono to tajemnie. Prawdopodobnie ma być ona poświęcona narzeczonej ku przyjemności, zadowoleniu i bezpieczeństwu przyszłemu. Antoni zaufanie swoje położył w Lucyndzie! Ale gdy patrzę na nich razem, nie mogę ich uważać za należyte dobraną parę. Podlotek byłby lepszy dla niego. Sądzę nawet, że woli go ona niż starsza. Spogląda

Polowanie

też niekiedy rzeczywiście na starego wygę tak wesoło i współczująco, jakby miała sięść z nim do powozu i stąd ulecieć.

Lucyodor otrząsnął się. Nie wiedział, co odrzec. Wszystko, co słyszał, podobało mu się serdecznie. Młodzik mówił dalej:

— W ogóle dziewczyna ma opaczną skłonność ku starym ludziom. Sądzę, że ona by równie swobodnie wyszła za pańskiego ojca, jak i za jego syna.

Lucyodor szedł za swym towarzyszem, chociaż go ten prowadził przez pniaki i kamienie. Obaj zapomnieli o polowaniu, które i bez tego nie mogło być obfite. Weszli na jakieś podwórze folwarczne, gdzie zostali dobrze przyjęci. Jeden z przyjaciół zabawiał się jedzeniem, piciem i gadaniem, a drugi zatopił się w myślach i rozważaniu, jakby mógł na swą korzyść obrócić zrobione odkrycie.

Lucyodor po tych wszystkich opowiadaniach i wyjaśnieniach nabrał tyle zaufania do Antoniego, że zaraz po wejściu na dziedziniec zapytał o niego i pośpieszył do ogrodu, gdzie go miał znaleźć. Przebiegł wszystkie drożyny parku przy pogodnym słońcu wieczornym — na próżno! Nigdzie żywej duszy. W końcu wszedł w drzwi wielkiej sali i, rzecz dosyć dziwna, zachodzące słońce, odbite od zwierciadła, tak go olśniło, że nie mógł poznać dwóch osób siedzących na kanapie. Ale tyle rozróżnił, że ręka panny całowana była bardzo ogniście przez mężczyznę obok niej siedzącego. Jakżeż wielkie było tedy jego przerażenie, gdy przy wróconym spokoju oczu ujrzał przed sobą Lucyndę i Antoniego! Chciałby się był zapaść, ale stał jak wkopany, gdy go Lucynda powitała jak najprzyjaźniej i całkiem niezakłopotana usunęła się, proponując, by usiadł po prawej stronie. Opuścił się na siedzenie bezwiednie, a kiedy mowę ku niemu zwróciła, wypytyjąc o dzień dzisiejszy i prosząc o przebaczenie za swe zajęcia domowe, głos jej znieść mógł zaledwie. Antoni powstał i pożegnał się z Lucyndą, a ona, również się podnosząc, zaprosiła siedzącego jeszcze na przechadzkę. Idąc obok niej, był milczący i zakłopotany. I ona wydawała się zaniepokojona. A gdyby on choć trochę miał przytomności, to by mu głębokie westchnienia zdradzić musiały, że ona stara się utaić serdeczne wzruszenie. Pożegnała się wreszcie, gdy się zbliżyli do domu, on zaś zwrócił się z początku powoli, potem gwałtownie ku otwartej przestrzeni. Park był dla niego ciasny; biegł przez pole, słysząc tylko głos swego serca, nie zważając na piękności najpyszniejszego wieczoru. Ujrzawszy się samotnym i ulżywszy uczuciom swoim za pomocą uspokajającego płaczu, zawołał:

— Kilkakroć już w życiu, lecz nigdy tak strasznie, doznałem bólu, który mnie oto czyni najnędniejszym; kiedy najbardziej upragnione szczęście przystępuje do nas wreszcie ręka w rękę, ramię przy ramieniu, a zarazem zapowiada nam rozstanie na wieki. Siedziałem przy niej, szedłem koło niej, powiewna suknia dotykała mnie, a już ją utraciłem! Nie wyobrażaj sobie tego, nie drażnij się tym, milcz i decyduj się!

Sam sobie usta zamykał, milczał i myślał, krocząc przez pola, łąki i zarośla — nie zawsze najbardziej dostępnymi ścieżkami. Dopiero wróciwszy późno do swego pokoju, nie wytrzymał i zawołał:

— Jutro rano oddałę się, takiego drugiego dnia przeżyć nie chcę!

I tak, w ubraniu, rzucił się na posłanie... Szczęśliwa, zdrowa młodość! Spał już, nużąca ruchliwość dnia przyniosła mu najłagodniejszy spoczynek nocny. Z pocieszających jednak snów rannych zbudziło go bardzo wczesne słońce. Był to właśnie dzień najdłuższy, który dla niego mógł się stać zbyt długi. Jeżeli wcale nie korzystał z wdzięku uspokajającej gwiazdy wieczornej, to pobudzającą piękność poranka na to tylko odczuł, aby popaść w rozpacz. Widział świat tak wspaniałym jak nigdy — dla oczu jego był on jeszcze takim, ale serce mu przeczyło. To wszystko nie należało już do niego. Utracił Lucyndę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kto jest zdrajcą? Dokończenie

Tłumoczek szybko został spakowany. Chciał go tu pozostawić. Listu nie pisał. Jego oddalenie się na czas obiadu, a może nawet i na wieczór, miał w kilku słowach uniewinnić masztalerz⁷⁷, którego i tak musiał obudzić. Atoli zastał go już przed stajnią, chodzącego w jedną i drugą stronę wielkimi krokami.

Koń

⁷⁷masztalerz (daw.) — stajenny, zajmujący się końmi w dworskich stajniach. [przypis edytorski]

— Chyba nie chcesz pan jechać konno? — zawołał skądinąd dobroduszny człowiek z niejaką goryczą. — Mogę to panu przecież powiedzieć... Młody pan z każdym dniem staje się bardziej nieznośny. Tłukł się wczoraj po okolicy, tak że można było myśleć, iż podziękuje Bogu, mogąc wypocząć przez poranek niedzielny. A jednak dzisiaj, jeszcze przed świtem, przychodzi, hałasuje w stajni, a kiedy ja wyskakuję, on siodła i kielzna pańskiego konia, nie dając się powstrzymać żadną uwagą. Skacze nań i woła: „Pomyśl no, jaki to dobry robię uczynek! Stworzenie to stąpa zawsze powolnym, tylko prawidłowym kłusem. Spróbuję pobudzić je do szybkiego galopu życia”. Tak mniej więcej powiedział i wygadywał różne inne dziwne słowa.

Lucydora dotknęło to podwójnie i potrójnie. Lubił konia, jako odpowiadającego własnemu charakterowi jego, jego sposobowi życia. Przykro mu było, że to dobre, rozumne stworzenie znalazło się w ręku postrzeleńca. Został zburzony plan jego i zamiar udania się w tym ciężkim położeniu do przyjaciela uniwersyteckiego, z którym żył w pogodnym, serdecznym stosunku. Obudziło się dawne zaufanie, dzielące ich mile nie były brane w rachubę. Zdawało mu się, że już znajduje radę i ulgę u życzliwego, rozumnego przyjaciela. Nadzieja ta została teraz odjęta. A jednak nie... Gdyby się odważył podążać do celu świeżymi nogami wędrowca, jakimi mógł rozporządzać?

Przed wszystkim więc starał się wydostać z parku na otwarte pole, na drogę, która go miała zaprowadzić do przyjaciela. Nie był zupełnie pewny swego kierunku, gdy mu po lewej ręce wpadła w oczy, wystająca nad krzewami na dziwnym wzniesieniu pustelnia, z której mu przedtem robiono tajemnicę. Ku największemu zdziwieniu swemu spostrzegł w galerii pod chińskim dachem dobrego starca, który przez dni kilka uważany był za chorego, a teraz rześko rozglądał się wkoło. Najprzyjaźniejszemu powitaniu, natarczywemu zaproszeniu, by wszedł na górę, opierał się Lucydor wykrętami i porywczymi gestami. Dopiero współczucie dla dobrego starca, który chwiejnym krokiem śpiesząc na dół po stromych schodach, narażał się na upadek, zdołało wymóc na nim, że poszedł na spotkanie i następnie dał się wciągnąć na górę. Z podziwem wstąpił do milutkiej salki. Miała ona trzy tylko okna na wieś — widok najprzyjemniejszy. Inne ściany były ozdobione, a raczej okryte setkami wizerunków, rytych w miedzi lub nawet rysowanych, naklejonych jeden przy drugim w pewnym porządku, oddzielonych kolorowymi obwódkami i przedziałami.

— Robię panu łaskę, mój przyjacielu, jak mało komu. To jest świątynia, w której ostatnie swe dni spędzam zadowolony. Tu się poprawiam ze wszystkich błędów, jakie mi popełniać daje towarzystwo, tu przyprowadzam też do równowagi moje błędy dietetyczne.

Lucydor rozejrzał się po całości, a biegly w dziejach, zrozumiał niebawem dokładnie, że tłem jej jest zamięłowanie historyczne.

— Tu, w górze, na fryzie — rzekł starzec — widzisz pan nazwiska mężów znakomitych z czasów prastarych. Potem z bliższych także nazwiska tylko, gdyż trudno byłoby dowiedzieć się, jak oni wyglądali. Ale tu, na polu głównym, rozpoczyna się właściwe moje życie. Tu są mężowie, których imiona słyszałem, będąc jeszcze chłopcem. Bo około lat pięćdziesięciu pozostaje nazwisko mężów znakomitych we wspomnieniu ludu, potem znika albo staje się bajeczne. Chociaż z rodziców niemieckich, urodziłem się w Holandii, dla mnie Wilhelm Orański⁷⁸, jako namiestnik i król angielski, jest praojcem wszystkich porządnych mężów i bohaterów. Ale oto widzisz pan tuż obok niego Ludwika XIV⁷⁹, jako tego...

Jakżeż chętnie przerwałby Lucydor pocziwemu starcowi, gdyby wypadło — jak to nam, opowiadającym, przystoi chyba. Albowiem groziła mu historia nowa i najnowsza, co łatwo było przewidzieć po rzucanych przezeń spojrzeniach ku wizerunkom Fryderyka Wielkiego⁸⁰ i jego generałów.

Lubo dobry młodzieniec czcił żywy współdziałal starca w najbliższej sobie przeszłości i terażniejszości, lubo niektóre indywidualne rysy i poglądy nie mogły go nie obchodzić jako interesujące, toć wysłuchał on już przecież w akademiach dziejów nowych i najnowszych; a co się raz słyszało, to się mniema wiedzieć na zawsze. Myśl jego była daleko, nie

⁷⁸ *Wilhelm Orański* a. *Wilhelm III Orański* (1650–1702) — książę Oranii-Nassau, namiestnik Republiki Zjednoczonych Prowincji, król Anglii i Szkocji (jako Wilhelm II). [przypis edytorski]

⁷⁹ *Ludwik XIV* a. *Król Słońce* (1638–1715) — król Francji i Nawarry z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

⁸⁰ *Fryderyk Wielki* a. *Fryderyk II Wielki* (1712–1786) — król Prus w latach 1740–1786. [przypis edytorski]

słyszał, ledwie patrzył i zmierzał właśnie w najbardziej niezręczny sposób do drzwi, by po długich, fatalnych schodach się spuścić, gdy dało się słyszeć z dołu głośnie klaskanie w ręce.

Kiedy się Lucydor zatrzymał, głowa starca wyjrzała oknem, a z dołu rozległ się głos dobrze znany.

— Zejdź pan na dół, na miłość boską, ze swej galerii historycznej, stary panie! Zamknij swoje roczniki i dopomóż mi ugłaskać naszego młodego przyjaciela. Kiedy się dowie... Lucydorowego konia zażyłem trochę nierozumnie, stracił podkowę i musiałem go zatrzymać. Co on na to powie! To przecież zbyt wielkie głupstwo, nawet kiedy się jest głupcem!

— Chodź pan na górę — odrzekł starzec, a zwracając się do Lucydora, zapytał:

— No i cóż pan na to?

Lucydor milczał, a szalony junkier nadszedł. Pytania i odpowiedzi wytworzyły długą scenę. Dość, że postanowiono wysłać zaraz masztalerza, by się koniem zaopiekował.

Pozostawiając starca, obaj młodzi pośpieszyli do domu, dokąd niezupełnie wbrew woli dal się zaciągnąć Lucydor. Niech się dzieje, co chce, ale w tych murach przynajmniej zamknięte jest jedyne pragnienie jego serca. W takim rozpaczliwym wypadku nie dbamy o pomoc naszej wolnej woli i doznajemy chwilowej ulgi, jeżeli skądkolwiek przychodzi postanowienie i przymus. Atoli wszedłszy do swego pokoju, znalazł się w stanie najdziwniejszym, jak gdyby ktoś, kto dopiero co opuścił gospodę, zmuszony był wbrew życzeniu swemu znowu wejść do niej dlatego, że się oś złamała.

Wesoły junkier zabrał się zaraz do tłumocznika. Wypakował wszystko bardzo porządnie, ułożył razem wybornie, co tylko było z szat świątecznych, lubo podróżnych. Zmusił Lucydora do wdziania trzewików i pończoch, ułożył mu wijące się, czarne pukle i wystroił go jak najpiękniej. Potem, odstępując i oglądając przyjaciela naszego i swoją robotę od stóp do głów, zawołał:

— No, teraz, przyjacielu, wyglądasz wreszcie na człowieka, co ma niejaką pretensję do posiadania pięknych dzieci, a jest przy tym dość poważny, by się obejrzeć za narzeczoną. Chwilę tylko, a dowiedzie się, jak się ja potrafię pchnąć w górę, kiedy godzina wybije. Wyuczyłem się tego od oficerów, za którymi dziewczęta zawsze zerkają, a potem się sam zaciągnąłem do pewnej soldateski⁸¹. I teraz patrz na mnie i patrz, bo żadna nie wie, co ze mną zrobić. I tak z tego spoglądania na siebie i za siebie, z podziwu i uwagi, powstaje często coś miłego, co, chociażby nie było trwale, zasługuje przecież na to, żeby mu chwilę czasu poświęcić... No, ale teraz chodź ty, przyjacielu, i wyświadc mi podobną przysługę. Kiedy mnie zobaczysz wpelzającego w moją skorupę po kawałku, to nie odmówisz dowcipu i wynalazczości lekkomyślnemu chłopcu.

I pociągnął przyjaciela przez długie, obszerne korytarze starego zamku.

— Usłałem sobie legowisko zupełnie na tyłach. Choć nie pragnę się ukrywać, ale lubię być sam; bo nie można innym dogodzić naprawdę.

Przechodzili koło kancelarii w chwili, kiedy z niej wyszedł służący, niosąc praojcowski kałamarz — czarny, duży i pełny; nie zapomniano też i o papierze.

— Wiem już, co tam ma być znów nabazgrane — zawołał junkier. — Idź i zostaw mi klucz. Zajrzyj no tam, Lucydorze! To pana zabawi, zanim ja się ubiorę. Przyjacielowi prawa lokal taki nie jest nienawistny jako krewnemu po stajni.

I popchnął Lucydora ku sali sądowej.

Młodzieniec poczuł się natychmiast w znanym, odpowiednim sobie żywiole — wspomnienie dni, kiedy wzięwszy się za jakąś sprawę, siedział przy takim stole i ćwiczył się, słuchając i pisząc. Nie uszło też jego uwagi, że stara, wspaniała kaplica domowa obrócona została, wobec zmiany pojęć religijnych, na usługi Temidy⁸². Na półkach znalazł rubryki i akta, znane sobie dawniej. Sam on, ze stolicy, pracował nad tymi interesami. Otwierając fascykul⁸³, dostał do rąk reskrypt⁸⁴, który sam przepisywał na czysto; to znów inny, którego był koncypientem⁸⁵. Rękopis i papier, pieczęć kancelaryjna i podpis prezydujące-

⁸¹*soldateska* — niezdiscyplinowani żołnierze. [przypis edytorski]

⁸²*Temida* — w mitologii greckiej bogini prawa, praworządności i sprawiedliwości. [przypis edytorski]

⁸³*fascykul* (daw.) — plik dokumentów albo zeszyt. [przypis edytorski]

⁸⁴*reskrypt* (daw.) — pisemne rozporządzenie władzy. [przypis edytorski]

⁸⁵*koncypient* (daw.) — referent biurowy lub adwokacki. [przypis edytorski]

go — wszystko przywoływało mu na pamięć czasy prawniczego kierunku, młodzieńczej nadziei. A kiedy się potem obejrzał i zobaczył krzesło oberamtmana, dla niego obmyślane i przeznaczone — tak piękną posadę, tak dostojny zakres działalności, na wzgardzenie którym, na stratę którego był narażony... To wszystko dręczyło go podwójnie i potrójnie, gdy w tym samym czasie postać Lucyndy zdawała się oddalać od niego.

Chciał wyjść, a znalazł się uwięzionym. Dziwny przyjaciel, z lekkomyślności czy ze złościwości, odchodząc, zamknął drzwi za sobą. Ale przyjaciel nasz nie pozostał długo w tym wielce przykrym zamknięciu. Tamten powrócił, przeprosił i obudził rzeczywiście dobry humor swoją osobliwą powierzchownością. Niejaka krzykliwość barw i kroju ubrania jego przytłumiona była smakiem naturalnym, jako to nawet tatuowanym Indianom nie możemy przecież odmówić pewnego uznania.

— Dzisiaj — zawołał — nudy dni minionych powinny być nam wynagrodzone. Przybyli dobrzy przyjaciele, weseli przyjaciele, ładne dziewczęta, figlarne, zakochane istoty, a dalej także mój ojciec i, cud nad cudami, ojciec pański. To dopiero będzie feta; wszyscy są już zgromadzeni w sali na śniadanie.

Lucydorowi nagle tak się zrobiło, jakby patrzył w mgłę gęstą. Wszystkie zapowiedziane postacie, znane i nieznane, ukazały mu się widomie. Atoli charakter jego w towarzystwie czystego serca podtrzymał go. W kilka sekund poczuł się równy wszystkim. Poszedł tedy krokiem pewnym za śpieszącym się przyjacielem, mocno postanowiwszy oczekiwać na wszystko — niech się dzieje, co chce — i oświadczyć swe chęci — niech się stanie, co chce.

A jednak na progu sali zmieszał się. W dużym półkolu przy oknach dojrzał on natchmiasz swego ojca obok oberamtmana; obaj byli ubrani uroczyście. Siostry, Antoniego i innych znajomych i nieznajomych objął jednym spojrzeniem, które mu się mgliło. Chwiejnym krokiem zbliżył się do ojca, który go powitał bardzo uprzejmie, ale z pewną ceremonialnością, niedopuszczającą poufnego porozumienia. Stojąc przed tyloma osobami, szukał sobie na tę chwilę stosownego miejsca. Mógłby był stanąć obok Lucyndy, lecz Julia, wbrew przyjętym obyczajom, zrobiła ruch taki, że do niej przystąpić musiał. Antoni pozostał przy Lucyndzie.

W tej ważnej chwili poczuł się Lucydor w charakterze pełnomocnika i zahartowany całą swoją wiedzą prawniczą, przywołał na swą korzyść ową piękną maksymę: „Powinniśmy powierzone sobie interesy przyjaciół traktować jak swoje własne, zatem dlaczegoż byśmy nie mieli traktować swoich w tym samym duchu?”. Wycwiczony w wywodach dotyczących interesów, przebiegł w myśli szybko, co ma powiedzieć. Tymczasem towarzystwo, skupiwszy się w formalne półkole, zdawało się go prześcigać. Treść swego wywodu znał wprawdzie, ale początku znaleźć nie mógł. Wtem spostrzegł na rogu stołu wielki kałamarz, przy tym kancelistów. Oberamtman zrobił ruch, jakby się przysposabiał do swej mowy. Lucydor chciał go uprzedzić, a w tej samej chwili Julia uściśnęła go za rękę. To całkiem zbiło go z pantalyku. Nabral przeświadczenia, że już wszystko postanowione, że wszystko dla niego stracone.

Nie było już tedy czego oszczędzać ze wszystkich obecnych stosunków życia, z tych związków rodzinnych, ze względów towarzyskich i przyzwoitości. Spojrzał przed siebie, wyrwał Julii swą rękę i tak szybko podążył do drzwi, że zgromadzenie nie zauważyło jego nieobecności, a on sam na dworze nie wiedział, co się z nim dzieje.

Bojąc się światła dziennego, które w najwyższym blasku nań się zlewało, unikając wzroku spotykanych ludzi, lękając się szukających, kroczył przed siebie i dostał się do wielkiej sali ogrodowej. Tam kolana odmówiły mu posłuszeństwa, zachwiał się i rzucił stroskany na sofę pod zwierciadłem, pośród obyczajnie moralnego społeczeństwa popadłszy w zamęt, który jak fale rozbijał się wkoło niego, w nim i wszędzie. Był jego miniony walczył z obecnym. Była to chwila okropna.

I tak leżał czas jakiś, twarz pogrążywszy w poduszkę, na której wczoraj spoczywała ręka Lucyndy. Przejęty na wskróś swym cierpieniem, czując jakieś dotknięcie, wyprostował się nagle, nie zauważywszy zbliżenia się jakiegokolwiek osoby. Wtem spostrzegł Lucyndę, stojącą tuż obok niego.

Przypuszczając, że ją przysłano, aby go przyprowadziła, że jej polecono, iżby stosownymi, siostrzanymi słowy wywiodła go do towarzystwa na spotkanie ze wstrętym losem, zawołał:

Konflikt wewnętrzny

— Nie powinni byli ciebie przysyłać, panno Lucyndo, gdyż pani to właśnie stamtąd mnie wypędziłaś. Ja nie wrócę! Daj mi, pani, jeśli zdolna jesteś do litości... Nastręcz mi sposobność i środki do ucieczki. Ażebyś zaświadczyć mogła, iż niepodobna było mnie na powrót sprowadzić, weź pani klucz do mego postępowania, które się pani i wszystkim innym wydawać pewnie musi wariackie. Posłuchaj pani przysięgi, którą w duszy swej złożyłem i którą nieustannie głośno powtarzam: z panią tylko pragnąłbym żyć, młodość swoją spożytkować, rozkoszować się w dalszym też wieku, wiernie i uczciwie czas spędzając. A niech to będzie tak silne i pewne, na co teraz przysięgam, jak to, co kiedykolwiek przed ołtarzem było zaprzysiężone. Opuszczam ciebie, pani, ja, najbardziej godny litości ze wszystkich ludzi.

Zrobił ruch, żeby przed nią umknąć; przed nią, co tak blisko niego stała. Ale ona ujęła go łagodnie w ramiona.

— Co pani robi? — zawołał.

— Lucydorze — odpowiedziała — nie jesteś godny litości, jak sobie wyobrażasz, ale jesteś moim, a ja twoją. Trzymam cię w moich ramionach, nie zwlekaj zarzucić mi swoich. Ojciec twój ze wszystkiego jest zadowolony. Antoni zaślubi moją siostrę.

Zdziwiony, odchylił się od niej.

— Byłoby to prawdą?

Lucynda uśmiechnęła się i skinęła głową. On uwolnił się z jej objęć.

— Pozwól mi, pani, obejrzeć najprzód z dala to, co tak blisko, tak bardzo blisko do mnie ma należeć.

Ujął jej ręce, stanęli oko w oko!

— Lucyndo, jesteś moja?

— Ależ tak — odparła z najśłodszymi łzami w najwierniejszym oku.

Ucisnął ją i głowę swoją za jej głowę zarzucił, tak wisząc jak na skale nadbrzeżnej rozbitek. Ziemia jeszcze pod nim drżała. Wtem zachwycony wzrok jego, otwierając się na powrót, padł na zwierciadło. Ujrzał ją w swoich objęciach, otoczonego jej ramionami; spoglądał na to raz po raz. Takie uczucia towarzyszą człowiekowi przez całe życie. Ale zarazem ujrzał na powierzchni zwierciadła, że krajobraz, który mu wczoraj wydał się tak posępny i groźny, jest świetniejszy i wspanialszy niż kiedykolwiek, siebie zaś w takiej sytuacji, na takim tle! Dostateczna nagroda za wszystkie cierpienia.

— Nie jesteśmy sami — rzekła Lucynda.

A gdy on otrząsnął się ledwie ze swego zachwyty, ukazały się wystrojone i uwieńczone dziewczęta i chłopcy niosący wieńce, zagradzając wejście.

— Inaczej miało być to wszystko! — zawołała Lucynda. — Jak ładnie było to urządzone, a teraz tłoczy się tłumnie jedno za drugim!

Rzeński marsz zabrzmiał z dala. Towarzystwo szeroką drogą uroczyście, wesoło nadciągało. Wahał się z pójściem na spotkanie, jakby kroków swoich pewny był tylko przy jej ramieniu. Została z nim, oczekując co chwila uroczystej sceny widzenia się ponownego, dziękczynienia za już dokonane przebaczenie.

Ale inaczej postanowili kapryśni bogowie. Wesoło rozlewający się dźwięk rogu pocztowego, ze strony przeciwnej, zdawał się wprowadzać w zamieszanie cały ten dostojny pochód.

— Któż by to nadjeżdżał? — zawołała Lucynda.

Lucydora przerażała obecność kogoś obcego, a powóz wydawał się zupełnie nieznanym. Dwuosobowy, nowy, ba, najnowszy powozik podróżny zajechał przed salę. Odnaczający się, przyzwicie ubrany chłopak zeskoczył z tyłu i otworzył drzwiczki, ale nikt nie wysiadł. Powozik był pusty. Chłopiec wszedł do niego, kilkoma zręcznymi ruchami ręki odsunął obłąki⁸⁶ i tak w jednym mgnieniu oka przygotowany został na oczach wszystkich obecnych, którzy tymczasem nadeszli, najśliczniejszy budynek do najweselszej przejażdżki. Antoni, wyprzedzając innych, poprowadził Julię do powozu.

— Niech pani spróbuje — rzekł — czy ten wehikuł podoba się pani, by w nim wraz ze mną najlepszymi drogami po świecie się potoczyć. Po innych prowadzić pani nie będę. A gdzie będzie jakaś bieda, potrafimy sobie poradzić. Przez góry przeniosą nas rumaki juczne, a do tego i powóz.

⁸⁶obląk a. obląk (daw.) — przedmiot półkolisty. [przypis edytorski]

— Jesteś pan najmiłszy! — zawołała Julia.

Przystąpił chłopak i ze zręcznością kuglarza pokazywał wszystkie dogodności, zalety i przymioty całej lekkiej budowy.

— Na ziemi nie znam podziękowania — zawołała Julia. — Dopiero na tym małym, ruchomym niebie, z tej chmury, na którą mnie pan wznosisz, podziękuję panu serdecznie.

Już wskoczyła, rzucając mu uprzejme spojrzenie i całus ręką.

— Teraz nie wolno panu jeszcze ze mną jechać. Ale jest ktoś drugi, kogo zamierzam wziąć ze sobą na tę jazdę próbną. I on także ma jeszcze przetrwać jedną próbę.

Zawołała Lucydora, który, zajęty właśnie cichą rozmową z ojcem i teściem, łatwo dał się wepchnąć do lekkiego wehikułu, czując nieodzowną potrzebę rozerwania się w jakikolwiek sposób, choćby na chwilę. Siedział obok niej; ona powiedziała pocztylionowi⁸⁷, jak ma jechać. Zakryci kurzem, zniknęli w lot z oczu widzów, patrzących z podziwem.

Julia rozsiadła się mocno i wygodnie w rogu.

— Niech się i pan w róg wsunie, panie szwagrze, żebyśmy sobie mogli wygodnie patrzeć w oczy.

Lucydor:

— Czujesz pani moje zmieszanie, moje zakłopotanie. Wciąż jestem jakby we śnie, obudź mnie pani.

Julia:

— Popatrz pan na ładnych chłopów, jak oni przyjaźnie witają. Bawiąc tutaj, nie poszedłeś pan do górnej części wsi. Wszystkie to ludzie zamożni i wszyscy mi sprzyjają. Nie ma zbyt bogatego, któremu by z życzliwości nie można było wyświadczyć znacznej usługi. Tę drogę, którą tak wygodnie jedziemy, urządził mój ojciec, a więc dokonał czegoś dobrego.

Lucydor:

— Chętnie temu wierzę i przyznaję. Ale cóż mają te zewnętrzności wspólnego z zamętami mego wnętrza!

Julia:

— Cierpliwości tylko. Pokażę panu bogactwów świata i ich wspaniałość. Jesteśmy tedy na górze! Jak widocznie rozciąga się płaszczyna naprzeciw wzgórz! Wszystkie te wioski wiele zawdzięczają ojcu memu, a także matce i córkom. Niwa owego tam miasteczka stanowi dopiero granicę.

Lucydor:

— Widzę panią w osobliwym nastroju. Zdaje się, nie mówisz pani naprawdę tego, co byś powiedzieć chciała.

Julia:

— A teraz spojrzysz pan tu, na lewo, jak pięknie się to wszystko rozwija! Kościół ze swymi wysokimi lipami, dom rządowy ze swymi topolami poza pagórkiem wioskowym. A i ogród, i park leżą przed nami.

Pocztylion jechał ostrzej.

Julia:

— Ową tam salę, na górze, znasz pan. Widać ją stąd tak dobrze, jak okolicę stamtąd. Tu, pod drzewem, staniemy. Otóż tu właśnie odzwierciedlamy się tam na górze na dużej powierzchni szklanej. Widać nas tam doskonale, ale my nie możemy się rozpoznać. Jedź dalej! Tam niedawno odzwierciedliła się prawdopodobnie z bliska para ludzi, i jeśli się nie mylę, z wielkim zadowoleniem wzajemnym.

Lucydor, markotny, nic nie odpowiadał. Przez czas jakiś jechali dalej w milczeniu, a jechali bardzo szybko.

— Tu się zaczyna zła droga — rzekła Julia — około niej możesz się pan kiedyś zasłużyć. Zanim spuści się na dół, spojrzysz pan jeszcze w górę: buk matki mojej ze swym wspaniałym wierzchołkiem wznosi się ponad wszystkim... Zajedziesz — powiedziała do powożącego — złą drogą. My pójdziemy ścieżką przez dolinę i będziemy wcześniej od ciebie.

Wysiadając, zawołała:

⁸⁷pocztylion (daw.) — woźnica pojazdu pocztowego. [przypis edytorski]

— Przyznasz pan chyba, że ten Żyd Tułacz, ten niespokojny Antoni podróżnik umie dosyć wygodnie urządzać swoje pielgrzymki, dla siebie i swych towarzyszy. Piękny to i wygodny powóz.

I to mówiąc, zesła już z pagórka. Lucydor szedł za nią zamyślony i ujrzał ją siedzącą na dobrze położonej ławce — było to siedzenie Lucyndy. Zaprosiła go do siebie.

Julia:

— Oto siedzimy tu sobie i wcale o sobie nie dbamy. Tak też być powinno, z małym, żywym srebrem nie byłoby panu tak dobrze. Nie mogłeś pan kochać takiej istoty, była panu nienawistna.

Zdziwienie Lucydora wzmagало się.

Julia:

— Ale za to Lucynda! Jest ona treścią wszelkiej doskonałości, a maleńka siostrzyczka raz na zawsze została wypchnięta. Widzę na ustach pańskich unoszące się pytanie, kto nas tak dokładnie poinformował.

Lucydor:

— Za tym ukrywa się zdrada!

Julia:

— Ależ tak! Zdrajca tu w grę wchodzi.

Lucydor:

— Wymień go pani.

Julia:

— Niebawem będzie zdemaskowany. Pan sam!... Masz pan chwalebne czy niechwalebne przyzwyczajenie rozmawiania z samym sobą. Otóż w imieniu nas wszystkich wyznać muszę, żeśmy po kolei podsłuchiwały pana.

Lucydor, zrywając się:

— Ładna gościnność, w ten sposób zastawiać pułapkę na obcego!

Julia:

— Wcale nie. Nie myśleliśmy śledzić pana, tak samo jak nikogo w ogóle. Wiesz pan, łóżko pańskie stoi we framudze ściany. Z drugiej zaś strony jest także zagłębienie, które zazwyczaj służy za składzik domowy. Na dni kilka przedtem zmusiliśmy naszego staruszka, żeby spał tam, ponieważ za dużo mieliśmy z nim kłopotu w jego odległej pustelni. Otóż zaraz pierwszego wieczoru wyrwał się pan z owym namiętym monologiem, którego treść opowiedział nam nazajutrz jak najbardziej szczegółowo.

Lucydor nie miał ochoty przerywać jej. Oddalił się.

Julia, powstawszy, szła za nim:

— Jakżeż nam posłużyło to oświadczenie! Bo wyznają chętnie: chociaż mi pan nie byłeś po prostu wstrętny, to przecież położenie, jakie mnie czekało, nie było przez mnie zgolażone. Być panią oberamtmanową, co za okropna sytuacja! Mieć dzielnego, uczciwego męża, który musi ludzi prawem raczyć, a wobec samego prawa nie może dojść do sprawiedliwości! Który ani ku górze, ani ku dołowi nikomu nie dogodzi, a co najgorsza, nawet sobie samemu! Wiem, co matka moja wycierpiała z powodu nieprzekupności i niewzruszoności mego ojca. Na koniec, niestety po jej śmierci, zesła nań pewne złagodnienie. Zdawało się, że się ze światem porozumiewa, że się z nim godzi, kiedy do tej pory na próżno go zwalczał.

Lucydor, nadzwyczaj niezadowolony z tego zajścia i zły z powodu lekkomyślnego traktowania, stanął:

— Jako żart jednego wieczoru to by uszło, ale urządzać niewinnemu gościowi taką ośmieszającą mistyfikację przez całe dni i noce jest nie do przebaczenia.

Julia:

Wszystcyśmy winę między siebie podzielili; wszyscy żeśmy podsłuchiwali pana. Ale ja sama tylko pokutuję za ten grzech.

Lucydor:

— Wszyscy? Tym mniej przebaczyć to można! I jak żeście mogli państwo patrzeć bez zawstydzenia w ciągu dnia na mnie, którego żeście w nocy haniebnie w sposób niedozwolony oszukiwali? A widzę teraz wyraźnie jednym spojrzeniem, że dzienne sprawy państwa na to jedynie były obliczone, aby mnie wywieść w pole. Chwalebna familia! I gdzież tu miłość sprawiedliwości ojca pani? I Lucynda...

Julia:

— I Lucynda!... Cóż to był za ton! Nieprawdaż, chciał pan wyrazić, jak to głęboko boli pana myśleć źle o Lucyndzie, do jednej klasy wraz z nami Lucyndę zamykać?

Lucydor:

— Nie rozumiem Lucyndy.

Julia:

— Chcesz pan powiedzieć: „Ta czysta, szlachetna dusza, ta spokojnie nastrojona istota, dobroć, życzliwość sama, ta kobieta, jaką być powinna, jednoczy się z towarzystwem lekkomyślnym, z siostrą przebierającą miarękę, z młodzieńcem rozpuszczonym i z kilkoma tajemniczymi osobami! To nie do pojęcia!”.

Lucydor:

— Tak, to nie do pojęcia.

Julia:

— To pojmij że pan przecież! Lucynda, jak i my wszyscy, miała ręce związane. Gdybyś pan mógł być zauważyć zakłopotanie, z jakim ledwie się wstrzymała, by panu nie odkryć wszystkiego, kochałbyś ją pan podwójnie i potrójnie, jeśliby każda prawdziwa miłość nie była sama w sobie i dla siebie dziesięcio- i stukrotną. Zapewniam też pana, że dla nas wszystkich żart stał się zbyt długi.

Lucydor:

— Dlaczego żecie go państwo nie zakończyli?

Julia:

— I to także da się wyjaśnić. Kiedy pierwszy pański monolog stał się wiadomy ojcu i kiedy niebawem zauważył, że wszystkie jego dzieci nic by nie miały do zarzucenia takiej zamianie, postanowił pojechać zaraz do ojca pańskiego. Ważność sprawy dała mu do myślenia. Ojciec tylko odczuwa uszanowanie należne ojcu. „On powinien wiedzieć o tym pierwszy, rzekł mój ojciec, aby nie potrzebował potem, kiedy my się zgodzimy, dawać przykro wymuszonego przyzwolenia. Znam go dobrze, wiem, jak on się przywiązuje do myśli, do skłonności, do projektu jakiegoś, i strach mnie nieco bierze. W jego myśli Julia, mapy i widoki miast tak się zrosły, że już postanowił wszystko to umieścić tutaj w końcu. Jeśli nadejdzie chwila, kiedy się młoda para tu osiedli i nie będzie mogła tak łatwo zmieniać miejsca pobytu, wówczas wszystkie wakacje i wszystko, co miał w zamiarze milego i dobrego, nam będzie musiał poświęcić. On przede wszystkim dowiedzieć się winien, jakiego figla spletała nam natura, kiedy nic jeszcze właściwie nie jest oświadczony, nic rozstrzygnięte”. Potem wziął od nas wszystkich najuroczystszy uścisk dłoni na to, żebyśmy obserwowali pana i, niech będzie co chce, zatrzymali go. Jakim sposobem opóźnił się powrót, ile to kosztowało sztuki, trudu i wytrwałości, by pozyskać zezwolenie ojca pańskiego, to niech pan posłyszysz od niego samego. Dość, że sprawa załatwiona, a Lucynda dostała się panu...

I tak oboje, żywo się od pierwszego siedzenia oddalając, po drodze się zatrzymując, wciąż rozmawiając i idąc dalej powoli poprzez łąki, wyszli na wyniosłość do innego, dobrze ubitego gościńca. Powóz szybko nadjechał. W mgnieniu oka zwróciła ona uwagę swego sąsiada na szczególne widowisko. Cała maszyna, którą się brat jej tak chlubił, była w ożywionym ruchu. Na młynie diabelskim już to się ludzie wznosili do góry, już to opuszczali na dół. Chybały się huśtawki, włożone na słupy. Jakiej tam zresztą nie można było widzieć śmiałości we wzlotach i skokach ponad głowami niezliczonego tłumu! Wszystko to w ruch wprowadził junkier, ażeby goście wesoło się zabawili po obiedzie.

— Pojedziesz jeszcze przez niższą część wioski — zawołała Julia — ludzie są mi życzliwi, niechże zobaczą, jak mi się dobrze powodzi.

Wieś była pusta. Młodzież wszystka już pośpieszyła na plac zabawy. Starsi mężczyźni i kobiety, pobudzeni rogiem pocztowym, ukazywali się we drzwiach i oknach. Wszyscy witali, błogosławili i wołali: „O! Piękna para!”.

Julia:

— No, masz pan! Ostatecznie moglibyśmy pasować do siebie, może pan jeszcze pożałujesz tego.

Lucydor:

— Ale teraz, kochana szwagierko!...

Julia:

— A co, teraz: „Kochana”, kiedyś się pan mnie pozbył?

Lucydor:

— Jeszcze słowo! Na pani ciąży wielka odpowiedzialność. Co miał znaczyć uścisk ręki, kiedyś pani znała i czuć musiała moją przeokropną sytuację? Coś tak z gruntu złośliwego nigdy mi się jeszcze w świecie nie wydarzyło.

Julia:

— Dziękuj Panu Bogu. Teraz, kiedy się odpokutowało, już jest wszystko przebaczone. Ja nie chciałam pana, to prawda, ale że pan mnie nie chciał zupełnie, tego nie przebacza żadna dziewczyna. A ten uścisk ręki, zanotuj to pan sobie, był to figiel. Przyznaję, był on dotkliwszy, niż należało, a ja przebaczam sobie w ten tylko sposób, że panu darowuję. Niechże więc wszystko będzie darowane i zapomniane! Oto moja ręka.

Uścisnął tę rękę, a Julia zawołała:

— I oto jesteśmy z powrotem! Znajdujemy się znowu w naszym parku. I tak niebawem w świat szeroki się puścimy i powrócimy pewnie. Spotkamy się znowu.

Dostali się już przed salę ogrodową. Wydała się pusta. Towarzystwo, widząc z przykrością, że pora obiadowa nadmiernie się opóźni, skłoniło się do przechadzki. Antoni atoli i Lucynda pojawili się. Julia wyskoczyła z powozu na spotkanie przyjaciela, dziękowała mu serdecznym uściskiem i nie wstrzymywała łez najradośniejszych. Lica szlachetnego człowieka zarumieniły się, rysy jego się wygładziły, oko patrzyło łzawo, a spod pokrywy ukazał się piękny, niepospolity młodzieniec.

I tak obie pary pociągnęły za towarzystwem, z uczuciami, których by nie zdołał natchnąć i sen najpiękniejszy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ojciec i syn, w towarzystwie masztalera, przebywali miłą okolicę, gdy ten, zatrzymując się przed wysokim murem, który zdawał się otaczać znaczny obszar, dał poznać, że teraz trzeba będzie piechotą się zbliżyć do wielkiej bramy, żaden koń bowiem nie bywa dopuszczany do tego obszaru. Pociągnęli za dzwonek, brama się otwarła, chociaż nie widać było żadnej postaci ludzkiej. Szli ku staremu budynkowi, który się im ukazywał pomiędzy odwiecznymi pniami buków i dębów. Dziw brał, kiedy się nań patrzyło, bo chociaż co do formy wydawał się stary, to przecież tak wyglądał, jak gdyby mularze⁸⁸ i kamieniarze właśnie dopiero co odeszli — tak nowo, cało i czysto przedstawiały się fugi i rzeźbione ozdoby.

Ciężkie, metalowe kółko przy ślicznie obrobionej furcie zachęciło ich do zastukania, czego dokonał Feliks swawolnie, trochę za ostro. I ta bramka odskoczyła, a oni zastali na podwórzu siedzącą kobietę w średnim wieku, zajęętą przy krosienkach robotą o ładnym rysunku. Ta powitała zaraz przybyszów, jakby już oznajmionych, i zaczęła śpiewać wesołą piosenkę. Po czym natychmiast wyszła z drzwi sąsiednich kobieta, którą bez trudu można było po przydatkach wiszących u jej pasa uznać za klucznicę⁸⁹ i czynną gospodynię. I ta, pozdrowiwszy uprzejmie, poprowadziła gości na pierwsze piętro i otwarła przed nimi salę, która przedstawiła się im poważnie: szeroka, wysoko wkoło futrowana, z biegnącym górą szeregiem wizerunków historycznych. Dwie osoby wyszły na ich spotkanie — młoda panienska i wiekowy mężczyzna.

Panna powitała zaraz gościa swobodnie.

— Oznajmiono pana — rzekła — jako jednego z naszych. Ale jakże mam krótko i węzłowato przedstawić panu tu obecnego? Jest on naszym przyjacielem domowym w najpiękniejszym i najszerszym znaczeniu. W dzień to pouczający współtowarzysz, nocą astronom, a lekarz o każdej godzinie.

— A ja — odrzekł tenże uprzejmie — rekomenduję panu tę panienską, jako robotnicę niezmordowaną we dnie, śpieszącą w potrzebie z pomocą i w nocy, a ustawicznie najweselszą towarzyszkę życia.

Aniela (tak miała na imię ujmująca postać i zachowaniem piękność) oznajmiła następnie przybycie Makarii. Podniosła się zielona portiera, a wiekowa, cudnie dostojna dama została wsunięta na fotelu przez dwie ładne dziewczyny, a przez dwie kolejne stół

⁸⁸mularz (daw.) — tu: murarz. [przypis edytorski]

⁸⁹klucznica — ochmistrzyni zarządzająca dworskim gospodarstwem domowym. [przypis edytorski]

okrągły z pożądanym śniadaniem. W rogu ławy, całkiem dębowej, obiegającej pokój wkoło, położone były poduszki, na których usiadła trójka, a naprzeciwko nich Makaria w swym fotelu. Feliks zjadał śniadanie na stojąco, kręcąc się po sali i oglądając ciekawie obrazy rycerskie nad futrowaniem.

Makaria mówiła do Wilhelma jak do zaufanego. Zdawała się lubować w dowcipnym przedstawieniu swoich krewnych, jak gdyby przenikała wewnętrzną naturę każdego poprzez okrywającą maskę indywidualną. Osoby, znane Wilhelmowi, stały przed jej duszą, jakby już do wieczności należące. Rozważna życzliwość nieocenionej kobiety odrzuciła lupinę, a zdrowe ziarno uszlachetniła i ożywiła.

Kiedy już te miłe przedmioty wyczerpane zostały w najprzyjaźniejszym omówieniu, powiedziała do dostojnego towarzysza:

— Z powodu obecności tego nowego przyjaciela nie znajdziesz pan więcej pozorów do wymówki i do ponownego opóźnienia obiecaney rozmowy. Wydaje się on takim, że w niej udział wziąć może.

Ale tamten odparł:

— Pani wiesz, jak trudno jasno się wypowiedzieć o tych przedmiotach. Boć tu idzie nie o coś mniejszego, jak o nadużycie środków doskonałych i daleko sięgających.

— Zgadzam się — odparła Makaria — bo się wpada w kłopot podwójny. Mówiąc o nadużyciu, zaczepia się niejako godność samego środka, gdyż on wciąż jeszcze spoczywa ukryty i w nadużyciu. Mówiąc o środku, ledwie przystać na to można, iżby jego gruntowność i godność dopuszczała jakiegokolwiek nadużycie. Tymczasem, ponieważ jesteśmy wśród nas, nie chcemy nic stanowić, nie chcemy działać na zewnątrz, lecz tylko się objaśnić. Rozmowa może zawsze potoczyć się naprzód.

— Ale potrzeba by pierwszej zapytać — odparł rozważny człowiek — czy też nasz nowy przyjaciel ma ochotę wziąć udział w materii do pewnego stopnia oderwanej i czy nie woli oddać się potrzebnemu spoczynkowi w swoim pokoju. Czyżby sprawa nasza mogła być przezeń chętnie i łaskawie podjęta tak sobie, bez związku, bez wiedzy, jakim sposobem wpadliśmy na nią?

— Gdybym sobie chciała objaśnić czymś analogicznym, to, coś pan powiedział, to by mi się zdawało, że jesteśmy mniej więcej w tym wypadku, jak kiedy się napada na obludę, a może się być oskarżonym o napad na religię.

— Analogię znać możemy — odrzekł przyjaciel domu — bo i tu mowa jest o zbiorze wielu znakomitych ludzi, o wysokiej umiejętności, o ważnej sztuce, krótko mówiąc, o matematyce.

— Nawet gdy słuchałem mówiących o przedmiotach najbardziej dla mnie obcych — odparł Wilhelm — zawszem sobie umiał z tego coś przyswoić. Wszystko bowiem, co jednego interesuje człowieka, znajdzie też oddźwięk w innym.

— Przypuściwszy, że zdobył się na pewną swobodę ducha — odpowiedział tamten. — A ponieważ domyślamy się jej w panu, to ze swojej przynajmniej strony nie będę stawiał przeszkody pozostaniu pana.

— Ale co pocniemy z Feliksem — zapytała Makaria — który, jak widzę, już się załatwił z oglądaniem owych obrazów i okazuje pewną niecierpliwość?

— Pozwólcie mi powiedzieć coś do ucha tej pani — odrzekł Feliks, szepcząc coś po cichu Anieli, która się z nim oddaliła, ale wróciła niebawem, uśmiechając się, kiedy przyjaciel domu zaczął mówić w sposób następujący:

— W takich wypadkach, gdy trzeba wypowiedzieć jakieś potępienie, naganę albo tylko wątpliwość, niechętnie podejmuję inicjatywę. Szukam sobie powagi, przy której mógłbym się uspokoić, widząc, że ktoś inny jest przy moim boku. Pochwałę daję bez skrupułu, bo dla czegoż miałbym milczeć, jeśli mi się coś podoba? Chociażby to nawet wyrażało moją ograniczoność, to się jej wstydzic nie potrzebuję. Ale jeżeli ganię, to zdarzyć mi się może, iż odrzucę coś wybornego, a przez to ściągam na siebie potępienie innych, którzy się na tym lepiej znają. Muszę się cofnąć, zostawszy objaśnionym. Z tego powodu przynoszę tu ze sobą rzeczy pisane, a nawet tłumaczenia, gdyż w takich kwestiach nie mniej nie wierzę swemu narodowi, jak sobie samemu. Zgoda z dali i z obczyzny daje mi jakby większą pewność.

Otrzymawszy pozwolenie, zaczął tedy czytać, co następuje...

Atoli jeżeli się czujemy zmuszeni, żeby nie pozwolić czytać temu zacnemu mężowi, to prawdopodobnie łaskawcy nasi przyjmą to z uznaniem. To bowiem, co powyżej powiedziano przeciw obecności Wilhelma przy tej rozmowie, jeszcze lepiej zastosować się daje w wypadku, w jakim my się znajdujemy. Przyjaciele nasi wzięli do ręki romans. A jeśli ten tu i owdzie stał się już więcej, niż potrzeba, dydaktyczny, uważamy przecież za rzecz słuszną nie wystawiać cierpliwości naszych życzliwych na dalszą próbę. Papiery, które mamy przed sobą, zamierzamy wydrukować gdzie indziej, a tym razem ciągniemy dalej część historyczną, zwłaszcza, że sami jesteśmy niecierpliwi ujrzeć wreszcie wyjaśnienie istniejącej tu zagadki.

Nie możemy się wszakże powstrzymać, by nie wzmiankować o tym, o czym jeszcze mówiono przed wieczornym rozstaniem się tego szlachetnego towarzystwa.

Wilhelm, wysłuchawszy uważnie owego odczytu, oświadczył bez ogródki:

— Słyszę tu o wielkich darach przyrody, zdolnościach i zręcznościach, a przecież w końcu, przy ich zastosowaniu, o niejednej wątpliwości. Gdybym się miał o tym zwięźle wyrazić, to bym zawołał: „Wielkie myśli i czyste serce; oto, co byśmy sobie u Boga wyprosić powinni!”.

Dając poklask tym rozsądnym słowom, rozeszło się zgromadzenie. Ale astronom obiecał Wilhelmowi, że będzie mógł tej wspaniałej, jasnej nocy uczestniczyć doskonale w cudach gwiazdami usianego nieba.

W kilka godzin potem wprowadził astronom gościa swego po schodach kręconych do obserwatorium i w końcu umieścił go na całkiem wolnej płaszczyźnie okrągłej, wysokiej wieży. Nadzwyczaj pogodna noc, świecąc i iskrząc wszystkimi gwiazdami, otaczała patrzącego, któremu się zdało, że po raz pierwszy dopiero ogląda wyniosłe sklepienie niebieskie w całej jego wspaniałości. W życiu bowiem powszednim, pomijając niełaskawą pogodę, która nam zakrywa blask eteru, przeszkadzają nam już to w domu dachy i szczyty, już to na zewnątrz lasy i skały, a najbardziej — wszędzie — wewnętrzne niepokoje umysłu, które bardziej od mgły i słoty zaciemniają nam wszelkie widoki, chwiejąc się w tę i ową stronę.

Przejęty i zdziwiony, zakrył sobie oczy. Ogrom przestaje być wzniosły, przekracza siłę naszego pojęcia, grozi nam zniszczeniem.

— Czymże ja jestem wobec wszystkości? — rzekł on do ducha swego. — Jak ja się mogę jej przeciwstawić, jak ja mogę stać w jej środku?

Po krótkim atoli namyśle ciągnął dalej:

— Wynik naszego dzisiejszego wieczoru rozwiązuje także zagadkę chwili obecnej. Jakże się może człowiek postawić wobec nieskończoności, jeżeli nie w ten sposób, że wszystkie siły duchowe, targane w różne strony, zgromadzi w swej najbardziej wewnętrznej głębi, że się zapyta: „Czy możesz choćby tylko pomyśleć siebie w środku tego wiecznego żywego porządku, żeby się równocześnie nie obudziło w tobie coś wspaniale ruchomego, co krąży wokół czystego ogniska? A nawet gdyby ci było trudno odnaleźć to ognisko w swej piersi, to poznasz je po tym, że z niego wychodzi życzliwe, dobroczynne działanie i daje o nim świadectwo. Ale kto może, kto zdoła spojrzeć na minione swe życie, nie popadając w błąd do pewnego stopnia, gdyż po większej części przekona się, że wola jego była prawa, czyn jego fałszywy, pożądanie jego nagany godne, a jednak osiągnięcie pożądane? Ileż razy widziałeś światło tych gwiazd i czyż w każdej chwili nie zastały cię innym? A one zawsze są te same i mówią zawsze to samo. „Oznaczamy, powtarzają one, swoim ruchem prawidłowym dzień i godzinę”. Zapytaj się też siebie, jak się zachowujesz wobec dnia i godziny? I tym razem mogę odpowiedzieć: „Obecnego stosunku swego wstydzę się nie potrzebuję. Zamiarem moim jest przywrócić pożądane połączenie wszystkich członków pewnego szlachetnego kółka rodzinnego. Drogę mam wskazaną. Mam zbadać, co rozłącza dusze szlachetne. Mam usunąć przeszkody, jakiegokolwiek by one były”. To możesz wyznać wobec tych niebiańskich zastępów. Gdyby zważyły na ciebie, uśmiechnęłyby się wprawdzie z twojej ograniczoności, ale niewątpliwie uczciłyby twoje przedsięwzięcie i sprzyjałyby jego wykonaniu.

Z takimi słowy i myślami odwrócił się, by się obejrzeć wokół, i wpadł mu w oko

Gwiazda, Niebo

Jowisz⁹⁰ — gwiazda szczęścia, świecąca tak wspaniale jak nigdy. Wziął to za pomyślną wróżbę i w tym przyglądaniu się trwał wesoło czas jakiś.

Zaraz potem zawołał go astronom do zejścia i pozwolił mu się przyjrzeć — jako cudowi niebieskiemu — tej samej właśnie gwiazdzie przez doskonały teleskop, w znacznym powiększeniu, w towarzystwie jej księżyców.

Po długim zatopieniu się w obserwacji, przyjaciel nasz odwrócił się i rzekł do amatora gwiazd:

— Nie wiem, czy mam dziękować panu, żeś pan to ciało niebieskie tak nadzwyczajnie blisko do mnie przysunął. Kiedym patrzył na nie poprzednio, pozostawało ono w oznaczonym stosunku do innych niezliczonych i do mnie samego. A teraz występuje ono w wyobraźni mojej bez żadnego ustosunkowania i nie wiem, czy by nie należało życzyć sobie, żeby i reszta zastępów w takiej samej mierze się zbliżyła. Ograniczasz mnie pan, przejmujesz bojaźnią.

I tak się rozwodził dalej przyjaciel nasz według zwyczaju swego, a przy tej sposobności mówiło się o niejednej rzeczy nieprzewidywalnej. W odpowiedzi na słowa uczonego w swym zawodzie rzekł Wilhelm:

— Rozumiem doskonale, że wam, znawcom nieba, największą to sprawiac musi przyjemność, gdy cały, olbrzymi wszechświat ku sobie tak powoli ściągacie, jak ja tu widziałem i widzę tę planetę. Pozwól mi pan jednak wypowiedzieć swe zdanie. Przekonałem się w życiu w ogóle i przeciętnie, że te środki, którymi zmysłem naszym dopomagamy, nie wywierają bynajmniej dobrego moralnie skutku na człowieka. Kto patrzy przez okulary, uważa się za mędrszego, niż jest, gdyż zmysł jego zewnętrzny zachwiany bywa przez to w swej równowadze z wewnętrzną zdolnością sądzenia. Potrzeba do tego wyższej kultury, do której zdolni są wyborowi tylko ludzie, by prawdę wewnętrzną pogodzić jako tako z tym fałszem z zewnątrz napływającym. Ilekroć patrzę przez okulary, innym jestem człowiekiem i nie podobam się sobie samemu. Widzę więcej, niżbym widzieć powinien, a świat jaśniej widziany nie harmonizuje z moim wnętrzem. Odkładam więc szkła co prędzej, skoro tylko zaspokoję ciekawość, w jakim to lub owo w dali znajduje się stanie.

Po kilku żartobliwych uwagach astronoma, mówił Wilhelm dalej:

— Nie wypędzimy ze świata szkieł tych, tak samo jak innych maszyn. Ale dla badacza obyczajów ważną jest rzeczą przekonać się i wiedzieć, skąd się wślizgnęło do ludzkości niejedno, na co się uskarżamy. Tak np. jestem przeświadczony, że zwyczaj noszenia okularów przybliżających jest głównie winą zarozumiałości młodzieży naszej.

Wśród tych rozmów noc daleko się posunęła, po czym doświadczony w czuwaniu mąż zaproponował swemu młodemu przyjacielowi położyć się na łóżku składanym i przespać się nieco, by potem świeższym wzrokiem ujrzeć i powitać poprzedzającą wschód słońca *Wenus*⁹¹, która dziś właśnie obiecywała się ukazać w całkowitym swym blasku.

Wilhelm, który się do tej chwili trzymał tego i rzeško, poczuł się, przy tym napomnieniu życzliwego i troskliwego męża, istotnie wyczerpany. Położył się i natychmiast wpadł w sen bardzo głęboki.

Obudzony przez gwiazdźdźiarza⁹², podskoczył Wilhelm i pośpieszył do okna. Tam zdumiał się, przypatrywał się chwilę nieruchomo, a potem zawołał z zapalem:

— Co za wspaniałość! Co za cuda!

Nastąpiły potem inne słowa zachwyty, ale widok pozostał dla niego wciąż cudem, wielkim cudem.

— Że ta miła gwiazda, ukazująca się dzisiaj w pełni i wspaniałości jak rzadko, zadziwi pana swym pojawieniem się, mogłem przewidywać. Ale muszę powiedzieć, nie narażając się na zarzut chłodu, że tu nie widzę cudu, żadnego zgoła cudu!

— I jakżebyś pan mógł widzieć — odparł Wilhelm — kiedy ja go ze sobą przynoszę, w sobie mam, kiedy nie wiem, co się ze mną dzieje! Pozwól mi się pan jeszcze popatrzeć w milczeniu i podziwie, a potem posłuchasz.

Po pewnej przerwie mówił dalej:

— Leżałem we śnie spokojnym, ale głębokim, gdy wtę znalazłem się w sali wczorajszej, lecz sam jeden. Zielona portiera rozstąpiła się, fotel Makarii posuwał się naprzód

⁹⁰Jowisz — gazowy olbrzym; piąta, największa planeta Układu Słonecznego. [przypis edytorski]

⁹¹Wenus — druga od Słońca planeta Układu Słonecznego. [przypis edytorski]

⁹²gwiazdźdźiarz (daw.) — astronom. [przypis edytorski]

sam przez się jakby istota żywa, błyszcząc jak złoto. Jej szaty wydawały się kapłańskie, a wzrok jej promieniał łagodnie. Zamierzałem upaść na kolana. U jej nóg skłębily się obłoki, podnosząc się na podobieństwo skrzydeł, wznosiły świętą postać w górę. Zamiast jej wspaniałego oblicza, ujrzałem w końcu między rozstępującymi się chmurami jaśniejącą gwiazdę, która, ciągle idąc coraz wyżej, złączyła się przez otwarte sklepienie z całym firmamentem⁹³ gwiaździstym, który wciąż się jakby rozszerzał, wszystko obejmując. W tej właśnie chwili pan mnie budzisz. Upojony snem, zataczam się ku oknu z ową gwiazdą żywo jeszcze w oku mi tkwiącą. A kiedy spojrzę, oto przede mną rzeczywiście jutrzienka, tak samo piękna, chociaż może nie tak samo promiennie wspaniała! Ta rzeczywista, tam w górze unosząca się, gwiazda staje na miejscu śnionej i pochłania to, co było wspaniałego w zjawisku. A jednak wciąż patrzę i patrzę, i pan patrzysz razem ze mną na to, co właściwie wraz z mgłą snu powinno było zniknąć przed mych oczu.

Astronom zawołał:

— Cud, tak jest, cud! Sam pan nie wiesz, jakie cudowne wypowiadasz słowa. Oby to nie było przepowiednią odejścia wspaniałej kobiety, którą wcześniej czy później spotka podobna apoteoza.

Chcąc odszukać swego Feliksa, który się bardzo wcześniej wymknął po cichu, pośpieszył tego ranka Wilhelm do ogrodu i ku zdziwieniu swemu ujrzał go uprawianym przez pewną liczbę dziewcząt. Wszystkie, jeżeli nie piękne, to przynajmniej niebrzydkie — żadna nie zdawała się mieć lat dwudziestu. Ubrane były przeróżnie, stosownie do miejscowości, z których pochodziły; czynne, wesoło witały i pracowały dalej.

Spotkała go Aniela, która, kierując robotą i nadzorując ją, chodziła w tę i ową stronę. Gość wyraził wobec niej swój podziw dla tak ładnej i aktywnej kolonii.

— Ona nie umiera — rzekła Aniela — zmienia się, ale pozostaje wciąż taka sama. Bo z dwudziestym rokiem wchodzi one, jak i wszystkie mieszkanki naszego zakładu, w życie czynne, zazwyczaj w stan małżeński. Wszyscy młodzieńcy z sąsiedztwa, pragnący mieć dzielną małżonkę, bacznie spoglądają na to, co się u nas dzieje. A wychowanki nasze nie są bynajmniej trzymane w zamknięciu. Już się znajdowały na niejednym jarmarku, już były widziane, pożądane i zaręczone. Dlatego też wiele rodzin pilnuje tego, by, jak tylko będzie u nas miejsce, wprowadzić tu swoje dziewczęta.

Kiedy ta sprawa omówiona została, nie mógł gość ukryć przed swoją nową przyjaciółką życzenia, żeby raz jeszcze przejrzeć to, co wczoraj wieczór czytano.

— Myśl główną rozprawy pochwyliłem — rzekł — ale chciałbym także poznać dokładniej szczegóły, o których była mowa.

— Szczęściem — odparła tamta — jestem w możności zadośćuczynienia temu życzeniu natychmiast. Zapewniony panu tak szybko stosunek z naszym życiem najbardziej wewnętrznym uprawnia mnie do powiedzenia panu, że owe papiery są już w moich rękach i schowane zostały starannie wraz z innymi pismami. Moja pani — mówiła dalej — jest mocno przeświadczona o ważności rozmowy doraźnej. „Przy niej, powiada ona, spotyka się to, czego żadna książka nie zawiera, a także i to, co najlepszego zawierały kiedykolwiek książki”. Dlatego nałożyła na mnie obowiązek spisywania poszczególnych dobrych myśli, wytryskających z pomysłowej rozmowy jak ziarnka nasienne z wieloramiennej rośliny. „Jeżeli się wiecznie zapamiętuje rzeczy obecne, mówiła, to się doznaje rzetelnej radości z tradycji, znajdując myśl najlepszą już wypowiedzianą, najmilsze uczucie już wyrażone. Tym sposobem dochodzimy do pogładowego uznania owej jednomyślności, do czego człowiek jest powołany, do czego zastosować się musi nieraz wbrew swej woli, gdyż aż zanadto lubi sobie wyobrażać, że świat zaczyna się wraz z nim od początku”.

Aniela w dalszym ciągu zwierzyła się gościowi, że przez to powstało znaczne archiwum, z którego podczas nocy bezsennych odczytuje niekiedy Makarii jakieś pismo. A przy tej okazji w sposób zastanawiający nasuwają się tysiące szczegółów — tak właśnie, jakby spadła masa ręci i dzieliła się na wszystkie strony w różnorodne, niezliczone kuleczki.

Na jego pytanie, na ile archiwum to utrzymywane jest w tajemnicy, objaśniła, że w każdym razie najbliższe tylko otoczenie wie o nim, ale że ona bierze na siebie odpowiedzialność i ponieważ okazuje ochotę, pokaże mu zaraz kilku zeszytów.

⁹³*firmament* — niebo. [przypis edytorski]

W trakcie tej rozmowy w ogrodzie dostali się do zamku, a wchodząc do pokoju w oficynie, Aniela rzekła, uśmiechając się:

— Przy tej sposobności chcę powierzyć panu jeszcze jedną tajemnicę, na którą najmniej pan jesteście przygotowany.

Kazała mu następnie, poprzez firankę, zajrzeć do gabinetu, gdzie — naturalnie ku wielkiemu swemu zdziwieniu — ujrzał Feliksa, siedzącego i piszącego przy stole. I nie mógł zrazu odgadnąć powodu tej niespodziewanej pilności. Wkrótce jednak został objaśniony, gdy mu Aniela odkryła, iż ową chwilę zniknięcia swego na to użył, oświadczając, że pisanie i jazda konna są jedyną rzeczą, do której ma zamiłowanie.

Przyjaciel nasz został następnie wprowadzony do pokoju, gdzie mógł zobaczyć w szafach mnóstwo należycie uporządkowanych papierów. Rubryki różnorodnie wskazywały treść najrozmaitszą; rozważa i porządek przeświecały przez to. Gdy Wilhelm chwalił te zalety, Aniela zasługę ich przyznała przyjacielowi domu, powiadając, że on nie tylko dał zarys ogólny, ale w trudnych wypadkach umie dokładnie rozmieszczeniem pokierować, sam pisma przeglądając. Potem wyszukała rękopisy wczoraj odczytane i pozwoliła żądemu posługiwać się nimi jak i resztą — i nie tylko je przeglądać, lecz i kopiować.

Ale wtedy przyjaciel musiał się ogłędnie brać do dzieła, bo się znalazło aż zanadto rzeczy zajmujących i pożądaných. Szczególnie zeszyty z krótkimi, ledwie wiążącymi się ze sobą zdaniem, poczytał za najszacowniejsze. Były to ostateczne wyniki, które wydają się nam paradoksalne, jeżeli nie znamy ich pochodzenia, ale nas zmuszają, za pośrednictwem wstecznego wynajdywania i odkrywania, cofać się i uprzytamniać sobie, o ile można, filiację takich myśli z wywodami z daleka branymi, od dołu do góry. Z powodów wyżej przytoczonych nie możemy im tutaj udzielić miejsca. Nie zaniedbamy jednak pierwszej następczącej się sposobności i potrafimy we właściwym miejscu przedstawić w wyborze to, cośmy tu zdobyli.

*

Trzeciego dnia rano udał się przyjaciel nasz do Anieli i stanął przed nią nie bez pewnego zakłopotania.

— Dzisiaj muszę się rozstać — rzeki — i otrzymać ostatecznie polecenia od zacnej pani, do której niestety wczoraj przez dzień cały nie zostałem dopuszczony. Ale tu leży mi coś na sercu, w całym wnętrzu moim, względem czego pragnąłbym być objaśniony. Jeżeli to możliwe, racz mi, pani, wyświadczyć to dobrodziejstwo.

— Zdaje mi się, że rozumiem pana — rzekła miła dziewczyna — ale mów pan dalej.

— Sen cudowny — mówił Wilhelm — kilka słów poważnego astronoma, osobna, zamknięta szufladka w dostępnych szafach, z napisem *Właściwości Makarii...* Otóż te okoliczności łączą się z głosem wewnętrznym, mówiącym, że starania o owe światła niebieskie nie są może naukowym jedynie amatorstwem, dążnością do poznania wszechświata gwiazd; że owszem, przypuszczać należy, iż tu się kryje jakiś szczególny stosunek Makarii do ciał niebieskich, który poznać byłoby dla mnie rzeczą niezmiernie ważną. Nie jestem ani ciekawy, ani natarczywy, ale jest to tak ważny wypadek dla badacza ducha i myśli, że się nie mogę powstrzymać, by nie zapytać, czy by do tak znacznego zaufania nie zechciano dodać jeszcze i tego nadmiaru.

— Zgodzić się na to jestem upoważniona — odparła uprzejmie. — Dziwny sen pański został wprowadzić tajemnicą dla Makarii, ale ja z przyjacielem domu zastanawiałam się i rozmyślałam nad szczególnym zatapianiem się pana duchowym, nad niespodziewanym ogarnianiem tajemnic najgłębszych. I możemy się ośmielić, by pana dalej poprowadzić. Pozwól mi pan mówić najprzód za pomocą porównania! W rzeczach trudnych do pojęcia dobrze jest dopomagać sobie w ten sposób. Jak się mówi o poecie, że żywioły świata moralnego są w głębi natury jego ukryte i tylko się powoli następnie rozwijają, że mu nic w świecie nie pojawia się naocznym, czego by nie znał poprzednio w przeczuciu, tak samo, jak się zdaje, stosunki naszego Układu Słonecznego od samego początku są z gruntu wrodzone Makarii, zrazu w stanie spoczynku, potem w stopniowym rozwoju, a dalej w coraz to wyraźniejszym ożywianiu się. Najprzód cierpiała z powodu tych zjawisk, potem znajdowała w nich przyjemność, a z latami rósł jej zachwyty. Nie wprzód jednak doszła

w tej mierze do zgody ze sobą i uspokojenia, aż pozyskała sobie pomocnika, przyjaciela, którego zasługi już pan poznałeś dostatecznie. Jako matematyk i filozof, niedowiaręk z początku, długo powątpiewał, czy to spostrzeżenie nie jest wdrożone przez naukę. Gdyż Makaria wyznać musiała, że wcześniej zaczęła się uczyć astronomii i zajmowała się nią namiętnie. Przy tym jednak oznajmiła, że przez wiele lat życia swego zestawiała i porównywała zjawiska wewnętrzne ze spostrzeżeniami zewnętrznymi, ale nigdy nie mogła znaleźć zgody między nimi. Uczony kazał sobie następnie jak najdokładniej przedstawić to, co widziała, a co kiedy niekiedy tylko było dla niej zupełnie wyraźne. Zrobił obliczenia i wywnioskował z nich, że ona nie tylko nosi w sobie cały Układ Słoneczny, ale nadto porusza się w nim duchowo, jako jego część integralna. Postępował dalej stosownie do tego przypuszczenia, a jego obrachowania zostały w sposób niesłychany potwierdzone jej słowami. Tyle tylko mogę tym razem powierzyć panu, a i to objawiam z tą usilną prośbą, abyś pan o tym nikomu słowa nie powiedział. Bo czyżby każdy rozsądny i rozumny, przy najserdeczniejszej życzliwości, nie mógł uważać i uznać takich zdań za fantazje, za źle zrozumiane przypomnienia dawniej przyswojonej wiedzy? Sama nawet rodzina nie wie o tym dokładnie. Te tajemnicze spostrzeżenia, te zachwycające widziadła uchodzą wśród jej krewnych za chorobę, która jej chwilowo nie pozwala brać udziału w świecie i jego sprawach. Zachowaj to, przyjacielu, w cichości i nie daj nawet nic poznać po sobie wobec Leonarda.

*

Pod wieczór został wędrowiec nasz przedstawiony raz jeszcze Makarii. Mówiono o niej jednej rzeczy pouczającej z wdziękiem — z czego wybieramy, co następuje:

„Z natury nie posiadamy żadnej wady, która by się zaletą, ani żadnej zalety, która by się wadą stać nie mogła. Zalety bywają właśnie najbardziej niebezpieczne. Do tej uwagi dał mi pochop szczególnie dziwny siostrzeniec, młodzian, o którym słyszałeś pan wśród rodziny niejedną osobliwość, a którego ja, zdaniem moich krewnych, traktuję z większymi, niż by należało, względami i miłością.

Od samej młodości rozwinęła się w nim pewna dzielna, techniczna zręczność, której się oddał całkowicie i w której doszedł szczęśliwie do niejakej biegłości i mistrzostwa. Później wszystko, co z podróży swoich przysyłał do domu, było zawsze jakąś robotą ręczną, wykonaną niezmiernie kunsztownie, mądrze, subtelnie, delikatnie, a wskazywało kraj, w którym się właśnie znajdował, a który odgadywać musieliśmy. Z tego wniesć można by, że to jest człowiek suchy, niewspółczujący, zajęty wyłącznie zewnętrznymi pozorami. W rozmowie nie wykazywał uzdolnienia do wnikania w ogólne uwagi moralne. Ale w ciszy i w tajni⁹⁴ posiadał dziwnie subtelne, praktyczne poczucie dobrego i złego, chwalebnych i niechwalebnych rzeczy, tak że nigdy nie widziałam, żeby uchybił kiedykolwiek starszym czy młodszym, wyższym czy niższym. Ta wszelako wrodzona skrupulatność, nie będąc ujęta w karby, przetworzyła się w szczegółach w dziwną słabość. Gotów był wymyślać sobie obowiązki tam, gdzie ich nie wymagano, i zupełnie bez potrzeby uznać się kiedyś za dłużnika.

Z całego zachowania się jego podczas podróży, a zwłaszcza z przygotowań do powrotu, wnoszę, że uroił sobie, iż pewną istotę niewieścią z naszego kółka uraził, której los niepokoi go obecnie. Od czego by się uczuł uwolniony i wybawiony, gdyby się mógł dowiedzieć, że się jej dobrze dzieje. A o dalszych rzeczach pomówi z panem Aniela. Weź pan ten list i zgotuj rodzinie naszej szczęśliwe zebranie się razem. Szczerze mówiąc, pragnęłabym go raz jeszcze widzieć na tej ziemi i przy rozstaniu się ze światem serdecznie go pobłogosławić”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ciemnowłosa dziewczyna

Gdy Wilhelm szczegółowo i dokładnie wywiązał się ze swego polecenia, Leonard odpowiedział z uśmiechem:

⁹⁴tajnia (daw.) — tajemnica. [przypis edytorski]

— Jakkolwiek mocno jestem panu zobowiązany za to, czego się przez pana dowiaduję, muszę wszakże zadać jedno jeszcze pytanie. Czy ciocia nie zleciła panu w końcu donieść mi o jednej, na pozór mało znaczącej rzeczy?

Wilhelm namyślał się chwilę.

— Tak jest — rzekł następnie — przypominam sobie. Wzmiankowała o pewnej pannie, którą nazwała Waleryną. O niej miałem panu powiedzieć, że szczęśliwie poszła za męża i znajduje się w bardzo pomyślnym stanie.

— Kamień mi pan z serca odwalasz — odparł Leonard. — Chętnie teraz wrócę do domu, ponieważ nie potrzebuję się obawiać, że tam, na miejscu, wspomnienie owej dziewczyny stanie się dla mnie wyrzutem.

— Nie wypada mi pytać, jaki z nią pana łączył stosunek — rzekł Wilhelm — dość, że możesz pan być spokojny, jeśli w jaki bądź sposób interesujesz się losem dziewczęcia.

— Jest to najdziwniejszy stosunek w świecie — odrzekł Leonard — bynajmniej nie stosunek miłosny, jakby można było myśleć. Winienem zwierzyć się panu i opowiedzieć, co właściwie nie jest wcale jakąś historią. Ale co pan sobie pomyślisz, jeśli panu powiem, że zwlekanie moje z powrotem, że obawa znalezienia się znowu w mieszkaniu naszym, że te dziwne zabiegi i pytania o to, co się u nas dzieje, miały właściwie na celu to tylko, by pobocznie się dowiedzieć, jak się rzecz ma z tym dzieckiem! Bo wierz mi pan — mówił dalej — wiem ja zresztą doskonale, że ludzi, których się zna, można na czas jakiś opuścić i nie znaleźć z powrotem zmienionymi. Tak też sądzę, że i co do moich krewnych niebawem oswoję się z nimi całkowicie. O tę jedyną istotę mi chodziło, której stan musiał się zmienić i, niech niebu będą dzięki, zmienił się na lepszy.

— Zaciekawiasz mnie pan — rzekł Wilhelm. — Każesz mi się spodziewać czegoś bardzo osobliwego.

— Tak przynajmniej uważam — odparł Leonard i rozpoczął opowiadanie w sposób następujący: — Odbić zwyczajem uświęconą wycieczkę po ucywilizowanej Europie w latach młodzieńczych było mocnym postanowieniem, jakie od dzieciństwa powziąłem, a którego wykonanie odwlekało się, jak to bywa, ustawicznie. Najbliższe mnie przyciągało, zatrzymywało, a rzeczy odległe traciły powab coraz bardziej, im więcej czytałem lub słyszałem. Ale w końcu, pobudzony przez stryja i zwabiony przez przyjaciół, którzy się przede mną w świat puścili, powziąłem decyzję. I to prędzej, nim żeśmy się wszyscy opatrzyli.

Stryj mój, który właściwie najwięcej dokonać musiał, aby mi podróż umożliwić, o niczym już innym nie myślał. Znasz go pan i jego właściwość, iż zawsze ma na uwadze *jedno* tylko i tego dokonuje. A tymczasem wszystkie inne sprawy muszą spoczywać i milczeć, przez co niewątpliwie zrobił wiele takich rzeczy, które zdają się przechodzić siły konkretnego człowieka. Podróż ta przyszła nań w pewnej mierze niespodziewanie, ale potrafił się zaraz opanować. Zatrzymano kilka budowli, które zaprojektował, a nawet rozpoczął, a ponieważ nigdy nie chce on naruszać oszczędności swoich, obejrzał się, jako roztropny finansista, za innymi środkami. Najpierwszą rzeczą było ściągnięcie wierzitelności, a zwłaszcza rat dzierżawnych; i to bowiem należało do trybu jego postępowania, że względny był dla dłużników, dopóki sam do pewnego stopnia nic nie potrzebował. Pełnomocnik jego otrzymał listę; jemu też pozostawiono wykonanie. O szczegółach nic żeśmy nie wiedzieli, tylko mimochodem posłyszałem, że dzierżawca jednego z majątków naszych, względem którego stryj długo był cierpliwy, miał być wreszcie rzeczywiście wypędzony, kaucja jego dla wielce skąpego pokrycia niedoboru zatrzymana, a majątek wydzierżawiony komuś innemu. Człowiek ten był z rodzaju hreczkosiejów⁹⁵, ale nie był przy tym, jak inni mu podobni, roztropny i aktywny. Lubiono go wprawdzie z powodu pobożności i dobroci, lecz ganiono jako gospodarza z racji słabostek jego. Po śmierci żony pozostała mu córka, którą nazywano cisawą⁹⁶ dziewczyną; chociaż obiecywała już stać się silną i stanowczą, była atoli zanadto młoda, ażeby brać się do rzeczy energicznie. Dość, że szło temu człowiekowi na opak, a względność mego stryja nie mogłaby być powstrzymać jego losu.

⁹⁵*hreczkosiej* (daw.) — gospodarz zasiedziały na roli. [przypis edytorski]

⁹⁶*cisawy* — kolor czerwono-brunatny, ciemny. [przypis edytorski]

Miałem na myśli swoją podróż, a środki ku temu musiałem pochwalać. Wszystko było gotowe, pakowanie i rozwiązywanie szło swoją drogą, chwile goniły się. Pewnego wieczoru przebiegałem park raz jeszcze, aby się pożegnać ze znanymi drzewami i krzewami, gdy mi nagle zaszła drogę Waleryna — tak się bowiem zwała dziewczę, tamto było żartobliwym przydomkiem, spowodowanym ciemną cerą twarzy. Zaszła mi drogę!

Leonard zamilkł na chwilę, rozmyślając.

— Co mi to? — rzekł. — Czy się istotnie zwała Waleryna? Ależ tak — mówił dalej — tylko, że przydomek był częściej używany. Słowem, smagława dziewczyna zaszła mi drogę i prosiła minie usilnie, bym się dobrym słowem wstawił u mego stryja za jej ojcem i za nią. Wiedząc, jak się rzecz miała, i widząc, iż trudno, ba, niepodobna byłoby zrobić coś dla niej w tej chwili, powiedziałem jej to otwarcie i przedstawiłem w niepoehlebnym świetle postępowanie jej ojca.

Odpowiedziała mi na to z taką jasnością, a zarazem z taką dziecięcą oględnością i miłością, że mnie sobie całkowicie zjednała. I gdyby to była własna moja kasa, zaraz bym ją uszczęśliwił uwzględnieniem jej prośby. Ale to były dochody mego stryja, to były jego rozporządzenia, jego rozkazy. Wobec jego sposobu myślenia, wobec tego, co się do tej pory stało, nie można było niczego się spodziewać. Od dawna już uważałem obietnicę za rzecz arcy-świętą. Kto żądał czegoś ode mnie, wprawiał mnie w kłopot. Tak żem się przyzwyczaił odmawiać, że nie przyrzekałem nawet tego, co spełnić zamyslałem. Przyzwyczajenie to było i tym razem dogodne dla mnie. Jej dowodzenia opierały się na indywidualności i upodobaniu, moje na obowiązku i rozumie. I nie przeczę, że w końcu i mnie samemu wydały się one zbyt twarde. Jużśmy kilkakrotnie powtórzyli to samo, nie przekonywając się wzajemnie, kiedy konieczność uczyniła ją wymowniejszą. Nieunikniona zagłada, którą widziała przed sobą, wycisnęła jej łzy z oczu. Pewność siebie nie opuściła jej wcale, ale mówiła żywo, gestykulując. A kiedym ja wciąż jeszcze udawał chłód i obojętność, całe jej serce wyszło na wierzch. Pragnąłem zakończyć tę scenę, gdy nagle upadła mi do nóg, uchwyciła za rękę, pocałowała i tak na mnie spoglądała pocziwie, tak błagalnie miło, żem w tej chwili nie był świadom siebie samego. Rzekłem szybko, podnosząc ją: „Zrobię, co będzie można. Uspokój się, moje dziecko”. I zawróciłem na boczną drożynę. „Zrób pan, czego nie będzie można!”, zawołała za mną. Nie wiem już, co chciałem powiedzieć, ale rzekłem: „Będę...”. I zatrzymałem się. „Zrób to pan!”, zawołała nagle rozpogodzona, z wyrazem niebiańskiej nadziei. Pożegnałem ją i odszedłem.

Do stryja nie chciałem się zrazu udawać, znałem go bowiem aż nadto dobrze i wiedziałem, iż mu nie można było wspominać o szczegółach, kiedy całość wziął przed się. Szukałem pełnomocnika; odjechał. Wieczorem przybyli goście, przyjaciele, chcący się pożegnać. Grano i biesiadowano do późna w nocy. Pozostali nazajutrz, a rozrywki zatarły ów obraz natarczywej prośby. Pełnomocnik wrócił; więcej niż kiedykolwiek miał zajęcia i kłopotów. Każdy się oń pytał. Nie miał czasu mnie słuchać, jednakże zrobiłem próbę przytrzymania go. Ale zaledwem wzmiankował owego pobożnego dzierżawcę, napomniał mnie z żywością: „Na miłość boską, nie mów pan nic o tym stryjowi, jeżeli w końcu nie chcesz mieć jeszcze przykrości”.

Dzień odjazdu mego został wyznaczony. Musiałem pisać listy, przyjmować gości, składać wizyty sąsiadom. Moi ludzie wystarczali do dotychczasowej obsługi, ale bynajmniej nie byli zdadni do tego, aby mi ułatwić sprawę odjazdu. Wszystko spoczywało na mnie. A przecież, kiedy mi pełnomocnik dał wreszcie w nocy godzinę na uregulowanie naszych interesów pieniężnych, odważyłem się raz jeszcze wstawić za ojcem Waleryny. „Kochany baronie, odrzekł ruchliwy człowiek, jak panu może coś podobnego przyjść do głowy? I bez tego miałem ze stryjem pańskim ciężką przeprawę, gdyż to, czego pan potrzebuje, aby się stąd wydostać, wynosi daleko więcej, niż myśleliśmy. Rzecz to bardzo naturalna, lecz uciążliwa. Stary pan szczególnie bywa niezadowolony, kiedy się rzecz wydaje załatwiona, a jeszcze przecież w czymś kuleje. Ale to zdarza się często i my tam sobie dajemy z tym radę. Co do surowości, z jaką zaległe długi mają być ściągane, sam on sobie ustanowił prawo. Jest w tym względzie zgodny ze sobą i chyba niełatwo byłoby go nakłonić do ustępstwa. Nie rób pan tego, proszę pana! To zupełnie na próżno”.

Dałem się odstraszyć od tego kroku, ale nie całkiem. Nacierałem nań, żeby postępował łagodnie i wyrozumiale, ponieważ wykonanie zależało od niego. Obiecywał wszystko, zwykłym trybem takich osób, ażeby mieć spokój w danej chwili. Pozbył się mnie. Po-

śpiech i rozerwanie wzrastały! Siedziałem w powozie i odwracałem się od wszelkiego współludziału, jaki mogłem mieć w domu.

Z żywym wrażeniem bywa tak jak z inną raną. Nie czuje się jej, kiedy się ją odbiera. Dopiero potem zaczyna dolegać i jątrzyć się. Tak się i mnie zdarzyło z owym spotkaniem w ogrodzie. Ile razy byłem samotny, ile razy byłem niezajęty, stawał przed duszą moją ów obraz błagającej dziewczyny, z całym otoczeniem, z każdym drzewem i krzakiem, z miejscem, na którym klęczała, z drogą, którą poszedłem, by się od niej oddalić... Słowem, całość jakby świeżo odbita. Było to wrażenie niewygasłe, które przez inne obrazy i uczucia mogło być wprawdzie zacienione, zakryte, ale nigdy zniszczone. Wciąż odnawiane, występowało ono w każdej spokojnej godzinie. A im dłużej trwało, tym boleśniej odczuwałem winę, jaką ściągnąłem na siebie wbrew moim zasadom i mojemu przyzwyczajeniu, chociaż niewyraźnym, lecz zajękliwym⁹⁷, po raz pierwszy w takim wypadku zakłopotanym przyrzeczeniem.

W pierwszych listach nie zaniedbałem zapytać pełnomocnika naszego, jak sprawa poszła. Odpowiedział wymijająco. Potem zawiesił odpowiedź na ten szczegół, następnie słowa jego były dwuznaczne, w końcu zamilkł zupełnie. Odległość wzrastała, więcej przedmiotów wcisnęło się między mnie a moją ojczyznę. Musiałem zrobić niejedno spostrzeżenie, musiałem brać udział w niejednej rzeczy. Zniknął obraz, zniknęła dziewczyna wraz z imieniem prawie. Rzadziej pojawiało się jej wspomnienie. A zachcianka moja, by się ze swoimi porozumiewać nie za pomocą listów, lecz znaków, wiele się do tego przyczyniła, żeby dawniejszy stan mój ze wszystkimi warunkami swymi niemal zanikł. Teraz dopiero, kiedy się znowu zbliżam do domu, kiedy zamierzam oddać rodzinie mojej z procentami to, bez czego się dotychczas obchodziła, teraz właśnie ten żal dziwny (sam go dziwnym nazwać muszę) znów mnie z całą potęgą opanowuje. Postać dziewczyny odświeża się wraz z postaciami moich krewnych. I niczego bardziej się nie lękam, jak usłyszeć, iż ona przepadła wśród tego nieszczęścia, w które ją popchnąłem, gdyż niedopełnienie obietnicy wydało mi się działaniem na jej zgubę, pogorszeniem jej smutnego losu. Tysiącrotnie powiedziałem już sobie, że uczucie to jest w gruncie rzeczy słabością, żem od początku do owego prawa nieprzyrzekania nigdy popchnięty został obawą żalu, nie zaś szlachetniejszą jakąś pobudką. A oto żal ów, którego unikałem, zdaje się mścić na mnie, chwytając się tego wypadku zamiast tysiąca innych, ażeby mnie dręczyć. Przy tym ten obraz, to wyobrażenie, co mnie męczy, jest tak przyjemne, tak miłe, że lubię przy nim bawić. A kiedy myślę o tym, to pocałunek, jaki wycisnęła na mej ręce, teraz jeszcze piec się zdaje.

Leonard zamilkł, a Wilhelm odrzekł szybko i wesoło:

— Nie mógłbym więc wyświadczyć panu większej przysługi niż dodatkiem do mego sprawozdania, jak to nieraz przypisek zawierać może najbardziej interesującą część listu. Mało wiem wprawdzie o Walerynie, gdyż dowiedziałem się o niej mimochodem tylko, ale z pewnością jest ona żoną zamożnego właściciela ziemskiego i żyje zadowolona, jak mnie zapewniała ciotka jeszcze przy pożegnaniu.

— Doskonale! — odrzekł Leonard. — Teraz nic mnie nie zatrzymuje. Dałeś mi pan rozgrzeszenie. Natychmiast tedy jedziemy do krewnych, którzy i tak już dłużej na mnie, niż wypada, czekają.

Wilhelm odparł na to:

— Niestety, nie mogę panu towarzyszyć, gdyż krępuje mnie dziwne zobowiązanie: nigdzie nie bawić dłużej nad dni trzy i nie wracać przed rokiem do miejsc, które opuszczam. Daruj mi pan, że nie mogę wyjawić powodu tego dziwactwa.

— Bardzo mi przykro — odrzekł Leonard — że tracimy pana tak rychło, że i ja także nie mogę w czymś współdziałać dla pana. Ale ponieważ już jesteś pan na drodze czynienia mi dobrze, to mógłbyś mnie pan uczynić bardzo szczęśliwym, gdybyś pan odwiedził Walerynę, dokładnie się o jej położeniu wywiedzial i następnie, pisemnie lub ustnie (trzęcie miejsce spotkania łatwo się znajdzie), podał mi dokładną o tym wiadomość dla mego uspokojenia.

⁹⁷zająkliwy (daw.) — przypominający jęczenie. [przypis edytorski]

Omówiono propozycję szczegółowej, wskazano Wilhelmowi miejsce pobytu Waleryny. Podjął się odwiedzenia jej. Wyznaczono trzecie miejsce, dokąd miał przybyć baron i przywieźć Feliksa, który tymczasem pozostał z kobietami.

Przez czas jakiś Leonard i Wilhelm, jadąc konno obok siebie po rozkosznych łąkach podczas różnorodnej rozmowy, odbywali drogę wspólnie, póki się nie zbliżyli do gościńca i nie dopędzili powozu barona — powozu, który teraz konwojowany przez swego pana miał się znaleźć znowu w swym miejscu rodzinnym. Tu przyjaciele zamierzali się rozstać i Wilhelm w kilku uprzejmych słowach pożegnał się, obiecując baronowi raz jeszcze rychłą wiadomość o Walerynie.

— Zastanowiwszy się — odrzekł Leonard — że byłoby to bardzo małe zboczenie, gdybym towarzyszył panu, dlaczegóż bym ja sam nie miał odwiedzić Waleryny? Dlaczegóż bym sam nie miał się przekonać o jej szczęśliwym położeniu? Byłeś pan tak dobry, żeś się na posła ofiarował; dlaczegóż byś pan nie zechciał być moim towarzyszem? Bo towarzysza mieć muszę, moralnego rzecznika, tak jak się bierze prawnych rzeczników, jeżeli się uważa, iż się samemu nie da rady w rozprawie sądowej.

Zarzuty Wilhelma, że w domu oczekują nieobecnego od tak dawna, że zrobiłoby to dziwne wrażenie, gdyby powóz sam przybył i tym podobnie, nie skutkowały w przypadku Leonarda i Wilhelma musiał się w końcu zdecydować grać rolę towarzysza, przy czym z powodu następstw, których się można było obawiać, nie bardzo miło mu było na sercu.

Nauczono służących, co mają powiedzieć, przybywszy, a przyjaciele puścili się drogę, prowadzącą do miejsca zamieszkania Waleryny. Okolica wydawała się bogata i urodzajna — istotne siedlisko rolnictwa. A i w tym obszarze, który należał do męża Waleryny, ziemia była zupełnie dobra i uprawiona starannie. Wilhelm miał czas przyjrzeć się dokładnie krajobrazowi, gdy Leonard w milczeniu jechał obok niego. W końcu ten zaczął:

— Ktoś inny na moim miejscu starałby się może zbliżyć do Waleryny niepoznany, boć to zawsze przykre uczucie stawać w obliczu tej, którą się zraniło. Ale ja wolę tego się chwycić i znieść zarzut, którego się lękam od jej pierwszych spojrzeń, niżbym się miał od niego zabezpieczać zamaskowaniem i nieprawdą. Nieprawda może nas zarówno jak prawda wprowadzić w zakłopotanie. A jeżeli zważymy, jak często ta lub tamta korzyść nam przynosi, to zawsze chyba się opłaci raz na zawsze oddać się prawdzie. Idźmy tedy naprzód z ufnością. Nazwę się po imieniu, a pana wprowadzę jako mego przyjaciela i towarzysza.

Przybyli tedy na dziedziniec i zsiadli w jego obrębie. Poważny mężczyzna, ubrany w prosty sposób, którego mogli poczytać za dzierżawcę, wystąpił na ich powitanie i przedstawił się jako pan domu. Leonard wymienił swoje nazwisko, a właściciel wydawał się niezmiernie uradowany, że go widzi i że znajomość z nim zawiera.

— Co też powie moja żona — zawołał — kiedy zobaczy znowu siostrzeńca swego dobroczyńcy! Nie może się ona dosyć nawspominać i naopowiadać, co ona i jej ojciec zawdzięczają pańskiemu stryjowi.

Jakież dziwne uwagi krzyżowały się rączo w umyśle Leonarda! „Czy ten człowiek, wyglądający tak uczciwie, kryje swą gorycz poza uprzejmą twarzą i gładkimi słowami? Czyżby on potrafił zarzutom swoim nadać tak miłą powierzchowność? Bo czyż stryj mój nie uczynił tej rodziny nieszczęśliwą? I czyżby to mogło pozostać mu nieznaną? Albo też — tak myślał sobie, nabierając rychło otuchy — może sprawa nie poszła tak źle, jak sobie wyobraższ? Boć całkiem pewnej wiadomości nie miałeś nigdy”. Takie przypuszczenia w nim się kłębiły, kiedy pan domu polecił zaprzęgać, aby kazać przywieźć żonę, która pojechała w odwiedzinach do sąsiadów.

— Jeżeli tymczasem, zanim przybędzie żona, mam pana zabawić po swojemu, a zarazem załatwić w dalszym ciągu swoje zajęcia, to proszę pójść wraz ze mną w pole i obejrzeć, jak ja gospodarstwo swoje prowadzę. Gdyż dla pana, jako wielkiego posiadacza ziemskiego, nic chyba ważniejsze nie jest jak szlachetna umiejętność, szlachetna sztuka uprawiania roli.

Leonard nie przeczył, Wilhelm lubił się uczyć, a rolnik znał doskonale swoją ziemię, którą nieograniczenie posiadał i opanował. Co przedsiębrał, było zgodne z zamiarem; co zasiewał i sadił, to zupełnie na właściwym miejscu. Umiał sposób gospodarowania i jego przyczyny tak wyraźnie wyluszczyć, że każdy to zrozumiał i uważałby za rzecz możliwą zrobić i sprawić to samo — złudzenie, w które się łatwo popada, kiedy się przypatruje mistrzowi, któremu wygodnie wszystko idzie od ręki.

Prawda, Kłamstwo, Fałsz

Wieś, Ziemia

Goście okazali się bardzo zadowoleni i rozplywali się w pochwałach i uznaniu. Przyjmował to wdzięcznie i uprzejmie, lecz zarazem dodał:

— Ale muszę też panom pokazać swoją słabą stronę, którą wprawdzie każdy zauważyć może, kto się wyłącznie oddaje pewnemu przedmiotowi.

Poprowadził ich na dziedziniec, pokazał im swoje narzędzia, ich zasoby, jak niemniej zapas wszystkich możliwych sprzętów i ich przynależności⁹⁸.

— Często mnie ganiono — rzekł przy tym — że w tej mierze idę za daleko. Ale ja się za to łajać nie mogę. Szczęśliwy jest ten, komu jego zajęcie staje się też lalką, kto z nim w końcu igra nawet i tym się bawi, co mu jego położenie jako obowiązek nakazuje.

Obaj przyjaciele nie zaniedbali też pytań i wywiadywań. Zwłaszcza Wilhelm cieszył się z ogólnych uwag, do których człowiek ten wydawał się usposobiony i nie pomijał odpowiedzi na nie. Tymczasem Leonard, bardziej w sobie zamknięty, współczuł w cichości szczęściu Waleryny, które w tym położeniu uważał za pewne, doświadczał jednak niewyraźnego uczucia niesmaku, z którego sprawy sobie zdać zgoła nie umiał.

Powrócono już do domu, kiedy zajechał powóz właścicielki. Pośpieszono naprzeciw niej. Ale jakże się zdziwił, jak się przeraził Leonard, ujrawszy ją wysiadającą. To nie była ona, to nie była cisawa dziewczyna, raczej coś wprost przeciwnego — piękna wprawdzie, wysmukła postać, ale jasnowłosa, ze wszystkimi zaletami właściwymi blondynkom.

Ta piękność, ten wdzięk przeraziły Leonarda. Czy jego szukały smagławej dziewczyny, a tu zabłysnęła przed nim zupełnie inna. I jej rysy przypominał sobie. Jej mowa, jej zachowanie się rozproszyły niebawem wszelką niepewność — była to córka sędziego, który cieszył się wielkim poważaniem u stryja, i dlatego tenże przy jej wyposażeniu zrobił bardzo wiele i młodej parze pomoc dawał. Wszystko to i więcej jeszcze opowiedziała wesoła młoda kobieta przy pierwszym powitaniu, z tą radością, jaką pozwala wyrazić niewymuszenie niespodzianka spotkania. Pytano, czy się wzajem siebie poznaje, omawiano zmiany w postaci, które się dość wyraźnie dają zauważyć w osobach tego wieku. Waleryna zawsze była miła, ale najprzyjemniejsza wówczas, kiedy wesołość wyrwała ją ze zwykłego, obojętnego stanu. Towarzystwo było rozmowne i zabawa tak żywa, że Leonard mógł nad sobą zapanować i ukryć swoje zdziwienie. Wilhelm, któremu przyjaciel dosyć rychło dał wskazówkę co do tego dziwnego zdarzenia, robił, co było można, ażeby mu dopomagać, a małeńka próżność Waleryny, że baron, zanim jeszcze swoich zobaczył, o niej sobie przypominał, do niej zajechał, nie pozwoliła jej mieć najmniejszego nawet podejrzenia, że tu był inny zamiar lub że zaszło nieporozumienie.

Do późna w nocy bawiono ze sobą, chociaż obaj przyjaciele tęsknili za poufną rozmową, która się też zaraz rozpoczęła, jak tylko zostali sami w pokoju gościnnym.

— Nie uwolnię się, jak widzę — rzekł Leonard — od swojej męczarni. Nieszczęsne pomieszanie imion, jak uważam, podwaja ją. Tę jasnowłosą piękność widziałem często bawiącą się z tamtą ciemną, której pięknoscią nazwać nie było można. Co więcej, chociaż o wiele starszy, uganiałem się wraz z nimi po polach i ogrodach. Ani jedna, ani druga nie robiły na mnie wrażenia najmniejszego. Zachowałem tylko w pamięci imię jednej i przeniosłem je na drugą. A teraz znajduję tę, która nic mnie nie obchodzi, szczęśliwa po swojemu nad miarę, kiedy druga kto wie, gdzie się w świecie podziewa.

Następnego poranka przyjaciele prawie wcześniej wstali od czynnych rolników. Przyjemność zobaczenia swych gości zbudziła równie wcześniej Walerynę. Nie domyślała się, w jakim usposobieniu przyszedli oni na śniadanie. Wilhelm, pojmując, że bez wiadomości o ciemnowłosej dziewczynie Leonard znajduje się w najprzykrzejszym położeniu, zwrócił rozmowę na dawniejsze czasy, na towarzyszeń zabawę, na mieszkanie, które znał sam, na inne wspomnienia, tak że w końcu Waleryna w sposób całkiem naturalny doszła do wzmianki o cisawej dziewczynie i wymówiła jej imię.

Zaledwie Leonard usłyszał imię Nachodyny, doskonale je zaraz przypomniał sobie. Ale wraz z imieniem powrócił obraz owej prosiącej, i to z taką siłą, że mu dalsze wiadomości nieznośne się stały. Kiedy Waleryna z gorącym współczuciem opowiadała o fantowaniu⁹⁹ pobożnego dzierżawcy, o jego rezygnacji, o jego odejściu, jak się wspierał na swej córce, niosącej małe zawiniątko, Leonard sądził, że się zapada. Szczęściem czy nieszczę-

⁹⁸przynależność (daw.) — przynależność; tu: użytek, funkcja. [przypis edytorski]

⁹⁹fantować (daw.) — brać w zastaw, konfiskować. [przypis edytorski]

ściem, rozwiódła się Waleryna nad pewną drobiazgową okolicznością, która, rozdzierając serce Leonardowi, umożliwiła mu przecież, z pomocą towarzysza jego, okazanie niejakiemu panowaniu nad sobą.

Rozstano się wśród gorących, szczerych prośb pary małżeńskiej o rychłe odwiedzinę ponowne i chłodnej, udanej obietnicy obu gości. A jako człowiekowi, który sobie coś dobrego sprawia, wszystko się szczęści, tak i Waleryna milczenie Leonarda, widoczne jego roztargnienie przy pożegnaniu, szybkie oddalenie się wytłumaczyła na swoją korzyść. I chociaż była wierną i kochającą żoną dzielnego rolnika, nie mogła przecież nie znaleźć w swoim rozumieniu pewnego zadowolenia w budzącej się na nowo czy też świeżo powstającej skłonności swego dawniejszego dziedzica.

Po tym dziwnym zdarzeniu rzekł Leonard:

— Że wobec tak pięknych nadziei, tak bliźniutko przystani rozbijamy się, mogę się o tyle przynajmniej pocieszyć, na tę chwilę uspokoić i iść na spotkanie swych krewnych, kiedy rozważam, że niebo zesłało mi pana, któremu wobec jego właściwej misji obojętną jest rzeczą, dokąd i po co drogę swą zwraca. Weź pan to na siebie, by wyszukać Nachodynę i dać mi o niej wiadomość. Jeżeli ona jest szczęśliwa, to ja będę zadowolony. Jeśli jest nieszczęśliwą, to dopomóż jej pan na mój koszt. Działaj pan, nie oglądając się na nic, nic nie oszczędzając i nie ochraniając.

— Ale w którą stronę skierować mam kroki moje? — zapytał Wilhelm, uśmiechając się. Jeżeli pan nie masz żadnego przeczucia, to jakże ja mogę być nim obdarzony?

— Posłuchaj pan — odrzekł Leonard — zeszłej nocy, kiedyś mnie pan widział przechadzającego się bez ustanku w tę i ową stronę jakby w rozpacz, kiedyś w głowie i sercu wszystko przewracał namiętnie, zjawił się przed duszą moją stary przyjaciel, mąż czcigodny, który, chociaż mi właściwie nie ochmistrzował¹⁰⁰, na młodość moją miał wpływ wielki. Chętnie bym był uprosił go sobie na towarzysza podróży, przynajmniej częściowo, gdyby on nie był przez najpiękniejsze rzadkości artystyczne i starożytnie dziwnie związane ze swym mieszkaniem, które opuszcza ledwie na chwilę. Wiem, że on posiada rozgałęzione wiadomości o wszystkim, co na tym świecie wiąże się ze sobą jakąkolwiek szlachetną niają. Do niego pan pośpiesz, jemu opowiedz, com przedstawił panu, a można się spodziewać, że delikatne uczucie jego wskaże mu jakieś miejsce, jakąś okolicę, gdzie ją znaleźć da się. W udręczeniu moim przyszło mi na myśl, że ojciec dziewczęcia zaliczał się do pobożnych i w tej chwili stałem się dosyć pobożny, iżby się zwrócić do moralnego porządku świata i prosić, by się tu dla mnie objawił raczył cudownie.

— Jeszcze jedna trudność — zarzucił Wilhelm — pozostaje do załatwienia. Cóż ja pocznę ze swym Feliksem? Bo po tak całkiem nieznanym drogach nie chciałbym go ze sobą oprowadzać, a nie chciałbym go również opuścić, gdyż mi się zdaje, że syn nigdzie się lepiej nie rozwija jak w obecności ojca.

— Bynajmniej! — odparł Leonard. — To jest miłe, ojcowskie złudzenie. Ojciec zachowuje zawsze pewien rodzaj despotycznego stosunku względem syna, którego zalet nie uznaje, a cieszy się z jego błędów. Stąd już starożytni zwykli byli mawiać, że synowie bohaterów stają się nicponiami. A ja dość daleko rozejrzałem się po świecie, by w tej mierze jasne sobie wyrobić pojęcie. Na szczęście, stary nasz przyjaciel, do którego dam panu zaraz list naprędce skreślony, służyć będzie najlepszą informacją. Kiedyś go przed laty widział po raz ostatni, opowiadał mi niejedno o pewnym stowarzyszeniu pedagogicznym, które poczytywać musiałem za rodzaj utopii. Wydawało mi się, że przedstawiając obrazowo rzeczywistość, rozumiano tylko szereg idei, myśli, projektów i przedsięwzięć, które wprawdzie w ścisłym ze sobą pozostawały związku, ale chyba w zwykłym biegu rzeczy nie spotykały się razem. Ale ponieważ go znam, ponieważ chętnie chciałby za pomocą obrazów urzeczywistnić, co możliwe i co niemożliwe, nic na to nie mówiłem. A teraz przyda się to nam na coś. Potrafi on z pewnością wskazać nam miejsce i warunki oraz komu z ufnością będziesz pan mógł powierzyć swego chłopca i mieć nadzieję najpomyślniejszego wyniku pod mądrym kierunkiem.

Jadąc dalej i tak rozmawiając, spostrzegli ładną willę, budynek w smaku poważnie przyjemnym, wolną przed nim przestrzeń, a w szerokim, pięknym otoczeniu dobrze za-

¹⁰⁰*ochmistrzować* — pełnić obowiązki ochmistrza, urzędnika zarządzającego dworem i opiekuna dworskich dzieci. [przypis edytorski]

chowane drzewa; bramy i furtki atoli całkiem zamknięte, wszystko osamotnione, ale starranie utrzymane. Od człowieka w podeszłym wieku, który wydawał się zajęty u wejścia, dowiedzieli się, że to jest dziedzictwo młodzieńca, które mu, niedawno zmarły w sędziwym wieku, ojciec pozostawił.

Na dalsze zapytania otrzymali objaśnienie, że dziedzicowi, niestety, zanadto prędko się tu wszystko sprzykrzyło, że nie ma tu nic do roboty i że używać zapasów już istniejących nie jest jego rzeczą. Z tego powodu wyszukał sobie mieszkanie bliżej gór, gdzie dla siebie i towarzyszy swoich buduje chaty z mchu i chce założyć rodzaj pustelni myśliwskiej. Co się tyczyło samego opowiadacza, dowiedzieli się, że jest odziedziczonym wraz z dobrami burgrabią¹⁰¹, że dba jak najstaranniej o utrzymanie wszystkiego w całości i ochędóstwie¹⁰², ażeby wnuk jakiś może, wchodząc w usposobienie i posiadłość dziadka, zastał tu wszystko tak, jak ten zostawił.

Gdy przez czas jakiś w milczeniu dalszą drogę odbywali, wszczął Leonard rozmowę uwagą, że właściwością jest człowieka chcieć wszystko rozwijać od początku. Na co przyjaciel odpowiedział, że to daje się objaśnić i usprawiedliwić, gdyż przecież, ściśle mówiąc, każdy rzeczywiście zaczyna od początku.

— Toć nikomu — zawołał — nie są oszczędzone cierpienia, którymi dręczeni byli jego przodkowie. Czyż można mieć za złe, że i o ich radościach nic wiedzieć nie chce?

Leonard odparł na to:

— Ośmielasz mnie pan do wyznania, że ja właściwie na to tylko oddziaływać lubię, co sam stworzyłem. Nigdy nie znosiłem służącego, którego bym od lat chłopięcych sam nie wykształcił, ani konia, którego bym sam nie ujeździł. W następstwie tego sposobu myślenia winienem się także przyznać, że mnie niepowstrzymanie pociągają nader pierwotne stosunki, że podróże moje po wszystkich wysoko rozwiniętych krajach i ludach nie mogły zatrzeć tych uczuć, że wyobraźnia moja szuka zadowolenia za morzem i że zaniedbana dotychczas posiadłość rodzinna w owych świeżych okolicach przejmuję mnie nadzieją, iż plan, w cichości podjęty, a zgodnie z pragnieniami moimi powoli dojrzewający, da się w końcu przeprowadzić.

— Przeciw temu nic bym nie potrafił nadmienić — odparł Wilhelm. — Myśl taka, zwrócona ku rzeczom nowym i nieokreślonym, ma coś oryginalnego w sobie, wielkiego. Proszę tylko pamiętać, że przedsięwzięcie takie poszczęścić się może pewnemu ogółowi jedynie. Udajesz się pan za ocean i znajdujesz już tam, o ile wiem, majątki rodzinne. Moi noszą się z podobnymi planami i już się tam osiedlili. Niech się pan połączy z tymi przezornymi, roztroprnymi i dzielnymi ludźmi. Dla stron obu sprawa się przez to ułatwi i rozszerzy.

W trakcie takich rozmów dostali się przyjaciele do miejsca, gdzie już rozstać się mieli. Obaj zasiedli do pisania. Leonard polecał swego druha wzmiankowanemu już osobliwemu mężowi. Wilhelm przedstawiał związkowym stan swego nowego towarzysza życia — z czego, naturalnie, powstał list polecający, gdzie pod koniec przemówił za swoją sprawą, omawianą z Jarnem, i wykladał raz jeszcze powody, dla których pragnął być, jak można najprędzej, zwolniony od niedogodnego warunku, co go przeznaczał na Żyda Wiecznego Tułacza.

Po wymianie tych listów jednakże nie mógł Wilhelm powstrzymać się, by przyjacielowi swemu nie powierzyć pewnych obaw.

— W położeniu moim — rzekł on — uważam sobie za najbardziej pożądane zlecenie, bym ciebie, szlachetny mężu, oswobodził od pewnego niepokoju duszy, a zarazem ocalił od nędzy istotę ludzką, jeżeli by się w niej znajdowała. Cel taki poczytywać można za gwiazdę, za którą się żegluje, chociaż się nawet nie wie, co się po drodze zdarzy, co się po drodze napotka. Nie mogę atoli przy tym ukrywać przed sobą niebezpieczeństwa, w jakim się pan, bądź co bądź, wciąż jeszcze znajdujesz. Gdybyś pan nie był człowiekiem, wzbraniającym się stanowczo dawać słowo, żądałbym od pana przyrzeczenia, że tej istoty niewieściej, która tyle pana kosztuje, nie odwiedzisz, zadowolając się, jeśli doniosę, iż się jej powodzi, czy to, że ją istotnie szczęśliwą zastanę czy też, że będę mógł do szczęścia jej dopomóc. Ale ponieważ ani nie mogę, ani nie chcę zmuszać pana do przyrzeczenia,

¹⁰¹*burgrabia* — dawniej urzędnik w zamkach i miastach niemieckich. [przypis edytorski]

¹⁰²*ochędóstwo* (daw.) — porządek, czystość, schludność. [przypis edytorski]

zaklinam pana na wszystko, co mu jest drogie i święte, żebyś, ze względu na siebie, na swoich, i na mnie, nowo pozyskanego przyjaciela, nie pozwolił sobie pod jakimkolwiek pozorem na zbliżenie do owej zaniedbanej przez siebie kobiety; żebyś nie wymagał ode mnie, abym dokładniej określił albo zgoła wskazał miejscowość, gdzie ją znajdę, okolice, w której ją pozostawię. Uwierzysz pan mojemu słowu, że jej dzieje się dobrze, i będziesz rozgrzeszony i uspokojony.

Leonard uśmiechnął się i odparł:

— Wyświadczyć mi pan tę przysługę, a ja będę wdzięczny. Co pan zechcesz i będziesz mógł zrobić, zostawiam to panu. Pan zaś poruczysz¹⁰³ mnie czasowi, zrozumieniu, a jeżeli da się, rozsądkowi.

— Daruj pan — odrzekł Wilhelm — ale kto wie, pod jak dziwnymi formami skłonność się do nas zakrada, temu strasznie się robi, gdy przewiduje, że przyjaciel może pragnąć tego, co w jego położeniu, wśród jego stosunków przynieść koniecznie musi nie-szczęście i zamęt.

— Mam nadzieję — odpowiedział Leonard — że wiedząc o szczęściu dziewczyny, już się nią zajmować nie będę.

Przyjaciele rozłączyli się, dążąc każdy w swoją stronę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Krótką i przyjemną drogą przybył Wilhelm do miasta, do którego list jego był zaadresowany. Znalazł je wesołym i dobrze zabudowanym, ale nowy jego wygląd pokazywał aż nadto wyraźnie, że niedawno od pożaru ucierpieć musiało. Adres listu prowadził go do ostatniej, małej, ocalonej dzielnicy, do domu w staroświeckim, poważnym stylu, ale dobrze utrzymanego i czystego z zewnątrz. Mętne szyby, dziwnie powprawiane, wskazywały na rozkoszny przepych barw wewnątrz. I rzeczywiście — wewnątrz odpowiadało zewnętrznosci. W czystych izbach widać było wszędzie sprzęty, które zapewne kilku już pokoleniom służyły, pomieszane z niewielką liczbą nowych. Gospodarz przyjął gościa uprzejmie w pokoju tak samo urządzonego. Zegary tu wybiły już niejedną godzinę urodzin i śmierci, a co się wkoło znajdowało, przypominało, że i przeszłość może się przemienić w teraźniejszość.

Przybysz oddał list, który odbiorca, nie otwierając go, położył na boku i starał się poznać gościa swego bezpośrednio w pogodnej rozmowie. Niebawem oswoili się ze sobą, a gdy Wilhelm, wbrew zwyczajowi swemu, rzucił badawczo okiem po izbie, rzekł dobry starzec:

— Otoczenie moje pobudza uwagę pańską. Widzisz tu pan, jak długo trwać coś może, a trzeba widzieć i takie też rzeczy dla zrównoważenia z tym, co w świecie tak prędko się zmienia i przemija. Ten imbryk do herbaty służył już rodzicom moim i był świadkiem naszych wieczornych zebrań rodzinnych. Miedziany ekran kominkowy chroni mnie i teraz jeszcze przed ogniem, który ten stary, potężny pogrzebacz nagarnia. I tak się ze wszystkim już dzieje. Współudział i czynność mogłem tedy zwrócić na wiele innych przedmiotów, ponieważ nie zajmowałem się wcale zmienianiem tych potrzeb zewnętrznych, co tyle czasu i sił zabiera wielu ludziom. Upodobana baczność na to, co człowiek posiada, czyni go bogatym, gdyż przez nią gromadzi sobie skarbiec wspomnień o rzeczach obojętnych. Znałem pewnego młodzieńca, który przy pożegnaniu ukradł kochanej dziewczynie szpilkę, zapinał nią co dzień gors u koszuli i ten ukochany i pielęgnowany skarb przywiózł z powrotem po dalekiej, wieloletniej podróży. Nam, małym ludziom, poczytać to należy za cnotę.

— Ale też niejedyn z tak dalekiej wielkiej podróży przywozi na powrót w sercu kolec, którego by się może wolał pozbyć — odparł Wilhelm.

Stary, zdawało się, nic nie wiedział o stanie duszy Leonarda — chociaż właśnie w tej chwili otworzył i odczytał list — wrócił bowiem do uwag poprzednich.

— Chęć utrzymania się przy posiadaniu — ciągnął dalej — daje nam w niektórych wypadkach największą energię. Temu uporowi zawdzięczam uratowanie swego domu. Kiedy się miasto paliło, chciano także i u mnie uciekać i ocalać. Zabroniłem tego, rozkazałem zamknąć drzwi i okna i wraz z kilku sąsiadami zwróciłem się przeciwko płomie-

¹⁰³poruczyć (daw.) — powierzyć, oddać pod opiekę. [przypis edytorski]

niom. Dzięki wysiłkowi naszemu udało się utrzymać w całości ten cypel miasta. Nazajutrz wszystko u mnie stało tak, jak pan widzisz i jak od stu lat prawie stoi.

— Mimo to — rzekł Wilhelm — przynasz mi pan, że człowiek nie oprze się zmianie, jakiej czas dokonuje.

— Zapewne — odpowiedział starzec — ale przecież ten, co się utrzymuje najdłużej, dokonał także czegoś. Ba, nawet poza naszym istnieniem mamy możliwość utrzymywania i zabezpieczania. Przekazujemy wiadomości, przenosimy usposobienia tak samo jak majątki. A ponieważ mi tu głównie idzie o te drugie, od dawna tedy zachowywałem szczególną przezorność, obmyślałem osobliwe środki zapobiegawcze. Ale dopiero późno udało mi się widzieć życzenie swoje spełnione. Zazwyczaj syn rozprasza, co ojciec nagromadził, a gromadzi co innego lub w inny sposób. Ale jeżeli się można doczekać wnuka, nowego pokolenia, to się znowu pojawiają te same skłonności, te same poglądy. I tak to wskutek troskliwości naszych przyjaciół pedagogicznych, pozyskałem sobie w końcu dzielnego młodzieńca, który więcej jeszcze może ode mnie samego dba o przekazaną tradycyjnie posiadłość i uczuwa silną skłonność do rzeczy dziwacznych. Zaufanie swoje zdobył sobie stanowczo potężnymi wysiłkami, jakimi udało mu się ochronić mieszkanie nasze od ognia. Podwójnie i potrójnie zasłużył sobie na skarb, którego posiadanie jemu zostawić zamierzam. Ba, już się mu oddał i od tego czasu zapasy nasze zwiększają się w sposób cudowny. Nie wszystko atoli, co tu pan widzisz, jest nasze. Przeciwnie, jak u fancıarzy¹⁰⁴ spostrzegasz pan niejedną obcy klejnot, tak ja mogę u siebie wskazać kosztowne rzeczy, które tu umieszczono, wśród najrozmaitszych okoliczności, dla lepszego przechowania.

Wilhelm przypomniał sobie wspaniałą szkatułkę, której i tak nie chciał ze sobą w podróży obwozić, i nie mógł powstrzymać się, by jej nie pokazać przyjacielowi. Starzec obejrzał ją uważnie, określił czas, kiedy zrobiona być mogła, i pokazał coś podobnego. Wilhelm zwrócił rozmowę na to, czy by ją należało otworzyć. Starzec nie był tego zdania.

— Sądzę wprawdzie, że można by to zrobić bez wielkiego uszkodzenia — rzekł — ale ponieważ otrzymałeś ją pan tak cudownym przypadkiem, to powinien byś doświadczyć na niej swego szczęścia. Bo jeżeli się pan urodziłeś szczęśliwy i jeżeli ta szkatułka coś znaczy, to musi się znaleźć przy sposobności klucz do niej. I to tam właśnie, gdzie go się pan najmniej spodziewasz.

— Bywają takie wypadki — odrzekł Wilhelm.

— Ja sam parę ich doznałem — odpowiedział stary — a tu oto widzisz pan przed sobą najdziwniejszy. Z tego krucyfiksu z kości słoniowej posiadałem od lat trzydziestu tułów, głowę i nogi z jednego kawałka. Tak z powodu przedmiotu, jak i przesłicznej sztuki, był on przechowywany starannie w wielce kosztownej skrzyneczce. Przed dziesięciu mniej więcej laty otrzymałem należący do tego krzyż z napisem i dałem się skusić, by kazać najrzęczniejszemu rzeźbiarzowi naszych czasów dorobić ramiona. Ale jakżeż daleko pozostał poczciwiec za poprzednikiem swoim; mogło to przecież zostać, więcej ku budującym rozmyśleniom niż ku podziwianiu roboty artystycznej. Wyobraź tedy pan sobie moje radosne zdumienie! Niedawno temu otrzymuję pierwsze, prawdziwe ramiona, które pan tu widzisz w najmilszej harmonii przytwierdzone. A ja, zachwycony tak szczęśliwym zdarzeniem, nie mogę się powstrzymać, by w tym nie uznać losów religii chrześcijańskiej, która, dość często rozczłonkowywana i rozpraszana, w końcu przecież zawsze zjednoczyć się musi na krzyżu.

Wilhelm podziwiał wizerunek i dziwne zrządzenie losu.

— Pójdę za pańską radą — rzekł. — Niech szkatułka pozostanie zamknięta, dopóki się klucz nie znajdzie, chociażby to miało trwać aż do końca życia mego.

— Kto żyje długo — rzekł starzec — widzi niejedno zgromadzone, a niejedno rozpadające się na części.

Nadszedł właśnie młody współwłaściciel, a Wilhelm oświadczył swój zamiar oddania im szkatułki na przechowanie. Przyniesiono wielką księgę, powierzoną własność zapisano, wystawiono, z zachowaniem pewnych ceremonii i warunków, pokwitowanie, które brzmiało: „Na każdego okaziciela”, ale uznane miało być jedynie na umówiony z odbiorcą znak szczególny.

¹⁰⁴fancıarz (daw.) — lichwiarz. [przypis edytorski]

Dokonawszy tego wszystkiego, zastanowiono się nad treścią listu, obradując najprzód nad umieszczeniem kochanego Feliksa, przy czym stary przyjaciel przyznał się bez ogródki do pewnych maksym, które miały być zasadą wychowania.

— Wszelkie życie, wszelki czyn, wszelką sztukę poprzedzać winno rzemiosło, które nabywa się jedynie w ograniczeniu. Znać dobrze i wykonywać jedno, jakiegokolwiek, daje wyższą oświatę niż połowiczność w setce. Tam, dokąd pana kieruję, odosobniono wszystkie czynności. Wychowankowie ci bywają na każdym kroku poddawani próbie, przy czym poznaje się, dokąd właściwie zmierza natura każdego z nich, chociaż to tu, to tam zwraca się on z rozproszonymi pragnieniami. Mądrzy mężowie dają na poczekaniu chłopcu odnaleźć to, co dla niego jest stosowne. Skracają manowce, na których człowiek aż nadto łatwo zabląkać się może i nie osiągnąć przeznaczenia swego.

Następnie — mówił dalej — mam nadzieję, że z owego wspaniale założonego ośrodka skierują pana na drogę, na której znaleźć można ową pocziwą dziewczynę, która tak osobliwe wywarła wrażenie na pańskim przyjacielu, co wartość niewinnej, nieszczęśliwej istoty tak wysoko podniósł przez uczucie moralne i rozwagę, iż byt jej zmuszony był wziąć sobie za cel życia swego. Spodziewam się, iż będziesz go pan mógł uspokoić. Opatrzność bowiem ma tysiące środków, by upadłych podźwignąć, a ku ziemi zgiętych wyprostować. Niekiedy los nasz wygląda jak drzewo owocowe w zimie. Któż by, patrząc na smutny jego wygląd, pomyślał, że te martwe konary, że te kończate¹⁰⁵ gałęzie mogą na przyszłą wiosnę znowu zazielenić się, zakwitnąć, a potem wydawać owoce! A przecież spodziewamy się tego, wiemy o tym.

¹⁰⁵kończaty (daw.) — sterczący. [przypis edytorski]

KSIĘGA II

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pielgrzymujący obrali drogę wedle przepisu i dotarli szczęśliwie do granicy prowincji, w której mieli doświadczyć niejednej zastanawiającej przygody. Przy samym wjeździe dostrzegli zaraz wielką urodzajność okolicy, sprzyjającej na łagodnych wzgórzach rolnictwu, w wyższych górach hodowli owiec, a na szerokich przestrzeniach dolin hodowli bydła. Było to na krótko przed żniwami, wszystko też przedstawiało się w największej pełni. Ale co ich niemal w zadziwienie wprawiło, to to, że nie widzieli przy robotach ani kobiet, ani mężów — samych tylko chłopców i młodzież, co się do obfitego żniwa przygotowywała, a nawet już się zabierała do miłych zachodów około wesołych dożynek. Pozdrowili tego i owego, pytając się o Starszego, o miejscu pobytu którego nie umiano ich zgoła powiadomić. Adres ich listu brzmiał: „Do Starszego albo do Trzech”. Ale i tego chłopcy nie zrozumieli, odprawiono tylko pytających do dozorca, który miał właśnie wsiąść na koń. Objawili swoje zamiary; otwartość Feliksa podobała mu się widocznie, pojechali tedy wspólnie gościńcem.

Wilhelm już zauważył, że w kroju i barwie odzieży panowała różnorodność, nadająca całej tej małej ludności wygląd szczególny. Miał właśnie na myśli zapytać o to towarzysza swego, kiedy mu się narzuciło jeszcze dziwniejsze spostrzeżenie: wszystkie dzieci, czymkolwiek były zajęte, odłożyły swą robotę i zwróciły się ze szczególnymi, ale różnymi gestami do przejeżdżających; łatwo było wywnioskować, że odnosiły się one do przełożonego. Najmłodszy składał na piersiach ręce na krzyż i patrzyli wesoło w niebo, średni trzymali ręce za plecami i spoglądali z uśmiechem ku ziemi, najstarsi stali prosto i dzielnie; z opuszczonymi ramionami zwracali głowę ku prawej stronie i ustawiali się w szereg, kiedy inni pozostawali osobno, tam, gdzie ich spotkano.

Kiedy się następnie zatrzymano i z koni pościadano tam, gdzie właśnie dużo dzieci ustawiło się w rozmaity sposób, ażeby przełożony mógł zrobić ich przegląd, zapytał Wilhelm o znaczenie tych gestów. Feliks przerwał mu i rzekł żywo:

— Jakąż pozycję ja mam przybrać?

— W każdym razie — odpowiedział dozorca — najprzód ręce na piersi i poważnie, wesoło patrzeć w górę, wzroku nie odwracając.

Uśluhał, ale niebawem zawołał:

— To mi się nieszczególnie podoba. Ja tam w górze nic nie widzę, czy to długo potrwa? A przecież! — zawołał wesoło — para jastrzębi leci z zachodu na wschód. Wszak to dobra wróżba?

— Stosownie do tego, jak ją przyjmiesz, jak się będziesz sprawował — odparł tamten. — Teraz złącz się z nimi, jak oni łączą się ze sobą.

Dał znak. Dzieci porzuciły swoje pozycje, wzięły się do swych zajęć albo się bawiły jak przedtem.

— Czy zechcesz pan i czy możesz — rzekł następnie Wilhelm — objaśnić mi to, co mnie tutaj zdziwieniem przejmuje? Widzę ja, że te gesty, te pozycje są to pozdrowienia skierowane ku panu.

— Tak, rzeczywiście — odparł tamten. — Pozdrowienia, które mi od razu znać dają, na jakim stopniu wykształcenia stoi każdy z tych chłopców.

— Ale czy możesz mi pan — odrzekł Wilhelm — objaśnić także znaczenie tego stopniowania? Bo że ono tu jest, to łatwo zrozumieć.

— To już rzecz wyższych ode mnie — odpowiedział tamten. — O tym tylko mogę zapewnić, że to nie są puste grymasy, że owszem, podaje się dzieciom, nie najwyższe wprawdzie, ale, bądź co bądź, przewodnie, zrozumiałe ich znaczenia. Każdemu atoli nakazuje się zarazem, żeby zachowywał dla siebie i pielęgnował to, co mu dać jako przestrożę za stosowne uważają. Nie powinni oni ani z obcymi, ani ze sobą gadać o tym. W ten sposób nauka modyfikuje się stokrotnie. Prócz tego tajemnica ma wielkie zalety. Bo jeżeli się człowiekowi powiada od razu i wciąż, na czym wszystko polega, to on sobie myśli, że poza tym nic nie ma. Pewnym tajemnicom, chociażby jawne były, trzeba okazywać cześć przez osłanianie i zamilczenie, gdyż to działa na wstydlivość i skromność.

Tajemnica

— Rozumiem pana — odrzekł Wilhelm. — Dlaczegoż byśmy nie mieli duchowo zastosować tego, co w rzeczach cielesnych jest niezbędne? Ale może byś pan mógł zaspokoić ciekawość moją pod innym względem. Spostrzegam wielką różnorodność w kroju i barwie odzieży, a jednak nie widzę wszystkich barw, tylko niektóre we wszystkich odcieniach, od najjaśniejszego do najciemniejszego. Uważam przecież, że tu nie mogło być na względzie żadne oznaczenie stopni, czy to wieku czy zasługi, ponieważ bez różnicy najmniejsi i najwięksi chłopcy mogą mieć jednakowy krój i barwę, a ci, co jednakowe gesty wykonują, nie zgadzają się ze sobą w odcieniu.

— I co do tego — odparł towarzysz — nie mogę się dalej zapuszczać. Atoli albo bym się bardzo mylił, albo też rozstaniesz się pan z nami objaśniony we wszystkim, czego tylko zapragniesz.

Poszli potem śladem Starszego, którego, jak się zdawało, znaleziono. Obcego musiało to z konieczności zastanowić, że im dalej na wieś się zapuszczali, dochodził ich coraz wyraźniej śpiew dźwięczny i miły. Cokolwiek dzieci poczynają, przy jakiegokolwiek robocie je zastawano, wciąż śpiewały. Były to widocznie pieśni zastosowane do każdego poszczególnego zajęcia i w jednakowych wypadkach wszędzie te same. Jeżeli zeszło się wiele dzieci, to towarzyszyły sobie po kolei. Pod wieczór znaleźli się też tańczący, których skoki ożywiane i regulowane były chórami. Feliks z konia dołączał swój głos i to nie całkiem niefortunnie. Wilhelm rozkoszował się tą zabawą, ożywiającą okolicę.

— Prawdopodobnie — przemówił do swego towarzysza — przykłada się wiele starania do tej nauki, gdyż inaczej taka zręczność nie mogłaby być tak rozpowszechniona i tak doskonale wykształcona.

— Bez wątpienia — odparł tamten — u nas śpiew jest pierwszym stopniem wykształcenia. Wszystkie inne rzeczy do niego się nagina i przezeń się udziela. Najprostsza rozkosz, jak i najprostsza nauka jest u nas pobudzana i wpajana za pomocą śpiewu. Ba, nawet to, co podajemy z przepisów wiary i moralności, udziela się drogą śpiewu. Inne zalety ku celom samoistnym natychmiast ze sobą się bratają. Gdy bowiem uczymy dzieci wydawane przez nie tony zapisywać znakami na tablicy, następnie według tych znaków odnajdować je na powrót w swym gardle, a potem dołączać tekst do tego, to ćwiczą one równocześnie rękę, ucho i oko. I rychlej nabywają ortografii i kaligrafii, niż się sądzi. A ponieważ to wszystko musi być wykonywane i naśladowane według ścisłej miary, według liczb dokładnie określonych, więc pojmują one wysoką wartość sztuki mierzenia i rachowania o wiele szybciej, niż jakimkolwiek innym sposobem. Z tego to powodu spośród wszystkich możliwych nauk wybraliśmy muzykę za podstawę wychowania naszego, gdyż od niej rozchodzą się bite gościńce na wszystkie strony.

Wilhelm starał się dokładniej jeszcze poinformować i nie ukrywał zdziwienia swego, że nie słyszy wcale muzyki instrumentalnej.

— Nie zaniedbujemy jej u nas — odparł tamten — ale ćwiczymy w niej w oddzielnym okręgu, zamkniętym w przecudnej dolinie górskiej. A tam znów o to się postarano, żeby rozmaite instrumenty były przedmiotem nauki w osobno leżących miejscowościach. Zwłaszcza fałszywe tony początkujących są wygnane do pewnych pustelni, gdzie nikogo o rozpacz nie przyprawiają. Bo sami przyznacie, że w dobrze urządzonym społeczeństwie trudno o przykrzejsze cierpienie do tolerowania, jak gdy się narzuca nam sąsiedztwo początkującego gracza na flecie lub skrzypcach. Nasi wychowankowie z własnego, chwalebego nastroju, żeby nikomu nie być przykrymi, udają się dobrowolnie na krócej lub dłużej na pustynię i w odosobnieniu ubiegają się o tę nagrodę, żeby się mogli zbliżyć do zamieszkałego świata. Z tego też powodu od czasu do czasu pozwala się każdemu przybyć na próbę, która rzadko się nie udaje, gdyż tak samo w tym, jak i w innych naszych urządzeniach, dbamy wielce o podtrzymywanie wstydlivosti i skromności. Najmocniej mnie cieszy, że syn wasz ma głos szczęśliwy. O resztę tym łatwiej się już postarać.

Przybyli do miejsca, gdzie Feliks miał pozostać i z otoczeniem się wypróbować, dopóki nie nastąpi zezwolenie na formalne przyjęcie. Z dala już słyszano śpiew wesoły; była to zabawa, służąca tym razem za rozrywkę chłopcom w godzinie odpoczynku. Rozbrzmiał ogólny śpiew chóralny, do którego każdy członek szerokiego koła przyczyniał się głosem swoim wesoło, czysto i dzielnie, posłuszny skinieniom przewodniczącego. Ale ten niejednokrotnie robił niespodziankę śpiewającym, przerywając danym znakiem śpiew chóru, i któregokolwiek z biorących udział dotykając pałeczką, wzywał go, żeby zaraz sam jeden

Strój

Śpiew

Muzyka, Śpiew, Szkoła

Śpiew

zaśpiewał piosenkę odpowiednią do przebrzmiewającego tonu, napomkniętego znaczenia. Większa część okazywała już wiele zřęczności. Ci, którym ta sztuczka się nie udawała, dawali fant chętnie, nie stając się przedmiotem wyśmiewania. Feliks był dzieckiem o tyle, że się zaraz pomiędzy nich wmieszał i jako tako wywiązał się z zadania. Następnie przepisano mu owo pierwsze pozdrowienie. Złżył natychmiast ręce na piersi, spojrział w górę i to z tak zabawną miną, że od razu spostrzec było można, iż tajemne znaczenie gestu jeszcze w nim nie rozbłysło.

Miłe miejsce, dobre przyjęcie, weseli towarzysze zabawy — wszystko podobało się chłopcu tak dalece, że mu to nieszczęgólną sprawiło przykrość, gdy widział odjeżdżającego ojca. Prawie boleśniej patrzył za odprowadzanym koniem. Gdy atoli usłyszał, że w obecnym okręgu zatrzymać go nie może, dał to sobie wyperswadować. Przyobiecano mu natomiast, że niespodziewanie odnajdzie — jeśli nie tego samego, to podobnego — rześkiego i wytresowanego.

Gdy Starszego nie zdołano odnaleźć, rzekł dozorca:

— Muszę teraz was opuścić i zająć się swymi sprawami. Ale zaprowadzę was do Trzech, przewodniczących naszym świętościom. List wasz jest do nich skierowany i oni razem reprezentują Starszego.

Wilhelm pragnąłby był posłyszeć wcześniej coś o świętościach, ale tamten odparł:

— Trzej, odwdzięczając się za zaufanie, że nam zostawiacie swego syna, objawią wam niewątpliwie wedle mądrości i słuszności to, co jest najniezbędniejsze. Widome przedmioty czci, które nazwałem świętościami, zamknięte są w osobnym okręgu, z niczym nie bywają mieszane, niczym nie są turbowane. W pewnych tylko porach roku pozwala się wychowankom, stosownie do stopnia ich wykształcenia, tam wchodzić, by ich pouczyć historycznie i obrazowo. Gdyż wynoszą stamtąd wrażenie dostateczne, aby je przetrwać czas jakiś, wykonując swoją powinność.

Wilhelm stał wtedy u bramy parku, otoczonego wysokimi murami. Na znak dany otwarła się mała furtka, a jakiś poważny, uszanowanie budzący mężczyzna przyjął przyjaciela naszego. Znalazł się on wśród dużej, wspaniale zieleniejącej przestrzeni, ocienionej drzewami i krzewami różnorodnymi, tak że ledwie mógł dojrzeć okazałe mury i poważną budowlę poprzez tę gęstą i wysoką roślinność. Przyjazne przyjęcie przez Trzech, którzy się zeszli powoli, zakończyło się wreszcie rozmową. Każdy do niej swoją część dorzucił, my atoli podajemy jej treść jedynie w skrócie.

— Ponieważ syna waszego nam powierzacie — rzekli oni — winniśmy pozwolić wam zajrzeć głębiej w nasz sposób postępowania. Widzieliście te i owe z rzeczy zewnętrznych, które nie tłumaczą się zaraz ze swego znaczenia. Cóż z nich przede wszystkim chcecie mieć objaśnione?

— Zauważyłem przystojne, ale dziwne gesty i pozdrowienia, których znaczenie chciałbym poznać. U was bez wątpienia zewnętrzność wiąże się z wnętrzem i na odwrót. Raczcie mi ten związek ukazać.

— Dobrze urodzone, zdrowe dzieci — odparli tamci — wiele ze sobą przynoszą. Natura dała każdemu wszystko, czego by potrzebował przez czas dłuższy lub krótszy; rozwinać to jest naszym obowiązkiem. Częstość rozwija się to lepiej samo przez się. Ale jednej rzeczy nikt ze sobą na świat nie przynosi, a przecieź jest ona tą, od której wszystko zależy, iżby człowiek stał się wszechstronnie człowiekiem. Jeżeli sami możecie ją odgadnąć, to powiedzcie.

Wilhelm namyślał się przez chwilę, a potem potrzęsnał głową.

Tamci, po niejakiiej zwłoce, zawołali:

— *Uszanowania!*

Wilhelm zmieszał się.

— Uszanowania! — ozwano się ponownie. — Wszystkim go brak, może i wam nawet... Trojaki widzieliście gesty. Otóż my przekazujemy trojaki poszanowanie, które jeśli spłynie w jedno, utworzy całość, wtedy dopiero osiąga najwyższą swą siłę i skuteczność. Pierwsze jest uszanowanie względem tego, co jest nad nami. Gest ów, ręce na krzyż na piersi i wesoly wzrok ku niebu, oto co wkładamy na dzieci niedojrzałe, żądając zarazem od nich świadectwa, iż tam w górze jest Bóg, który się w rodzicach, nauczycielach oraz przełożonych odbija i objawia. Drugie jest uszanowanie względem tego, co jest pod nami. Splecione na plecach, jakby związane ręce, spuszczone i uśmiechnięty

Koń

wzrok powiadają, że na ziemię spoglądać należy życzliwie i pogodnie. Daje ona możliwość wyżywienia się, dostarcza uciech niewymownych, ale też przynosi i niezmiernie cierpienia. Kiedy kto szkodę poniósł na ciele, ze swej winy czy niewinnie, kiedy go inni zranili z zamiarem lub przypadkowo, kiedy mu istota ziemską, woli pozbawioną, sprawiła cierpienie, to niech się dobrze nad tym zastanowi, gdyż takie niebezpieczeństwo towarzyszyć mu będzie przez całe życie. Z tej atoli pozycji zwalnimy wychowanka naszego jak można najprędzej; zaraz, skoro tylko jesteśmy przekonani, że nauka tego stopnia dostatecznie nań podziałała. A potem każemy mu nabrać serca i zwrócić się ku towarzyszom, i stanąć z nimi w rządzie. I oto stoi prosto i odważnie; nieodosobniony bynajmniej samotnie, lecz w połączeniu z równymi sobie staje frontem przed światem. Dodać coś więcej już byśmy nie potrafili.

— Rozjaśnia mi się! — odparł Wilhelm. — Dlatego to tłum tak grzęźnie w złu, iż znajduje upodobanie jeno w żywiole niechęci i wymyślania. Kto się temu żywiołowi oddaje, niebawem zachowuje się obojętnie wobec Boga, pogardliwie względem świata, a nienawistnie w stosunku do bliźnich. Prawdziwe zaś, istotne, niezbędne poczucie godności własnej ginie w zarozumiałości i roszczeniu. Mimo to pozwólcie mi panowie — mówił Wilhelm dalej — wypowiedzieć jeden zarzut. Czyż od dawna nie poczytywano obawy dzikich ludów przed potężnymi zjawiskami przyrody i innymi niewytłumaczonymi, pełnymi grozy zdarzeniami za zarodek, z którego miało się stopniowo rozwinąć wyższe uczucie, czystsze usposobienie?

Na to odrzekli tamci:

— Przyrodzie właściwa jest obawa, lecz nie uszanowanie. Boimy się znanej lub nieznaną, potężnej istoty. Silny stara się ją zwalczyć, słaby unikać jej. Obaj pragną się od niej uwolnić i czują się szczęśliwi, jeśli ją na czas jakiś usunęli, jeśli ich natura przyszła w pewnej mierze znowu do wolności i niezależności. Człowiek natury powtarza tę operację milion razy w swym życiu; od obawy dąży do wolności, z wolności wpędzany bywa w obawę i o nic więcej nie dba. Bać się jest łatwo, ale uciążliwie, życie uszanowanie jest trudno, ale dogodnie. Niechętnie skłania się człowiek ku uszanowaniu, a raczej nigdy się ku temu nie skłania. Naturze jego dodany być musi zmysł wyższy, który jedynie u szczególnie obdarowanych rozwija się sam przez się. Oni też od dawna uważani są z tego powodu za świętych, za bogów. W tym leży godność, w tym zadanie wszystkich istotnych religii. Są one też tylko trzy, wedle przedmiotów, ku którym zwracają swoje nabożeństwo.

Mężowie zatrzymali się. Wilhelm czas jakiś milczał w zamyśleniu. Ale ponieważ nie czuł w sobie zarozumiałości, by móc objaśnić znaczenie owych słów dziwnych, poprosił tedy dostojnych, by wykład swój dalej prowadzili, w czym też natychmiast uczynili mu zadość.

— Żadna religia — mówili — opierająca się na obawie, nie doznaje wśród nas szacunku. Wobec uszanowania, któremu człowiek panować w sobie daje, składając szacunek, może szacunek własny zatrzymać, nie jest ze sobą w rozdzieleniu jak w owym pierwszym wypadku. Religie, polegającą na uszanowaniu względem tego, co jest nad nami, nazywamy etniczną. Jest to religia ludów, jest to pierwsze szczęśliwe wyzwolenie się od nikczemnej obawy. Wszystkie tak zwane pogańskie religie są tego rodzaju, jakiegokolwiek zresztą noszą nazwy. Drugą religie, opierającą się na uszanowaniu względem tego, co nam jest równe, nazywamy filozoficzną. Filozof bowiem, stojący w środku, musi wszystko co wyższe ściągać ku sobie, a wszystko co niższe podnosić ku sobie; i tylko na tym środkowym stanowisku zasługuje na nazwę mędrca. Przenikając stosunek do swych bliźnich, a więc i do całej ludzkości, stosunek do wszystkich innych rzeczy ziemskich i otaczających go, zarówno koniecznych, jak przypadkowych, żyje on sam jeden naprawdę w znaczeniu kosmicznym. A teraz należy powiedzieć o trzeciej religii, zasadzonej na uszanowaniu względem tego, co jest pod nami. Nazywamy ją chrześcijańską, gdyż w niej najbardziej się objawia taki sposób widzenia rzeczy. Jest ona ostatnią, do jakiej ludzkości dojść mogła i musiała. Cóż bowiem do niej nie należało? Nie tylko ziemię kazać mieć pod sobą i powoływać się na wyższe miejsce urodzenia, ale nadto poniżenie i ubóstwo, szyderstwo i pogardę, hańbę i nędzę, cierpienie i śmierć uznawać za boskie. Co więcej, grzechy nawet i zbrodnie nie poczytywać za przeszkody, lecz czcić i kochać jako pomoce świętego! Ślady

Religia, Filozof

tego znajdują się wprawdzie we wszystkich czasach, ale ślad nie jest celem. A kiedy ten raz już osiągnięty został, to ludzkość nie może się cofać. I należy powiedzieć, że religia chrześcijańska, raz się ukazałszy, nie może już zniknąć. Raz się po bosku ucieleśniwszy, nie może już być rozproszona.

— Któżż tedy z tych religii wy mianowicie wyznajecie? — spytał Wilhelm.

— Wszystkie trzy — odpowiedzieli tamci. — Gdyż one razem wytwarzają dopiero prawdziwą religię. Z tych trzech uszanowań wynika uszanowanie najwyższe, uszanowanie względem siebie samego. I tamte znów rozwijają się z tego tak, że człowiek osiąga najwyższe, do czego dotrzeć jest zdolny, że winien siebie uważać za rzecz najlepszą, jaką Bóg i natura wydały, a nawet, że na tej wyżynie może przebywać, nie lękając się spadnięcia znów w pospolitość wskutek zarozumiałości i egoizmu.

— Takie wyznanie, w ten sposób rozwinięte, nie zadziwia mnie — odrzekł Wilhelm — zgadza się ono ze wszystkim, co się w świecie tu i owdzie słyszy. Tylko że was łączy to, co innych dzieli.

Na to odparli tamci:

— Wyznanie to zostało już przez wielką część świata wygłoszone, ale nieświadomie.

— Jakżeż to i gdzie? — zapytał Wilhelm.

— W *Wierzę w Boga*¹⁰⁶! — zawołali tamci głośno. — Pierwszy bowiem artykuł jest etniczny i należy do wszystkich ludów. Drugi, chrześcijański, dla walczących z cierpieniami i uświęconych w cierpieniach. Trzeci na koniec uczy o uduchowionym obcowaniu świętych, to znaczy w najwyższym stopniu dobrych i mądrych. Czyż zatem trzy osoby boskie, pod których symbolem i imieniem wygłoszone zostały takie przekonania i obietnice, nie mogą się uważać za najwyższą jedność?

— Dziękuję wam — odrzekł Wilhelm — żeście mi, jako dorosłemu, któremu trzy sposoby widzenia rzeczy nie są obce, raczyli wypowiedzieć to tak jasno i w takim ze sobą związku. A kiedy teraz pomyślę, że tę wysoką naukę podajecie dzieciom, najprzód jako znak zmysłowy, potem z pewną symboliczną przymieszką, a wreszcie udzielacie im i znaczenia najwyższego, to muszę to wielce pochwalić.

— Bardzo słusznie — odrzekli tamci — ale winniście dowiedzieć się jeszcze więcej, by się przekonać, że syn wasz jest w najlepszych rękach. Lecz to zajęcie niech pozostanie na godziny ranne. Wypocznijcie i orzeźwiczcie się, ażebyście jutro rano mogli, zadowoleni i doskonale ludzcy, za nami pójść do wnętrza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pod rękę z Najstarszym wszedł tedy przyjaciel nasz przez wspaniałe drzwi do okrągłej — a raczej ośmiokątnej — sali, która tak obficie ozdobiona była obrazami, iż przybysza wprawiała w zdziwienie. Łatwo zrozumiał, że wszystko, co widział, musiało mieć głębsze znaczenie, lubo nie zaraz mógł je sobie wyjaśnić. Zamierzał właśnie zapytać o to swego towarzysza, kiedy go ten zaprosił, by z boku wszedł do galerii, otwartej z jednej strony i otoczonej obszernym, bogatym w kwiaty ogrodem. Ściana atoli więcej niż ta wesoła, naturalna ozdoba ściagała oczy na siebie, była bowiem cała zamalowana, a przybysz nie potrzebował długo przy niej chodzić, by zauważyć, że księgi święte Izraelitów dostarczyły treści do tych obrazów.

— Tu właśnie — rzekł Najstarszy — uczymy tej religii, którą w skrócie nazwałem wam etniczną. Zawartość jej znajduje się w dziejach powszechnych, a jej łupina w zdarzeniach. Zrozumieć się właściwie daje w jednakim przebiegu losu narodów całych.

— Jak widzę — rzekł Wilhelm — okazaliście cześć narodowi izraelskiemu i wzięliście jego dzieje za podstawę tego malowidła, a raczej uczyniliście je głównym tematem.

— Jak widzicie — odpowiedział Najstarszy. — Gdyż zauważycie, że na cokołach i fryzjach odtworzone są nie tyle synchronicznie, ile rzeczywiście spójnie czynności i zdarzenia, ponieważ u wszystkich narodów spotykają się wieści równoznaczne i jednakowe myśli wywołujące. I tak, kiedy na głównym polu Abraham¹⁰⁷ odbiera odwiedziny swych

¹⁰⁶*Wierzę w Boga* a. *Credo* — najwcześniejsze wyznanie wiary Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Abraham* — postać biblijna, pierwszy z hebrajskich patriarchów. [przypis edytorski]

bogów w postaci pięknych młodzieńców, tam w górze, na fryzie, widzicie Apollina¹⁰⁸ pośród pasterzy Admeta¹⁰⁹. Z czego możemy powziąć naukę, że kiedy bogowie ukazują się ludziom, to zazwyczaj niepoznani wśród nich bawią.

Patrzący szli dalej. Wilhelm znajdował po większej części przedmioty znane, lecz żywiej i wyraziściej przedstawione, niż je dawniej widywał. W niektórych rzeczach prosił o objaśnienie, przy czym nie mógł się powstrzymać, by raz jeszcze nie zapytać, dlaczego wybrano przed wszystkimi innymi dzieje izraelskie. Na to odpowiedział Najstarszy:

— Spośród wszystkich religii pogańskich, bo taka jest także i izraelska, ma ona wielkie zalety, z których wspomnę tylko o tej i owej. Wobec etnicznego krzesła sędziowskiego, wobec krzesła sędziowskiego boga ludów, nie pytają się, czy to jest naród najlepszy, najdoskonalszy, ale tylko, czy trwa, czy się przechował. Lud izraelski nigdy nie był wart wiele, jak mu to wyrzucali tysiącrotnie jego przywódcy, sędziowie, przełożeni, prorocy. Ma on mało cnót, a większą część wad narodów innych. Ale co do samoistności, stałości, dzielności i, jeśli to wszystko już nie ma znaczenia, co do wytrzymałości szuka sobie równego. Jest to najwytrwalszy lud na ziemi, istnieje, istniał i istnieć będzie, by imię Jehowy wysławiać po wszystkie czasy. Dlatego przedstawiliśmy go jako wzór, jako obraz główny, któremu inne służą tylko za ramy.

— Nie godzi się sprzeczać z wami — odparł Wilhelm, — ponieważ możecie mnie nauczyć. Objawcie mi więc i inne jeszcze zalety tego ludu, a raczej jego dziejów, jego religii.

— Główną zaletą — odrzekł tamten — jest wyborne zebranie ich ksiąg świętych. Tak się ze sobą udatnie łączą, że z pierwiastków najbardziej obcych powstaje całość ludzaka. Są one wystarczająco zupełne, by zaspokoić, dostatecznie ułamkowe, by podniecić, dosyć barbarzyńskie, by oburzyć, dosyć łagodne, by uśmierzyć. A ileż to innych, sprzecznych ze sobą, właściwości można wysławiać w tych księgach, w tej księdze!

Zarówno następstwo obrazów głównych, jak i związek mniejszych, które w górze i w dole tamtym towarzyszyły, dały gościowi tak dużo do myślenia, że ledwie słuchał znaczących poglądów, jakimi towarzysz raczej uwagę jego odwracać niż do przedmiotów przywiązywać się zdawał. Tymczasem rzekł przewodnik przy sposobności:

— O jednej jeszcze zalecie religii izraelskiej wspomnieć tu muszę, iż Boga swego w żadnej postaci nie ucieleśnia. Pozostawia nam tedy swobodę nadawania mu dostojnej postaci ludzkiej, natomiast dla kontrastu napiętnowania brzydkiego bałwochwalstwa postaciami zwierząt i potworów.

Przyjaciel nasz w krótkiej wędrówce przez te sale uprzytomnił tedy sobie na nowo dzieje powszechne. Niektóre rzeczy wydały mu się nowe ze względu na okoliczności. Przez zestawienie obrazów, przez spostrzeżenia jego towarzysza wywołane w nim zostały nowe poglądy. I cieszył się, że Feliks miał sobie owe wielkie, znaczące, wzorowe zdarzenia przyswoić na całe życie za pośrednictwem tak odpowiedniego, zmysłowego przedstawienia jako rzeczywiste, jakby tuż obok niego żywo się odbywały. W końcu rozpatrywał te obrazy oczyma jeno dziecka i w tym względzie był nimi zupełnie zadowolony. I tak przechadzający się doszli do czasów smutnych, zagmatwanych, a wreszcie do zagłady miasta i świątyni, do mordy, wygnania, obrócenia w niewolę całych mas tego wytrzymałego narodu. Jego dalsze losy były w zręczny sposób przedstawione alegorycznie, gdyż odwzorowanie ich dziejowe, realne leży poza granicami szlachetnej sztuki.

Przemierzana do tej pory galeria nagle się tutaj kończyła, a Wilhelm zdziwił się, że się już widział u kresu.

— Znajduję — rzekł on do swego przewodnika — pewną przerwę w tym pochodzie historycznym. Zburzyliście świątynię jerozolimską i rozproszyliście naród, nie wprowadziwszy boskiego męża, który na krótko przedtem nauczał tam jeszcze i którego naród ten wcale słuchać nie chciał.

— Zrobić to tak, jak wy żądacie, byłoby błędem. Życie tego boskiego męża, o którym wspominacie, nie zostaje w żadnym związku z dziejami jego czasu. Było to życie prywatne, jego nauka była nauką dla jednostek. Co spotyka masy i ich członków publicznie, to należy

¹⁰⁸Apollin a. Apollo — w mitologii greckiej bóg m. in. piękna, światła, wróżb, prawdy, prawa i porządku, patron sztuki, muzyki i poezji, przewodnik muz. [przypis edytorski]

¹⁰⁹Admet — postać z mitologii greckiej, uczestnik wyprawy Argonautów oraz polowania na dziką kalidonskiego; ukarany za zabójstwo Apollo przez dziewięć lat musiał służyć mu jako pasterz. [przypis edytorski]

do dziejów powszechnych, do religii powszechnej, którą my uważamy za pierwszą. Co spotyka jednostkę wewnątrznie, należy do drugiej religii, do religii mędrców. Taka była ta, której Chrystus nauczał i którą praktykował, dopóki przebywał na ziemi. Dlatego to zewnętrznosc tu się kończy, a ja otwieram przed wami wnętrze.

Otworzyła się furtka. Weszli do podobnej galerii, gdzie Wilhelm poznał zaraz obrazy drugiego szeregu pism świętych. Wydawały się one dziełem innej ręki niż pierwsze. Wszystko było łagodniejsze — postacie, ruchy, otoczenie, światło i zabarwienie.

— Nie widzicie tu — rzekł przewodnik, gdy przeszli obok pewnej części obrazów — ani czynów, ani zdarzeń, ale tylko cuda i alegorie. Tu jest nowy świat, nowa zewnętrznosc, inna od poprzedniej, oraz wnętrze, którego tam brak zupełnie. Cudami i alegoriami otwarty został świat nowy. Tamte czynią pospolitość czymś nadzwyczajnym, te nadzwyczajność czymś pospolitym.

— Zechciejcież być tak uprzejmi — odpowiedział Wilhelm — i obszerniej mi włożcie te słów kilka, gdyż nie czuję się zdolny, żebym to sam mógł zrobić.

— Mają one znaczenie naturalne — odparł tamten — chociaż głębokie. Przykłady najprędzej pozwolą je zrozumieć. Nie ma nic pospolitszego i zwykleszego nad jedzenie i picie, nadzwyczajnością zaś jest napój uszlachetnić, pokarm rozmnożyć, iżby dla niezliczonej ciżby wystarczył. Nie ma nic zwykleszego nad choroby i ułomności cielesne, ale usunąć je, złagodzić za pomocą środków duchowych albo podobnych do duchowych jest nadzwyczajnością. I stąd to właśnie powstaje cudownosc cudu, że rzecz zwyczajna i nadzwyczajna, możliwa i niemożliwa w jedno spływają. W alegorii, w przypowieści dzieje się odwrotnie: tu jest znaczenie, rozum, pojęcie, wzniosłosc, nadzwyczajność, niedoścignosc. Jeżeli się ucieleśnia w pospolitym, zwykłym, zrozumiałym obrazie, tak że zjawia się przed nami jako coś żywotnego, obecnego, rzeczywistego, że możemy to sobie przyswoić, ująć, zatrzymać, obcować z tym jak z sobą równym, to to także jest drugim rodzajem cudu i słusznie przyłącza się do owych pierwszych, a może nawet wyżej się nad nie stawia. Tu się wypowiada nauka żywotna, nauka niebudząca żadnej sprzeczki. Nie jest to wcale jakieś mniemanie, co słuszne czy niesłuszne. To sama słusznosc lub niesłusznosc bez żadnego sporu.

Ta część galerii była krótsza, a raczej stanowiła ćwierć tylko otoczenia dziedzińca. Ale kiedy przy pierwszej przechodziło się tylko, tutaj chętnie bawiono dłużej, chodzono i wracano. Przedmioty nie były tak uderzające, nie tak różnorodne, ale tym bardziej pobudzały do zbadania swego głębokiego, cichego znaczenia. Przy końcu galerii obaj przechadzający się zawrócili, kiedy Wilhelm wypowiedział uwagę, że tu właściwie doszli tylko do wieczery pańskiej, do rozstania się mistrza ze swymi uczniami. Zapytał więc o pozostałą część dziejów.

— Przy każdym nauczaniu — odparł Najstarszy — przy każdym udzielaniu wiadomości bardzo lubimy oddzielać to, co się tylko oddzielać daje. Tym bowiem jedynie sposobem może u młodzieży wytworzyć się pojęcie czegoś doniosłego. Życie i tak już miesza ze sobą wszystko, więc też tutaj oddzieliłoby całkowicie życie owego znakomitego męża od jego zgonu. W życiu ukazuje się on jako prawdziwy filozof, niech was nie oburza to wyrażenie, jako mędrzec w znaczeniu najwyższym. Stoi silnie na swej podstawie, idzie swą drogą nieporuszony, a podnosząc ku sobie niższych, czyniąc nieoświeconych, biednych, chorych uczestnikami swojej mądrości, swego bogactwa, swej siły, i stawiając się niby przez to na równi z nimi, nie zapiera się przeciw z drugiej strony swego boskiego pochodzenia; śmie stawać na równi z Bogiem, ba, Bogiem się oznajmić. Tym sposobem od samej młodości wprawia w podziw swe otoczenie, pozyskuje sobie pewną część jego, podburza część inną przeciw sobie i pokazuje wszystkim, którzy z niejaką wyżyną w nauczaniu i życiu mają do czynienia, czego się im spodziewać wypada od świata. To też jego pobyt na ziemi jest dla szlachetnej cząstki ludzkości o wiele bardziej pouczający i płodny od jego śmierci. Gdyż do przejść owych każdy jest powołany, do tej drugiej niewielu tylko. A żebyśmy wszystko już przeszli, co z tej uwagi wypływa, przypatrzcie się wzruszającej scenie wieczery. Tu mędrzec, jak zawsze, pozostawia swoich osieroconych w sposób szczególny, a troszcząc się o dobrych, karmi równocześnie z nimi zdrajcę, który jego i lepszych od siebie ma zgubić.

To mówiąc, otworzył Najstarszy furtkę, a Wilhelm zdumiał się, znalazłszy się znowu w pierwszej sali od wejścia. Spozrzegł, że przez ten czas przeszli cały obwód dziedzińca.

Cud

Chrystus

— Miałem nadzieję — rzekł on — że mnie zaprowadzicie do końca, a wy mnie zwracacie do początku.

— Teraz nie mogę wam pokazać nic więcej — odpowiedział Najstarszy. — Więcej nie pokazujemy wychowankom naszym, więcej nie objaśniamy im nad to, coście dotychczas obejrżeli: zewnętrzność, powszechnie światowe rzeczy każdemu od samej młodości; wewnątrz, poszczególne duchowe i sercowe rzeczy tym tylko, którzy dojrzewają z niejaką rozważą; a resztę, co raz jedynie na rok bywa otwierana, tym jeno udzielamy, których wypuszczamy. Ową ostatnią religię, wynikającą z uszanowania względem tego, co jest pod nami, ową część dla przeciwności, rzeczy znienawidzonych, zasługujących na unikanie, przekazujemy każdemu jedynie jako wyposażenie na drogę w świat, ażeby wiedział, gdzie to może znaleźć, jeśli się w nim obudzi taka potrzeba. Zapraszam was, żebyście tu za rok wrócili, by uczestniczyć w naszym święcie powszechnym i zobaczyć, jak dalece syn wasz postąpił naprzód. Wówczas i wy zostaniecie wtajemniczeni w świętość bólu.

— Pozwólcie mi na jedno pytanie — rzekł Wilhelm. — Czy jak życie tego boskiego męża przedstawicie jako symbol i wzór do naśladowania, tak też mękę jego i śmierć wynieśliście do znaczenia przykładu wzniosłego cierpienia?

— Oczywiście — odpowiedział Najstarszy. — Nie robimy z tego wcale tajemnicy. Ale spuszcza zasłonę na te męki właśnie dlatego, że je tak wysoko czcimy. Uważamy za godne potępienia zuchwalstwo wystawiać owo narzędzie katuszy i cierpiącego na nim świętego na światło słońca, które skryło swe oblicze, kiedy mu świat przewrotny narzucił to widowisko. Uważamy za zuchwalstwo igrać, bawić się, pieścić tymi głębokimi tajemnicami, w których spoczywa boska głębia cierpienia, i nie spocząć wprzód, aż rzecz najwznioślejsza stanie się pospolita i wstrętna. Na teraz niech będzie tego dosyć, aby was uspokoić o chłopca waszego i całkowicie przekonać, iż go odnajdziecie, bądź co bądź, mniej lub więcej, ale w sposób pożądanym wykształconym, a w każdym razie nie mętnym, chwiejącym się i niespokojnym.

Wilhelm ociągał się, oglądając obrazy przedsonka i pragnąc mieć objaśnione ich znaczenie.

— I to również — rzekł Najstarszy — zachowujemy dla was za rok. Podczas nauki, którą w tym przeciągu czasu dajemy dzieciom, nie dopuszczamy wcale obcych. Ale potem przychodźcie i słuchajcie, co nasi najlepsi mówcy uznają za stosowne powiedzieć publicznie o tych przedmiotach.

Niebawem po tej rozmowie usłyszano stukanie do małej furtki. Zgłosił się wczorajszy dozorca, prowadzący konia Wilhelmowego. I tak rozstał się przyjaciel nasz z Trójką, która na pożegnanie w ten sposób poleciła go dozorczy:

— Ten tu zalicza się do zaufanych, a wiadomo ci, co masz na pytania jego odpowiadać. Bo on niewątpliwie dowiedzieć się jeszcze będzie chciał o niejednym, co u nas widział i słyszał. Miara i cel nie są dla ciebie tajne.

Wilhelm miał istotnie na sercu kilka jeszcze pytań, które też zaraz wyjawiał. Kędy przejeżdżali, dzieci stawały jak wczoraj. Ale dziś widział, lubo rzadko, że ten lub ów chłopiec nie witał przejeżdżającego dozorczy, nie odrywał się od swej pracy i przepuszczał go niezauważonym. Wilhelm zapytał tedy o przyczynę i co miał znaczyć ten wyjątek. Na to odpowiedział tamten:

— Bardzo on jest zaiste znaczący, bo to najwyższa kara, jaką na wychowanków nakładamy. Uznaje się ich za niegodnych okazywania uszanowania i za zmuszonych do przedstawiania się jako dzicy i niewykształceni. Ale starają się oni jak najusilniej, by wyjść z tej sytuacji i jak najszybciej spełniają każdą powinność. Atoli gdyby młoda istota w zartwardziałości swej nie czyniła żadnego usiłowania do powrotu, to się ją odsyła rodzicom z krótkim, lecz dobitnym zawiadomieniem. Kto się nie nauczy poddawać prawom, musi opuścić okolicę, gdzie one mają znaczenie.

Inny znów widok pobudził, tak samo dziś jak wczoraj, ciekawość wędrowca. Była to różnorodność barwy i kroju w ubraniu wychowanków. Nie istniało tu na pozór żadne stopniowanie, gdyż tacy, co odmiennie witali, jednakowo byli ubrani, jednakowo zaś witający byli odziani inaczej. Wilhelm zapytał o przyczynę tej widomej sprzeczności.

— Rozwiązuje się ona tak — odrzekł dozorca — że jest środkiem do wybadania właściwego umysłów dzieci. Pomimo surowości i porządku w innych rzeczach, pozwalamy w tym wypadku na pewną dowolność. W zakresie naszych zapasów sukna i bramowań

Kara

Strój

mogą wychowankowie wybrać sobie barwę według upodobania, a tak samo, z małym ograniczeniem, formę i krój. Obserwujemy to dokładnie, gdyż z barwy daje się poznać nastrój zmysłowy, a z kroju sposób życia człowieka. Atoli pewna szczególna właściwość natury ludzkiej utrudnia sąd do pewnego stopnia. Jest to duch naśladownictwa, skłonność do łączenia się z innymi. Bardzo rzadko wpada wychowanek na coś, czego jeszcze nie było. Po większej części wybierają sobie coś znanego, co widzą właśnie przed sobą. Ale i zważanie na to nie pozostaje dla nas bezpłodne. Wskutek takich stron zewnętrznych przystępują oni do tego lub owego oddziału, przyłączają się tu lub owdzie, a tym sposobem wyróżniają się ogólniejsze usposobienia. Dowiadujemy się, do czego się każdy skłania, z jakim przykładem się identyfikuje. Widziano wszakże wypadki, gdy umysły skłaniały się ku ogólności, gdy moda groziła rozszerzeniem się na wszystkich, a wszelka odrębność miała zagać w jedność. Takiemu zwrotowi staramy się zapobiec w sposób łagodny. Dajemy wyczerpać się zapasom tej lub owej materii; tej lub owej ozdoby nie można już dostać. Podsuwamy coś nowego, powabnego. Jasnymi barwami i krótkim, obcisłym krojem przywabiamy rześkich, poważnymi odcieniami, wygodnym, fałdzistym strojem rozważnych. I tak powoli przywracamy równowagę. Mundurowi bowiem zgola jesteśmy przeciwni. Zakrywa on charakter i, więcej niż jakieś inne zamaskowanie, zataja właściwości dzieci przed okiem przełożonych.

W trakcie tych i innych rozmów dostał się Wilhelm do granicy prowincji i to w tym miejscu, gdzie ją wędrowiec wedle wskazówki starego przyjaciela miał opuścić, by pójść ku istotnemu swemu celowi.

Przy pożegnaniu dozorca poprosił, żeby Wilhelm zechciał czekać chwili, aż wielkie święto zostanie w różny sposób oznajmione wszystkim uczestnikom. Zaproszeni będą na nie wszyscy rodzice, a uzdolnieni wychowankowie zostaną wypuszczeni w świat na życie swobodne, podległe przypadkom. Tymczasem Wilhelm będzie mógł, wedle zapewnienia dozorczy, rozejrzeć się do woli po innych miejscowościach, gdzie wedle właściwych zasad udzielane są i wpajane poszczególne nauki w całkowitym zakresie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Folgując przyzwyczajeniu kochanej publiczności, od niejakiego czasu znajdującej upodobanie w tym, że ją bawią kawałkami, zamierzaliśmy z początku podać jej następne opowiadanie w kilku rozdziałach. Związek atoli wewnętrzny, rozważany według usposobień, uczuć i zdarzeń, skłonił nas do wykładu nieprzerwanego. Oby on ów cel swój osiągnął i oby w końcu okazało się, jako osoby tej — na pozór odrębnej — historii najściślej się splatają z tymi, które już znamy i kochamy.

Mężczyzna pięćdziesięcioletni

Major wjechał na dziedziniec, a Hilaria, jego siostrzenica, stała już, by go przyjąć, na schodach zewnętrznych, prowadzących do zamku. Ledwie ją poznał, gdyż znowu wyrosła i wypiękniała. Wyleciała naprzeciw niemu, on ją przycisnął do piersi z uczuciem ojcowskim i pośpieszyli na górę do jej matki.

Siostra jego, baronowa, przyjęła go również mile, a gdy Hilaria szybko się oddaliła, by przygotować śniadanie, rzekł major wesoło:

— Tym razem mogę się krótko załatwić, mówiąc, że sprawa nasza ukończona. Brat nasz, marszałek nadworny, przekonuje się, że ani z dzierżawcami, ani z rządcami nie dojdzie do ładu. Za życia więc jeszcze odstępuje swe dobra nam i dzieciom naszym. Pensja roczna, którą sobie zastrzeżę, jest wprawdzie duża, ale możemy dać mu ją zawsze. Toż przecież zyskujemy już obecnie wiele, a na przyszłość wszystko. Nowy układ ma być wkrótce w porządku. Choć oczekuję niebawem dymisji, widzę wszakże przed sobą znowu życie czynne, które nam i naszym może przynieść korzyść stanowczą. Patrzymy spokojnie, jak dorastają dzieci nasze; zależy od nas i od nich przyspieszyć ich połączenie.

— Wszystko to byłoby dobre — rzekła baronowa — gdybym ci nie miała odkryć pewnej tajemnicy, którą sama niedawno dostrzegłam. Serce Hilarii nie jest już wolne. Z tej strony syn twój mało mieć może nadziei albo wcale.

— Co ty mówisz? — zawołał major. — Czyż to możliwe? Kiedy my wszelkich dokładamy trudów, by się zabezpieczyć pod względem ekonomicznym, skłonność płata nam takiego figła! Powiedz mi, kochana, powiedz mi co prędzej, kto to mógł oplątać serce

Miłość, Tajemnica

Hilarii? I czy to już jest aż tak źle? Może to tylko przelotne wrażenie, które można mieć nadzieję znów zatrzeć?

— Musisz przede wszystkim trochę pomyśleć i zgadnąć — odparła baronowa, zwiększając tym jego niecierpliwość.

Wzmogła się już ona do najwyższego stopnia, gdy Hilaria, wchodząc ze służącymi, którzy nieśli śniadanie, uczyniła niemożliwym rychłe rozwiązanie zagadki.

Samemu majorowi zdawało się, że na piękne dziecko patrzy innymi oczyma niż chwilę przedtem. Takiego niemal doznawał uczucia, jakby był zazdrosny o tego szczęśliwca, którego obraz mógł się wyrwać w tak pięknej duszy. Śniadanie mu nie smakowało i nie spostrzegł, że wszystko tak właśnie było przyrządzone, jak on lubił najbardziej i jak kiedy indziej zwykł był życzyć sobie i wymagać.

Z powodu tego milczenia i zacina się Hilaria nawet utraciła prawie swą żywość. Baronowa czuła się zakłopotana i pociągnęła córkę do klawikordu. Lecz jej gra, pełna ducha i uczucia, ledwie zdołała wywabić u majora jakąś pochwałę. Pragnął widzieć usunięte piękne dziecko i śniadanie — im prędzej, tym lepiej — tak że baronowa musiała się zdecydować na powstanie od stołu i zaproponowanie bratu przechadzki po ogrodzie.

Ledwie zostali sami, powtórzył major natarczywie poprzednie swe pytanie, na co siostra jego po niejakiem pauzie odpowiedziała z uśmiechem:

— Jeśli chcesz znaleźć szczęśliwca, którego ona kocha, to nie potrzebujesz chodzić daleko. Jest on tuż, w pobliżu: ciebie kocha.

Major stanął zdziwiony, potem zawołał:

— Byłoby to bardzo niewczesnym żartem, gdybyś chciała wmówić we mnie coś, co by na serio uczyniło mnie równie zakłopotanym, jak nieszczęśliwym. Bo chociaż potrzebuję czasu, by ochłonąć ze zdziwienia, to przecież jednym rzutem oka przewiduję, jak podobnym, niespodziewanym zdarzeniem zakłócone być by musiały nasze stosunki. Jedyną rzeczą, która mnie pociesza, jest przekonanie, że skłonności tego rodzaju są tylko pozorne, że poza nimi kryje się omamienie samego siebie i że prawdziwie dobra dusza rychło się poprawia z takich błędów częstokroć sama przez się albo przynajmniej przy pomocy osób rozumnych.

— Nie jestem tego zdania — rzekła baronowa — gdyż sądząc po wszystkich symptomach uczucie to bardzo poważne, jakim Hilaria jest przeniknięta.

— Czegoś tak nienaturalnego nie byłbym się spodziewał po jej naturalnym usposobieniu — odparł major.

— Nie jest to tak nienaturalne — rzekła siostra. — Z młodości mojej przypominam sobie własną namiętność dla starszego od ciebie człowieka. Ty masz lat pięćdziesiąt. To przecież nie jest jeszcze za dużo dla Niemca, choć inne, żywsze narody wcześniej się może starzeją.

— Ale czymże podeprzesz swoje przypuszczenie? — rzekł major.

— To nie przypuszczenie, to pewność. Bliższych szczegółów dowiesz się powoli.

Hilaria przyłączyła się do nich, a major — wbrew swej woli — poczuł się znowu zmieniony. Obecność jej wydała mu się jeszcze miłsza i cenniejsza niż dawniej. Jej zachowanie nabrało dla niego więcej przyjemności i już zaczynał wierzyć słowom siostry. Uczucie to było mu niezmiernie miłe, chociaż nie chciał się do niego przyznać ani pozwolić sobie na nie. Rzeczywiście Hilaria była niesłychanie powabna, kiedy w postępowaniu swym łączyła jak najściślej tkliwą nieśmiałość wobec kochanka ze swobodną otwartością wobec wuja. Kochała go bowiem istotnie i to z całej duszy. Ogród był w pełnym rozkwicie wiosennym, a major, widząc tyle starych drzew, na nowo pokrywających się liśćmi, mógł też uwierzyć w powrót własnej swej wiosny. I któż by nie dał się skusić ku temu w obecności najpowabniejszej dziewczycy!

Tak minął im dzień razem. Wszystkie pory domowe przeżyto z największą swobodą. Wieczorem, po kolacji, usiadła Hilaria znowu do klawikordu. Major słuchał innymi uszama niż rano. Jedna melodia wplatała się w drugą, jedna pieśń szła za drugą i północ dopiero zdołała małe to towarzystwo rozdzielić.

Przyszedłszy do swego pokoju, znalazł major wszystko urządzone z tą wygodą, do jakiej nawykł od dawna. Nawet kilka miedziorytów, którym lubił się przyglądać, prze-

niesiono tu z innych sal. A raz zwróciwszy na to uwagę, spostrzegł, że w każdym, najdrobniejszym nawet szczególe starano się nim zaopiekować i dogodzić mu.

Zaledwie kilku godzin snu potrzebował tym razem. Siły jego żywotne wcześniej się zbudziły. Ale wtem zauważył nagle, że nowy porządek rzeczy sprowadzał niejedną niedogodność. Starego masztalerza swego, który zarazem zastępował lokaja i kamerdynera, od lat wielu nie poczęstował złym słowem, gdyż wszystko szło zwykłym trybem w najsurowszym porządku — konie były obsłużone, a ubranie o właściwej godzinie wyczyszczone. Ale pan wstał wcześniej i nic się już nie kleiło.

Do tego przyłączyła się inna jeszcze okoliczność, by powiększyć niecierpliwość i pewien rodzaj złego humoru majora. Dawniej wszystko mu w sobie samym i w służącym się podobało. Ale teraz, stanąwszy przed zwierciadłem, nie znalazł się takim, jakim być pragnął. Nie mógł się zaprzec kilku siwych włosów, a i zmarszczek niby nieco przybyło. Pocierał i pudrował więcej niż dawniej, w końcu przecież musiał zostawić tak, jak być mogło. Z ubrania też i z jego czystości nie był zadowolony. Nici na surducie i kurz na butach znajdowały się niby wciąż jeszcze. Stary sługa nie wiedział, co rzec, i dziwił się, widząc przed sobą pana tak zmienionego.

Mimo tych wszystkich przeszkód dosyć już wcześniej był major w ogrodzie. Hilarię, którą spotkać się spodziewał, spotkał rzeczywiście. Przyniosła mu bukiet, a on nie miał odwagi ucałować jej jak dawniej i do serca swego przycisnąć. Znajdował się w najprzyjemniejszym w świecie zakłopotaniu i oddał się uczuciom swoim, nie myśląc, do czego to mogło doprowadzić.

I baronowa również nie omieszkła niebawem się zjawić, a pokazując bratu bilet, który jej właśnie co przyniósł posłaniec, zawołała:

— Nie zgadniesz, kogo nam ten papier zwiastuje!

— A więc wypowiedz to zaraz! — odparł major.

I dowiedział się, że stary przyjaciel teatralny przejeżdża niedaleko zamku i za chwilę zamierza tu zawitać.

— Ciekaw jestem ujrzeć go ponownie — rzekł major. — Nie jest już młodzieńcem, a słyszę, że wciąż jeszcze gra młode role.

— Musi być starszy od ciebie o lat dziesięć — rzekła baronowa.

— Niewątpliwie — odpowiedział major. — Z tego, co pamiętam.

Niedługo potem wszedł żywy, kształtny, przyjemny mężczyzna. Zdumiano się na chwilę, gdy się ujrzano. Ale niebawem poznali się przyjaciele, a wspomnienia różnorodnie ożywiły rozmowę. Później przeszli do opowiadań, pytań i sprawozdań; zaznajamiali się obopólnie z obecnym położeniem i poczuli się wkrótce tak, jakby się nigdy nie rozstawali.

Tajemna historia mówi nam, że człowiek ten w czasie dawniejszym, jako piękny i miły młodzian, miał szczęście czy nieszczęście podobania się damie wysokiego rodu, że wskutek tego popadł w wielki kłopot i niebezpieczeństwo, z którego wydobył go szczęśliwie major w chwili, gdy mu groził los najsmutniejszy. Na wieki pozostał on wdzięczny zarówno bratu, jak siostrze, ta bowiem wczesnym ostrzeżeniem pobudziła go do ostrożności.

Na jakiś czas przed obiadem zostawiono mężczyzn samych. Nie bez zdziwienia, a nawet z pewnym zdumieniem przypatrywał się major zewnętrznemu wyglądowi swego starego przyjaciela — tak w całości, jak w szczegółach. Wydawał się wcale niezmieniony i nie dziw, że wciąż jeszcze mógł się ukazywać na scenie jako młody kochanek.

— Przypatrujesz mi się uważniej, niżby należało — przemówił wreszcie tamten do majora. — Lękam się bardzo, czy w porównaniu z dawnymi czasami nie znajdujesz zbyt wielkiej różnicy.

— Wcale nie — odrzekł major. — Owszem, dziwię się niewymownie, że wygląd twój wydaje mi się świeższy i młodszy od mojego, chociaż wiem przecież, żeś już był dorosłym mężczyzną, kiedyś ja z odwagą szalonego żółtodzioba pomagał ci w pewnych kłopotach.

— To twoja wina — odparł tamten. — To wina wszystkich tobie podobnych, a chociaż z tego powodu nie można was lajać, to należy was przecież zganić. Myślicie tylko o rzeczach nieodzownych; chcecie być, a nie wydawać się. To jest bardzo dobre, dopóki się jest kimś. Ale kiedy w końcu istnienie zaczyna się zalecać za pomocą wydawania się, a pozór bardziej ulotny jest jeszcze od istnienia, to każdy zauważyć musi, że nieźle byłby zrobił, gdyby nie zaniedbywał całkiem zewnętrznosci z powodu wnętrza.

— Masz słusznosc — odrzekł major i ledwie mógł się powstrzymać od westchnienia.

Uroda, Pozory

— Może niezupełną słuszość — powiedział podstarzały młodzieniec. — Niewątpliwie w moim rzemiośle byłoby nie do przebaczenia, gdyby się nie chciało poprawiać wyglądu dopóty, dopóki to tylko rzecz możliwa. Ale wy, pozostali, macie powód zważać na inne rzeczy, które większe mają znaczenie i są trwalsze.

— Bywają atoli okoliczności — rzekł major — kiedy się czuje wewnętrznie świeżym i bardzo by się chciało odświeżyć także swoją zewnętrzną.

Ponieważ przybysz nie mógł się domyślić istotnego nastroju duszy majora, wziął więc to zdanie w znaczeniu żołnierskim i szeroko rozwodził się nad tym, jak dużo zależy w wojsku od zewnętrznego i jak oficer, który tyle łoży na ubranie, mógłby też pewną dbałość zachować co do skóry i włosów.

— To na przykład nie do darowania — mówił dalej — że skronie wasze już są siwe, że tu i owdzie ściągają się zmarszczki i że czaszka grozi wyłysieniem. Popatrzcie no na mnie, starego łobuza! Rozważcie, jak żem się zachował! A to wszystko bez czarnoksięstwa i z daleko mniejszym mozolem i staraniem, niż się ich doznaje codziennie, aby sobie zaszkodzić, a przynajmniej nudy sprowadzić.

Przypadkowa ta rozmowa zbyt była na rękę majorowi, żeby ją chciał prędko przerwać. Brał się atoli do rzeczy powoli i nawet względem swego starego znajomego ostrożnie.

— Zaniedbałem tego, niestety! — zawołał. — A odrobić się to już nie da. Muszę się temu poddać, a wy przecież nie będziecie o mnie gorzej myśleli.

— Nic jeszcze straconego — odpowiedział tamten. — Gdybyście tylko wy, poważni panowie, nie byli tak stężali i sztywni, gdybyście nie zwali zaraz próżnym każdego, kto myśli o swej zewnętrznosci, i przez to nie zakłócali sami sobie przyjemności znajdowania się w miłym towarzystwie i stania się miłymi...

— Chociażby to nie było czarodziejstwem — rzekł z uśmiechem major — za pomocą czego wy, inni, młodo się zachowujecie, jest to przecież tajemnicą. A przynajmniej są to owe arkana¹¹⁰, które często zachwalają w gazetach, a z których wy umiecie wydobywać najlepsze.

— Czy mówisz żartem czy serio — odpowiedział przyjaciel — zgadłeś. Pośród wielu rzeczy, którymi od dawna usiłowano zasilić trochę zewnętrzną, często dużo wcześniej od wnętrza marniejącą, znajdują się istotnie nieoszacowane, zarówno proste, jak i złożone środki, przez towarzyszy sztuki mi udzielone za gotówkę lub przypadkowo nabyte i przeze mnie samego wypróbowane. Przy nich pozostaję i trwam, nie zaniedbując przecież z tego powodu dalszych poszukiwań. Tyle ci tylko mogę powiedzieć i nie przesadzam wcale: wożę z sobą szkatułkę toaletową, niemającą ceny! Szkatułkę, której skuteczności chciałbym dowieść na tobie, gdybyśmy tylko jeszcze dwa tygodnie byli ze sobą razem.

Myśl, że coś podobnego jest możliwe, i że ta możliwość w tak właściwym czasie przypadkowo udostępniona mu została, rozweseliła ducha majora do tego stopnia, że już istotnie wyglądał świeżej i weselej. A ożywiony nadzieją przyprowadzenia głowy i twarzy do zgody ze swym sercem, miotany niepokojem dokładniejszego niebawem poznania środków ku temu, okazał się przy stole całkiem innym człowiekiem, przyjmując czarowne uprzejmości Hilarii spokojnie i patrząc na nią z niejaką otuchą, która mu rano całkiem jeszcze była obca.

Lecz jeśli przyjaciel teatralny potrafił różnymi wspomnieniami, opowiadaniem i dociępnymi pomysłami utrzymać, ożywić i wzmocnić raz obudzony dobry humor, to tym przykrzej było majorowi, gdy tamten zaraz po obiedzie zagroził swoim oddaleniem się i pusczeniem w dalszą drogę. Wszelkimi sposobami starał się zachęcić przyjaciela swego, by się przynajmniej na noc zatrzymał, obiecując natarczywie na jutro rano zaprząg i rozstawne konie. Dostyc, że zbawcza toaleta nie miała wyjść z domu, dopóki by się nie zaznajomił dokładniej z jej zawartością i użytkiem.

Major bardzo dobrze rozumiał, że tu nie ma czasu do stracenia, i zaraz po obiedzie starał się pomówić na osobności ze swym dawnym ulubieńcem. Ponieważ nie miał odwagi przystąpić do sprawy od razu, zmierzał ku niej z daleka, podejmując poprzednią rozmowę i zapewniając, że co do swojej osoby chętnie by więcej przykładał uwagi do zewnętrznego, gdyby ludzie każdego, w którym spostrzegą takie usiłowanie, nie nazywali zaraz próżnym

¹¹⁰arkana a. arkany — detale wiadome tylko znawcom przedmiotu. [przypis edytorski]

i tym sposobem nie ujmowali mu pod względem moralnym tego, co by mu przyznać czuli się zmuszeni pod względem fizycznym.

— Nie rób mi przykrości takimi frazesami — odparł przyjaciel. — Są to bowiem wyrażenia, do których towarzystwo przywykło, nic przy tym nie myśląc, albo, jeśli się chce rzecz tę rozważać surowiej, wyrażenia, za pomocą których wypowiada ono swą nieprzyjazną i niezycliwą naturę. Rozpatrz tylko należycie, czym jest to, co by częstokroć nazwać było można próżnością. Każdy człowiek powinien sobą się radować i szczęśliwy ten, kto może. A jeżeli jest, to jakże on może zabronić sobie, by nie dać poznać tego przyjemnego uczucia? Jak on może ukryć w ciągu istnienia, że się istnieniem raduje? Gdyby dobre towarzystwo (a o takim tylko jest tu mowa) uważało podobne objawy wtedy tylko za naganne, kiedy się zbyt żywe stają, kiedy radość jednego człowieka z siebie i swego bytu przeszkadza innym doznawać radości z siebie i okazywać ją, to by nie można było nic przeciwko temu nadmienić. Z takiego to nadmiaru wynikła też pierwotnie nagana. Ale co pomoże dziwaczna, przecząca surowość wobec tego co nieuniknione? Dlaczego nie chcesz uważać za znośny i nieszkodliwy objawu, na który w większym lub mniejszym stopniu, od czasu do czasu, sami sobie pozwalamy? Ba, bez którego by dobre towarzystwo zgoła istnieć nie mogło. Gdyż upodobanie w sobie samym, chęć udzielenia tego samego poczucia innym czyni uprzejmym, poczucie własnego powabu czyni powabnym. Gdyby Bóg dał, żeby wszyscy ludzie byli próżni, ale to ze świadomością, umiarkowaniem i we właściwym znaczeniu, to my w świecie ucywilizowanym bylibyśmy najszcześniejszymi ludźmi. Kobiety, mówi się, są próżne od urodzenia. A przecież to je zdobi i podobają się nam tym bardziej. Jakim sposobem może się uformować młodzieniec, który nie jest próżny? Pusta, czcza natura zdoła sobie przynajmniej nadać jaki taki zewnętrzny pozór, a człowiek dzielny niebawem zacznie się kształcić od zewnątrz ku wnętrzu. Co się mnie tyczy, to mam i ten jeszcze powód uważania się za najszcześniejszego człowieka, że mnie rzemiosło moje uprawnia do bycia próżnym, i że im bardziej takim jestem, tym większe ludziom sprawiam zadowolenie. Chwałą mnie, gdzie innych ganią, i na tej właśnie drodze mam prawo i szczęście bawienia i zachwycania publiczności w wieku, w którym inni ustępują przymuszeni z widowni albo też przebywają na niej ze wstydem.

Major niechętnie słuchał zakończenia tych uwag. Słowo „próżność”, kiedy je wymawiał, miało służyć tylko za przejście do wyrażenia przyjacielowi w sposób zręczny swego życzenia. Teraz, lękając się, by w dalszej rozmowie cel jeszcze się dalej nie odsunął, pośpieszył bezpośrednio do zamierzonego przedmiotu.

— Co do mnie — rzekł — nie byłbym wcale daleki, by przysiąc także u twojej chorągwi, ponieważ nie uważasz tego za rzecz spóźnioną i sądzisz, że mogę do pewnego stopnia powetować, com zaniedbał. Udziel mi nieco ze swych tynktur¹¹¹, pomad i balsamów, a ja zrobię próbę.

— Udzielanie — odrzekł tamten — jest trudniejsze, niżby myśleć można. Bo tu np. nie tylko chodzi o to, bym ci coś oddał ze swych buteleczek i z najlepszych swoich ingrediencji pozostawił ci połowę. Zastosowanie jest rzeczą najtrudniejszą. Udzielone przedmioty nie od razu dadzą się przyswoić, do czego ten lub ów służy, wśród jakich okoliczności, w jakiej kolei należy ich używać. Do tego potrzeba wprawy i namysłu. Ba, i te na niewiele się przydadzą, jeżeli się nie ma do rzeczy, o której mowa, wrodzonego talentu.

— Chcesz, jak się zdaje — odparł major — wycofać się teraz. Przedstawiasz mi trudności, ażeby twoje, zaiste trochę bajeczne, zapewnienia ubezpieczyć. Nie masz ochoty dać mi pocho pu i sposobności sprawdzenia słów twoich czynem.

— Takim przekomarzaniem się, mój przyjacielu — odpowiedział tamten — nie skłoniłbyś mnie do zadośćuczynienia swemu żądaniu, gdybym nie miał sam względem ciebie tak dobrego usposobienia, z jakim się z początku tobie oświadczyłem. Przy tym pomyśl, mój przyjacielu, że człowiek ma w sobie właściwą chęć tworzenia prozelitów¹¹², by to, co w sobie ceni, uwidocznic na zewnątrz w innych, dać im używać tego, czego sam używa i w nich się odnajdować i odbijać. Doprawdy, jeżeli i to jest egoizmem, jest to egoizm najmiłszy i najgodniejszy pochwałą, jest to ten egoizm, co nas uczynił ludźmi i utrzy-

¹¹¹tynktura (daw.) — lecznicza nalewka albo barwnik. [przypis edytorski]

¹¹²prozelita — nowy, gorliwy wyznawca. [przypis edytorski]

muje nas jako ludzi. Z niego to, niezależnie od przyjaźni, jaką żywię dla ciebie, czerpię ochotę zrobienia z ciebie ucznia w sztuce odmłodzenia. Ale ponieważ od mistrza można wymagać, by nie wychowywał partaczy, jestem w kłopotcie, jak zaczniemy. Powiedziałem już: ani barwiczkę, ani też przepisy nie wystarczają; zastosowania nie można nauczyć ryczałtem. Z miłości dla ciebie i z chęci rozpowszechnienia swej sztuki gotów jestem do wszelkiej ofiary. Największą teraz natychmiast ci złożę. Pozostawiam ci tu swego służącego, rodzaj kamerdynera i kuglarza, który, lubo nie umie przygotowywać wszystkiego, lubo nie jest wprowadzony we wszystkie tajemnice, rozumie jednak bardzo dobrze cały sposób postępowania. Na początek będzie ci wielce pożyteczny, aż się tak zagłębisz w tę sprawę, że ci będę mógł w końcu objawić wyższe tajnie.

— Jak to! — zawołał major — więc w twojej sztuce odmłodzenia są etapy i gradacja? Masz jeszcze tajemnice dla wyświęconych?

— Z pewnością! — odparł tamten. — Byłaby to bardzo zła sztuka, gdyby się dawała ogarnąć od razu, gdyby ostateczna jej tajnia mogła być dojrzana przez tego, co dopiero do niej przystępuje.

Nie zwlekano długo. Kamerdyner został oddany majorowi, który obiecał dać mu dobre utrzymanie. Baronowa musiała dostarczyć pudełek, puszek i słoików, nie wiedząc po co. Podziału dokonano, wesoło i dowcipnie aż do nocy bawiono się wspólnie. O późnym wschodzie księżycy gość odjechał, przyrzekając wrócić za czas jakiś.

Major przyszedł do swego pokoju dosyć zmęczony. Wstał rano, w dzień nie oszczędzał się, sądził, że teraz rychło się do łóżka położy. Atoli zamiast jednego znalazł obecnie dwóch służących. Stary masztalerz rozebrał go śpiesznie według dawnego zwyczaju i trybu, ale wtedy przystąpił nowy i dał poznać, że właściwym czasem do użycia środków odmłodzenia i upiększenia jest noc, ażeby skutki tym bezpieczniej się rozwijały we śnie spokojnym. Major więc musiał się zgodzić, żeby mu głowę namaszczone, twarz wytarto, brwi wypędzowano, a wargi napojono. Prócz tego wymagane były jeszcze różne ceremonie — nawet szlafmicy¹¹³ nie mógł włożyć bezpośrednio, lecz wprzód trzeba było nasadzić siatkę, jeżeli już nie delikatną skórzaną czapkę.

Major położył się do łóżka z pewnym rodzajem nieprzyjemnego uczucia, którego jednak uwyraźnić sobie nie miał czasu, gdyż bardzo szybko zasnął. Ale jeżeli mamy powiedzieć za jego duszę, to się czuł trochę podobny do mumii — czymś pośrednim między chorym a zabalsamowanym. Miły atoli obraz Hilarii, otoczony najpogodniejszymi nadziejami, wciągnął go niebawem w sen pokrzepiający.

Z rana, o właściwym czasie, zjawił się masztalerz. Wszystko, co należało do stroju pana, leżało w zwykłym porządku na krzesłach i major zamierzał właśnie wstać z łóżka, kiedy wszedł nowy kamerdyner i żywo zaprotestował przeciw takiemu pośpiechowi. Trzeba wypoczywać, trzeba się wywczasować, jeżeli przedsięwzięcie ma się udać, jeżeli chce się doczekać radości za niejedyn trud i staranie. Dowiedział się major następnie, że za jakąś chwilę ma wstać, spożyć małe śniadanie i potem wejść do kąpieli, która jest już przygotowana. Rozporządzeniom tym nie można się było wywinąć, musiały być wykonane i na tych sprawach zeszło kilka godzin.

Major skrócił czas odpoczynku po kąpieli, zamyślał szybko się odziać w ubranie, gdyż z natury był porywczy i pragnął nadto spotkać co prędzej Hilarię. Ale i w tym sprzeciwił mu się nowy służący i dał do zrozumienia, że się trzeba zgoła odzwyczaić od rychłego działania.

— Wszystko — powiadał — co się robi, wykonywać trzeba powoli i wygodnie, zwłaszcza zaś czas ubierania się należy uważać za przyjemną godzinę zabawy ze sobą samym.

Sposób postępowania kamerdynera całkiem się zgadzał z jego słowami. Ale za to i majorowi zdawało się, że istotnie lepiej był niż kiedykolwiek ubrany, kiedy stanął przed zwierciadłem i ujrzał się jak najstrojniej wyświęconym. Nie pytając o pozwolenie, kamerdyner przykroił nawet mundur w sposób świeższy, poświęciwszy noc na tę przemianę. To tak szybko ukazujące się odmłodzenie przejęło majora dziwnie pogodnym nastrojem, tak że się od wewnątrz na zewnątrz czuł odświeżony i z niecierpliwym upragnieniem pośpieszył do swoich.

¹¹³szlafmicyca — męska czapka używana dawniej do spania. [przypis edytorski]

Został siostrę przed drzewem genealogicznym, które kazała wywiesić dlatego, że poprzedniego wieczoru nawiązała się między nimi rozmowa o kilku pobocznych krewniakach, co już to nie pozeniwszy się lub nie wyszedłszy za mąż, już to mieszkając w dalekich krajach, już to zgoła zapomniani dawali większą lub mniejszą nadzieję bogatego spadku dla obojga rodzeństwa albo ich dzieci. Rozmawiali o tym czas jakiś, nie wspominając o tym punkcie, że dotychczas wszystkie ich troski i usiłowania rodzinne odnosiły się wyłącznie do ich dzieci. Wskutek skłonności Hilarii zmienił się wprawdzie cały ten pogląd, a przecież ani major, ani jego siostra nie śmieli w tej chwili dotknąć tej sprawy.

Baronowa odeszła, major stał sam przed tym lakonicznym obrazem rodziny. Hilaria przystąpiła do niego, oparła się oń po dziecięcemu, spojrzęła na tablicę i zapytała, kogo z nich znał i kto z nich jeszcze żyje i pozostaje.

Major rozpoczął swoje opowiadanie od najstarszych, których z dzieciństwa swego niewyraźnie już tylko sobie przypominał. Potem posunął się dalej, kreślił charaktery różnych ojców, podobieństwo lub niepodobieństwo dzieci do nich, zauważył, że często dziadek wstępuje znowu we wnuka. Mówił przy sposobności o wpływie kobiet, które z obcych rodzin wchodząc do małżeństwa nieraz przemieniają charakter całych pokoleń. Wysławiał cnotę niejednego przodka i krewniaka pobocznego i nie zamilczał o ich błędach. Pomijał w milczeniu tych, których wstydzic się musiano. Na koniec przyszedł do szeregów najniższej położeń. Tam był brat jego, marszałek nadworny, on i jego siostra, a pod nimi jego syn i obok Hilaria.

— Ci patrzą sobie dosyć prosto w twarz — rzekł major, nie dodając, co miał na myśli.

Po pewnej chwili Hilaria odparła skromnie, na pół głośno, i prawie z westchnieniem:

— A przecież nigdy nie zganię tego, kto spogląda w górę!

Równocześnie spojrzęła na niego takimi oczyma, że z nich cała jej skłonność przemawiała.

— Czy cię dobrze rozumiem? — powiedział major, zwracając się ku niej.

— Nie mogę nic powiedzieć — odrzekła Hilaria z uśmiechem — czego byś pan już nie wiedział.

— Czynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem! — zawołał, padając jej do nóg. — Chcesz być moja?

— Na miłość boską, wstań pan! Jestem twoja na wieki.

Weszła baronowa. Lubo nie była zaskoczona, zdumiała się.

— Gdyby to było nieszczęściem, siostró — rzekł major — to twoja wina, jako za szczęście wdzięczni ci będziemy wiecznie.

Baronowa od młodości tak kochała brata swego, że go nad wszystkich przenosiła mężczyzn, a może nawet skłonność Hilarii, jeśli nie wypłynęła, to z pewnością wzrosła z tej szczególnej miłości matki.

Wszyscy troje połączyli się obecnie w jednej miłości, w jednym zadowoleniu — i tak upływały najszczęśliwsze dla nich godziny. Ale w końcu dostrzegli przecież znowu świat wkoło siebie, a ten rzadko bywa w zgodzie z takimi uczuciami.

Teraz znowu pomyślano o synu. Jemu przeznaczono Hilarię i było mu to bardzo dobrze wiadome. Zaraz po ukończeniu interesu z marszałkiem nadwornym miał major odwiedzić syna swego w garnizonie, omówić z nim wszystko i doprowadzić tę sprawę do szczęśliwego końca. A tu, wskutek niespodzianego zdarzenia, cały stan rzeczy się zmienił. Stosunki, które dawniej przyjaźnie się ze sobą spletały, teraz zdawały się wrogo stawać przeciw sobie i trudno było przewidzieć, jaki obrót przybierze sprawa, jaki nastrój ogarnie umysły.

Tymczasem musiał się major zdecydować na odwiedzenie syna, któremu już się zapowiedział. Nie bez wstrętu, nie bez osobliwego przecucia, nie bez bólu, że opuszcza Hilarię — choć na czas krótki — po jakimś ociąganiu się puścił się w drogę, pozostawiając masztalera i konie. Pojechał tylko ze swym odmładzającym lokajem, bez którego obejść się już nie mógł, ku miastu, gdzie syn jego przebywał.

Powitali się obaj i uścisnęli po tak długim rozdzieleniu jak najserdeczniej. Mieli sobie nawzajem wiele do powiedzenia, a przecież nie wyrazili natychmiast, co im najbardziej na sercu leżało. Syn rozwodził się nad nadziejami rychłego awansu, na co mu ojciec dał dokładną wiadomość o tym, co wśród starszych członków rodziny uradzono i postanowiono względem majątku w ogóle oraz względem dóbr poszczególnych i innych rzeczy.

Rozmowa zaczęła się już do pewnego stopnia urywać, kiedy syn nabrał odwagi i rzekł z uśmiechem do ojca:

— Postępujesz ze mną, kochany ojcze, bardzo delikatnie i dziękuję ci za to. Opowiadasz mi o posiadłościach i majątku, a nie wspominasz o warunku, pod którym, częściowo przynajmniej, ma się to stać własnością moją. Wstrzymujesz się z imieniem Hilarii, czekając, żebym je sam wymówił, żebym dał poznać swe pragnienie rychłego połączenia się z tym uroczym dzieckiem.

Wobec tych słów syna znalazł się major w wielkim kłopotcie. Ale ponieważ wypływało to częściowo z jego natury, częściowo ze starego przyzwyczajenia do badania myśli tych, z którymi miał do czynienia, więc milczał i patrzył na syna z dwuznacznym uśmiechem.

— Nie zgadujesz, mój ojcze, co mam powiedzieć — mówił dalej porucznik — a ja pragnę to wyrzec szybko raz na zawsze. Mogę się spuścić na dobroć twoją, która tak wielce dbając o mnie, z pewnością pomyślała także i o moim prawdziwym szczęściu. Raz to powiedzieć trzeba, więc niechże teraz powiedziane będzie: Hilaria nie może uczynić mnie szczęśliwym! Myślę o Hilarii jako o uroczej krewnej, z którą bym chciał całe życie zostawać w stosunkach najprzyjaźniejszych, ale inna obudziła moją namiętność, uwięziła mą skłonność. Przywiązanie to jest niepokonane. Nie zechcesz mnie, ojcze, uczynić nieszczęśliwym.

Z trudnością ukrył major radość, która się miała rozlać po jego obliczu, i z łagodną powagą zapytał syna, kim jest ta osoba, co tak całkowicie opanować go zdołała.

— Musisz tę istotę zobaczyć, mój ojcze, gdyż jest ona zarówno nie do opisania, jak nie do pojęcia. Lękam się tylko, żebyś ty sam nie został przez nią pociągnięty, jak każdy, co się do niej zbliża. Na Boga! Spotka mnie to i widzę cię jako rywala syna swego.

— Któż to jest? — zapytał major. — Jeżeli nie potrafisz odmalować jej osoby, to mi opowiedz przynajmniej o jej zewnętrznych stosunkach, gdyż te łatwiej przecież określić.

— Dobrze, mój ojcze! — odparł syn. — A jednak i te zewnętrzne stosunki byłyby inne u drugiej, inaczej by działały na drugą. Jest ona młodą wdową, dziedziczką starego, bogatego, niedawno zmarłego męża, niezależną i godną też niezależności, otoczoną przez wielu, przez tyluż kochaną, przez tyluż błaganą o rękę. A przecież albo się bardzo myślę, albo do mnie już sercem ona należy.

Ponieważ ojciec milczał i nie dawał żadnego znaku niezadowolenia, syn z przyjemnością ją opowiadać dalej o zachowaniu się pięknej wdowy względem niego, wysławiać ów wdzięk niepokonany, owe tkliwe dowody przychylności, w których ojciec mógł tylko — co prawda — dojrzeć łatwą uprzejmość kobiety powszechnie poszukiwanej, co to spo między wielu wyróżnia kogokolwiek, bynajmniej się ku niemu stanowczo nie skłaniając. Wśród innych okoliczności byłby się z pewnością starał ostrzec syna, ba, choćby przyjaciela tylko, o ludzeniu samego siebie, które tu prawdopodobnie zapanować musiało. Ale tym razem jemu samemu tak dalece zależało na tym, żeby się syn nie potrzebował ludzić, żeby wdowa kochała go istotnie i, jak można najprędzej, oświadczyła się na jego korzyść, iż albo żadnej nie miał wątpliwości, albo też powątpiewanie stłumił w sobie (a może tylko przemilczał).

— Wprawiasz mnie w wielki kłopot — zaczął ojciec po pewnej przerwie. — Cała ugoda między resztą członków naszego rodu opiera się na założeniu, że się połączysz z Hilarią. Jeżeli ona wyjdzie za obcego, to całe to kunsztowne zjednoczenie wielkiego mienia rozchwiewa się, a ty zwłaszcza nie najlepiej w swoim dziale będziesz opatrzony. Byłby jeszcze jeden środek, który jednak brzmi trochę dziwnie i wobec którego nie zyskałbyś także wiele: ja na swoje stare lata musiałbym zaślubić Hilarię, czym chyba nie sprawiłbym ci wielkiej przyjemności.

— Największą w świecie! — zawołał porucznik. — Bo kto może odczuwać skłonność prawdziwą, kto może nasycić się szczęściem miłości lub go się spodziewać, nie życząc tego najwyższego szczęścia każdemu przyjacielowi, każdemu, co mu jest drogi! Nie jesteś stary, mój ojcze. Hilaria jakże jest urocza! A ulotna myśl nawet ofiarowania jej ręki świadczy o sercu młodzieńczym, o świeżej dzielności. Zastanówmy się i przemyślmy dobrze ten pomysł, ten projekt na poczekaniu. Wówczas dopiero byłbym naprawdę szczęśliwy, gdybym wiedział, że ty, ojcze, jesteś szczęśliwy. Wówczas dopiero naprawdę bym się cieszył, że za troskliwość, z jaką żeś los mój ubezpieczył, zostałeś sam tak pięknie i tak hojnie wynagrodzony. Ale najprzód zaprowadzę cię, ojcze, odważnie, z ufnością i sercem szcze-

rym, do mojej ukochanej. Pochwalisz moje uczucia, bo sam czujesz. Nie będziesz niczym przeszkadzał szczęściu swego syna, bo idziesz na spotkanie szczęścia własnego.

Tymi i innymi natarczywymi słowy nie dał się syn rozszerzać ojcu, który chciał niejake wątpliwości wtrącić, ale pośpieszył wraz z nim do pięknej wdowy, którą zastali w domu dużym, pięknie urządzonej, otoczonej nielicznym wprawdzie, lecz dobranym towarzystwem. Była ona jedną z tych istot niewieścich, którym żaden mężczyzna umknąć nie może. Z niesłychaną zręcznością umiała uczynić majora bohaterem tego wieczoru. Reszta towarzystwa wydawała się jej rodziną, major jeden — gościem. Znała bardzo dobrze jego stosunki, a jednak umiała się o nie pytać, jak gdyby od niego dopiero chciała się wszystkiego dobrze wywiedzieć, a i każdy z towarzystwa umiał także okazać jakiegokolwiek zajęcie się nowoprzybyłym. Jeden musiał przecież znać jego brata, drugi jego dobra, a trzeci jeszcze coś innego — tak iż major w ożywionej rozmowie czuł się wciąż jak jej ognisko. Siedział też najbliżej pięknej wdówki. Oczy jej na niego były zwrócone, a uśmiech ku niemu ulatywał. Dość, że poczuł się w tak błogim nastroju, że zapomniał niemal, dlaczego tu przyszedł. O synu ledwie słówkiem wspomniała, chociaż młodzieniec żywo się mieszał do rozmowy. Dla niej, zdawało się, był on obecny dzisiaj jak i wszyscy inni — tylko z powodu ojca.

Ręczne robótki kobiece, podejmowane w towarzystwie i na pozór wykonywane obojętnie, przy sprycie i wdzięku nabierają często ważnego znaczenia. Spokojnie, a pracowicie prowadzone zajęcia takie dają pięknej kobiecie pozór zupełnej nieuważności na otoczenie i budzą w nim ciche uczucie niechęci. Ale następnie, jakby przy obudzeniu, jedno słowo czy spojrzenie sprowadza nieobecną na powrót do towarzystwa, a ona wydaje się pożądana jakby nowa. A kiedy do tego złoży robótkę na łonie, zwróci uwagę na jakieś opowiadanie, na jakiś wykład pouczający, czym się mężczyźni lubią popisywać, pochlebia to niezmiernie temu, którego ona w ten sposób wyróżni.

Piękna nasza wdówka pracowała w ten sposób nad równie wspaniałym, jak gustownym, pugilaresem, odznaczającym się prócz tego większym formatem. Towarzystwo rozmawiało właśnie o nim. Najbliższy sąsiad wziął go do ręki i puścił w obieg po kolei wśród wielkich pochwał, gdy sama sztukmistrzyni¹¹⁴ rozmawiała z majorem o przedmiotach poważnych. Stary przyjaciel domu wysławiał przesadnie ukończone prawie dzieło, ale gdy ono przyszło do rąk majora, chciała mu je odebrać jako niegodne jego uwagi. Na co on umiał ocenić zalety w sposób zobowiązujący, kiedy przyjacielowi domu zdawało się, iż widzi w niej pracę ociągającą się na wzór Penelopy¹¹⁵.

Przechadzano się po pokojach i skupiano się przypadkowo w grona. Porucznik przystąpił do wdówki i zapytał:

— Co pani powiesz o moim ojcu?

Odpowiedziała z uśmiechem:

— Mógłbyś pan, moim zdaniem, za wzór wziąć go sobie. Przypatrz no się pan, jak on elegancko ubrany! Bodaj czy nie lepiej się on trzyma od swego syna!

I tak w dalszym ciągu podnosiła i wychwalała ojca kosztem syna, wywołując w sercu młodzieńca bardzo zmałowane uczucia zadowolenia i zazdrości.

Niebawem potem przyłączył się syn do ojca i opowiedział mu wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Major tym przyjaźniej zachowywał się względem wdowy, a ona przybrała względem niego ton żywszy, poufniejszy. Słowem, można powiedzieć, że zostając się, major — podobnie jak wszyscy inni — już należał do niej i do jej kółka.

Deszcz rzęsiasty nie dozwolił towarzystwu wracać do domu tym trybem, jakim tu przybyli. Zajechało kilka powozów, w których porozmieszczano piechurów. Porucznik tylko, pod pozorem, że i tak już za ciasno, puścił ojca samego i pozostał.

Major, wszedłszy do swego pokoju, poczuł się rzeczywiście opanowany jakimś odurzeniem, jakąś niepewnością co do samego siebie — jak to się dzieje z tymi, którzy nagle z jednego stanu przechodzą we wprost przeciwny. Ziemia zdaje się poruszać pod tym, co wysiada z okrętu, a światło drga jeszcze w oku tego, co od razu wstępuje w ciemności. Tak i major czuł jeszcze przy sobie obecność pięknej istoty. Pragnął widzieć ją jeszcze,

¹¹⁴sztukmistrzyni (daw.) — tu: twórczyni, wykonawczynie. [przypis edytorski]

¹¹⁵Penelopa — w mitologii greckiej żona Odyseusza, jednego z bohaterów wojny trojańskiej, która czekała wiele lat na powrót męża, tkając i prując szatę, by zwiść w ten sposób swoich zalotników (przrzekła wybrać jednego z nich na męża, gdy ukończy pracę). [przypis edytorski]

śłuchać jej i znów ją widzieć, i znów jej słuchać... I po niej jakimś namyśle przebaczył synowi swemu; ba, uważał go za szczęśliwego, że może rościć sobie pretensje do objęcia w posiadanie tak wielu zalet.

Z tych wzruszeń wyrwał go syn, który z żywym zachwytem wpadł drzwiami, uściskał ojca i zawołał:

— Jestem najszczęśliwszym człowiekiem w świecie!

Po takich i podobnych okrzykach przyszło na koniec pomiędzy nimi do wyjaśnień. Ojciec zauważył, że w rozmowie z nim piękna kobieta nie wspomniała ani jednym słowem o synu.

— To jest właśnie jej delikatny, milczący, na wpół milczący, na wpół napomykający sposób, który sprawia, że jest się pewnym swych pragnień, a przecież nie można się całkiem pozbyć wątpliwości. Taka była względem mnie dotychczas, ale twoja obecność, ojczyste, dokonała cudu. Wyznaję, że pozostał, aby ją widzieć jeszcze chwilę. Zastałem ją przechadzającą się po oświetlonych pokojach, boć wiem, że to jej zwyczaj, iż gdy towarzystwo się oddali, żadna świeca nie może być zgaszona. Przechadza się sama po swych salach zaczarowanych, kiedy odprawiła duchy, które urokiem swym wkoło siebie zebrała. Przyjęła wymówkę, pod osłoną której wróciłem. Mówiła powabnie, ale o rzeczach obojętnych. Otwartymi drzwiami przechadzaliśmy się przez cały rząd pokojów, tam i z powrotem. Kilkakrotnie już dotarliśmy do końca, do małego gabinetu, oświetlonego jedynie lampką przyścianową. Jeżeli była piękna, kiedy się poruszała pod świecznikami wieloramiennymi, to była nią nieskończenie więcej, gdy ją łagodny blask lampy oświetlał. Znowu tam dotarliśmy i przy nawrocie zatrzymaliśmy się chwilę. Nie wiem, co mnie przywiodło do zuchwałstwa, nie wiem, jak się mogłem odważyć, by podczas najbardziej obojętnej rozmowy pochwycić nagle jej dłoń, ucałować tę delikatną rączkę, przycisnąć ją do swego serca. Nie odebrano mi jej. „Niebiańska istota — zawołałem — nie skrywaj się już dłużej przede mną! Jeżeli w tym pięknym sercu mieści się skłonność dla szczęśliwca, który stoi przed tobą, to jej nie osłaniaj. Objaw, wyznaj ją! To najpiękniejsza, najstosowniejsza pora! Wypędź mnie albo weź mnie w swoje objęcia!”. Nie wiem, co dalej mówiłem, nie wiem, jak się zachowywałem. Nie oddalała się, nie opierała się, nie odpowiadała. Odważyłem się chwycić ją w swoje objęcia, zapytać ją, czy chce być moja. Całowałem ją niepohamowanie, ona mnie odepchnęła. „Ależ tak, tak!” — czy coś podobnego powiedziała półgłosem, jakby w zmieszaniu. Odszedłem, wołając: „Przyślę tu ojca, on za mnie mówić będzie!”. „Ani słowa z nim o tym!”, odpowiedziała, idąc za mną kilka kroków. „Oddał się pan, zapomnij, co się stało!”.

Co major myślał, nie chcemy roztrząsać. Ale rzekł do syna:

— I cóż zamierzasz robić dalej? Rzecz, zdaje mi się, dosyć dobrze została zaimprovizowana, ażebyśmy mogli wziąć się do dzieła trochę formalniej. Może by najstosowniej było, gdybym się jutro tam zgłosił i ciebie swatał.

— Na miłość Boga, mój ojczyste! — zawołał syn. — To by znaczyło popsuć rzecz całą. Owo zachowanie się, ów ton nie chce mieć przeszkody, nie chce być zagłuszony przez żadną formalność. Wystarczy, mój ojczyste, gdy obecność twoja przyśpieszy to połączenie, choć ani słowa nie wypowiesz. Tak, tobie to, ojczyste, winienem szczęście moje! Szacunek mojej ukochanej dla ciebie zwyciężył wszelką wątpliwość i nigdy by syn nie był znalazł tak szczęśliwej chwili, gdyby jej ojciec nie przygotował.

Takie i tym podobne rozprawy zabawiały ich późno w noc. Umawiali się wzajemnie co do swych planów. Major chciał dla formy jedynie złożyć pięknej wdówce wizytę pożegnalną, a potem przysposobić się do związku swego z Hilarią. Syn miał swój związek popierać i przyśpieszać, jak tylko będzie można.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pięknej wdówce złożył nasz major rankiem odwiedzin, chcąc się pożegnać i, jeśliby to było możliwe, poprzeć stosownie zamiar swego syna. Zastał ją w wielce zdobnym stroju porannym, w towarzystwie starszej damy, która niezmierną grzecznością i uprzejmością rychło go sobie zjednała. Wdzięk młodszej i miła powaga starszej wprowadzały tę parę w najbardziej pożądaną równowagę, a wzajemne ich zachowanie się zdawało się przemawiać zgola za tym, że do siebie całkowicie pasowały.

Młodsza ukończyła dopiero co pracowicie wykonany, a od wczoraj znany nam już, pugilares. Po zwykłych słowach powitania i uprzejmych zdaniach o przybyciu pożądanego gościa zwróciła się do przyjaciółki, podała jej kunsztowną robótkę i, jakby nawiązując przerwana rozmowę, rzekła:

— Widzisz więc, żem doszła do końca, chociaż się to wydawało nieprawdopodobne z powodu niejednej zwłoki i odkładania.

— W sam raz przychodzisz, panie majorze — rzekła starsza — by spór nasz rozstrzygnąć albo też przynajmniej oświadczyć się za jedną czy drugą stroną. Ja utrzymuję, że się nie rozpoczyna tak rozległej roboty, nie myśląc o osobie, której się ją przeznacza. Nie kończy się jej, nie mając czegoś podobnego na myśli. Obejrzyj pan sam to dzieło sztuki, słusznie bowiem tak je nazywam, i powiedz, czy rzecz taka może być podjęta zupełnie bez żadnego celu.

Nasz major musiał wyrazić całkowite dla robótki uznanie. Częścią pleciona, częścią haftowana budziła wraz z podziwem pragnienie dowiedzenia się, jak jest zrobiona. Różnobarwny jedwab przeważał, ale nie odrzucono i złota — dość, że trudno było wiedzieć, co więcej podziwiać: przepych czy smak.

— Ale trzeba jeszcze przy niej zrobić to i owo — rzekła piękna wdowa, rozplątując fontaż¹¹⁶ wstęgi opasującej pugilares i zajmując się wnętrzem. — Nie myślę się spierać — mówiła dalej — lecz opowiem, jakiego doznaję uczucia przy takim zajęciu. Jako młode panny przyzwyczajają nas do przebierania palcami i do bujania myślami. I to, i tamto nam pozostaje, gdy się z wolna uczymy wykonywać roboty trudniejsze i ozdobniejsze. I nie przeczę, że do każdej pracy tego rodzaju przywiązywałam zawsze jakieś myśli o osobach, o położeniach, o radości i smutku. I tak rzecz rozpoczęta stawała się miła dla mnie, a skończona, winnam to powiedzieć, droga. Choćby to była drobnostka, musiałam ją cenić. Najlżejsza robota zyskiwała jakąś *wartość*, a najtrudniejsza nawet przez to tylko, że wspomnienie przy niej było bogatsze i pełniejsze. Przyjaciółom i kochającym osobom, czcigodnym i wysoko postawionym mogłam tedy, zdaniem moim, rzeczy takie zawsze ofiarować. Uznawały to one i wiedziały, że im dają coś z mego najgłębszego wnętrza, co połączone ze sobą różnorodnie i w sposób nieokreślony, w końcu przecież zmienione w dar miły, przyjmowane było zawsze życzliwie jak przyjazne pozdrowienie.

Na tak urocze wyznanie niemożliwa prawie była odpowiedź, a przecież przyjaciółka potrafiła coś temu zarzucić w słowach uprzejmych. Major, od dawna przyzwyczajony do cenięcia powabnej mądrości pisarzy i poetów rzymskich, do wpajania w pamięć ich świetnych wyrażań, przypomniał sobie wprawdzie kilka wierszy doskonale tu zastosować się dających, ale, nie chcąc się okazać pedantem¹¹⁷, wstrzymał się od ich wypowiedzenia, a nawet od wzmianki o nich. Spróbował tylko, żeby się nie okazać niemym i pozbawionym dowcipu, prozaicznej na poczekaniu parafrazy, która jakoś nie bardzo się powiodła, przez co rozmowa o mało się nie urwała.

Starsza dama pochwyciła z tego powodu książkę, odłożoną po wejściu przyjaciela. Był to zbiór poezji, zajmujący właśnie uwagę przyjaciółek. Dało to pochop do mówienia o poezji w ogóle, ale rozmowa niedługo utrzymała się w ogólnikach, gdyż niebawem wyznały panie poufnie, że powiadomione były o talencie poetyckim majora. Syn, który sam nie skrywał swoich roszczeń do zaszczytnej nazwy poety, mówił im już o wierszach swego ojca i coś niecoś nawet deklamował. W gruncie rzeczy dlatego, ażeby się pochłubić pochodzeniem poetyckim i — zwyczajem młodzieży — móc się skromniuchno przedstawić jako młodzieniec postępujący naprzód, wznagający uzdolnienia ojca. Major wszakże, który próbował zrobić odwrót, ponieważ chciał jedynie uchodzić za literata-amatora, starał się, nie mając żadnego wyjścia, wymknąć się przynajmniej, twierdząc, że rodzaj poezji, w której się właściwie ćwiczył, jest podrzędny, a nawet za nieprawdziwy poczytany być winien. Nie mógł atoli zaprzeczyć, że próbował sił swoich w tym, co nazywają poezją opisową i w pewnym znaczeniu nauczającą.

Damy, a zwłaszcza młodsza, ujęły się za tym rodzajem poezji.

— Jeśli się chce — rzekła wdowa — żyć rozumnie i spokojnie, co przecież ostatecznie jest życzeniem i celem każdego człowieka, cóż nam po owym namiętym wzruszeniu,

¹¹⁶fontaż (daw.) — tu: fantazyjna, ozdobna kokarda. [przypis edytorski]

¹¹⁷pedant — tu: nudziarz pozbawiony polotu. [przypis edytorski]

które nas mimowolnie drażni, nic nie dając, które nas niepokoi, pozostawiając nas w końcu znowu samym sobie. Nieskończenie przyjemniejsza dla mnie, ponieważ nie lubię się obchodzić bez poezji, jest taka, co mnie przenosi do wesołych okolic, gdzie niby do siebie przychodzę, co mi uprzytomnia zasadniczą wartość prostoty wiejskiej, co mnie przez gęsty gaik do lasu, niepostrzeżenie, na wyżynę dla zobaczenia jeziora prowadzi, gdy naprzeciwko najprzód uprawne wzgórza, potem lasem pokryte góry się wznoszą, a na zakończenie błękitne szczyty zamykają zaspokajające malowidło. Jeżeli mi to podają w ładnych rytmach i rymach, to ja na swej sofie wdzięczna jestem poecie, iż przed wyobraźnią moją rozwinął obraz, przy którym mogę się radować spokojniej, niż gdybym go ujrzała przed oczyma po męczącej wędrowce, może wśród innych niesprzyjających okoliczności.

Major, który obecną rozmowę uważał właściwie za środek jedynie do poparcia swych zamiarów, starał się znowu zwrócić do poezji lirycznej, w której syn jego rzeczywiście utworzył rzeczy godne pochwały. Nie przeczyto mu wprost, ale próbowano go zbić żartami z drogi, na którą wstąpił — zwłaszcza, gdy napomykać się zdawał o namiętnych wierszach, w których syn jego usiłował, nie bez siły i zręczności, wypowiedzieć nieporównanej damie stanowczą skłonność swego serca.

— Pieśni miłosnych — rzekła piękna kobieta — nie lubię słuchać ani czytanych, ani śpiewanych. Szczęśliwym kochankom zazdrościmy, zanim się opatrzymy, a nieszczęśliwi zawsze nas nudzą.

Potem starsza dama, zwrócona do swej ślicznej przyjaciółki, zabrała głos i rzekła:

— Po co robimy takie kołowanie, po co tracimy czas na ogródki względem człowieka, którego czcimy i kochamy? Czyż nie powinnyśmy zwierzyć mu się, żeśmy już miały przyjemność poznać częściowo jego milutki wiersz, w którym przedstawia ze wszystkimi szczegółami dziarską namiętność do polowania; i prosić teraz, żeby go nam udzielił w całości? Syn pański — mówiła dalej — wydeklamował nam niektóre ustępy żywo bardzo z pamięci i zainspirował nas do ujrzenia ich w związku.

A gdy ojciec ponownie chciał wrócić do talentów syna i podnieść je, nie zgodziły się na to panie, nazywając oczywistym wybiegiem, by pośrednio odmówić spełnienia ich życzeń. Nie wywinął się, aż przyrzekł wyraźnie wiersz ten nadesłać. Ale potem rozmowa przybrała obrót taki, który mu nie pozwolił powiedzieć nic więcej na rzecz syna — zwłaszcza, że ten odradzał mu wszelką natarczywość.

Kiedy już przyjaciel uważał za stosowne pożegnać się i z tego powodu ruch jakiś zrobił, piękna wdowa z pewnym zakłopotaniem, które ją jeszcze piękniejszą czyniło, rzekła, starannie wygładzając świeżo zawiązany fontaż na pugilaresie:

— Poeci i kochankowie od dawna już niestety są tak osławieni, iż ich obietnicom i przyrzeczeniom niewiele wierzyć należy. Daruj więc pan, jeśli się osmielam słowo człowieka honorowego podawać w wątpliwość i dlatego nie żądam zastawu, zadatku, ale go daję. Weź pan ten pugilares. Ma on jakieś podobieństwo do pańskiego poematu o polowaniu, wiele wspomnień jest do niego przywiązanych, czas jakiś zeszedł na pracy, na koniec jest on gotowy. Niech go pan użyje jako posłańca, żeby nam przyniósł pańską miłą pracę.

Wobec tak niespodzianego podarunku, poczuł się major zupełnie zaskoczony. Zdobyty przepych tego daru nie był w żadnym stosunku z tym, co go zazwyczaj otaczało, z innymi rzeczami, którymi się posługiwał, tak, iż lubo wręczony jemu, z trudnością ledwie mógł go sobie przyswoić. Ale oprzytomniał, a że pamięci jego nigdy nie zawodziło to, co jej dobrego powierzył, więc rychło przyszedł mu do głowy jakiś ustęp z poety klasycznego. Byłoby atoli dowodem pedantyzmu, gdyby go wygłosił. Obudził on jednak w nim myśl tak pogodną, że mógł na poczekaniu, zręcznie go sparafrazowawszy, wyrazić i uprzejmą wdzięczność, i ładny komplement. I tak się zakończyła ta scena w sposób zadowalający wszystkich rozmówców.

Nie bez zakłopotania znalazł się tedy major wplątany w miły stosunek. Przyrzekł nadesłać, pisać zobowiązał się. A lubo powód był dla niego w pewnej mierze nieprzyjemny, musiał przecież za szczęście poczytać, że pozostaje w sposób wesoły w stosunku z kobietą, która z wielkimi swymi zaletami tak bliska stać mu się miała. Rozstał się tedy z paniami nie bez pewnego wewnętrznego zadowolenia. Bo jakże by nie miał odczuć takiej zachęty poeta, którego usilnej pracy, co tak długo spoczywała niedostrzeżona, dostaje się w udziale całkiem niespodziewanie tak miła uwaga?

Dar

Zaraz po powrocie do kwatery zasiadł major do pisania, by powiadomić o wszystkim swą dobrą siostrę. Rzecz bardzo naturalna, iż w przedstawieniu jego uwydatniła się pewna egzaltacja, jakiej sam doznawał, ale która jeszcze się wzmogła wskutek słów syna, przeszkadzającego mu od czasu do czasu.

Na baronowej list ten wywarł wrażenie bardzo zmałone. Bo chociaż ta okoliczność — wskutek której związek jej brata z Hilarią mógł być ułatwiony i przyspieszony — całkowitym zadowoleniem przejąć by ją zdołała, to przecież piękna wdówka jakoś nie przypadła jej do smaku, lubo nie myślała zdawać sobie z tego sprawy. Przy tej sposobności robimy następujące spostrzeżenie.

Z entuzjazmu względem jakiegokolwiek kobiety nigdy nie należy zwierzać się innej. Znają się one nawzajem zbyt dobrze, aby się uważać za godne takiej czci wyłącznej. Mężczyźni przedstawiają się im jak kupujący w sklepie, gdzie sprzedający ma wyższość co do swoich towarów, które zna, i może uchwycić sposób ukazania ich w świetle najlepszym, gdy kupujący — przeciwnie — wchodzi zawsze z pewnym rodzajem niewinności. Potrzebuje towaru, chce i pragnie go, a rzadko umie nań patrzeć oczyma znawcy. Tamten wie bardzo dobrze, co daje; ten nie zawsze, co bierze. Ale tego już w życiu i stosunkach ludzkich zmienić się nie da. Owszem, to jest zarówno chwalebne, jak konieczne, gdyż wszelkie pożądanie i staranie się, wszelkie kupowanie i zamiana na tym polega.

Wskutek takiego poczucia raczej niż z rozmysłu nie mogła być baronowa zupełnie zadowolona ani namiętnością syna, ani przychylną oceną ojca. Widziała się zaskoczoną pomyslnym obrotem sprawy, ale nie potrafiła odepchnąć od siebie złego przeczucia, z powodu podwójnej nierówności wieku. Hilaria jest za młoda dla brata, wdowa nie dosyć młoda dla bratanka. Tymczasem sprawa potoczyła się swym biegiem, który — jak się zdaje — powstrzymany być nie może. Pobożne życzenie, żeby wszystko dobrze poszło, wydarło się jej wraz z cichym westchnieniem. By ulżyć sercu, wzięła pióro i pisała do owej przyjaciółki, znającej ludzi, po wstępie historycznym tak się dalej wyrażając:

„Gatunek tej młodej, zwodniczej wdówki nie jest mi nieznanym. Przystawania z kobietami zdaje się unikać i znosi tylko jedną koło siebie kobietę, która jej nie przyćmiewa, pochlebia jej i jeśliby jej nieme zalety nie uwydatniały się dostatecznie, umie je polecić uwadze za pomocą słów i zręcznego traktowania. Widzami, uczestnikami takiej prezentacji muszą być mężczyźni — stąd powstaje konieczność przyciągania ich i zatrzymywania. Nie myślę nic złego o tej pięknej kobiecie, wydaje się ona przyzwoita i dosyć ostrożna. Lecz podobna, pożądliva próżność poświęca coś także okolicznościom. A nadto, co uważam za rzecz najgorszą, nie wszystko jest rozważone i zamierzone. Szczęśliwe usposobienie kieruje i opiekuje się nią, a nic nie ma bardziej niebezpiecznego w takiej urodzonej kokietce jak wyłaniające się z niewinności rozpasanie”.

Major, przybywszy do dóbr, całe dni poświęcił na oglądanie i badanie. Mógł niebawem zauważyć, że słuszną, dobrze pomyślaną zasadą podlega w wykonaniu różnorodnym przeszkodom i krzyżowaniu się wielu przypadłości tak dalece, że pierwotny pomysł prawie zniknął i chwilami ginął całkowicie się zdaje — aż wśród tego całego zamętu znów się przedstawia rozumowi możliwość powodzenia, kiedy widzimy, że czas, jako najlepszy sojusznik, podaje rękę niepokonanej wytrwałości naszej.

I tutaj także smutny widok pięknych, rozległych, zaniedbanych posiadłości mógłby się być wedle rozumnej uwagi światłych gospodarzy przemienić w stan rozpaczliwy, gdyby się zarazem nie powiedziało, że szereg lat, spożytkowany rozsądnie i uczciwie, wystarczy na to, by ożywić, co zamarło, puścić w obieg, co się zatrzymało, i w końcu, za pomocą porządku i działania, cel swój osiągnąć.

Lubiący wygodę marszałek zjechał także wraz z poważnym adwokatem. Ale ten mniej obawy budził w majorze niż tamten, co należał do ludzi, którzy, żadnych nie mają celów albo, jeżeli jaki widzą przed sobą, środki ku temu odrzucają. Wygoda w każdym dniu i godzinie była dla niego nieodzowną potrzebą życia. Po długim ociąganiu się poczuł wreszcie konieczność pozbycia się swych wierzycieli, zrzucenia z dóbr ciężarów, uporządkowania swych spraw domowych, używania bez troski przyzwoitego i pewnego dochodu,

Kobieta, Kondycja ludzka,
Obraz świata

lecz zarazem nie chciał się wyrzec najdrobniejszego ze swych dotychczasowych przyzwyczajzeń.

W ogóle zgodził się on na wszystko, co miało zapewnić bratu i siostrze niezakłócone posiadanie dóbr, a zwłaszcza majątku głównego. Nie chciał tylko zrzec się zupełnie pretensji do pewnego pobliskiego pawilonu, do którego zapraszał corocznie na swe urodziny najdawniejszych przyjaciół i najświeższych znajomych, oraz do położonego przy nim ogrodu, łączącego tenże z budowlą główną. Wszystkie meble miały pozostać w domku letnim, miedzioryty na ścianach, a owoce szpalerów miały dla niego być zabezpieczone. Brzoskwinie i poziomki najwyszukańszych gatunków, gruszki i jabłka wielkie i smaczne, zwłaszcza zaś pewien gatunek małych, szarych jabłuszek, które od lat wielu przywykł ofiarowywać księżnej wdowie — miały mu być sumiennie oddawane. Do tego się przyłączyły inne warunki, mało znaczące wprawdzie, ale niezmiernie uciążliwe dla gospodarza, dzierżawców, rządców i ogrodników.

Marszałek był zresztą w najlepszym humorze. Bowiem, nie pozbywając się myśli, że wszystko w końcu da się ułożyć wedle jego życzeń, jak mu to lekki jego temperament przedstawił, dbał tylko o dobre jedzenie i zażywał przez kilka godzin potrzebnego ruchu na niemęczącym polowaniu. Opowiadał historie jedne po drugich i pokazywał zgoła najweselsze oblicze. I rozstał się z nimi w ten sam sposób — dziękował jak najpiękniej majorowi, że działał tak po bratersku; żądał jeszcze trochę pieniędzy, kazał będące w zapasie szare jabłuszka, które się tego roku szczególnie dobrze udały, starannie zapakować i odjechał z tym skarbem, który zamierzał jako pożądane uczczenie złożyć księżnej w jej wdowiej siedzibie, gdzie też łaskawie i przyjaźnie został przyjęty.

Major ze swej strony pozostał w nastroju wprost przeciwnym. I byłby niemal zrozpaczony z powodu ograniczeń, jakie znalazł przed sobą, gdyby mu nie przyszło na pomoc uczucie, podnoszące radośnie czynnego człowieka, jeśli może mieć nadzieję rozwikłania zamętu i używania tego, co rozplątał.

Na szczęście adwokat był uczciwym człowiekiem, który, mając do czynienia wiele gdzie indziej, ukończył rychło tę sprawę. Równie szczęśliwie nawinął się kamerdyner marszałka, który obiecał pod umiarkowanymi warunkami współdziałać w tej sprawie, z czego można było przewidywać pomyślne jej ukończenie. Ale jakkolwiek było to przyjemne, major jednak — jako człowiek uczciwy — czuł przy załatwianiu tego interesu, że trzeba niejednej nieczystości, aby wyjść na czysto.

A jak dla kobiet niezmiernie bolesna jest chwila, kiedy ich piękność — dotąd niezaprzeczone — stawać się zaczyna wątpliwą, tak i dla mężczyzn w pewnym wieku, lubo w pełni sił jeszcze, najłżejsze uczucie niedostatecznej siły jest nadzwyczaj niemiłe, a nawet do pewnego stopnia trwogą przejmuje.

Atoli inna nadarzająca się okoliczność, która go zaniepokoić była powinna, dopomogła mu w poprawie humoru. Jego kosmetyczny kamerdyner, który go nie opuścił i w tej wycieczce na wieś, inną od niejkiego czasu drogę obierać się zdawał, do czego zmuszało go jakoby wczesne wstawanie majora, codzienne jego wyjeżdżanie i chodzenie, jako też zjawianie się tych i owych interesantów, a za bytności marszałka — wielu niemających żadnego interesu. Wszystkimi drobiazgami, jakie miały prawo zajmować jedynie dbałość mima, przestał już od pewnego czasu niepokoić majora, lecz za to z tym większą stanowczością trzymał się kilku punktów zasadniczych, które dotychczas przesłonięte były pomniejszym hokus-pokus. Wszystko, co nie tylko pozór zdrowia miało na celu, ale co powinno podtrzymać samo zdrowie, było ściśle przestrzegane — a zwłaszcza miara we wszystkim i zmiana stosownie do zdarzeń, następnie staranie o skórę i włosy, o brwi i zęby, o ręce i paznokcie, o najozdobniejszą formę których i najstosowniejszą długość znawca ten już od dawna się troszczył. Obok tego natarczywie było zalecane raz po raz umiarkowanie w tym wszystkim, co zazwyczaj wybija człowieka z równowagi. Po czym ten nauczyciel utrzymania piękności wyprosił sobie możliwość odejścia, gdyż — jak mówił — na nic się już panu swemu nie zda. Przypuścić wszakże było można, że właściwie pragnął się on znów dostać do swego poprzedniego patrona, ażeby się móc w dalszym ciągu oddawać różnorodnym rozrywkom życia teatralnego.

Istotnie, bardzo to dobrze wpłynęło na majora, gdy sobie samemu znów był pozostawiony. Rozumny człowiek potrzebuje się tylko miarkować, a będzie szczęśliwy. Znowu się mógł swobodnie posługiwać ulubionym ruchem jazdy konnej, polowania i wszyst-

kim, co się z tym łączy. Postać Hilarii występowała znowu radośnie w takich chwilach samotności, a major wzył się w stan narzeczonego, najpowabniejszy może, jakiego nam udzielono w społecznej sferze życia.

W przerwie między zajęciami, która mu zapewniła niejaką swobodę, pośpieszył do swego majątku, gdzie, pamiętny przyrzeczenia, które dał pięknej wdowie i które mu z głowy nie wyszło, wyszukał swoje poezje, przechowywane w należyтым porządku. Równocześnie wpadły mu w ręce zeszyty pamiątkowe i pamiętniki, zawierające wyciągi z czytanych pisarzy dawnych i nowych. Z powodu jego zamięłowania do Horacego¹¹⁸ i poetów rzymskich najwięcej tam było tego. Zastanowiło go, że ustępy owe były najpospoliej wyrazem żalu za czasem minionym, za zanikłymi stanami i uczuciami. Zamiast wielu przytoczymy tu jedno tylko miejsce:

Heu!

*Quae mens est hodie, cur eadem non puero fuit?
Vel cur his animis incolumes non redeunt genae?*¹¹⁹

Poezja, Poeta

(W przeróbce):

Jakże dzisiaj w mojej duszy
Jasno, błogo wszystko lśni!
Kiedy dawniej bez katuszy
Nie schodziły dziecka dni.
Gdy mię jednak lata gniotą,
Choć radości nie brak snów,
Lic rumianość bym z ochotą
Pragnął zyskać, mieć ją znów!

Wydostawszy bardzo prędko z dobrze uporządkowanych papierów poemat myśliwski, przyjaciel nasz ucieszył się staranną kaligrafią, jaką przed laty spisał go wielce ozdobnie łacińskimi literami, w wielkiej ósemce. Cenny pugilares znacznej objętości nader wygodnym był dla tego dzieła pomieszczeniem i rzadko kiedy jaki autor widział się w tak wspaniałej oprawie. Rzeczą było konieczną dodać do tego kilka wierszy, ale proza ledwie była dopuszczalna. Znowu mu przyszło na pamięć owo miejsce z Owidiusza¹²⁰ i wydało mu się, że najlepiej załatwi tę sprawę przez parafrazę poetyczną, jak wtedy przez prozaičną. Brzmiało ono:

*Nec factas solum vestes spectare iuvabat,
Tum quoque dum fierent; tantus decor adfuit arti.*¹²¹

(W przeróbce):

Widziałem to w mistrzowskich ręku,
(Lubię wspominać czasy te!)
Jak do niewidzianego wdzięku
Stopniami rozsnuwało się.
Posiadam to wprawdzie w tej chwili,
Lecz sobie wyznać muszę sam:
Niegotowym widzieć mi milej:
Robienie szło tak pięknie tam!

Z tego przekładu krótką tylko chwilę zadowolony był nasz przyjaciel. Przyganiał sobie, że pięknie odmieniające się słowo *dum fierent*¹²² zastąpił smutnie oderwanym rze-

¹¹⁸Horacy (65–8 p.n.e.) a. *Quintus Horatius Flaccus* (łac.) — rzymski poeta liryczny i satyryczny. [przypis edytorski]

¹¹⁹Heu! *Quae mens est hodie, cur eadem non puero fuit? Vel cur his animis incolumes non redeunt genae?* — *Quintus Horatius Flaccus, Carmina* IV, 11. [przypis edytorski]

¹²⁰Owidiusz (43 p.n.e.–17/18 n.e.) a. *Publius Ovidius Naso* (łac.) — poeta rzymski. [przypis edytorski]

¹²¹*Nec factas solum vestes spectare iuvabat, Tum quoque dum fierent; tantus decor adfuit arti.* — *Publius Ovidius Naso, Metamorphoses* VI. [przypis edytorski]

¹²²*dum fierent* — gdy już były (zrobione, gotowe); w niemieckim oryginale: robienie, praca (*das Machen*). [przypis edytorski]

czownikiem i gnębiło go to, że pomimo namyślenia się nie mógł tego miejsca poprawić. Nagle znów ożyło w nim zamięłowanie do języków starożytnych, a blask Parnasu¹²³ niemieckiego, na który się przecież także wdzierał w cichości, zdawał mu się zaciemniać.

W końcu jednak, uznawszy ten wesoły komplement za dosyć zręczny, gdy go się z tekstem pierwotnym nie porównuje, i mniemając, iż kobieta bardzo dobrze go przyjmie, uczuł drugą wątpliwość, że ponieważ nie można być w wierszach zalotnym, nie wydając się zakochanym, on — jako teść przyszły — odgrywa przy tym dziwną rolę. Najgorsza atoli rzecz na końcu dopiero go uderzyła. Owe wiersze Owidiusza wypowiedziane zostały o Arachne¹²⁴, prządce zarówno zręcznej, jak pięknej i powabnej. A że ona została przez zazdrosną Minerwę¹²⁵ przemieniona w pająka, było tedy rzeczą niebezpieczną widzieć piękną kobietę przyrównywaną, choć z dala tylko, do pająka i unoszącą się w środku rozciągniętej sieci. Toż można było przypuścić, że wśród dowcipnego towarzystwa, otaczającego naszą damę, znajdzie się uczonego, który tę przeróbkę zwietrzy. Jak się przyjaciel wydobyl z tego kłopotu, nam samym pozostało nieznanne i musimy wypadek ten zaliczyć do tych, na które muzy pozwalają sobie przebiegle zarzucać zasłonę. Dość, że sam poemat myśliwski został odesłany — o którym kilka jeszcze słów dodać tu chcemy.

Czytelnik jego rozkoszuje się zdecydowanym zamięłowaniem do myślistwa i wszystkim, co temuż sprzyja. Radosna jest zmiana pór roku, co je w różnorodny sposób wywołuje i pobudza. Właściwości wszystkich stworzeń, za którymi się goni, które zabić się zamierza, rozmaite charaktery myśliwych, oddających się tej zabawie, temu trudowi, przypadłości sprzyjające lub szkodliwe — wszystko to, a zwłaszcza, co się odnosiło do ptactwa, było przedstawione ze świetnym humorem i traktowane z wielką samodzielnością. Od tokowania głuszca do drugiego wlotu bekasa, a stąd aż do kruczego gniazda niczego nie pominięto, wszystko dobrze widziano, jasno pojęto, namiętnie ścigano, lekko i żartobliwie, często ironicznie odmalowano.

Temat wszelako elegijny przenikał całość. Podjęty on był raczej jako pożegnanie z tymi uciechami życia, przez co nabierał wprawdzie uczuciowego odcienia tego, co się wesoło przebyło, i działał bardzo dobroczynnie, ale, bądź co bądź, tak samo jak owe sentencje, dawał poczuć po użyciu czczość¹²⁶ pewną. Czy to było skutkiem przegładania tych papierów czy też innego, chwilowego niesmaku — major nie czuł się pogodnie nastrojony. W tym zwrotnym punkcie, w którym się znajdował, zdawało mu się, że odczuł naraz żywo, iż lata, które z początku przynoszą jeden piękny dar po drugim, odbierają je potem powoli. Pominięta podróż do kąpieli, lato spędzone bez używania, brak stałego ruchu, do którego nawykł — wszystko to sprawiało, że doznawał pewnych cielesnych niedomagań, które brał za choroby istotne i niecierpliwiej się przy tym zachowywał, niż wypadało.

*

Kilka już miesięcy pozostawali wszyscy członkowie rodziny bez szczegółowych o sobie wiadomości. Major zajmował się w stolicy przeprowadzeniem ostatecznym pewnych pozwoleń i potwierdzeń swej sprawy. Baronowa i Hilaria skierowały swą aktywność na obfitą i jak najweselszą wyprawę. Syn, służąc namiętnie swej pięknej, zdawał się poza tym zapominać o wszystkim. Nadeszła zima i oblala wszystkie mieszkania wiejskie nierozkosznymi ulewami i wczesnymi ciemnościami.

Kto by dzisiaj, wśród ponurej nocy listopadowej, zabłąkał się w okolicy zamku szlacheckiego i przy słabym świetle zakrytego księżycy widział przed sobą ciemne pola, łąki, grupy drzew, wzgórze i zarośla, naraz zaś przy nagłym zwrocie koło rogu ujrzał zupełnie oświetlony szereg okien długiego budynku, pomyślałby zapewne, że znajdzie tam świątecznie ubrane towarzystwo. Ale jakżeby się musiał zdziwić, gdyby, wprowadzony przez nielicznych służących oświetlonymi schodami, zobaczył tylko trzy kobiety: baronową, Hilarię i pokojówkę, w jasnych pokojach, wśród świecących się ścian, obok wesołych sprzętów, doskonale ogrzane i używające wygody!

¹²³ *Parnas* — pasmo górskie w środkowej Grecji, wg mitologii greckiej znajdowała się tutaj siedziba Apollina; symbol doskonałości w sztuce (zwłaszcza w poezji). [przypis edytorski]

¹²⁴ *Arachne* — w mitologii greckiej mistrzyni tkania i haftu. [przypis edytorski]

¹²⁵ *Minerwa* — w mitologii rzymskiej bogini sztuki i rzemiosła, ale też mądrości, nauki i literatury, utożsamiana z grecką Ateną. [przypis edytorski]

¹²⁶ *czczość* (daw.) — pustka. [przypis edytorski]

A ponieważ wydaje nam się, że zaskoczymy baronową w świątecznym nastroju, konieczną jest rzeczą zauważyć, że tego błyszczącego oświetlenia nie należy tu uważać za nadzwyczajne, gdyż należy ono do właściwości, jakie dama ta z dawniejszego życia swego tu wniosła. Jako córka ochmistrzyni dworu, wychowana przy dworze, przywykła przedkładać zimę nad inne pory roku i koszt wspaniałego oświetlenia uczynić zasadą wszystkich swoich rozkoszy. Nigdy wprawdzie nie brakowało świec woskowych, ale jeden z najstarszych jej służących miał tak wielkie zamiłowanie do rzeczy kunsztownych, że chyba nie odkryto ani jednego rodzaju lamp, którego by on nie starał się tu i owdzie w zamku umieścić, przez co oświetlenie zyskiwało w ogóle na żywości, lecz także miejscami zjawiała się niekiedy częściowa ciemność.

Baronowa zmieniała stan damy dworu przez związek ze znacznym obywatelem ziemskim i zapalonym gospodarzem wiejskim z miłości i z dobrego namysłu. A że wieś nie smakowała jej z początku, wyrozumiały małżonek, za zgodą sąsiadów i stosownie do rozporządzeń rządowych, tak dobrze uregulował drogi na kilka mil wokoło, że komunikacja sąsiedzka nigdzie się nie znajdowała w tak wybornym stanie. Ale właściwie przy tej chwalebnej robocie ten był cel zasadniczy, żeby dama, zwłaszcza w piękną porę roku, wszędzie się przejeżdżać mogła. Natomiast zimą małżonek, żeby lubiła przebywać przy nim w domu, potrafił przez oświetlenie uczynić noc równą dniowi. Po śmierci męża namiętna troska o córkę dawała baronowej dostateczne zajęcie, częste odwiedziny brata — serdeczną rozrywkę a zwykła już jasność otoczenia — wygodę, która się niemal równa istotnemu zadowoleniu.

Dzisiejszego wieczoru atoli oświetlenie to było zupełnie na miejscu, gdyż w jednym z pokojów widzimy wystawiony niby rodzaj gwiazdki, wpadającej w oczy i błyszczącej. Zręczna pokojówka wymogła na kamerdynerze, żeby wzmocnił oświetlenie, a przy tym ułożyła i rozpostarła wszystko, co dotychczas na wyprawę Hilarii było przygotowane — z tym właściwie przebiegłym zamiarem, żeby wywołać raczej mowę o tym, czego brakowało, niż uwydatnić to, co już zostało sprawione. Rzeczy niezbędne znajdowały się tutaj (i to z najdelikatniejszych materiałów i najozdobniejszej roboty), ale i zbyt kownych nie brakło także. Ananeta jednak potrafiła wszędzie odkryć jeszcze jakąś lukę, gdzie równie dobrze można było znaleźć jak najpiękniejszy związek. Ale choć wszelka bielizna, okazale na widok wystawiona, była w oczy, a płótno, muślin i wszystkie delikatniejsze materie tego rodzaju, jakiegokolwiek noszą nazwy, rozlewały wkoło blasku pod dostatkiem, brakło wszelako różnobarwnego jedwabiu — z zakupem którego roztropnie ociągano się, ponieważ wobec bardzo zmiennej mody chciano rzeczy jak najnowsze dodać niby szczyt i zakończenie wszystkiego.

Po tym nader wesołym przeglądzie powrócono do swej zwyczajnej, lubo różnorodnej, zabawy wieczornej. Baronowa, wiedząc bardzo dobrze, co czyni młodą kobietę, gdziekolwiek ją los zawiedzie, przy szczęśliwej powierzchowności powabną także wewnątrz, a obecność jej — pożądaną, umiała w tym życiu wiejskim wprowadzić tyle odmiennych, a kształcących rozrywek, że Hilaria, dorastając, zdawała się wszędzie już być jak u siebie. Żadna rozmowa nie okazywała się dla niej obca, a jednak zawsze zupełnie zgodnie z latami swymi postępowała. Byłoby rzeczą zbyt rozległą przedstawiać, jak to dokonane być mogło. Dość, że ten wieczór był jakby wzorem życia dotychczasowego. Umiejętne czytanie, uroczą grą na pianinie i śpiew milutki trwały godzinami całymi — tak samo wprawdzie jak dawniej, z zadowoleniem i prawidłowością, ale też z pewnym znaczeniem. Miano na myśli kogoś trzeciego: kochanego i szanowanego mężczyznę, dla którego w tym i w innych rzeczach ćwiczone się, oczekując przychylnego przyjęcia. Ten nastrój narzeczeństwa nie tylko Hilarię ożywiał najśłodszymi wzruszeniami. Matka też brała w nim czynny udział, z właściwą sobie subtelnością. Nawet Ananeta, skądinąd sprytna tylko i czynna, musiała się oddawać pewnym odległym nadziejom, które jej odzwierciedlały oddalonego przyjaciela jako powracającego, jako obecnego. W ten sposób uczucia tych trzech miłych w swoim rodzaju kobiet zrównoważyły się z otaczającą je jasnością, z dobrotliwym ciepłem, z najprzyjemniejszym położeniem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gwałtowne stukanie i wołanie u najdalszej bramy, klótnia głosów odgrających się i domagających, światło świec i pochodni na dziedzińcu przerwały śpiew tkliwy. Lecz hałas przycichł, zanim poznano jego przyczynę. Nie nastał jednak spokój; na schodach dawał się słyszeć szelest i żywa słów wymiana pomiędzy wchodzącymi na górę mężczyznami. Drzwi się otworzyły bez oznajmienia, kobiety się przestraszyły. Wpadł Flavio w okropnej postaci, z głową zwichrzoną, bo włosy już to jeżyły się jak w szczotce, już to opadały na dół, deszczem przemoczone — w podartej odzieży, jak ten, co się przedzierał przez ciernie i zarośla, powalany strasznie, jakby brodził w błocie i bagnie.

— Ojcie! — zawołał. — Gdzie mój ojciec?

Kobiety stały przerażone. Stary strzelec, najdawniejszy jego sługa i kochający go piastun, wchodząc wraz z nim, wołał:

— Ojca tu nie ma, uspokój się pan! Tu jest ciotka, tu jest siostrzenica, spojrzysz że pan!

— Nie ma! To puszczajcie mnie, muszę go odszukać! On jeden niech to posłysz, potem umrę. Oddacie ode mnie świecę, oddacie dzień! On mnie oślepi, on mnie zabija!

Wszedł lekarz domowy; wziął go za rękę, macając ostrożnie puls. Kilku lokajów skupiło się w trwodze.

— Po co ja tu, na tych kobiercach? Ja je popsuję, ja je zniszczę. Moje nieszczęście spływa na nie strugą, mój los przeklęty plami je.

Rzucił się ku drzwiom. Z wysiłkiem wyprowadzono go i zabrano do odległego pokoju gościnnego, w którym mieszkał jego ojciec. Matka i córka stały zdrętwiałe — widziały przed sobą Orestesa¹²⁷, ściganego przez Furie¹²⁸, nieuszlachetnionego sztuką, w okropnej, wstrętnej rzeczywistości, która w kontraście z wygodnym mieszkaniem, kąpiącym się w najjaśniejszym blasku świec, wydała się tym straszniejsza. Kobiety patrzyły na siebie osłupiałym wzrokiem i każdej się zdawało, że w oczach drugiej widzi ten obraz okropny, co się tak głęboko odcisnęła w jej własnych.

Z połowiczną następnie przytomnością posyłała baronowa jednego lokaja za drugim, by zasięgnął wiadomości. Ku niejakiemu uspokojeniu dowiedziały się, że go rozbierają, suszą, opatrują. Na wpół przytomny, na wpół nieświadomy dawał robić ze sobą, co chciano. Ustawiczne pytania zmuszone zostały do cierpliwości.

W końcu posłyszały zatrwożone kobiety, że mu krew puszczono i w ogóle zastosowano środki uspakajające, że już go ułożono do spoczynku, że się snu spodziewają.

Nadeszła północ. Baronowa zapragnęła go widzieć, jeżeli śpi, lekarz opierał się, potem jednak ustąpił. Hilaria wcisnęła się tam wraz z matką. W pokoju było ciemno, jedna tylko świeca rzucała światło spoza zielonej zasłony. Mało było widać, słyszać — nic. Matka zbliżyła się do łóżka, Hilaria z upragnieniem pochwyciła światło i oświeciła śpiącego. Leżał wprawdzie odwrócony, ale niezmiernie ładne ucho, pełne policzki, teraz bladawe, wyglądały nader powabnie spod pukli znowu się już wijących. Spoczywająca ręka i podługne, silne palce przyciągały ku sobie wzrok błędzący. Hilaria, z cicha dysząc, sądziła, że słyszy również cichy oddech. Zbliżyła świecę jak Psyche¹²⁹, narażając się na zakłócenie zbawiennego spoczynku. Lekarz odebrał świecę i poświecił kobietom w drodze do ich pokojów.

Jak te zacne osoby, zasługujące na wszelkie współczucie, spędziły nocne godziny, pozostało dla nas tajemnicą. Nazajutrz atoli od rana samego okazały się nadzwyczaj niespokojne. Wypytywaniom nie było końca, życzenie zobaczenia cierpiącego objawiało się skromnie, lecz natarczywie. Dopiero w południe pozwolił lekarz na krótkie odwiedziny.

Baronowa zbliżyła się, Flavio wyciągnął rękę.

— Przebaczenia, najdroższa ciotko! Trochę cierpliwości, może niedługo...

Ukazała się Hilaria. I jej podał prawicę.

¹²⁷ *Orestes* — w mitologii greckiej syn Agamemnona i Klitajmestry, który pomścił ojca, zabijając matkę. [przypis edytorski]

¹²⁸ *Furie* — w mitologii rzymskiej bóstwa chtoniczne utożsamione z greckimi boginiami zemsty, Eryniami. [przypis edytorski]

¹²⁹ *Psyche* — w mitologii greckiej, bogini i uosobienie duszy ludzkiej; powodowana ciekawością, zapaliła kagankę, chcąc ujrzeć zakochanego w niej boga Erosa, ale kropla rozgrzanej oliwy obudziła go i, rozgniewany, odleciał. [przypis edytorski]

— Witam cię, kochana siostrzo.

To jej przeszło serce. On nie puszczał, patrzyli na siebie — najwspanialsza para, kontrastująca w najpiękniejszym znaczeniu wyrazu. Czarne, iskrzące się oczy młodzieńca pasowały do ciemnych, splątanych pukli. Ona natomiast stała niebiańsko spokojna na pozór, ale do wstrząsającego zdarzenia przyłączyła się teraz obecność pełna przeczuć. Nazwanie siostrą wzruszyło ją do głębi. Baronowa rzekła:

— Jakże się masz, kochany siostrzeńcze?

— Dość znośnie, ale źle się ze mną obchodzą.

— Jak to?

— Krew mi puszczali, to okropne. Wyrzucili ją, to zuchwałe. Ona nie do mnie należy. Wszystko, wszystko należy do niej.

Przy tych słowach twarz jego jakby uległa przemianie, ale płacząc rzewnie, ukrył swe oblicze w poduszce.

Twarz Hilarii poraziła matkę straszliwym wyrazem — jak gdyby kochane dziecko bramy piekła otwarte przed sobą ujrzało, jak gdyby po raz pierwszy zobaczyło coś potwornego i to na wieki. Szybko, gwałtownie pobiegła przez salę, w ostatnim gabinecie rzuciła się na sofę. Matka poszła za nią i zapytała o to, co już niestety pojęła. Hilaria, spozierając na nią dziwnie, zawołała:

— Krew, krew, wszystko do niej należy, wszystko do niej, a ona tego niewarta! Nie-szczęśliwy! Biedny!

Przy tych słowach potok łez rzewnych ulżył udręczonemu sercu. Któż by przedsiębrał odsłaniać rozwijające się z tego, co poprzedziło, sytuacje, wyświetlać wewnętrzne dla kobiet nieszczęścia, wyrastające z tego pierwszego zetknięcia? I dla cierpiącego było ono bardzo szkodliwe — tak przynajmniej utrzymywał lekarz, który często wprawdzie przychodził z wiadomościami i pocieszeniem, ale uważał za swój obowiązek zakazać nadal wszelkiego zbliżenia. Znalazł on w tym chętną powolność; córka nie śmiała żądać, na co by się matka nie zgodziła, słuchano więc nakazu męża rozumnego. Natomiast przyniósł wieść uspakajającą, że Flavio zażądał przyborów do pisania, że coś nawet napisał, ale ukrył zaraz koło siebie w łóżku. I tak przyłączyła się ciekawość do poprzedniego niepokoju i niecierpliwości. Przykre to były godziny. Po jakimś czasie przyniósł wszakże karteczkę, zapisaną pismem pięknym, swobodnym, chociaż pośpiesznym. Zawierała ona wiersze następujące:

Cudem jest biedny człowiek na tej ziemi,
W cudach też ginie wraz z błędami swemi;
Za jakim ciemnym, niedościgłym progiem
Idą bez ścieżki niepewne me kroki?
A potem wśród niebios blasku, przed Bogiem,
Czuję, widzę noc, śmierć i piekła stoki.

I tu znowu szlachetna sztuka poetyczna mogła okazać leczącą swą siłę. Na wskroś zlna z muzyką, leczy ona z gruntu wszystkie cierpienia duszy, pobudzając je potężnie, wywołując i wypędzając je w bólach rozwiązania. Lekarz nabrał przeświadczenia, że młodzieniec może niebawem wrócić do zdrowia; że zdrow na ciele, poczuje się rychło wesoly, gdyby ciężąca na duchu namiętność mogła być usunięta lub złagodzona.

Hilaria rozmyślała nad odpowiedzią. Siedząc przy fortepianie, starała się dorobić melodię do wiersza cierpiącego. Nie powiodło się to — w jej duszy nic nie odbzmiewało na tak głębokie bóle. Lecz przy tej próbie rytm i rym tak przyłgnęły do jej nastroju, iż z kochającą pogodą odpowiedziała na ową poezję, zadawszy sobie trud utworzenia i zaokrąglenia zwrotki następującej:

Choćbyś się krwawił tu bólami swemi,
Szczęście-ć młodości czeka na tej ziemi;
Nabierz odwagi, idź śmiałości kroki,
Niebios przyjaźni otoczony obłoki,
Uczuj, żeś na szlachetnych ludzi progę:
Życia wesele tryśnie-ć jako z rogu.

Poezja, Muzyka

Lekarz, jako przyjaciel domu, podjął się poselstwa. Udało się, młodzieniec odpowiedział już umiarkowanie. Hilaria w dalszym ciągu działała kojąco i tak z wolna osiągnano, zdawało się, znowu dzień pogodny, grunt wolny. A może myślano nam opowiedzieć przy sposobności cały przebieg tego uroczego leczenia? Dość, że upłynęło sporo czasu nader przyjemnie na takim zajęciu. Przygotowywano spokojne odwiedziny, których lekarz nie myślał opóźnić dłużej, niż było potrzeba.

Tymczasem baronowa zajmowała się porządkowaniem i układaniem dawnych papierów, a ta rozrywka — tak odpowiednia ówczesnemu położeniu — działała cudownie na wzburzenie ducha. Obejrzała na nowo kilka lat życia swego. Ciężkie, groźne cierpienia minęły, a ich rozważanie umacniało odwagę w chwili obecnej. Zwłaszcza wzruszyło ją wspomnienie pięknego stosunku do Makarii i to w sytuacjach drażliwych. Podniosłość owej jedynej kobiety stanęła jej na nowo przed oczyma duszy i skłoniła zaraz do postanowienia, żeby się i tym razem do niej zwrócić. Bo do kogoż zresztą mogła skierować obecne uczucia swoje, komuż innemu miała otwarcie wyznać obawę swoją i nadzieję?

Przy uprzątnięciu atoli znalazła też między innymi miniaturowy portret brata i musiała westchnąć z uśmiechem z powodu podobieństwa do syna. Hilaria zaskoczyła ją w tej chwili, pochwyciła wizerunek, i również dziwnie uderzyło ją owo podobieństwo.

Tak minął czas jakiś. W końcu, za pozwoleniem lekarza i w jego towarzystwie, wszedł Flavio po oznajmieniu się na śniadanie. Kobiety bały się tego pierwszego spotkania. Atoli jak nieraz w chwilach doniosłych, a nawet okropnych, zdarzać się zwykło coś wesołego, ba, śmiesznego; tak też poszczęściło się i tutaj. Syn przyszedł zupełnie w ubraniu ojca, ponieważ z jego stroju nic zgoła użyć się już nie dało. Posłużono się zatem polową i domową garderobą majora, którą, chcąc żyć wygodnie na łowach i w rodzinie, zostawił u siostry na przechowanie. Baronowa uśmiechnęła się i miała się na baczności, Hilaria zdziwiona była, sama nie wiedziała czym — dość, że twarz odwróciła, a młodzieńcowi nie chciało jakoś w tej chwili zejść z ust ani słowo serdeczne, ani frazes żaden. Ażeby tedy wybawić z kłopotu całe towarzystwo, zaczął lekarz porównywać obie postacie.

— Ojciec jest trochę wyższy — mówił on — i z tego powodu surdut jest nieco za długi. Syn jest trochę tęższy i dlatego surdut w ramionach jest za ciasny.

Obie niezgodności nadały tej maskaradzie wygląd komiczny. Ale wskutek tych drobniactw uwolniono się od przymusu chwili. Dla Hilarii, co prawda, podobieństwo młodzieńczego wizerunku ojca ze świętą, żywą obecnością syna pozostało czymś niepokojącym, a nawet dręczącym.

Ale teraz pragnęlibyśmy, żeby następujące potem chwile opisała szczegółowo jakaś delikatna rączka kobieca, gdyż my — swoim sposobem i trybem — musimy poprzestać na rzeczach najogólniejszych. I tu znowu trzeba wspomnieć o wpływie poezji.

Pewnego talentu nie można było odmówić naszemu Flawiowi. Potrzebował on atoli aż zanadto jakiejś namiętnej zmysłowej pobudki, jeśli miał wydać coś wybornego. Z tego też powodu wszystkie prawie poezje poświęcone owej nieprzepraczonej pociągającej kobiecie okazały się niezmiernie wzruszające i godne pochwały, a teraz odczytane entuzjastycznym tonem przed obecną, nadzwyczaj miłą panią, musiały wywrzeć niemałe wrażenie.

Kobieta, widząc inną namiętnie kochaną, godzi się chętnie z rolą powiernicy. Żywi ona tajemne, ledwie świadome uczucie, że nie byłoby rzeczą nieprzyjemną ujrzeć się po cichu podniesioną na miejsce uwielbianej. A i rozmowa stawała się coraz to bardziej znacząca. Służyły ku temu poezje, jakie kochający lubi pisać, gdyż może od swej ukochanej wymagać choćby skromnej, połowicznej odpowiedzi na to, czego pragnie, a czego by z jej pięknych ust usłyszeć nie mógł chyba mieć nadziei. Takie poezje były też odczytywane z Hilarią po kolei. A ponieważ robiono to z jednego tylko rękopisu, do którego trzeba było z obu stron zaglądać, ażeby czas właściwy pochwycić (i w tym celu każde bracie musiało zeszyt), stało się tedy, że siedząc blisko siebie, powoli osoba do osoby, ręka do ręki coraz to bliżej się przysuwała, a przeguby się w końcu, całkiem naturalnie, potajemnie zetknęły.

Mimo jednak tych pięknych stosunków, wśród wynikających stąd wielce miłych rozrywek czuł Flavio dotkliwą troskę, której skryć nie zdołał. I wciąż wyczekując z upragnieniem przybycia ojca, dawał do zrozumienia, że rzecz najważniejszą jemu dopiero ma powierzyć. Tymczasem tajemnica, po niej jakim zastanowieniu, nie byłaby trudna do odgadnięcia. Owa urocza kobieta w chwili wzburzenia, wywołanej natarczywością młodzieńca,

Syn, Ojciec

Kobieta, Poezja

odsunęła niewątpliwie stanowczo nieszczęśliwego, rozwiewając i niszcząc żywioną uparcie do owej pory nadzieję. Sceny, jak się to odbyło, nie śmieliśmy malować z obawy, żeby nam nie zabrakło żaru młodzieńczego. Dość, że Flavio tak dalece nie panował nad sobą, że się co prędzej oddalił z garnizonu bez urlopu i chcąc odszukać ojca, wśród nocy, burzy i deszczu do majątku ciotki, pełen rozpacz, dostać się usiłował, jak żeśmy go niedawno widzieli przybywającego. Następstwa takiego kroku uprzytomniły mu się żywo dopiero z napływem trzeźwiejszych myśli. A że ojciec się od tak dawna nie zjawiał, pozbawiając go jedyne go możliwego pośrednictwa, nie wiedział przeto ani co począć, ani jak się ratować.

Jakżeż więc był zdziwiony i zdumiony, gdy mu wręczono list od jego pułkownika, którego pieczęć dobrze znaną łamał z ociąganiem się i bojaźnią, ale który po słowach najprzyjaźniejszych tym kończył, że urlop, Flawiowi udzielony, przedłuża się jeszcze na miesiąc.

Jakkolwiek niewytłumaczalna wydała się ta łaska, bądź co bądź, oswobodzony przez nią został od brzemienia, które dotkliwiej zaczęło uciskać jego umysł, niż nawet miłość odrzucona. Odczuł teraz w całości szczęście, że jest tak dobrze podejmowany u swoich kochanych krewnych. Mógł się radować obecnością Hilarii i niebawem wrócił do wszystkich swoich przymiotów, które zarówno dla pięknej wdówki, jak jej otoczenia uczyniły go na czas jakiś niezbędnym i tylko wskutek nagłego żądania jej ręki przyciemniły się na zawsze.

W takim usposobieniu można było oczekiwać przybycia ojca spokojnie. Przy tym zjawiska natury, zaszły wtedy, pobudziły ich do czynnego trybu życia. Ustawiczna ślota, co ich dotychczas zatrzymywała w zamku, rozlewając się w wielkiej masie, napelniła wszędzie jedną rzekę po drugiej. Tamy zostały zerwane, a okolica podzamkowa rozciągała się jak błyszczące jezioro, z którego wioski, folwarki, większe i mniejsze posiadłości, położone wprawdzie na wzgórzach, wyglądały przecież jak wysepki.

Na takie rzadkie, co prawda, lecz dopuszczalne wypadki miano się już w pogotowiu. Gospodyni rozkazywała, a słudzy wykonywali. Po udzieleniu pierwszej, najogólniejszej pomocy pieczono chleb, zarzynano woły, łodzie rybackie pływały w tę i ową stronę, rozwożąc na wszystkie krańce posiłek i zaopatrzenie. Wszystko się składało jak najlepiej. Dary uprzemnie udzielone przyjmowano radośnie i wdzięcznie. W jednej tylko miejscowości nie chciano zaufać zarządowi gminnemu co do rozdziału zapasów — Flavio wziął tę sprawę na siebie i dobrze wypakowaną łodzią dojechał śpiesznie i szczęśliwie do tego miejsca. Sprawa prosta, traktowana po prostu, udała się jak najlepiej. Nadto wywiązał się nasz młodzieniec, dalej jadąc, z polecenia danego mu przez Hilarię przy rozstaniu. Właśnie na czas tych dni nieszczęsnych przypadł połów kobiety, którą się piękne dziecko szczególnie interesowało. Flavio znalazł położnicę i przywiózł do domu podziękowanie ogólne i to szczególne. Przy tym nie mogło się obejść bez różnych opowiadań. Chociaż nikt nie zginął, wiele atoli miano do powiedzenia o cudownych ocaleniach, o dziwacznych, żartobliwych, nawet śmiesznych wypadkach. Niejedno położenie, wyciśnięte biedą, opisywano zajmująco. Dość, że Hilaria poczuła nagle niepokonane pragnienie przedsięwzięcia również wycieczki, by położnicę pozdrowić, obdarować i przeżyć kilka pogodnych godzin.

Po niejakiem oporze dobrej matki zwyciężyła w końcu radosna wola Hilarii, by się na tę przygodę wystawić. I chętnie wyznajemy, że w ciągu tego czasu, kiedyśmy się o tych zdarzeniach dowiadawali, byliśmy w pewnej mierze zatroskani, żeby tu nie groziło jakieś niebezpieczeństwo, pozostanie na mieliźnie, przewrócenie się łodzi, narażenie życia pięknej panny, odważny ratunek ze strony młodzieńca, aby zadzierzgnąć mocniej lekko zawiązany węzeł... A tymczasem nic z tego wszystkiego — wycieczka odbyła się pomyślnie, położnicę odwiedzono i obdarzono. Towarzystwo lekarza nie pozostało bez dobrego skutku. A jeżeli tu i owdzie zaszło jakieś małe uderzenie, jeżeli pozór niebezpiecznej chwili zdawał się niepokoić wioślarzy, to się kończyło wyzywającym żartem, gdyż jedno u drugiego wywołać chciało zatrzwożoną minę, większe zakłopotanie, gest lękliwy. A równocześnie znacznie wzrosło zaufanie wzajemne. Przywyknięcie do widzenia się i przebywania ze sobą wśród wszelkich okoliczności nabrało siły, a niebezpieczne stanowisko, w którym pokrewieństwo i przywiązanie uważają się za uprawnione do wzajemnego zbliżenia i trwania w zbliżeniu, stawało się coraz delikatniejsze.

A jednak mieli się po tych drogach miłości wciąż dalej i dalej powabnie posuwać. Nie-

Zima, Zabawa

bo się rozjaśniło, nastąpił chłód silny, odpowiedni do pory roku; wody zamarzyły, zanim ściec mogły. Widok ziemi nagle się zmienił w oczach wszystkich. Co dopiero rozdzielone było powodzią, teraz, umocnione gruntem, łączyło się ze sobą. I niebawem, jako pożądana pośredniczka, wydobyła się na wierzch piękna sztuka, wynaleziona na głębokiej północy ku oświetleniu pierwszych, szybkich dni zimowych i ku wniesieniu nowego życia w stwardniałe żywioły. Otwarto zbrojownię — każdy szukał swoich naznaczonych łyżew, pragnąc pierwszy wkroczyć choćby z pewnym niebezpieczeństwem, na czystą, gładką powierzchnię. Wśród domowych znalazło się wielu wyćwiczonych aż do najwyższej lekkości, gdyż rozrywka ta nastęczała się im co roku na sąsiednich jeziorach i łączących je kanałach, a tym razem na rozlegającej się daleko płaszczynie.

Flavio teraz dopiero poczuł się na wskroś zdrowy, a Hilaria, od najwcześniejszych lat swoich kierowana przez wuja, okazywała się zarówno miła, jak krzepka na nowo stworzonym gruncie. Poruszano się wesoło, coraz weselej, już to razem, już to pojedynczo, już to w rozproszeniu, już to w zjednoczeniu. Rozstawanie się i unikanie, które kiedy indziej tak ciężko pada na serce, stawało się tutaj małym, żartobliwym przestępstwem; uciekano od siebie, ażeby za chwilę znaleźć się znowu.

Atoli wśród tej zabawy i wesołości ruszał się także świat potrzeb. Wciąż jeszcze niektóre miejscowości zaledwie w połowie były zaopatrzone, więc spiesznie na dzielnie zaprzężonych saniach przelatywały w tę i ową stronę najkonieczniejsze zapasy. A co jeszcze więcej wyszło okolicy tej na dobre, to to, że z niejednego miejsca, zbyt oddalonego od gościńca, mogły być teraz szybko przewożone wytwory roli i gospodarstwa domowego do najbliższych składów w miastach i miasteczkach, a stąd znowu brano towary wszelkiego rodzaju. Naraz udręczona, odczuwająca najdotkliwszy niedostatek okolica znowu doznała ulgi, znowu została zaopatrzona, połączywszy się gładką powierzchnią, dostępną dla zręcznego i odważnego.

Nie zaniechała atoli młoda para, wśród tej górującej rozrywki, spełniać obowiązków uprzejmej przychylności. Odwiedzano ową położnicę, zaspokajano jej wszystkie potrzeby. I innych nawiedzano także: starych, o zdrowie których niepokojono się, księży, z którymi zazwyczaj prowadzono moralnie budującą rozmowę — tym cenniejszą wśród obecnego dopustu, mniejszych właścicieli ziemskich, którzy przed laty dość zuchwale pobudowali się na niebezpiecznych nizinach, a teraz, zasłonięci dobrze zbudowanymi tamami, nie doznali szkody i po strachu bez granic podwójnie się bytem swoim cieszyli. Każdy dwór, każdy dom, każda rodzina, każda jednostka miała swoje dzieje; dla siebie, ba, i dla innych stała się osobistością znakomitą. Stąd łatwo jeden opowiadający przerywał mowę drugiemu. Każdy rączy był w mówieniu i działaniu, w przychodzeniu i wracaniu. Wciąż bowiem trwało niebezpieczeństwo, żeby nagła odwilż nie zniszczyła całego pięknego zakresu pomysłnych na siebie oddziaływań; żeby nie zagroziła gospodarzom, a gości nie odcięła od domu.

A kiedy w dzień zajęci byli tak pośpiesznym ruchem i najżywszym współdziałaniem, to wieczór w zupełnie inny sposób nastęczał wysoce przyjemne godziny. Ślizgawka bowiem tę ma wyższość nad wszystkimi innymi ruchami cielesnymi, że wysiłek nie rozgrzewa, a trwanie nie męczy. Wszystkie członki stają się jakby bardziej gibkie, a każdy nakład siły wytwarza niby siły nowe, tak że w końcu spływa na nas błogo wzruszony spoczynek, w którym się wciąż kołysać doznajemy ponęty.

Otóż dzisiaj nie mogła się nasza młoda para oderwać od gładkiego gruntu. Każdy bieg ku oświetlonemu zamkowi, gdzie się już liczne zebrało towarzystwo, nagle odwracano, lubując się w powrocie w dal. Nie chciano się oddalać od siebie z obawy zgubienia się; trzymano się za ręce, ażeby zupełnie pewnym być obecności. Najśłodszy atoli ten ruch się wydawał, kiedy na barkach spoczywały ramiona splecione, a piękne paluszki nieświadomie igrały w obustronnych puklach.

Księżyc w pełni wynurzył się na roziskrzonym gwiazdami niebie i dopełnił czaru otoczenia. Znowu widzieli się wyraźnie i szukali nawzajem w ocienionych oczach odpowiedzi; jak dawniej — ale inaczej to się wydało. Z ich tajnych głębi wydobywało się niby światło jakieś, napomykając o tym, co usta roztropnie przemilczały. Czuli się oboje w świątecznie błogim nastroju.

Wszystkie wysokopienne wierzby i olchy nad rowami, wszystkie niskie zarośla na

Spotkanie

wyżynach i wzgórzach jasno się uwydatniły. Gwiazdy błyszczwały, zimno się wzmogło. Oni tego wszystkiego nie czuli i lecieli naprzeciw daleko rozbłyskującej poświacie księżyca, bezpośrednio ku samemu temu ciału niebieskiemu. Wtem spojrzeli do góry i zobaczyli w chwiejnym odbiciu światła unoszącą się postać mężczyzny, jakby cień swój ścigającego i zmierzającego ku nim — postać ciemną w sobie, lecz blaskiem otoczoną. Mimo woli odwrócili się; spotkać kogokolwiek byłoby dla nich rzeczą wstrętną. Unikali wciąż się poruszającej w tę i ową stronę postaci i nie zostali, jak się zdawało, spostrzeżeni. Biegli dalej prostą drogą ku zamkowi, ale to spokojne usposobienie opuściło ich nagle, gdy postać owa kilkakrotnie okrążyła zatrwożoną parę. Przypadkiem dostali się do strony ocienionej, a postać owa, oświetlona w pełni blaskiem księżyca, nadjeżdżała wprost ku nim i stanęła przed nimi — niepodobieństwem było nie poznać ojca.

Hilaria, krok powstrzymując, straciła ze zdziwienia równowagę i na lód upadła. Flavio równocześnie przykląkł i podtrzymał jej głowę na swych kolanach. Ukryła twarz, nie wiedziała, co się jej stało.

— Przyprawdę sanki, tam poniżej przejeżdżają jakieś. Mam nadzieję, że nic złego sobie nie zrobiła. Tu, przy tych trzech wysokich olchach odnajdę was znowu! — tak mówił ojciec i oddalił się już znacznie.

Hilaria przysunęła się do młodzieńca.

— Uciekajmy — zawołała — ja tego nie zniosę.

Puściła się gwałtownie w stronę przeciwną zamkowi, tak że Flavio ledwie z wysiłkiem zdołał ją dogonić. Przemówił do niej słowy najprzyjaźniejszymi.

Niepodobna odmalować stanu duszy tych trojga zbłąkanych, oszołomionych w nocy, na gładkiej powierzchni przy blasku księżyca. Dość, że późno dotarli do zamku. Młoda para oddzielnie, nie śmiejąc się dotknąć, nie śmiejąc się zbliżyć, ojciec z pustymi saniami, które na próżno oprowadzał, śpiesząc w dal i wszędy z pomocą. Muzyka i taniec już się rozpoczęły. Hilaria, pod pretekstem bolesnych następstw nieszczęsnego upadku, skryła się w swoim pokoju. Flavio bardzo chętnie pozostawił przewodniczenie tańcom i ich prowadzenie kilku młodym towarzyszom, którzy się już tym zajęli pod jego nieobecność. Major się nie ukazał i uznał to za dziwne, chociaż nie niespodziewane, że zastał swój pokój jakby zamieszkanym, a własne swoje ubranie, bieliznę i przybory rozłożone wkoło, tylko nie tak porządnie, jak on był przywykł je widzieć. Pani domu z przystojnym przymusem spełniała obowiązki swoje. A jakże była rada, kiedy wszyscy goście, należycie rozmieszczeni, dali jej wreszcie możliwość porozumienia się z bratem. Zrobiła to szybko, ale trzeba było czasu, by z zadziwienia ochłonąć, rzeczy niespodziewane zrozumieć, wątpliwości usunąć, troskę ukoić — o rozwiązaniu węzła, o oswobodzeniu ducha nie można było myśleć na razie.

Czytelnicy nasi zrozumieją, że od tego momentu w wykładzie historii naszej nie możemy już malować, lecz tylko opowiadać i rozważać, jeśli chcemy wniknąć w stany duszy, od których teraz wszystko zależy, i uprzytomnić je sobie.

Zawiadamy tedy najprzód, że major od chwili, kiedyśmy go z oczu stracili, cały czas bez przerwy poświęcał się owej sprawie rodzinnej, w której — jakkolwiek przedstawiała się tak pięknie i prosto — napotkał w szczegółach niektórych niespodziewane przeszkody. Toż to w ogóle nie jest tak łatwo zastarzały, a zawiąłany stan rzeczy rozwikłać i liczne, splątane nici na kłębek nawinąć. A że z tego powodu często zmieniać musiał miejsca, by w różnych urzędach i u różnych osób interes popierać, listy siostry dostawały się do niego z wolna i nieregularnie. O zabląkaniu się syna i jego chorobie dowiedział się najprzód, potem posłyszał o urlopie, którego nie pojmował. Ze skłonność Hilarii znajdowała się w punkcie zwrotnym, pozostało dla niego tajemnicą, bo jakże siostra mogła o tym zawiadomić!

Na wieść o powodzi przyspieszył podróż. Przybył atoli dopiero po nadejściu mrozu w pobliże pól lodowych, nabył łyżwy. Posłał parobków i konie drogą okólną¹³⁰ do zamku, a sam w szybkim biegu tamże się kierując, trafił — z dala już spostrzegając oświetlone okna, wśród nocy jasnej jak dzień — na widok wielce niepokojący i wpadł w zamęt wewnętrzny najbardziej nieprzyjemny.

¹³⁰okólny (daw.) — okalający, otaczający. [przypis edytorski]

Przejście od prawdy wewnętrznej do zewnętrznej rzeczywistości jest — jako przeciwieństwo — zawsze bolesne. A miałyby kochanie i trwanie nie mieć takichże praw, jak rozstawanie się i unikanie? A przecież, jeśli się jedno odrywa od drugiego, powstaje w duszy olbrzymia przepaść, w której niemało już serc poginęło. Ba, urojenie, dopóki trwa, ma za sobą niepokonaną prawdziwość, a tylko męskie, dzielne umysły bywają podnoszone i umacniane przez poznanie błędu. Odkrycie takie wynosi je ponad nie same, stają się wyższe od siebie i ponieważ dawna droga już jest zamknięta, oglądają się szybko za nową, aby nią się puścić zaraz, żwawo i odważnie. Niezliczone są kłopoty, w jakie się widzi wtrącony człowiek w chwilach takich; niezliczone środki, jakie umie odkryć wynalazcza natura w zakresie sił własnych — a jeżeli te nie wystarczają, wskazać je przyjaźnie poza swoim obrębem.

Na szczęście jednak major był w głębi duszy przez półświadomość, bez woli i przycyńnienia się własnego, już przygotowany na taki wypadek. Odkąd się rozstał ze swym kosmetycznym kamerdynerem, odkąd się oddał znowu swemu naturalnemu trybowi życia, zaniechawszy pretensji co do zewnętrznego wyglądu, poczuł w pewnej mierze uszczuplenie we właściwym swym cielesnym dobrobycie. Poczuł nieprzyjemność przejścia od roli pierwszego kochanka do roli czulego ojca. A przecież ta druga coraz to bardziej mu się narzucała. Troska o los Hilarii i swoich najbliższych wydobywała się w myślach jego wciąż naprzód, tak że uczucie miłości, upodobania, pożądania czegoś dla siebie, rozwijało się dopiero potem. A kiedy wyobrażał sobie Hilarię w objęciach swoich, to więcej pragnął szczęścia, jakie jej miał stworzyć, aniżeli rozkoszy jej posiadania. Co więcej, jeśli chciał w czystości radować się jej wspomnieniem, to musiał przede wszystkim uprzytomnić sobie jej niebiańsko wypowiedzianą skłonność; musiał przywołać na pamięć ową chwilę, kiedy mu się poświęciła w sposób tak niespodziewany.

A teraz, kiedy wśród jasnej nocy ujrzał przed sobą odosobnioną młodą parę, usunięcie się na lód najukochańszej, podtrzymanie przez młodzieńca, niezważanie na przyrzeczony przezeń powrót z pomocą, nieoczekiwanie na dokładnie oznaczonym miejscu, zniknięcie w ciemności i pozostawienie go w stanie najposępniejszym... Kto by to wszystko poczuł i nie pogrążył się w rozpacz?

Rodzina, przyzwyczajona do zjednoczenia, spodziewająca się jeszcze większej łączności, teraz w przerażeniu trzymała się od siebie z dala. Hilaria uparcie siedziała w swoim pokoju. Major zebrał siły, by się o poprzednich wypadkach od syna dowiedzieć. Nieszczęście spowodowane zostało niewieścim przestępstwem pięknej wdowy. Ażeby swego namiętnego dotychczas wielbiciela, Flavia, nie oddać innej, bardzo miłej osobie, która chętkę nań zdradziła, wdowa darzy go pozorną łaską więcej, niż należy. Tym podniecony i ośmielony, stara się on zdążyć gwałtownie do zamierzonego celu — aż do zuchwalstwa, skąd rodzi się naprzód niechęć i zwada, a potem stanowcze zerwanie kładzie nieodwołalnie koniec całemu stosunkowi.

Dobroci ojcowskiej nie pozostaje nic innego, jak boleć nad błędami dzieci, mającymi złe następstwa, i jeżeli da się, naprawić je. Jeżeli mijają w sposób nie tak szkodliwy, jak się obawiano — przebaczyć i zapomnieć. Po niejakiem namyśle i rozmowie odjechał tedy Flavio do dóbr przejętych, by tam w zastępstwie ojca coś niecoś dokonać. Miał tam zabawić aż do upływu urlopu, a potem wejść na powrót do pułku, który tymczasem przeniesiono do innego garnizonu.

Kilka dni zajmował się major otwieraniem listów i paczek, które się nagromadziły u siostry podczas dłuższej jego nieobecności. Między innymi znalazł także pismo owego kosmetycznego przyjaciela, dobrze zakonserwowanego aktora. Ten, zawiadomiony przez odprowadzonego kamerdynera o stanie majora i o zamiarze ożenienia się, w wesołym tonie rozwijał skrupuły, jakie wobec takiego przedsięwzięcia należałoby mieć przed oczyma. Traktował tę sprawę po swojemu i dawał do zrozumienia, że dla mężczyzny w pewnych latach najbezpieczniejszym środkiem kosmetycznym jest trzymanie się z dala od poci pięknej i używanie chwalebnej, wygodnej wolności. Otóż major pokazał siostrze papier z uśmiechem, wskazując żartem wprawdzie, ale dość serio, ważność treści. Przyszedł mu też równocześnie na myśl wiersz pewien, którego rytmicznej formy nie mamy na podorzędziu, ale którego zawartość odznaczała się ładnymi porównaniami i powabnym zwrotem:

„Późny księżyc, nocą przystojnie jeszcze świecący, blednie wobec wschodzącego słońca. Mrzonka miłości podeszłego wieku znika wobec namiętnej młodości. Sosna, która w zimie wydaje się świeża i silna, na wiosnę wygląda na szerniałą i spelzłą obok jasno zielonej brzozy”.

Nie myślimy tu wszelako wysławiać wyłącznie ani filozofii, ani poezji, jako stanowczych pomocnic ku stanowczemu postanowieniu. Bo jak małe zdarzenie może mieć bardzo ważne skutki, tak też rozstrzyga ono częstokroć, kędy są chwiejne usposobienia, nachylając wagę ku tej lub owej stronie. Majorowi wypadł był niedawno ząb przedni, a obawiał się postradać i drugi. O wstawieniu sztucznego niepodobna było myśleć w jego obecnym nastroju, a z takim brakiem starać się o młodą kochankę zaczęło mu się wydawać czymś bardzo upokarzającym — teraz zwłaszcza, kiedy się wraz z nią pod jednym dachem znajdował. Dawniej albo później zdarzenie takie mało by może miało wpływu. W tej atoli chwili właśnie taki wypadek dla każdego człowieka, przywykłego do zupełności zdrowia, musiałby podzielać jako niesłychana przeciwność. Wydaje mu się, jakby się usuwał przyczółkowy kamień jego istoty organicznej, a reszta sklepienia groziła stopniowym zawaleniem się.

Jakkolwiek bądź, major rozmówił się dość rychło z siostrą rozważnie i rozumnie w tej sprawie na pozór tak zawikłanej. Oboje musieli wyznać, że właściwie trafili — lubo manowcem — do celu. Do tego celu, od którego przypadkowo, wskutek zewnętrznej pobudki, omamieni urojeniem niedoświadczonego dziecka, oddalili się nieoględnie. Poczytywali za rzecz najbardziej naturalną wytrwać na tej drodze, zabrać się do połączenia obojga dzieci i obdarzyć je potem wytrwale i bez przerwy wszelką rodzicielską troskliwością, do czego środki umieli zgromadzić.

W zupełnym porozumieniu z bratem poszła baronowa do pokoju Hilarii. Siedziała ona przy fortepianie, śpiewając przy własnym akompaniamencie i jakby zapraszając pogodnym spojrzeniem i ukłonem wchodzącą z powitaniem do słuchania. Pieśń ta, miła i uspokajająca, wypowiadała nastrój śpiewaczki, nad który lepszego życzyć sobie nie było można. Ukończywszy ją, powstała i zanim starsza, rozważna kobieta rozpocząć mogła swoją przemowę, zaczęła w te słowa:

— Najdroższa matko! Bardzo dobrze się stało, żeśmy o najważniejszej sprawie milczały tak długo. Dziękuję ci, żeś dotąd struny tej nie dotknęła, ale teraz już czas porozumieć się, jeżeli łaska. Jak sobie mamy rzecz tę wystawić?

Baronowa, niezmiernie ucieszona spokojem i łagodnością, jaką w swej córce znalazła, zaczęła zaraz roztropnie przedstawiać historię czasu minionego, osobistość swego brata i jego zalety. Zgodziła się na to, że jedyny mężczyzna wartościowy, który tak dobrze był znany młodej dziewczynie, musiał koniecznie wywrzeć wrażenie na sercu wolnym, i że z tego wrażenia — zamiast dziecięcej czci i zaufania — mogła się rozwinąć skłonność, objawiająca się jako miłość, jako namiętność.

Hilaria przysłuchiwała się uważnie i dawała potakującymi minami i znakami poznać całkowitą swą zgodę. Matka przeszła do syna, a córka opuściła długie swe rzęsy. A choć mówczyni nie znajdowała tak świetnych argumentów za młodszym, jakie umiała przytoczyć na rzecz ojca, to się głównie trzymała podobieństwa obu — tej wyższości, jaką daje młodość synowi, który wybrany na towarzysza życia w wieku doskonale do małżeństwa stosownym, obiecywał, naturalnie, z czasem zupełne urzeczywistnienie istoty ojcowskiej. I tu zdawała się Hilaria być jednakiego zdania, lubo poważniejsze cokolwiek spojrzenie i oczy niekiedy w dół patrzące zdradzały pewne wzruszenie, wielce w tym wypadku naturalne. Potem mowa skierowała się na pomyślne, w pewnej mierze nakazujące okoliczności zewnętrzne. Układ zawarty, piękny zysk na czas obecny, widoki rozciągające się na różne strony — wszystko zupełnie zgodnie z prawdą wystawione było przed oczami. A w końcu nie mogło zbraknąć i napomknięć, jak to i Hilaria sama pamiętać musi, że wprzód zaślubiona była, choć niby żartem tylko, dorastającemu z nią razem kuzynowi.

Z tego wszystkiego, co powiedziała poprzednio, wyciągnęła matka nasuwający się sam przez się wniosek, że za jej i wuja zezwoleniem może bez zwłoki nastąpić związek młodej pary.

Hilaria, patrząc i mówiąc spokojnie, odrzekła na to, że wniosku tego nie może natychmiast uznać za słuszny i przytoczyła pięknie i powabnie przeciw niemu to, co serce

Małżeństwo

delikatne z pewnością wraz z nią jednak odczuje, ale czego my słowami wyrazić się nie podejmujemy.

Ludzie rozumni, kiedy wymyślą coś rozsądnego ku uchynieniu tego czy owego kłopotu, ku osiągnięciu tego lub owego celu, i kiedy już rozjaśnili i uporządkowali wszystkie możliwe za tym argumenty, czują się niezmiernie przykro dotknięci, jeśli ci, którzy by dla własnego szczęścia współdziałać powinni, okazują zupełnie inne nastawienie i opierają się z powodów, spoczywających głęboko w sercu, temu, co jest zarówno chwalebne, jak konieczne. Wymieniano słowa, nie przekonując się nawzajem. Głos roztropności nie zdołał przedrzeć się do uczucia, głos uczucia nie chciał się poddać pojęciu pożytku i konieczności. Rozmowa zaogniała się. Ostrze rozumu uderzyło w zranione już serce, które nie z umiarkowaniem, ale namiętnie stan swój poznać dawało, tak że w końcu matka, zdziwiona podniosłością i godnością młodej dziewczyny, sama się cofnęła, kiedy ta z energią i poczuciem prawdy wskazała niestosowność, a nawet zbrodniczość takiego związku.

Z jakim zmieszaniem wróciła baronowa do brata, łatwo sobie wyobrazić. A może nawet, lubo niedokładnie, odczuć można to, co czuł major, który, pogłaskany w głębi duszy tą stanowczą odmową, stał przed siostrą, wprawdzie bez nadziei, ale pocieszony, widząc się oswobodzonym od owego zawstydzenia i pogodzone wewnątrz z wypadkiem, który stał się dla niego najdrażliwszą sprawą honorową. W tej chwili ukrył on stan swój przed siostrą i przesłonił swoje bolesne zadowolenie bardzo naturalnym w tym przypadku zdaniem, że nie należy działać zbyt pośpiesznie, lecz pozostawić czas dobremu dziecku, by na drogę otwartą, która odtąd rozumiała się w pewnej mierze sama przez się, weszło dobrowolnie.

Ledwie atoli żądać możemy od czytelników naszych, by z tych wstrząsających stanów wewnętrznych przenieśli się w warunki zewnętrzne, od których jednakże tak wiele teraz zależało. Kiedy baronowa pozostawiła córce wszelką swobodę przyjemnego spędzania dni w towarzystwie muzyki i śpiewu, rysunku i haftu, a nadto rozrywania siebie i matki czytaniem cichym i głośnym, major zajmował się wobec nadchodzącej wiosny uporządkowaniem spraw rodzinnych. Syn zaś, który się w następstwie widział bogatym właścicielem ziemskim i szczęśliwym, o czym wątpić nie mógł, małżonkiem Hilarii, teraz dopiero poczuł wojską żądzę sławy i odznaczenia, kiedy miała wybuchnąć grożąca wojna. I tak, wśród chwilowego uspokojenia, poczytywano niemal za rzecz pewną, że zagadka ta, która, jak się zdawało, zawisła już tylko na pewnym skrupule, niebawem się wyjaśni i rozwiąże.

Niekiedy jednak w tym pozornym spokoju nie można było znaleźć ukojenia. Baronowa oczekiwała dzień w dzień, ale na próżno, zmiany w myślach córki, która skromnie wprawdzie i rzadko, ale, bądź co bądź, przy danej pobudce, niewątpliwie dawała do zrozumienia, że trwa w swym przekonaniu tak silnie, jak ktoś, komu prawda w duszy się objawiła — mniejsza o to, czy zgodnie ze światem otaczającym czy nie. Major czuł się rozdwojony. Czułby się na zawsze dotknięty, gdyby się Hilaria zdecydowała rzeczywiście na syna. Ale gdyby się na niego samego zdecydowała, to nabrał przekonania, iżby musiał ręki jej odmówić.

Załujmy zacnego męża, nad którym te troski, te męki unosiły się nieustannie jak mgła ruchoma — już to jako plan dalszy, z zarysowującymi się na nim rzeczywistościami i zatrudnieniami dnia bieżącego, już to jako coś pierwszorzędne, zakrywającego całą obecność. Taka to chwiejność i niepewność poruszała się przed oczyma jego ducha. A choć wyzywający dzień zmuszał go do żwawej, skutecznej działalności, to tak bywało jak wśród nocnego budzenia się, kiedy wszystkie przeciwności, upostaciowione i wciąż postać zmieniające, w najbardziej niepożądanym kółku przewracały się w jego wnętrzu. Ta wiecznie wracająca, nieunikniona sprawa wprawiała go w stan taki, żebyśmy go nazwać mogli prawie rozpaczą, gdyż zajęcie i działanie, które skądinąd w podobnych położeniach okazywały się najlepszymi środkami zbawczymi, tu działały zaledwie łagodząco, lecz bynajmniej nie kojąco.

W takim położeniu otrzymał przyjaciel nasz list nieznaney ręki z zaproszeniem na pocztę do pobliskiego miasteczka, gdzie pragnął usilnie z nim pomówić jakiś śpieszący się przejezdny. Przyzwyczajony wobec różnorodnych stosunków swoich — zarówno związanych z interesami, jak światowych — do podobnych rzeczy, nie zaniedbał tej okoliczności, zwłaszcza, że swobodne, pośpieszne pismo coś mu przypominać się zdawało.

Spokojny i pewny siebie po swojemu, udał się na wyznaczone miejsce, gdzie w znanej, prawie wieśniaczej izbie na piętrze spotkała go piękna wdówka — piękniejsza i powabniejsza, niż kiedy ją opuszczał. Czy to, że wyobraźnia nasza nie jest zdolna do zatrzymania w sobie najwyższej doskonałości i uprzytomnienia jej sobie potem w całej pełni czy też wzruszenie dodało jej rzeczywiście więcej wdzięku. Dość, że major potrzebował mocy podwójnej, by swe zdziwienie i zmieszanie pokryć pozorem najwykleszej grzeczności. Powitał ją uprzejmie z chłodem zakłopotania.

— Nie tak, mój najdroższy! — zawołała wdowa — nie potom wcale zawezwała pana między te pobielone ściany, w to otoczenie w najwyższym stopniu nieszlachetne. Takie proste sprzęty nie wymagają dworskiej rozmowy. Oswabdzam pierś swoją od ciężkiego brzemienia, powiadając, wyznając, że w domu pańskim wiele złego narobiła.

Major cofnął się zdumiony.

— Wiem wszystko — mówiła dalej — nie potrzebujemy się informować. Pana i Hilarii, Hilarii i Flavia, pańskiej dobrej siostry, was wszystkich żałuję.

Mowa jej jakby rwała się, wspaniałe rzęsy nie mogły powstrzymać wydobywających się łez, policzki zarumieniły się — piękniejsza była niż kiedykolwiek. W najstraszniejszym zamęcie stał przed nią szlachetny człowiek. Przenikało go jakieś nieznanne wzruszenie.

— Usiądźmy — rzekła najmilsza ta istota, oczy ocierając. — Przebacz mi pan, uzał się pan nade mną! Widzisz, jak zostałam ukarana.

Znowu przytknęła haftowaną chusteczkę do oczu, ukrywając poza nią, jak gorzko płakała.

— Racz mnie oświecić, pani łaskawa! — rzekł major pośpiesznie.

— Nie ma tu łaskawej! — odparła, niebiańsko się uśmiechając. — Nazywaj mnie pan swoją przyjaciółką, nie masz pan wierniejszej. A więc, mój przyjacielu, wiem wszystko, znam dokładnie położenie całej rodziny, wtajemniczyłam się we wszystkie nastroje i cierpienia.

— Co mogło panią powiadomić aż do tego stopnia?

— Wyznania osobiste. Ta ręka nie będzie obca panu.

Pokazała mu kilka otwartych listów.

— Ręka mojej siostry. Listy, liczne, a ze względu na niedbałe pismo, poufne! Czyż pani była z nią kiedyś w stosunkach?

— Bezpośrednio nie, pośrednio od pewnego czasu. Tu jest adres: do ***.

— Nowa zagadka. Do Makarii, najbardziej miłkliwej ze wszystkich kobiet.

— Ale też z tego powodu powiernicy, spowiednika wszystkich dusz uciśnionych, tych wszystkich, co ztratili samych siebie, pragną się odnaleźć, a nie wiedzą, gdzie.

— Dzięki Bogu! — zawołał — że się znalazło takie pośrednictwo. Mnie nie wypadało jakoś udać się do niej z błaganiami. Błogosławię siostrę, że ona to zrobiła. Bo i ja znam przykłady, że owa zacna kobieta, trzymając obyczajowo magiczne zwierciadło, niejednemu nieszczęśliwemu wskazała poprzez splątaną postać zewnętrzną jego czyste, piękne wnętrze i od razu go pogodziła przede wszystkim ze sobą samym, i zachęciła do życia nowego.

— Dobrodziejstwo to i mnie wyświadczyła — odrzekła piękna wdowa.

I w tej chwili poczuł przyjaciel nasz — lubo niejasno, ale stanowczo — że z tej dziwnej osobistości we właściwościach swoich wydatnej wytworzyła się istota moralnie piękna, współczująca i wzbudzająca współczucie.

— Nie byłam nieszczęśliwa, ale niespokojna — mówiła dalej. — Nie należałam już naprawdę do siebie samej, a to, bądź co bądź, znaczy ostatecznie nie być szczęśliwym. Nie podobałam się już sama sobie. Choćbym nie wiem jak wykręcała się przed zwierciadłem, zawsze mi się zdawało, jakbym się na bal maskowy stroiła. Ale odkąd ona mi swoim zwierciadłem błysnęła, odkąd zrozumiałam, jak to można się samemu ozdobić wewnątrz, znowu się sama sobie piękną przedstawiam.

Mówiła to wśród uśmiechów i płaczu i była, trzeba to było przyznać, więcej niż miła. Wydawała się godna szacunku i zasługująca na wieczne, wierne przywiązanie.

— A teraz, mój przyjacielu, załatwmy się krótko. Oto są listy! Przeczytać je i znów odczytać, namyślić się, przygotować... Na to potrzeba by panu w każdym razie godziny albo i więcej, jeśli pan chcesz. Potem nasze stosunki będą mogły być rozstrzygnięte kilkoma słowy.

Przemiana, List

Opuściła go, idąc do ogrodu na przechadzkę. On rozwinął paczkę listów wymienionych między baronową i Makarią — z treścią ich zapoznamy sumarycznie.

Baronowa uskarża się na piękną wdówkę. Wynika z tego, jak jedna kobieta zapatruje się na drugą i jak ją ostro sądzi. Właściwie mowa jest tylko o zewnętrznosci i wyrażaniu siebie — o wnętrzu nie chodzi. Na to ze strony Makarii sąd łagodniejszy. Określenie takiej istoty z wewnątrz. Zewnętrzność okazuje się następstwem przypadkowości. Nie ma co jej ganić, może by należało usprawiedliwić. Następnie donosi baronowa o szaleństwie i utracie rozumu przez syna, o rosnącej skłonności młodej pary, o przybyciu ojca i o stanowczej odmowie Hilarii. Na wszystko znajdują się odpowiedzi Makarii, odznaczające się serdeczną pobłażliwością, pochodzącą z tego głębokiego przeświadczenia, że powstać stąd musi udoskonalenie moralne. Przesyła w końcu wszystkie listy pięknej kobiecie, której niebiańsko piękne wnętrze wydobywa się teraz na jaw i zaczyna uświetniać zewnętrznosc. Całość kończy się wyrażeniem wdzięczności dla Makarii.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wilhelm do Leonarda

„Na koniec, najdroższy przyjacielu, mogę powiedzieć: została znaleziona. A ku twojemu uspokojeniu winienem dodać, że jest w takim położeniu, iż nic więcej życzyć nie pozostaje dla tej dobrej istoty. Pozwól mi mówić w ogólnikach. Piszę to jeszcze w tym właśnie miejscu, gdzie mam przed oczyma wszystko, z czego winienem zdać sprawę.

Położenie domowe, ugruntowane na pobożności, ożywiane i utrzymywane skrzętnością i porządkiem, nie jest ani za ciasne, ani za rozległe; zostaje w najszcześniejszym stosunku do sił i zdolności. Wkoło niej porusza się sfera rękodzielników w najczystszej, pierwiastkowym znaczeniu tego wyrazu. Tu jest ograniczenie i działanie w dal, oględność i umiarkowanie, niewinność i czynność. Nie widziałem się chyba wśród przyjemniejszej obecności, nad którą unosi się pogodny widok na czas najbliższy i na przyszłość. Rozpatrywane to w związku wystarczyć by mogło do uspokojenia każdego współczującego.

Śmiem tedy — z przypomnieniem tego wszystkiego, co było między nami omówione — prosić jak najusilniej: niech przyjaciel poprzestanie na tym ogólnym przedstawieniu, niech je sobie w myślach szerzej rozwine, natomiast niech się wyrzeknie wszelkiego dalszego poszukiwania i niech się jak najbardziej ochoczo poświęci temu wielkiemu zadaniu życia, w które już prawdopodobnie całkowicie został wtajemniczony.

Duplikat listu tego posiłam Hersylii, a drugi opatowi, który, jak mniemam, wie najlepiej, gdzie ciebie znaleźć. Do tego doświadczonego przyjaciela, jednak niezawodnego i w tajemnicy, i w rzeczach jawnych, piszę jeszcze słów kilka, które on ci zakomunikuje. Przede wszystkim zaś proszę, żebyś ze współczuciem patrzył na to, co mnie samego tyczy, i popierał przedsięwzięcie moje dobrymi, szczerymi życzeniami”.

Wilhelm do opata

„Jeśli mnie wszystko nie myli, to Leonard, ten człowiek godny najwyższego szacunku, jest obecnie wśród was. I dlatego posiłam tu duplikat listu, ażeby doszedł do niego na pewno. Oby ten wyborny młodzian mógł w waszym kole być wciągnięty do nieprzerwanej, a doniosłej działalności, gdyż, jak mam nadzieję, wnętrze jego jest już uspokojone.

Co się mnie tyczy, to po długiej i czynnej próbie samego siebie mogę obecnie jeszcze powtórzyć prośbę od dawna już za pośrednictwem Montana wyrażoną — pragnienie dokończenia swych lat wędrówki z większym skupieniem i ciągłością staje się coraz silniejsze. W bezpiecznej nadziei, że przedstawieniom moim przyznacie słusność, całkowicie się przygotowałem i stosownie urządziłem. Po załatwieniu interesu na rzecz mojego szlachetnego przyjaciela będę mógł spokojnie, pod warunkami już wypowiedzianymi, puścić się dalej w drogę mego życia. Jak tylko odbędę jeszcze jedną pobożną pielgrzymkę, zamysłam udać się do ***. W tej miejscowości spodziewam się zastać wasze listy i rozpocząć życie na nowo, stosownie do mego wewnętrznego popędu”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wysławszy listy powyższe, przyjaciel nasz posuwał się wciąż dalej, wędrując przez niejed-

List

Podróż, Spotkanie, Artysta,
Wspomnienia

na sąsiednią górę, aż się otwarła przed nim wspaniała dolina, gdzie przed rozpoczęciem nowego trybu życia zamierzał to i owo pokonać. Niespodziewanie spotkał tu młodego, żywego towarzysza podróży, za pośrednictwem którego miało się mu niejedno poszczęścić w jego dążeniu i rozkoszowaniu się. Schodzi się z pewnym malarzem, jakiemu podobnych wielu wałęsa się i straszy w szerokim świecie, a więcej jeszcze w romansach i dramatach, a który w tym wypadku przedstawił się jako znakomity artysta. Bardzo rychło przystają do siebie, zwierzają się wzajem ze skłonności, zamiarów i przedsięwzięć. I okazuje się, że doskonały artysta, który krajobrazy akwarelowe umiał przyozdabiać pomysłowym, dobrze rysowanym i wykonywanym sztafażem¹³¹, namiętnie się zajmował losami, postacią i istotą Mignon. Już ją niejednokrotnie odmalował, a teraz się puścił w podróż, by otoczenie, w którym żyła, odtworzyć z natury — tu przedstawić miłe dziecię, znajdujące się w nieszczęsnych stosunkach i chwilach, i tym sposobem obraz jej, żyjący we wszystkich czułych sercach, wywołać także przed zmysł wzroku.

Przyjaciele docierają niebawem do wielkiego jeziora. Wilhelm usiłuje odnaleźć powoli miejsce wzmiankowane. Wspaniałe domy wiejskie, obszerne klasztory, przeprawy i zatoki, przylądki i przystanie są przez nich zwiedzane. A nie zapominają też o mieszkaniach odważnych i dobrodusznym rybaków ani o wesoło zabudowanych miasteczkach nad brzegiem i o zameczkach na wzgórzach sąsiednich. To wszystko umie artysta pochwycić, przyswoić sobie przez oświetlenie i zabarwienie każdorazowego i historycznie rozbudzonego nastroju, tak że Wilhelm dnie i godziny spędzał w przenikającym go na wskroś wzruszeniu.

Na licznych kartkach przedstawiona była Mignon na pierwszym planie, w swym życiu i ruchu, ponieważ Wilhelm dokładnym opisem umiał dopomóc szczęśliwej wyobraźni przyjaciela i rzecz ogólniej pomyślaną ująć ściślej w ramy osobistości.

Widać tedy było odmalowaną chłopco-dziewczynę w najrozmaitszych pozycjach i usposobieniach. To stała pod wysoką kolumnadą wspaniałej willi, rozpatrując z namysłem posąg przedsonka. To znów kołysała się z pluskiem na uwiązanej łodzi; tam wdrapywała się na maszt i zachowywała się jak odważny majtek.

Ale pomiędzy wszystkimi odznaczał się jeden obraz, który artysta, jadąc tutaj, zanim jeszcze spotkał Wilhelma, stworzył ze wszystkimi rysami znamionnymi. Wśród skał dzikich jaśniej powabny chłopiec niby, otoczony spadłymi głazami, zbryzgany wodospadami, pomiędzy hordą¹³² trudną do opisanie. Może posępny między stromymi skałami wąwóz nigdy nie był czarowniej i donioślej przybrany. Pstre, niby cygańskie towarzystwo, dzikie zarazem i fantastyczne, dziwne i pospolite, zbyt lekkomyślne, by przejąć obawą, za cudaczne, by obudzić zaufanie. Silne zwierzęta juczne zwożą na dół to krętą ścieżyną, to wyrąbanymi stopniami, dziwnie zawinięty pakunek, przy którym wszystkie instrumenty ogłuszającej muzyki, zwieszane chwiejnie, dręczą od czasu do czasu ucho chrapliwymi dźwiękami. Wśród tego wszystkiego — milutkie dziecię, w sobie zamknięte bez wyzywania, niechętnie bez opierania się, prowadzone, ale nie wleczone. Któż by nie lubował się w tym cennym, wykończonym obrazie? Silnie była nacechowana droga ciasnotą tych złomów skalnych; przerysowane wszystko czarne parowy, skupione przy sobie, grożące przecięciem wszelkiego wyjścia, gdyby most śmiało rzucony nie napomykał o możliwości zawiązania stosunku z resztą świata. Uwydatnił też artysta z roztropnie poetyckim uczuciem prawdy pieczęć, którą można było poczytać za naturalną pracownię potężnych kryształów albo za miejsce pobytu bajecznie strasznej, smocznej rodziny.

Nie bez świętej grozy zwiedzili przyjaciele pałac markiza. Starzec nie wrócił jeszcze ze swej podróży. Mimo to, umiejac się brać do duchownych i świeckich urzędów, zostali i w tym okręgu przyjaźnie powitani i potraktowani.

Nieobecność gospodarza domu podziałała bardzo przyjemnie na Wilhelma, gdyż lubo miło by mu było zobaczyć i serdecznie przywitać dostojnego męża, lękał się atoli jego wdzięcznej hojności i jakiegokolwiek narzuconej nagrody za swoje pocziwe, pełne uczucia postępowanie — za które otrzymał już najtkliwszą zapłatę.

I tak pływali przyjaciele ozdobną łodzią od brzegu do brzegu, przecinając jezioro we wszystkich kierunkach. W najpiękniejszej porze roku nie pominięto ani wschodu, ani

¹³¹sztafaż — tu: elementy ozdobne, uzupełniające obraz (dodatki do jego zasadniczego tematu). [przypis edytorski]

¹³²horda — tu: zgraja, banda. [przypis edytorski]

zachodu słońca, ani jednego z tych tysiącznych odcieni, którymi światło niebieskie jak najhójniej oblewa firmament, a stamtąd jezioro i ziemię, i dopiero w odbiciu najwspanialej się uświetnia.

Otaczała ich zewsząd bujna roślinność, zasiana przez naturę, uprawiona i rozwinięta przez sztukę. Już pierwsze lasy kasztanowe powitali z lubością i nie mogli się wstrzymać od smutnego uśmiechu, gdy rozłożywszy się pod cyprysami widzieli, jak się warzywo wznosi do góry, jabłko się granatowe rumieni, pomarańcze i cytryny kwieciami się pokrywają, pokazując zarazem ciepłą barwę owoców zza ciemnych liści.

Za pośrednictwem żwawego towarzysza doznał Wilhelm rozkoszy nowej. Naszemu starymu przyjacielowi nie dała przyroda oka malarskiego. Będąc wrażliwym na widzialną piękność w ludzkiej tylko postaci, nagle zauważył, że przy pomocy jednakowo nastrojonego, ale ku zupełnie innym rozkoszom i czynnościom wykształconego przyjaciela, otworzył się dla niego świat otaczający.

Wskazywane w rozmowie zmieniające się wspaniałości okolicy, a więcej jeszcze skoncentrowane naśladowanie towarzysza otworzyło mu oczy i uwolniło od wszelkich, dawniej uparcie żywionych, wątpliwości. Od dawna podejrzane mu były odtworzenia krainy włoskiej — niebo wydawało mu się zbyt niebieskie, fioletowy ton uroczych odległości wprawdzie bardzo miły, lecz nieprawdziwy, a niejedna świeża zieleń zanadto jaskrawa. Obecnie atoli stopił się najściślej ze swym nowym przyjacielem, a będąc wrażliwym, uczył się widzieć świat jego oczyma. Kiedy zaś natura odsłoniła widomą tajemnicę swojej piękności, musiano uczuć niepokonaną tęsknotę za sztuką jako najgodniejszą tłumaczką.

Z innej jeszcze strony ukazał mu się całkiem niespodziewanie przyjaciel-malarz. Kiedy niekiedy wesoły śpiew wznosząc, ożywiał i serdecznie uprzyjemniał spokojne godziny przejażdżki po jeziorze wzdłuż i wszerz. Otóż zdarzyło się, że w jednym z pałaców znalazł bardzo oryginalne narzędzie strunowe — lutnię małego formatu, mocną, o pełnym brzmieniu, wygodną i nośną. Potrafił instrument ten zaraz nastroić i tak szczęśliwie a przyjemnie z nim się obejść i zabawić obecnych tak mile, że miękcząc, niby nowy Orfeusz, surowego skądinąd i suchego odźwiernego, pokonał go i przyjaźnie zniewolił, by dał śpiewakowi narzędzie to na czas jakiś, pod warunkiem oddania go w całości przed odjazdem; nadto w ciągu tego czasu miał się on w jakieś święto lub niedzielę tu ukazać i rodzinę zabawić.

Zupełnie inaczej ożywiało się odtąd jezioro i brzeg jego. Czółna i łodzie dobijały się o sąsiedowanie z nimi, nawet statki przewozowe i kupieckie zatrzymywały się w ich pobliżu. Szeregi ludzi szły za nimi po skraju. Gdy wysiadali, widzieli się otoczeni wesołym tłumem, gdy odjeżdżali, każdy ich błogosławił, zadowolony i tęskny.

Ktoś trzeci, obserwujący przyjaciół, mógłby w końcu spostrzec, że posłannictwo obu właściwie już się skończyło. Wszystkie okolice i miejscowości, odnoszące się do Mignon, zostały odrysowane — już to z nałożeniem tylko światłocienia i barwy, już to starannie wykonane podczas gorących godzin dnia. Aby to spełnić, ruszali oni z miejsca na miejsce w sposób sobie właściwy, gdyż ślub Wilhelma często stawał na przeszkodzie. Musieli go oni jednak przy sposobności obejść, tak to tłumacząc, że obowiązuje on na lądzie, lecz na wodzie zastosować się nie daje.

I sam Wilhelm czuł już, że istotny ich zamiar został osiągnięty. Nie mógł atoli zaprzeczyć, że życzenie zobaczenia Hilarii i pięknej wdowy powinno być zaspokojone, jeżeli okolicę tę ma się opuścić z myślą swobodną. Przyjaciel, któremu z historii tej się zwierzył, był nie mniej ciekawy i cieszył się, że w jednym z jego rysunków znajduje się próżne, a wspaniałe miejsce, które zamyslał przyozdobić postaciami tak nadobnych osób.

Przedsiębrali tedy przejażdżki po jeziorze na krzyż i w poprzek, mając na oku punkty, przez które cudzoziemiec wstępuje do tego raj. Przewoźnicy przejęli ich nadzieją zobaczenia tutaj przyjaciół. Jakoż istotnie dostrzegli niebawem poruszający się statek wspaniały, ślicznie przyozdobiony, na który zrobili polowanie i nie mogli się powstrzymać, by nie zarzucić nań zaraz haków w sposób gorączkowy. Kobiety, przerażone do pewnego stopnia, przyszły natychmiast do siebie, gdy Wilhelm pokazał karteczkę, a obie bez wahania rozpoznały nakreśloną przez siebie strzałę. Przyjaciele zostali w tej chwili z zaufaniem zaproszeni, by wsiedli do okrętu dam, co się też dokonało pośpiesznie.

A teraz proszę sobie uprzytomnić tę czwórkę, zgromadzoną w wielce ozdobnej przestroni, siedzącą naprzeciw siebie w najszcześniejszym z krajów, obwiewaną łagodnym

Natura, Sztuka

Spotkanie

tchnieniem powietrza, kołyszącą się na błyskotliwych falach. Proszę sobie wyobrazić parę niewieścią, jak żeśmy ją niedawno odmalowali, i męską, z którą już od kilku tygodni prowadzimy wspólne życie podróżne — a ujrzymy ich wszystkich po jakimś namyśle w położeniu wielce powabnym, lubo nader niebezpiecznym.

Dla trojga, co się już chętnie czy niechętnie zaliczyli do wyrzekających się, nie ma potrzeby bać się o zbyt ciężką próbę. Ale czwarty aż nadto prędko miał się ujrzeć przyjętym do owego zakonu.

Przepłynąwszy jezioro kilkakrotnie i wskazawszy najbardziej interesujące strony — tak na brzegu, jak na wyspach — zawieziono damy do miejsca, gdzie miały przemocować i gdzie sprytny, na tę podróż przyjęty przewodnik umiał się wystarać o wszystkie pożądane wygody. Tu ślub Wilhelma był przywoitym, lecz niedogodnym mistrzem ceremonii, gdyż na tej właśnie stacji trzy dni spędzili niedawno przyjaciele i wyczerpali wszystko, co w otoczeniu warto było widzieć. Artysta, którego żaden ślub nie wiązał, chciał wyprosić sobie pozwolenie towarzyszenia paniom na łądzie, ale one odmówiły. Rozstano się więc w jakimś oddaleniu od portu.

Ledwie śpiewak wskoczył do swej łodzi, która się wielce pośpiesznie oddaliła od brzegu, chwycił zaraz za lutnię i zaczął mile wygłaszać ów dziwnie skarżący się śpiew, jaki żeglarze weneccy przesyłają z łądu ku morzu i z morza ku ładowi. Dość zaprawiony do takiego popisu, który mu się tym razem szczególnie tkliwie i wyraziście powiódł, wzmacniał on w miarę rosnącej odległości ton, tak że na brzegu wydawało się słuchaczkom, iż rozstający się są wciąż w jednakiej odległości. W końcu porzucił lutnię, ufając w głos swój jedynie i zauważył z przyjemnością, że panie, zamiast wejść do domu, wołały się zatrzymać na brzegu. Czuł się tak natchniony, że nie mógł położyć śpiewowi kresu nawet wówczas, gdy noc i oddalenie zakryły widok na wszelkie przedmioty. Aż wreszcie więcej uspokojony przyjaciel musiał mu zwrócić uwagę na to, że lubo ciemność sprzyja głosowi, to łódź od dawna już kres przekroczyła, w którym by mógł być słyszany.

Muzyka

Stosownie do umowy spotkano się nazajutrz znów na jeziorze. Zaprzyjaźniono się w przelocie z pięknym szeregiem cudnie rozłożonych — już to dających się oglądać po kolei, już to zachodzących na siebie — widoków, które, zdwijając się w wodzie, równomiernie dostarczają najróżnorodniejszych przyjemności przy opływaniu brzegu. Artystyczne zaś odtworzenia na papierze pozwalały przypuszczać i przeczuwać to, czego się w dzisiejszej przejażdżce nie widziało bezpośrednio. Milcząca Hilaria, jak się zdawało, odczuwała to wszystko swobodnie i trafnie.

W południe atoli znów się stała rzecz dziwna. Panie wylądowały same, a mężczyźni krążyli koło przystani. Śpiewak starał się zastosować swój popis do takiego zbliżenia, przy którym niepodobna było spodziewać się jakiegokolwiek szczęśliwego efektu, nie tylko co do czule i żywo drgającego, ogólnego tonu tęsknoty, ale też i co do wesołej, uprzejmej natarczywości. Niekiedy ta lub owa z piosenek, jakie zawdzięczamy kochanym osobom z lat nauki, unosila się nad strunami, igrała mu na wargach. Wstrzymywał się on jednak z dobrotliwej delikatności, której sam potrzebował, i rozwodził się, owszem, w cudzych obrazach i uczuciach, na czym popis jego zyskał, gdyż brzmiał tym powabniej. W ten sposób blokując przystań, obaj przyjaciele nie pomyśleliby o jedzeniu i picu, gdyby przyjaciółki nie były im przesłały dobrych kasków, przy których towarzyszące wysączenie wytworzonego wina smakowało jak najlepiej.

Każde odłączenie, każde uwarunkowanie, stając na drodze kielkującym namiętnościom naszym, zaostrza je zamiast przytępiać. I tym razem przypuścić wolno, że krótki rozdział obu połów wywołał także jednakową tęsknotę. Istotnie! Ujrzano niebawem panie, nadpływające w swojej oślepiąco chybkiej gondoli.

Wyrazu „gondola” proszę jednak nie brać w smutnym, weneckim znaczeniu. Tutaj oznacza on wesołą, wygodną, przyjemną łódź, która by dość jeszcze była obszerna, gdyby nawet zdwoiło się szczupłe kółko nasze.

Kilka dni spędzono w ten oryginalny sposób wśród spotykania się i rozstawania, wśród rozdziału i wspólnego pobytu. W rozkoszowaniu się najmiłszą towarzyskością unosiły się wciąż przed wzruszoną duszą oddalenie i brak. Wobec nowych przyjaciół przywoływano starszych na pamięć. Jeśli nie było i tych nowych, to musiano wyznać, że i oni potrafili już pozyskać sobie silne prawo do wspomnienia.

Tylko taki wytrawny, doświadczony umysł, jak nasza piękna wdowa, mógł się w podobnej chwili utrzymać w zupełnej równowadze. Serce Hilarii zanadto było zranione, żeby zdołało doświadczyć nowego, czystego wrażenia. Atoli, kiedy wdzięk wspaniałej okolicy otacza nas w sposób uspokajający, kiedy łagodność uczuciowych przyjaciół działa na nas, to splywa na umysł nasz i serce coś dziwnego, co nam rzeczy przeszłe i nieobecne przywołuje jak senne marzenie, a rzeczy obecne, jakby widziadłem tylko były, odsuwa od nas niby mary.

Tak na przemian kołysani w tę i inną stronę, przyciągani i odpychani, zbliżani i oddaleni — przebudzali dni wiele.

Nie wdając się w dokładniejszą ocenę tych stosunków, sprytny, doświadczony przewodnik podróży mniemał przecież, że w spokojnym zachowaniu bohaterów swoich spostrzega pewną zmianę w porównaniu z poprzednim. A kiedy dziwaczność tych rzeczy wyjaśniła mu się, potrafił i w tym wypadku zrobić, co było najbardziej pożądane. Gdy bowiem miano właśnie znów zawieźć panie do miejsca, gdzie był przygotowany ich obiad, spotkał się z nimi inny ozdobny statek, który, przysuwając się do boku ich łodzi, ukazywał zapraszająco stół dobrze nakryty ze wszelkimi przyborami pięknej uczy. Można już wtedy było wspólnie oczekiwać upływu wielu godzin i noc dopiero sprowadziła zwyczajowe rozłączenie.

Na szczęście męska połowa w poprzednich przejażdżkach swoich zaniedbała z jakiegoś przyrodzonego kaprysu zwiedzenie najpiękniejszej z wysp. A i teraz nie zamierzała pokazywać przyjaciółkom tamtejszych wytworności, w nie najlepszym zachowanych stanie, zanim by zupełnie wyczerpano wspaniałe sceny wszechświatowe. W końcu wszakże inne błysnęło im światło! Porozumiano się z przewodnikiem; ten potrafił przeprowadzić natychmiast przyspieszyć, a oni poczytali ją za najbardziej przyjazną. Teraz mogli się spodziewać i oczekiwać, że po wielu przerywanych uciechach spędzą trzy całe, niebiańskie dni, zgromadzeni w zamkniętym obrębie.

Tu musimy szczególnie pochwalić przewodnika podróży. Należał on do liczby owych ruchliwych, czynnie sprytnych, którzy, przeprowadzając wielu gości, przebywają często te same drogi. Obeznani dokładnie z wygodami i niedogodnościami, umieją jednych unikać, a drugimi się posłużyć i — nie pomijając korzyści własnej — taniej przecież i przyjemniej po kraju obwieźć patronów swoich, niżby się to im udało na własną rękę.

Równocześnie po raz pierwszy pokazała się nadzwyczajnie czynna, ruchliwa żeńska służba pań, tak że piękna wdowa mogła postawić warunek, żeby obaj przyjaciele zostali u niej jako goście i zadowolili się skromnym ugoszczeniem. I w tym powiodło się wszystko jak najpomyślniej, gdyż roztropny pełnomocnik, jak dawniej, tak i przy tej sposobności potrafił tak zręcznie wyzyskać polecające i kredytowe listy pań, iż podczas nieobecności właścicieli otwarty im został do użytku swobodnego zamek i ogród, jak też kuchnia. Ba, pozostały nawet widoki na piwnicę. Wszystko tedy tak się złożyło, iż od pierwszej chwili można się tu było czuć jak w domu — istotnymi panami tych rajów.

Wszystkie więc rzeczy podróży naszych przeniesiono na wyspę. Stąd wielka dla towarzystwa powstała wygoda i osiągnięto tę największą korzyść, że wszystkie teki wybornego artysty po raz pierwszy razem się znalazły, dając mu sposobność uprzytomnienia w nieprzerwanym ciągu pięknym paniom drogi, którą obrał. Przyjęto te prace z zachwytem. Nie na podobieństwo amatorów i artystów, co się po kolei wysławiają, lecz istotnie odczuta i istotnie umiejętną pochwałą obdarowano wybornego męża. Ażebyśmy jednak nie popadli w podejrzenie, jakobyśmy łatwowiernym czytelnikom chcieli ogólnikowymi frazesami tylko podrzucić to, czego pokazać nie możemy, to niech tu znajdzie miejsce zdanie znawcy, który przy wzmiankowanych robotach oraz innych takich samych lub podobnych z podziwem stawał w wiele lat potem.

„Z podziwieniem przedstawia on pogodny spokój cichych widoków jeziora, gdzie ujmująco miłe mieszkania, odbijając się w jasnych wodach, kąpać się niby zdają. Brzegi otoczone zielonymi pagórkami, poza którymi wznoszą się lesiste góry i mroźne lodowce. Ton barwy scen takich jest pogodny, wesoło jasny; głębie jakby oblane łagodzącym oparem, który, szary jak mgła i gęsty, podnosi się z przerzniętych potokami jarów i dolin, ich zakręty oznaczając. Nie mniej pochwały godna jest sztuka mistrza w widokach dolin, położonych bliżej pasma gór wysokich, gdzie się bujnie obrosłe skłony opuszczają w dół, a świeże potoki szybko się u stóp skał przemykają.

Góry, Natura, Piękno,
Sztuka

Wybornie umie on w potężnych, cień dających drzewach przedniego planu zado-
wałajaco zaznaczyć cechy znamienne różnych gatunków — tak w kształcie całości, jak
w kierunku konarów i poszczególnych skupień liści, jak nie mniej w odtworzeniu świeżej
ich zieleni w różnorodnych odcieniach. Przy czym ciepłe tchnienie łagodnego wietrzyka
powiewać nimi, a światło wśród nich poruszać się zdaje. Na środkowym planie słabnie
powoli żywy, zielony ton i kojarzy się na dalszych szczytach gór lekki fiolet z błękitem
niebios.

Artyście naszemu atoli udają się nade wszystko malowidła wyższych okolic alpejskich
— prosta wielkość i cichość ich charakteru, rozległe pastwiska na stokach gór, w naj-
świeższą zielen ubrane, gdzie stojące pojedynczo ciemne jodły wynurzają się z kobierca
murawy, a z wysokich ścian skalnych spadają szumiące potoki. Czy przybiera pastwi-
ska w żujące trawy bydło, czy wąską, wkoło skał wijącą się ścieżkę w obladowane konie
i muły, rysuje on wszystko równie dobrze i pomysłowo, ustawione zawsze na właściwym
miejscu i w nie zanadto wielkiej liczbie. Zdobią one i ożywiają te obrazy, nie przeszkad-
zając spokojnej ich samotności, ani nawet jej nie pomniejszając. Wykonanie świadczy
o wielce śmiałej ręce mistrza. Jest lekkie, kilkoma pewnymi kreskami dokonane, a jednak
wykończone. Posługiwał się on później trwałymi, błyszczącymi farbami angielskimi, stąd
malowidła te mają świetny, żywy ton — wesoły, lecz zarazem silny i soczysty.

Jego odtworzenia głębokich parowów skalnych, gdzie wkoło sterczą same tylko mar-
twe kamienie, gdzie w przepaści, objętej śmiałym mostem, dziki potok szaleje, nie po-
dobają się wprawdzie tak jak poprzednie, ale przenika nas ich prawdziwość. Podziwiamy
wielkie wrażenie całości, wywołane kilkoma dobitnymi kreskami i masami kolorów lo-
kalnych z najmniejszym wysiłkiem.

Równie charakterystycznie umie on przedstawiać okolice pasma gór wysokich, gdzie
się już ani drzewo, ani krzaki nie przyjmują, lecz tylko słoneczne powierzchnie między
zębami skał a szczytami śnieżnymi pokrywają się wątlą murawą. Chociaż podobne miej-
scowości zabarwia on pięknie zielonym kolorem i ujmująco je przedstawia, to przecież
bardzo rozumnie nie przybrał ich w pasące się trzody, gdyż okolice te dają pożywienie
jedynie koniom, a niebezpieczny zarobek — zbieraczom dzikiego siana (niem. *Wildbeu-
er*)”.

Nie oddalimy się od zamiaru zaznajomienia czytelników, jak można najlepiej, z cha-
rakterem takich okolic, objaśniając pokrótce słowo dopiero co użyte: *Wildbeuer*. Oznacza
się nim biedniejszych mieszkańców gór wysokich, którzy się odważają przygotowywać
siano na owych trawnikach, zgoła niedostępnych dla bydła. W tym celu, mając stosowne
haki u nóg, wdrapują się na najbardziej spadziste, najniebezpieczniejsze pochyłości, al-
bo też spuszcza się, gdzie tego trzeba, na powrozach z wysokich skał na wspomniane
trawniki. Gdy trawa zostanie przez nich ścięta i wysuszona na siano, zrzucają je z wyżyn
na niższe polany, gdzie znowu, na kupę złożone, sprzedawane bywa właścicielom bydła,
którzy je chętnie kupują z powodu wybornych jego właściwości.

*

Obrazy owe, które wprawdzie musiały każdego zająć i pociągnąć, rozpatrywała szcze-
gólnie Hilaria z wielką bacznością. Uwagi jej dały poznać, że i ona sama nie jest obca
temu fachowi. Najmniej pozostało to tajne artyście, który od nikogo chętniej nie oczek-
kiwał uznania niż od tej najpoważniejszej ze wszystkich osób. Starsza tedy przyjaciółka
nie mogła już milczeć dłużej, lecz zganiała Hilarię, że się — jak zawsze, tak i tym razem
— ociąga wystąpić z własnym uzdolnieniem swoim; że tu nie o to idzie, żeby zostać po-
chwaloną lub zganioną, lecz żeby się nauczyć; że piękniejszej sposobności ku temu może
się już nie znaleźć.

Teraz dopiero, gdy Hilaria zmuszona była wydobyć swoje obrazki, okazało się, co
to za talent się kryje za tym cichym, milutkim usposobieniem — zdolność jej wrodzona
wyćwiczona była starannie. Miała trafne oko, czystą rękę, jaka uzdalnia kobiety do wyższej
sztuki wobec ich zwykłych robótek, mających na celu strój i ozdobę. Widziano wprawdzie
niepewność w kreskach, stąd niedostatecznie uwydatniony charakter przedmiotów, ale
należycie podziwiano bardzo staranne wykonanie. Przy tym jednak całość bywała nieujęta
w sposób najkorzystniejszy, nieulożona artystycznie. Zdawało się, iż się lęka znieważyc

Sztuka

przedmiot, jeřliby go nie odtworzyła zupełnie wiernie; z tego powodu, jest trwoźna i gubi się w szczegółach.

Ale teraz Hilaria czuje, jak wielki, swobodny talent, jak zuchwała ręka artysty podnieca i budzi w niej to, co dotychczas drzemało pod względem myřli i smaku. Rozjařnia się jej, że powinna tylko nabrać odwagi i pójść poważnie i po prostu za tymi zasadniczymi maksymami, które podawał jej artysta gruntownie, przyjaźnie i stanowczo, powtarzając je ciągle. Pewności kresk nabywa, powoli coraz mniej dba o części niż o całość. I tak nader piękna zdolność rozwija się niespodzianie we wprawę — jak pączek różany, koło którego przeszliśmy wieczorem, nie zwracając nań uwagi, nazajutrz wraz ze wschodem słońca pęka przed naszymi oczyma, tak że zdaje nam się, iż widzimy żywotne drzenie, które zwraca wspaniałe zjawisko ku światłu.

Nie pozostało też bez wpływu moralnego takie wykształcenie estetyczne, gdyż na sercu czystym wywiera magiczne wrażenie poczucie najgłębszej wdzięczności względem kogoś, komu winni jesteřmy jakąś decydującą naukę. Tutaj było to pierwsze, radosne uczucie, jakie się pojawiło w duszy Hilarii od dosyć dawna. Widzieć najprzód wspaniały świat dniami całymi przed sobą, a potem poczuć udzielony sobie nagle dar doskonalszego odtwarzania! Co za rozkosz zbliżyć się za pomocą rysów i barw do tego, co się wysłowić nie daje! Czuła się zaskoczona jakby młodością nową i nie mogła się wyrzec szczególnej przychyłności dla tego, któremu szczęście to zawdzięczała.

Tak siedzieli obok siebie. Nie można by było odróżnić, które z nich z większą skwapliwością się zachowywało — czy ten, co wykazywał zalety sztuki, czy ta, co je chwytala i zastosowywała. Nastalo najszczęśliwsze współubieganie się, jakie między uczniem a mistrzem rzadko się nawiązuje. Niekiedy zdawało się, iż przyjaciel chciał wpłynąć na jej rysunek jakąś kreską stanowczą, ale ona łagodnie go odsuwając, śpieszyła natychmiast wykonać, co było poźądane, co konieczne — i to zawsze ku jego zdumieniu.

Piękna wdowa tymczasem przechadzała się z Wilhelmem pod cyprysami i piniami, juź to przy winogradach¹³³, juź to przy pomarańczach, okalających tarasy. W końcu nie mogła wytrzymać, by nie spełnić życzenia łagodnie napomkniętego przez nowego przyjaciela — musiała mu wyjawić dziwaczne skrępowanie, mocą którego przyjaciółki, oddzielone od dawniejszych stosunków swoich, a złączone ze sobą serdecznie, w świat zostały wysłane.

Wilhelm, któremu nie brak było daru zwracania dokładnej uwagi na wszystko, spisał potem poufne opowiadanie, a my zamierzamy je zakomunikować w przyszłości czytelnikom naszym tak, jak on je ułożył i przez Hersylię posłał Natalii.

Nadszedł wieczór ostatni, a ukazujący się w całej jasności księżyc w pełni nie dał przejřcia dnia w noc odczuć. Całe towarzystwo zasiadło na jednym z najwyższych tarasów, by spoglądać na spokojne, ze wszech stron oblane światłem i wkoło też blask siejące jezioro, które wzdłuż było częściowo zakryte, ale wszere widniało w całości.

O czymkolwiek wśród takich okoliczności gawędzono, niepodobna było przecieź pominąć rzeczy stokrotnie omawianej, by raz jeszcze nie rozwieść się nad zaletami tego nieba, tej wody, tej ziemi, pozostającej pod wpływem gorącego słońca, łagodniejszego księżycy, oddając im uznanie wyłączone i liryzmem przejęte.

Czego atoli nie wyznano sobie, do czego ledwie przyznać się chciano, to było głębokie, bolesne uczucie, jakie dręało w każdej piersi, mocniej lub słabiej, lecz zarówno prawdziwie i tkliwie. Przedsmak rozstania opanował wszystkich, a powolne oniemienie sprowadzało niemal trwoę.

Wtedy nabrał odwagi i zdecydował się śpiewak, przygrywając silnie na swym instrumencie, niepamiętny na ową dawniejszą, rozważną delikatność. Przed nim unosił się obraz Mignon wraz z pierwszym tkliwym śpiewem ślicznego dziecka. Namiętnością z granic wywiedziony, uderzając w dźwięczne struny tęsknym dotknięciem, zaczął śpiewać:

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask...¹³⁴

¹³³winograd (daw.) — winorośl. [przypis edytorski]

¹³⁴Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa, Pomarańcz blask... — wiersz ten (*Kennst du das Land...*) zainspirował Adama Mickiewicza do stworzenia polskiej przeróbki, zatytułowanej *Do. H. Wezwanie do Neapolu*. [przypis edytorski]

Hilaria wstała wzburzona i oddaliła się, skroń zasłaniając. Nasza piękna wdowa jedną rękę wyciągnęła jakby odpychając ku śpiewakowi, a drugą chwyciła Wilhelma za ramię. Za Hilarią poszedł rzeczywiście zmieszany młodzieniec, Wilhelma pociągnęła przytomniejsza przyjaciółka za obojgiem. A gdy wszyscy czworo stanęli naprzeciw siebie w pełnym blasku wysoko stojącego księżyca, niepodobna było ukryć ogólnego wzruszenia. Kobiety rzuciły się sobie w ramiona, mężczyźni objęli się za szyje, a luna¹³⁵ była świadkiem łez najszlachetniejszych, najczystszych. Powoli dopiero wróciło niejake oprzytomnienie. Rozstawano się milcząc, wśród dziwnych uczuć i życzeń, którym atoli nadziei już zabrakło. I teraz artysta nasz, którego przyjaciel porwał za sobą, uczuł się pod wspaniałym niebem, w poważnie uroczej godzinie nocnej, wtajemniczony we wszystkie cierpienia wyrzekających się, pierwszego stopnia, jaki owi przyjaciele już przebyli, a oto znów widzieli się w niebezpieczeństwie ponownej, bolesnej próby.

Późno się udali młodzieńcy na spoczynek, a obudziwszy się wczesnym rankiem, skupili siły i zdawało się im, że mają dość mocy do rozstania się z tym rajem. Obmyślili pewne plany, które pozwalały im bez obrazy obowiązku zabawić w miłym pobliżu.

Projekty swoje zamierzali właśnie przedstawić, gdy ich zaskoczyła wiadomość, że panie już odjechały o pierwszym dnia brzasku. List, pisany ręką naszej królowej serca, zawiadomił ich o reszcie. Można się było wahać, czy się w nim wypowiadało więcej rozumu czy dobroci, więcej skłonności czy przyjaźni, więcej uznania zasługi czy cichej, nieśmiałej wymówki. Niestety, w zakończeniu zawierało się twarde wymaganie, żeby ani jechać za przyjaciółkami, ani ich nigdzie nie szukać — a nawet, gdyby się gdzie przypadkowo spotkano, starannie się wzajem unikać.

I oto, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, raj przemienił się dla przyjaciół w zupełną pustynię. I z pewnością sami by się uśmiechnęli, gdyby im w tej chwili jasno się uprzytomniło, jak nagle zaczęli się niesprawiedliwie i niewdzięcznie zachowywać wobec tak pięknego, tak godnego uwagi otoczenia. Żaden samolubny hipochondryk nie byłby tak ostro i z taką zawiścią ganił i wyśmiewał walenia się budynków, zaniedbania murów, spustoszenia wież, zarastania chodników trawą, wymierania drzew, butwienia grot kunsztownych, mchem porastających — i wszystkiego zresztą, co się w tym rodzaju spostrzec dawało.

Otrząsnęli się jednak z tego, na ile to było możliwe. Artysta nasz starannie zebrał swoje roboty, wsiedli razem do łodzi. Wilhelm towarzyszył mu do górnej okolicy jeziora, skąd tamten, wedle dawniejszej umowy, miał się udać w drogę do Natalii, by ją za pomocą pięknych, krajobrazowych malowideł przenieść w strony, których może tak rychło nie zwiedzi. Był on zarazem upoważniony, wyznając niespodziewane zdarzenie, zawiadomić, w jaki sposób znalazł się w tym położeniu, iż jak najprzyjaźniej przyjęty został na członka przez związek wyrzekających się — i jeżeli nie uleczony, to pocieszony wskutek wielce uprzejmego ich postępowania.

Leonard do Wilhelma

„Pisanie twoje, najdroższy mój, zastało mnie przy czynności, którą mógłbym nazwać zamętem, gdyby cel nie był tak wielki, osiągnięcie tak pewne. Połączenie z twoimi przyjaciółmi jest ważniejsze, niż obie strony przypuszczać mogły. Nie powinienem zaczynać o tym pisać, gdyż zaraz widać, jak całość jest nieprzejrzana, jak związek niewymowny. Działać, nie mówiąc — musi być teraz hasłem naszym. Tysiączne dzięki za to, że mi ukazujesz tak uroczą tajemnicę na wpół zasłoniętą w oddali. Winszuję dobrej istocie tak po prostu szczęśliwego stanu, gdy mnie pędzić będzie wir zagmatwanych stosunków, nie bez gwiazdy przewodniej jednakże. Opat podejmuje się donieść o innych rzeczach, ja powinienem pamiętać o tym tylko, co wzmacnia; tęsknota znika w czynie i działaniu. Wspomniałeś... Ale na tym koniec. Gdzie dosyć jest do roboty, tam nie ma miejsca na rozmyślanie”.

Opat do Wilhelma

„Mało brakowało, żeby list pański, w dobrej napisany myśli, nie stał się dla nas, wbrew zamiarowi pana, w najwyższym stopniu szkodliwy. Obraz odnalezionych był tak serdeczny i uroczy, że, by ich również odnaleźć, dziwny przyjaciel wszystko byłby może

¹³⁵luna (daw.) — księżyc. [przypis edytorski]

zostawił i porzucił, gdyby nasze obecne zjednoczone plany nie były tak wielkie i rozległe. Wytrzymał atoli próbę i okazuje się rzeczą pewną, że na wskroś jest przeniknięty ważnością sprawy i czuje się nią wyłącznie zajęty, a od wszystkiego innego odepchnięty.

W tym nowym stosunku naszym, którego zagajenie zawdzięczamy panu, uwydatniły się przy dokładniejszym badaniu daleko większe — i dla nich, i dla nas — korzyści, niżby przypuścić było można.

Właśnie bowiem przez okolicę mniej przez naturę wyposażoną, gdzie leży część dóbr, jakie mu stryj odstępuje, ma być przeprowadzony niebawem kanał, który ciągnąć się będzie i przez nasze posiadłości. Skutkiem czego, jeżeli się ze sobą połączymy, podniesie się ich wartość w stosunku obliczyć się nawet niedającym.

Przy tym, ażeby zacząć od samego początku, może on bardzo wygodnie rozwijać główną skłonność swoją. Po obu stronach owego wodnego gościńca można znaleźć nieuprawnej i niezamieszkałej ziemi pod dostatkiem. Tam mogą osiąść prządki i tkaczki, tam mularze, cieśle i kowale mogą sobie i tamtym ustawić warsztaty. Wszystko może być urządzone z pierwszej ręki, gdy my, inni, podejmiemy się rozwiązania zawikłanych zagadnień i przyczynienia się do wzmożonej działalności.

To jest zatem najbliższym zadaniem przyjaciela naszego. Z gór słyhać jedne skargi po drugich, że tam panuje brak żywności i że owe strony nadmiernie są zaludnione. Tam się on rozejrzy, osądzi ludzi i stan rzeczy i wciągnie do naszego koła tych, co są prawdziwie czynni, sobie samym i innym użyteczni.

Dalej o Lotariuszu donieść winienem, że dąży do zupełnego ukończenia sprawy. Przedsięwziął podróż do pedagogów, ażeby sobie u nich wyprosić dzielnych artystów w liczbie niewielkiej. Sztuki są solą ziemi — jak ta się ma do potraw, tak tamte mają się do techniki. Ze sztuki nic więcej nie weźmiemy nad to, iżby rzemiosło nie stawało się wstrętne.

Sztuka

W ogólności trwały związek z owym zakładem pedagogicznym stanie się dla nas niezmiernie pożyteczny i konieczny. Winniśmy działać i nie możemy myśleć o kształceniu. Ale wykształconych przyciągać do siebie jest najwyższym obowiązkiem naszym.

Tysiączne przy tym nastręczają się uwagi. Pozwól mi, wedle naszego dawnego obyczaju, wypowiedzieć jedno tylko jeszcze ogólne słowo, spowodowane pewnym ustępem listu pańskiego do Leonarda. Nie myślimy pobożności domowej odmawiać pochwały należytej — na niej opiera się bezpieczeństwo jednostki, które ostatecznie może być podstawą siły i godności. Ale ona sama nie wystarcza. Musimy wytworzyć pojęcie pobożności wszechświatowej, rozszerzyć daleko nasze uczucie, ludzkie usposobienia w praktycznym zastosowaniu i pomagać do postępu nie tylko bliźnim naszym, ale objąć tym ludzkość całą.

Wspominając wreszcie o prośbie pańskiej, powiem tyle tylko: Montan zaniósł ją do nas w czasie właściwym. Dziwny ten mąż nie chciał zgoła objaśnić, jaki miał pan właściwie zamiar, ale dał słowo przyjaciela, że jest on rozumny i, jeśli się powiedzie, może się stać nadzwyczaj pożyteczny dla towarzystwa. I dlatego przebacza się panu, żeś w liście swoim również zachował tajemnicę. Dość, że jesteś pan zwolniony ze wszelkiego ograniczenia, a byłbyś pan o tym już zawiadomiony, gdybyśmy znali miejsce pańskiego pobytu. Powtarzam więc w imieniu wszystkich: zamiar pański, chociaż niewypowiedziany, otrzymał zatwierdzenie wskutek zaufania do Montana i do pana. Podróżuj pan, zatrzymuj się, ruszaj się, siedź w miejscu — co się panu powiedzie, dobre będzie. Obyś się wyrobił na najniezbędniejsze ogniwo łańcucha naszego.

Na zakończenie załączam tabliczkę, z której będziesz pan rozpoznawał ruchomy środek naszych komunikacji. Znajdziesz na niej wyraźnie zaznaczone miejsce, dokąd w każdej porze roku masz przysyłać swe listy. Najchętniej widzimy to dokonywane przez pewnych posłańców, których w dostatecznej liczbie masz pan wymienionych w różnych miejscowościach. Znajdziesz pan również znaki wskazujące, gdzie tego lub owego z naszych możesz odszukać”.

Dygresja

Tu atoli znajdujemy się w tym wypadku, iż musimy zapowiedzieć czytelnikowi przerwę i to przerwę na lat kilka. A z tego powodu, gdyby to można było złączyć z wymaganiami drukarskimi, chętnie byśmy w tym miejscu tom zakończyli.

Lecz chyba i przestrzeń między dwoma rozdziałami wystarczy, aby sobie zdać sprawę z miary wzmiankowanego czasu, kiedy już od dawna przyzwyczajeni jesteśmy, iż się takie rzeczy dzieją w naszej osobistej obecności między spuszczeniem a podniesieniem kurtyny.

W tej drugiej księdze widzieliśmy, jak się stosunki naszych starych przyjaciół natężają, a zarazem jak się pozyskuje świeże znajomości. Widoki na przyszłość są tego rodzaju, iż się spodziewać można, że wszystkim i każdemu, jeśli w życiu poradzić sobie potrafią, powiedzie się całkiem po myśli. Bądźmy więc przede wszystkim przygotowani do spotkania jednego po drugim w zawikłaniu i rozwikłaniu, na utorowanych i nieutorowanych drogach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Poszukawszy na nowo przyjaciela naszego, zostawionego od niejakiego czasu sobie samemu, spotkamy go wstępującego od strony płaskiej okolicy do prowincji pedagogicznej. Idzie niwami i łąkami, obchodzi po suchej murawie niejedno jezioro, spostrzega wzgórze raczej krzakami niż drzewami porośnięte, mogąc zewsząd rozejrzeć się swobodnie po słabo wzruszonym gruncie. Na takich ścieżkach niedługo pozostawał w wątpliwości, że się znajduje w krainie hodowli koni. Rzeczywiście widział też tu i owdzie mniejsze i większe stada tych szlachetnych zwierząt różnej płci i wieku.

Nagle atoli widnokrąg pokrywa się straszną chmurą kurzu, która, w miarę zbliżania się rosnąc coraz wyżej, obejmuje całą szerokość przestrzeni. Ale w końcu ścieżyna, wiatrem z boku rozdarta, zmuszona jest okazać wewnętrzny swój zamęt.

W pełnym galopie wpada wielka liczba owych szlachetnych zwierząt, kierowanych i trzymanyh w kupie przez konnych stróżów. Koło wędrowca przebiega ten tłum ogromny. Jakiś piękny chłopiec, będący w ich towarzystwie, spogląda nań zdziwiony, przystaje, zeskakuje i ściska ojca.

Wtedy zaczynają się pytania i opowiadania. Syn zawiadamia, że w pierwszych chwilach próby przetrwał wiele, nie miał swego konia i dużo się piechotą nabłąkał po polach i łąkach — zwłaszcza że, jak z początku oświadczył, nieszczególnym się okazywał miłośnikiem cichego, pracowitego życia wiejskiego. Dożynki wprawdzie podobały mu się bardzo, ale następujące potem uprawa, orka, kopanie i doglądanie wcale mu do smaku nie przypadły. Potrzebnymi i pożytecznymi zwierzętami domowymi zajmował się, ale zawsze opieszale i bez przyjemności, aż w końcu posunięto go do jazdy, więcej w sobie życia mającej. Pilnowanie klaczy i źrebiąt jest co prawda także dosyć nudnym zajęciem, ale, bądź co bądź, kiedy się widzi przed sobą ręce stworzonko, które za jakieś trzy, cztery lata wesoło kogoś poniesie, to przecież zupełnie jest co innego, niż mieć do czynienia z cielętami i prosiętami, których życie to ma na celu, żeby po dobrym odkarmieniu i wypasieniu zostać zgładzonym.

Ze wzrostu chłopca, który istotnie wyrastał na młodzieńca, z jego zdrowego wyglądu, z rozmowy swobodnie pogodnej — żeby nie rzec: dowcipnej — mógł być ojciec zupełnie być zadowolony.

Obaj, dosiadłszy koni, pośpieszyli za chyżo lecącym stadem obok samotnie położonych, obszernych folwarków do miejscowości czy miasteczka, gdzie się odbywała wielka uroczystość jarmarczna. Tam przepychała się niesłychana ciżba i trudno byłoby odróżnić, co wzniesia więcej kurzu — towary czy kupujący. Ze wszystkich okolic spotykają się tutaj żądni kupna, by nabyć stworzenia szlachetnego rodu, starannej hodowli. Zdaje się, że słychać tu i języki całego świata. Wśród tego rozlega się żywy dźwięk silnych instrumentów dętych. Wszystko dowodzi ruchu, mocy i życia.

Wędrowiec nasz spotyka poprzednio już poznanego dozorcę, w towarzystwie innych dzielnych mężów, którzy po cichu i jakby niepostrzeżeni umieją utrzymać karność i porządek. Wilhelm, któremu się zdaje, że tu znowu spostrzega przykład wyłącznego zatrudnienia i ograniczonego, jak mniema, pomimo całej rozciągłości, kierunku życia, pragnie się dowiedzieć, w czym też jeszcze ćwiczą tu zazwyczaj wychowanków, żeby nie pozwolić, by przy tak dzikim, w pewnej mierze grubym zajęciu, żywiąc i hodując zwierzęta, młodzieniec sam nie zdziaczał jak zwierzę. Toteż bardzo mu było przyjemnie dowiedzieć się, że z tym pozornie ciężkim i grubym zatrudnieniem związane jest najdelikatniejsze w świecie — ćwiczenie się i wykształcenie w mowie.

Wieś, Zwierzęta, Ojciec,
Syn, Spotkanie, Koń

W tej chwili zauważył ojciec brak syna przy sobie. Zobaczył, jak przedarłszy się przez tłum ludzi, targował się i spierał z młodym jakimś kramarzem o drobiażdżki. Chwilę potem wcale go już nie widział. Gdy tedy dozorca zapytał o przyczynę pewnego zakłopotania i roztargnienia i usłyszał, że tu idzie o syna, rzekł ku uspokojeniu ojca:

— Daj mu pan pokój, nie zginie. Ażebyś pan jednak zobaczył, jak trzymamy naszych wychowanków w kupie...

I zadał silnie w pischczalkę, wiszącą mu na piersi. Natychmiast tuzinami posłyszano odpowiedź ze stron wszystkich. Dozorca ciągnął dalej:

— Teraz na tym tylko poprzestanę! To znak jedynie, że jestem w pobliżu i mniej więcej pragnę wiedzieć, ilu mnie słyszy. Na drugi znak zachowują się cicho, ale się przygotowują. Za trzecim odpowiadają i zbiegają się. Zresztą znaki te w najrozmaitszy sposób są pomnażane i przynoszą korzyść niemałą.

Wtem utworzyła się wkoło nich wolniejsza przestrzeń. Można było mówić swobodniej, idąc ku sąsiednim wzgórzom.

— Do owych ćwiczeń językowych — mówił dalej dozorca — to nas skłoniło, że się tu znajdują młodzieńcy ze wszystkich stron świata. Chcąc tedy zapobiec, żeby, jak to na obczyźnie dzieć się zwykło, nie łączyli się ze sobą mieszkańcy jednego kraju i, w odrębności od wszystkich innych narodów, nie tworzyli partii, staramy się zbliżyć ich wzajem do siebie przez swobodną wymianę mowy. Najpotrzebniejsze atoli staje się powszechne wykształcenie językowe, gdyż na tym uroczystym jarmarku każdy cudzoziemiec rad by znaleźć zadowalającą rozmowę we własnych dźwiękach i wyrażeniach, a przy targowaniu się i kupowaniu wszelkie udogodnienie. Ażeby jednak nie powstał zamęt babiloński ani skażenie jakie, w ciągu roku tedy, co miesiąc, *jednym* tylko językiem mówi się powszechnie, wedle zasady, że się niczego nie nauczymy poza obrębem żywiołu, który ma być zwalczony. Uczniów naszych — mówił dozorca — uważamy w ogóle za pływaków, którzy ze zdumieniem czują się lżejsi w żywiole, który grozi ich uniesieniem i połknięciem. I tak jest ze wszystkim, na co się odważy człowiek. Ale jeżeli który z naszych okazuje szczególną skłonność do tego lub owego języka, to nawet wśród tego pozornie tak tłumnego życia, które zarazem daje przecież wiele godzin spokojnych, beczynnie samotnych, ba, nudnych nawet, postarano się o naukę pilną i gruntowną. Spomiędzy tych brodatych i bez brody centaurów chyba byście nie potrafili wyróżnić jeżdżących na koniu gramatyków, wśród których znajduje się kilku pedantów nawet. Wasz Feliks wziął się do włoszczyzny, a że, jak już wam wiadomo, śpiew melodyjny wszystko przenika w zakładzie naszym, moglibyście go usłyszeć śpiewającego ładnie, z uczuciem, wśród nudów pilnowania koni, niejedną piosenkę. Życie czynne i dzielne daleko łatwiej da się pogodzić z wytrwałą nauką, aniżeli zwykle przypuszczamy.

Ponieważ każdy obszar świętował własną swą uroczystość, poprowadzono gościa do dzielnicy muzyki instrumentalnej. Graniczyła ona z równiną i ukazywała mile i ładnie zmieniające się doliny, małe, smukłe gajki, łagodne potoki, przy których tu i owdzie wznosiła się skała omszona. Na wzgórzach widać było rozrzucone mieszkania, krzewami otoczone. Na gruntach łagodnych domy skupiały się bliżej siebie. Owe uroczo odosobnione chaty tak były od siebie odległe, że ani piękne, ani fałszywe dźwięki nie mogły się wzajem dosięgnąć.

Zbliżyli się następnie do szerokiej, wkoło zabudowanej i ocienionej przestrzeni, gdzie ciżba, stłoczona, oczekiwała czegoś z wielką, jak się zdawało, uwagą. W chwili gdy gość wchodził, rozpoczęła się potężna symfonia wszystkich instrumentów, których doskonałą siłą i delikatnością umiał podziwiać.

Naprzeciwko sporej orkiestry stała mniejsza, ściągająca na siebie szczególną uwagę. Znajdowali się w niej młodzi i starsi uczniowie; każdy trzymał instrument swój w pogotowiu, nie grając. Byli to ci, co jeszcze nie umieli lub nie śmieli brać udziału w grze ogólnej. Ze współczuciem patrzono, jak oni niby do skoku się zabierali, i powiadano z uznaniem, że święto takie rzadko mija, nie dawszy się nagle rozwinąć temu lub owemu talentowi.

A że wśród instrumentów dał się i śpiew słyszeć, nie mogło więc być wątpliwości, iż i on uwzględniony będzie. Następnie na pytanie, jaki jeszcze przedmiot wykształcenia łączy się z tym przyjaźnie, posłyszał wędrowiec, że poezja i to w rodzaju lirycznym, że dbają tu o to przede wszystkim, iżby się rozwijały obie sztuki — każda dla siebie i sa-

Muzyka, Śpiew, Święto,
Poezja

ma przez się, a potem jedna względem drugiej i ze sobą razem. Uczniowie poznają je w ich uwarunkowaniu, następnie dowiadują się, jak się one wzajem warunkują, a potem wzajem wyswobadzają. Rytmice poetyckiej przeciwstawia muzyk podział na takty i ruch taktowy. Ale tu niebawem okazuje się panowanie muzyki nad poezją, bo kiedy ta, jak słuszną i konieczną jest rzeczą, wciąż ma w pamięci jak najczystszy możliwie iloczys, to dla muzyka niewiele zgłosek bywa stanowczo długimi lub krótkimi. Burzy on wedle upodobania najsumienniejszą pracę rytmotwórcy, ba, przemienia nawet prozę w śpiew, przy czym występują najdziwniejsze możliwości, a poeta czułby się rychło unicestwiony, gdyby nie umiał ze swej strony liryczną delikatnością i śmiałością przejąć muzyka uszanowaniem i wywoływać nowe uczucia, już to w najłagodniejszym następstwie, już to za pomocą przejść gwałtownych.

Śpiewacy, których tu spotykamy, są po większej części sami poetami. I tańca też uczą tutaj w głównych zarysach, ażeby wszystkie te uzdolnienia mogły się prawidłowo rozszerzać po wszystkich dzielnicach.

Gdy przeprowadzono gościa przez najbliższą granicę, ujrzał nagle zupełnie inne budownictwo. Domy nie były już rozrzucone, nie miały cech chat. Owszem, zbudowane były regularnie, mocno i pięknie z zewnątrz, a obszernie, wygodnie i ozdobnie wewnątrz. Można było dostrzec w tym miasto niezacieśnione, porządnie zabudowane, zastosowane do okolicy. Tu jest siedlisko sztuk plastycznych i spokrewnionych z nimi rzemiosł, a dziwna cisza panuje nad tymi obszarami.

Artysta plastyczny myślą ogarnia wprawdzie zawsze to, co wśród ludzi żyje i działa, ale zatrudnienie jego jest samotne — a przez sprzeczność najdziwniejszą żadne inne może nie wymaga tak stanowczo żywotnego otoczenia. Tu tedy tworzy każdy w cichoci, co niebawem ma na zawsze zajmować oczy ludzi. Spokój uroczysty panuje nad całą miejscowością i gdyby się tu i owdzie nie słyszało ciosania kamieniarzy lub miarowych uderzeń cieśli, którzy wtedy właśnie zajęci byli wykańczaniem wspinałej budowli, to by powietrza żaden dźwięk nie poruszał.

Wędrowca naszego zastanowiła powaga, dziwna surowość, z jaką traktowani byli zarówno początkujący, jak i doskonalący się. Zdawało się, jakby nikt tu nie działał z własnej woli i mocy, lecz jakby duch jakiś tajemny ożywał wszystkich na wskroś, prowadząc ku jednemu, wielkiemu celowi. Nigdzie nie można było dostrzec pierwszego rzutu i szkicu, każdy rys pociągnięty był rozważnie. A kiedy wędrowiec prosił przewodnika o wyjaśnienie całego postępowania, powiedział on, iż wyobraźnia jest i tak już ulotną, niestałą zdolnością, kiedy cała zaleta twórcy plastycznego na tym polega, by się nauczył coraz bardziej ją określać, zatrzymywać w locie, a w końcu wywyższyć aż do stałej obecności.

Wspomniano o potrzebie niewątpliwych zasad w innych sztukach. Dozorca mówił:

— Czyżby muzyk pozwolił uczniowi poruszać struny wedle dzikiego upodobania albo wynajdywać sobie interwały¹³⁶ dowolnie, wedle własnej ochoty? Tu jest to rzeczą zastanawiającą, iż się nic nie zostawia samowoli uczącego się. Żywioł, w którym ma działać, stanowczo jest określony. Narzędzie, którym się ma posługiwać, wkłada mu się w ręce, a nawet ma przepisany sposób, w jaki go używać powinien, to jest zmianę palców, ażeby jeden członek ustępował z drogi drugiemu i torował gościniec dla swego następcy. A przez to prawidłowe współdziałanie w końcu dopiero rzecz niemożliwa możliwą się staje. Co nas atoli najbardziej uprawnia do surowych wymagań, do praw stanowczych, to to, że właśnie geniusz, talent wrodzony najpierwej je pojmuje, najchętniej posłuszeństwo im okazuje. Tylko zdolność połowiczna wołałaby swoją ograniczoną właściwość postawić na miejsce bezwzględnej całości, a swoje omylne rzuty upiększyć pozorem niepokonanej oryginalności i samodzielności. Ale my tego nie uznajemy, lecz strzeżemy uczniów naszych przed wszelkimi fałszywymi krokami, przez które duża część życia, ba, niekiedy całe życie, popada w zamęt i marnieje. Najprzyjemniej nam mieć do czynienia z geniuszem, gdyż on natchniony bywa dobrym duchem, by rychło poznać, co mu jest potrzebne. Pojmuje on, że sztuka dlatego właśnie nazywa się sztuką, iż nie jest naturą. Godzi się on poważać to nawet, co by można nazwać konwencjonalnością. Bo cóż to znaczy innego, jeśli nie to, iż najwyborniejsi ludzie zgodzili się rzecz konieczną, nieodzowną uważać za

¹³⁶interwał — różnica wysokości między dźwiękami współbrzmiącymi lub następującymi po sobie. [przypis edytorski]

najlepszą? I czy to nie wychodzi wszędzie na dobre? Ku wielkiemu ułatwieniu dla nauczycieli zaprowadzone tu są i wpajane, jak wszędzie u nas, trzy uszanowania i ich oznaki, z pewną zmianą, zastosowaną do natury właściwego zatrudnienia.

Oprowadzanego dalej wędrowca musiało zdziwieniem przejąć, że miasto zdawało się wciąż rozszerzać, ulica z ulicy jakby rozwijać, dostarczając widoków różnorodnych. Zewnętrzność budowli oznajmiała niedwuznacznie ich przeznaczenie. Były one dostojne i okazałe, mniej wspaniałe niż piękne. Do szlachetniejszych i poważniejszych w środku miasta przytykały uprzejmie weselsze, aż w końcu zdobne przedmieścia ujmującego stylu ciągnęły się ku polom i rozpraszały się wreszcie jako domki ogrodowe.

Wędrowiec nie omieszkiał zauważyć, że mieszkania muzyków w poprzedniej dzielnicy nie mogły się żadną miarą równać w piękności i obszarze z obecnymi, które zajmowali malarze, rzeźbiarze i budowniczowie. Odpowiedziano mu, że to leży w naturze rzeczy. Muzyk musi być ku sobie samemu zwrócony, musi kształcić swą treść najbardziej wewnętrzną, by ją skierować na zewnątrz. Zmysłom, wzrokowi nie potrzebuje on pochlebiać. Oko bardzo łatwo zapanowuje nad uchem i wywabia ducha z wewnątrz na zewnątrz. Odwrotnie — artysta plastyczny musi żyć w świecie zewnętrznym i wewnątrz swoje jakby nieświadomie objawiać w rzeczach zewnętrznych. Artyści plastyczni muszą mieszkać jak królowie i bogowie, bo jakżeby chcieli budować i zdobić budowle dla królów i bogów? Muszą się oni w końcu wzniesć nad pospolitość tak dalece, iżby cała pospolita ludność uczyła się uszlachetniona w ich dziełach i przez nie.

Następnie prosił nasz przyjaciel o wyjaśnienie innego paradoksu — dlaczego w tych właśnie dniach uroczystych, tak ożywiających inne dzielnice, tak tłumnie wzburzonych, tutaj panuje cisza największa i praca nie ustaje?

— Artysta plastyczny — odpowiedziano — nie potrzebuje wcale święta, dla niego cały rok jest świętem. Kiedy utworzył coś doskonałego, stoi to, jak i poprzednio, przed jego oczyma, przed oczyma całego świata. Nie potrzeba tu powtórzenia, nie potrzeba nowego wysiłku, świeżego powodzenia, czym się muzyk trapi ustawicznie, któremu też należy wyprawiać święto najwspanialsze wśród najliczniejszego zgromadzenia.

— Ale by też wypadło — odparł Wilhelm — urządzić w tych dniach wystawę, na której by można było obejrzeć z przyjemnością i osądzić trzyletnie postępy najdzielniejszych wychowanków.

— W innych stronach — odpowiedziano — wystawa może być potrzebna, ale u nas nie. Cała nasza istota i byt jest wystawą. Przypatrz się pan tutaj budowlom wszelkiego rodzaju, wykonanym w całości przez wychowanków, naturalnie wedle planów stokrotnie omówionych i obmyślanych, gdyż budowniczy nie powinien macać i próbować. Co ma stać trwale, powinno stać dobrze i starczyć, jeśli nie na wieczność, to na znaczny przeciąg czasu. Można wprawdzie błędy popełniać, ale budować ich nie wolno. Z rzeźbiarzami postępujemy już łagodniej, a najłagodniej z malarzami. Muszą próbować tego i owego, ci i tamci wedle swego rodzaju. Wolno im obierać sobie w wewnętrznych i zewnętrznych przestrzeniach budowli oraz na placach miejsce, które chcą przyozdobić. Oświadczają myśl swoją. A jeżeli ona zasługuje choć w pewnej mierze na uznanie, zezwala się na jej wykonanie, i to w sposób dwojaki: albo z przywilejem możliwości cofnięcia przędzy lub później roboty, jeżeli się ona samemu artyście nie podoba, lub też z warunkiem, żeby rzecz raz postawiona pozostawała na miejscu bez zmiany. Po większej części wybierają pierwsze, zastrzegając sobie owo pozwolenie, na czym zawsze najlepiej wychodzą. Drugi wypadek zdarza się rzadziej, a wtedy spostrzec można, że artyści mniej sobie ufają, odbywają z towarzyszami i znawcami długie narady i przez to zdołają wykonywać dzieła istotnie cenne, zasługujące na trwanie.

Po tym wszystkim nie omieszkiał Wilhelm zapytać, jaka się jeszcze z tym łączy nauka. Oświadczone mu, że poezja — i to epiczna.

Ale przyjacielowi naszemu dziwne wydać się musiało, gdy dodano, że nie pozwala się uczniom czytać lub deklamować wykończonych już utworów dawnych i nowszych poetów. Podaje się im tylko lakonicznie szereg mitów, podań i legend. Bardzo rychło poznaje się po wykonaniu malarskim lub poetyckim istotną twórczość talentu, poświęconego jednej lub drugiej sztuce. Poeta i malarz, obaj czerpią z *jednego* źródła i każdy stara się wodę ku swojej stronie, na swą korzyść zagarnąć, aby wedle potrzeby cele własne

Artysta, Sztuka

osiągnąć — co mu się daleko lepiej udaje, niż gdyby chciał rzecz już obrobioną ponownie przerabiać.

Podróżny sam miał sposobność zobaczenia, jak to się działo. Kilku malarzy było w pokoju przy robocie. Pewien rzeński, młody przyjaciel opowiadał bardzo obszernie jakąś wielce prostą historię, tak że prawie tyleż użył wyrazów, ile tamci pociągnąć pędzla, by wykład swój również jak najbardziej okrągło wykończyć.

Zapewniano, że przy wspólnej pracy przyjaciele bawią się bardzo przyjemnie i że tym trybem nieraz się rozwijali improwizatorzy, umiejący obudzić wielki zapal dla dwojakiego sposobu przedstawienia rzeczy.

Przyjaciel nasz zwrócił znowu badania swe do sztuki plastycznej.

— Nie macie tu — rzekł — wystawy, a więc i zadań do nagrody?

— Właściwie nie — odparł tamten — ale tu zaraz, w pobliżu, możemy wam pokazać coś, co uważamy za rzecz pożyteczną.

Weszli do wielkiej sali, bardzo dobrze oświetlonej z góry. Ukazało się najprzód wielkie koło zatrudnionych artystów, pośrodku którego wznosiła się korzystnie ustawiona, kolosalna grupa. Potężne postacie męskie i żeńskie w pozycjach namiętnych przypominały ową wspaniałą walkę pomiędzy bohaterskimi młodzieńcami i Amazonkami¹³⁷, gdzie nienawiść i wrogie usposobienie przechodzi w końcu we wzajemną ufność i pomoc. To znakomicie ułożone dzieło sztuki jednakowo korzystnie obejrzeć było można z każdego punktu wokół. W dużym obwodzie siedzieli i stali artyści wizualni, każdy po swojemu zajęty: malarz przy swej sztaludze, rysownik przy rajzbrecie¹³⁸. Jedni modelowali na okrągło, drudzy na płasko. Nawet budowniczości planowali podstawę, na której kiedyś to dzieło sztuki miało być ustawione. Każdy uczestnik postępował po swojemu przy odtwarzaniu. Malarz i rysownik rozwijali grupę na płaszczyźnie, ale pilnie o to dbając, by jej nie zniszczyć, lecz — jak tylko można najbardziej — w skupieniu utrzymać. Podobnie traktowane były płaskorzeźby. Jeden tylko jedyny odtworzył całą grupę w pomniejszeniu i zdawało się, że istotnie w pewnych ruchach i co do członków przewyższył model naprawdę.

Otóż okazało się, że to był twórca modelu, który go przed wykonaniem w marmurze poddał tutaj nie teoretycznej, ale praktycznej próbie. I co każdy z jego współpracowników według własnego sposobu widzenia i robienia dojrzał, zatrzymał lub zmienił, to starannie obserwując, przy ponownym obmyśleniu potrafił zużytkować na własną korzyść tak, że w końcu, gdy wielkie dzieło stanie w marmurze wyrobione, to chociaż przez jednego było przedsięwzięte, ułożone i wykonane, może się wydawać, iż należy do wszystkich.

Cisza największa panowała także i w tej przestrzeni, ale przełożony podniósł głos i zawołał:

— Czy by się tu kto nie znalazł, co by nam wobec tego stężalego dzieła w ten sposób rozbudził naszą wyobraźnię wyborowymi słowy, żeby wszystko, co tu stwardniałe widzimy, znowu się płynne stało, nie tracąc swego charakteru, iżbyśmy się przekonali, iż to, co tu artysta utrwalił, jest też najdosłowniejsze?

Przez wszystkich po imieniu wezwany, porzucił jakiś piękny młodzian swą pracę i wstępując z koła, zaczął spokojny wykład, w którym opisywał tylko jakby obecne tu dzieło sztuki. Wkrótce jednak przerzucił się do właściwej dziedziny poezji, zanurzył się w środek akcji i opanował ten żywioł aż do podziwu. Powoli podniosło się jego przedstawienie za pomocą wspaniałej deklamacji aż do takiego poziomu, iż istotnie stężała grupa zdawała się poruszać około swej osi, a liczba postaci zdawała się w niej podwajać i potrajać.

Wilhelm stał zachwycony i zawołał w końcu:

— Któż tu jeszcze się wstrzymać zechce, by nie przejść do właściwego śpiewu i do pieśni rytmicznej!

— Na to bym nie pozwolił — odparł dozorca — bo jeżeli nasz znakomity rzeźbiarz zechce być szczerzy, to wyzna, że mu nasz poeta uprzykrzył się dlatego właśnie, iż obu artystów rozdziela przestrzeń największa. Natomiast założyłbym się, że ten i ów malarz przyswoił sobie z jego utworu pewne rysy żywotne. Łagodną atoli, spokojną pieśń dałbym

¹³⁷ *Amazonki* — w mitologii greckiej plemię wojowniczych kobiet. [przypis edytorski]

¹³⁸ *rajzbret* (daw.) — rysownica, deska kreślarska. [przypis edytorski]

posłyszec przyjacielowi naszemu, tę pieśń, którą wy z tak miłą powagą śpiewacie. Mówi ona o całości sztuki i dla mnie samego, gdy jej słucham, staje się zawsze budująca.

Po niejkiej chwili, której wzajem ku sobie się zwracali i za pomocą znaków porozumiewali, zabrzmiał ze wszech stron następujący, dostojny śpiew, podnoszący serce i ducha:

Gdy masz tworzyć, doskonalić,
Bądź, sztukmistrzu, często sam;
Gdy chcesz rozkosz swą utrwalić,
Do towarzystw pośpiesz bram.
Tu bieg życia swego w tłumie
Dobrze rozpoznawać śmieję,
A w sąsiada czynów sumie
Poznasz wyraz doli swej.

Artysta, Śpiew

Pomysły, planów układy
Postacie, stosunków sieć
Wzajem się sprzęga z zasady;
Więc dość tego będziesz mieć!
Dobrze począć, mądrze pojąć,
Pięknie stworzyć, skończyć w smak;
Tak artyści zawsze krojąc,
Moc swą zdobywają tak.

Jak przyroda w kształtów lesie
Boga *jednego* objaw ma,
Tak w rozległym sztuk zakresie
Myśl *ta samawiecznie* drga;
Prawdą myśl się ta nazywa,
Pięknem tylko zdobi się,
Ufnie jaśnie dnia przyzywa,
Jego najświetniejszą skrę.

Jako dzielnie w rymie, w prozie
Mówca lub wieszcz słowa śle,
Tak w malarskiej niechaj pozie
Życia wiosna silnie wre,
Od sióstr swoich otoczona
Wraz z jesienią pełną kruż¹³⁹,
By życia tajne znamiona
Wszystkim objawiła tuż.

Tysiąckrotnie niech z twej ręki
Piękna forma splywa nam,
A człowieczym kształtom dzięki,
Niechaj Bóg przemawia sam.
Chociaż różniście narzędziem,
Bratnim sznurem stójcie wraz,
I śpiewnem niby orędziem
Czcijcie ołtarz w wieczny czas.

Na to wszystko mógł wprawdzie przystać Wilhelm, chociaż mu się to wydać musiało bardzo paradoksalne, a nawet niemożliwe, gdyby nie widział tego na własne oczy. Ale gdy mu to otwarcie i swobodnie w pięknej kolei pokazano i przedstawiono, to ledwie potrzeba

¹³⁹kruża a. kruż (daw.) — czara, dzban. [przypis edytorski]

było pytać, aby się dalszego ciągu dowiedzieć. Nie powstrzymał się jednakże i w końcu zagadnął przewodnika w sposób następujący:

— Widzę, że roztropnie pomyślano tu o wszystkim, co może być pożądane w życiu. Ale odkryjcie mi również, jaka też dzielnica może wykazać podobną staranność o poezję dramatyczną i gdzie bym mógł się o tym poinformować? Rozglądałem się po wszystkich waszych budowlach i nie znajduję ani jednej, co by na cel taki mogła być przeznaczona.

— Nie możemy w odpowiedzi na to pytanie zataić, że w całej prowincji naszej nie ma nic podobnego. Dramat bowiem wymaga tłumy, a może nawet motłochu, którego u nas się nie znajdzie, gdyż taka hałastra, jeśli się sama z niechęcią nie oddali, wypędzana bywa poza granicę. Bądźcie jednak pewni, że w naszym ogólnie oddziaływającym zakładzie rozważano ten punkt tak doniosły. Żadnej atoli dzielnicy nie można było na to przeznaczyć, wszędzie zjawiał się jakiś poważny skrupuł. Któż by spomiędzy wychowanków naszych zechciał się tak łatwo na to zdecydować, by kłamaną wesołością lub udanym bólem wywoływać uczucie nieprawdziwe, w danej chwili nieodpowiednie i to w takim stopniu, ażeby przez to dostarczać kolejno przyjemności zawsze mętnej? Kuglarstwo także uznaliśmy za zgoła niebezpieczne i nie mogliśmy go zjednoczyć z naszym poważnym celem.

— Powiadają jednak — odparł Wilhelm — że sztuka ta, daleko wokół sięgająca, sprzyja rozwojowi wszystkich innych.

— Bynajmniej — odrzekł tamten. — Posługuje się ona innymi, ale je psuje. Nie dziwię się aktorowi, gdy się stowarzysza z malarzem, lecz malarz w takim towarzystwie ginie. Aktor zużytkuje bez skrupułu, co mu sztuka i życie podaje, do swych celów ulotnych i to z niemalym zyskiem. Malarz natomiast, który by chciał także wyciągnąć z teatru korzyść dla siebie, zawsze na tym źle wyjdzie; a i muzyk podobnie. Wszystkie sztuki wydają mi się jak rodzeństwo, w którym większa część byłaby skłonna do dobrego gospodarowania, jedno atoli, lekkomyślnie usposobione, pragnęłoby całe mienie rodziny sobie przywłaszczyć i zmarnować. Teatr jest w tym wypadku; dwuznaczny ma początek, którego nigdy całkiem wyprzeć się nie może ani jako sztuka, ani jako rzemiosło, ani jako amatorstwo.

Wilhelm spojrzął przed siebie z głębokim westchnieniem, gdyż wszystko naraz stanęło przed nim przytomnie, czym na deskach teatralnych i z ich powodu się rozkoszował i co wycierpiał. Błogosławił pocziwym mężom, iż wychowankom swoim potrafili oszczędzić takiej męki i wskutek przekonania i zasady wygnali owe niebezpieczeństwa ze swego koła.

Towarzysz jego atoli nie pozostawał długo w tych rozmyślaniach, lecz mówił dalej:

— Ponieważ najwyższą naszą i najświętszą zasadą jest żadnej zdolności, żadnego talentu fałszywie nie pokierować, nie możemy więc tać przed sobą, że wśród tak wielkiej liczby młodzieży może się także stanowczo objawić naturalny dar mimiczny. Ten atoli ukazuje się w niepokonanej chęci małpowania cudzych charakterów, postawy, poruszeń, mowy. Nie popieramy tego wprawdzie, lecz dokładnie obserwujemy wychowanka, a jeśli pozostaje zupełnie wierny swej naturze, to mając stosunki z wielkimi teatrami wszystkich narodów, posyłamy tam natychmiast zdolnego istotnie, ażeby, jak kaczką w stawie, co prędzej na deskach poprowadzony był ku przyszłemu chwianiu się i gadaniu zakrętów swego życia.

Wilhelm słuchał tego cierpliwie, ale z połowicznym jedynie przekonaniem — być może z pewną przykrością, bo człowiek tak dziwnie jest usposobiony, iż o nicości jakiegoś ukochanego przedmiotu może się wprawdzie dać przekonać, odwrócić się od niego, a nawet go przekląć, ale nie chce, żeby go ktoś inny w ten sam sposób traktował. I może duch sprzeciwu, mieszkający we wszystkich ludziach, nigdy żywiej i dzielniej się nie budzi, jak w podobnym wypadku.

Toż i redaktor tych arkuszy sam tu wyznać musi, że z niejakim wstrętem przepuszcza ten dziwaczny ustęp. Czyż i on różnymi sposobami nie poświęcił teatrowi więcej życia i sił, niż należało? I czyżby go można przekonać, że był to błąd nie do darowania, może być bezowocny?

Ale nie mamy czasu oddawać się tu smętnie takim wspomnieniom i wznowionym uczuciom, przyjaciół nasz bowiem widzi się mile zadziwionym, gdy znowu staje przed nim jeden z Trzech — i to szczególnie upodobany. Uprzedzająca łagodność, zapowiadająca najczystszy spokój duszy, oddziaływała nadzwyczaj orzeźwiająco. Z zaufaniem mógł wędrowiec się zbliżyć i poczuł odwzajemnienie ufności.

Wtedy się dowiedział, że Najstarszy znajduje się obecnie przy świątyniach, że tam napomina, naucza, błogosławi, gdy tymczasem Trzech się rozdzieliło, by zwiedzić wszystkie dzielnice i po zasięgnięciu najgłębszych wiadomości i porozumieniu się z niższymi dozorcami wszędzie dalej przekazać, co było zaprowadzone, ugruntować nowe postanowienia i tym sposobem spełnić sumiennie swą wysoką powinność.

Ten właśnie wyborny mąż dał mu ogólniejszy pogląd na ich stosunki wewnętrzne i związki zewnętrzne, oraz zaznajomił z wzajemnym na siebie oddziaływaniem wszystkich, przeróżnych, dzielnic. Wyjaśniło się również, jak to wychowanek może być przenoszony, po dłuższym lub krótszym czasie, z jednej dzielnicy do drugiej. Dość, że wszystko doskonale się zgadzało z tym, czego się dowiedział do tej pory. A równocześnie charakterystyka jego syna sprawiła mu wielką przyjemność, plan zaś, wedle którego dalej go wieść chciano, pozyskał sobie zupełne jego uznanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wilhelm został następnie zaproszony przez pomocnika i dozorcę na święto górskie, które zaraz miało być obchodzone. Z trudem wdarli się na górę. Wilhelmowi zdawało się nawet, że wieczorem przewodnik zwolnił kroku, jak gdyby ciemność nie miała daleko więcej jeszcze postawić przeszkód na ich ścieżce. Ale gdy ich otoczyła noc głęboka, wyjaśniła się ta zagadka. Z wielu wąwozów i dolin ujrzał przeblyskujące migotliwie światelka, które się wydłużały w linie i przemykały na gór szczyty. O wiele milsze niż wybuchający wulkan, który całym okolicom grozi zagładą swoim pryskającym hukiem, ukazało się to zjawisko, a przecież powoli rozpalalo się ono coraz potężniej, szerzej i w większym skupieniu — iskrzyło się jak potok gwiazdzisty, łagodnie wprawdzie i miło, ale śmiało się rozciągając nad całą okolicą.

Światło, Święto

Towarzysz podróży, nacieszywszy się czas jakiś zdziwieniem gościa — istotnie bowiem mogli się wzajem dobrze oglądać, twarze ich i postacie oświetlone były światłem z dali, jak i ich droga — zaczął tak mówić:

— Widzicie tu zaiste cudne zjawisko, światelka te, które dniem i nocą przez cały rok świecą i działają pod ziemią, sprzyjając rozwojowi ukrytych, zaledwie osiągalnych skarbów ziemskich, obecnie wytryskują i wypływają ze swych pieczar i rozweselają noc szczerą. Chyba nigdy nie dostrzeżono tak rozkosznego skupienia wojsk, gdzie najpożyteczniejsze, pod ziemią rozproszone, oczom niedostępne zatrudnienie ukazuje się nam w całej pełni i uwidocznia wielkie, tajemne stowarzyszenie.

Wśród takich słów i spostrzeżeń dostali się do miejsc, gdzie strumienie ogniste rozlały się w jezioro płomienne wokoło pięknie oświetlonej wyspy. Wędrowiec stał tedy w kole osłepiającym, gdzie migotliwe, tysiączne światła wobec ustawionych w czarną ścianę nosiciele tworzyły kontrast pełen grozy. Niebawem zabrzmiała wielce pogodna muzyka do dzielnich śpiewów. Wydrążone skały ogromy, jakby machiną poruszone, rozstały się i odkryły wkrótce oku rozweselonego widza błyszczące wnętrza. Przedstawienia mimiczne i co tylko chwilę taką dla tłumu rozjaśnić może złączyły się ze sobą, aby wesołą uwagę natężyć i zarazem zaspokoić.

Ale jakimże zdziwieniem przeniknięty został nasz przyjaciel, gdy został przedstawiony naczelnikom i wśród nich — w poważnym, okazałym stroju — zobaczył przyjaciela Jarne!

— Nie na próżno — zawołał tenże — zmieniłem dawniejsze nazwisko swoje na bardziej znaczące: Montan. Znajdujesz mnie tutaj wtajemniczonego w skały i rozpadliny i szczęśliwszego w tym ograniczeniu pod i nad ziemią, niż pomyśleć sobie można.

— Więc, jako wysoce doświadczony, będziesz teraz — odrzekł wędrowiec — hojniejszy w objaśnianiu i nauce, niż byłeś względem mnie na owych urwiskach skalnych.

— Wcale nie! — odparł Montan — góry są niemymi mistrzami i wytwarzają milczących uczniów.

Przy licznych stołach pożywiano się po tej uroczystości. Wszyscy goście, jacy przybyli, zaproszeni czy niezaproszeni, należeli do rzemiosła. Z tego więc powodu i przy stole, przy którym usiadł Montan ze swym przyjacielem, zawiązała się natychmiast stosowna do miejsca rozmowa. Rozprawiano szeroko o górach, chodnikach i pokładach, o rodzajach przejść i kruszczach tej okolicy. Ale potem rozmowa przeszła na rzeczy ogólniejsze i ni mniej, ni więcej, tylko o stworzeniu i powstaniu świata gadano.

Lecz wtedy niedługo bawiono się w spokoju — owszem, wywiązał się zaraz spór żywy.

Bardzo wielu chciało wyprowadzać ukształtowanie ziemi naszej z powolnie opadającego i zmniejszającego się wód zalewu. Przytaczali na poparcie szczątki organiczne mieszkańców morza, znajduwane zarówno w górach najwyższych, jak i na płaskich pagórkach. Inni natomiast w sposób gwałtowniejszy kazali najpierw żarzyć się i topnieć, a nawet zgoła ogniem się palić, który dostatecznie się napracowawszy na powierzchni, skrył się na koniec w głębi największej, lecz wciąż jeszcze o działaniu swym świadczył szalejącymi nieposkromienie na morzu i na lądzie wulkanami i za pomocą kolejnych wybuchów i niby jedne za drugimi napływających law najwyższe tworzył góry. Inaczej myślącym przypominali w ogólności, że przecież bez ognia nic się rozgrzać nie może i że działający ogień każe się zawsze domyślać ogniska. A jakkolwiek wydawać się to mogło zgodne z doświadczeniem, niektórzy jednak tym się nie zadowalali, utrzymując, że potężne w łonie ziemi, całkiem już gotowe stwory, za pośrednictwem niepokonanie elastycznych potęg, wyrzucone zostały poprzez skorupę ziemską w górę, a w tym zamieszaniu niektóre ich części, w sąsiedztwie i w dali — wkoło porozprasane i porozbijane. Powoływali się przy tym na pewne zjawiska, których niepodobna byłoby wyjaśnić bez takiego przypuszczenia. Czwarta, chociaż może nieliczna, gromadka śmiała się z tych daremnych wysiłków i zapewniała, że pewne okoliczności na powierzchni ziemi naszej nigdy by wyjaśnić się nie dały, gdyby się nie przyjęło, że większe i mniejsze gór przestrzenie spadły z atmosfery i pokryły ląd wzdłuż i wszerz. Powoływali się na większe i mniejsze głązy, które znaleziono w wielu okolicach rozproszone i które za dni naszych nawet uznano za spadłe z góry. Wreszcie dwóch czy trzech cichych gości przyzywało na pomoc okres srogiego zimy, widząc w duchu, jako z najwyższych łańcuchów gór na daleko w niziny zwieszonych lodowcach przygotowane były niby śliskie drogi dla ciężkich głązów pierwotnych, które przesuwały się nimi coraz to dalej i dalej. Gdy nastąpiła epoka topnienia, miały się one zapaść i na wieki pozostać w obcej ziemi. A przy tym na krach pływających miało się wtedy stać możliwe przenoszenie olbrzymich odłamów skał z północy. Ci atoli pocziwi ludzie nie mogli wyrobić posłuchu dla swego trochę chłodnego zapatrywania. Uważano za rzecz nieporównanie bardziej naturalną złączyć stworzenie świata z kolosalnym łomotem i stukiem, z dzikim szaleem i ognistymi wybuchami. A że zresztą żar wina silnie współdziałał, wspaniałe święto o mało się nie zakończyło bójkami śmiertelnymi.

Przyjacielowi naszemu zrobiło się mętnie i ciemno w duszy, boć on po staremu pieścił w cichej myśli swej owego ducha, co się unosił nad wodami, i ów potop, co na piętnaście łokci najwyższe góry zalewał. Wśród tych dziwnych rozpraw świat tak dobrze urządzony, zarosły i ożywiony, zdawał się w jego wyobraźni rozpadać chaotycznie.

Nazajutrz nie omieszkął zapytać o to poważnego Montana, wołając:

— Wczoraj nie mogłem cię zrozumieć. Wśród tylu bowiem dziwnych rozmów i gadaniny spodziewałem się w końcu usłyszeć twoje zdanie i decyzję. Zamiast tego byłś raz po tej, to znów po owej stronie i starałeś się ciągle wzmocnić mniemanie tego, kto w danej chwili przemawiał. Teraz atoli powiedz mi na serio, co myślisz, co wiesz o tym.

Na to odrzekł Montan:

— Wiem tyle co oni i chciałbym o tym nie myśleć.

— Ależ tutaj — odparł Wilhelm — tyle jest mniemań sprzecznych, a przecież powiadają, że prawda leży pośrodku.

— Wcale nie! — odpowiedział Montan. — Pośrodku pozostaje zagadnienie, może nierozwiązywalne, a może też dostępne, jeżeli się od niego zacznie.

Po zamianie kilku jeszcze słów w tym duchu, mówił dalej Montan poufnie.

— Ganiisz mnie, żem każdemu pomagał w jego zdaniu, boć przecież na wszystko można znaleźć jeszcze jakiś dowód. Zwiększałem przez to zamieszanie, to prawda, ale właściwie nie mogę już brać tego na serio z tym pokoleniem. Przekonałem się do gruntu, że rzecz najdroższą, a taką są nasze przekonania, powinien każdy zachowywać dla siebie z najgłębszą powagą. Każdy to, co wie, wie tylko dla siebie i winien to trzymać w tajemnicy. Gdy wypowie, zaraz się zjawia zdanie przeciwne, a gdy się w spór zapuści, traci w sobie samym równowagę, a to, co ma najlepszego, jeśli nie ginie doszczętnie, to zostaje zakłócone.

Pobudzony odpowiedzią Wilhelma, Montan tłumaczył się dalej:

— Kiedy się już wie, na czym wszystko polega, przestaje się być gadatliwym.

— Ależ na czym to wszystko polega? — zapytał Wilhelm porywczo.

— Zaraz ci powiem — odparł tamten. — Myślenie i działanie, działanie i myślenie: oto suma całej mądrości, od dawna uznana, od dawna w życie wprowadzona, ale nie przez każdego dostrzegana. Obie te czynności powinny się wciąż odmieniać w życiu jak wydychanie i wdychanie. Jak pytanie i odpowiedź nie powinno się odbywać jedno bez drugiego. Kto sobie prawem uczyni to, co każdemu nowo narodzonemu geniusz rozumu ludzkiego szepce tajemnie do ucha, by działanie wypróbować w myśleniu, a myślenie w działaniu, ten nie może błędzić. A jeśli zbłądzi, to niebawem odnajdzie drogę właściwą.

Montan oprowadzał następnie przyjaciela swego metodycznie po kopalni, wszędzie witany energicznym: „Szczęścia życzymy (niem. *Glück auf!*)”, na co oni odpowiadali wesoło podobnie.

— Chciałbym niekiedy — rzekł Montan — zawołać do nich: „Myśli życzymy (niem. *Sinn auf!*)”. Myśl bowiem jest czymś większym niż szczęście, ale tłum ma zawsze dostatek myśli, jeśli nią zwierzchnicy są obdarzeni. A ponieważ tutaj jeżeli nie rozkazywać, to mogą radzić, starałem się poznać właściwości gór. Namiętnie poszukuje się kruszców, które one w sobie zawierają. Otóż usiłowałem wyjaśnić sobie, gdzie się one znajdują, i to mi się powiodło. Nie samo tylko szczęście to sprawia, ale i myśl, która przywołuje szczęście, ażeby je ująć w prawidła. Jak te tu góry powstały, nie wiem i wiedzieć nawet nie chcę, ale co dzień dążę ku temu, by właściwości ich zrozumieć. Chrapkę ma się na ołów i srebro, które one w łonie swym mieszczą. Jakim sposobem? To zachowuję dla siebie, a daję wskazówkę, by znaleźć rzecz pożądaną. Na słowo moje robi się w tej mierze próby. A gdy udają się, mówi się, że mam szczęście. Co rozumiem, to rozumiem dla siebie, co mi się udaje, udaje mi się dla innych; a nikt nie pomyśli, że i jemu na tej drodze również udać by się mogło. Mają co do mnie podejrzenie, że posiadam różdżkę czarodziejską. A nie spostrzegają tego, że mi przeczą, gdy coś rozumnego podają, i że przez to przecinają sobie drogę do drzewa wiadomości, z którego te prorocze gałązki ułamać można.

Pokrzepiony tymi rozmowami, przekonany, że i jemu wskutek dotychczasowego działania i myślenia poszczęściło się zadośćuczynić co do myśli zasadniczej — choć w zawodzie wielce odległym — wymaganiom przyjaciela swego, Wilhelm zdawał sprawę z użycia czasu, odkąd otrzymał zezwolenie na rozkładanie i użytkowywanie obowiązkowego pielgrzymstwa nie według dni i godzin, lecz stosownie do istotnego celu wykształcenia całkowitego.

Tu przypadkowo nie potrzeba było mówić wiele, gdyż doniosłe zdarzenie dało przyjacielowi naszemu sposobność do zręcznego i szczęśliwego zastosowania zdobytego talentu swego i okazania się prawdziwie użytecznym społeczeństwu ludzkiemu.

Ale co to było takiego, nie możemy jeszcze wyjawić w tej chwili, lubo czytelnik rychło, zanim tom ten z rąk wypuści, zostanie dostatecznie o tym powiadomiony.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hersylia do Wilhelma

„Świat cały od lat wielu zarzuca mi, iż jestem kapryśnie dziwną dziewczyną. Jeśli taka jestem, to nie z mojej winy. Ludzie musieli być względem mnie cierpliwi, a teraz ja potrzebuję cierpliwości co do samej siebie, co do swej wyobraźni, która mi wciąż ojca i syna — to razem, to po kolei — stawia przed oczyma. Wydaję się sama sobie jak jaka niewinna Alkmene¹⁴⁰, którą nawiedzają ustawicznie dwie istoty, przedstawiające jedna drugą.

Mam panu wiele do powiedzenia. A jednak, jeśli piszę do pana, to zdawałoby się, wtedy tylko, gdy mam jakąś przygodę do skreślenia. I wszystkie inne sprawy są wprawdzie także przygodne, ale nie są przygodą. A więc przejdźmy do sprawy dzisiejszej.

Siedzę pod wysokimi lipami i wykańczam właśnie pugilaresik bardzo ładny, nie wiedząc wyraźnie, kto go posiędzie — ojciec czy syn, ale z pewnością jeden z nich. Wtem nadchodzi młody kramarz wędrowny z koszyczkami i szkatułkami, skromnie legitymuje się przede mną pismem urzędnika, że mu wolno w tych majątkach handlować. Oglądam jego drobiazgi aż do niezliczonych drobnostek, których nikt nie potrzebuje, a które każ-

List

¹⁴⁰Alkmene — w mitologii greckiej matka herosa Heraklesa. [przypis edytorski]

dy kupuje z dziecinnego popędu posiadania i trwonienia. Chłopak, zdaje się, pilnie mi się przygląda. Piękne, czarne, nieco chytre oczy, pięknie zarysowane brwi, bogate pukle, oslepiające szeregi zębów — dość, rozumiesz mnie pan, coś wschodniego.

Zadaje dużo pytań, odnoszących się do osób z rodziny, którym by mógł, bądź co bądź, coś zaofiarować. Różnorodnymi zwrotami umiał do tego doprowadzić, żem mu imię moje powiedziała.

— Hersylia — mówi skromnie — Hersylia przebaczy, jeżeli się wywiążę z poselstwa?

Patrzę nań zdziwiona, a on wyciąga malusieńką tabliczkę ujętą w białe ramki, jakie robią w górach dla dzieci pisaczących. Biorę ją, widzę, że zapisana, i czytam ostrym rysikiem porządnie wyryty napis: «Feliks kocha Hersylię. Koniuszy przybędzie niebawem».

Zastanawia mnie to, zdziwienie mnie ogarnia na widok tego, co trzymam w ręku, na co patrzę oczyma — zwłaszcza z tego względu, że los prawie dziwaczniejszy jeszcze ode mnie chce się okazać.

«Co to znaczy?» — mówię sobie, a mały łotrzyk uprzytomnia mi się bardziej niż kiedykolwiek. Ba, tak się czuję, jakby obraz jego wświdrowywał mi się w oczy.

Zaczynam tedy rozpytywać i otrzymuję dziwne, niezadowolające odpowiedzi. Badam i nie dowiaduję się niczego. Rozmyślam i nie mogę skupić myśli należycie. Na koniec z wymiany słów tyle dojsć mogłam, że młody kramarz przebył także przez prowincję pedagogiczną, pozyskał zaufanie mego młodego wielbiciela, który na zakupionej tabliczce skreślił napis i obiecał mu najpiękniejsze podarunki za słówko odpowiedzi. Podał mi następnie podobną tabliczkę, których wiele pokazał w swoim pudle, a zarazem rysik; przy czym tak mile nastawał i prosił, że wzięłam to i tamto, pomyślałam raz i drugi, nic wymyślić nie mogłam i napisałam: «Hersylia pozdrawia Feliksa. Koniuszy niech się dobrze trzyma».

Patrzyłam na to, com napisała, i czułam przykrość z powodu niezręcznego wyrażenia. Ani tkliwości, ani pomysłowości, ani dowcipu — samo zakłopotanie tylko. I dlaczego? Stałam przed chłopcem, pisałam do chłopca. Czyżby to miało mnie zbić z tropu? Zdaje mi się nawet, żem westchnęła i zamierzała właśnie zetrzeć, com napisała. Ale chłopak tak mi to zgrabnie wziął z ręki, prosząc o jakąkolwiek ochronną powłokę, iż nie wiem doprawdy sama, jak to się stało, alem tabliczkę włożyła w pugilares, obwiązała wstążką i tak obwiązaną wręczyła chłopcu, który go pochwycił z wdziękiem, a głęboko się kłaniając, chwileczkę się zatrzymał, iż miałam czas jeszcze woreczek w dłoń mu wcisnąć i zganić się, iż mu dałam za mało. Oddalił się ze zręcznym pośpiechem, a gdym się za nim obejrzała, już zniknął — nie pojmuję jakim sposobem.

Teraz to przeszło, znowu już jestem na zwykłym, płaskim gruncie codziennym i ledwie w zjawisko owo wierzę. Czyż nie trzymam tabliczki w ręku? Piękna jest bardzo, pismo ładne i staranne. Myślę, żebym ją ucałowała, gdybym się nie lękała zetrzeć liter.

Napisawszy, co poprzedza, czas jakiś dumałam, ale namyślanie się do niczego mnie nie doprowadziło. Z pewnością było coś tajemniczego w owej postaci — nie brak takich obecnie w romansach, miałyżby nas spotykać i w życiu? Miły i podejrzany, obcy, a jednak wzbudzający zaufanie. Dlaczegoż rozstał się przed rozproszeniem pomieszania? Dlaczegoż nie miałam dość przytomności umysłu, by go w przyzwoity sposób zatrzymać?

*

Po niejakiem przestanku biorę znów pióro do ręki, by ciągnąć dalej swe zwierzenia. Stanowcza, trwała skłonność chłopca dojrzewającego na młodzieńca już mi zaczynała pochlebiać. Ale wtem przyszło mi na myśl, że nie jest rzadkością oglądanie się w tym wieku za starszymi kobietami. Doprawdy istnieje tajemnicza skłonność młodych chłopców do starszych niewiast. Dawniej, kiedy mnie to samej nie dotyczyło, śmiałam się z tego i złośliwą robiłam uwagę, że to jest przypomnieniem sobie czułości mamki i niemowlęcia, z którą ledwie co się rozstali. Teraz gniewa mnie takie przedstawienie sobie tej sprawy: poniżam poczciwego Feliksa do dzieciństwa, a siebie nie widzę także w korzystnej pozycji. Ach jakaż to różnica — sądzić siebie, a innych!''

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wilhelm do Natalii

„Już od dni kilku się kręcę i nie mogę się zdecydować na pochwycenie pióra. Mam dużo różnych rzeczy do powiedzenia. Ustnie wszystko by się jedno z drugim wiązało i rozwijało łatwo. Pozwól mi więc, oddalonemu, rozpocząć od czegoś najpospolitszego — doprowadzi mnie to przecież w końcu do cudów, które ci mam zakomunikować.

Słyszałaś o młodzieńcu, co to przechadzając się nad brzegiem morza, znalazł kołek od wiosła. Zainteresowanie nim skłoniło go do zrobienia wiosła, jako niezbędnego w tym względzie. Ale i ono właściwie nie przydało mu się na nic. Starał się więc usilnie o łódkę i dostał ją. Lecz łódka, wiosło i kołek nieszczególny przynosiły pożytek, sprawił więc sobie maszty i żagle, a powoli wszystko, czego potrzeba było do prędkiej i wygodnej żeglugi. Wskutek odpowiednich usiłowań nabywa coraz większej zręczności i biegłości. Szczęście mu sprzyja, widzi się w końcu panem i właścicielem większego statku. Powodzenie się wzmacnia, zdobywa życzliwość, poważanie i sławę wśród żeglarzy.

List

*

Skłaniając cię do odczytania na nowo tej ładnej historii, wyznać winienem, że bardzo tylko odległe znajdzie tu zastosowanie, ale mi toruje drogę do wypowiedzenia tego, co mam wyrazić. Tymczasem jednak muszę jeszcze trochę dalszych rzeczy nadmienić.

*

Uzdolnienia, będące w człowieku, dają się podzielić na powszechne i szczegółowe. Powszechne uważać trzeba za obojętnie spoczywające czynności, które się stosownie do okazji budzą i przypadkowo zwracają do tego lub owego celu. Dar naśladowczy człowieka jest powszechny — człowiek chce robić, kształtować to, co widzi, nawet bez najmniejszych wewnętrznych i zewnętrznych środków wiodących do celu. Naturalną więc jest rzeczą, że chce dokonać tego, co widzi, że jest dokonywane. Ale najbardziej naturalnie byłoby, żeby syn przejmował zajęcie ojca. Tu wszystko jest razem: czynność, może w szczególności już wrodzona, a stanowcza w pierwotnym kierunku, następnie konsekwentnie i stopniowo posuwająca się naprzód wprawa oraz rozwinięty talent, który by nas zmuszał do postępowania po raz obranej drodze wtedy nawet, gdy się w nas rozwijają inne popędy, i doprowadzał do wolnego wyboru zajęcia, do jakiego nam natura nie udzieliła ani zdolności, ani wytrwania. Przeciętnie zatem najszczęśliwsi są ludzie, znajdujący sposobność wykształcenia w kółku domowym talentu wrodzonego, rodzinnego. Widzieliśmy takie drzewa genealogiczne malarzy; były naturalnie wśród nich talenty słabe, ale wydały one przecież coś użytecznego i może lepszego, niżby, wobec średnich sił naturalnych, dokonali byli w jakimś innym zawodzie z własnego wyboru.

Kondycja ludzka

*

Ale że i to nie jest tym, com chciał powiedzieć, więc się postaram z innej jakiejś strony dojść do moich zwierzeń.

*

To właśnie jest smutną stroną oddalenia od przyjaciół, że nie możemy w natychmiastowym związku i połączeniu przedstawić i wyrazić ogniów pomocniczych myśli naszych, które się wobec nich tak szybko jak błyskawice wzajem rozwijają i przeplatają. A więc najprzód podam jedną z najwcześniejszych historii wieku młodzieńczego.

*

My, dzieci wychowane w starym, poważnym mieście, wyrobiłyśmy w sobie pojęcie ulic, placów, murów, a następnie wałów, ich spadziści i sąsiednim murem obwiedzionych ogrodów. Ażeby nas, a raczej siebie samych wyprowadzić raz przecież na świeże powietrze, rodzice nasi umówili się od dawna z przyjaciółmi ze wsi co do wciąż odkładanej przejażdżki. W końcu na Zielone Świąta bardziej natarczywe się stało zaproszenie i propozycja, do których zastosowano się pod tym jedynie warunkiem, iż się tak wszystko urządzi, żeby się na noc mogło wrócić do domu — gdyż spać w innym, a nie w swoim łóżku, do którego się nawykło, wydało się niepodobieństwem. Uciechy dnia ześrodkować w tak szczupłym czasie było zaiste trudno. Należało odwiedzić dwóch przyjaciół i zaspokoić ich pretensje z powodu rzadkich kontaktów. Ale tymczasowo miano nadzieję, że się wszystko spełni z wielką punktualnością.

Na trzeci dzień świąt wszyscy wstali jak najwcześniej, rześcy i gotowi. Powóz zajechał o wyznaczonej godzinie. Niebawem pozostawiliśmy już za sobą wszystkie ograniczenia ulic, bram, mostów i okopów — świat otwarty, daleko się rozciągający, odsłonił się przed niedoświadczonymi. Zieloność, niedawnym deszczem dopiero co odświeżona na rolach i łąkach, jaśniej w mniejszym lub większym stopniu występująca w ledwie co rozpękłych pączkach krzewów i drzew, białość na wsze strony się rozwijająca kwieciami drzew owocowych — wszystko dawało nam przedsmak szczęśliwych, rajszych godzin.

W porę przybyliśmy na pierwszą stację do zacnego księdza. Przyjęci najserdeczniej, spostrzec mogliśmy niebawem, że przerwana uroczystość kościelna nie była usunięta sprzed umysłów szukających spokoju i swobody. Po raz pierwszy przyglądałem się z radosnym zainteresowaniem gospodarstwu rolnemu. Pług i brona, wozy i taczki wykazywały bezpośrednią swą użyteczność. Nawet wstrętą dla wzroku mierzwa¹⁴¹ wydawała się rzeczą najniezbędniejszą w całym tym otoczeniu. Zbierano ją starannie i do pewnego stopnia ładnie przechowywano. Ale te spojrzenia, świeżo zwrócone na przedmioty nowe, a jednak łatwe do pojęcia, bardzo rychło skierowały się na to, co można było spożywać: ciasta apetyczne, świeże mleko i wiele innych wiejskich przysmaków zwróciły naszą pożądliwą uwagę. Spiesznie zajęły się następnie dzieci, opuszczając ogródek przy domu i gościnną altanę, wykonaniem w sąsiednim lasku obowiązku, który nałożyła na nie stara, rozważna ciotka. Miały one zebrać — jak można najwięcej — pierwszoków i zawieźć je starannie do miasta, ponieważ gospodarna matrona zwykła była przygotowywać z nich różne zdrowe napoje.

Kiedyśmy tedy wśród tego zajęcia biegali po łąkach, przy skrajach i płotach, przyłączyło się do nas wiele dzieci ze wsi, a miły zapach zbieranych kwiatów wiosennych stawał się jakby coraz bardziej orzeźwiający i bardziej balsamiczny.

Tyle już nagromadziliśmy łądy i kwieciami, żeśmy nie wiedzieli, co z nimi począć. Zaczęto teraz odrywać żółtawe korony kwiatów, gdyż o nie tylko właściwie chodziło. Każdy starał się jak najwięcej wyspać do swego kapelusika czy do swej czapeczki.

Otóż starszy z owych chłopców, mało co wyprzedzający mnie latami syn rybaka, którego ta robota z kwiatami nie zdawała się bawić, chłopiec, który wraz z pojawieniem się swoim zaraz mnie pociągnął szczególnie ku sobie, zawezwał mnie, żebym z nim poszedł ku rzece, dosyć tu szerokiej, przepływającej w niewielkiej odległości. Usiedliśmy z wędkami w cieniście miejscu, przy którym w głębokiej, spokojnej, jasnej wodzie niemało się rybek poruszało. Nauczył mnie przyjaźnie, o co tu chodzi, jak przymocowywać przynętę do haczyka — i udało mi się kilkakrotnie, raz po raz wydobyć na powierzchnię najmniejsze z owych stworzeń wbrew ich woli. Kiedyśmy tak, oparci o siebie, spokojnie siedzieli, on jakby nudzić się zaczął i zwrócił uwagę moją na warstwę żwiru, spuszczającego się z naszej strony do rzeki. «Toż to najpiękniejsza sposobność do wykąpania się», mówił, a w końcu poskoczywszy, zawołał, że nie może się oprzeć pokusie. I zanim się spostrzegłem, zbiegł na dół, rozebrał się i rzucił do wody.

Umiejąc pływać bardzo dobrze, niebawem opuścił płytkie miejsce, poddał się nurtowi i przybył aż do mnie nad głębiną; dziwnie mi się zrobiło na sercu. Koniki polne tańczyły wkoło mnie, mrówki się uwijały, różnobarwne chrząszcze zwieszały się na gałęziach, a złociste panny, jak on je nazywał, szmyrgały¹⁴² i kołysały się u nóg moich, właśnie kiedy

¹⁴¹*mierzwa* — pogniecioną słomą. [przypis edytorski]

¹⁴²*szmyrgać* a. *szmyrgać* (pot.) — szybko uciekać. [przypis edytorski]

on, wydobywając spomiędzy korzeni wielkiego raka, ukazywał go radośnie, a potem go znowu zręcznie chował w dawnym miejscu na przygotowywany połów. Wokół było ciepło i wilgotno; z upragnieniem chciało się zejść ze słońca w cień, a z chłodu ocienionego miejsca do chłodniejszej wody. Łatwo mu tedy było zwabić mnie na dół. Niezbyt często powtarzane zaproszenie uznałem za nieodparte i bojąc się nieco rodziców, z czym się łączył także lęk wobec nieznanego mi żywiołu, doznawałem dziwnego wzruszenia. Lecz rozebrawszy się wkrótce na żwirze, odważnie spuściłem się do wody, nie głębiej wszakże, niż pozwalał na to grunt łagodnie spadzisty. Tu kazał mi on się zatrzymać, sam oddalił się w unoszącym go żywiole, powrócił, a kiedy się podniósł, kiedy się wyprostował, by się osuszyć na słońcu, zdało mi się, że oczy moje olśniewa słońce potrójne — tak piękna była ta postać ludzka, o jakiej pojęcia nigdy nie miałem. I on również, jak się zdawało, przypatrywał mi się uważnie. Szybko się ubrawszy, staliśmy wobec siebie wciąż jeszcze bez osłony. Dusze nasze przyciągały się i wśród najognistszych pocałunków przysięgliśmy sobie wieczną przyjaźń.

Potem atoli śpiesznie, bardzo śpiesznie pobiegliśmy do domu właśnie w samą porę, kiedy towarzystwo weszło na wielce miłą ścieżkę, poprzez krzaki i las, mniej więcej półtorej godziny ku mieszkaniu amtmana prowadzącą. Przyjaciół mój towarzyszył mi, zdawaliśmy się nierozłączni. Ale kiedy w połowie drogi poprosił o pozwolenie zabrania go ze sobą do domu amtmana, żona proboszcza odmówiła, prawiąc po cichu o niestosowności. Natomiast dała mu pilne zlecenie, żeby powiedział swemu wracającemu ojcu, iż ona po powrocie do domu koniecznie zastać musi piękne raki, którymi pragnie, jako rzadkością, obdarzyć gości wracających do miasta. Chłopak odszedł, ale ręką i ustami przyobiegał, że czekać na mnie będzie dziś wieczorem na skrawku lasu.

Towarzystwo dostało się tedy do domu amtmana, gdzieśmy zastali stosunki również wiejskie, ale wyższego rodzaju. Spóźniający się z winy zanadto zajętej gospodyni obiad nie budził we mnie niecierpliwości, gdyż przechadzka po dobrze utrzymanym wirydarzu, dokąd córka cokolwiek młodsza ode mnie drogę mi wskazała jako towarzyszką, była dla mnie nadzwyczaj miła. Kwiaty wiosenne wszelkiego rodzaju znajdowały się w ozdobnie oznaczonych kwaterach, wypełniając je lub upiększając ich brzegi. Towarzyszka moja była to piękna, łagodna blondynka. Przechadzaliśmy się poufale, wzięliśmy się niebawem za ręce i nie zdawaliśmy się pragnąć niczego lepszego. Tak mijaliśmy rzędy tulipanów, szeregi narcyzów i żonkili. Ona pokazywała mi różne miejsca, gdzie właśnie już przekwitły najwspanialsze hiacynty. Dbano jednakże i o następne pory roku — już zieleniły się krzaki przyszłych jaskrów i anemonów. Troskliwość o liczne łodygi gwoździków obiecywała wielce urozmaicony rozkwit, ale wcześniej już pączkowała nadzieja obfitych w kwiaty lili, roztropnie rozsadzonych pomiędzy różami. A niejedna altanka obiecywała niebawem zabłysnąć i cieniem obdarzyć, mając przy sobie przewiercień¹⁴³, jaśmin, latorośl winną i inne pnące się krzewy.

*

Kiedy po tylu latach rozważam stan swój ówczesny, to wydaje mi się on rzeczywiście godny zazdrości. Niespodziewanie w owej chwili owionęło mnie przeczucie przyjaźni i miłości. Bo jeśli niechętnie się rozstawał z pięknym dziewczęciem, pocieszała mnie myśl, że uczucia te otworzą przed moim młodym przyjacielem, że mu je zwierzę i cieszyć się będą jego współudziałem zarazem i tymi świeżymi wzruszeniami.

*

A jeśli mam jeszcze jedną uwagę tu dołączyć, to wyznać winienem, że w ciągu życia owo pierwsze objawienie się świata zewnętrznego przedstawiało mi się jako właściwa, oryginalna natura, wobec której wszystkie inne przedmioty, jakie się nam później przed zmysły nasuwają, wydają się kopiami tylko, które pomimo zbliżenia do tamtej nie posiadają przecież istotnie pierwotnego ducha i znaczenia.

¹⁴³przewiercień — kapryfolium. [przypis edytorski]

*

Jakaż by nas rozpacz ogarniała na widok świata zewnętrznego, tak zimnego, tak bezdusznego, gdyby we wnętrzu naszym nie rozwijało się coś, co w zupełnie inny sposób opromienia naturę, dając nam twórczą władzę upiększania w niej siebie samych!

*

Już się zmierzchało, gdyśmy się znów zbliżyli do skrzyżowania lasu, gdzie obiecał mi oczekiwać młody mój przyjaciel. Wyteżalem wzrok, jak tylko mogłem, by dostrzec jego obecność. A gdy mi się to nie udawało, wyskoczyłem niecierpliwie przed towarzystwo, z wolna kroczące, i przebiegłem krzaki w różne strony. Wolałem, miotalem się — nie było go widać i nie odpowiadał. Po raz pierwszy doznałem namiętnego bólu, podwójnie i wielokrotnie.

Już się we mnie rozwinęło niepomiarkowane pożądanie poufnej zażyłości, już istniała niepokonana potrzeba uwolnienia mego ducha od obrazu owej blondynki za pomocą rozmowy, oswobodzenia mego serca od uczuć, jakie ona we mnie wzbudziła. Było ono pełne, usta już szeptały, by napłynąć słowami. Głośno ganilem pocziwego chłopca za obrażenie przyjaźni, za niedotrzymanie przyrzeczenia.

*

Wkrótce atoli miały mnie cięższe dotknąć próby. Z pierwszych domów miejscowości owej wypadły z krzykiem kobiety, za nimi szły wrzeszczące dzieci, a nikt słowa nie mówił i odpowiedzi nie dawał. Z jednej strony koło domu narożnego ujrzelśmy przeciągający pochód żałobny. Z wolna się on rozwijał na długiej ulicy. Wydawał się jakby pogrzebem, lecz wielorakim; niesieniu i wleczeniu nie było końca. Wrzaski wciąż trwały i zwiększały się, tłum się zbiegał.

— Potonęli, wszyscy razem potonęli!

— Kto, co?

Matki, widzące przy sobie dzieci, wydawały się pocieszone. Wtem wystąpił jakiś poważny mężczyzna i rzekł do żony proboszcza:

— Na nieszczęście za długo mnie tu nie było. Utonął Adolf z czwórką innych. Chciał dotrzymać przyrzeczenia swego i mego.

Mężczyzna (był to właśnie sam rybak) poszedł dalej za pogrzebem. Staliśmy przerażeni i przybici. Wtem przystąpił mały chłopak, podając worek:

— Oto są raki, pani proboszczowa — rzekł i podniósł wysoko do góry tę pozostałość.

Wprawiło to wszystkich w osłupienie jakby rzecz najokropniejsza. Zaczęto wypytywać, badać i dowiedziano się, że ten ostatni malec był na brzegu i zbierał raki, wyrzucane mu z dołu. A potem jeszcze, po wielu wypytywaniach, zdobyto wiadomość, że Adolf z dwoma roztropnymi chłopcami wszedł do wody i brnął w niej. Dwóch młodszych, nieproszonych, przyłączyło się do nich, a nie można ich było powstrzymać ani łajaniem, ani groźbą. Otóż pierwsi prawie już przebyli pewne kamieniste, niebezpieczne miejsce, następni pośliznęli się, chwytali się i wciąż nawzajem pociągali w dół. Tak się w końcu stało i z najpierwszym — wszyscy wpadli w głębinę. Adolf, jako dobry pływak, byłby się wyratował. Ale wszyscy w strachu trzymali się go, został więc wciągnięty. Ów malec pobiegł potem, wrzeszcząc, na wieś, ale worek z rakami trzymał mocno w ręku. Z innymi, których krzyk przywołał, pobiegł i rybak, wracający przypadkiem zbyt późno. Powoli wszystkich wydobyto; przekonano się, że pomarli, a teraz niesiono ich do wsi.

Proboszcz z ojcem poszli w zamyśleniu na plebanię. Księżyc wzeszedł w pełni i oświetlał ścieżki śmierci. I ja poszedłem za nimi wzburzony. Nie chciano mnie wpuścić; byłem w stanie najokropniejszym. Obszedłem dom i nie spocząłem, póki w końcu nie dojrzałem sposobności i nie wskoczyłem przez okno.

W wielkiej izbie, w której odbywały się wszelkiego rodzaju zebrania, leżeli nieszczęśliwi na słomie — nadzy, rozciągnięci, ciała błyszczące, białe, jaśniejące nawet przy mrocznym świetle lampy. Rzuciłem się na największego, na mego przyjaciela. Nie potrafiłbym

Śmierć, Trup, Przyjaźń

opisać swego stanu, płakałem rzewnie i zalewałem szeroką pierś jego nieustającymi łzami. Słyszałem coś o pocieraniu, które w takim wypadku miało być pomocne, wcierałem więc łzy swoje i okłamywałem się ciepłem, jakie wytwarzałem. W zamęcie zamierzałem oddechem go swoim ocucić, ale szeregi perłowe zębów jego były silnie ściśnięte. Wargi, na których zdawał się jeszcze spoczywać pocałunek pożegnalny, odmawiały najsłabszego nawet znaku odwzajemnienia. W desperacji, nie widząc możliwości pomocy ludzkiej, zwróciłem się ku modlitwie; błagałem, modliłem się, doznawałem takiego uczucia, jakbym w tej chwili powinien cudów dokonać, przywołać duszę jeszcze obecną, zaczarować unoszącą się jeszcze w pobliżu.

Oderwano mnie. Płacząc i łkając, siedziałem w powozie i ledwie słyszałem, co mówili rodzice. Matka nasza, jak to słyszałem często później powtarzane, zdawała się na łaskę bożą. Usnąłem tymczasem i obudziłem się nazajutrz posępny, w stanie zagadkowym, pełnym mroku.

Ale kiedy się udał na śniadanie, zastałem matkę, ciotkę i kucharkę na ważnej naradzie. Raki nie miały być gotowane, nie miały być podane na stół — ojciec nie mógł znieść tak bezpośredniego wspomnienia o dopiero co zaszłym nieszczęściu. Ciotka, zdawało się, chciała gorąco posiąść te rzadkie stworzenia, ale obok tego łajała mnie, żeśmy zapomnieli przywieźć pierwiosnki. Wkrótce atoli uspokoiła się pod tym względem, gdy jej do zupełnego rozporządzenia oddano te łązące po sobie potworki; toteż o dalszym z nimi postępowaniu zaraz zaczęła rozmawiać z kucharką.

Ażeby jednak scenę tę uczynić zrozumiałą, muszę cokolwiek dokładniej powiadomić o charakterze i istocie tej kobiety. Panujących nad nią właściwości nie można było wcale — moralnie je rozważając — wychwalać. A jednak, rozpatrywane ze stanowiska obywatelskiego i politycznego, wydawały one niejedyn dobry skutek. Była we właściwym znaczeniu tego słowa chciwa na pieniądze, korcił ją każdy grosz gotówki, jaki miała z ręki wypuścić, i oglądała się wszędzie dla zadośćuczynienia potrzebom za substytutami, jakie można było nabyć darmo, przez zamianę albo w jaki bądź inny sposób. I tak, pierwiosnki przeznaczone były na herbatę, którą uważała za zdrowszą niż jaką bądź chińską. Twierdziła, że Bóg dał każdemu krajowi, co mu potrzeba, czy to na pożywanie, na przyprawę czy na lekarstwo; zatem nie należy się po to zwracać do obcych krajów. Uprawiała też w małym ogródku wszystko, co jej zdaniem czyniło potrawy smaczniejszymi, a chorym było pomocne. Obcy zaś ogród zwiedzając, musiała przynieść stamtąd coś w tym rodzaju.

Uspokobienie to i co z niego wynikało, można było bardzo chętnie w niej znośić, gdyż jej skrzętnie zbierana gotówka miała w końcu stać się użyteczną rodzinie. Toteż ojciec i matka ustępowali jej pod tym względem i popierali ją.

Inną atoli namiętnością, i to czynną, niezmordowanie się uwydatniającą, była duma, że uchodzi za osobę znaczącą i wpływową. Na tę sławę zasłużyła sobie zaiste i osiągnęła ją, gdyż umiała na korzyść swoją obrócić — bezużyteczne skądinąd, a nawet nieraz szkodliwe — panujące wśród kobiet plotkarstwo. Wszystko, co się działo w mieście, a więc i wewnątrz rodzin, znane jej było dokładnie. I trudno o taki wątpliwy wypadek, w który by się nie potrafiła wmieszać, co jej udawało się tym łatwiej, że pragnęła tylko być użyteczna, a przez to podnieść sławę swoją i dobre imię. Skojarzyła kilka małżeństw, przy czym jedna przynajmniej strona była może zadowolona. Ale co ją zajmowało najbardziej, to popieranie i popychanie takich osób, które szukały jakiegoś urzędu, jakiejś posady — przez co istotnie zyskiwała sobie wielką liczbę klientów, których wpływ umiała później spożytkować.

Jako wdowa po niemałym urzędniku, człowieku surowym i przestrzegającym prawa, nauczyła się, jak pozyskiwać drobnostkami takich, których nie może się osiągnąć jakimś znacznym datkiem.

Atoli, aby bez dalszego odbiegania pozostać na obranej ścieżce, zauważę najprzód, że potrafiła zapewnić sobie wpływ na jednego męża, który ważne zajmował stanowisko. Był on skąpy jak i ona, a na swoje nieszczęście równie lubiący jeść dobrze i łakomy. Jemu przeto pod jakim bądź pozorem posłać na stół smaczne danie pierwszą było jej troską. Sumienie jego nie było zbyt delikatne, ale trzeba też było brać pod uwagę jego śmiałość, jego przewrotność, kiedy w wypadkach wątpliwych miał przełamać opór kolegów swoich i zagłuszyć głos obowiązku, jaki mu przeciwstawiali.

Otóż był taki właśnie wypadek, że popierała niegodnego. Robiła, co mogła, aby go przepchnąć. Sprawa przybrała pomyślny dla niej obrót, a tu na szczęście trafiły się jej raki, jakie rzadko widywano. Miały być starannie hodowane i powoli posyłane na stół wysokiego protektora, który zazwyczaj sam na sam jadł bardzo lichy.

Zresztą nieszczęsne owo zdarzenie dało powód do wielu rozmów i wzruszeń towarzyskich. Ojciec mój był w owym czasie jednym z pierwszych, którego ogólny nastrój filantropijny popychał, by swoją uwagę i troskę rozciągnąć poza rodzinę, poza miasto. On to, wraz z rozumnymi lekarzami i krewnymi w policji, dokładał starań, by usunąć wielkie przeszkody, jakie z początku spotykało szczepienie ospy. Większa troskliwość w szpitalach, bardziej ludzkie obchodzenie się więźniami i co z tym w związku pozostaje, było zadaniem jeżeli nie życia jego, to czytania i namysłu. Przekonania też swoje wygłaszał wszędzie i niejedno dobro spełnił tym sposobem.

Uważał on społeczeństwo obywatelskie, pod jakim bądź zresztą żyjące rządem, za stan natury, mający swoją dobrą i swoją złą stronę, swoje zwykłe tryby życia, po kolei obfite i liche lata, nie mniej przypadkowe i nieregularne gradobicia, powodzie i pożary. Dobro należało — zdaniem jego — chwycić i spożytkowywać, złe odwracać albo znosić. Ale nic bardziej pożądane nie było nad rozszerzenie powszechnej dobrej woli, niezależnie od wszelkiego innego warunku.

Wskutek takiego nastroju umysłu musiał być skłonny, by dawniej już poruszoną sprawę dobroczynną uczynić znowu przedmiotem rozmowy: było nią cucenie pozornie umarłych, w jakikolwiek zresztą sposób zewnętrzne oznaki życia zagięły. Wśród takich rozmów posłyszałem, że u owych dzieci próbowano i używano środków wprost przeciwnych — co więcej, że je w pewnej mierze wtedy dopiero zabito. Dalej utrzymywano, że może przez puszczenie krwi można było pomóc im wszystkim. W zapale młodocianym postanowiłem sobie po cichu, by żadnej nie zaniedbać sposobności nauczenia się wszystkiego, czego w takich wypadkach potrzeba, a zwłaszcza puszczenia krwi i tym podobnych rzeczy. Atoli jakżeż prędko porwała mnie ze sobą codzienność życia! Potrzeba przyjaźni i miłości zbudziła się; na wsze strony się oglądałem, by ją zaspokoić. A tymczasem zmysły, wyobraźnia i umysł nadmiernie zajęły się teatrem. Dokąd mnie to zaprowadziło i jak zbłąkało, nie potrzebuję powtarzać.

*

Atoli kiedy i po tej szczegółowej historii wyznać muszę, że wcióż jeszcze nie doszedł do zamierzonego celu, i że tylko manowcem mogę się spodziewać dotrzeć do niego — cóż mam powiedzieć? Jak się mogę usprawiedliwić? Bądź co bądź, mógłbym przytoczyć, co następuje: Jeżeli wolno humoryście setne i tysiączne rzeczy mieszać ze sobą; jeżeli po junacku pozostawia on czytelnikowi wydobyć w końcu na wpół wyraźnie tego, co z tego wszystkiego jest do wzięcia, to czyżby nie należało przyznać prawa rozsądnemu, rozumnemu, w sposób pozornie dziwny oddziaływać wkoło na wiele punktów, iżby je wreszcie ujrano odbite i skupione w jednym ognisku, iżby się nauczono, jak to najróżnorodniejsze wpływy osaczają człowieka, popychając go do postanowienia, którego by nie mógł powziąć w żaden inny sposób — ani z wewnętrznego popędu, ani z zewnętrznej pobudki?

*

Wobec różnorodności tego, co mi jeszcze zostaje do powiedzenia, mogę wybrać, co najpród chciałbym przedsięwziąć. Ale i to jest rzeczą obojętną. Musisz się uzbroić w cierpliwość, czytać wciąż dalej i dalej. W końcu przecież naraz się to wydobydzie i wyda się całkiem naturalne, co by, wymówione w jednym słowie, przedstawiło się jako niesłychanie dziwne — i to w takiej mierze, iż następnie nie mogłabyś chyba ani chwili poświęcić tym wstępom w formie wyjaśnień.

Ażeby jednak jako tako wyjść na prostą drogę, znowu się obejrzę za owym kołkiem od wiosła i wspomnę rozmowę, jaką przypadkiem, ku szczególnemu rozbudzeniu uczuć własnych, miałem sposobność prowadzić z naszym wypróbowanym przyjacielem, Jarnem, którego w górach spotkałem pod nazwiskiem Montana. Sprawy życia naszego mają bieg

Ojciec, Obraz świata

Lekarz, Obowiązek

tajemniczy, którego się obliczyć nie da. Przypominasz pewnie sobie ów sztuciec, który wydobyl wasz dzielny chirurg, kiedyś przyszła z pomocą mnie zranionemu, rozciągniętemu wśród lasu? Tak mi wówczas błysnął on w oczach i zrobił tak głębokie wrażenie, że byłem zachwycony, znalazłszy go znów po latach w ręku młodszego lekarza. Ten nie przykładał do niego wielkiej wagi. Wszystkie narzędzia udoskonaliły się w nowszych czasach i stały się odpowiednie do celu. Dostałem więc tamten tym łatwiej, że nabycie nowego ułatwiało mi się przez to. Odtąd woziłem go zawsze ze sobą — nie na żaden wprawdzie użytek, ale tym pewniej na kojące przypomnienie: był on świadkiem chwili, kiedy się rozpoczęło szczęście moje, które osiągnąć miałem dopiero po przebyciu długiej drogi.

Przypadkiem ujrzał go Jarno, kiedyśmy nocowali u węglarza. Poznał go od razu, a na wyjaśnienie moje odpowiedział:

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby sobie stawiać taki fetysz dla przypomnienia niejednego, niespodziewanego dobra, ważnych następstw jakiejś obojętnej okoliczności. Podnosi nas to, jak coś, co wskazuje rzecz niepojętą, orzeźwia nas w kłopotach i wzmacnia nadzieje nasze. Byłoby atoli piękniej, gdyby cię narzędzia te pobudziły do zrozumienia ich użytku i wykonywania tego, czego one od ciebie milcząco wymagają.

— Pozwól mi wyznać — odrzekłem na to — że mi sto razy przychodziło to na myśl. Budził się we mnie głos wewnętrzny, który mi kazał w tym widzieć właściwe powołanie moje.

Opowiedziałem mu następnie historię utonięcia chłopców i to, jak wówczas słyszałem, iżby ich można było uratować, gdyby im krew puszczono; że mi sobie postanowiłem nauczyć się tego, ale z każdą godziną przedsięwzięcie wygasło.

— To się go chwyć teraz — odrzekł Jarno. — Już od tak dawna widzę cię zajętego sprawami dotyczącymi i obchodzącymi ducha ludzkiego, umysł, serce czy jak się tam inaczej to nazywa. Ale cóżes przy tym zyskał dla siebie i innych? Cierpienia duszy, w które popadamy wskutek nieszczęścia lub własnej winy. A żeby je uleczyć, rozsądek niczego nie dokona, rozum mało, czas dużo, a stanowcza działalność natomiast wszystko. Tutaj niech każdy działa ze sobą i na siebie; doświadczyłes tego na sobie, doświadczyłes i na innych.

Gwałtownymi i gorzkimi słowami, zwyczajem swoim, dopiekał mi, mówiąc niejedną przykrą prawdę, której nie myślę powtarzać.

— Nie warto — rzekł w końcu — niczego tak dobrze się nauczyć i umieć wykonywać, jak pomagać zdrowemu, kiedy przypadkiem jakim bądź zostanie zraniony. Dzięki rozważnemu postępowaniu łatwo się natura odbudowuje. Chorych należy zostawić lekarzom, ale chirurga nikt bardziej nie potrzebuje niż zdrowy. Wśród ciszy życia wiejskiego, w najciaśniejszym kółku rodzinnym bywa on równie pożądanym, jak podczas wrzawy bitwy i po niej. W chwilach najśladźszych, jak i w najboleśniejszych i najokropniejszych. Wszędzie zła dola panuje groźniej od śmierci — i to w sposób równie bezwzględny, a nawet straszniejszy, zatruwający wesołość i życie.

Znasz go i bez trudu wyobrazisz sobie, iż nie oszczędzał ani mnie, ani świata. Najsilniej atoli oparł się na argumencie, który zwrócił przeciwko mnie w imieniu większości społeczeństwa.

— Błazeństwem — rzekł — jest nasze ogólne wykształcenie i wszystkie zakłady temu służące. Żeby człowiek znał się na czymś zupełnie należycie, żeby wykonywał to wybornie jak mało kto w najbliższym otoczeniu, to jest główne zadanie; zwłaszcza w naszym związku rozumie się ono samo przez się. Jesteś właśnie w takim wieku, kiedy się przedsięwzięcie decyduje rozsądnie, ocenia rzecz daną rozważnie, chwyta się ją ze strony właściwej, a zdolności i umiejętności kieruje ku odpowiedniemu celowi.

*

I po cóż mam dalej wypowiadać to, co się samo przez się pojmuje! Dał mi do zrozumienia, że mogę otrzymać zwolnienie od tak dziwnie nakazanego, wędrownego życia, ale że trudno będzie dla mnie to uzyskać.

— Jesteś z tego rodzaju ludzi — mówił on — co się łatwo przyzwyczajają do miejsca, ale niełatwo do jakiegoś zajęcia. Wszystkim takim przepisuje się życie wędrowne, w nadziei, że może dojdą do jakiegoś trwałego trybu życia. Jeżeli na serio chcesz się poświęcić

najbardziej boskiemu ze wszystkich zatrudnień, by leczyć bez cudów i czynić cuda bez słów, to się za tobą wstawię.

Tak mówił porywczo, dodając te wszystkie potężne argumenty, jakie tylko wymowa jego przytoczyć potrafiła.

*

Na tym skłonny jestem zakończyć. Niebawem wszakże dowiesz się szczegółowo, jak żem skorzystał z pozwolenia zatrzymywania się dłużej w pewnych miejscach, jak żem zdołał rychło przystosować się do zajęcia, do którego zawsze czułem ciche upodobanie, i jak żem się w nim wykształcił. Dość, że w tym wielkim przedsięwzięciu, do którego się zabieracie, zjawię się jako pożyteczny, jako niezbędny członek społeczeństwa i z niejaką pewnością siebie wejdę na drogi wasze, a także z niejaką dumą — bo to duma szlachetna być was godnym”.

KSIĘGA III

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po tym wszystkim i co stąd wyniknąć miało, pierwszym usiłowaniem Wilhelma było zbliżyć się znowu do związkowych i spotkać się gdziekolwiek z którym bądź ich oddziałem. Zajrzał tedy do swej tabliczki i udał się w drogę, która go prędzej niż inne obiecywała doprowadzić do celu. Ponieważ, chcąc dojść do najodpowiedniejszego punktu, musiał iść w poprzek kraju, widział się więc zmuszonym do odbywania podróży pieszo, każąc rzeczy swoje nieść za sobą. Za tę pieszą wędrówkę atoli spotykała go na każdym kroku obfita nagroda, napotykał bowiem niespodziewanie okolice jak najmiłsze. Były one tego rodzaju, jakie tworzy ostatnie pasmo gór, ciągnące się ku dolinie: krzakami porośłe wzgórza, ładne stoki zużytkowane gospodarczo, wszystkie równiny zielone, nigdzie nic stromeego, nieurodzajnego i niezaoranego. Dostał się potem do doliny głównej, do której spływały potoki ze stron różnych; była ona starannie uprawiona, miła do oglądania. Smukłe drzewa odznaczały załomy przepływającej rzeki i wpadających do niej strumieni. A kiedy wziął do ręki kartę, swą przewodniczkę, ze zdziwieniem zobaczył, że linia nakreślona przerywała właśnie tę dolinę — zatem znajdował się przynajmniej na dobrej drodze.

Ukazał się stary, dobrze zachowany, w różnych czasach odnawiany zamek na wzgórzu krzewami porośłym, u stóp którego rozciągało się ładne miasteczko ze stojącą na czele, wpadającą w oczy gospodą. Ku niej się skierował i przyjęty został mile przez gospodarza, który prosił o wybaczenie, że go podejmować nie może bez zezwolenia pewnego towarzysza, co wynajęło na czas jakiś całą gospodę — dlatego musi on odprawiać wszystkich gości do starszej oberży, leżącej dalej ku górze. Po krótkiej rozmowie zdawał się człowiek ten namyślać, mówiąc:

— Wprawdzie nie ma teraz nikogo w domu, ale to właśnie sobota i niebawem przyjdzie pewnie wódarz, który co tydzień reguluje rachunki i czyni zamówienia na czas dalszy. Zaiste, śliczny jest porządek u tych ludzi i przyjemnie z nimi mieć stosunki, chociaż są wymagający, bo nie ma się co prawda wielkiego zysku, ale jest on pewny.

Prosił tedy nowego gościa, żeby w dużym na górze przedsiönku się zatrzymał i czekał na to, co dalej nastąpić miało.

Tu wchodząc, znalazł się Wilhelm w obszernej, czysto utrzymanej przestrzeni — zupełnie pustej, prócz ławek i stołów. Tym bardziej zdziwił się, ujrawszy dużą tablicę umieszczoną nad drzwiami, mieszczącą te słowa, złotymi literami wypisane po łacinie: „Ubi homines sunt, modi sunt”, co by się w ten sposób przetłumaczyć dało: „Gdzie się ludzie w towarzystwa zbierają, wyrabia się zaraz tryb i sposób, w jaki oni ze sobą żyć i przestawać powinni”. Zdanie to dało wędrowcowi naszemu do myślenia. Zrozumiał je jako dobrą wróżbę, znajdując potwierdzenie tego, co nieraz w życiu swoim uznawał za rozumne i korzystne.

Niedługo potem ukazał się wódarz, który, uprzedzony przez gospodarza. Po krótkiej rozmowie, nie badając szczegółowo, przyjął Wilhelma pod następującymi warunkami: ma pozostać dni trzy, we wszystkim, co zajdzie, brać spokojnie udział i cokolwiek się stanie, nie pytać o przyczynę, tak samo jak o kosztą przy pożegnaniu. Podróżny musiał na to przystać, gdyż pełnomocnik nie mógł ustąpić w żadnym punkcie.

Wódarz miał się właśnie oddalić, gdy się rozległ śpiew na schodach. Nadeszło dwóch hoźych, śpiewających młodzieńców, którym tamten dał za pomocą prostego znaku do zrozumienia, że gość został przyjęty. Nie przerywając swego śpiewu, przywitali go przyjaźnie i śliczny duet utworzyli. Bardzo łatwo było zauważyć, że się doskonale wyćwiczyli i byli mistrzami w swej sztuce. Gdy Wilhelm okazywał wielce uważny współudział, zakończyli, pytając, czy też w jego pieszych podróżach nie przyszła mu kiedy na myśl jakaś piosenka, którą by sobie nucił.

— Natura — odrzekł Wilhelm — odmówiła mi wprawdzie pięknego głosu, ale w duszy zdaje mi się, że nieraz jakiś tajemniczy geniusz szepce mi coś rytmicznego, tak że chodząc, poruszam się zawsze według taktu i słyszę niby ciche tony, towarzyszące jakiej bądź pieśni, która mi się w ten lub inny sposób dobrze uprzytomni.

Natura

Śpiew

— Jeżeli sobie jakąś przypominacie, to spiszcie nam ją — rzekli tamci. — Zobaczymy, czy zdołamy towarzyszyć waszemu śpiewnemu demonowi.

Wyjął tedy z pugilaresu kartkę i dał im, co następuje:

Od gór szczytów ku nizinie,
Ku dolinom samym wzdłuż,
Coś jak skrzydeł szumy płynie,
Niby śpiew tam dźwięczy już;
Zatem radość niewstrzymanie
Woła, wśród wesołych min:
Niech miłością twe staranie,
A twym życiem będzie czyn!

Po krótkim namyśle zabrzmiał niebawem wesoły, dostosowany do kroku wędrowca dwuśpiew, który obok powtarzania i dostrajania, wciąż się rozwijając, porwał za sobą słuchacza. Zaczynał wątpić, czy to była jego własna melodia, jego dawniejszy temat, czy też teraz dopiero tak została dopasowana, iż niepodobna było pomyśleć o żadnym innym takcie. Śpiewacy przez czas jakiś zabawiali się w ten sposób, gdy wtem nadeszło dwóch tęgich chłopaków, których zaraz uznać można było po ich znamionach za mularzy, a dwóch innych, co za nimi postępowali, uważać należało za cieślów. Tych czterech, składając po cichu narzędzia swoje, przysłuchiwało się śpiewowi i rychło złączyło się z nim w sposób pewny i stanowczy, tak iż się zdawało, że całe towarzystwo wędrowców kroczy przez góry i doliny ku owemu uczuciu. A Wilhelm mniemał, że nigdy nie słyszał nic tak uroczego, tak podnoszącego serce i myśli. Rozkosz ta jednak miała być jeszcze wzmożona i do ostatecznej doprowadzona granicy, gdy jakaś postać olbrzymia, nadszedłszy schodami, ledwie zdołała przy najlepszej woli umiarkować swoje silne, potężne stąpanie. Ciężko wyladowany toból złożył nowoprzybyły natychmiast w kącie, a sam usiadł na ławce, która zatrzeszczała, z czego inni śmieli się, nie zaprzestając jednak śpiewu. Wielce atoli zdumiał się Wilhelm, gdy ten syn Enocha¹⁴⁴ zaczął również brać udział w śpiewie swoim potężnym, basowym głosem. Sala się zatrzęsła; zastanawiało to, iż refren zmienił zaraz w swojej części i śpiewał w ten sposób:

Rzuć wszelakie odwlekanie;
Bo twe życie — czynów czyn!

Wkrótce też można było zauważyć, że ścigał tempo do powolniejszego kroku i zmusił innych, by się do niego zastosowali.

Gdy wreszcie zakończono i uraczono się dostatecznie, zarzucili mu inni, jakoby dążył do wprowadzenia ich w błąd.

— Wcale nie! — zawołał. — Wy to właśnie zamierzacie w błąd mnie wprowadzić. Chcecie mnie wybić z mego kroku, który powinien być umiarkowany i pewny, kiedy z brzemieniem moim to w górę, to z góry krocze, a przecież w końcu muszę na oznaczoną godzinę przyjść i was zaspokoić.

Szli potem jeden po drugim do włodarza, a Wilhelm łatwo mógł spostrzec, że chodziło o obrachunki, o które dalej się wywiadywać nie chciał. Tymczasem nadeszło dwóch hoźych, pięknych chłopców, by co prędzej przygotować stół, zastawiając go umiarkowanie potrawami i winem. Po czym włodarz, zbliżywszy się, zaprosił wszystkich, by zasiedli wraz z nim. Chłopcy usługiwali, ale nie zapominali też o sobie i stojąc, brali udział w posiłku. Wilhelm przypomniał sobie sceny podobne, kiedy przebywał jeszcze wśród aktorów. Obecne atoli towarzystwo wydało mu się o wiele poważniejsze, zwrócone nie żartobliwie ku pozorowi, ale ku istotnym celom życia.

Rozmowa rzemieślników z włodarzem powiadomiła o tym gościa jak najdowodniej. Czterech dzielnych młodzieńców wracało z pracy w pobliżu, gdzie gwałtowny pożar ob-

¹⁴⁴Enoch — prawdopodobnie pomyłka tłumacza, chodzi raczej o Anakim (Anakitów), biblijny lud, cechujący się gigantycznym wzrostem (w oryginale niem. *Enakskind*); w *Biblii* pojawia się określenie „synowie Anaka” (niem. *Anak* a. *Enak*), rozumiane jako przedstawiciele tego ludu. [przypis edytorski]

rócił nader ładne miasto w perzynę. Zacny władarz opowiadał, iż zajęty był przysposobieniem drzewa i innych materiałów budowlanych, co gościowi wydało się tym bardziej zagadkowe, iż wszyscy tu ludzie przedstawiali mu się — we wszystkich innych szczegółach — nie jako tubylcy, lecz jako wędrowcy. Na zakończenie uczy zabrał święty Krzysztof¹⁴⁵ (tak nazywano olbrzyma) odstawioną, dobrą szklankę wina jako napój do poduszki, a wesoły śpiew łączył jeszcze ze sobą dla ucha na czas jakiś towarzystwo, gdy dla wzroku już się rozeszło. Po czym zaprowadzono Wilhelma do pokoju wielce mile położonego.

Księżyc w pełni, oświetlając bogatą niwę, już był dość wysoko i budził podobne i takie same wspomnienia w piersi naszego wędrowca. Duchy wszystkich ukochanych przyjaciół przesuwały się przed nim, a obraz Leonarda zwłaszcza tak mu żywo się przypominał, iż mu się zdawało, że go widzi bezpośrednio przed sobą. Wszystko to przepełniło go serdecznym nastrojem do spoczynku nocnego, gdy go dziwny wielce dźwięk prawie przestraszył. Brzmiał on niby z oddali, a jednak zdawał się być w samym domu, gdyż ten drgał niekiedy, a belki odbrzmiwały, kiedy ton doszedł do największej swej siły. Wilhelm, który zresztą miał delikatne ucho w odróżnianiu wszelkich tonów, nie mógł przecież nic stanowczego powiedzieć. Porównywał to z szumem wielkiej piszczałki organowej, która z powodu samej objętości nie wydaje ściśle określonego tonu. Czy te nocne strachy ustały nad ramię czy też Wilhelm, przyzwyczajony się do nich powoli, nie był już na nie wrażliwy, rozstrzygnąć trudno — dość, że zasnął i dopiero go wschodzące słońce mile obudziło.

Ledwie mu jeden z usługujących chłopców przyniósł śniadanie, weszła pewna figura, którą zauważył przy wieczerzy, nie rozjaśnwszy sobie jej właściwości. Był to mężczyzna dobrze zbudowany, barczysty, przy tym zwinny, który, wydobywszy narzędzia, zapowiedział się jako golibroda i zabierał się do oddania Wilhelmowi tej tak pożądanej usługi. Zresztą zachowywał milczenie i ukończył swoją robotę lekką ręką, nie wydawszy z siebie ani jednego dźwięku. Wilhelm tedy zrobił początek, mówiąc:

— Sztukę swoją znacie po mistrzowsku i nie wiem, czy kiedyś na policzkach moich czulem brzytwę delikatniejszą. Przy tym, zdaje mi się, zachowujecie skrupulatnie przepisy towarzystwa.

Uśmiechając się żartobliwie i kładąc palec na ustach, wymknął się ten milczek za drzwi.

— Doprawdy — zawołał za nim Wilhelm — jesteście owym płaszczem czerwonym. A jeżeli nie nim samym, to jego potomkiem przynajmniej. Wasze szczęście, że nie żądacie ode mnie wzajemnej usługi, źle byście na niej wyszli.

Zaledwie się oddalił ten dziwny człowiek, wszedł znany władarz, wypowiadając zaproszenie na obiad dzisiejszy, brzmiące również dosyć dziwacznie: „Związek (tak wyraźnie rzekł zapraszający) wita życzliwie obcego, powołuje go na ucztę i cieszy się nadzieją, że wejdzie z nim w bliższe stosunki”. Dowiadywano się następnie o zdrowie gościa i czy jest zadowolony z gościny. On zaś o wszystkim, co go spotykało, mówić mógł tylko z pochwałą. Wprawdzie chciałby był, tak samo jak poprzednio od golibrody, wywiedzieć się od tego człowieka o tym strasznym dźwięku — który go tej nocy jeśli nie przeraził, to zaniepokoił — lecz pamiętny swego zobowiązania, wstrzymał się od wszelkich pytań i miał nadzieję, że bez natręctwa, z dobrej woli towarzystwa lub przypadkowo poweźmie wiadomość według życzeń swoich.

Znalazłszy się sam, zamyślił się przyjaciel nasz nad ową dziwną osobą, co go kazała zaprosić, i nie wiedział naprawdę, co miał z tym począć. Wydało mu się rzeczą niezmiernie zastanawiającą zapowiedzenie jednego lub więcej przełożonych za pomocą oderwanego rzeczownika. Zresztą tak było cicho wkoło niego, że zdało mu się, iż nigdy nie przeżył cichszej niedzieli. Opuścił dom, a usłyszawszy dźwięk dzwonów, skierował się ku miasteczku. Msza się właśnie skończyła, a wśród wylęgających z kościoła mieszczan i chłopów dostrzegł on trzech wczorajszych znajomych, czeladnika ciesielskiego, mularza i chłopca. Potem wśród pobożnych protestantów zobaczył znowu trzech innych. Jak reszta nabożeństwo swe odprawiała, nie dowiedział się, ale sądził, iż ma prawo tyle wywnioskować, że w tym towarzystwie panuje stanowcza swoboda religijna.

¹⁴⁵Święty Krzysztof (III w. n.e.) — męczennik wczesnochrześcijański, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego, patron mostów, przewoźników, flisaków, żeglarzy, podróżników i pielgrzymów oraz kierowców. [przypis edytorski]

W południe przy bramie zamkowej wyszedł na jego spotkanie włodarz, a przeprowadziwszy go przez różne korytarze do wielkiego przedsionka, zaprosił go, by usiadł. Przechodziło koło nich wiele osób do sąsiedniej sali. Widać było między nimi znanych już, wkroczył nawet i święty Krzysztof; wszyscy witali włodarza i przybysza. Co tu najbardziej zadziwiło przyjaciela naszego, to fakt, że, jak mu się zdawało, widział samych tylko rzemieślników, ubranych według przyjętego zwyczaju, lecz nadzwyczaj czysto. Niewieleu jedynie było takich, których by poczytywał za kancelistów¹⁴⁶.

Kiedy już nowi goście nie nadchodzili, włodarz wprowadził przyjaciela naszego przez wspaniałą furkę do rozległej sali. Nakryty tam był ogromny stół, koło niższego końca którego przeprowadzono go do wyższego, gdzie ujrzał trzy osoby na czele, w poprzek stojące. Ale jakimże zdumieniem przejęty został, gdy zbliżywszy się, poczuł na swej szyi Leonarda, którego ledwie poznał. Po niespodziance tej jeszcze się nie uspokojono, kiedy ktoś inny uściskał Wilhelma równie ognście i żywo i dał się poznać jako dziwaczny Fryderyk, brat Natalii. Zachwyty przyjaciół udzielił się wszystkim obecnym — za stołem rozległy się okrzyki radości i upojenia. Nagle jednak, gdy zasiedli, wszystko się uciszyło, a jedzenie obnoszono i spożywano z pewną uroczystością.

Pod koniec obiadu Leonard dał znak. Wstało dwóch śpiewaków, a Wilhelm wielce się zdziwił, słysząc powtórzoną pieśń swą wczorajszą, którą z powodu jej dalszego uzupełnienia, musimy tu raz jeszcze załączyć:

Od gór szczytów ku nizinie,
Ku dolinom samym wzdłuż,
Coś jak skrzydeł szumy płynie,
Niby śpiew tam dźwięczy już;
Zatem radość niewstrzymanie
Woła, wśród wesółych min:
Niech miłością twe staranie,
A twym życiem będzie czyn!

Zaledwie dwuśpiew ten, któremu towarzyszył chór umiarkowany, zbliżył się do końca, gdy naprzeciwko porwali się z miejsc dwaj inni śpiewacy, którzy z poważną gwałtownością piosnkę tę raczej odwrócili niż rozsnuli dalej i ku zdziwieniu przybysza tak się wypowiedzieli:

Węzły bowiem już porwane,
Zaufania nie ma już,
I przyczyny mi nieznanne,
Że się rozstać muszę tuż
I wędrować po tej ziemi
Jako wdowa pełna łez,
Miał przebywać wraz z innemi,
Po wieczności całej kres!

Chór, przyłączając się do tej zwrotki, stawał się coraz liczniejszy, coraz potężniejszy, a jednak głos świętego Krzysztofa, od niższej części stołu wychodzący, doskonale można było wyróżnić. Strasznie prawie wezbrał w końcu smutek. Jakaś żalosna odwaga wprowadziła w całość, przy zręczności śpiewaków, coś na kształt fugi¹⁴⁷, tak iż przyjacielowi naszemu wydało się to okropne. Rzeczywiście zdawali się wszyscy być w zupełnie jednakim nastroju i oplakiwać własny swój los na krótko przed jego spełnieniem. Najdziwniejsze powtórzenia, częste wznawianie śpiewu, prawie sił pozbawiającego, wydały się w końcu niebezpieczne samemu związkowi. Powstał Leonard, a wszyscy zaraz usiedli, przerywając hymn.

Mówca zaczął od słów uprzejmych:

¹⁴⁶kancelista (daw.) — urzędnik kancelarii. [przypis edytorski]

¹⁴⁷fuga — tu: rodzaj utworu muzycznego. [przypis edytorski]

— Nie mogę wprawdzie ganić was, że wciąż sobie los, oczekujący nas wszystkich, uprzytomniacie, aby nań być przygotowanymi w każdej chwili. Jeżeli jednak zmęczeni życiem, latami obciążeni mężowie wołali do przodków waszych: „Pamiętaj, że umrzesz!”¹⁴⁸, to my, żądni życia młodzi, powinniśmy się ciągle orzeźwiać i upominać pogodnymi słowy: „Pamiętaj, że masz wędrować!”. Dobrze się wszelako robi, gdy się wspomina umiarkowanie i wesoło o tym, co się albo przedsięwzięło dobrowolnie, albo do czego czujemy się zmuszeni. Wiecie najlepiej, co u nas jest stałe, a co ruchome. Pozwólcie nam rozkoszować się tym także w radosnych, orzeźwiających tonach, za co ta szklanka pożegnalna niech będzie tym razem wzniesiona!

Opróżnił następnie swój puchar i usiadł. Natychmiast powstał czterech śpiewacy i rozpoczęli tonami odsuwającymi poprzednie wrażenia i wnioskującymi w duszę:

Nie trzymaj się ziemi bryły,
Śmiało naprzód i w dal tę;
Kto ma głowę, rześkie siły,
Wszędzie panem czuje się;
Gdzie nad nami słońce błyska,
Zawsze ginie troski ślad;
By nas przyjąć w swe ogniska,
K'temu tak wielkim jest świat.

Kiedy chór zaczął śpiew powtarzać, wstał Leonard, a z nim wszyscy. Skinienie jego wprawiło całe towarzystwo obiadowe w ruch śpiewny. Niżej siedzący, ze świętym Krzysztofem na czele, wyszli parami z sali, a rozpoczęty śpiew wędrowców stawał się coraz radośniejszy i swobodniejszy. Szczególnie bardzo dobrze wypadł, gdy towarzystwo, zebrane w ogrodach zamkowych tarasowo urządzonych, przyglądało się stąd rozległej dolinie, w pełni i wdzięku której z przyjemnością chciałoby się zatonać. Kiedy tłum rozproszył się wedle upodobania w różne strony, zaznajomiono Wilhelma z trzecim przełożonym. Był to amtman, który zdołał ten hrabiowski zamek, leżący wśród licznych dóbr pańskich, oddać temu towarzystwu, dopóki by bawić tu zamierzało, i poczynić mu dużo dogodności. Ale zarazem potrafił, jako człowiek zręczny, zużytkować obecność tak rzadkich gości. Dawszy bowiem do rozporządzenia za tanie pieniądze zapasy swoje i umiędąc dostarczyć wszystkiego w ogóle, co było jeszcze wymagane na pożywienie i inne potrzeby, przy tej sposobności kazał przełożyć od dawna zaniedbane dachówki, wzmocnić zręby, odnowić mury, wyporządzić blanki i usunąć inne braki do tego stopnia, że od dawna zapuszczona, chyląca się do upadku posiadłość przekwitających rodzin nabyła wesołej powierzchowności mieszkania żyjących ludzi i złożyła świadectwo temu, iż życie stwarza życie, iż kto dla innych jest użyteczny, zmusza ich przynosić pożytek i dla niego.

ROZDZIAŁ DRUGI

Hersylia do Wilhelma

„Stan mój przedstawia mi się jakby tragedia Alfieriego¹⁴⁹. Ponieważ nie mam zgoła powierników, musi się w końcu wszystko odbywać w monologach. A doprawdy, korespondencja z panem równa się zupełnie monologowi, gdyż odpowiedzi pańskie jak echo tylko powierzchownie chwytają nasze zgłoski, by je odbić jedynie. Czyż choćby raz odpowiedziałeś pan coś takiego, na co by można znowu odpowiedzieć? Listy pańskie odpierają tylko, zasłaniają cięcie! Kiedy się podnoszę, by pójść ku panu, wskazujesz mi pan na powrót krzesło.

Co poprzedziło, napisałam kilka dni temu. Teraz nasuwa się nowa pobudka i sposobność, by posłać to Leonardowi — tam zastanie to pana albo potrafi się do pana dostać. Gdziekolwiek zresztą dojdą pana słowa moje, ku temu dążą, że jeżeli po przeczytaniu tej kartki zaraz nie podskoczysz z siedzenia i nie zjawisz się u mnie jako pobożny wędrowiec,

¹⁴⁸*Pamiętaj, że umrzesz!* — *Memento mori* (łac.); przypomnienie, że nie da się uniknąć śmierci, które było używane w literaturze przez wiele zgromadzeń zakonnych. [przypis edytorski]

¹⁴⁹*Alfieri, Vittorio* (1749–1803) — włoski pisarz i dramaturg. [przypis edytorski]

to nazwę pana najbardziej męskim ze wszystkich mężczyzn, tj. takim, któremu brak całkowicie najmilszego przymiotu płci naszej — rozumiem przez to ciekawość, która mnie właśnie w tej chwili dręczy najokropniej.

Krótko i wężłowato! Do pańskiej wspaniałej szkatułki znalazł się kluczyk, ale tego nikt wiedzieć nie powinien prócz mnie i pana. Jak on dostał się w moje ręce, niech pan posłucha!

Przed kilku dniami otrzymał pełnomocnik nasz pismo z obcego urzędu, w którym pytano, czy około tego a tego czasu nie zatrzymywał się w sąsiedztwie pewien chłopak, co spłatawszy niejednego figła, w końcu przyplącił zuchwałę przedsięwzięcie pozostawieniem swego kaftana.

Z opisu tego lotrzyka nie można było wątpić, że to ów Fitz, o którym Feliks tyle naopowiadał i którego sobie tak często życzył mieć znowu za towarzysza zabawy.

Otóż urząd ów prosił o wymienioną odzież, jeśli została zachowana, gdyż chłopiec, badaniu poddany, na nią się powoływał. O żądaniu tym opowiada nam pełnomocnik mimochodem i pokazuje kaftanik, zanim go odeśle.

Mnie popycha dobry czy zły duch sięgnąć do bocznej kieszeni. Coś niesłychanie małego, klującego wpada mi w rękę. Ja, która zazwyczaj bywam tak drażliwa, łaskotliwa i bojaźliwa, ściskam, milczę, a ubranie odsyłają. Opanowuje mnie naraz jedno z najdziwniejszych wzruszeń. Po jednym, ukradkowym spojrzeniu widzę, zgaduję, że to klucz do pańskiej szkatułki. Potem przyszyły dziwne wątpliwości sumienia, pewne skrupuły. Odkryć, com znalazła, oddać — to było niepodobna. Co po tym owym sądom, kiedy to może być tak użyteczne dla przyjaciela! Powstały wprawdzie we mnie niejaki wahania ze względu na prawo i obowiązek, ale nie mogły one przemóc.

Widzisz pan zatem, w jaki to stan wpędziła mnie przyjaźń — rozwija się we mnie nagle śliczny organ z powodu pana. Co za dziwne zdarzenie! Bodaj to nie było czymś więcej jak przyjaźnią, co w ten sposób równoważy sumienie moje! Dziwny przejmuje mnie niepokój — między winą a ciekawością. Wytwarzam sobie mnóstwo urojeń i baśni, myśląc, co też to z tego wyniknie. Z prawem i sprawiedliwością nie ma co żartować. Hersylia, istota prosta, przypadkowo zuchwała, zawikłana w proces kryminalny... Boć przecież na to wyjdzie. A cóż mi wtedy pozostanie, jak myśleć o przyjacielu, z powodu którego wszystko to cierpię! Dawniej myślałam także o panu, ale z przerwami, teraz zaś nieustannie. Teraz, kiedy mi serce bije, a ja przypomnę sobie siódme przykazanie, to muszę się zwracać do pana jak do świętego, który spowodował przekroczenie i rozgrzeszyć mnie też może. Tak więc dopiero otwarcie szkatułki uspokoić mnie zdoła. Ciekawość potężnieje w dwójnasób. Przybywaj pan co prędzej, przywożąc szkatułkę. Do jakich właściwie sądów należy tajemnica ta, rozstrzygniemy sami. Do tego czasu niech zostanie między nami, niech nikt o niej nie wie, ale to nikt zgoła!

No, a teraz w końcu, mój przyjacielu, co powiesz o tej ilustracji zagadki¹⁵⁰? Czy nie przypomina strzał z zakrzywionymi hakami? Niech Bóg nam będzie miłościwy! Ale skrzynka musi najprzód nieotwarta stanąć między mną a panem, a potem, otworzona, sama rozkaże, co robić dalej. Chciałabym, żeby się w niej nic nie znalazło, a czego bym jeszcze chciała i co bym mogła jeszcze naopowiadać... Ale niech to będzie zachowane na przyszłość, abyś pan tym rychlej ruszył w drogę.

*

No i jeszcze, dosyć po panięnsku, dopisek! Cóż właściwie mnie i pana obchodzi skrzynka? Należy ona do Feliksa — to on ją znalazł, przyswoił sobie. Jego musimy sprowadzić, bez niego nie możemy jej otworzyć.

A jakież to znowu zachody! Wlec się to będzie i odwlekać.

Czemu się pan tak kręcisz po świecie? Przybywaj pan! Przyrowadź ze sobą hożego chłopca, którego bym także znów pragnęła widzieć.

A więc wszystko się do tego sprowadza: ojciec i syn! Zrób pan, co możesz, ale przybywajcie obaj”.

¹⁵⁰Ilustracja zagadki — w oryginale niemieckim znajduje się tutaj rysunek kluczyka; nie możemy jednak postąpić się tą ilustracją, ponieważ nie ma jej w polskim tłumaczeniu, stanowiącym bazę dla publikacji Wolnych Lektur. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ TRZECI

Dziwny ten list dawno już oczywiście był napisany. Noszono go w różne strony, aż wreszcie, stosownie do adresu, mógł być teraz oddany. Wilhelm postanowił sobie — przez pierwszego posłańca, którego wyjazd był uzgodniony — odpowiedzieć uprzejmie, lecz odmownie. Hersylia, zdawało się, nie liczyła się z odległością, a on obecnie był zbyt poważnie zajęty, ażeby go miała pociągnąć choćby najlżejsza ciekawość dowiedzenia się, co się znajdować mogło w owej szkatułce. Kilka przy tym smutnych przypadków, jakie się zdarzyły najsilniejszym z tego dzielnego towarzystwa, dało mu sposobność okazania mistrzostwa w sztuce przezeń teraz uprawianej. A jak jedno słowo wydaje drugie, tak pomyślniej jeszcze wypływa jeden czyn z drugiego. I jeżeli przez to w końcu znowu wywoływane bywają słowa, to są one tym owocniejsze i bardziej podnoszą na duchu. Rozmowy tedy były zarówno pouczające, jak i zajmujące. Przyjaciele bowiem zdawali sobie nawzajem sprawę z dotychczasowej nauki i działalności, z czego powstało wykształcenie, wprawiające ich we wzajemne zdumienie tak dalece, że musieli się dopiero należycie ze sobą zapoznawać.

Pewnego tedy wieczoru rozpoczął Wilhelm swoje opowiadanie.

— Studia moje chirurgiczne starałem się natychmiast udoskonalić w dużym szpitalu największego miasta, gdzie one jedynie są możliwe. Zwróciłem się więc z zapalem przede wszystkim do anatomii, jako nauki zasadniczej.

W sposób szczególny, którego by nikt nie zgadł, daleko już postąpiłem w znajomości postaci ludzkiej, a to mianowicie za czasów mego zawodu teatralnego. Dobrze się zastanowiwszy, toć przecież główną tam rolę odgrywa ciało człowieka: piękny mężczyzna, piękna kobieta! Jeżeli dyrektor ma szczęście posiadać ich, to twórcy komedii i tragedii są ocaleni. Stan większej swobody, w jakiej żyje takie towarzystwo, zaznajamia współtowarzyszy z właściwą pięknocią niezakrytych kształtów więcej niż jakiegokolwiek inne stosunki. Nawet różnorodność kostiumów zmusza do pokazywania tego, co zwyczajowo bywa osłonięte. Miałbym dużo o tym do powiedzenia, tak samo jak o brakach cielesnych, które roztropny aktor znać winien w sobie i w innych, ażeby je jeśli nie usunąć, to ukryć przynajmniej. W ten to sposób dosyć byłem przygotowany, by z należyłą uwagą słuchać wykładów anatomii, uczących poznawać dokładnie części zewnętrzne. A i części wewnętrzne nie były mi obce, gdyż zawsze mi o nich tkwiło w pamięci jakieś przecucie.

Nieprzyjemną przy studiach przeszkodą była wciąż powtarzana skarga na brak przedmiotów, na niedostateczną liczbę ciał zmarłych, które życzone sobie wziąć pod nóż dla tak wysokich celów. Ażeby je zdobyć jeśli nie w dostatecznej, to możliwie największej liczbie, wydano surowe prawa — zabierani być mieli nie tylko zbrodniacy, co osobistość swoją pod każdym względem zmarnowali, lecz także i inni, cielesnie i duchowo zaniedbani.

Wraz z potrzebą wzrastała surowość, a z nią i oburzenie ludu, który ze względów moralnych i religijnych nie mógł się wyrzec swojej osobistości i osobistości sobie drogich.

Zło atoli zwiększyło się jeszcze bardziej, gdy się ujawniła niepokojąca troska, iż obawiać się należało nawet o spokojne groby ukochanych zmarłych. Już ani wiek, ani godność, ani wysoko czy nisko położeni nie byli bezpieczni w swoim miejscu wiecznego spoczynku. Mogiła, którą się ozdobiło kwiatami, napisy, którymi usiłowano utrwalić wspomnienie — nic nie mogło ochronić od zyskownej grabieży. Bolesne rozstanie zdawało się być zakłócone w sposób najokrutniejszy. Oddalając się od grobu, musiało się już doświadczać obawy, iż przyozdobione, w spokoju leżące członki osób ukochanych mogą być poćwiartowane, wywleczone i znieważone.

Atoli, powtarzając wciąż takie słowa przemłócone, nikt nie pomyślał ani nie mógł pomyśleć o środkach zaradczych. I coraz powszechniejsze stawały się narzekania, gdy młodzież, słuchając uważnie wykładu teoretycznego, chciała się także ręką i okiem przekonać o tym, co dotychczas widziała i czego się nauczyła, oraz wbić sobie głębiej i żywiej w wyobraźnię tę tak niezbędną wiedzę.

W chwilach takich powstaje jakiś nienaturalny głód naukowy, który pobudza żądę najwstrętniejszego choćby zaspokojenia jako czegoś, co jest najmilsze i najbardziej niezbędne.

Taki nastrój i usposobienie już od pewnego czasu zajmowały i zabawiały żądnych wiedzy i czynu, gdy wreszcie pewien wypadek, który miasto w ruch wprawił, wywołał

Nauka, Ciało, Trup

Grób, Trup

pewnego poranku na kilka godzin gwałtowne „za” i „przeciw”. Bardzo piękna dziewczyna, obłąkana z powodu nieszczęśliwej miłości, szukała śmierci i znalazła ją w wodzie. Anatomia ją pochwyliła — próżne były starania rodziców, krewnych, a nawet samego kochanka, który wskutek jedynie nieuzasadnionej zazdrości stał się podejrzany. Wyższe władze, które dopiero co obostrzyły prawo, nie chciały zezwolić na żaden wyjątek. Pośpieszono, jak tylko można najprędzej, zużytkować łup i dla zużytkowania poćwiartować go.

Wilhelm, który jako najbliższy aspirant również był powołany, zastał przed siedzeniem, jakie mu wskazano, na czystej desce chędogo przykrytej, zadanie kłopotliwe. Bowiem, zdjąwszy zasłonę, ujrzał najpiękniejsze ramię kobiece, jakie wkoło szyi młodzieńca kiedykolwiek się obwinęło. Sztuciec swój trzymał w ręce i nie miał odwagi go otworzyć, stał i nie śmiał usiąść. Wstręt przed dalszym jeszcze oszpecceniem tego wspaniałego wytworu natury walczył z wymaganiem, jakie człowiek żądny wiedzy musi względem siebie postawić, a jakiemu wszyscy wokół siedzący czynili zadość.

W tej chwili przystąpił do niego poważny mężczyzna, którego zauważył jako rzadkiego wprawdzie, lecz, bądź co bądź, bardzo uważnego słuchacza i widza, i o którego już się wypytywał, ale nikt nie mógł mu dać bliższych objaśnień. Zgadzano się tylko, że to był rzeźbiarz, lecz uważano go także za robiącego złoto, mieszkającego w dużym, starym domu, którego tylko pierwsze podwórze dostępne było dla odwiedzających albo dla pracujących z nim, wszystkie zaś dalsze przestrzenie były zamknięte. Człowiek ten zbliżał się w rozmaity sposób do Wilhelma, wychodził z nim z lekcji, atoli zdawał się unikać bliższej łączności i objaśnień.

Tym razem przemówił z niejaką otwartością:

— Widzę, że się pan wahasz; podziwiasz piękny utwór, nie mogąc go zniszczyć. Wzniesie się pan ponad uczucie cechowe i chodź ze mną.

To mówiąc, przykrył znów ramię, dał posługaczowi znak jakiś i obaj opuścili to miejsce. W milczeniu szli obok siebie, aż na wpół znajomy stanął przed wielką bramą, w której otworzył furtkę i wepchnął przez nią przyjaciela naszego. Znalazł się on potem w przestrzeni dużej, obszernej, jakie widzujemy w starych domach kupieckich, by przybywające skrzynie i paki natychmiast tam ściągać. Stały tu odlewy gipsowe posągów i popiersi oraz obicia z tarcic — wypakowane i puste.

— Wygląda to po kupiecku — rzekł ów mężczyzna. — Transport wodny, stąd możliwy, jest dla mnie nieoceniony.

Wszystko to bardzo się dobrze zgadzało z zatrudnieniami rzeźbiarza. Tak też rozumował Wilhelm, gdy go uprzejmy gospodarz wyprowadził po kilku schodach do obszernego pokoju, ozdobionego wkoło wypukło- i płaskorzeźbami, większymi i mniejszymi figurami, popiersiami, a nawet pojedynczymi członkami najpiękniejszych kształtów. Z przyjemnością patrzył na to wszystko przyjaciel nasz i chętnie się przysłuchiwał nauczającym słowom gospodarza, chociaż musiał spostrzec wielką jeszcze przepaść między tymi robotami artystycznymi a dążeniami naukowymi, od których one wychodziły. Wreszcie właściciel domu rzekł z niejaką powagą:

— Po co tu pana przyprowadzam, łatwo zgadniesz. Drzwi te — mówił dalej, zwracając się w bok — leżą bliżej, niżbyś pan myślał, wejścia do sali, z której przychodzimy.

Wilhelm wszedł i zdziwić się zaiste musiał, znalazłszy tu zamiast odtworzenia kształtów żywych, jak poprzednio, ściany pokryte całkowicie anatomicznymi rozczłonkowaniami. Czy były zrobione z wosku czy z innej masy, dość, że miały w zupełności świeży, barwny wygląd dopiero co wykonanych preparatów.

— Tu, mój przyjacielu — rzekł artysta — widzisz szacowne namiastki owych wysiłków, które, z oburzeniem świata, w niewłaściwych chwilach częstokroć ze wstrętem i wielką troskliwością, wykonujemy na zniszczenie albo na przykre przechowanie. Zająć temu oddawać się muszę w najgłębszej tajemnicy, boś pan nieraz już pewnie słyszał ludzi fachowych, mówiących o tym z lekceważeniem. Nie daję się zbić z tropu i przygotowuję coś, co w następstwie mieć będzie niewątpliwie wpływ wielki. Chirurg zwłaszcza, jeśli się wzniesie ku plastycznemu pojęciu, najlepiej z pewnością dopomoże wiecznie twórczej naturze przy każdym skaleczeniu. Nawet lekarza pojęcie takie mogłoby umocnić w jego działaniach. Ale nie wdawajmy się w gadaninę. Rychło się pan przekonasz, że budowanie

więcej uczy niż rozrywanie, łączenie więcej niż rozdzielanie, ożywianie zmarłych więcej niż zabijanie dalsze martwych. Jednym słowem: chcesz pan być uczniem moim?

A gdy Wilhelm przystał, znawca położył przed gościem układ kostny ramienia ko-biecego w tej pozycji, w jakiej niedawno widzieli tamto.

— Zauważyłem — mówił mistrz dalej — z jak wielką uwagą przysłuchiwałeś się nauce o ścięgniach. I słusznie, gdyż wraz z nimi dopiero zaczyna się dla nas ożywiać marta zbieranina kości. Ezechiel¹⁵¹ musiał widzieć, jak się najprzód kości na owym polu w ten sposób zbierały i skupiały, zanim członki mogły się poruszać, ręce dotykać, a nogi wyprostować. Oto jest podatna masa i inne potrzebne rzeczy, spróbuj pan szczęścia.

Nowy uczeń zebrał myśli, a przypatrzawszy się dokładniej częściom kości, ujrzał, że były sztucznie z drzewa wyrobione.

— Jeden zręczny człowiek — rzekł nauczyciel — którego sztuka poszła za chlebem, gdy jego rzeźbieni święci i męczennicy nie znajdowali zbytu, dał się przeze mnie skłonić ku temu, żeby się wydoskonalic w robieniu szkieletów i wytwarzać je wedle natury w dużym i małym formacie.

Przyjaciel nasz robił, jak mógł najlepiej, i pozyskał pochwałę kierownika. Miło mu było przy tym wypróbować się co do siły lub słabości wspomnienia — i z przyjemnym zdziwieniem przekonał się, że je czynność wywołuje na powrót, zapalił się do roboty i prosił mistrza, by go przyjął do swego mieszkania. Tu tedy pracował nieustannie, toteż kości i kosteczki ramienia w krótkim czasie zostały dość ładnie złączone. Atoli od nich miały wychodzić ścięgna i mięśnie, wydało się zaś zupełnym niepodobieństwem odtworzyć w ten sposób równomiernie całe ciało we wszystkich jego częściach. Pocieszył go w tej mierze nauczyciel, pokazując możliwość zwiększenia egzemplarzy przez odlanie formy. Przy czym wykańczanie i oczyszczanie wymagało nowego wytężenia, świeżej uwagi.

Wszystko, do czego się człowiek poważnie zabiera, ciągnie się w nieskończoność — niesłabnącą jedynie w zapale czynnością może on sobie w tym zaradzić. Wilhelm też wyszedł niebawem ze stanu poczucia swej niemożności, które jest zawsze pewnym rodzajem rozpacz, i doznawał zadowolenia przy pracy.

— Ciesz się — rzekł nauczyciel — że się umiesz zastosować do tego sposobu postępowania, dając mi świadectwo, jak płodna jest taka metoda, chociaż jej nie uznają mistrze fachowi. Musi istnieć szkoła, a ta zajmować się będzie przeważnie tradycją. Co się dotychczas działo, powinno się dziać i w przyszłości; dobre to jest, tak być musi i powinno. Ale gdzie szkoła zatrzymuje się, to trzeba spostrzec i wiedzieć: należy pochwycić żywotne rzeczy i ćwiczyć się w nich, lecz po cichu, gdyż inaczej dozna się przeszkody i przeszkodzi się innym. Pan masz poczucie żywotności i okazujesz to czynem. Łączenie więcej znaczy niż rozdzielanie, odtwarzanie więcej niż przyglądanie się.

Wilhelm dowiedział się, że modele takie już się w cichości szeroko rozeszły. Z największym podziwem posłyszał, że zapasy są zapakowane i mają pójść za morze. Dzielnym ten artysta nawiązał już stosunki z Lotariuszem i jego przyjaciółmi. Założenie takiej szkoły w owych kształcących się prowincjach uznano za rzecz bardzo stosowną, a nawet niezbędną — zwłaszcza wśród naturalnie uspołecznionych, rozważnych ludzi, dla których rzeczywiste rozczłonkowanie ma zawsze w sobie coś kanibalskiego.

— Jeśli pan przynasz, że większa część lekarzy i chirurgów zatrzymuje w myśli ogólne tylko wrażenie rozczłonkowanego ciała ludzkiego, sądząc, że z tym sobie poradzą, to z pewnością modele takie wystarczą, by powoli gasnące w duszy jego obrazy na nowo odświeżyć i żywo utrzymać w pamięci to, co koniecznie potrzebne. Co więcej, zależy będzie od skłonności i amatorstwa, żeby najdelikatniejsze wyniki sekcji dały się odtworzyć. Toż wykonuje to już pióro rysownicze, pędzel i rylec.

Wtedy otworzył szafkę boczną i ukazał odtworzone w sposób zadziwiający nerwy wzrokowe.

— Niestety — rzekł — jest to ostatnia praca zmarłego młodo pomocnika, który mnie największą napelniał nadzieją, że myśli moje przeprowadzi i pragnienia moje użytecznie rozpowszechni.

¹⁵¹Ezechiel — jeden z proroków większych *Starego Testamentu*; zgodnie z biblijną Księgą Ezechiela, miał on widzieć w dolinie rozczłonkowane, wyschłe ciała, których kości, dzięki jego natchnionemu prorocztwu, same podniosły się i złączyły, obrastając ścięgna i mięśniami, by ożywić martwych ludzi. [przypis edytorski]

Dużo ze sobą różnostronnie rozprawiali o wpływie takiego sposobu traktowania rzeczy, a i stosunek do sztuk plastycznych był przedmiotem ważnej rozmowy. Z wywnętrzonych powstał zastanawiający, piękny przykład, jak należy tym trybem pracować naprzód i wstecz. Mistrz zrobił w podatnej masie odlew pięknej reszty antycznego młodzieńca i starał się teraz rozważnie oswobodzić postać idealną od powłoki i przemienić piękno żywotne w realny preparat mięśni.

— Tu również środek i cel tak blisko się znajdują siebie. I chętnie wyznam, że dla środków zaniedbał celu, ale niezupełnie z własnej winy. Człowiek bez osłony jest właściwie człowiekiem. Rzeźbiarz stoi bezpośrednio u boku Elohimów¹⁵², kiedy to oni niekształtną, wstrętą glinę zdołali przekształcić w utwór najwspanialszy. Powinien on hodować w sobie takie boskie myśli, gdyż dla czystych wszystko jest czyste, a więc dla czegoż by nie był takim bezpośredni zamiar Boga w naturze? Ale od obecnego stulecia nie można tego wymagać. Bez liści figowych i skór zwierzęcych obejść się niepodobna, a i to jeszcze za mało. Ledwie się czegoś nauczyłem, żądano ode mnie godnych mężów w szlafrokach z szerokimi rękawami i niezliczonymi fałdami. Wtedy odwróciłem się od nich, a że tego, com rozumiał, nie wolno mi było nawet zastosować do wyrażenia piękna, obrałem sobie być użytecznym, a i to przecież ma swoje znaczenie. Jeśli życzenie moje się spełni, jeśli uznają, że się to zda na coś, iżby, jak w wielu innych rzeczach, odtwarzanie i przedmioty odtworzone przychodziły na pomoc wyobraźni i pamięci tam, gdzie ducha ludzkiego opuszcza pewna świeżość, to niejedynemu pewnie artysta plastyczny zmieni zawód, jak ja zrobiłem, i pracować będzie raczej dla waszego dobra, niżby miał wbrew przekonaniu i uczuciu uprawiać wstrętne rzemiosło.

Połączyła się z tym uwaga, że pięknie to widzieć, jak sztuka i technika zawsze niby się wzajem równoważą i — tak blisko będąc spokrewnione — zawsze się ku sobie nachylają, tak że sztuka nie upada, nie przybierając charakteru rzemiosła, a rzemiosło nie może się wznieść, nie stając się bardziej kunsztowne.

Obaj tak do siebie przystali i tak doskonale przywykli nawzajem, że z przykrością się rozłączali, kiedy się to stało niezbędne, by móc podążyć ku właściwym sobie wielkim celom.

— Aby jednak nie sądzono — rzekł mistrz — że się wyłączamy z natury i chcemy się jej zaprzeczyć, otwieramy oto świeże widoki. Tam, za morzem, gdzie pewne godne ludzkości usposobienia wzmagają się coraz bardziej, trzeba będzie w końcu, znosząc karę śmierci, budować obszerne twierdze, murem obwiedzione przestrzenie, by uchronić spokojnego obywatela od zbrodni, a zbrodni nie pozostawić bezkarnego panoszenia się i rozwijania. Tam, przyjacielu mój, w tych smutnych przestrzeniach zamówimy sobie kaplicę dla Eskulapa¹⁵³. Tam równie odosobniona, jak sama kara, wiedza nasza odświeżać się będzie ciągle takimi przedmiotami, których rozkawałkowanie nie rani naszego uczucia ludzkiego, na widok których nóż nam, jak się to panu zdarzyło przy owym pięknym, niewinnym ramieniu, nie utknie w ręce, a żądza wiedzy nie wygaśnie całkowicie wobec współczucia.

— Takie były — powiedział Wilhelm — ostatnie nasze rozmowy. Widziałem, jak dobrze wylądowane skrzynie spływały rzeką, życząc im najpomysłniejszej jazdy, a sobie pogodnego spotkania przy wypakowywaniu.

Przyjaciel nasz prowadził i zakończył wykład ten z natchnieniem i entuzjazmem, a zwłaszcza z pewną żywością głosu i mowy, która w nowszych czasach nie była mu zwykłą. Atoli, ponieważ przy zakończeniu swej mowy spostrzegł, jak mu się zdawało, że Leonard, jakby roztargniony i nieobecny, nie siedł za tym, co wykładano, a Fryderyk uśmiechał się i kilkakrotnie głową niby potrząsał, tak dotknęło czulego znawcę min to słabe zainteresowanie się rzeczą, która mu się jako niezmiernie ważna przedstawiała, że nie mógł powstrzymać się, aby nie zapytać o to przyjaciół.

Fryderyk wypowiedział się w tej mierze po prostu i całkiem szczerze, iż przedsięwzięcie owo poczytuje za chwalebne i dobre, ale nie może go uważać za tak doniosłe, a przynajmniej za wykonalne. Mniemanie to starał się uzasadnić dowodami takimi, że one temu, kto przejął się jakąś sprawą i zamysła ją przeprowadzić, wydawać się musiały

¹⁵²*Elohim* — (z hebr.) bogowie, jeden z tytułów, wielokrotnie odnoszony w *Biblii* do Boga. [przypis edytorski]

¹⁵³*Eskulap* a. *Asklepios* — w mitologii rzymskiej i greckiej bóg sztuki lekarskiej. [przypis edytorski]

obraźliwe bardziej, niż można sobie wyobrazić. Toteż nasz anatom plastyczny, słuchając czas jakiś niby cierpliwie, w końcu odrzekł żywo:

— Mój kochany Fryderyku, ty masz zalety, których nikt ci nie zaprzeczy, a ja najmniej. Ale tutaj mówisz zwyczajnie jak ludzie zwyczajni. W nowości dostrzegamy tylko dziwactwo, ale by w dziwactwie ujrzeć zaraz coś doniosłego, na to czegoś więcej potrzeba. Dla nas musi naprzód przejść wszystko w czyn, musi się stać, zjawić się przed oczyma jako rzecz możliwa, rzeczywista, a wówczas zgadzamy się na nią jak na co bądź innego. Co ty powiadasz, to widzę już teraz, jak powtarzają wykształceni i laicy; tamci z uprzedzenia i dla wygody, ci z obojętności. Przedsięwzięcie, o którym mowa, może być wykonane chyba tylko w nowym jakimś świecie, gdzie duch nabrać musi odwagi wyszukiwania nowych środków dla zadośćuczynienia niezbędnej potrzebie, gdyż tradycyjnych brak zupełnie. Budzi się wtedy wynalazczość, do konieczności przyłącza się śmiałość i wytrwałość. Każdy lekarz, czy działa za pomocą środków leczniczych czy ręki, niczym jest bez dokładnej znajomości zewnętrznych i wewnętrznych członków człowieka. A wcale tu nie wystarczają ulotne wiadomości, powzięte w szkołach, dające powierzchowne pojęcie o kształcie, położeniu i związku najróżnorodniejszych części niezbadanego organizmu. Lekarz, który traktuje rzecz poważnie, powinien się codziennie ćwiczyć w powtarzaniu tej wiedzy, tego rozpatrywania się, szukając wszelkiej sposobności, by wciąż odnawiać w duszy i przed okiem związek tego żyjącego cudu. Gdyby znał korzyść własną, to ponieważ brak mu czasu do takich robót, utrzymywałby swym kosztem anatoma, który by pod jego kierunkiem zajmując się tym po cichu dla niego, jak gdyby w obecności wszystkich powikłań najzawilszego życia, potrafił natychmiast odpowiedzieć na najtrudniejsze pytania. Im lepiej rozumieć to będziemy, tym żywiej, gwałtowniej, namiętniej uprawiane będzie studiowanie rozczłonkowania. W tej samej atoli mierze zmniejszać się będą środki. Przedmiotów, ciał, na których opierać trzeba takie studia, zabraknie, staną się one radsze, droższe i zawiąże się istotna walka między żyjącymi a umarłymi. W starym świecie wszystko jest nałogiem; nowość traktować tam chcą według starego stylu, a to, co rośnie, według tego, co stężało. Tę walkę, jaką zapowiadam pomiędzy umarłymi a żyjącymi, toczyć się będzie na życie i śmierć. Przerzącać się będą, śledzić, wydawać prawa i nic nie robią. Ostrzeżenie i zakaz nic nie znaczą w takich wypadkach; trzeba zaczynać od początku. A tego właśnie spodziewamy się, mistrz mój i ja, dokonać wśród nowych stosunków. I to nic nie jest nowego, już istnieje. Ale to, co teraz jest sztuką, musi się stać rzemiosłem, co się dzieje w szczególności, musi się stać możliwe w ogóle, a to tylko może się rozpowszechnić, co jest uznane. Nasza działalność musi być uznana jako środek jedyny w stanowczym utrapieniu, grożącym mianowicie wielkim miastom. Przytoczę tu słowa mojego mistrza, tylko uważajcie. Pewnego dnia rzekł mi w największym zaufaniu: „Czytelnik gazety uważa artykuł za interesujący, prawie za zabawny, kiedy mu się opowiada o mężach odrodzenia. Z początku kradli oni trupy w głębokiej tajemnicy, stawiano więc stróżów. Przychodzą tedy ze zbrojnym orszakiem, by gwałtem łupem swym zawładnąć. A do złego przyłączy się rzecz najgorsza; nie mogę mówić o tym głośno, gdyż uwikłałbym się, nie jako współwinny, ale jako przypadkowo współwiedzący, w wielce niebezpieczny proces, w którym, bądź co bądź, ukarać by mnie musiano za to, że odkrywszy zbrodnię, nie doniósł o niej sądom. Tobie przyznaję się, mój przyjacielu: w tym mieście popełniono zabójstwo, aby dostarczyć pewnego przedmiotu uporczywemu, a dobrze płacącemu anatomowi. Ciało, życia pozbawione, leżało przed nami. Nie mam odwagi sceny tej malować. On poznał zbrodnię, ale i ja także. Spojrzeliśmy na siebie i milczeliśmy obaj. Patrzyliśmy przed siebie i w milczeniu zabraliśmy się do roboty. To właśnie, mój przyjacielu, zapędziło mnie między wosk i gips. To także utrzyma i ciebie przy sztuce, która, prędzej czy później, wysławiana będzie przez wszystkich”.

Fryderyk podskoczył, klasnął w ręce i nieustannie wołał: „Brawo”, tak że w końcu Wilhelm rozgniewał się na serio.

— Brawo! — wołał tamten. — Teraz cię znów poznaję! Po raz pierwszy od dawnego czasu znowu mówiłeś jak ten, komu leży coś na sercu. Po raz pierwszy porwał cię potok wymowy, okazałeś się takim, co potrafi coś uczynić i to zachwalać.

Leonard zabrał następnie głos i zażegnał zupełnie tę małą niesnaskę.

— Wydawałem się nieobecny — rzekł on — ale dlatego tylko, że byłem więcej niż obecny. Przypomniałem sobie mianowicie wielki gabinet tego rodzaju, który widziałem

w czasie podróży swoich, a który tak mnie zajął, że kustosz, co dla pozbycia się wedle zwyczaju zaczął wydawać wymowną na pamięć litanie, rychło wypadł z roli, będąc sam artystą, i okazał się wielce świadomym rzeczy przewodnikiem. Dziwne przeciwieństwo widzieć przed sobą wśród pełnego lata, w chłodnych pokojach, przy parnym gorącu na zewnątrz, przedmioty, do których śmiemy się zbliżać wśród najcieplejszej zaledwie zimy! Tutaj wszystko wygodnie służyło żądzy wiedzy. Z największym spokojem i w najśliczniejszym porządku ukazywał mi on cuda budowy ludzkiej i cieszył się, mogąc mnie przekonać, że na początek i na późniejsze przypomnienie zupełnie zakład taki wystarcza. Przy czym wolno każdemu zwracać się w wolnym czasie do natury i przy sposobności wywiadywać się o tę lub ową część poszczególną. Prosił mnie, bym go polecał. Zbiór bowiem taki wypracował dla jednego tylko wielkiego muzeum zagranicznego. Uniwersytety stanowczo się opierały temu przedsięwzięciu, gdyż mistrzowie sztuki umieją wykształcić prosekatorów, ale nie pro-plastyków. Stąd to uważałem tego zdolnego człowieka za jedyne w świecie, a teraz słyszymy, że i ktoś drugi robi usiłowania w tym kierunku. Któż wie, czy gdzie nie wystąpi jeszcze na światło dzienne trzeci i czwarty! Ze swej strony postaramy się dać tej sprawie poparcie. Zalecenie musi przyjść z zewnątrz, a wśród naszych nowych stosunków pożyteczne przedsięwzięcie powinno być rozwinięte.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nazajutrz, wcześniej rano, wszedł do pokoju Wilhelma Fryderyk z zeszytem w ręce i, oddając mu go, powiedział:

— Wczoraj wieczorem wobec wszystkich cnót waszych, w wyliczeniu których byliście dosyć szczegółowi, nie miałem możliwości mówić o sobie i zaletach swoich, którymi się poszczycić także mogę i które mnie wynoszą na godnego członka tej wielkiej karawany. Rozpatrzcie oto ten zeszyt, a będziecie mieli ich próbkę.

Wilhelm przebiegł kartki szybkim spojrzeniem i ujrzał spisaną wielce czytelnie, chociaż ulotnie wczorajszą relację o swoich studiach anatomicznych — prawie słowo w słowo, jak on ją przedstawił. Z tego powodu nie mógł ukryć swego podziwu.

— Znacie — rzekł Fryderyk — prawo zasadnicze naszego związku: musi być w jakimkolwiek zawodzie doskonały, kto rości pretensję do zostania jego członkiem. Łamałem tedy sobie głowę, w czym by też mnie się mogło powieść? I nie mogłem nic znaleźć, chociaż przecież wiedziałem, że mnie nikt nie prześcignie w pamięci, ani też w piśmie szybkim, lekkim i czytelnym. Te miłe przymioty pamiętacie pewnie z czasów naszego zawodu teatralnego, kiedyśmy to swój proch na wróble wystrzeliwali, nie myśląc o tym, że strzał dobrze wymierzony może też zająca w kuchni przysporzyć. Jakżeż często podpowiadałem bez książki! Jakże często pisałem w krótkim czasie role z pamięci! To wam wówczas dogadzało i myśleliście, że tak być powinno; a i ja także. I nie przyszłoby mi na myśl, jak dalece mi się to przyda. Pierwszy opat zrobił to odkrycie. Uważał, że to woda na jego młyn. Spróbował mnie wyćwiczyć, a mnie się podobało, co mi tak łatwo przychodziło, a zadowalało poważnego męża. A teraz jestem, gdy potrzeba, niby całą kancelarią. Prócz tego wozimy ze sobą jeszcze jedną taką dwunożną maszynę rachunkową, a żaden książę, choćby nie wiem ilu miał urzędników, nie jest tak dobrze obsłużony jak nasi przełożeni.

Wesoła rozmowa o czynnościach tego rodzaju skierowała myśli na innych członków towarzystwa.

— Czyżbyś pan przypuścił — mówił Fryderyk — że najbardziej nieużyteczne, jak się zdawało, stworzenie w świecie, moja Filina, stanie się najbardziej przydatnym ogniwem wielkiego łańcucha? Podajcie jej kawał sukna, postawcie mężczyznę, postawcie kobietę przed jej obliczem, a ona, nie biorąc miary, wykroi z całości; i potrafi przy tym wszystkie płamki i skosy tak zużytkować, że wielka stąd korzyść wynika. I to wszystko bez papierowego wzoru! Trafny wzrok duchowy uczy ją tego wszystkiego; spogląda na człowieka i kraje. Może on sobie pójść, gdzie chce, ona kraje wciąż i sprawia mu surdut leżący jak ulał. Byłoby to jednak niemożliwe, gdyby nie była przyciągnęła szwaczki, Lidii Montana, która wreszcie uspokoiła się i trwa w spokoju, a tak ślicznie szyje jak żadna; ścieg za ściegiem jak perły, jak haft. Otóż to, co można zrobić z ludzi. Właściwie wisi wkoło nas tyle rzeczy bezużytecznych, płaszcz łachmaniarski, sklecony z nałogów, skłonności,

roztargnienia i samowoli. Stąd to, co z nas mieć chciała natura, co w nas włożyła najznajmniejszego, tego nie umiemy ani odnaleźć, ani wykonywać.

Ogólne uwagi o korzyściach związku towarzyskiego, który się tak pomyślnie skupił, napawały najpiękniejszymi widokami.

Kiedy następnie dołączył do nich Leonard, prosił go Wilhelm, ażeby też o sobie opowiedział, i uprzejmie ich powiadomił o trybie życia, jaki prowadził dotychczas — o sposobie, w jaki się przyczyniał do udoskonalenia siebie i innych.

— Przypominasz sobie, mój najdroższy — odparł Leonard — w jak dziwnie namiętnym stanie zastałeś mnie w pierwszej chwili poznania się naszego. Zatopiłem się, zaplątałem się w nader dziwaczne pragnienie, w niepokonaną żądzę. Wówczas mogła być tylko mowa o najbliższej godzinie, o ciężkim cierpieniu, jakie mi zostało zgotowane i jakie sam wielce gorliwie powiększyć się starałem. Nie mogłem pana zaznajomić z mymi dawniejszymi, młodzieńczymi losami, jak to obecnie zrobić muszę, aby wskazać panu drogę, która mnie tutaj zawiodła. Wśród zdolności moich, które się powoli wskutek wpływów okolicznościowych rozwijały, najwcześniej się objawił pewien popęd do techniki, wzmagany codziennie niecierpliwością, jakiej się doznaje na wsi, kiedy przy większych budowlach, zwłaszcza zaś przy małych przemianach, urządzeniach i zachciankach, musimy obejść się bez tego i owego rzemieślnika i wolimy raczej popędzić robotę niezręcznie i po partacku, niż ją opóźnić, czekając na mistrza. Szczęściem po naszej okolicy włóczył się pewien wszystko-rób, który, dobrze się u mnie obławiając, wspierał mnie chętniej niż moich sąsiadów. Urządził mi on tokarnię¹⁵⁴, którą za każdymi odwiedzinami potrafił więcej się posługiwać ku swoim celom niż ku mojej nauce. Sprawilem też sobie warsztat stolarski, a skłonność moja do takich rzeczy spotęgowana i ożywiona została przeświadczeniem głośno wówczas wypowiedzanym, że nikt nie może ośmielić się wstępować w życie, jeżeli w potrzebie nie będzie się umiał utrzymywać z rzemiosła. Zapal mój pochwalili wychowawcy wedle własnych zasad. Ledwie sobie przypominam, bym kiedykolwiek się bawił, wszystkie bowiem wolne godziny obracałem na jakąś robotę. Ba, mogę się pochwalić, że już chłopcem będąc, wskutek wymagań swoich podniosłem zręcznego kowala do godności ślusarza, pilnikarza¹⁵⁵ i zegarmistrza. Ażeby tego dokonać, musieliśmy naturalnie wprzód zdobyć sobie narzędzia. A niemało ucierpieliśmy na słabości tych techników, co to mieszają cel ze środkami, wolą tracić czas na przygotowania i przybory, niż się pilnować poważnie wykonania. Ale gdzieśmy mogli okazać się czynni praktycznie, to przy zakładaniu parków, bez których już żaden obywatel ziemski obejść się nie mógł. Pewne chatki z mchu i kory, plecione mostki i ławki świadczyły o naszej skrętności, z jaką staraliśmy się gorliwie wśród świata ucywilizowanego pokazywać budownictwo pierwotne w całej jego surowości. W miarę upływu lat popęd ten doprowadził mnie do poważniejszego współudziału we wszystkim, co dla świata jest tak użyteczne i w jego dzisiejszym stanie tak niezbędne, i nadał moim wieloletnim podróżom istotne zainteresowanie. A że człowiek zwykł dalej wędrować tą drogą, która go do czegoś doprowadziła, mniej tedy sprzyjałem maszynom niż bezpośredniej pracy ręcznej, gdzie ćwiczymy się i uczucie w połączeniu. Stąd też chętnie się zatrzymywałem wśród takich przede wszystkim kółek, gdzie wedle okoliczności wykonywano taką lub inną robotę. Takie rzeczy nadają każdemu związkowi szczególną właściwość, każdej rodzinie, każdemu małemu społeczeństwu złożonemu z kilku rodzin bardzo wybitny charakter. Żyje się tu w najwyraźniejszym poczuciu żywotnej całości. Przyzwyczailem się przy tym spisywać wszystko, zaopatrywać w rysunki i tak, nie bez widoków na przyszłe zastosowanie, spędzać czas chwalebnie i miło. Skłonność tę, wykształcony dar ten zużytkowałem jak najlepiej przy ważnym zleceniu, jakie mi dało towarzystwo, bym zbadał stan górali i zabrał ze sobą użytecznych ludzi, żądnych wędrowki, do naszego orszaku. Może byś pan zechciał ten piękny wieczór, kiedy mnie różnorodne odciągają zajęcia, spędzić na czytaniu części mego dziennika? Nie myślę utrzymywać, żeby był bardzo przyjemny do czytania, mnie wydawał się on jednak zawsze zajmujący i w pewnej mierze pouczający. Toż przecież zawsze się sami odzwierciedlamy we wszystkim, czego dokonujemy.

¹⁵⁴tokarnia (daw.) — warsztat, w którym obrabia się przedmioty na tokarce. [przypis edytorski]

¹⁵⁵pilnikarz — dawniej rzemieślnik wyrabiający pilniki i tarniki. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dziennik Leonarda

Poniedziałek, 15 września

Wśród głębokiej nocy, z trudem dotarłszy do połowy wysokości góry, dostałem się do znośnej oberży, a już przed świtem, ku wielkiemu zmartwieniu memu, zbudziły mnie ze snu pokrzepiającego przeciągłe dźwięki dzwonków i dzwonów. Długi szereg jucznego bydła przeciągnął, zanim się mogłem ubrać i wyprzedzić go. Puszczając się w swoją drogę, przekonałem się bardzo szybko, jak nieprzyjemne i przykre jest takie towarzystwo. Monotonne dzwonienie ogłusza słuch. Pakunki, wystające daleko poza oba boki zwierząt (dźwigały one teraz wielkie wory bawełny), ocierają się z jednej strony o skały; jeżeli zwierzę, chcąc tego uniknąć, na drugą przejdzie stronę, to brzemię unosi się nad przepaścią, wzbudzając w widzu niepokój i zawrót głowy. A co najgorsze, w obu wypadkach niepodobna się przemknąć i pójść przodem.

Nareszcie wydostałem się z boku na skałę otwartą, gdzie święty Krzysztof, który niósł krępko moje rzeczy, powitał człowieka, co stojąc w milczeniu, zdawał się oglądać przeciągający orszak. Istotnie — był to przywódca. Nie tylko należała do niego znaczna liczba obładowanych zwierząt (niektóre wynajął wraz z poganiaczami), ale był także właścicielem mniejszej części towarów; zajęcie zaś jego głównie polegało na starannym dopilnowaniu transportu dla większych kupców. Z rozmowy dowiedziałem się od niego, że jest to bawełna, przybywająca z Macedonii i Cypru przez Triest¹⁵⁶, którą od stóp góry na mułach i koniach juczych przewozi się przez te wyżyny i dalej, aż na drugą górę, gdzie prządki i tkacze niezliczeni w dolinach i wąwozach przygotowują ogromny zapas poszukiwanych towarów dla zagranicy. Wory dla wygodniejszego ładunku mieściły ciężar półtrzecia¹⁵⁷ lub trzy centnary¹⁵⁸ wynoszący — to drugie stanowi pełne brzemię bydła jucznego. Człowiek ten chwalił jakość bawełny tą drogą przybywającej, porównywał ją z bawełną przywożoną z Indii Wschodnich¹⁵⁹ i Zachodnich¹⁶⁰, a zwłaszcza z Cayenne¹⁶¹, jako z najbardziej znanymi. Wydawał się bardzo dobrze poinformowany o swym zajęciu, a ponieważ dla mnie nie było ono całkiem nieznanym, mieliśmy tedy bardzo przyjemną i pożyteczną rozmowę.

Handel

Tymczasem cały orszak przeszedł, a ja z jakimś wstrętem ujrzałem na wijącej się w górę ścieżce skalistej nieprzejrany szereg tych opakowanych stworzeń, za którymi trzeba się było piąć i piec między skałami w słońcu, wznosząc się coraz wyżej. Kiedym się na to uzał przed swoim tragarzem, przystąpił do nas krępy, rześki mężczyzna, który na dosyć dużym kiju niósł lekkie stosunkowo, jak się zdawało, brzemię. Powitaliśmy się, a po silnych potrząśnięciach rąk, łatwo było spostrzec niebawem, że święty Krzysztof i ten nowy przybysz doskonale się znają ze sobą. Toteż dowiedziałem się zaraz, co następuje. Dla dalszych okolic w górach, dokąd każdemu poszczególnemu robotnikowi za daleko byłoby chodzić na targ, istnieje pewien rodzaj podrzędnego handlarza czy kramarza, nazywanego roznosicielem przędzy (niem. *Garntträger*). Chodzi on po wszystkich dolinach i kątach, wstępuje od domu do domu, przynosi prządkom bawełnę w małych partiach, zamienia na przędzę albo ją kupuje — jakiegokolwiek jest wartości — i zostawia ją znowu z pewną korzyścią w większych ilościach fabrykantom, osiadłym niżej.

Otóż kiedy znowu zgadło się o niedogodności wleczenia się za mułami, zaprosił mnie zaraz ów człowiek, żebym z nim zszedł w boczną dolinę, która właśnie oddzielała się od doliny głównej, odprowadzając wodę ku innej okolicy. Rychło się zdecydowałem. A gdyśmy z niejakim wyteżeniem przeszli trochę stromy grzebień górski, ujrzałem przed sobą zbocza z drugiej strony, zrazu bardzo niewesołe — skała się zmieniła i ukośne przybrała położenie, roślinność nie ożywiła zgoła kamieni i żwiru, widać było groźne, spadziste

¹⁵⁶Triest — portowe miasto w pln.-wsch. Włoszech, położone nad Adriatykiem. [przypis edytorski]

¹⁵⁷półtrzecia — dwa i pół. [przypis edytorski]

¹⁵⁸centnar — jednostka masy o zróżnicowanej lokalnie wielkości. [przypis edytorski]

¹⁵⁹Indie Wschodnie — wyspiarska część Azji Płd.-Wsch., w zasadzie Archipelag Malajski. [przypis edytorski]

¹⁶⁰Indie Zachodnie — wyspy leżące między Morzem Karaibskim a Oceanem Atlantyckim. [przypis edytorski]

¹⁶¹Cayenne — stolica i główny port Gujany Francuskiej. [przypis edytorski]

zejście. Strumyki sączyły się z wielu stron. Przechodzono nawet koło małego jeziora, otoczonego stromymi skałami. Na koniec pojawiły się, z początku pojedynczo, później w kupkach, sosny, modrzewie i brzozy, potem rozrzucone pomiędzy nimi mieszkania wiejskie — co prawda w najbiedniejszym rodzaju, każda chata sklecona z dylów zazębionych przez samychże ich mieszkańców. Na wielkich dranicach¹⁶² dachowych leżały kamienie dla ochrony od działania wiatru. Pomimo tego smutnego wyglądu, z zewnątrz ograniczona, przestrzeń wewnętrzna nie była przecież nieprzyjemna; ciepła i sucha, utrzymana w czystości, bardzo dobrze przystawała do pogodnej powierzchowności mieszkańców, wśród których bardzo prędko czuło się swoim po wiejsku.

Zdawało się, że oczekiwano roznosiela. Wypatrywano go nawet spoza małych okienek, gdyż przychodził zazwyczaj, o ile to było możliwe, w tym samym dniu tygodnia — kupował przędzę, sprzedawał świeżą bawełnę, potem schodził szybko na dół, gdzie dużo domów w niewielkiej od siebie znajdowało się odległości. Ledwie nas spostrzeżono, zbiegli się mieszkańcy z powitaniem, dzieci się cisną i jajecznik¹⁶³ albo nawet bułka radość im wielką sprawia. Wszędzie była radość wielka, a wzrosła jeszcze, gdy się okazało, że święty Krzysztof nabral także podobnych rzeczy i rad był również zyskać sobie podziękowanie dzieci, tym dla niego przyjemniejsze, że podobnie jak jego towarzysz wybornie się umiał z malcami obchodzić.

Starzy natomiast mieli w pogotowiu dużo pytań. Każdy chciał coś wiedzieć o wojnie, która na szczęście toczyła się w oddali, a nawet niezbyt byłaby niebezpieczna w pobliżu takich okolic. Cieszyli się przecież spokojem, chociaż troska ich obsiadała z powodu innego zagrażającego niebezpieczeństwa. Niepodobna było bowiem utaić, że maszyny coraz bardziej rozpowszechniały się w kraju i groziły pracowitym rękopowolnym odebraniem zarobków. Dało się jednak przytoczyć niemało uwag pocieszających i przejmujących nadzieją.

Człowieka owego wypytywano tymczasem o radę w niejednym wypadku życia. Ba, musiał występować nie tylko jako przyjaciel, ale też i jako lekarz domowy, nosząc ze sobą zawsze krople cudowne, sole i balsamy.

Wstępując do różnych domów, miałem sposobność oddać się swemu dawnemu amatorstwu i zapoznać się z techniką przędzenia. Zauważyłem dzieci, które starannie i pilnie zajmowały się skubaniem kosmyków bawełny i oddzielaniem ziarenek, okruchów z lupinek wraz z innymi cząstkami zanieczyszczającymi — nazywają to wybieraniem (niem. *erlesen*). Zapytałem, czy to jest zajęcie dzieci tylko, ale się dowiedziałem, że podczas zimowych wieczorów trudnią się tym także mężowie i bracia.

Następnie, słusznie, zwróciły na siebie uwagę moją rześkie prządki. Przygotowywanie odbywa się w sposób następujący: wybraną, czyli oczyszczoną, bawełna rozciąga się równo na kardach¹⁶⁴, które zazwyczaj greplą nazywamy; grepluje się, przez co odchodzi kurz, a włoski bawełny przybierają jednostajny kierunek. Potem zdejmuje się, wiąże się mocno w pasma i tak przygotowuje do przędzenia na kołowrotku.

Pokazano mi przy tym różnicę pomiędzy przędzą zwróconą w lewo i w prawo. Tamta jest zwykle delikatniejsza, a robi się w ten sposób, że strunę, obracając wrzeczono, zakłada się na wiertalkę¹⁶⁵, jak to pokazuje rysunek (którego my, niestety, jak i innych, pokazać nie możemy).

Prządka siedzi przed kołowrotkiem, niezbyt wysoko. Niektóre utrzymują go w stałej pozycji, między założonymi na siebie nogami, inne tylko prawą stopą, lewą w tył cofając. Prawą ręką obraca tarczę i sięga tak daleko i tak wysoko, jak tylko może, skutkiem czego powstają piękne ruchy, a smukła postać przez powabne wygięcia ciała i okrągłą pełnię ramion odznacza się korzystnie. Kierunek zwłaszcza drugiego sposobu przędzenia daje kontrast bardzo malowniczy, tak że nasze najpiękniejsze damy nie potrzebowałyby się obawiać utraty prawdziwego wdzięku i powabu, gdyby zechciały — zamiast gitary — trzymać kołowrotek.

Wśród takiego otoczenia powstawały we mnie nowe uczucia. Warczące koła posiadają pewną wymowę, dziewczęta śpiewają psalmy, a także, choć rzadziej, inne pieśni.

¹⁶²*dranica* — deska z drzewa iglastego, używana do krycia dachów. [przypis edytorski]

¹⁶³*jajecznik* (pot.) — ajerkoniak. [przypis edytorski]

¹⁶⁴*kardy* a. *grepla* — (z niem. *Karden*) urządzenie do rozczesywania i czyszczenia bawełny. [przypis edytorski]

¹⁶⁵*wiertalka* — okółek, obwódka. [przypis edytorski]

Czyżki i szczygły, wiszące w klatkach, ćwierkają tymczasem. I trudno byłoby znaleźć obraz ruchliwszego życia nad to, jakie toczy się w izbie, gdzie jest wiele prądek.

Nad opisaną tu przędę kołowrotkową wyższa jest przecież inna, zwana ręczną. Używa się do niej bawelny najlepszej, mającej dłuższe od innych włoski. Kiedy została oczyszczona, rozciąga się ją nie na grzępli, lecz na grzebieniach, składających się z pojedynczych rzędów długich igieł stalowych, i czesze się ją. Potem dłuższą i delikatniejszą jej część zdejmuje się pasemkami za pomocą tępego noża — technicznie nazywa się to struganiem (niem. *ein Schnitz*); zwija się, wkłada w tutkę papierową, a tę następnie przymocowuje się do kądzieli¹⁶⁶. Z takiej to tutki przędzie się w ręku wrzecionem, dlatego nazywa się to po niemiecku *aus dem Brief spirmen* (prząść z listu), a otrzymaną przędę — *Briefgam*.

Zajęcie to, uprawiane tylko przez osoby spokojne i rozważne, nadaje prądce wygląd łagodniejszy niż przy kołowrotku. Jeżeli to pasuje jak najlepiej do wysokiej, smukłej postaci, to tamtym zdobi się kształt spokojny, delikatny. Takie różne charaktery, różnym oddane robotom, ujrzałem w znacznej liczbie, w jednej izbie. I nie wiedziałem w końcu, czy uwagę swoją poświęcić pracy czy pracownikom.

Ale też nie mogę zaprzeczyć, iż mieszkanki gór, pobudzone przez rzadkich gości, okazywały się miłe i uprzejme. To je szczególnie cieszyło, żem się tak dokładnie o wszystko wywiadywał, żem zważał na to, co mi mówiły, żem rysował sprzęty i prostą maszynię, kreśląc pobieżnie, ale dobitnie piękne członki — jak to powinno być widoczne tutaj¹⁶⁷.

Z nadejściem wieczoru pokazano wykonaną robotę, pełne wrzeciona odłożono do skrzynek na to przeznaczonych i starannie sprzątnięto całą pracę dnia. Zaznajomiliśmy się już lepiej, a praca szła przeciw swoim porządkom. Zajmowano się teraz zwijaniem na motowidła¹⁶⁸, pokazywano też znacznie swobodniej już to narzędzie, już to sposób postępowania, a ja zapisywałem wszystko starannie.

Motowidło ma koło i wskaźnik, tak że przy każdym obrocie wyskakuje sprężyna, która się zapada, kiedy się koło sto razy obróci. Liczbę tysiąca obrotów nazywają spustem (niem. *der Schneller*), według wagi którego oblicza się różną delikatność przędzy.

Przędzy w prawo naginanej wychodzi 25 do 30 na funt, w lewo zaś naginanej — 60 do 80, a nawet 90. Obrót motowidła wynosi siedem ćwierci łokcia lub cokolwiek więcej, a smukła, pilna prządka utrzymywała, że dziennie trzeba było uprząć na kołowrotku 4 do 5 spustów, to jest około 5.000 obrotów, a więc 8 do 9 tysięcy łokci przędzy; gotowa była do zakładu, gdybyśmy zechcieli dzień jeszcze jeden pozostać.

Nie mogła tego w końcu znieść spokojna i skromna prządka ręczna i zapewniła, że z funta w odpowiednim czasie przędzie 120 spustów. (Przędzenie ręczne odbywa się wolniej niż na kołowrotku, lepiej też bywa opłacane; może na kołowrotku przędzie się dwa razy tyle). Miała właśnie pełną liczbę obrotów na motowidle i pokazała mi, jak koniec nici parokrotnie obwija się i wiąże. Zdjęła spust, obróciła go tak, że się wyciągnął, przewlekła jeden koniec przez drugi i mogła z niewinnym zadowoleniem przedstawić zakończenie zajęcia wprawnej prządki.

Ponieważ nic tu więcej nie było do zauważenia, matka wstała i rzekła, że kiedy młody pan pragnie tak widzieć wszystko, to mu pokaże także tkactwo suche. A siadłszy do krosien, objaśniła mnie z równą uprzejmością, iż oni tym się tylko gatunkiem zajmują, gdyż jedynie on jest odpowiedni do robienia prostych perkalików, w których osnowa wchodzi sucha i nie bardzo mocno bywa zbijana. Pokazała mi następnie takie suche wyroby — są one zawsze gładkie, bez pasm i kwadratów czy innych, jakichkolwiek deseni, a szerokość ich wynosi zaledwie pięć do pięciu i pół ćwierci łokcia.

Księżyc świecił na niebie, a nasz roznosiciel przędzy obstawał za dzisiejszą wędrówką, gdyż musiał się trzymać dnia i godziny i wszędzie na czas przybywać. Mówił przy tym, że ścieżki piesze są dobre i wyraźne, zwłaszcza przy takiej pochodni nocnej. Z naszej strony rozweseliliśmy rozstanie jedwabnymi wstążkami i chusteczkami, których to towarów niósł święty Krzysztof dość dużą paczkę. Podarunek wręczyliśmy matce — do rozdzielenia między swoich.

¹⁶⁶kądziel — tu: pęk włókna, umocowany na kołowrotku. [przypis edytorski]

¹⁶⁷jak to powinno być widoczne tutaj — również w tym przypadku nie zamieszczono rysunku. [przypis edytorski]

¹⁶⁸motowidło — narzędzie do odmierzania i zwijania w motki nici. [przypis edytorski]

Wtorek, 16 września (rano)

Wędrówka przy wspaniale jasnej nocy była pełna wdzięku i przyjemności. Dotarliśmy do cokolwiek większego zbioru chat, który należałoby może wsią nazwać. W niej jakim od niej oddaleniu, na otwartym wzgórzu, stała kaplica. Zaczęło to wyglądać bardziej po mieszkalnemu i po ludzku. Minęliśmy płoty, za którymi nie było wprawdzie ogrodów, ale była skąpa, a starannie pilnowana roślinność łąkowa.

Doszliśmy do miejsca, gdzie, obok przedzenia, uprawiane też jest poważniej tkactwo.

Wczorajsza podróż nasza całodzienna, przedłużona do nocy, wyczerpała rześkie i młodzieńcze siły. Roznosiciel wszedł na strych, a ja zamierzałem pójść za nim, gdy święty Krzysztof powierzył mi swój tłumok i wyniósł się na dwór. Znałem jego chwalebny zamiar i dałem mu spokój.

Nazajutrz atoli przede wszystkim zbiegła się rodzina i surowo nakazano dzieciom, żeby za drzwi nie wychodziły, bo pewnie się w pobliżu znajduje straszny niedźwiedź albo inny jaki potwór, bowiem przez całą noc tak coś jęczało i mruczało, że skały i domy mogłyby się zatrzęść. Radzono też, abyśmy w naszej dzisiejszej, dłuższej wędrówce mieli się na baczności. Staraliśmy się uspokoić, jak można było, tych pocziwych ludzi, ale to się okazało trudne na tej pustyni.

Roznosiciel oznajmił nadto, że pragnie co prędzej załatwić interesy i przyjść następnie po nas, mieliśmy bowiem przed sobą dzisiaj drogę długą i uciążliwą, gdyż nie po dolinie tylko schodzić, lecz wypadnie wdrapywać się na zastępujący drogę szczyt góry. Postanowiłem tedy skorzystać z czasu, o ile będzie można, i dałem się gospodarzom naszym zaprowadzić do izby tkackiej.

Oboje byli to ludzie wiekowi, w podeszłych latach pobłogosławieni dwojgiem czy trojgiem dzieci. W ich otoczeniu, postępowaniu i słowach od razu spostrzec można było uczucie religijne i poważny nastrój wyobraźni. Trafiłem właśnie na początek pracy, stanowiącej przejście od przedzenia do tkania, a że nie miałem pochopu do żadnej innej rozrywki, kazałem sobie podyktować do mego notatnika opis zajęcia, które w ruch się uprawiało.

Pierwszą robotę — napszczania przedzy klejem — wykonano wczoraj. Gotuje się ją w cienkim rozczywie klejowym, składającym się z mączki i odrobiny kleju stolarskiego; przez to nici nabierają większej trwałości. Z rana pasma przedzy już wyschły i zabierano się do jej zwijania za pomocą koła na cewki trzciniowe. Stary dziadek, siedząc przy piecu, wykonywał tę lekką robotę. Wnuk stał przy nim i pragnął widocznie kierować osobiście kołem. Tymczasem ojciec układał cewki, aby snuć na snowadle¹⁶⁹ podzielonym poprzecznymi pałeczkami, tak żeby się swobodnie poruszały wokół prostopadłe stojących, mocnych drutów i pozwalały rozwijać się niciom. Układane są one z grubszą i cieńszą przędzą w tym porządku, jakiego wymaga wzór, a raczej linie w tkaninie. Snowarka¹⁷⁰ (niem. *Brittli*), mniej więcej w kształcie sistrum¹⁷¹, ma dziury po obu stronach, przez które przeciąga się nici. Znajdują się one po prawicy robotnika, lewą ręką zbiera razem nici i rozkłada je w tę i tamtą stronę na owym snowadle. Jednokrotne przejście z góry na dół i z dołu do góry nazywa się obrotem (niem. *Gang*), a stosownie do gęstości i szerokości tkaniny, robi się wiele obrotów. Długość wynosi albo 64, albo 32 łokcie. Przy początku każdego obrotu palcami lewej ręki odkłada się jedną nić lub dwie w górę i tyleż na dół; nazywa się to wiechą (niem. *die Rispe*). Te wykręcone nici zakłada się na dwa gwoździe, umieszczone w górze na snowadle. Dzieje się tak dlatego, ażeby tkacz mógł utrzymać nici w należywym, jednostajnym porządku. Kiedy ukończą snucie, podwiązują tę rozsnutą przędzę, przy czym każdy obrót osobno się oddziela, ażeby się nic nie pomieszało. Następnie rozpuszczonym grynszpanem¹⁷² robią znak (niem. *Male*) na ostatnim obrocie, ażeby tkacz przywrócił miarę należną. Nareszcie zdejmuje się całość i zwija się w kształcie kłębka, który nazywają pękiem (niem. *die Werfte*).

¹⁶⁹*snowadło* — wał obrotowy do nawijania osnowy. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*snowarka* — maszyna do nawijania osnowy tkackiej. [przypis edytorski]

¹⁷¹*sistrum* — rodzaj metalowej grzechotki; (niem. *Sistrum*) także główki kwiatowe ostropestu, które były używane do skrobienia i wykańczania tkanin, a roślinę tę uprawiano specjalnie do celów przemysłowych. [przypis edytorski]

¹⁷²*grynszpan* — tu: zielononiebieski proszek do wyrobu farb. [przypis edytorski]

Środa, 17 września

Zerwaliśmy się wcześniej przed świtem i rozkoszowaliśmy się wspaniałym, spóźnionym blaskiem księżyca. Jasność, rozlewająca się od wschodzącego słońca, pozwoliła nam widzieć okolicę lepiej zamieszkałą i zabudowaną. Jeżeli tam, w górze, spotkaliśmy, jako przejścia przez strumyki, kamienie, a niekiedy wąską kładkę, opatrzoną w poręcz z jednej tylko strony, to tu wzniesione już były mosty kamienne, ponad wodami rozszerzającymi się coraz bardziej. Wdzięk powoli zaczął się łączyć z dzikością, a przyjemnego wrażenia doznawali wszyscy wędrowcy.

Za góry, z innej dzielnicy wód, wychodził smukły, czarnowłosy mężczyzna i już z daleka wołał — jako ten, co ma dobre oczy i głos tęgi:

— Niech was Bóg ma w swojej opiece, kumie roznosicielu!

Ten dał mu się zbliżyć, a wtedy i on zawołał ze zdziwieniem:

— Niech was Bóg błogosławi, kumie bardowniku!¹⁷³ Skądże to? Co za niespodziewane spotkanie!

Tamten, przystępując, odpowiedział:

— Dwa miesiące już się włóczę po górach, aby wszystkim dobrym ludziom naprawiać narzędzia i warsztaty ich tak urządzać, żeby znowu przez czas jakiś bez przeszkody pracować mogły.

Na to rzekł roznosiciel, zwracając się ku mnie:

— Ponieważ wy, paniczku, okazujecie tyle ochoty i miłości do tego zajęcia i troszczyć się o nie wielce, to ten człowiek akurat w czas przybywa, bom go w tych dniach pragnął do nas po cichu sprowadzić. On by wam wszystko daleko lepiej objaśnił niż dziewczyny przy najlepszych chęciach. On jest mistrzem w swoim zawodzie i potrafi to, co należy do przedzenia, tkania i tym podobnych rzeczy, doskonale wytłumaczyć, wykonać, w dobrym stanie utrzymać, naprawić, jak się patrzy i jak tylko kto życzyć sobie może.

Wdałem się z nim w rozmowę i ujrzałem w nim człowieka bardzo rozsądnego, w pewnej mierze wykształconego, rzecz swoją doskonale znającego. Powtarzałem z nim niejednokrotnie z tego, czegom się w tych dniach nauczył, prosząc o usunięcie pewnych wątpliwości. Opowiedziałem mu też, com wczoraj widział z początków tkactwa. Na to zawołał radośnie:

— To więc rzecz pożądana, przybywam w sam czas, by udzielić potrzebnych wiadomości tak szanownemu i miłemu panu o najdawniejszej i najwspanialszej sztuce, odróżniającej dopiero naprawdę człowieka od zwierzęcia. Dziś właśnie dostaniemy się do poczciwych i zręcznych ludzi, a nie byłbym bardownikiem, gdybyście nie mieli zaraz tak zrozumieć rzemiosła jak ja sam.

Podziękowałem mu uprzejmie, rozmawialiśmy o różnych rzeczach i po odpoczynku i śniadaniu dostaliśmy się do grupy chat, rozrzuconych wprawdzie w nieładzie, lecz lepiej zbudowanych. Skierował nas ku najlepszej. Roznosiciel wraz ze mną i świętym Krzysztofem wszedł pierwszy, wedle umowy, a potem po przywitaniu i kilku żartach wkroczył i bardownik. Zwracało uwagę to, że jego wejście wywołało w rodzinie radosne zdziwienie. Ojciec, matka, córki i dzieci skupiły się koło niego. Ładnej dziewczynie, siedzącej przy krosnach, utknęło w ręce czółenka, które akurat miało przepłynąć przez szereg nici. Ale też powstrzymała i krok, powstała i przysła później z ociągającym się zakłopotaniem, by podać mu rękę. Zarówno roznosiciel, jak i bardownik, weszli niebawem, za pomocą żartów i opowiadania, w dawne swe prawa, jakie się należą przyjaciółom domowym. A gdy się przez czas jakiś nacieszono, dzielny mężczyzna zwrócił się do mnie, mówiąc:

— Was, kochany panie, nie powinniśmy z powodu radości odwiedzin zaniedbywać; my się możemy jeszcze zabawić dniami całymi, wy musicie jutro iść dalej. Pozwólmy panu zajrzeć w tajemnice sztuki naszej. Klejenie i snucie już zna, pokażmy mu resztę. Panny będą mi w tym pomocne. Widzę, że przy tych krosnach zajmują się nawijaniem.

Przystąpiono do młodszej, która się tym zajmowała. Starsza usiadła na powrót przy swych krosnach i ciągnęła dalej, ze spokojnie przyjemną miną, swoją żywą robotę.

Przypatrywałem się tedy uważnie nawijaniu. W tym celu obroty osnowy przeciąga się wedle porządku przez duży grzebień, mający szerokość wałka, na który mają być nawinięte. Znajduje się w nim wcięcie, w którym leży okrągła pałeczka, przeciągnięta przez

¹⁷³bardownik — tu: osoba trudniąca się naprawianiem narzędzi tkackich. [przypis edytorski]

koniec osnowy i przymocowana we wcięciu. Chłopak lub dziewczyna siedzi pod krosnami i mocno przytrzymuje sznurek nałożonej osnowy, kiedy tkaczka okręca silnie wałek za pomocą drąga i zważa zarazem, żeby wszystko układało się w porządku. Gdy wszystko już nawinięto, to przez wiechę przesuwają się trzy paleczki-listewki (niem. *Schienen*) — jedna okrągła, a dwie płaskie — ażeby się trzymała i wtedy zaczyna się przykręcanie.

Z poprzedniej tkaniny pozostała jeszcze może ćwierć łokcia na drugim wałku, a z tego przechodzą nici, może trzy ćwierci łokcia długości, zarówno przez blat w przybijaczce¹⁷⁴, jak i przez skrzydła barda¹⁷⁵. Do tych nici, jedna do drugiej, przykręca tkacz starannie nici nowej osnowy, a kiedy to skończy, to całość nagle się przeciąga tak, że nowe nici sięgają pustego, przedniego wałka. Nici zerwane nawiązuje się, osnowę zwija na małe cewki, pasujące do czółenka, i robi się ostatnie przygotowanie do tkania — to jest krochmalenie.

Na całą długość krosien nałożona osnowa na wskroś jest zwilżana za pomocą szczotek, maczanych w wodzie klejowej przygotowywanej ze skóry na rękawiczki. Następnie wspomniane wyżej listewki, utrzymujące wiechę, wyjmują się, a wszystkie nici jak najdokładniej uporządkowuje. I wszystko dopóty się wachluje gęsim skrzydłem, przywiązany do kija, dopóki nie wyschnie; a wtedy można rozpocząć i prowadzić tkanie, aż znowu zajdzie potrzeba krochmalenia.

Krochmalenie i wachlowanie powierzane bywa zazwyczaj młodzieży, którą się do tkactwa zaprawia, albo też w wolnych chwilach wieczorów zimowych usługę tę oddaje brat lub kochanek ładnej tkaczki; albo ci nawijają przynajmniej zepsutą przędzę na małe cewki.

Delikatne muśliny tka się na mokro — mianowicie sznurek nowej osnowy zanurza się w wodzie klejowej, zwija się jeszcze mokry na małe cewki i natychmiast się przerabia, przez co tkanina daje się równiej zbijać i jest jaśniejsza.

Czwartek, 18 września

W ogólności zauważyłem w stanie takiej izby tkackiej jakąś ruchliwość, jakieś nieopisane ożywienie, rodzinny nastrój, spokój. Wiele krosien było w ruchu, a obok nich warczały kołowrotki i cewki; przy piecu starzy siedzieli, prowadząc poufne rozmowy z odwiedzającymi sąsiadami lub znajomymi. A wśród tego dawał się słyszeć śpiew także, zwłaszcza czterogłosowe psalmy hymnu Ambrożego¹⁷⁶, rzadziej pieśni świeckie. Wybuchał też czasami wesoło dźwięczny śmiech dziewcząt, kiedy kum Jakub powiedział coś dowcipnego.

Bardzo zwinna, a przy tym pilna tkaczka, przy pewnej pomocy, może tygodniowo, bądź co bądź, wyrobić sztukę 35-łokciową niezbyt cienkiego muślinu. Ale to rzadko się zdarza i w niektórych domowych pracowniach stanowi to robotę dwóch tygodni.

Piękność tkaniny zależy od jednostajnego działania barda tkackiego, od jednakiego uderzania przybijaczki oraz od tego, czy nakłada się przędzę mokrą czy suchą. Zupełnie równe, a zarazem silne napięcie przyczynia się ku temu również. W tym celu tkaczka cienkich płócien bawełnianych przywiesza ciężki kamień do gwoźdźcia przedniego wałka. Jeżeli podczas roboty tkanina silnie jest napięta (po niemiecku technicznie nazywa się to *dämmen*), to się znacznie przedłuża, na 32 łokcie trzy czwarte łokcia, a na 64 około półtora łokcia. Ta nadwyżka należy już do tkaczki — płaci się jej oddzielnie lub też zabiera to sobie na chusteczki, fartuszki itp.

*

Wśród wielce jasnej i łagodnej nocy księżycowej, jaka się zdarza tylko w wysokich pasmach gór, siedziała rodzina ze swymi gośćmi przed drzwiami, zajęta nader żywą rozmową, Leonard zaś był zatopiony w myślach. Wobec całego tego życia i działalności, i niejednokrotnego rozmyślenia nad rzemiosłem, wrócił mu znowu na pamięć ów list,

¹⁷⁴przybijaczka — narzędzie tkackie do przybijania pasm. [przypis edytorski]

¹⁷⁵bardo — grzebień tkacki. [przypis edytorski]

¹⁷⁶hymn Ambrożego a. hymn ambrozjański — starożytne pieśni lacińskie, stworzone i wprowadzone do liturgii przez św. Ambrożego (340–397), arcybiskupa Mediolanu, świętego Kościoła katolickiego i prawosławnego. [przypis edytorski]

napisany przez przyjaciela, Wilhelma, ku jego uspokojeniu. Słowa, które tak często odczytywał, wiersze, którym przyglądał się niejednokrotnie, znowu stanęły przed jego zmysłem wewnętrznym. A jak ulubiona melodia, zanim się obejrzymy, nagle zjawia się po cichu w głębi słuchu, tak i owe czule zawiadomienie powtarzało się w duszy spokojnej, oddanej samej sobie:

„Położenie domowe, ugruntowane na pobożności, ożywiane i utrzymywane skrzętnością i porządkiem, nie jest ani za ciasne, ani za rozległe; zostaje w najszcześniejszym stosunku do sił i zdolności. Wkoło niej porusza się sfera rękodzielników w najczystszej, pierwiastkowym znaczeniu tego wyrazu. Tu jest ograniczenie i działanie w dal, oględność i umiarkowanie, niewinność i czynność...”

Lecz tym razem wspomnienie raczej pobudzało, niż uspakajało.

— Toż przecież — mówił sam do siebie — ten ogólny, lakoniczny opis zupełnie przystaje do tego bytu, który mnie tu otacza. Czyż i tu nie ma spokoju, pobożności, nieprzerwanej działalności? Tylko działanie w dal nie wydaje mi się wyraźne w równej mierze. Toż owa dobra aktywność zapewne ożywia sferę podobną, tylko może większą jeszcze, rozglądając się wkoło z większą pogodą i swobodą ducha.

Wtem — pobudzona żywą, potęgującą się rozmową innych — zwróciwszy pilniejszą uwagę na to, co obrabiano, zbudziła się w nim z całą żywotnością myśl, którą przez te godziny wypieścił.

„Czyżby ten człowiek, tak po mistrzowsku obchodzący się z narzędziami i bardami, nie mógł się stać wielce pożytecznym dla towarzystwa naszego członkiem?”

Rozważał to oraz wszystko, co w jego oczach silnie oświeciło zalety tego zręcznego robotnika. Skierował więc na to rozmowę i niby żartem, lecz tym wyraźniej, uczynił mu propozycję, czy by nie zechciał związać się z pewnym znacznym towarzystwem i nie spróbował wywędrować za morze.

Tamten tłumaczył się, upewniając równie wesoło, że mu się tak dobrze powodzi, że się spodziewa jeszcze lepszych rzeczy, że się w tej krainie urodził, do niej nawykł, że jest wzdłuż i wszerek znany i wszędzie przyjmowany z zaufaniem — że w ogóle w tych dolinach nie znajdzie się wcale skłonności do oddalania się, że potrzeba do tego nie zmusza, a góry trzymają ludzi silnie przy sobie.

— Toteż dziwi mnie — rzekł roznosiciel przedzy — że podobno pani Zuzanna ma wyjść za komisanta¹⁷⁷, sprzedać posiadłość i z ładnym groszem wywieść się za morze.

Rozpytawszy, dowiedział się przyjaciel nasz, że to młoda wdowa, uprawiająca wśród pomyslnych okoliczności rozległy przemysł z produktów górskich, o czym wędrowiec może się jutro sam przekonać, gdyż na obranej drodze zawczasu się do niej zajdzie.

— Już nieraz słyszałem o niej od wielu — odrzekł Leonard — jako o osobie ożywiającej dobroczynnie tę dolinę, a omieszkałem o nią zapytać.

— Ale chodźmy na spoczynek — rzekł roznosiciel — aby z dnia jutrzejszego, który obiecuje nam pogodę, wcześniej skorzystać.

*

Tu się kończył rękopis Leonarda. A gdy Wilhelm zażądał dalszego ciągu, dowiedział się, że obecnie nie ma go w ręku przyjaciół. Posłano go do Makarii, jak mówiono, która miała pewne zawikłania, o jakich tam wspomniano, natchnieniem i miłością załatwić, a skrupuły budzące skojarzenia — rozwiązać. Przyjaciel musiał się zgodzić na tę przerwę, przygotowując się, by na wieczorne towarzyskim znaleźć zadowolenie w pogodnej rozmowie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy nadszedł wieczór, a przyjaciele siedzieli w altanie dającej widok rozległy, stanęła na progu okazała postać, w której Wilhelm poznał zaraz golibrodę z dzisiejszego poranku. Na głęboki, niemy ukłon tego człowieka odpowiedział Leonard:

— Jak zawsze, przychodzisz pan w porę i nie omieszkaś zabawić nas swoim talentem. Mogę panu — mówił dalej, zwróciwszy się do Wilhelma — opowiedzieć nieco

¹⁷⁷komisant a. faktor — pośrednik, osoba lub firma zajmujące się komisem towarów. [przypis edytorski]

o towarzystwie, którego częścią mam zaszczyt się nazwać. Nikt nie wstępuje do naszego koła, kto nie może okazać pewnych talentów, które by mogły służyć na pożytek lub ku przyjemności wszelkiego towarzystwa. Ten człowiek jest dzielnym chirurgiem i w ciężkich wypadkach, wymagających stanowczości i siły cielesnej, może wybornie dopomagać swemu mistrzowi. Co on potrafi jako artysta brody, na to sam pan możesz mu wydać świadectwo. Z tego powodu jest on nam zarówno potrzebny, jak pożądanym. Ale ponieważ zatrudnienie to prowadzi za sobą zwykle wielką, a często uciążliwą, gadatliwość, przystał więc dla własnego wykształcenia na pewien warunek. Tak zresztą jak każdy, co chce żyć wśród nas, musi z pewnej strony być uwarunkowany, gdy co do stron innych większa mu się dostaje swoboda. Otóż, on wyrzekł się mowy, o ile wyraża się przez nią coś zwykłego lub przypadkowego. Z tego rozwinął się w nim inny talent mówczy, który działa z zamiarem, roztropnie i zajmująco, mianowicie dar opowiadania. Życie jego obfituje w dziwne doświadczenia, które by w innym razie, papłąc w niewłaściwym czasie, rozdrobnił, a teraz, przez milczenie zmuszony, w spokoju powtarza i porządkuje. Z tym się łączy wyobraźnia i udziela faktom życia i ruchu. Ze szczególną sztuką i zręcznością umie on opowiadać prawdziwe baśnie i baśniowe zdarzenia, czym bawi nas wielce w stosownej porze, gdy mu język rozwiąże, jak to czynię obecnie, udzielając mu równocześnie pochwały, że w ciągu tego znacznego czasu, odkąd go znam, nie powtórzył się jeszcze nigdy. Toteż spodziewam się, że i tym razem, gwoli i ku czci naszego kochanego gościa, popisie się wyśmienicie.

Milczenie

Po twarzy golibrody rozlała się dowcipna wesołość, a on zaczął niezwłocznie mówić w sposób następujący.

Nowa Meluzyna¹⁷⁸

Wielce szanowni panowie! Wiedząc, że wstępy i przedmowy nie bardzo lubicie, zapewniam bez ogródki, że tym razem mam nadzieję wybrnąć znakomicie. Niemal już ode mnie wyszło prawdziwych historii, ku wielkiemu i wszechstronnemu zadowoleniu, ale dzisiaj rzec winienem, że mam opowiedzieć taką, która dotychczasowe o wiele przewyższa i która, choć mi się zdarzyła przed kilku laty, ciągle mnie jeszcze we wspomnieniu niepokoi, a nawet każe się spodziewać ostatecznego rozwiązania. O równą jej trudno chyba będzie.

Wyznam przede wszystkim, że w trybie życia mego nie zawsze się tak urządziłem, ażeby zupełnie być pewnym przyszłości, ba, dnia następnego. Za młodu nie byłem dobrym gospodarzem i nieraz znajdowałem się w kłopotach. Razu pewnego przedsięwziąłem podróż, która miała mi dać zysk znaczny. Ale trochę za duży zrobił zakrój i zacząwszy ją od ekstrapocztą, a przez pewien czas odbywając ją pocztą zwykłą, wreszcie widziałem się zmuszonym końca jej dociągnąć piechotą.

Podróż

*

Jako chłopiec żywy, od dawna miałem przyzwyczajenie, że wszedłszy do gospody, zaraz zębem się oglądał za gospodynią albo nawet za kucharką, zjednywałem je sobie pochlebstwami, przez co rachunek mój pospolicie się zmniejszał.

Pewnego wieczoru, kiedy wszedł na pocztę jakiegoś małego miasteczka i chciałem się właśnie zachować w sposób mi zwykły, zaraz za mną zaturkotał przed bramą piękny powóz o dwóch siedzeniach, w cztery konie zaprzężony. Obejrzałem się i zobaczyłem panią — samą jedną, bez pokojówki, bez lokajów. Pośpieszyłem natychmiast otworzyć jej drzwiczki i zapytać, co rozkaże. Przy wysiadaniu ukazała się piękna postać, a miła jej twarz, gdy się przyjrzało bliżej, ozdobiona była małym rysem smutku. Raz jeszcze zapytałem, czy jej nie mogę w czym służyć.

— O tak! — odrzekła. — Jeśli pan zechcesz z troskliwością wyjąć i przynieść tutaj skrzyneczkę leżącą na siedzeniu! Ale bardzo proszę nieść ją nader ostrożnie i ani trochę nią nie poruszać i nie wstrząsać.

Wziąłem skrzyneczkę ostrożnie, ona zamknęła drzwiczki. Weszliśmy razem na schody, a ona powiedziała posługaczowi, że zostanie tu na noc.

¹⁷⁸Meluzyna — postać baśniowa, należąca do folkloru europejskiego; czarodziejka lub rusalka wodna, która w pewnych okolicznościach zamieniała się w węź. [przypis edytorski]

Pozostaliśmy sami w pokoju. Kazała mi złożyć skrzyneczkę na stole, przy ścianie się znajdującym, a gdy zmiarkowałam z niektórych jej ruchów, że pragnie pozostać sama, pożegnałam się, całując rękę jej ze czcią, ale ogniście.

— Zamów pan wieczerę dla nas obojga — rzekła na to.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim zadowoleniem spełniłem ten rozkaz, przy czym równocześnie w dumie swej ledwie przez ramię patrzył na gospodynię i posługacza. Niecierpliwie czekałem chwili, która mnie znowu zbliżyć do niej miała. Nakryto, usiedliśmy naprzeciw siebie, po raz pierwszy od dawnego czasu rozkoszowałem się dobrem jedzeniem, a zarazem tak pożądanym widokiem. Ba, wydało mi się, jakby z każdą minutą stawała się piękniejsza.

Rozmowa jej była przyjemna, ale starała się odsuwać wszystko, co się sprowadzało do przywiązania i miłości. Sprzątnięto; wahałem się, próbowałem wszelakich sztuczek, aby się do niej zbliżyć, lecz na próżno. Powstrzymywała mnie jakąś godnością, której nie mogłem się oprzeć, bo wbrew woli musiałem się z nią rozstać dosyć wcześnie.

Po nocy, spędzonej przeważnie na czuwaniu i snach niespokojnych, wstałem wcześnie. Na zapytanie, czy zamówiła konie, usłyszałem, że nie. Poszedłem więc do ogrodu; ujrzałem ją ubraną, stojącą przy oknie, i pośpieszyłem do niej. Kiedy mi się pojawiła tak piękna jak wczoraj, a nawet piękniejsza, obudziła się we mnie nagle skłonność, przebiegłość i zuchwalstwo. Przystąpiłem do niej i wziąłem ją w ramiona.

— Anielska, czarująca istoto! — zawołałem. — Przebacz, ale to niepodobna!

Z niesłychaną zwinnością wysunęła mi się z objęć, tak że nie mogłem na jej policzku wycisnąć pocałunku.

— Powstrzymuj pan takie wybuchy naglej, namiętnej skłonności, jeśli nie chcesz utracić lekkomyślnie szczęścia, które jest blisko pana, ale które osiągnięte być może dopiero po kilku próbach.

— Żądaj, czego chcesz, duchu anielski! — zawołałem — ale nie przywódź mnie do rozpacz.

Z uśmiechem odparła:

— Jeśli się chcesz poświęcić na me usługi, to wysłuchaj warunków! Przybywam, by odwiedzić przyjaciółkę, u której zamierzam dni kilka spędzić. A tymczasem pragnę, by mój powóz i ta skrzyneczka dalej zawieszono zostały. Zechcesz się pan tego podjąć? Nic pan tu nie masz innego do czynienia, jak wkładać i wyjmować ostrożnie skrzyneczkę z powozu, siedzieć przy niej i mieć na nią baczenie. Jeśli zajedziesz pan do gospody, to trzeba ją postawić na stole w osobnym pokoju, w którym nie możesz pan ani mieszkać, ani spać. Za każdym razem zamkniesz pan pokoje tym kluczem, który otwiera i zamyka wszystkie zamki i nadaje wszystkim tę własność, iż ich nikt w ciągu tego czasu otworzyć nie zdoła.

Spojrzałem na nią; dziwnie mi się zrobiło na sercu. Przyrzekłem robić wszystko, jeśli będę miał nadzieję, że ją znów niebawem zobaczę, i jeżeli mi tę nadzieję przypieczętuje pocałunkiem. Uczyniła to i od tej chwili stałem się całkowitym jej poddanym.

— Każ zamówić konie! — rzekła.

Mówiliśmy o drodze, jaką miałem obrać, i miejscowości, gdzie się miałem zatrzymać i czekać na nią. Wcisnęła mi w końcu woreczek ze złotem, a ja wargi moje przycisnąłem do jej rąk. Przy rozstaniu wydała się wzruszona, a ja nie wiedziałem, com robił i com miał robić.

Wróciwszy po wykonaniu zlecenia, zastałem drzwi izby zamknięte. Spróbowałem zaraz swego klucza generalnego i z próby wyszedł zwycięsko. Drzwi odskoczyły; znalazłem pokój pusty, tylko skrzyneczka stała na stole, gdzie ją położyłem.

Powóz zajechał, zniosłem ostrożnie skrzyneczkę i usiadłem obok niej. Gospodyni zapytała:

— A gdzież dama?

Jakieś dziecko odpowiedziało:

— Poszła do miasta.

Pożegnałem się z ludźmi i odjechałem niby w tryumfie, ja, com wczoraj wieczorem przyszedł tutaj w zakurzonych kamaszach. Łatwo się panowie domyślicie, że teraz, mając czas wolny, rozważałem tę historię tak i owak, że porachowałem pieniądze, porobiłem

Tajemnica, Kobieta

trochę projektów, a wciąż przy sposobności spoglądałem zezem na skrzyneczkę. Jechałem tedy wprost przed siebie, na kilku stacjach nie wysiadałem i nie odpocząłem, póki się nie dostałem do znacznego miasta, dokąd mnie ona skierowała. Rozkazów jej przestrzegałem pilnie — skrzyneczkę postawiłem w osobnym pokoju i parę świec woskowych umieściłem obok, jak mi to również zaleciła. Zamknąłem pokój, urządziłem się w nim i pozwoliłem sobie odpocząć.

Czas jakiś chętnie się zajmowałem wspomnieniem o niej, ale bardzo rychło zacząłem się nudzić. Nie przywykłem żyć bez towarzystwa. Znalazłem je niebawem, według swej myśli, przy stołach w gospodzie i w miejscach publicznych. Pieniądze przy tej sposobności zaczęły topnieć, a pewnego wieczoru znikły zupełnie z mego woreczka, kiedym się nieogłędnie wdał w grę namiętą. Przyszedszy do pokoju, byłem prawie nieprzytomny. Pozbawiony pieniędzy, przy pozorach bogatego człowieka oczekując porządnego rachunku, niepewny, czy i kiedy pojawi się znowu moja piękna — znajdowałem się w największym kłopotcie. Podwójnie tęskniłem za nią i sądziłem, że już odtąd nie będę mógł żyć bez niej i bez jej pieniędzy.

Po wieczery, która mi wcale nie smakowała, gdyż musiałem ją spożyć sam tym razem, chodząc żywo po pokoju w tę i ową stronę, mówiłem sam do siebie, przeklinałem się, rzuciłem się na podłogę, targalem sobie włosy i zachowywałem się całkiem nieprzyzwoicie. Nagle słyszę w zamkniętym pokoju obok lekkie poruszenie, a wkrótce potem stukanie do drzwi dobrze zatarasowanych. Zrywam się, chwytam klucz generalny, ale skrzydła odskakują same przez się, a w blasku owych świec palących się wychodzi ku mnie moja piękna. Rzucam się jej do nóg, całuję jej suknie, ręce, ona mnie podnosi. Ja nie śmiem jej uściskać, ledwie na nią spoglądam, ale szczerze i ze skruczą wyznaję jej swe błędy.

— Są one do przebaczenia — odrzekła — tylko że opóźniacie, niestety, swoje szczęście i moje. Musicie znowu odjechać kawał drogi w świat, zanim się zobaczymy. Tu macie więcej jeszcze złota — dodała. — Wystarczy ono, jeżeli będziecie choć trochę gospodarni. Ale jeśli tym razem wprawilo was w kłopot wino i gra, więc się strzeżcie wina i kobiet i pozwólcie mi się spodziewać wesołego spotkania.

Przeszła za swój próg, drzwi się zamknęły. Stukałem, prosiłem, ale nic już słyhać nie było. Kiedym nazajutrz zażądał rachunku, rzekł kelner, uśmiechając się:

— Wiemy już, dlaczego zamykacie drzwi swoje w tak sztuczny i niepojęty sposób, że żadnym kluczem otworzyć ich nie można. Spodziewaliśmy się u was wiele pieniędzy i kosztowności, ale teraz widzieliśmy, jaki skarb zbiegał ze schodów i doprawdy wydał się ze wszech miar godny, aby go dobrze strzeżono.

Nic na to nie odpowiedziałem, zapłaciłem rachunek i wsiadłem wraz ze skrzyneczką do powozu. Pojechałem tedy w świat znowu z tym najmocniejszym przekonaniem, że będę na przyszłość baczył na przestrogi mojej tajemniczej przyjaciółki. Atoli, za ledwie się znowu dostał do wielkiego miasta, zaznajomiłem się zaraz z milutkimi kobietami, od których się nie mogłem zgola oderwać. Zdawało się, że łaski swoje każą mi drogo opłacać, bo trzymając mnie ciągle w pewnej odległości, pobudzały mnie do wydatku jednego po drugim. A ponieważ starałem się jedynie o sprawienie im przyjemności, nie myślałem i teraz o swoim woreczku, tylko wciąż płaciłem i wydawałem, jak się zdarzyło. Jakież zatem było moje zdziwienie i rozkosz, kiedym po kilku tygodniach zauważył, że pełnia woreczka nie tylko się nie zmniejszyła, lecz była równie okrągła i napchana jak z początku. Chciałem się lepiej upewnić o tej pięknej własności — wziąłem się do liczenia, zapamiętałem sobie dokładnie sumę i zacząłem znowu żyć z towarzystwem swoim wesoło jak przedtem. Nie brakło tam wycieczek łądem i wodą, tańców, śpiewu i innych rozrywek. Ale nie trzeba było zbyt wielkiej uwagi na to, aby spostrzec, że woreczek zmniejszał się rzeczywiście, jak gdybym odebrał mu przez swoje przekłete liczenie zaletę niezliczonych.

Tymczasem, ponieważ życie wesołe się rozpoczęło, cofnąć się nie mogłem, a wkrótce gotówka moja wyszła zupełnie. Przeklinałem swoje położenie, gniewałem się na przyjaciółkę, że mnie wodziła na pokuszenie, brałem jej za złe, że mi się znowu nie ukazywała. Wyparłem się w złości wszelkich względem niej obowiązków i postanowiłem otworzyć skrzyneczkę, badając, czy tam czasem nie znajdę jakiej pomocy. Bo chociaż nie była tak ciężka, iżby miała zawierać złoto, ale mogły w niej być klejnoty, a te byłyby mi także wielce pożądane. Miałem właśnie zamiar wykonać to postanowienie, ale je odłożyłem do nocy, ażeby czynność tę odbyć zupełnie spokojnie, i pośpieszyłem na ucztę, jaka zosta-

Pieniądz, Czary

Uczta, Pojedynek

ła zapowiedziana. Bawiono się tutaj bardzo wesoło i byliśmy mocno podnieceni winem i dźwiękiem trąb, gdy mi się zdarzył niemiły wypadek, iż przy wetach, wróciwszy z podróży, wszedł niespodziewanie dawniejszy przyjaciel mojej najdroższej piękności, usiadł przy niej i bez ceremonii starał się korzystać z poprzednich praw swoich. Powstała stąd niebawem niechęć, sprzeczki i kłótnie. Dobyliśmy szpad i mnie, na wpół martwego i licznymi pokrytego ranami zanieśiono do domu.

Chirurg zrobił opatrunek i odszedł. Było już późno w nocy; posługacz mój zasnął. Drzwi bocznego pokoju otworzyły się, weszła moja tajemnicza przyjaciółka i usiadła przy mnie na łóżku. Zapytała, jak się czuję. Nic nie odpowiedziałem, gdyż byłem wyczerpany i gniewny. Nie przestawała mówić dalej z wielkim współczuciem. Potarła mi skronie jakimś balsamem, tak żem mógł wybuchnąć i wylać ją. Gwałtownymi słowy zrzuciłem całą winę nieszczęścia mego na nią, na namiętność, jaką mnie przeniknęła, na jej zjawianie się i znikanie, na nudy, na tęsknotę, jakiej musiałem doznawać. Stawałem się coraz to gwałtowniejszy, jakby mnie napadła gorączka, i przysięgłem jej wreszcie, że jeżeli teraz nie zechce być moja, do mnie należeć, ze mną się połączyć, to żyć już dłużej nie pragnę — i na to zażądałem stanowczej odpowiedzi. Kiedy, wahając się, zwlekała z wyjawieniem myśli, wpadłem we wściekłość. Zerwałem podwójną i potrójną przewiązkę z ran ze stanowczym zamiarem śmierci z upływu krwi. Ale jakżeż się zdumiałem, gdy ujrzałem wszystkie rany swoje zagojone, ciało moje piękne i błyszczące i ją w objęciach moich!

Byliśmy tedy najszczęśliwszą parą w świecie. Prosiłiśmy się wzajem o przebaczenie, a nie wiedzieliśmy naprawdę dlaczego. Obiecała mi podróżować odtąd wraz ze mną i niebawem siedzieliśmy obok siebie w powozie ze skrzyneczką naprzeciwko — jako trzecią niby osobą. Nie wspominałem o niej przed nią nigdy, a i teraz nie przyszło mi na myśl mówić o niej, chociaż stała przed oczyma; milczącą umową dbaliśmy o nią oboje, jak się nadarzała sposobność, tylko że — jak przedtem — ja wynosiłem ją z powozu i wnosiłem. I jak dawniej zajmowałem się zamykaniem drzwi.

Dopóki było coś jeszcze w woreczku, płaciłem ciągle, ale kiedy się gotówka moja wyczerpała, dałem to poznać towarzysze.

— Na to łatwa rada — odrzekła, wskazując dwie małe torebki zawieszane u boku powozu, które dawniej widziałem wprawdzie, ale się nimi nie posługiwałem.

Sięgnęła do jednej i wydobyła kilka sztuk złotych, a z drugiej kilka monet srebrnych i wskazała mi tym sposobem możliwość robienia dalej wydatków do woli. Jechaliśmy tak od miasta do miasta, z kraju do kraju. Weseliliśmy się ze sobą i z innymi i anim pomyślał o tym, że ona może mnie znowu opuścić, a to tym bardziej, że od niejakiego czasu czuła się stanowczo przy nadziei, dzięki czemu radość nasza i miłość jeszcze się zwiększyły. Atoli pewnego poranku nie znalazłem jej, a że pobyt bez niej przykry był dla mnie, puściłem się znowu wraz ze skrzyneczką na drogę. Próbowałem siły obu torebek i wciąż się o jej istnieniu przekonywałem.

Podróż odbywała się pomyślnie, a jeżeli dotychczas nie chciał się głębiej zastanawiać nad moją przygodą, gdyż spodziewałem się całkiem naturalnego rozwoju dziwnych wydarzeń, to teraz spotkało mnie coś takiego, co mnie napełniło zdziwieniem, troską, a nawet obawą. Ponieważ dla pośpiechu przywykłem podróżować dniem i nocą, więc bywało tak, żem częstokroć jechał po ciemku i w powozie moim, jeśli przypadkiem zgasły latarnie, był mrok zupełny. Razu pewnego, wśród ponurej nocy zasnąłem, a obudziwszy się, ujrzałem połysk światła na przykryciu powozu. Przypatrzyłem mu się i nabrałem przekonania, że się ono wydostawało ze skrzyneczki, w której był jakby ślad pęknięcia, wywołanego ciepłem i suchą pogodą letniej pory, jaką wówczas mieliśmy. Ożywiły się we mnie znowu myśli o kosztownościach. Przypuszczałem, że w skrzyneczce leży karbunkul¹⁷⁹, i pragnąłem nabrać pewności pod tym względem. Nachyliłem się, o ile mogłem, tak, żeby okiem bezpośrednio dotknąć szpary. Ale jakież było moje zdumienie, kiedy ujrzałem do pięknie oświetlonego, umeblowanego z wielkim smakiem, a nawet kosztem pokoju, właśnie tak, jakbym przez otwór w sklepieniu spojrzął na wnętrze sali królewskiej. Co prawda mogłem widzieć tylko część przestrzeni, ale z niej wyciągałem wnioski o reszcie. Zdawało się, że na kominku pali się ogień, a przy nim stoi krzesło poręczowe. Wstrzymałem oddech i przyglądałem się dalej. Tymczasem z drugiej strony sali nade-

¹⁷⁹karbunkul (daw.) — czerwony kamień szlachetny. [przypis edytorski]

Czary, Szczęście, Miłość

Pieniądz

Czary, Tajemnica

sza jakaś kobieta z książką w ręku. Poznałem w niej zaraz moją żonę, chociaż jej obraz zmniejszony był w jak najdrobniejszej skali. Piękna usiadła na krześle przy kominku, chcąc czytać, poprawiła węgle śliczniutkim pogrzebaczem — przy czym wyraźnie zauważyć mogłem, że i ta milutka osóbką jest również przy nadziei. Ale wtedy zmuszony byłem trochę zmienić swoje niewygodną pozycję, a chwilę potem, gdy znowu chciałem zajrzeć i przekonać się, że to nie był sen, światło znikło, a ja patrzyłem w mrok pusty.

Łatwo pojąć, jak byłem zdumiony, ba, przerażony. Tysiąc myśli przebiegało mi o tym odkryciu, a w gruncie wcale myśleć nie mogłem. Z tym zasnąłem, a obudzony się, sądziłem, że śnił tylko. Poczuję się jednakże w pewnej mierze obcym mojej pięknej pani, a tym staranniej niosąc skrzyneczkę, nie wiedziałem, czy mam pragnąć czy się obawiać ponownego ukazania się jej w całkowitym wzroście ludzkim.

Po niejakiem czasie, wieczorem, moja piękna weszła rzeczywiście w białej sukni, a ponieważ mrok był właśnie w pokoju, wydała mi się wyższa, niż ją dotąd widywać przywykłem, i przypomniałem sobie, że słyszał, iż wszyscy z rodu syren i gnomów znacznie się wydłużają przy zapadającej nocy. Padła jak zazwyczaj w moje ramiona, ale ja nie mogłem jej zupełnie swobodnie przycisnąć do mej niespokojnej piersi.

— Najdroższy — rzekła — czuję po twoim przyjęciu, co już wiem, niestety. Widziałeś mnie w tym czasie, znasz stan mój, w jakim się niekiedy znajduję. Przez to przerywa się twoje i moje szczęście, a nawet w tym jest punkcie, iż może być całkiem zniszczone. Muszę cię opuścić i nie wiem, czy cię kiedykolwiek jeszcze zobaczę.

Jej obecność, wdzięk, z jakim mówiła, odpędziły natychmiast wspomnienie owego widzenia, które mi do owej chwili jak sen się ukazywało. Uścisnąłem ją ognieście, przekonywałem o swej namiętności, upewniałem o mej niewinności, opowiedziałem, jak przypadkowo zrobiłem to odkrycie — słowem, tyłem dokazał, że wydawała się uspokojona sama i mnie uspokoić się starała.

— Zbadaj się dokładnie — rzekła — czy odkrycie to nie zaszkodziło twojej miłości. Czy możesz zapomnieć, iż się obok ciebie znajduję w dwojakiej postaci? Czy zdrobnienie mojej osoby nie zmniejszy także twego przywiązania?

Spojrzałem na nią. Piękniejsza była niż kiedykolwiek. Rozmawiałem tedy sam ze sobą: „Czyż to tak wielkie nieszczęście mieć żonę, która kiedy niekiedy staje się karlicą, tak że ją można obnosić w skrzyneczce? Nie byłoby gorzej, gdyby się stawała olbrzymką i swojego męża pakowała do skrzynki?”

Pogoda ducha wróciła mi. Za nic w świecie nie dałbym jej odejść.

— Najukochańsza! — odparłem. — Pozostanę i bądźmy tak, jak byliśmy. Czyż mogliśmy znaleźć oboje coś wspanialszego? Rób, jak ci wygodniej, a ja ci przyrzekam tym troskliwiej obchodzić się ze skrzyneczką. Jakżeby mogła na mnie wyrzucić złe wrażenie najśliczniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem? Jakże szczęśliwi byłiby kochankowie, gdyby mogli posiadać takie miniaturki! A wreszcie, toć przecież był tylko obraz, maleńkie kuglarstwo. Doświadczasz mnie i drażnisz, ale zobaczysz, jak ja się trzymać będę.

— Rzecz jest poważniejsza, niż sądzisz — rzekła piękna. — Tymczasem jestem zadowolona, że bierzesz to lekko, gdyż dla nas obojga może to mieć najweselszy skutek. Zaufam ci i ze swej strony zrobię, co mogę. Tylko mi przyrzecz, że odkrycia tego nie wspomnisz nigdy w formie wyrzutu. Do tego dołączam jeszcze jedną usilną prośbę: strzeż się więcej, niż kiedykolwiek, wina i gniewu.

Obiecałem, czego żądała. Wciąż bym tylko obiecywał, ale ona sama zwróciła rozmowę na inne rzeczy i wszystko poszło dawniejszą koleją. Nie mieliśmy powodu zmieniać miejsca pobytu naszego — miasto było duże, towarzystwo liczne, a pora roku dawała sposobność do niejednej zabawy na wsi i w ogrodach.

Na wszystkich takich zabawach żona moja chętnie była widziana, ba, wielce upragniona przez mężczyzn i kobiety. Zachowanie się dobre i przymilne, w połączeniu z pewną wyniosłością, czyniło ją każdemu miłą i szanowną. Prócz tego grała prześlicznie na lutni i śpiewała, a wszystkie wieczory towarzyskie musiał wieńczyć jej talent.

Winiłem atoli wyznać, że nigdy muzyką wielce się nie napawałem, że mi, owszem, dawała ona wrażenie nieprzyjemne. Moja ukochana, spostrzegłszy to rychło, nie starała się tedy zabawiać mnie tym sposobem, gdyśmy byli sami. Natomiast w towarzystwie zdawała się wetować to sobie i znajdowała w nim wielu wielbicieli. Ale po cóż mam się zapierać? Ostatnia nasza rozmowa, pomimo najlepszych chęci moich, nie zdołała przecież załatwić

Muzyka, Śpiew

całkowicie u mnie tej sprawy; owszem, nastroiła tylko bardzo dziwnie moją wrażliwość, chociaż nie miałem o tym zupełnej świadomości. Otóż pewnego wieczoru, wśród liczego towarzystwa, wybuchło powstrzymywane niezadowolenie, a dla mnie wynika stąd nader wielka strata.

Kiedy się teraz należycie zastanawiam, to po owym nieszczęsnym odkryciu kochałem daleko mniej moją piękną, a stałem się o nią zazdrosny, co mi przedtem na myśl nawet nie przychodziło. Wieczorem, przy stole, gdzieśmy siedzieli skośnie naprzeciw siebie w dość znacznym oddaleniu, bawiłem się bardzo dobrze z obu swymi sąsiadkami, które mi się od niejakiego czasu wydawały powabne. Wśród żartów i słów miłosnych nie szczędzono wina. Tymczasem po drugiej stronie dwóch przyjaciół muzyki opanowało moją żonę i potrafiło zachęcić i popchnąć towarzystwo do śpiewów — solowych i chóralnych. Z tego powodu wpadłem w zły humor. Dwaj amatorzy sztuki wydali mi się natrętami, śpiew mnie rozgniewał, a gdy ode mnie zażądano zwrotki solowej, wpadłem istotnie w pasję, opróżniłem puchar i postawiłem go bardzo hałaśliwie.

Wdzięk sąsiadek moich natychmiast mnie wprawdzie ułagodził, ale zła to sprawa z gniewem, gdy już raz wybuchnie. Gotowało się we mnie wciąż, chociaż wszystko powinno mnie być usposabiać do wesołości, do wyrozumiałości. Na odwrót — stałem się jeszcze gniewniejszy, gdy przyniesiono lutnię, a moja piękna wtórowała na niej swemu śpiewowi, ku podziwowi wszystkich innych. Na nieszczęście proszono o ciszę ogólną. A więc i gadać już nie mogłem! A tony sprawiały mi ból zębów. Nie dziw przeto, że w końcu maleńka iskierka podpałała minę.

Śpiewaczka, ukończywszy piosnkę wśród ogromnych oklasków, spojrzała właśnie ku mnie i to nadzwyczaj miłe. Niestety, spojrzenie to nie oddziało na mnie. Zauważyła, że wychylił puchar wina i na nowo go napełniałem. Wskazującym palcem prawej ręki pogroziła mi ślicznie.

— Pamiętaj pan, że to wino! — rzekła na tyle tylko głośno, żebym mógł usłyszeć.

— Woda jest dla karłów! — zawołałem.

— Moje panie — powiedziała ona do moich sąsiadek — uwieńczcie z całym powabem puchar, ażeby się zbyt często nie opróżniał.

— Nie pozwolisz pan przecież rozkazywać sobie! — szepnęła mi jedna z nich do ucha.

— Czego chce ten karzeł? — zawołałem, gwałtownie się poruszywszy, czym przerwóciłem puchar.

— Tu za dużo się leje! — zawołała cudnie piękna, uderzając w struny, jakby chciała uwagę towarzystwa odciągnąć od tego zamieszania ku sobie.

Udało się jej rzeczywiście, zwłaszcza gdy wstała — po to jakoby, iżby grę sobie udognić — i ciągnęła dalej preludia.

Zobaczywszy czerwone wino, spływające po obrusie, doszedłem do siebie. Uznałem wielki błąd, jaki popełniłem, i byłem naprawdę w duchu skruszony. Po raz pierwszy przemówiła do mnie muzyka. Pierwsza zwrotka, przez nią śpiewana, była przyjaznym pożegnaniem towarzystwa, kiedy się jeszcze czuło zgromadzone w pełni. Przy zwrotce następnej towarzystwo niby się rozplywało, każdy czuł się samotny, rozłączony, nikt nie uważał się już za obecnego. Ale co mam powiedzieć o zwrotce ostatniej? Była ona wyłącznie do mnie zwrócona — był to głos zranionej miłości, która żegna się z niechęcią i zuchwałstwem.

W milczeniu poprowadziłem ją do domu, nie spodziewając się niczego dobrego. Atoli zaledwie żeśmy się dostali do swego pokoju, okazała się ona nadzwyczajnie miła i powabna, a nawet figlarna, i uczyniła mnie najszcześliwszym ze wszystkich ludzi.

Nazajutrz powiedziałem z zupełną otuchą i miłością:

— Nieraz, uproszona przez wesołe towarzystwo, śpiewałaś, jak na przykład wczoraj wieczorem, wzruszając pieśń pożegnania. Zaśpiewaj też i dla mnie ładne, wesołe powitanie w tej rannej godzinie, ażebyśmy tego doświadczyli wrażenia, jak byśmy się poznali po raz pierwszy.

— Tego nie mogę, mój przyjacielu — odrzekła poważnie. — Pieśń wczorajszego wieczoru odnosiła się do naszego rozstania, które natychmiast nastąpić musi. Gdyż mogę ci tyle jedynie powiedzieć, że obraza przyrzeczenia i przysięgi pociąga najgorsze dla nas

Zazdrość

Alkohol, Wino

obojga skutki. Ty lekkomyślnie marnujesz wielkie szczęście, a i ja także muszę się wyrzec najmilszych pragnień moich.

Kiedym następnie natarczywie ją prosił, żeby się wypowiedziała jaśniej, ona odparła:

— Zrobić to, niestety, mogę, boć już się skończyło moje przebywanie z tobą. Posłuchaj więc tego, co bym wołała ukryć przed tobą aż do czasów najdalszych. Postać, w jakiej ujrzałeś mnie w skrzyneczce, jest mi rzeczywiście wrodzona i naturalna. Jestem bowiem z rodu króla Eckwalda, potężnego króla karłów, o którym prawdziwe dzieje tyle opowiadają. Lud nasz jest jeszcze wciąż, jak przed wiekami, czynny i pracowity; i dlatego łatwo daje się rządzić. Nie powinienes atoli wyobrażać sobie, iżby karły w pracach swoich były zacofane. Dawniej najsławniejszymi ich wyrobami były miecze, które ścinały wrogów, kiedy się je za nimi rzuciło, niewidzialnie i tajemniczo wiążące łańcuchy, nieprzebite tarcze i tym podobne rzeczy. Teraz zaś zajmują się one głównie przedmiotami wygody i stroju i przewyższają w tym wszystkie inne narody na ziemi. Zdumiałbyś się, gdybyś mógł obejrzeć nasze warsztaty i składy towarów. Wszystko to byłoby dobre, gdyby w całym narodzie w ogóle, szczególnie zaś w rodzinie królewskiej, nie zachodziła pewna dziwna okoliczność.

Ponieważ milczała przez chwilę, prosiłem ją o dalsze objawienie tych cudownych tajemnic — w czym też natychmiast uczyniła mi zadość.

— Wiadomo — rzekła — że Bóg po stworzeniu świata, kiedy cała ziemia wyschła, a góry wznosiły się potężnie i wspaniale, Bóg, mówię, stworzył zaraz przed wszystkimi innymi rzeczami karzełków, ażeby istniały także rozumne istoty, które by cuda jego mogły podziwiać i czcić we wnętrzu ziemi, wśród parowów i przepaści. Wiadomo dalej, że mały ten ród wzmógł się potem i zamyślał przywłaszczyć sobie panowanie nad ziemią. Dlatego stworzył Bóg smoki, żeby drobiazg ten zapędziły w góry. Ale ponieważ smoki przywykły się gnieździć w dużych jaskiniach i jamach i tam mieszkać, a wiele z nich ogniem zionęło i popełniało niektóre inne okropności, miały stąd karzełki dużo biedy i strapien tak dalece, że w końcu nie wiedziały, gdzie się podziać. Zwróciły się tedy do pana Boga z pokorą i błaganiem, wzywając go w modlitwie, żeby ten niegodziwy naród smoków wytepić przeciw raczył. A lubo w mądrości swojej nie mógł on postanowić zguby stworzenia swego, to jednak wielka nędza biednych karzełków tak mu trafiła do serca, że niebawem stworzył olbrzymów, którzy mieli zwalczać smoki i jeżeli ich nie wyniszczą z kretezem, to przynajmniej uszczuplić ich liczbę. Atoli, gdy olbrzymy załatwiły się już jako tako ze smokami, opanowała ich także zarozumiałość i zuchwalstwo, tak że dokonali niejednego przestępstwa, zwłaszcza względem dobrych karzełków, które znowu w biedzie swojej zwróciły się do Boga. A ten z mocy swojej stworzył następnie rycerzy, ażeby zwalczać olbrzymów i smoki, a z karzełkami żyli w dobrym porozumieniu. Tym się zakończyło dzieło stworzenia w tej mierze. A stąd poszło, że potem olbrzymy i smoki, jak też rycerze i karzełki, zawsze ze sobą trzymali. Z tego widzieć możesz, mój przyjacielu, że jesteśmy z najstarszego rodu w świecie, co nam wprawdzie cześć zapewnia, ale też prowadzi ze sobą wielki uszczerbek. Mianowicie, ponieważ nic na świecie wiecznie trwać nie może, ale wszystko, co kiedyś było wielkie, musi się umniejszać i drobnieć, tak też i my jesteśmy w tym wypadku, że od stworzenia świata ciągle żeśmy maleli i drobnieli, a przed wszystkimi innymi rodzina królewska, która, z powodu czystości krwi swojej, najpierw podległa temu losowi. Z tego powodu mądrzy mistrzowie nasi od wielu już lat obmyślili wybieg, iż od czasu do czasu wysyłana była księżniczka z domu królewskiego na ziemię, aby wyjść za mąż za jakiegoś uczciwego rycerza, odświeżyć znowu ród karłów i uratować od całkowitej zguby.

Kiedy moja piękna wypowiadała te słowa całkiem szczerze, patrzyłem na nią z niedowierzaniem, bo mi się zdało, jakby ona miała ochotę wywieść mnie w pole. Co się tyczyło jej szczuplutkiego pochodzenia — o tym żadnej już nie miałem wątpliwości. Ale że mnie się chwyciła zamiast rycerza, to mnie przejmowało niejaką nieufnością. Znałem — i owszem — siebie zanadto dobrze, ażebym mógł wierzyć, że przodkowie moi stworzeni zostali bezpośrednio przez Boga.

Zatailem zdziwienie i wątpliwości, zapytując ją uprzejmie:

— Ale powiedz mi, kochane dziecko, jakim sposobem nabywasz tak wysokiej i okazałej postaci? Mało bowiem znam kobiet, które by z tobą porównać się mogły co do wspaniałej budowy.

Czary, Tajemnica,
Rozstanie, Obraz świata

Czary

— Dowiesz się tego — odparła moja piękna. — Z dawien dawna ustanowiono na radzie królów karlich, żeby się, jak można najdłużej, wystrzegać każdego nadzwyczajnego kroku, co też uważam za naturalne i słuszne. Długo by się jeszcze może ociągano z wysłaniem księżniczki znowu na ziemię, gdyby brat mój, który się po mnie urodził, nie był tak mały, że go niańki z pieluszek zgubiły i nie wiadomo, gdzie się podział. Wobec tego niesłychanego w rocznikach państwa karłów wypadku zgromadzono mędrców i, jednym słowem, zapadło postanowienie, ażeby mnie wysłać na poszukiwanie męża.

— Postanowienie! — zawołałem. — Wszystko to pięknie i dobrze. Można zrobić postanowienie, można coś zadekretować, ale jak zdołali mędracy wasi nadać karlicy ten kształt boski?

— Przewidzieli to już — odrzekła — nasi przodkowie. W skarbcu królewskim leżał olbrzymi, złoty pierścień. Mówię teraz o nim, jakim mi się wydał, kiedy mi jako dziecku pokazano go na swoim miejscu, gdyż jest to ten sam, który obecnie mam na palcu. Zabrano się tedy do dzieła w sposób następujący: zaznajomiono mnie ze wszystkim, co zamierzano, i nauczono mnie, co mam robić, a czego unikać. Zbudowano pyszny pałac na wzór najmiłszej letniej siedziby rodziców moich; budynek główny, oficyny i czego tylko życzyć sobie można. Stał on przy wejściu do wielkiej pieczary skalnej i zdobił ją wielce. W dniu oznaczonym udał się tam dwór oraz rodzice moi wraz ze mną. Wojsko paradowało, a dwudziestu czterech kapłanów niosło w pysznej lektyce, nie bez trudu, cudowny pierścień. Złożono go na progu budynku, w tym miejscu, gdzie się przezeń przestępuje. Odprawiono niektóre ceremonie, a po serdecznym pożegnaniu wzięłam się do roboty. Przystąpiłam, położyłam rękę na pierścieniu i zaczęłam zaraz znacznie rosnąć. W kilka chwil doszłam do obecnej mojej wielkości, po czym natychmiast włożyłam pierścień na palec. W mgnieniu oka zamknęły się okna, drzwi i bramy, oficyny weszły w budynek główny. Zamiast pałacu stała obok mnie skrzyneczka, którą zaraz podniosłam i wzięłam ze sobą, nie bez przyjemnego uczucia, żem taka duża i silna; wprawdzie wciąż jeszcze karlica w porównaniu z drzewami i górami, ze strumieniami i przestrzeniami lądowymi, ale olbrzymka przecież wobec trawy i ziela, a zwłaszcza wobec mrówek, z którymi my, karły, nie zawsze się znajdujemy w dobrych stosunkach i stąd często przez nie jesteśmy trapieni. Jak mi się powodziło w wędrówce, zanim ciebie spotkałam, byłoby dużo do opowiadania. Dość, że niejednego wystawiałam na próby, lecz nikt od ciebie nie wydał mi się godniejszy, by odnowić i uwiecznić ród wspaiałego Eckwalda.

Wobec tych wszystkich opowiadań chwiała mi się głowa, chociaż nią właściwie nie potrząsałem. Zadawałem różne pytania, na które jednak nie otrzymywałem konkretnych odpowiedzi. Dowiedziałem się tylko, ku największemu zasmuceniu, że po tym, co zaszło, musi koniecznie wrócić do rodziców. Spodziewała się wprawdzie powrócić do mnie, ale teraz musiała nieodwołalnie się stawić, gdyż w przeciwnym razie wszystko byłoby zarówno dla niej, jak i dla mnie stracone. Woreczki przestałyby niebawem płacić i mogłyby stąd inne jeszcze wyniknąć rzeczy.

Usłyszawszy, że pieniądze skończyć się nam miały, nie pytałem już, co jeszcze więcej stać się mogło. Wzruszyłem ramionami, umilkłem, a ona zrozumiała mnie, jak się zdało.

Spakowaliśmy się i wsiedliśmy do powozu ze skrzyneczką przed sobą, w której atoli nie mogłem jeszcze dojrzeć nic z pałacu. Tak minęliśmy kilka stacji. Oplatę pocztową i napiwki wygodnie i hojnie opłacałem z torebek na prawo i lewo. W końcu dostaliśmy się do okolicy górzystej, a ledwie żeśmy wysiedli, moja piękna poszła przodem, ja zaś na jej rozkaz szedłem za nią ze skrzyneczką. Po dość stromych ścieżkach zaprowadziła mnie do wąskiej dolinki, przez którą jasny strumień to pryskał, to biegł wężykiem. Ukazała mi wtedy płaszczynę na wzniesieniu, kazała złożyć skrzyneczkę i rzekła:

— Bywaj zdrów! Drogę łatwo odnajdziesz. Pamiętaj o mnie, mam nadzieję, że cię ujrzę jeszcze.

W tej chwili takiego doznawałem uczucia, jakbym nie mógł jej opuścić. Miała właśnie znowu swój piękny dzień albo — jeśli chcecie — swoją piękną godzinę. Być samemu z tak miłą istotą, na zielonej murawie, wśród trawy i kwiatów, w otoczeniu gór, przy szmerze wód — czyż serce pozostałoby wtedy nieczułe! Chciałem ją ująć za rękę, uścisnąć, ale ona mnie odepchnęła i zagroziła, lubo wciąż jeszcze przyjaźnie, wielkim niebezpieczeństwem, jeżeli się nie oddalę natychmiast.

— Czyż nie ma wcale możliwości — zawołałem — żebyś została przy tobie, żebyś mogła

Czary, Klejnot

Czary

mnie przy sobie zatrzymać?

Słowa te wypowiedziałem z tak bolesnymi ruchami i takim tonem, że się wydała wzruszona i po jakimś namyśle wyznała, że trwanie naszego związku nie jest całkiem niemożliwe. Któż był szczęśliwszy ode mnie! Natarczywość moja, stając się coraz żywsza, zmusiła ją w końcu do wypowiedzenia się i do oznajmienia, że, gdybym się zdecydował stać się wraz z nią tak mały, jak ją już widziałem, to bym mógł pozostać z nią i teraz, wchodząc do jej mieszkania, do jej państwa, do jej rodziny. Propozycja ta nie bardzo mi się podobała, ale w tej chwili nie mogłem się po prostu oderwać od niej. A przywykły już od niejakiego czasu do cudowności, zaprawiony do szybkich postanowień, przystałem na to, mówiąc jej, żeby robiła ze mną, co zechce.

Natychmiast musiałem wyciągnąć mały palec prawej ręki; ona oparła swój o niego, ściągnęła sobie bardzo powoli lewą ręką złoty pierścień i przesunęła go na mój palec. Ledwie się to stało, uczulem gwałtowny ból w palcu — pierścień zwęził się i torturował mnie okropnie. Wydałem krzyk straszny i mimo woli rwałem się do mojej pięknej, która tymczasem znikła. Jak mi było wtedy na sercu, na to nie potrafiłbym znaleźć wyrazu. Toteż nie pozostaje mi nic innego do powiedzenia, tylko tyle, że się niebawem znalazłem w drobnej postaci wraz z moją piękną w lesie żdźbeł trawy. Radość ujżenia się znowu po krótkim, a tak dziwnym, rozłączeniu lub też — jeśli chciecie — ponownego zjednoczenia bez rozłączenia przechodzi wszelkie pojęcie. Rzuciłem się jej na szyję, ona odpowiedziała na moje pieszczoty, a mała para czuła się równie szczęśliwa jak duża.

Z pewnym trudem weszliśmy potem na pagórek, murawa bowiem stała się dla nas prawie nieprzebytym lasem. Dostaliśmy się przecież w końcu na miejsce odkryte i jakże się zdziwiłem, zobaczywszy tam duży, regularny gmach, w którym niebawem poznałem skrzyneczkę w tym stanie, w jakim ją postawiłem na wzniesieniu.

— Wejź, mój przyjacielu, i zastukaj tylko pierścieniem, a zobaczysz cuda — rzekła moja ukochana.

Przystąpiłem i ledwie zastukał, ujrzałem rzeczywiście cuda wielkie. Rozwinęły się dwie ogromne oficyny, a równocześnie opadły, jakby łuski i wióry, części rozmaite — oczom moim ukazały się nagle drzwi, okna, krużganki i wszystko, co należy do całości pałacu.

Kto widział kunsztowne biurko Röntgena¹⁸⁰, gdzie za *jednym* naciśnięciem działa wiele sprężyn, ukazują się od razu lub rychło po sobie pulpit i kałamarz, przedziałki na listy i pieniądze, ten będzie mógł wyrobić sobie niejaki wyobrażenie o tym, jak się rozwijał ów pałac, do którego mnie teraz wciągnęła moja słodka towarzysząca. W sali głównej poznałem zaraz kominek, który dawniej widziałem z góry, i krzesło, na którym ona siedziała. A gdy spojrział ponad siebie, zdawało mi się, że dostrzegam jeszcze coś z pęknięcia w sklepieniu, przez które wtedy zaglądałem. Oszczędzam wam opis reszty — dość, że wszystko było obszerne, bogate i pełne smaku.

Ledwie ochłonął ze zdziwienia, kiedy usłyszał z dala muzykę wojskową. Moja piękna połowa podskoczyła z radości i zapowiedziała mi z zachwytem przybycie swego ojca. Stanęliśmy we drzwiach i patrzyliśmy, jak się z okazałej pieczary skalnej wydostał świetny orszak. Żołnierze, lokaje, domownicy i wspaniała świta dworska szli jedni za drugimi. Na koniec ujrzeliśmy złocistą ciżbę, a w niej samego króla. Kiedy cały orszak ustawił się przed pałacem, przystąpił król z najbliższym otoczeniem swoim. Czuła jego córka pośpieszyła na jego spotkanie i porwała mnie ze sobą. Rzuciliśmy się mu do nóg; podniósł mnie bardzo łaskawie, a gdy stanął przed nim, dopiero zauważyłem, że w tym małym światku miałem zaiste wzrost najokazalszy. Poszliśmy razem do pałacu, gdzie król wobec całego dworu swego raczył mnie powitać dobrze wystudiowaną mową, w której wyraził zdziwienie, że nas tu znajduje. Uznał mnie za zięcia i na jutro naznaczył ceremonię zaślubin.

Jakże strasznie zrobiło mi się na sercu, kiedy usłyszał o małżeństwie. Dotychczas bowiem bałem się go więcej prawie niż samej muzyki, która mi przecież dawniej wydawała się najwstrętniejszą rzeczą na świecie.

Małżeństwo, Muzyka, Ślub

¹⁸⁰*biurko Röntgena* — biurko z małą szafką i nowatorskimi elementami mechanicznymi, zaprojektowane przez Davida Röntgena (1743–1807), wytwórcę mebli artystycznych. [przypis edytorski]

Ci, co muzykę robią, zwykłem był mawiać, wyobrażają sobie przynajmniej, że są w zgodzie wzajemnej i działają harmonijnie. Bo strojąc dosyć długo instrumenty i rozdzierając nam uszy mnóstwem tonów fałszywych, mocno i uparcie są przekonani, że już doprowadzili rzecz do doskonałości i że jeden instrument doskonale pasuje do drugiego. Sam kapelmistrz jest w tym szczęśliwym obłądźcie. I oto radośnie brzmi muzyka, a nam, pozostałym, wciąż uszy puchną. W stanie zaś małżeńskim nie ma nawet tego. Bo chociaż jest on duetem tylko i można byłoby mniemać, że dwa głosy — a nawet dwa instrumenty — powinny przecież móc się dostroić, zdarza się to jednak rzadko. Bowiem kiedy mąż zaczyna jednym tonem, to go żona bierze zaraz wyżej, a mąż znowu wyżej — i wówczas z kamertonu przechodzi się do tonu chóralnego. I tak ciągle dalej, aż w końcu dmące instrumenty już nastarczyć nie mogą. I tak, ponieważ muzyka harmonijna jest wstrętą, to tym mniej za złe brać mi należy, iż zgoła znieść nie mogą dysharmonijnej.

O wszystkich uroczystościach, na jakich dzień minął, nie chcę i nie mogę opowiadać, gdyż mało na nie zważałem. Pyszne jedzenie, świetne wino — nic mi jakoś nie smakowało. Myślałem i rozważałem, co mi zrobić wypada. Niewiele wszakże można było wymyślić. Postanowiłem sobie, za nadejściem nocy, wyjść, uciec i skryć się gdziekolwiek. Istotnie, dostałem się do jakiejś szpary w skale, dokąd żem się wcisnął i ukrył się, jak można było najlepiej. Pierwszym moim następnym usiłowaniem było zdjęcie z palca nieszczęsny pierścień, ale to mi się jakoś nie udawało. Owszem, czułem, że się zwęźłał coraz bardziej, jak tylko zamierzałem go ściągnąć, co mi sprawiało gwałtowne bóle, znikające atoli natychmiast, gdy odstępowałem od przedsięwzięcia.

Nazajutrz rano budzę się — mała moja osóбка bowiem spała bardzo dobrze — i chcę się rozejrzeć, gdy zaczyna padać na mnie niby deszcz. Spadało to przez trawę, liście i kwiaty w wielkiej ilości jak piasek i żwir. Atoli jak żem się przeraził, gdy się wszystko wkoło mnie ożywiło i niezliczone wojsko mrówek zważyło się na mnie. Ledwie mnie spostrzegły, zaraz się na mnie ze wszech stron rzuciły, a chociaż się broniłem dosyć mężnie i dzielnie, tak mnie w końcu pokryły, pokąsały i udręczyły, iż się ucieszyłem, gdy usłyszałem wołanie, żebym się poddał. Podałem się rzeczywiście i natychmiast, po czym jakaś mrówka okazałej postawy zbliżyła się do mnie grzecznie, a nawet z uszanowaniem, i poleciała się mojej łasce. Dowiedziałem się, że mrówki zostały sprzymierzeńcami mego teścia i że on w obecnym wypadku powołał je i zobowiązał do dostarczenia mnie. I tak ja, mały, byłem w rękę jeszcze mniejszych. Oczekiwałem ślubu i dziękowałem Bogu, że mój teść się nie gniewał, że moja piękna w złość nie wpadła.

Pozwólcie mi zamilczeć o wszystkich ceremoniach — dosyć, że zostaliśmy zaślubieni. Jakkolwiek wesoło i dziarsko wszystko się u nas odbywało, mimo to znalazły się godziny samotności, w których ciągnęło coś do namysłu, a mnie spotkało coś, co jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Ale co i jak, to posłyszycie.

Wszystko wkoło mnie było zupełnie odpowiednie dla obecnej postaci mojej i potrzeb. Butelki i puchary proporcjonalne do małego biesiadnika — ba, może nawet lepszej miary niż u nas. Małemu podniebieniu memu smakowały delikatne kąski doskonale, pocałunek usteczek małżonki mojej był doprawdy uroczy i nie przeczę, że nowość uczyniła mi nadzwyczaj miłymi wszystkie te stosunki. Ale, niestety, nie zapomniałem przy tym o swoim poprzednim stanie. Czułem w sobie miarę poprzedniej wielkości, co mnie uczyniło niespokojnym i nieszczęśliwym. Teraz dopiero pojąłem, co rozumieją filozofowie przez swe ideały, którymi ludzie tak dręczą się podobno. Miałem ideał siebie samego i ukazywałem się sobie niekiedy we śnie jako olbrzym. Słowem, żona, pierścień, postać karła, tyle innych więzów — uczyniły mnie całkiem nieszczęśliwym, tak żem zaczął serio rozmyślać o wyswobodzeniu.

Przekonanym będąc, że cały czar kryje się w pierścieniu, postanowiłem go przepiłować. W tym celu ukradłem jubilerowi nadwornemu parę pilników. Na szczęście byłem mańkutem i nigdy w życiu nic prawą ręką nie zrobił. Mężnie siedziałem przy pracy — nie była ona mała, gdyż złota obrączka, chociaż wyglądała tak cienko, stała się grubsza w miarę tego, jak się skurczyła w pierwotnej wielkości swojej. Wszystkie wolne godziny obracałem niepostrzeżenie na to zajęcie i miałem dość roztropności, by stanąć przed drzwiami, kiedy metal został przepiłowany. To mi się udało, gdyż nagle złota obręcz gwałtownie odskoczyła z palca, a postać moja rosła w górę z taką szybkością, żem istot-

nie myślał, iż o niebo uderzę, a w każdym razie byłbym przebił sklepienie naszego pałacu letniego — ba, cały nawet ten budynek — swoją świeżą niezaradnością.

I oto znów stałem sam — zapewne większy, ale, jak mi się zdawało, o wiele głupszy i bezradny. A ochłonąwszy ze swego oszołomienia, ujrzałem leżącą obok mnie szkatułkę, którą uznałem za dosyć ciężką, gdy ją podniosłem i dźwigałem, idąc ścieżką pieszą ku stacji, gdzie miałem kazać zaprzęgać i jechać dalej. Po drodze zrobiłem zaraz próbę z torebkami po obu stronach. Zamiast pieniędzy, które widocznie skończyły się, znalazłem kluczyk. Należał on do szkatułki, w której było dostateczne wynagrodzenie za brak w torebkach. Dopóki starczyło, używałem powozu. Potem sprzedałem go, aby móc jeździć pocztą. Szkatułki pozbyłem się na ostatku, bo wciąż przypuszczałem, że się jeszcze napełni. I tak przyszedłem w końcu, chociaż znacznie nadłożywszy drogi, do ogniska kucharki, gdzieście mnie najprzód poznali.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Hersylia do Wilhelma

„Znajomości, choćby się zapowiadały obojętnie, mają nieraz bardzo ważne następstwa. A cóż dopiero ta z panem, która od początku nie była obojętna. Dziwny klucz dostał się do rąk moich jako zastaw szczególny, teraz posiadam już i skrzyneczkę. Klucz i skrzyneczkę — cóż pan na to? Co należy na to powiedzieć? Posłuchaj pan, jak się to stało.

Młody, elegancki mężczyzna każe się oznajmić stryjowi memu i opowiada, że ciekawy antykwariusz, który od dawna był z panem w stosunku, umarł niedawno i przekazał mu całą, godną uwagi spuściznę, ale zobowiązał zarazem niezwłocznie zwrócić wszelką obcą własność, która była mu właściwie powierzona tylko. Własne dobro nikogo nie przejmuje niepokojem, gdyż utratę samemu jedynie znieść wypada, le przechowywać cudze dobro pozwalał sobie w szczególnych jeno wypadkach. Młodzieńca nie chciał obarczać tym brzemieniem — owszem, zakazał mu, pod miłością ojcowską i powagą, nim się zajmować. To mówiąc, wydobyl skrzyneczkę, która, chociaż znana mi już z opisu, zastanowiła mnie swoją doskonałością.

Stryj, obejrzawszy ze wszech stron, zwrócił ją, mówiąc, że i on także zobowiązał się postępować podobnie i nie obarczać się żadną starożytnością — jakkolwiek byłaby piękna i cudna — jeżeli nie wie, do kogo przedtem należała i jaką historyczną pamiątkę łączyć z nią należy. Skrzyneczka zaś ta nie ma ani liter, ani znaków, ani daty, ani innej wskazówki, z której by odgadnąć można poprzedniego posiadacza lub twórcę; jest zatem dla niego całkiem nieużyteczna i nie interesuje go.

Młodzieniec stał w wielkim zakłopotaniu i po niejakiem namyśle zapytał, czy by nie zezwolił złożyć jej w swoim sądzie. Stryj uśmiechnął się, obrócił do mnie i rzekł: «To byłaby ładna rzecz dla ciebie, Hersyljo. Masz przecież różnorodne ozdoby i ładne kosztowności, dołącz i tę do nich, bo założyłbym się, że przyjaciel, który nie był dla ciebie obojętny, wróci tu przy sposobności i zabierze to».

Muszę to tak wypisać, chcąc opowiadać wiernie, a następnie winnam wyznać, że przypatrywała się skrzyneczce zazdrosnymi oczyma i pewna chciwość mnie opanowała. Przykro mi było pomyśleć, że wspaniała, losem hożemu Feliksowi przyznana szkatułka znajdzie się w żelaznej, zardzewiałej skrzyni depozytowej w sądzie. Niczym różdżka czarnoksięska wyciągnęła się ręka moja po nią, odrobina rozumu mojego zatrzymała ją — miałam przecież klucz, a tego nie mogłam odkryć. Otóż musiałam zadać sobie udręczenie, zostawiając zamek nieodemknięty, albo też powziąć nieuprawnioną śmiałość, otwierając go. Atoli nie wiem, czy to było życzenie czy przeczucie, ale wyobraziłam sobie, że pan przybywasz, niebawem przybywasz; że już będziesz, kiedy zajdę do swego pokoju. Słowem, tak mi było dziwnie, tak osobliwie, tak mętnie, jak mi to się zdarza zawsze, gdy jestem przymuszona porzucić swoją spokojną wesołość. Nie mówię nic więcej, nie opisuję, nie usprawiedliwiam się — dość, że oto skrzyneczka leży przede mną w mojej szkatule, obok kluczyk. A jeżeli masz trochę serca i wyobraźni, to wystawisz sobie, co się ze mną dzieje, ile to namiętności walczy ze sobą we mnie, jak pragnę sprowadzić pana, a i Feliksa także, żeby się skończyło; przynajmniej żeby nastąpiło wyjaśnienie, co znaczy to dziwne znajdowanie, odnajdowanie, rozłączanie i jednoczenie. A choćbym nawet nie miała być

List

wybawiona ze wszelkich kłopotów, to pragnę jak najgoręcej, żeby ten bodaj się wyjaśnił, skończył — nawet gdyby miało mnie spotkać, czego się lękam, coś jeszcze gorszego”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pomiędzy papierami, które leżą przed nami do zredagowania, znajdujemy krotoczwilę¹⁸¹. Załączamy ją tutaj bez dalszego przygotowania, gdyż sprawy nasze stają się wciąż poważniejsze i może byśmy potem nie znaleźli wcale miejsca na takie nieprawidłowe wtręty.

W całości chyba nie będzie niemiłe czytelnikowi to opowiadanie, jakie święty Krzysztof w pogodny wieczór wygłosił przed zebranym kółkiem wesołych towarzyszy.

Niebezpieczny zakład

Wiadomo, że ludzie, którym się jako tako powodzi według ich pragnień, niebawem nie wiedzą co robić z pustoty — tak też mieli zwyczaj dziarscy studenci przeciągać podczas wakacji oddziałami po kraju i porywać za sobą wedle swych obyczajów orszaki, co nie zawsze najlepsze miało następstwa. Różnili się oni bardzo między sobą, jak ich zjednoczyło i związało życie chłopięce. Nierówni urodzeniem i zamożnością, umysłem i wykształceniem, lecz wszyscy towarzyszy w znaczeniu wesołym — razem się trzymali i działali. Mnie atoli często wybierali za towarzysza. Bo jeżeli niosłem większe ciężary niż którykolwiek z nich, musieli mi też udzielić zaszczytnego tytułu wielkiego figlarza; a głównie dlatego, że rzadko wprawdzie, ale za to potężne płałem psoty, o czym zaświadczy następujący wypadek.

W wędrowkach swoich dostaliśmy się do milej wioski górskiej, która pomimo ustronnego położenia miała zaletę stacji pocztowej oraz, wśród wielkiego odosobnienia, parę ładnych dziewcząt za mieszkanki. Chciano wypocząć, chwilę spędzić, pobaraszkować; żyć przez czas jakiś taniej, a przez to więcej pieniędzy roztrwonić.

Było właśnie po obiedzie, kiedy się jedni znajdowali w podwyższonym, drudzy w poniżonym stanie. Jedni leżeli i wysypiali swoje oszołomienie, inni chętnie by je zużytkowali w jakiś swobodny sposób. Mieliliśmy kilka dużych izb w oficynie od podwórza. Piękny powóz, zajeżdżający w cztery konie, ściągnął nas do okien. Lokaje zeskoczyli z kozła i pomogli wysiąść okazałemu i na znaczną osobę wyglądającemu panu, który, pomimo lat swoich, stąpał dość jeszcze raźnie. Jego duży, ładny nos wpadł mi najprzód w oko i nie wiem, co za zły duch mi podszeptał, alem w jednej chwili powziął plan szalony i bez namysłu zaraz go zacząłem wykonywać.

— Co myślicie o tym jegomościu? — zapytałem towarzystwa.

— Wygląda tak — odrzekł jeden — jak by nie pozwalał z siebie żartować.

— Tak, tak — mówił drugi — ma on powierzchowność wytwornego Niedotykałskiego.

— A mimo to — odpowiedziałem, pewny siebie — o co zakład, że go za nos wytargam bez złych dla siebie skutków. Ba, na łaskę jego nawet przez to sobie zasłużę.

— Jeżeli tego dopniesz — rzekł Zawalidroga — to każdy ci wypłaci luidora¹⁸².

— Zgarnijże pan do kasy pieniądze dla mnie — zawołałem. — Zdam się na pana.

— Wolałbym wyrwać lwu włos z pyska — rzekł Mały.

— Nie mam czasu do stracenia — odparłem, zbiegając ze schodów.

Przy pierwszym spojrzeniu na przybysza dostrzegłem, że ma bardzo silny zarost, i domyślałem się, że żaden z jego ludzi nie umie golić. Spotkawszy kelnera, zapytałem:

— Czy pan ten nie pytał o cyrulika?

— A tak! — odpowiedział kelner. — I z tym wielka bieda. Kamerdyner tego pana od dwóch dni jest nieobecny. Pan chce koniecznie pozbyć się swojej brody, a nasz jedyny cyrulik nie wiadomo gdzie poszedł w sąsiedztwo.

— To mnie zameldujcie — odparłem. — Zaprowadźcie mnie do tego pana jako golibrodę, a ja was rozslawię.

Wziąłem narzędzia do golenia, które znalazłem w oberży, i poszedłem za kelnerem.

Starzec przyjął mnie z wielką powagą. Obejrzał mnie od czubka głowy do pięt, jakby chciał z mojej fizjonomii wyciągnąć wniosek o mojej zręczności.

¹⁸¹krotoczwila (daw.) — dowcip, figiel, zabawna historia. [przypis edytorski]

¹⁸²luidor — dawna, złota moneta francuska. [przypis edytorski]

Młodość, Podróż

Zabawa, Podstęp, Żart

— Czy on rozumie swoje rzemiosło? — rzekł do mnie.

— Nie mam sobie równego — odparłem — nie chwałąc się.

Byłem też pewny swej sprawy, gdyż od dawna uprawiałem tę szlachetną sztukę i tym szczególnie się wslawiłem, żem goolił lewą ręką.

Pokój, w którym ten pan się ubierał, wychodził na podwórze i tak był właśnie położony, że przyjaciele nasi mogli wybornie przypatrywać się — zwłaszcza kiedy okna były otwarte. W przygotowaniach niezbędnych niczego już nie brakło. Mój pan zasiadł i zarzucił ręcznik. Bardzo skromnie przystąpiłem do niego, mówiąc:

— Ekszelencjo! Przy wykonywaniu mej sztuki spotykała mnie ta osobliwość, żem ludzi pospolitych goolił lepiej i z większym ich zadowoleniem, niż znakomitości. Długo się nad tym zastanawiałem, szukając przyczyny to w tym, to w owym, ale w końcu doszedłem, że na świeżym powietrzu daleko lepiej to robię niż w pokojach zamkniętych. Jeżeliby wasza ekszelencja pozwolił okna otworzyć, to by zaraz odczuł skutek ku własnemu zadowoleniu.

Przyzwolił. Otworzyłem okna, dałem znak przyjaciółom swoim i zacząłem z wielkim wdziękiem mydlić silny zarost. Równie zręcznie i lekko ścierałem ściernisko z pola, przy czym nie omieszkałem, gdy przyszło do wargi górnej, ująć swego łaskawcę za nos i nachylałem go znacznie w tę i ową stronę. A tak potrafiłem stanąć, że zakładający się musieli ku najwyższemu zadowoleniu swemu uznać, iż ich strona przegrała.

Wspaniale poruszał się starzec przed zwierciadłem. Widać było, że się przypatruje sobie z pewnym upodobaniem — i rzeczywiście, był to wielce piękny mężczyzna. Potem zwrócił się ku mnie i patrząc na mnie ognistym, czarnym, ale przyjaznym okiem, rzekł:

— Zasługuje on przed wielu jemu podobnymi na pochwałę, gdyż spostrzegam w nim daleko mniej złych manier niż w innych. I tak: nie przeciąga on dwa i trzy razy po tym samym miejscu, ale robi to *jednym* pociągnięciem. Nie obciera też, jak wielu, brzytwy o dłoń i nie wnosi plugastwa na nos osobie. Szczególniej wszakże podziwiać trzeba zręczność jego lewej ręki. Oto ma za swój trud — mówił dalej, dając mi guldena¹⁸³. — Jedno tylko niech sobie zapamięta: ludzi wyższych stanów nie bierze się za nos. Jeżeli tego chłopskiego obyczaju unikać będzie w przyszłości, to może zrobić jeszcze karierę na świecie.

Skłoniłem się nisko i obiecałem, że będę się starał. Prosiłem, żeby mnie zaszczycił po powrocie, i śpieszyłem, jak mogłem, do swych młodych towarzyszy, którzy mi w końcu napędzili strachu. Takie bowiem wyprawiali śmiechy i krzyki, skakali po pokoju jak szaleni, klaskali i nawoływali, budzili śpiących i opowiadali o tym zdarzeniu z nowym wciąż śmiechem i hałasem, że ja sam, wszedłszy do pokoju, zamknąłem przede wszystkim okna i prosiłem ich — na miłość boską — żeby się uspokoiłi. Wreszcie jednak musiałem śmiać się z nimi na wspomnienie postępku błazeńskiego, którego dokonałem z tak wielką powagą.

Kiedy się po jakimś czasie szalone fale śmiechu do pewnego stopnia uspokoiły, uważałem się za szczęśliwego. Złote sztuki miałem w kieszeni, a nadto — dobrze zasłużonego guldena. Poczytywałem się za wybornie zaopatrzonego, co tym bardziej było pożądanym, że towarzystwo postanowiło się rozejść w dniu następnym.

Nie było nam atoli sądzone rozstać się w karności i porządku. Historia owa była zbyt smakowita, żeby ją można było dla siebie zachować, chociaż prosiłem i zaklinałem, iżby trzymać język za zębami — przynajmniej do odjazdu starego pana. Jeden z naszych, przewany Raptusem, miał stosunek miłosny z córką gospodarzy. Zeszli się ze sobą i Bóg wie, czy nie umiał jej zabawić inaczej, dosyć, że opowiedział jej ten figiel i ledwie się na śmierć nie zaśmieli. Nie skończyło się na tym; dziewczyna rozniosła wieść dalej ze śmiechem. I w ten sposób, jeszcze przed położeniem się do łóżka, mogła ona dojść do starego pana.

Siedzieliśmy spokojniej niż kiedykolwiek, przez cały dzień bowiem dosyć żeśmy się nahałasowali. Nagle mały kelner, który nam wielce sprzyjał, wpadł do nas, wołając:

— Ratujcie się, bo was na śmierć zabiją!

Powstałiśmy, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, lecz on wybiegł tymczasem za drzwi. Poskoczyłem i zasunąłem rygiel, ale już słyszeliśmy stukanie i bicie do drzwi —

¹⁸³ *gulden* — dawna moneta, używana głównie w pln. Europie. [przypis edytorski]

ba, zdało nam się, że je rąbią siekierą. Machinalnie cofnęliśmy się do drugiego pokoju. Wszyscy milczeli.

— Zdradzono nas — zawołałem. — Chwyć nas diabeł za nos!

Zawalidroga porwał swą szpadę. Ja zaś okazałem tu raz jeszcze swoją siłę olbrzymią i bez niczyjej pomocy przysunąłem ciężką komodę do drzwi, które na szczęście otwierały się do wewnątrz. Słyszeliśmy już hałas w przedpokoju i gwałtowne dobijanie się do drzwi naszych.

Baron zdecydowany był na obronę, ja kilkakrotnie wołałem do niego i innych:

— Ratujcie się! Tu należy się bać nie tylko razów, ale i obelgi, co dla szlachetnie urodzonych jest gorsza.

Weszła dziewczyna — ta sama, co nas zdradziła — zrozpaczona teraz, widząc swego kochanka w niebezpieczeństwie śmierci.

— Dalej, dalejże — wołała, chwytając go. — Dalejże, dalej! Przeprowadzę was przez strychy, stodoły i korytarze. Chodźcie wszyscy, ostatni ściągnie drabinę.

Wszystko rzuciło się do drzwi tylnych. Ja włożyłem jeszcze kufer na skrzynię, aby trzeszczące już filunki¹⁸⁴ drzwi obłożonych podeprzeć i przytrzymać. Moja atoli wytrzymałość, mój upór miały się zgubą stać dla mnie.

Chcąc za resztą pośpieszyć, przekonałem się, że drabina została już ściągnięta i że nadzieja ocalenia się zupełnie znikła. Tak tedy stoję oto — ja, właściwy przestępca, com już przestał myśleć o ucieczce z nietkniętą skórą, z całymi kośćmi. I kto wie... Ale pozwólcie mi stać tam wciąż w myśli, kiedy oto tu obecnie mogę wam przygodę tę opowiadać. Posłuchajcie tylko jeszcze, że ta zuchwała psota pociągnęła za sobą złe skutki.

Starzec, ciężko dotknięty niepomszczonym wyśmianiem, wziął to sobie do serca i wypadek ten, jak utrzymywano, spowodował śmierć jego — jeśli nie bezpośrednio, to częściowo. Syn jego, usiłując wpaść na ślad sprawców, dowiedział się na nieszczęście o współudziale barona i przekonawszy się o tym dopiero po latach wielu, wyzwał go, a rana, oszpeciwszy tego pięknego mężczyznę, dotkliwa dlań się stała na całe życie. A i przeciwnikowi jego starcie to popsulo kilka pięknych lat, wskutek wydarzeń łączących się z nim przypadkowo.

A że każda bajka powinna właściwie nauczyć czegoś, to chyba wam wszystkim bardzo jasno i wyraźnie przedstawia się, do czego zmierza obecna.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaświtał dzień nadzwyczaj ważny: dzisiaj miały być podjęte pierwsze kroki do powszechnej wędrówki dalszej, dzisiaj miało się rozstrzygnąć, kto chce rzeczywiście pójść dalej w świat, a kto woli z tej strony, na łądzie stałym ziemi pozostać i szczęścia próbować.

Na wszystkich ulicach ładnego miasteczka zabrzmiała pieśń wesola; tworzyły się tłumy, członkowie jednego rzemiosła łączyli się ze sobą. I tak wśród zgodnego śpiewu, w porządku przez los wyznaczonym, przybywano do sali. Przełożeni (tak nazwiemy Leonarda, Fryderyka i amtmana) zamierzali właśnie pójść za nimi i zająć miejsce należne, gdy przystąpił do nich mężczyzna o ujmującej powierzchowności i prosił o pozwolenie wzięcia udziału w zebraniu. Niepodobna by mu było czegokolwiek odmówić, tak zachowanie się jego było przystojne, uprzedzające i miłe, przez co niezmiernie wdzięczną się okazywała jego imponująca postać, która mówiła i o armii, i o dworze, i o życiu towarzyskim. Wszedł wraz z innymi; dano mu miejsce honorowe. Wszyscy usiedli, stał tylko Leonard i zaczął mówić w sposób następujący:

— Jeżeli rozpatrzmy, przyjaciele moi, najlepiej zaludnione prowincje i państwa łądu stałego, to gdzie tylko ukazuje się grunt użyteczny, znajdujemy go uprawionym, zasadzonym, uregulowanym, upiększonym, a zarazem pożądanym, objętym w posiadanie, umocnionym i bronionym. Przekonujemy się stąd o wysokiej wartości majątku ziemskiego i zmuszeni jesteśmy uważać go za rzecz najpierwszą, najlepszą, jaka człowiekowi się dostaje. A jeżeli zauważymy, bliżej się temu przyglądając, że miłość rodziców i dzieci, serdeczny związek współmieszkańców wiosek i miast, a zatem ogólne uczucia patriotyczne, opierają się bezpośrednio na ziemi, to owo chwytnie i zatrzymywanie przestrzeni ukaże się wam z coraz wyższej i czcigodniejszej strony. Zaiste, tak chciała przyroda! Człowiek,

Ziemia, Własność

¹⁸⁴filunek a. filung — płyta wypełniająca ramy skrzydła drzwi. [przypis edytorski]

zrodzony na skibie, staje się jej powinowatym wskutek przyzwyczajenia. Oboje zrastają się ze sobą i równocześnie zawiązują się najpiękniejsze węzły. I któż by chciał nieprzyjaźnie dotykać tej podwaliny wszelkiego istnienia, któż by nie chciał uznawać wartości i godności tego pięknego, jedyne go daru nieba?

A jednak należy powiedzieć: jeżeli to, co człowiek posiada, wielką ma wartość, to trzeba jeszcze większą przypisać temu, co on robi i sprawia. Wolno nam przeto przy całkowitym oglądzie uważać majątek ziemski za mniejszą częśćkę dóbr nam udzielonych. Najliczniejsze z nich i najwyższe zasadzają się właściwie na pierwiastku ruchu i na tym, co się przez życie ruchliwe zyskuje.

Ku temu zwrócić się musimy, zwłaszcza my, młodszy. Chociaż byśmy odziedziczyli po swych ojcach chęć pozostania i wytrwania, to przecież w tysiączny sposób wzywani bywamy, by nie zamykać bynajmniej oczu przed dalszymi widokami i przewidywaniami. A więc śpieszmy szybko nad brzeg morza i przekonajmy się jednym spojrzeniem, jakie niezmierzone przestrzenie stoją otworem dla działalności. I przyznajmy, że na samą tę myśl doznajemy już odmiennego pobudzenia.

Ale w takie obszary bez granic zapuszczać się nie będziemy. Zwrócimy tylko uwagę naszą na stały, rozległy i wielki grunt tylu krajów i państw. Tam widzimy duże przestwory ładu przebiegane przez koczowników, których miasta są ruchome, których posiadłość w trzodach żywiących wszędzie przepędzić można. Widzimy ich w puszczy, spoczywających na dużych, zielonych pastwiskach, jakby w pożądanym przystanku na kotwicy. Taki ruch, taka wędrówka staje się dla nich nałogiem, potrzebą. Postzegają w końcu powierzchnię ziemi tak, jakby na niej góry nie tworzyły wałów, jakby jej nie przerzynały rzeki. Widzieliśmy przecież, jak północny wschód ruszył się przeciw południowemu zachodowi, jak jeden lud pędził przed sobą drugi, jak panowanie i posiadanie ziemi zmieniło się z gruntu.

W wielkim przebiegu dziejów nieraz jeszcze zdarzy się to samo ze strony przeludnionych okolic. Trudno byłoby powiedzieć, czego mamy oczekiwać od obcych. Ale to dziwne, że własnym swym przeludnieniem wzajem się u siebie ściskamy i nie czekając, aż nas wypędzą, sami się wypędzamy, sami przeciw sobie wygłaszając wyrok wygnania.

Otóż teraz jest czas i miejsce, bez gniewu i żalu w sercu naszym, pozwolić na pewną ruchliwość, nie powstrzymywać niecierplivej żądy, pchającej nas do zmieniania miejsca pobytu. Atoli co zamierzamy i przedsięwierzemy, niech nie wypływa z namiętności ani z jakiegokolwiek innego przymusu, lecz z przekonania, odpowiadającego dojrzałemu rozmysłowi.

Powiedziano i powtarzano: *gdzie mi się dobrze dzieje, tam moja ojczyzna!* Lepiej jednakże byłoby wyrazić to krzepiące zdanie w sposób następujący: *gdzie jestem użyteczny, tam moja ojczyzna!* W domu może być ktoś do niczego, choć się tego natychmiast nie dostrzeżę. W świecie odkrywa się nieużyteczny bardzo rychło. Kiedy więc powiadam: *niech każdy stara się być użytecznym sobie i innym*, nie jest to przestroga ani radą, lecz wyrokiem samego życia.

Obejrzyjmy tedy kulę ziemską i nie zwracajmy z początku uwagi na morze, nie dajmy się porwać tłumowi okrętowemu. Utkwijmy wzrok w łąd stały i podziwiamy, jak on jest zapchany rojnie krzyżującym się plemieniem mrówek. Do tego dał pochop sam Pan Bóg, rozprasząc ród ludzki po całym świecie przez przeszkodzenie w budowie wieży Babel¹⁸⁵. Wychwalajmy go za to, gdyż błogosławieństwo to przeszło na wszystkie pokolenia.

Zauważcie z radością, jak wszelka młodzież natychmiast w ruch się wprawia. Kiedy się jej nie nastrocza nauka ani w domu, ani w jego pobliżu, śpieszy zaraz do stron i miast, dokąd ją wabi rozgłos wiedzy i mądrości. A otrzymawszy pośpieszne, średnie wykształcenie, czuje rychło popęd do dalszego rozglądania się w świecie, w nadziei, że tu lub owdzie znajdzie i schwyci jakieś użyteczne doświadczenie, pomocne do jej celów. Niechże próbuje szczęścia! Ale my wspomnijmy tu skończonych, znakomitych mężów, owych szlachetnych badaczy przyrody, co to świadomie wystawiają się na wszelkie trudy, na wszelkie niebezpieczeństwa, ażeby światu świat otworzyć i utorować ścieżki i drogi przez obszary najmniej dostępne.

¹⁸⁵ *wieża Babel* — w *Biblii* potężna budowla, wznoszona przez zjednoczoną ludzkość jako znak, dzięki któremu ludzie się nie rozproszą. Bóg sprzeciwił się tym zamiarom, pomieszał budowniczym języki i podzielił przez to ludzi na różne narody. [przypis edytorski]

Przypatrzcie się także na gładkich gościńcach wzbijającemu się w długich pasmach chmur kurzowi, co zaznacza ślad wygodnych, wypakowanych powozów, w których dostojnicy, bogacze i jeszcze inni przejeżdżają z nader odmiennymi myślami i zamiarami, jak to nam wcale ładnie Yorick¹⁸⁶ wyklada.

Niech atoli patrzy na nich z otuchą dzielny rzemieślnik idący piechotą, na którego ojczyzna włożyła obowiązek, by sobie cudzą zręczność przyswoił i nie prędzej wracał do rodzinnego ogniska, aż tego dokona. Częściej jednakże na drogach naszych spotykamy sprzedających i kupujących. Mały nawet przekupień nie powinien zaniedbywać, opuszczając kiedy niekiedy swój kramik, zwiedzania targów i jarmarków, aby się zbliżyć do kupca hurtowego i podnieść swój mały zysk za pośrednictwem przykładu, współudziału w tym, co granic nie ma. Atoli niespokojniej jeszcze krzyżuje się na wszystkich gościńcach i bocznych drogach pojedynczo, konno tłum tych, co się uwzięli mieć pretensję do naszego worka wbrew naszej woli. Próbkę wszelkiego rodzaju i spisy cen przesładują nas w domach miejskich i wiejskich. I gdziekolwiek byśmy się schronili, zaskakują nas niestrudzenie, nastęrcząc sposobność, której szukać samemu nie przyszłoby na myśl nikomu.

A cóż mam powiedzieć o ludzie, który błogosławieństwo wiecznej wędrówki przyswaja sobie przed wszystkimi innymi i ruchliwą działalnością swoją umie okpić siedzących na miejscu, a współwędrowców wyprzedzić? Nie powinniśmy mówić ani dobrze, ani źle o nim. Dobrze nie, ponieważ związek nasz strzeże się go. I źle nie, ponieważ wędrowiec obowiązany jest przyjaźnie się obchodzić z każdym spotkanym, pamiętny o wzajemnej korzyści.

Przed wszystkim wszakże należy nam ze współczuciem wspomnieć o wszystkich artystach, gdyż oni są na wskroś wpleceni w ruch wszechświatowy. Czyż malarz ze sztalugą i paletą nie wędruje od jednej twarzy do drugiej? A pokrewni mu artyści czyż nie są wciąż to tu, to tam wzywani, bo wszędzie trzeba budować i rzeźbić? Żywiej atoli posuwa się muzyk; on to bowiem rzeczywiście dla nowego ucha nową sprawia niespodziankę, dla świeżego zmysłu świeże zdumienie. A potem aktorzy, chociaż pogardzili już wozem Tespisa¹⁸⁷, wędrują przecież wciąż małymi chórami, a ich świat ruchomy dosyć żywo budowany bywa na każdym miejscu. A i pojedynczo, zrywając nawet poważne, korzystne związki, chętnie zamieniają jedno miejsce na drugie, do czego wzmożony talent ze wzmożoną równocześnie potrzebą daje pochop i pretekst. Do tego przygotowują się zazwyczaj tym sposobem, że nie opuszczają żadnej ważniejszej sceny ojczystej bez wstąpienia na nią.

Następnie zaraz się nam przypomina, żebyśmy spojrzeli na stan nauczycielski. Widzicie go również w ruchu ustawicznym. Jedną katedrę po drugiej to zajmują, to opuszczają, aby ziarno śpiesznego wykształcenia rozrzucić obficie na wszystkie strony. Pilniejsze wszakże i dalej sięgające są te pobożne dusze, co się rozpraszają po wszystkich częściach świata, by zanieść ludom zbawienie. Natomiast pielgrzymują inne, by sobie przynieść zbawienie. Całymi zastępami udają się one do miejsc świętych, cudownych, szukając tam i otrzymując to, czego sercu ich w domu nie dano.

Jeśli nas ci wszyscy nie dziwią, ponieważ ich działalność niemożliwa by prawie była bez wędrówki, to tych przynajmniej, co pracą swoją ziemi poświęcają, powinniśmy uważać za przytwierdzonych do niej. Bynajmniej! Można pomyśleć o użytkowaniu bez posiadania. Toteż widzimy, jak gorliwy gospodarz opuszcza niwę, która mu przez lat wiele, jako dzierżawcy, dawała korzyść i przyjemność. Niecierpliwie poszukuje on równych lub większych korzyści, czy to blisko czy daleko. Ba, nawet właściciel porzuca dopiero co wytrzebioną nowinę¹⁸⁸, skoro tylko przez kulturę uczynił ją miłą dla mniej biegłego posiadacza. Na nowo wciska się w puszcę, na nowo wytwarza sobie grunt w lasach, przestrzeń dwa i trzy razy większą, jako nagrodę za owe pierwsze trudy; ale i tu może nie myśli długo przebywać.

Artysta, Podróż, Pozycja społeczna, Kondycja ludzka

Nauczyciel, Pielgrzym

¹⁸⁶ Yorick — narrator powieści *Podróż sentymentalna po Francji i Włoszech* (ang. *A Sentimental Journey Through France and Italy*), autorstwa irlandzkiego pisarza, Laurence'a Sterne'a (1713–1768). [przypis edytorski]

¹⁸⁷ Tespis a. Tępis z Ikarii (VI w. p.n.e.) — grecki poeta i aktor, twórca tragedii, który wystawiając po wsiach dramaty, wykorzystywał czółno na kółkach (tzw. „wóz Tespisa”, uważany za pierwszy rekwizyt teatralny). [przypis edytorski]

¹⁸⁸ nowina (daw.) — tu: grunt świeżo zajęty pod uprawę. [przypis edytorski]

Zostawmy go tam ścierającego się z niedźwiedziami i innymi zwierzętami i wróćmy do świata ucywilizowanego, gdzie także nie spotkamy się z większym spokojem. Proszę się rozpatrzeć w jakim bądź uporządkowanym państwie, gdzie najzdolniejszy przedstawić się musi jako najruchliwszy. Na skinienie panującego, wedle rozporządzenia rady państwa użyteczny przenoszony bywa z jednego miejsca na drugie. I do niego stosuje się nasz okrzyk: starajcie się być użytecznymi wszędzie, bądźcie wszędzie jak u siebie. A kiedy widzimy, jak znakomici statyści¹⁸⁹, lubo niechętnie, opuszczają swe wysokie stanowiska, to mamy powód żałować ich. Gdyż nie możemy ich uznać ani za wychodźców, ani za wędrowców. Za wychodźców nie, gdyż brak im pożądanego bytu, a nie mają widoków bytu lepszego, choćby pozornie tylko. Za wędrowców także nie, gdyż rzadko im bywa dane, by w innych miejscowościach stali się w jaki bądź sposób użyteczni.

Do właściwego atoli życia wędrownego powołany jest żołnierz. Nawet w czasie pokoju przeznaczają mu stanowisko to tu, to owdzie. By walczył w pobliżu lub w dali za ojczyznę, musi być zawsze w ruchu, a nie tylko dla bezpośredniego ocalenia, ale także stosownie do zamiaru ludów i władców zwraca on krok swój ku wszystkim częściom świata. I niewielu tylko jest dane osiedlić się tu lub owdzie. A lubo u żołnierza waleczność jako najpierwszy przymiot stoi na czele, to przecież rozumie się ją zawsze połączoną z wiernością. Stąd to widzimy, jak niektóre ludy, sławne ze swej wierności, powołane ze swej ojczyzny, służą w charakterze straży przybocznej władców świeckich i duchownych.

Jedną jeszcze bardzo ruchliwą, dla państwa niezbędną klasę spostrzegamy w owych ajentach, którzy, posyłani z dworu do dworu, oblegają panujących i ministrów i oplatają cały świat zamieszkały niemi niewidzialnymi. I z nich żaden ani na chwilę nawet nie siedzi bezpiecznie na tym samym miejscu. W czasie pokoju posyłają najdzielniejszych z jednej strony świata na drugą; w czasie wojny, ciągnąc za wojskiem zwycięskim, torując drogi uciekającemu, wciąż są gotowi do opuszczenia jednego miejsca dla drugiego i stąd też mają zawsze przy sobie wielki zapas biletów pożegnalnych.

Jeżeliśmy dotychczas umieli na każdym kroku cześć sobie oddawać, przyznając się do najwyborniejszego tłumu czynnych mężów jako do towarzyszy swoich, to czeka was jeszcze, drodzy przyjaciele, na zakończenie szczyt najwyższy, gdy się ujrzymy zbratanymi z cesarzami, królami i książętami. Przypomnijmy sobie naprzód z błogosławieństwem owego szlachetnego wędrowca, cesarza Hadriana¹⁹⁰, który piechotą, na czele wojska swego, przebył zamieszkaną, a sobie podległą ziemię, i tym sposobem dopiero objął ją w zupełności w posiadanie. Ze zgrozą przypomnijmy sobie zdobywców, owych uzbrojonych wędrowców, przeciw którym nie mógł nic poradzić opór, a mury i szańce nie zdołały spokojnych ludów obronić. Towarzyszy wreszcie z prawdziwym żalem owym nieszczęśliwym, wygnanym władcom, którzy schodząc ze szczytu potęgi, nie mogli być przyjęci nawet do skromnej giełdy czynnych wędrowców.

Kiedyśmy sobie to wszystko uprzytomnili i wyjaśnili, to nie zawładnie nami ani ograniczony smutek, ani mrok namiętny. Minał czas, kiedy awanturniczo pędzono w świat. Za pośrednictwem pracy umiejętnych, mądrze opisujących, artystycznie odtwarzających podróżników wszechświata obznajomiliśmy się dostatecznie, by wiedzieć mniej więcej, czego się mamy spodziewać.

Jednostka atoli nie może osiągnąć jaśni¹⁹¹ całkowitej. Towarzystwo zaś nasze na tym się zasadza, żeby każdy według swej miary, stosownie do swych zamysłów został oświecony. Jeżeli ktoś ma na widoku kraj jakiś, ku któremu zwraca swe pragnienie, to staramy się uwydatnić mu szczegóły tego, co w całości unosiło się w jego wyobraźni — ułatwiać sobie nawzajem przegląd zamieszkałego i zamieszkalnego świata jest najmiłą, niezmiernie oplacającą się rozrywką.

W takim tedy znaczeniu możemy się uważać za zjednoczonych w związku wszechświatowym. Myśl jest wielka w prostocie swojej, wykonanie łatwe za pomocą rozumu i siły. Jedność jest wszechmocna, dlatego między nami nie może być rozdziału ani sporu. O ile mamy zasady, są one wspólne nam wszystkim. Niech człowiek, mówimy, uczy się myśleć bez trwałego względu na rzeczy zewnętrzne. Niech szuka prawidłowości nie w okolicznościach, lecz w sobie samym — tam ją znajdzie, ukocha i wykonywać będzie.

¹⁸⁹statysta (daw.) — mąż stanu. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Hadrian (76–138) — właśc. Publiusz Eliusz Hadrian, cesarz rzymski w latach 117–138. [przypis edytorski]

¹⁹¹jaśnia (daw.) — jasność. [przypis edytorski]

Tak się wykształci i urządzi, żeby wszędzie był u siebie. Kto się poświęca temu, co najniezbędniejsze, wszędzie dojdzie do celu najbezpieczniej. Inni natomiast, szukający czegoś wyższego, subtelniejszego, powinni być przezorniejsi już w wyborze drogi. Ale cokolwiek chwyci się człowiek i czymkolwiek się posługuje, jednostka nie wystarcza sobie, towarzystwo pozostaje najwyższą potrzebą dzielnego męża. Wszyscy ludzie użyteczni powinni się nawzajem uwzględniać, jak przedsiębiorca budowli ogląda się za budowniczym, a ten za mularzem i cieślą.

I tak tedy wszystkim wiadomo, dlaczego i w jaki sposób zawarty został i założony nasz związek. Nikogo nie widzimy między sobą, kto by nie mógł w każdej chwili wykonywać celowo czynności swojej, kto by nie był pewien, że wszędzie, gdzie go zaprowadzi przypadek, skłonność, a nawet namiętność, będzie zawsze dobrze polecony, przyjęty i popierany, a w razie nieszczęścia, o ile można, jak najprędzej przywrócony do dawnego stanu.

Dalej podjęliśmy się jak najpoważniej dwóch obowiązków: mieć we czci każdą służbę bożą, gdy one wszystkie mniej lub więcej mieszczą się w *Wierzę w Boga*, a po drugie uznawać jednakowo wszystkie formy rządu — i ponieważ wszystkie wymagają celowej czynności i ją popierają, pracować w zakresie każdej z nich, choćby jak najdłużej, według jej woli i życzenia. Na koniec uważamy za obowiązek ćwiczyć się w moralnym postępowaniu bez pedanterii i surowości, jak tego od nas wymaga uszanowanie, wypływające z trzech rodzajów uszanowania — do których wszyscy się przyznajemy, wszyscy doznawszy szczęścia i rozkoszy, iż poświęceni byliśmy, niektórzy od samej młodości — w tę wyższą mądrość powszechną.

Wszystko to w uroczystej chwili rozstania się powinniśmy raz jeszcze rozważyć, wyjaśnić, zrozumieć i uznać, a wreszcie przypieczętować pełnym zaufania pożegnaniem:

 Nie trzymaj się ziemi bryły,
 Śmiało naprzód i w dal tę;
 Kto ma głowę, rześkie siły,
 Wszędzie panem czuje się;
 Gdzie nad nami słońce błyska,
 Zawsze ginie troski ślad;
 By nas przyjąć w swe ogniska,
 K'temu tak wielkim jest świat.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pod koniec śpiewu znaczna część obecnych powstała nagle i, w pary się ustawivszy, wyszła z sali przy daleko rozlegających się dźwiękach. Leonard, siadając, zapytał gościa, czy życzenia swoje zamierza wyłożyć tu publicznie czy też żąda osobnego posiedzenia. Przybysz powstał, uklonił się towarzystwu i rozpoczął mowę następującą:

— Tu właśnie, w takim zgromadzeniu, przede wszystkim pragnę się wypowiedzieć bez ogródki. Ci tutaj, pozostali w spokoju, z wyglądu wszyscy dzielni mężowie, przez samo już to wytrwanie dają poznać wyraźnie życzenie i zamiar należenia nadal do ziemi ojczystej. Witam ich wszystkich przyjaźnie, winienem bowiem oświadczyć, iż mam możliwość zaofiarowania im wszystkim, jak się tu przedstawiają, dostatecznej pracy na lat kilka. Pragnę jednakże, ale po niejakej chwili dopiero, ponownego zebrania się, gdyż konieczną jest rzeczą, ażebym najprzód dostojnym przełożonym, którzy dotychczas skupiali tych dzielnych ludzi, poufnie objawił sprawę swoją i przekonał ich o zasadności mojego poselstwa. Następnie zaś wypadnie mi z osobna pomówić z każdym z pozostałych, by się dowiedzieć, jakimi pracami zamyślają odpowiedzieć na moje poważne zaofiarowanie.

Leonard zażądał tedy pewnego czasu, by mógł załatwić najniezbędniejsze sprawy chwili, a gdy go wyznaczono, podniósł się przystojnie tłum pozostałych i oddalił się z sali, również parami, wśród umiarkowanego, towarzyskiego śpiewu.

Odoard odkrył następnie obu pozostałym przełożonym zamiary swoje i projekty oraz wylegitymował się ze swego upoważnienia. W dalszej atoli rozmowie z tak wybranymi mężami nie mógł zdać sprawy ze swego interesu, nie wspomniawszy o ludzkim gruncie, na którym właściwie całość polega. Stąd rozwinęły się w dalszej rozmowie wyjaśnienia wzajemne i wyznania głębokich spraw serca. Zabawiono ze sobą do późna w nocy

i zapuszczano się coraz bardziej w nierozwikłane labirynty usposobień i losów ludzkich. Odoard ujrzał się wtedy zmuszonym do urywkowych sprawozdań ze spraw ducha swego i serca, atoli i z tej rozmowy doszła do nas wiadomość bardzo niedostateczna i niezaspokajająca. I tu zawdzięczamy szczęśliwemu talentowi Fryderyka (chwytania i zapamiętywania) uprzytomnienie scen interesujących, jako też pewne wyjaśnienia biegu życia wybornego męża, który zaczyna nas interesować — bodajby to nawet były napomknienia tylko o tym, co następnie może szczegółowej i w związku opowiedzieć przyjdzie.

ABY NIE ZA DALEKO

Wybiła dziesiąta wieczorem. Wszystko też było na umówioną godzinę gotowe. W zawieszonych wieńcami salce nakryto dla czworga na ładnym, szerokim stole, zastawiwszy go delikatnymi wetami i cukrami wśród błyszczących lichtarzy i kwiatów. Jakże się cieszyły dzieci tym deserem, gdyż i one miały siedzieć przy stole. Tymczasem uwijały się wkoło, ustrojone i zamaskowane, a ponieważ dzieci niepodobna zdeformować, ukazywały się jako śliczniutkie geniusze-bliźniaki. Ojciec przywołał je do siebie, a one wydeklamowały dosyć zręcznie powinszowanie, ułożone wierszem na urodziny matki.

Czas upływał. Pocziwa staruszka nie mogła się wstrzymać, by co kwadrans nie zwiększyć niecierpliwości przyjaciela. Mówiła, jakoby wiele lamp na schodach było bliskich zgaśnięcia, że lękać się należy, iżby wyszukane potrawy — ulubione tej, którą uczcić miano — nie przypaliły się. Dzieci z nudów z początku były niegrzeczne, a potem z niecierpliwości stały się nieznośne. Ojciec krzepił się, a jednak zwykła swoboda nie przychodziła jakoś na zawołanie. Nasłuchiwał tęsknie, jak się toczyły powozy — przeturkotało ich kilka. Pojawiło się pewne rozdrażnienie. Dla zabicia czasu zażądał od dzieci powtórzenia. Te, z niezadowolenia nieuważne, roztargnione i niezręczne, mówiły źle; żaden gest nie był już stosowny, przesadzały jak aktorzy, co nic nie czują. Męka dobrego męża wzrastała z każdą chwilą. Minęło wół do jedenastej. Dalsze malowidło zostawiamy jemu samemu.

— Zegar wybił jedenastą. Niecierpliwość moja doszła do rozpacz, nie miałem już nadziei, lękałem się. Strach mnie brał, żeby ona nie weszła, nie usprawiedliwiła się pobieżnie ze zwykłym sobie lekkim wdziękiem, nie zapewniła, iż jest bardzo zmęczona i nie zachowała się tak, jakby mi wyrzucała, iż ograniczam jej przyjemności. Wszystko się we mnie gotowało, a wiele z tego, com od lat wycierpiał, powracając, zaciężyło w moim duchu. Zaczęłam ją nienawidzić, nie umiałem obmyślić sposobu, jak ją mam przyjąć. Pocziwe dzieci, wystrojone jak aniołki, usnęły spokojnie na sofie. Pod nogami paliła mi się podłoga. Nie pojmowałem, nie rozumiałem siebie i nic mi już nie pozostawało, chyba uciec, byle tylko przeżyć chwile najbliższe. Pośpieszyłem do bramy w tym lekkim i świątecznym ubraniu, jakie miałem na sobie. Nie wiem, jaki wybelkotałem pretekst wobec pocziwej staruszki; narzuciła mi wierzchnie ubranie — i znalazłem się na ulicy w takim stanie, jakiego od lat dawnych nie doznałem. Niczym namiętny młodzieniaszek, który nie wie, gdzie i jak się obrócić, przebiegałem ulicę w tę i ową stronę. Byłbym wybiegł na pola, lecz zimny, wilgotny wiatr dął dostatecznie ostro i niemiłe, by rozgoryczenie moje ograniczyć.

Jak z tego ustępu wyraźnie poznać można, przywłaszczając sobie prawa poety epickiego, zbyt szybko porwaliśmy łaskawego czytelnika w środek namiętnego opowiadania. Widzimy znakomitego męża wśród zamętu domowego, nie dowiedziawszy się o nim nic więcej. Dlatego też na tę chwilę, aby choć do pewnego stopnia wyjaśnić położenie, przyłączamy się do pocziwej staruszki, nasłuchując, co też ona w rozdrażnieniu i zakłopotaniu mruczy lub głośno wykrzykuje.

— Dawno to myślałam, przepowiadałam, nie oszczędzałam łaskawej pani, często ją napominałam. Ale to silniejsze od niej. Pan, namęczywszy się w dzień w kancelarii, w mieście, na wsi interesami, wieczorem znajduje dom pusty lub też towarzystwo, które mu nie smakuje. Ona wyrzec się tego nie może. Jeżeli nie widzi wciąż koło siebie ludzi, mężczyzn, jeżeli się nie przejeżdża w tę i ową stronę, jeżeli się nie przebiera, to tak, jakby jej tchu brakło. Dziś na swoje urodziny jedzie rano na wieś. Dobrze! Tymczasem wszystko tu przyszykujemy. Przynręka święcie być w domu o dziewiątej; jesteśmy gotowi. Pan przesłuchuje dzieci z ładnego wiersza, którego się nauczyły na pamięć. Wystrojono je. Lamy i świece, gotowane i pieczone... Niczego nie brakuje, ale ona nie przybywa.

Małżeństwo, Mąż, Żona,
Dziecko, Rozpacz

Pan ma dużo mocy nad sobą, skrywa niecierpliwość, lecz ta wybucha. Ucieka z domu tak późno. Dlaczego, to jasne. Ale dokąd? Często groziłam jej rywalkami, uczciwie i szczerze. Dotychczas nic zęb po panu nie spostrzegła. Jedna piękność od dawna na niego poluje, stara się o niego. Kto wie, jak on walczył do tej pory. Teraz nastąpi przełom, teraz wpędza go rozpacz, że swoją dobrą wolę widzi nieuznaną, by nocą z domu wyszedł. Teraz wszystko przepadło. Nieraz to jej mówiłam, żeby się nie posuwała za daleko.

Odszukajmyż znowu przyjaciela i posłuchajmy jego samego.

— W najslawniejszym hotelu ujrzałem na dole światło, zastukałem w okno i zapytałem wyglądającego kelnera znanym głosem, czy ktoś z obcych nie przybył lub nie został zapowiedziany. Otworzył już bramę, dał przeczącą odpowiedź na oba pytania i prosił, żebyśmy wszedł. Uznałem za rzecz odpowiednią w moim położeniu ciągnąć dalej bajeczkę. Poprosiłem go o pokój, który mi zaraz wyznaczył na drugim piętrze. Pierwsze miało być, jak twierdził, zachowane dla oczekiwanych gości. Odszedł, by zarządzić to i owo. Pozwoliłem na to i zaręczyłem za kosztą. Gdy to minęło, wpadłem znowu w swoje cierpienia, uprzytomniałem sobie wszystko razem i w szczegółach, wznagałem i łagodziłem, lajałem się i starałem uspokoić się, opanować siebie. Toż jutro rano wszystko się załatwi, wyobrażałem już sobie dzień w zwykłym swym biegu. Ale wtedy rozgoryczenie nieposkromione znowu się wydobyło na wierzch. Nigdy nie sądziłem, żebym mógł być tak nieszczęśliwy.

Temu szlachetnemu mężowi, którego tu tak niespodziewanie widzimy w namiętym wzruszeniu z powodu drobnego na pozór wypadku, czytelnicy nasi współczują już zapewne o tyle, iż pragną się dowiedzieć czegoś dokładniejszego o jego stosunkach. Korzystamy z przerwy, jaka tu następuje w nocnej przygodzie, kiedy on w milczeniu i gwałtownie chodzi wciąż po pokoju w tę i ową stronę.

Poznajemy Odoarda jako potomka domu starożytnego, na którego w szeregu pokoleń spłynęły dziedzicznie najszlachetniejsze zalety. Wykształcony w szkole wojskowej, odznaczał się doskonałą przystojnością, która, w połączeniu z cennymi zdolnościami, nadawała jego zachowaniu się powab szczególny. Krótka służba na dworze pozwoliła mu wejrzeć dobrze w stosunki zewnętrzne wysokich osobistości, a gdy następnie — rychło pozyskawszy względy, w orszaku poselskim umieszczony — miał sposobność zobaczenia świata i poznania obcych dworów, bardzo wyraziście uwydatniła się jasność jego pojmowania i szczęśliwa pamięć przeszłości, zwłaszcza zaś dobra wola w przedsięwzięciach wszelkiego rodzaju. Łatwość wyrażania się w kilku językach, przy tym osobistość jego swobodna i nienarzucająca się, powiodły go z jednego szczebla na drugi. Szczęściło mu się we wszystkich poselstwach dyplomatycznych, pozyskał bowiem życzliwość ludzi i przez to miał możność i łatwość usuwania nieporozumień, umiając mianowicie zaspokajać obustronne interesy przez sprawiedliwą ocenę przedstawianych dowodów.

Zjednać sobie tak wybornego męża zamierzył więc pierwszy minister. Wydał zań swoją córkę, pannę cudnej piękności, wprawną we wszystkie wyższe zalety towarzyskie. Atoli jak biegowi wszelkiej szczęśliwości ludzkiej staje nieraz tama na drodze, odwracając go w inną stronę, tak zdarzyło się i tutaj. Na dworze księżęcym wychowywała się jako mała letnia księżniczka Sofronia, ostatnia gałązka swego konaru, której majątek i wymagania, chociażby kraj i ludność przeszły do stryja, były przecież jeszcze dosyć znaczne. A z tego powodu życzo no sobie (że pominiemy dalsze wywody) wydać ją za księcia następcę, daleko młodszego, co prawda, od niej.

Odoarda podejrzewano o skłonność do niej. Zauważono, że w pewnym wierszu zbyt namiętnie ją wysławiał pod imieniem Aurory. Do tego się przyłączyła pewna nieoględność z jej strony, kiedy na przekomarzenie się towarzyszek swoich odpowiedziała hardo, z właściwą sobie siłą charakteru, że chyba by oczu nie miała, gdyby ślepa była na takie zalety.

Przez ożenek podejrzenie owo zostało uśmierzone, ale tajemni przeciwnicy żywili je dalej w cichości i przy okazji wystąpili z nim znowu.

Stosunki państwowe i sprawa dziedziczości, lubo je, jak było można, najmniej poruszano, niekiedy przecież bywały przedmiotem rozmowy. Nie tyle książę, ile roztropni radcy uważali za rzecz zgola pożyteczną dać spokój tej sprawie, kiedy cisi zwolennicy księżniczki pragnęli widzieć ją załatwioną, a przez to dać szlachetnej damie większą swobodę — zwłaszcza że sąsiedni stary król, krewny Sofronii i jej życzliwy, żył jeszcze i przy sposobności okazywał się gotowy do ojcowskiego nią zajęcia się. Odoard popadł w po-

dejrzenie, że odbywając tam ceremonialne jedynie poselstwo, poruszył na nowo sprawę, którą chciano opóźnić. Przeciwnicy posłużyli się tym zajęciem, a teść, którego on przekonał o swej niewinności, musiał użyć całego wpływu swego, aby mu wyrobić jakieś namiestnictwo w oddalanej prowincji. Poczul się tam szczęśliwy — mógł wszystkie siły swoje w ruch wprawić, były do zrobienia rzeczy konieczne, pożyteczne, dobre, piękne, wielkie. Mógł dokonać czegoś trwałego, nie poświęcając się, gdy wśród tamtych stosunków, zajmując się wbrew przekonaniu rzeczami przemijającymi, można było zginąć samemu.

Nie tak to odczuła jego żona, która rozumiała byt swój tylko w większych kołach i poszła za nim później dopiero z konieczności. On zachowywał się względem niej ile możliwości pobłażliwie i starał się o wszelkie surogaty dotychczasowego jej szczęścia: latem wycieczki na wieś do sąsiadów, zimą teatr amatorski, bale i cokolwiek tylko jej się podobało. Ba, znosił nawet przyjaciela domu — pewnego przybysza, który od niejakiego czasu wszedł do ich towarzystwa — chociaż mu się tenże wcale nie podobał, gdyż wobec swego jasnego poglądu na ludzi dostrzegał w nim jakąś fałszywość.

Z tego wszystkiego, co tu powiadamy, w obecnej, przykrej chwili jedne rzeczy ciemno i mętnie, inne jasno i wyraźnie przesunęły się zapewne przed jego duszą. Dość, że kiedy po tym poufnym objaśnieniu, do którego dostarczyła materiału dobra pamięć Fryderyka, zwrócimy się znowu do niego samego, to znajdziemy go biegającego gwałtownie po pokoju i objawiającego walkę wewnętrzną gestami i krzykami.

— Wśród takich myśli biegałem gwałtownie po pokoju. Kelner przyniósł mi filizankę bulionu, którego bardzo potrzebowałem. Z powodu bowiem starannych przygotowań do uroczystości nie wzięłem nic do ust, a pyszna wieczerza stała nietknięta w domu. W tej chwili usłyszeliśmy z ulicy bardzo miły dźwięk rogu pocztowego. „Przybywa z gór”, rzekł kelner.

Poskoczyliśmy do okna i ujrzeliśmy przy blasku dwóch jasno palących się latarni powozowych zajeżdżającą karetkę pańską, w czwórkę zaprzęzoną, dobrze wypakowaną. Lokaje zeskoczyli z kozła. „Otóż i oni!”, zawołał kelner, śpiesząc do drzwi.

Zatrzymałem go, aby mu wrazić w pamięć, że nie ma mówić, iż ja tu jestem, że nie ma zdradzić, iż cokolwiek zostało zamówione. Obiecał i polecał.

Tymczasem nie zauważyłem, kto wysiadł. Opanowała mnie nowa niecierpliwość; zdało mi się, że kelner za długo zwleka z przyniesieniem mi wiadomości. Wreszcie dowiedziałem się od niego, że gośćmi są kobiety: podeszła wiekiem dama wyglądająca dostojnie, średnia niesłychanego wdzięku i pokojówka, jakiej tylko życzyć sobie można. „Zaczęła, jak mówił, od rozkazów, ciągnęła dalej pochlebstwami, a kiedym do niej się umizgnął, wpadła w wesołe, figlarne usposobienie, które chyba jest dla jej najbardziej naturalne. Rychło spostrzegłem, mówił dalej, ogólne zadziwienie, że mnie ujrano tak zwinnym, a dom tak przygotowany na ich przyjęcie: pokoje oświetlone, kominki płonące. Rozgościli się, znaleźli w sali zimną wieczerzę. Zaproponowałem bulion, który był pożądanym, jak się zdawało”.

Siedziały tedy panie przy stole. Starsza ledwie tykała potraw, piękna i miła — wcale nie, a pokojówka, którą zwali Łucją, zjadała ze smakiem i podnosiła przy tym zalety hotelu. Cieszyła się z jasnych świec, z cienkiego nakrycia, z porcelany i wszystkich sprzętów. Przy płonącym kominku wygrzała się przedtem i spytała wchodzącego znów kelnera, czy tu tak zawsze są przygotowani — w każdej godzinie dnia i nocy — do przyjmowania gości, przybywających niespodziewanie. Z młodym, zręcznym chłopcem stało się w tym wypadku tak jak z dziećmi, które przemilczają wprawdzie tajemnicę, ale nie mogą ukryć, że im powierzono coś tajnego. Zrazu odpowiedział dwuznacznie, potem zgodniej z prawdą, a w końcu, przyparty do muru żywością pokojówki, pytaniami i odpowiedziami, wyznał, że był tu służący, że był tu pan jakiś, że odszedł i że wrócił znowu. Nareszcie wydał się z tym, że pan jest istotnie na górze i przechadza się zaniepokojony. Młoda pani poskoczyła, inne za nią. „To pewnie stary pan”, mówiły porywczo. Kelner natomiast zapewnił, że młody. One wątpiły, on upewniał o prawdzie tego, co powiedział. Zamieszanie i niepokój zwiększyły się. „To musi być stryj”, zapewniała piękna. „To nie w jego guście”, odparła starsza. Nikt prócz niego nie mógł wiedzieć, że one tu o tej godzinie przybędą, utrzymywała tamta uparcie. Ale kelner upewniał wciąż, że to mło-

dy, okazały, silny mężczyzna. Łucja przysięgała natomiast, że to stryj, że temu figlarzowi kelnerowi nie ma co dowierzać, bo już od pół godziny przeczy sam sobie.

Po tym wszystkim musiał kelner pójść na górę i prosić usilnie, żeby pan zszedł śpiesznie na dół, grożąc przy tym, że inaczej damy przyjdą tu same podziękować.

— To zamęt bez granic — mówił kelner dalej. — Nie rozumiem, dlaczego się pan ociąga i nie chce się pokazać. Uważają pana za starego stryja, którego pragną gorąco znowu uściskać. Zejdź pan na dół, proszę. Czyż to nie te osoby, których pan oczekiwał? Nie pogardzaj pan kapryśnie najmilszą przygodą. Warta zobaczenia i usłyszenia jest młoda piękność, są to osoby najprzyzwoitsze. Pośpiesz pan na dół, bo doprawdy one się panu zwałą do izby.

Namiętność rodzi namiętność. We wzruszeniu, w jakim się znajdował, pożądał czegoś odmiennego, obcego. Zszedł w nadziei, że z przybyłymi w wesołej rozmowie poda wyjaśnienia, sam ich zasiegnie, pozna obce stosunki, rozerwie się. A jednakże takiego doznawał wrażenia, jakby szedł na spotkanie stosunku znanego, pełnego grozy. Stał już przed drzwiami. Panie, sądząc, że słyszą krok stryja, pośpieszyły ku niemu. Wszedł. Co za spotkanie! Co za widok! Wielce piękna wydała krzyk i rzuciła się starszej na szyję. Przyjaciel poznał je obie i cofnął się przelęknięty. Potem coś go popchnęło naprzód, leżał u nóg jej i dotykał jej ręki, którą natychmiast wyrwała, pocałunkiem — jak najskromniejszym. Zgłoski: „Au-ro-ra!” zamarzyły na jego wargach.

A jeżeli teraz wzrok nasz zwrócimy do domu przyjaciela naszego, to zastaniemy tam szczególne stosunki. Pocziwa staruszka nie wiedziała po prostu, co robić. Podsycala światło w sieniach i na schodach, jedzenie zdjęła z ognia; niektóre rzeczy popsuly się bezpowrotnie. Pokojówka została przy śpiących dzieciach i pilnowała licznych świec w pokoju, chodząc w tę i ową stronę tak swobodnie i cierpliwie jak tamta — markotnie.

Na koniec powóz zaturkotał. Wysiadła dama i dowiedziała się, że małżonka jej powołano przed kilku godzinami. Wstępując na schody, nie zwracała, zdawało się, wcale uwagi na uroczyste oświetlenie. Staruszka dowiedziała się następnie od lokaja, że w drodze spotkało ich nieszczęście, że powóz wywrócił się do rowu i co potem zaszło.

Dama weszła do pokoju.

— Cóż to za maskarada? — rzekła, wskazując dzieci.

— Wielką by to pani sprawiło przyjemność — odpowiedziała pokojówka — gdyby pani przybyła parę godzin wcześniej.

Dzieci, zbudzone ze snu, poskoczyły, a zobaczywszy matkę przed sobą, zaczęły wyповідаć wyuczone wiersze. Z obustronnym zakłopotaniem szło to jakoś przez chwilę, potem, bez zachęty i pomocy, nastąpiło jąkanie się. W końcu urwało się całkowicie, a pocziwe dzieci, otrzymawszy parę pocałunków, odprawione zostały do łóżek. Dama ujrzała się samą, rzuciła się na sofę i wybuchnęła gorzkimi łzami.

Potrzeba tu atoli dokładniejszą podać wiadomość o damie oraz o tej uroczystości wiejskiej, która, jak się zdaje, odbyła się niepomysłnie. Albertyna była jedną z tych kobiet, którym w cztery oczy nic by się nie miało do powiedzenia, ale które widzi się bardzo chętnie w dużym towarzystwie. Tu ukazują się one jako istotne ozdoby całości i jako środki pobudzające w chwilach rwania się zabawy. Powab ich tego jest rodzaju, że ażeby mógł się ukazać, należyście rozwinąć, potrzebuje pewnej przestrzeni. Ich oddziaływanie wymaga większej publiczności, konieczny jest dla nich żywioł, co by je unosił, co by je zmuszał być powabnymi. Wobec jednostki ledwie zachować się umieją.

Toteż przyjaciel domu pozyskał i utrzymał jej względy przez to tylko, że potrafił obmyślać jeden ruch po drugim, wciąż pobudzając do zajęcia kółko niewielkie wprawdzie, ale wesołe. Przy rozdawaniu ról wybierał sobie czułych ojców, a przystojnym, przebiegłym postępowaniem umiał sobie zapewnić przewagę nad młodszymi — pierwszymi, drugimi i trzecimi kochankami.

Floryna — właścicielka znacznego majątku w sąsiedztwie, zimą mieszkająca w mieście — zobowiązana względem Odoarda, którego rozporządzenia ekonomiczno-rządowe przypadkowym, ale szczęśliwym sposobem wyszły na dobre jej siedzibie wiejskiej i dawały na przyszłość widoki znacznego zwiększenia dochodów, udała się latem na wieś i uczyniła ją widownią różnorodnych przystojnych zabaw. Mianowicie nigdy nie opuszczano dni urodzin i urządzano rozmaite uroczystości.

Floryna była istotą żywą, nęcącą, nieprzywiązującą się, jak się zdawało do nikogo, ale też nieżądającą i niewymagającą przywiązania. Namiętną będąc tancerką, o tyle tylko ceniła mężczyzn, o ile się w takcie dobrze poruszali. Wiecznie chętna do rozmowy, mieniła nieznośnym tego, co choćby na chwilę patrzył przed siebie i zdawał się namyślać. Zresztą, jako wesoła kochanka, jakich potrzeba w każdej sztuce i w każdej operze, bardzo powabnie się przedstawiała; z tego powodu między nią i Albertyną, która grała dostojne damy, nie wynikł nigdy spór o pierwszeństwo.

By w dobrym towarzystwie uczcić zbliżający się dzień urodzin, zaproszono z miasta i wsi okolicznych najlepsze grono. Taniec, ruch trwał bardzo długo. Rozjechano się zbyt późno, a na złej drodze — tym gorzej, że ją dopiero co naprawiono — zaskoczony przez noc niespodziewanie woźnica zbłądził i wywrócił pojazd do rowu. Nasza piękna wraz z Floryną i przyjacielem domu znaleźli się w przykrym położeniu. Ten ostatni potrafił się rychło wydobyć, a potem, pochylając się nad powozem, zawołał:

— Floryno, gdzie jesteś?

Albertynie zdało się, że śni. Sięgnął ręką i wyciągnął Florynę, która bezwładnie leżała na wierzchu. Zajął się nią i wreszcie w silnym omdleniu wyniósł na odnalezioną drogę. Albertyna pozostała w powozie, woźnica i lokaj pomogli jej wysiąść; oparta na służącym próbowała iść dalej. Droga była zła, nieodpowiednia do trzewików tanecznych. Lubo podpierana przez chłopaka, potykała się co chwila. Ale w duszy było jej gorzej, puścić jeszcze. Co się z nią działo — nie rozumiała, nie pojmowała.

Jednak wszedłszy do gospody i ujrawszy w izdebce Florynę na łóżku, a gospodynię i Lelia nią zajętych, nabrała pewności co do nieszczęścia swego. Tajemny stosunek między niewiernym przyjacielem i zdradziecką przyjaciółką objawił się jej nagle z szybkością błyskawicy. Musiała patrzeć, jak ta, otwierając oczy, objęła przyjaciela za szyję z upojeniem na nowo odżywającej, najczulszej przynależności, jak czarne oczy znowu zablęskły, jak świeży rumieniec na nowo ozdobił bladawe policzki — rzeczywiście wyglądała jak odmlodzona, uroczko, czarownice.

Albertyna, patrząc przed siebie, stała odosobniona, ledwie zauważona. Tamci przyszli do siebie, opamiętali się. Zło już się stało. Przecież trzeba było koniecznie wsiąść znowu do powozu — chyba i w piekle nie mogli być ciaśniej spakowani ludzie sobie wstrętnei, zdradzeni ze zdrajcami.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przez kilka dni zarówno Leonard, jak Odoard bardzo żywo byli zajęci. Tamten, by zaopatrzyć odjeżdżających we wszystkie potrzebne rzeczy, ten, by się zaznajomić z pozostałymi, ocenić ich zdolności, powiadomić ich należycie o swoich zamiarach. Tymczasem Fryderyk i przyjaciel nasz mieli czas i spokój do cichej rozmowy. Wilhelm kazał sobie nakreślić plan w ogólności, a kiedy już dostatecznie zapoznano się z krajem i okolicą oraz omówiono nadzieję ujrzenia rozwijającej się na rozległym przestworze wielkiej liczby mieszkańców, rozmowa zwróciła się naturalnie w końcu do tego, co ludzi właściwie utrzymuje w więzi: na religię i obyczaj. O tym mógł wesoły Fryderyk zdać dostatecznie sprawę. I pewnie zasłużylibyśmy sobie na podziękowanie, gdybyśmy mogli przytoczyć rozmowę w jej przebiegu, jak się przez pytania i odpowiedzi, przez zarzuty i sprostowania ślicznie spletała i poprzez różnorodne kołysania się zmierzała przyjaźnie do celu właściwego. Tymczasem nie możemy się zatrzymać tak długo i wolimy dać od razu wyniki, niż się zobowiązywać do tego, ażeby je powoli wytwarzać w umyśle czytelników naszych. Jako kwintesencja tego, o czym rozprawiano, wynikło, co następuje.

Żeby się człowiek pogodził z tym, co nieuniknione, do tego dążą wszystkie religie — każda na swój sposób stara się zadanie to spełnić.

Chrześcijańska pomaga ku temu uroczko wiarą, miłością, nadzieją. Z tego powstaje cierpliwość, słodkie poczucie, jakim to cennym darem pozostaje istnienie, chociażby na nie, zamiast pożądanej rozkoszy, zwały się najstraszniejsze cierpienia. Tej religii my się trzymamy, ale na swój własny sposób. Nauczamy dzieci nasze od samej młodości o wielkich pożytkach, jakie nam przyniosła, natomiast o jej początku, o jej dziejach podajemy wiadomość na końcu dopiero. Wówczas to jej twórca staje się nam miły i drogi, a wszelka wiadomość, jaka się do niego odnosi — święta. Z tego względu, który może ktoś nazwać

Zdrada, Kochanek

Religia, Antysemityzm

zechce pedantycznym, ale uznać musi za konsekwentny, nie znosimy między sobą żadnego Żyda. Bo jakżebyśmy mogli mu przyznać współdziałanie w najwyższej kulturze, której początkowi i pochodzeniu on przeczy?

Od tego zupełnie jest odłączona nasza nauka moralna. Jest ona całkowicie czynna i zawiera się w niewielu przykazaniach: umiarkowanie w rzeczach dowolnych, skrzętność — w koniecznych. Niechże każdy według siebie spożytkowuje w biegu życia te słowa lakoniczne, a będzie miał niewyczerpane pole do działania bez granic.

We wszystkich wpajamy największe poszanowanie dla czasu — jako dla najwyższego daru Boga i natury i najbaczniejszego towarzysza istnienia. Zegary są u nas w licznych egzemplarzach i wszystkie wskazują za pomocą wskazówki i bicia kwadranse. Ażeby się takie znaki rozpowszechnić mogły jak najszerzej, urządzone w kraju naszym telegrafy podają, jeśli nie są uszkodzone, przebieg godzin dniem i nocą, a to za pośrednictwem sprytnego urządzenia.

Nasza nauka moralna, będąc tedy całkiem praktyczną, kładzie głównie nacisk na zastanowienie, a jemu dopomaga się w nader wysokim stopniu rozkładem czasu, bacznością na każdą godzinę. W każdej chwili trzeba coś robić — a jakżeby się to stać mogło, gdyby się nie zważało zarówno na dzieło, jak i na godzinę?

Ze względu na to, że dopiero zaczynamy, przywiązujemy wielką wagę do kół rodzinnych. Na ojców i matki rodziny zamierzamy nałożyć wielkie zobowiązania — wychowanie tym się u nas ułatwia, iż każdy dla siebie musi stanowić parobków i dziewczki, służące i służących.

Niektóre rzeczy muszą być zaiste kształcone wedle pewnej jednostajnej formy. Nauczyć tłum czytania, pisania i rachowania z łatwością podejmuje się opat. Metoda jego przypomina nauczanie wzajemne, ale jest bardziej pomysłowa. Właściwie atoli wszystko polega na tym, żeby równocześnie kształcić nauczyciela i ucznia.

Lecz wspomnimy jeszcze o jednym nauczaniu wzajemnym: o ćwiczeniach się w napadaniu i obronie. Tu Lotariusz jest na swoim gruncie; jego manewry mają niejaki podobieństwo do naszych feldjegrów¹⁹², wszakże naturalnie musi on być całkiem oryginalny.

Przy tym zauważmy, że w życiu cywilnym nie mamy wcale dzwonów, a w wojskowym — werbli. Tu, jak i tam, wystarcza głos ludzki złączony z instrumentami dętymi. To wszystko już było i jest jeszcze, ale odpowiednie zastosowanie pozostawione jest duchowi, który by to, bądź co bądź, wynalazł.

Największą potrzebą państwa jest potrzeba dzielnej zwierzchności, toteż naszemu brakować jej nie będzie. Wszyscy się niecierpliwimy, żeby przystąpić do tej sprawy żwawo i w tym przekonaniu, że należy zacząć po prostu. I tak myślimy nie o sądownictwie, ale o policji. Zasada tejże wyraża się dobitnie: nikt nie powinien być drugiemu niedogodnym. Kto się okazuje niedogodny, zostaje usunięty, dopóki nie zrozumie, jak się zachowywać należy, ażeby być cierpianym. Jeżeli w tym wypadku znajduje się rzecz nieżywotna, nierozumna, to również się ją usuwa.

W każdym okręgu są trzej dyrektorzy policji, zmieniający się co osiem godzin jak w górnictwie, które także nie może być przerwane — a jeden z naszych mężów będzie z pomocą na podorędziu porą nocną. Mają oni prawo napominać, ganić, łajać i usuwać. Jeżeli uznają za potrzebne, to zwołują mniejszą lub większą liczbę przysięgłych. Jeżeli się głosy równoważą, to nie rozstrzyga przewodniczący, ale ciągnie się los, gdyż jesteśmy przeświadczeni, iż wobec sprzecznych mniemań obojętną zawsze bywa rzecz, za którym się pójdzie.

Co do większości głosów, mamy własne swoje przemyślenia. W koniecznym biegu świata uznajemy ją wprawdzie, ale w wyższym znaczeniu nie mamy do niej wiele zaufania. Lecz nie powinniśmy się w to dalej zapuszczać.

Jeśli by się zapytano o wyższą zwierzchność, która wszystkim kieruje, to się jej nigdy nie znajdzie w jednym miejscu. Jest ona w ustawicznym ruchu, by utrzymać jednostajność w rzeczach głównych, a każdemu pozostawić swobodę w mniej ważnych. I to przecież było już niegdyś w biegu dziejów: cesarze niemieccy przenosili się z miejsca na miejsce, a takie urządzenie najodpowiedniejsze jest dla ducha państw wolnych. Lękamy się stolicy, lubo

¹⁹²feldjeger (daw.) — żołnierz batalionu strzelców albo kurier wojskowy. [przypis edytorski]

dostrzegamy już w posiadłościach naszych punkt, w którym zgromadzi się największa liczba ludzi. Ale trzymamy to w tajemnicy — niech powstaje powoli, a i tak jeszcze dosyć wcześnie.

Oto są w najogólniejszych rysach punkty, co do których panuje zgoda największa. Omawia się jednak owe wciąż na nowo z powodu przystąpienia liczniejszych lub nawet mniej licznych członków. Główną atoli sprawą będzie, żebyśmy się znaleźli w miejscu wyznaczonym. Stan nowy, który trwać przecież winien, określa właściwie prawo. Kary nasze są łagodne. Na upomnienie każdy może sobie pozwolić, kto ma pewien wiek za sobą, ganić i łajać — tylko uznany Najstarszy, karać — tylko zwołana, określona liczba.

Widzimy, że srogie ustawy bardzo rychło tępieją i powoli stają się powolniejsze, gdyż natura zawsze zachowuje swe prawa. My mamy ustawy wyrozumiałe, ażeby powoli mogły się stać surowsze. Kary nasze zasadzają się najprzód na wyłączeniu ze społeczeństwa — w sposób łagodniejszy lub bardziej stanowczy, na dłużej lub krócej, stosownie do uznania. Kiedy z wolna wzrasta posiadłość obywateli, to i stamtąd ich wypychają, w większej lub mniejszej mierze, jak na to zasługują, żeby i z tej strony ich dotknąć.

Wszyscy członkowie związku są o tym powiadomieni, a podczas egzaminu okazało się, że każdy robi z głównych punktów najodpowiedniejsze zastosowanie do siebie samego. Rzeczą atoli zasadniczą wciąż jest to, żebyśmy zabrali ze sobą strony dobre kultury, a pozostawili złe. Szynki z wódką i czytelnie nie będą u nas cierpiane — jak zaś zachowujemy się względem butelek i książek, lepiej o tym nie mówić. Takie rzeczy muszą być dokonane, jeśli się je ma ocenić.

W tej samej też chwili zbierający i porządkujący te papiery powstrzymuje się z innymi zasadami, które wśród samego towarzystwa krążą jeszcze jako zagadnienia tylko, a których próbowania nie uważa się może za odpowiednie w danym miejscu. Tym mniej pochwały można by się było spodziewać, gdyby się tutaj szczegółowo o nich wspomniało.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Termin wyznaczony na wykład Odoarda nadszedł. Gdy się wszyscy zebrali i uspokoili, zaczął on mówić w sposób następujący:

— Ważne dzieło, do wzięcia udziału w którym zaprosiłem ten zastęp dzielnych mędźwów, nie jest panom całkowicie nieznanie, gdyż mówiłem już o nim w ogólności z panami. Z oświadczeń moich wynika, że zarówno w starym świecie, jak w nowym są przestrzenie potrzebujące lepszej uprawy, niż ją miały dotychczas. Tam rozpostarła natura wielkie, szerokie dziedzińy, gdzie ona leży nietknięta i zapuszczona tak dalece, że ledwie starczy odwagi, by się na nią rzucić i walkę jej wydać. A przecież dla zdecydowanego łatwo jest odebrać jej powoli pustynię i zapewnić sobie częściowe posiadanie. W starym świecie jest odwrotnie. Tu już wszędzie częściowe posiadanie pochwycono, prawo do niego mniej lub więcej przez czas niepamiętny uświęcono. A kiedy tam bezgraniczność ukazuje się jako niepokonana przeszkoda, to tutaj ciągle granice stawiają przeszkody niemal trudniejsze jeszcze do pokonania. Naturę trzeba zmusić skrzętnością ludzi, przemocą lub przekonaniem.

Jeżeli poszczególne posiadanie poczytywane jest przez całe społeczeństwo za święte, to tym świętsze jest dla posiadacza. Nałóg, młodzieńcze wrażenia, cześć dla przodków, niechęć do sąsiada i tysiączne inne rzeczy czynią posiadacza upartym i względem wszelkiej zmiany niechętnym. Im starsze są takie stosunki, im bardziej splątane, im więcej podzielone, tym trudniej będzie przeprowadzić coś ogólnego, co by, odbierając coś jednostce, zapewniało korzyść całości, a wskutek współdziałania i oddziaływania niespodziewanie wychodziło na dobre i jednostkom.

Od wielu już lat w imieniu mego księcia stoję na czele prowincji, która, będąc oddzieloną od jego państwa, nie jest wcale tak użytkowywana, jakby być mogła. To właśnie odosobnienie czy to zamknięcie się, jeśli chcecie, staje na przeszkodzie, iż dotychczas nie można było obmyślić urzędzenia, które by dało mieszkańcom sposobność rozpowszechniania na zewnątrz tego, co sami posiadają, a dostawania z zewnątrz tego, czego potrzebują.

Obraz świata, Natura,
Własność, Przemiana

Rozkazywałem w tym kraju z nieograniczonym pełnomocnictwem. Niejedno dobro zrobić było można, ale zawsze tylko ograniczone; czemuś lepszemu wszędzie nasuwały się rygle, a to, co było najbardziej pożądane, zdawało się leżeć w innym świecie.

Nie miałem innego zobowiązania nad dobre gospodarowanie.

Cóż nad to łatwiejszego! Równie łatwo usuwać nadużycia, posługiwać się uzdolnieniami ludzkimi, dopomagać pracowitym. Wszystko to dawało się dokonać rozumem i siłą bardzo dogodnie, wszystko to robiłem w pewnej mierze sam przez się. Ale dokąd się szczególnie uwaga moja, troska moja zwracała, to do sąsiadów, którzy nie z takim samym nastawieniem, a co najmniej, nie z takim samem przeświadczeniem rządili i rządzić dawali swymi dzielnicami.

Zrezygnowałbym niemal i, jak można najlepiej, trzymał się w obrębie swego położenia, zużytkowując, o ile się tylko dało, to, co było w zwyczaju. Lecz nagle zauważyłem, że stulecie przychodziło mi na pomoc. W sąsiedztwie dostali miejsce młodszy urzędnicy. Sprzyjali oni podobnemu nastrojowi, co prawda w ogólności tylko, i powoli przystali na moje plany ku wszechstronnemu połączeniu tym chętniej, że los na mnie padł, bym poniósł większe ofiary; nikt zaś nie spostrzegł, że większa też korzyść chyli się ku mej stronie.

Otóż trzech nas ma upoważnienie do rządzenia znacznymi przestrzeniami kraju. Nasi książęta i ministrowie są przekonani o uczciwości i pożyteczności projektów naszych, bo niewątpliwie więcej do tego potrzeba, by uznać swą korzyść w rzeczach wielkich niż małych. Tu pokazuje nam zawsze konieczność, co mamy robić, a czego zaniechać. I wystarczy już to, gdy tę miarę przykładamy do chwili obecnej. Tam zaś mamy stworzyć przyszłość. A jeśli umysł przenikliwy znajdzie nawet plan stosowny, to czy może się spodziewać, że ujrzy zgodę nań innych?

Nie powiodłoby się to jednostce. Czas, który wyswobadza duchy, otwiera im zarazem oczy na dalszą odległość, a w tej oddali łatwo dają się rozpoznać rzeczy większe i jedna z najcięższych przeszkód czynności ludzkich łatwiej się usunie. Zasada się to na tym, że ludzie dochodzą do zgody co do celów, ale daleko rzadziej co do środków ich osiągnięcia. Prawdziwa bowiem wielkość wynosi nas ponad nas samych i świeci nam jak gwiazda, wybór zaś środków przywołuje nas znowu do siebie — a wtedy jednostka staje się taką, jaką była, i czuje się równie osamotniona, jak gdyby poprzednio nie dopasowała się do całości.

Tu więc potrzeba powtórzyć: stulecie musi nam przyjść z pomocą, czas musi wejść na miejsce rozumu i w rozszerzonym sercu korzyść wyższa musi wypędzić niższą.

Na teraz dosyć tego. A jeśli by za wiele było na tę chwilę, to następnie każdemu uczestnikowi to przypomnę. Dokonano dokładnych pomiarów, oznaczono drogi, określono punkty, gdzie mają być stworzone gospody, a w następstwie może i wsie. Do wszelkiego rodzaju budowli istnieje sposobność, a nawet niezbędna potrzeba. Doskonali budowniczości i technicy wszystko przygotowują, zarysy i anszlagi¹⁹³ są gotowe. Zamiarem jest zawrzeć większe i mniejsze umowy i tym sposobem, ku podziwowi kraju macierzystego, wydać pod ścisłą kontrolą przygotowane już sumy pieniężne. Żyjemy bowiem najpiękniejszą nadzieją, że odtąd rozwijać się będzie połączona działalność na wszystkie strony.

Na co atoli muszę teraz zwrócić uwagę wszystkich uczestników, ponieważ mogłoby to mieć wpływ na ich postanowienia, to na urządzenie, na kształt, w jakim wszystkich współpracujących jednoczymy i zamyślamy im zapewnić godne stanowiska wśród siebie i wobec reszty świata społecznego.

Jak tylko wejdziemy na ową oznaczoną ziemię, to rzemiosła zaraz zostaną uznane za sztuki, a przez określenie: sztuki ścisłe (niem. *strenge Künste*) zostaną one stanowczo oddzielone i odosobnione od wyzwolonych. Na teraz może być jedynie mowa o takich zatrudnieniach, które mają budowanie za przedmiot. Wszyscy tu obecni mężowie, młodzi i starzy, przyznają się do tej klasy.

Wyliczmy je w tej kolejności, w jakiej wznoszą one budowlę i powoli czynią możliwym jej zamieszkanie.

¹⁹³ *anszlag* (z niem.) — kosztorys. [przypis edytorski]

Wymieniam najprzód kamieniarzy, co doskonale obrabiają grunt i kamień węgielny, który z pomocą mularzy układają na właściwym miejscu, najdokładniej wyznaczonym. Potem idą mularze, którzy na ściśle oznaczonym gruncie dobrze umacniają teraźniejszość i przyszłość. Wcześniej lub później przynosi cieśla przygotowane przez siebie kondygnacje — i tak po kolei wznosi się w górę gmach zamierzony. Dekarza przywołujemy co prędzej, wewnątrz potrzebujemy stolarza, szklarza, ślusarza, a jeśli tynkarza na końcu wymieniam, to dlatego, że on z robotą swoją może przyjść w najrozmaitszych porach, aby wreszcie nadać całości wewnątrz i zewnątrz miłą powierzchowność. O niektórych robotnikach pomocniczych nie wspominam, troszcząc się tylko o rzecz główną.

Stopnie ucznia, czeladnika i mistrza muszą być zachowane jak najściślej. Mogą być także uwzględnione liczne odcienie, ale egzaminy nie mogą być nigdy dosyć staranne. Kto się do tego bierze, wie, że się oddaje sztuce ściślej i nie powinien spodziewać się po niej wcale łagodnych wymagań. Pojedyncze ogniwo, pękające w wielkim łańcuchu, niszczy całość. W wielkich przedsięwzięciach — jak w wielkich niebezpieczeństwach — lekkomyślność winna być wygnana.

Tutaj właśnie sztuka ściśła powinna służyć wyzwolonej za wzór i starać się ją zawstydić. Jeżeli się przyjrzymy tak zwanym sztukom wyzwolonym, które wszakże należy pojmować i nazywać w wyższym znaczeniu, to przekonamy się, że zupełnie jest obojętną rzeczą, czy je uprawiają dobrze czy źle. Najlepszy posąg stoi na nogach tak samo jak najgorszy, postać namalowana kroczy wcale żywo naprzód na krzywo wyrysowanych nogach, jej bezkształtne ramiona chwytają wcale krzepko; figury nie stoją na właściwym planie, a przecież ziemia przez to się nie zapada. W muzyce jest to jeszcze bardziej widoczne: rzępolące skrzypce w karczmie wiejskiej pobudzają silne członki nader potężnie, a słyszeliśmy najbardziej niestosowną muzykę kościelną, wobec której wierny się budował. A jeżeli i poezję zechcecie zaliczyć do sztuk wyzwolonych, to zaiste spostrzeżecie, że chyba sama nie wie, gdzie jest jej granica. Każda wszelako sztuka ma swe prawa wewnętrzne, których niezachowanie wcale przecież ludzkości nie przynosi szkody. Natomiast sztuki ściśłe nie mogą sobie pozwolić na nic. Sztukmistrza wyzwolonego należy chwalić, można znajdować upodobanie w jego zaletach, lubo się praca jego wobec bliższego badania nie ostoi.

Jeżeli jednak rozważymy te i tamte, zarówno wyzwolone, jak i ściśłe sztuki, w najdoskonalszych ich stosunkach, to te winny się strzec pedanterii i rozwiązłości, tamte — bezmyślności i partactwa. Kto ma nimi kierować, zwróci na to uwagę. Nadużyciom i brakom zapobiegnie się przez to.

Nie powtarzam się, gdyż całe życie nasze będzie powtórzeniem tego, com powiedział. Zauważę tylko jeszcze, co następuje. Kto się oddaje sztuce ściślej, winien się jej poświęcić na zawsze. Dotychczas zwano ją rękodziełem, zupełnie stosownie i słusznie. Wyznawcy mieli działać ręką, a ręka, jeśli ma działać, winna właściwym dyszeć życiem, winna być naturą samą w sobie, posiadać własne myśli, własną swą wolę — a tego nie może robić w sposób różnorodny i dowolny.

Kiedy mówca zakończył dodanymi życzeniami, powstali wszyscy obecni, a rzemiosła — zamiast odejść — utworzyły foremne koło przed stołem uznanego zwierzchnika. Odoard wręczał wszystkim zadrukowaną kartkę, z której, wedle znanej melodii, śpiewali umiarkowanie żywo poufną piosenkę:

Czy tu zostać czy iść dalej,
Niech nie sprawia to nam mąk;
Gdzie pożytek będziemy siali,
Tam najlepszy dla nas krąg.
Łatwo z tobą każdy ciągnie,
Kto usłucha, to osiągnie;
Wskaż, gdzie trwale mamy sieć!
Cześć wodzowi! Więzi cześć!

Ty rozdzielasz brzemień, siły,
Rozważając ściśłe to:
Starcom dajesz pokój miły,

Młodszy pracę, żonę cną.
Zaufanie tam wzajemne,
Stworzy domki nam przyjemne,
Tuż podwórko, sadu płot,
I sąsiedztwa pełno ot!

Gdzie przy drogach dobrze bitych
W nowej karczmie bawią się,
Gdzie obcemu na obfitych
Niwach zejda życia dnie,
Tam osiadzmy wraz z innemi.
Spieszcie, spieszcie do tej ziemi!
Wskaż, gdzie trwale mamy sieć!
Cześć wodzowi! Więzi cześć!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po tym ożywionym ruchu dni minionych nastąpiła cisza zupełna. Pozostali tylko ze sobą trzech przyjaciele, a niebawem zauważyć było można, że dwaj z nich, Leonard i Fryderyk, dziwnym trapili się niepokojem. Nie ukrywali obopólnego zniecierpliwienia, iż doznali przeszkody w odjeździe z tego miejsca. Oczekiwali posłańca, jak powiadali, a tymczasem nie nasuwało się do rozmowy nic rozumnego, nic stanowczego.

W końcu przybywa posłaniec, przynosząc dużą paczkę, do otwarcia której zrywa się natychmiast Fryderyk. Leonard powstrzymuje go, mówiąc:

— Pozostaw to nietknięte, połóż przed nami na stole. Obejrzymy, pomyślimy i zrobimy przypuszczenie, co też tam znajdować się może. Los nasz bowiem teraz bliższy jest swego przeznaczenia. A jeżeli nie jesteśmy sami panami jego, jeżeli zależy od rozumu, od uczuć innych ludzi, gdy można oczekiwać na „tak” lub „nie”, tym lub owym sposobem, to wówczas wypada być spokojnym, skupić się, zapytać siebie, czy się to zniesie, jak gdyby to było tak zwanym sądem bożym, przez który zobowiązani jesteśmy trzymać rozum na uwięzi.

— Nie jesteś tak spokojny, jak się chcesz wydawać — odparł Fryderyk. — Toteż pozostań sam ze swymi tajemnicami i rób z nimi, co chcesz. Mnie one w żadnym razie nie dotyczą. Pozwól mi atoli tymczasem objawić treść temu staremu, doświadczonemu przyjacielowi i przedstawić mu wątpliwe stosunki, które żeśmy przed nim kryli od tak dawna.

Mówiąc to porwał ze sobą przyjaciela naszego, a po drodze zawołał:

— Znalezione ją, od dawna znalezione! Idzie tylko o to, co się z nią stanie.

— Wiedziałem już to — rzekł Wilhelm. — Przyjaciele bowiem odkrywają sobie wzajemnie najlepiej to, co przemilczają. Ostatni ustęp dziennika, gdzie Leonard właśnie wśród gór przypomina sobie list, który do niego napisałem, przywołał w mojej wyobraźni tę dobrą naturę w całym otoczeniu umysłu i uczuć. Widziałem już, jak dnia następnego zbliża się do niej, poznaje ją; widziałem wszystko, co potem nastąpić mogło. Ale muszę wyznać szczerze, iż nie ciekawość, lecz rzetelne współczucie, jakie dla niej powziąłem, niepokoiło mnie z powodu waszego milczenia i powściągliwości.

— W tym też względzie — zawołał Fryderyk — jesteś właśnie najwięcej współzainteresowany co do przysłanej paczki. Dalszy ciąg dziennika posłany był Makarii, a nie chciano ci psuć poważnie powabnego zdarzenia opowiadaniem. Obecnie zaraz to dostaniesz. Leonard pewnie tymczasem już rozpakował, a dla swojego objaśnienia nie potrzebuje on tego.

Fryderyk ruszył po dawnemu skokiem, przybiegł znowu i przyniósł obiecany zeszyt.

— Ale teraz i ja muszę się dowiedzieć — zawołał — co z nami będzie.

I odbiegł znowu, a Wilhelm czytał.

Dziennik Leonarda. Ciąg dalszy

Piątek, 19 września

Ponieważ dziś nie można się było ociągać, chcąc wcześniej się dostać do pani Zuzanny, zjedzono więc pośpiesznie śniadanie wraz z całą rodziną, podziękowano z ukrytymi życzeniami szczęścia i oddano bardownikowi, który tu pozostawał, podarunki przeznaczone dla dziewczyn — cokolwiek bogatsze i okazalsze od onegdajszych¹⁹⁴ — tajemnie mu je wsuwając, z czego się pocziwiec okazał wielce ucieszony.

Tym razem drogę odbyliśmy rychło. Po kilku godzinach w spokojnej, niezbyt rozległej, płaskiej dolinie, której jedna, skalista strona, lekko obmywana falami przejrzystego jeziora, w nim się odzwierciedlała, ujrzyliśmy dobrze i ładnie zbudowane domy, koło których grunt lepszy, starannie uprawny, w słonecznym położeniu sprzyjał utrzymaniu ogródków. Wprowadzony przez roznosiela przędzy do domu głównego i przedstawiony pani Zuzannie, poczułem coś szczególnego, gdy przemówiła do nas uprzejmie, zapewniając, że jej bardzo przyjemnie, iż przyszliśmy w piątek jako w najspokojniejszy dzień tygodnia, gdyż w czwartek wieczorem gotowe wyroby odesłane zostały jeziorem do miasta. Gdy roznosiciel przerwał, mówiąc: „Toż je znosi o każdej porze Daniel”, ona odparła:

— Z pewnością, on załatwia interes tak chwalebnie i wiernie, jakby to był jego własny.

— Bo też różnica niezbyt wielka — odparł tamten. Wysłuchał kilku poleceń uprzejmej gospodyni i pośpieszył dopełnić swoich zobowiązań w dolinach bocznych, przyrzekając, że wróci za dni kilka i mnie ze sobą zabierze.

Mnie tymczasem bardzo dziwnie było w duszy. Zaraz przy wejściu opanowało mnie przecucie, że to jest owa upragniona. Przy dłuższym wpatrywaniu się nie była, nie mogła nią być, a jednak gdy się od niej wzrok odrywało lub gdy się odwracała, była nią znowu. Tak jak we śnie wspomnienie i fantazja nawzajem się wypychają.

Kilka prządek, które się opóźniły ze swą robotą tygodniową, przyniosło ją teraz. Gospodyni, przyjaźnie upominając je co do pilności, targowała się z nimi. Ale dla rozmowy z gościem pozostawiła tę sprawę dwóm dziewczętom, które nazywała Małgosią i Elżunią, a którym ja tym uważniej się przypatrywałem, iż chciałem zbadać, o ile się one zgadzały z opowiadaniem bardownika. Dwie te postaci zbiły mnie zupełnie z tropu i rozproszyły wszelkie podobieństwo między poszukiwaną a gospodynią.

Tym dokładniej ją atoli obserwowałem i wydała mi się ona, bądź co bądź, najgodniejszą, najmilszą istotą ze wszystkich, jakie widziałem w mej podróży po górach. Byłem już dostatecznie powiadomiony o owym przemyśle, ażeby móc z nią świadomie mówić o interesie, który dobrze znała. Moje rozumne zainteresowanie wielce ją ucieszyło, a gdym zapytał, skąd dostaje swoją bawełnę, której wielki transport przez góry widziałem przed kilku dniami, odpowiedziała mi, że ten właśnie transport przywiózł jej znaczny zapas. Położenie miejsca jej zamieszkania, twierdziła, i z tego też powodu jest pomyślnie, że gościniec, prowadzący do jeziora, przechodzi w bok tej doliny najwyżej o kwadrans drogi. A stamtąd albo sama osobiście, albo przez faktora odbiera przeznaczone dla niej i zaadresowane do niej paki z Triestu, jak to się stało i onegdaj.

Pokazała tedy nowemu przyjacielowi wielką, przewiewną piwnicę, do której składa się zapas, żeby bawełna nie wyschła zanadto, nie straciła na wadze i nie stała się mniej elastyczna.

Potem znalazłem tu po większej części zebrane razem wszystko, com już znał w szczegółach. Po kolei wskazywała to i owo, a ja ze zrozumieniem oglądałem. Tymczasem stała się bardziej miłkiwa. Z pytań jej mogłem odgadnąć, że ma mnie za należącego do rzemiosła. Rzekła bowiem, że, ponieważ bawełna właśnie co nadeszła, oczekuje niebawem komisanta lub współnika handlu triesteńskiego, który po oględnyim obejrzeniu jej stosunków odbierze należne pieniądze; że te leżą gotowe dla każdego, kto się będzie mógł wylegitymować.

Zakłopotany w pewnej mierze, starałem się wywinąć i spojrziałem za nią, gdy szła przez pokój, ażeby coś zarządzić — wydała mi się jak Penelopa wśród dziewczyn.

Wraca, a mnie się zdaje, że coś w niej zaszło dziwnego.

— Więc pan nie jesteś ze stanu kupieckiego? — rzekła. — Nie wiem, skąd mi przychodzi zaufanie i jakim sposobem ośmielam się żądać pańskiego. Wymuszać nie chcę bynajmniej, ale racz mi pan udzielić tego, co serce panu powie.

Spotkanie, Miłość

¹⁹⁴onegdajszy (daw.) — przedwczorajszy. [przypis edytorski]

Przy tym ta obca twarz spojrziała na mnie tak znanymi i poznającymi oczyma, żem się czuł przeniknięty do głębi i ledwie mogłem panować nad sobą. Kolana i rozum o mało mnie nie opuściły, kiedy na szczęście odwołano ją śpiesznie. Mogłem ochłonąć, umocnić się w swoim postanowieniu niezdradzania się, jak będzie można najdłużej. Bo mi coś w duszy przemknęło, jakby mi groził znowu jakiś nieszczęsny stosunek.

Małgosia, dziecko poważne i miłe, wyprowadziła mnie, by mi pokazać sztuczne tkaniny. Zrobiła to rozsądnie i spokojnie. Zapisywałem, ażeby jej dowieść uwagi, co mi mówiła, w pugilaresie, gdzie do dziś się znajduje jako świadectwo mechanicznego jedynie działania, gdyż w duszy miałem zupełnie co innego. Brzmi to, jak następuje: „Wątek w tkactwie, zarówno ręcznym, jak nożnym składa się, stosownie do wymagania wzorca, z białej, luźno skręconej tak zwanej przędzy wątkowej (niem. *Muggengarn*), a także z zabarwionych po turecku na czerwono nici oraz z nici niebieskich, których używa się również do prążków i kwiatów. Przy strzyżeniu nawija się tkaniny na walce, tworzące ramę formy stołu, wokół której siedzi wiele osób pracujących”.

Elżusia, która siedziała między strzygącymi, wstaje, przyłącza się do nas, wtrąca się do rozmowy — i to w ten sposób, żeby tamtą, sprzeciwiając się, zbić z tropu. A kiedy mimo to więcej okazywał uwagi Małgosi, Elżusia zaczęła się wciąż kręcić, by coś przynieść, coś podać, i otarła się przy tym, niezmuszona szczupłością przestrzeni, delikatnym swym łokciem dwukrotnie — i to bardzo znacząco — o moje ramię, co mi się nieszczególnie jakoś podobało.

Piękna-Dobra (zasługuje w ogóle na tę nazwę, zwłaszcza zaś wtedy, gdy się ją z innymi porównuje) wyprowadziła mnie do ogrodu, gdzieśmy się mieli rozkoszować słońcem wieczornym, zanim się ukryje za górą. Wokół jej ust krążył uśmiech, jaki się zwykle ukazuje, kiedy ociągamy się z powiedzeniem czegoś miłego. I mnie też wśród tego zakłopotania zrobiło się przyjemnie na sercu. Przechadzaliśmy się obok siebie; nie śmiałem podać jej ręki, chociaż zrobiłbym to był chętnie. Zdawało się, że oboje się lękamy słów i znaków, przez które szczęśliwe odnalezienie aż zanadto rychło stać się mogło powszechnie znane. Pokazała mi kilka doniczek z kwiatami, w których poznałem do góry kielkujące łądzki bawełny.

— Tak to utrzymujemy i pielęgnujemy nasionka, nieużyteczne, a nawet wstrętne w naszym rzemiośle, które wraz z bawełną odbywają tak daleką do nas drogę. Robi się to z wdzięczności; doznajemy szczególnego zadowolenia, widząc żyjące to, czego obumarłe reszty ożywiają nasze istnienie. Widzisz pan tu początek, środek jest panu znany, a dziś wieczorem, jeśli się poszczęści, wesoło ujrzysz zakończenie. My sami, jako fabrykanci, albo przez komisanta zanosimy nasze towary, uzbierane w ciągu tygodnia, w czwartek wieczorem na statek kupiecki. I tak dostajemy się, w towarzystwie innych, co się podobnym zajmują interesem, bardzo wczesnym rankiem w piątek do miasta. Tutaj znosi każdy swoje towary do kupców, handlujących na wielką skalę, i stara się zbyć jak można najlepiej, a wedle potrzeby zabiera w rachunku pewną ilość surowej bawełny. Nie tylko atoli nabywają w mieście rękodzielnicy potrzebne do fabrykacji, surowe materiały obok zapłaty za swój wyrób, lecz zaopatrują się także w różne inne rzeczy do użytku i przyjemności. Kiedy ktoś z rodziny pojedzie do miasta na jarmark, budzą się wtedy oczekiwania, nadzieje i życzenia, a częstokroć nawet lęk i obawa. Powstaje burza i zawierucha, więc się boją, żeby się coś złego nie stało statkowi! Chciwi wyglądają niecierpliwie, chcąc się dowiedzieć, jak się powiodła sprzedaż towarów i już naprzód obliczają sumę czystego zysku. Ciekawi oczekują na nowiny z miasta, lubiący stroje na suknie i rzeczy modne, jakie podróżny miał przywieźć, łakomi wreszcie, a zwłaszcza dzieci, na rzeczy jadalne, choćby to były bułki tylko. Odjazd z miasta przeciąga się zazwyczaj aż do wieczoru. Wtedy jezioro ożywia się powoli, a statki suną, siłą żagli lub wiosel pędzone, po jego powierzchni. Każdy stara się wyprzedzić inne, a ci, którym się to uda, wysmiewają żartobliwie tych, co się widzą zmuszonymi pozostać w tyle. Miłe to i piękne widowisko ta jazda po jeziorze, kiedy na jego zwierciadło pada ciepły i stopniowo coraz to głębszy cień gór otaczających, oświetlonych czerwienią wieczoru, kiedy się ukazują gwiazdy, sygnaturki¹⁹⁵ dają się słyszeć, kiedy się po wsiach nad brzegiem zapalają światła, odbijając się w wodzie, a potem wschodzi księżyc i rozsiewa swą poświatę po ledwie ruszającej się powierzch-

¹⁹⁵sygnaturka — niewielki dzwon kościelny. [przypis edytorski]

ni. Bogate okolice znikają, wieś za wsią, zagroda za zagrodą pozostają w tyle. W końcu, przybywszy w pobliże krainy ojczystej, uderzają w róg i natychmiast na górze ukazują się tu i owdzie światelka, spuszczone ku brzegowi. Każdy dom, mający kogoś na statku, wysła pomocnika do przeniesienia pakunku. My mieszkamy bliżej góry, ale każde z nas dosyć często odbywało tę podróż, a co się tyczy zatrudnienia, to wszyscy jednak się nim interesujemy.

Przysłuchiwałem się jej z podziwem, jak dobrze i pięknie wszystko to mówiła, i nie mogłem się wstrzymać od otwartego spostrzeżenia, jakim sposobem w tej dzikiej okolicy, przy zajęciu tak mechanicznym, mogła osiągnąć takie wykształcenie!

Patrząc przed siebie z nader miłym, niemal figlarnym uśmiechem, odparła:

— Urodziłam się w okolicy piękniejszej i miłszej, gdzie panują i przebywają ludzie doborowi, a chociaż dzieckiem okazywałam się dzika i nieokiełznana, to przecież wpływ wykształconych posiadaczy na swe otoczenie był niezaprzeczony. Największe wszelako wrażenie na młodej istocie zrobiło wychowanie pobożne, które rozwinęło we mnie pewne poczucie uczciwości i stosowności, jako natchnione wszechobecnością miłości boskiej. Wyszliśmy stamtąd — mówiła dalej, a delikatny uśmiech opuścił jej usta; powstrzymywała lzy napelniające jej oczy. — Wędrowaliśmy daleko, daleko, z jednej okolicy do drugiej, kierowani pobożnymi wskazówkami i zaleceniami. W końcu dostaliśmy się tutaj, do tej niezmiernie czynnej okolicy. Dom, w którym mnie pan zastajesz, zamieszkiwali tak samo usposobieni ludzie. Przyjęto nas serdecznie. Ojciec mój przemawiał tym samym językiem, w tym samym duchu. Niebawem zdawało się, że należymy do rodziny. We wszystkich sprawach domowych i rzemieślniczych zabrałam się odważnie do roboty. I tego wszystkiego, czego panią widzisz mnie pan teraz, nauczyłam się stopniowo, doszłam w tym do wprawy i wykonywałam. Syn tej rodziny, o kilka lat starszy ode mnie, dorodny i piękny na obliczu, pokochał mnie i uczynił swoją powiernicą. Miał on dzielną, a zarazem delikatną naturę. Pobożność, w jakiej ćwiczone się w domu, nie przyłgnęła do niego, nie wystarczała mu. Czytał po kryjomu książki, w które zaopatrzyć się potrafił w mieście, książki takie, co nadają duchowi kierunek ogólniejszy i swobodniejszy. A że spostrzegł we mnie podobny popęd, podobne usposobienie, starał się więc kolejno dzielić się ze mną tym, co go tak głęboko zajmowało. W końcu, gdym wszystko pojmowała, nie wytrzymał dłużej, by nie odkryć całkowitej swej tajemnicy. Byliśmy też istotnie bardzo dziwną parą, co na samotnych przechadzkach o takich tylko rozmawiała zasadach, które czynią człowieka samodzielnym. Rzeczywisty zaś stosunek przychylności na tym się jedynie zdawał opierać, żeśmy się wzajemnie umacniali w takich nastrojach, jakie ludzie zazwyczaj zupełnie oddalają od siebie.

Chociaż nie wpatrywałem się w nią ciągle, tylko kiedy niekiedy jakby przypadkowo na nią spoglądałem, zauważyłem przecież z podziwem i współczuciem, że rysy jej twarzy wyrażały równocześnie i dokładnie słów jej znaczenie.

Po chwilowym milczeniu twarz się jej rozjaśniła.

— Odpowiadając na główne pytanie pańskie — rzekła — muszę zrobić zwierzenie, chcąc zarazem, żebyś pan lepiej mógł sobie objaśnić mój dobrany sposób mówienia, który czasami może się wydawać niezupełnie naturalny. Niestety, musieliśmy się oboje ukrywać przed innymi. A lubo wielce żeśmy się strzegli, by nie kłamać i nie być fałszywymi w grubym znaczeniu, byliśmy przecież tacy w subtelniejszym sensie, nie mogąc nigdzie znaleźć usprawiedliwienia dla tego, żeśmy nie bywali na licznie odwiedzanych zebraniach braci i sióstr. A że przy tym musieliśmy wysłuchać niejednej rzeczy wbrew naszym przekonaniom, więc rychło dał mi on do zrozumienia i uwzględnienia, że nie wszystko idzie prosto z serca, lecz że się jakby około wspólnej osi owija wciąż mnóstwo pustych słów, obrazów, porównań, tradycyjnych frazesów i powtarzających się, dźwięcznych wierszy. Pilniej odtąd zwracałam na to uwagę i tak sobie przyswoiłam język, że mogła, bądź co bądź, wypowiedzieć mowę niczym jakiś przełożony. Z początku bawił się tym mój dobry nauczyciel, w końcu, rozdrażniony, zniecierpliwił się, tak że ja, chcąc go ułagodzić, obrałam drogę wprost przeciwną: przysłuchiwałam mu się tym uważniej, a w tydzień potem potrafiłam powtórzyć jego serdecznie zacny wykład z przybliżoną przynajmniej swobodą i w niezupełnie niepodobnym duchowym usposobieniu.

Tak zmieniał się nasz stosunek w nader ścisły związek, a namiętność do wszelkiej poznawalnej prawdy, dobra, jak też do możliwego ich wykonywania, były tym istotnym

spoiwem, które nas łączyło. Kiedy sobie pomyślę, co panem powodować mogło, by mnie skłonić do takiego opowiadania, to sprawił to chyba mój żywy opis szczęśliwie spędzonego dnia targu.

Nie dziw się pan temu, gdyż właśnie wesołe, serdeczne rozpatrywanie pięknych i wzniosłych scen przyrody najprzyjemniej zabawiało mnie i mego narzeczonego w godzinach spokojnych i pracą niezajętych. Wyborni poeci ojczyści obudzili w nas i żywili to uczucie: *Alpy*¹⁹⁶ Hallera¹⁹⁷, *Sielanki*¹⁹⁸ Gessnera¹⁹⁹, *Wiosnę*²⁰⁰ Kleista²⁰¹ często żeśmy sobie powtarzali, a świat nas otaczający rozpatrywaliśmy to ze strony uroczej, to wzniosłej.

Z przyjemnością wspominam dotychczas, jak żeśmy oboje, mając wzrok bystry i dalekonośny, rywalizowali częstokroć porywczo, by zwrócić sobie uwagę na świetne zjawiska ziemi i nieba, wzajem się wyprzedzając i przesadzając. Był to najpiękniejszy wypoczynek nie tylko po zajęciu dziennym, ale także i po owych poważnych rozmowach, które nas często aż nadto głęboko pogrążyły we własnym wnętrzu naszym i zagrażały nam niepokojem.

W owej to dobie zajechał do nas pewien podróżny, prawdopodobnie pod zmyślnym nazwiskiem. Nie naciskaliśmy bardzo na niego, gdyż od razu zachowaniem swoim wzbudził w nas zaufanie, we wszystkim postępując wedle obyczaju, a na zebraniach naszych przysłuchując się z należytą uwagą. Orowadzony po górach przez mego przyjaciela, okazuje się poważny, wyrozumiały i bogaty w wiadomości. I ja się przyłączam do ich rozmów moralnych, w których kolejno o wszystkim jest mowa, co dla duszy człowieka ważne stać się może. Otóż spostrzega on bardzo rychło w naszym sposobie myślenia o rzeczach boskich coś chwiejnego. Wyrażenia religijne stały się dla nas trywialne, ziarno, które w nich zawierać się miało, nam się wymknęło. Dał nam tedy poznać niebezpieczeństwo naszego stanu duszy, wykazując, jak groźne może się stać oddalenie się od tradycji, do której tak się wiele przyłączyło od samej młodości, jak nadzwyczaj niebezpieczne jest ono tam zwłaszcza, gdzie własnemu wnętrzu wiele jeszcze brakuje. „Zapewne, mówił, co dzień i co godzinę praktykowana pobożność staje się w końcu tylko sposobem spędzenia czasu i działa jakby jakaś policja na zewnętrzną dostojność, ale nie na głębię usposobienia. Jedynym na to środkiem jest wydobyć z własnej piersi równoznaczne, równie skuteczne, równie uspakajające nastroje”.

Rodzice przystali milcząco na połączenie nasze. Nie wiem, jak się to stało, że obecność nowego przyjaciela przyspieszyła zaręczyny. Wydawało się nam życzeniem jego, by to ustalenie szczęścia naszego mógł obchodzić w cichym kółku, gdy razem z nami musiał wysłuchać, jak przełożony przy sposobności nie omieszczał nam przypomnieć biskupa laodycejskiego²⁰² i wielkiego niebezpieczeństwa oziębłości, jakiej się w nas dopatrywano. Kilkakrotnie jeszcze rozmawialiśmy o tych przedmiotach, a on pozostawił odnoszącą się do tego kartkę, do której często potem potrzebowałam zaglądać.

Rozstał się wreszcie z nami i takiego doznałam uczucia, jakby wraz z nim uszły wszystkie dobre duchy. Nienowe jest to spostrzeżenie, że pojawienie się jakiegoś doskonałego człowieka w pewnym kole tworzy epokę, a z jego odejściem powstaje próżnia, w którą się często wciska przypadkowe jakieś nieszczęście.

Pozwól mi pan rzucić zasłonę na to, co zaraz nastąpiło! Przypadkiem szacowne życie mego narzeczonego, wspaniała jego postać nagle uległy zniszczeniu. Ostatnie godziny swoje obrócił mężnie na to, ażeby się ze mną, niepokieszoną, połączyć i zapewnić mi prawa do swego dziedzictwa. Ale wypadek ten był tym boleśniejszy dla rodziców, że na krótko przedtem utracili córkę i teraz ujrzeli się osieroconymi w najistotniejszym znaczeniu, czym ich czułe serca tak silnie zostały dotknięte, iż niedługo już cieszyli się życiem.

¹⁹⁶*Alpy* — (niem.) *Die Alpen*, utwór poetycki Albrechta von Hallera (1708–1777), opublikowany w 1729 r. [przypis edytorski]

¹⁹⁷Haller, Albrecht von (1708–1777) — szwajcarski lekarz, fizjolog, botanik i poeta. [przypis edytorski]

¹⁹⁸*Sielanki* — (niem.) *Idyllen*, zbiór poetycki Salomona Gessnera (1730–1788) z 1756 r. [przypis edytorski]

¹⁹⁹Gessner, Salomon (1730–1788) — szwajcarski poeta, malarz i grafik. [przypis edytorski]

²⁰⁰*Wiosna* — (niem.) *Der Frühling*, utwór poetycki Ewalda von Kleista (1715–1759) opublikowany w 1749 r. [przypis edytorski]

²⁰¹Kleist, Ewald Christian von (1715–1759) — niemiecki poeta i oficer armii pruskiej. [przypis edytorski]

²⁰²biskup laodycejski — odniesienie do tzw. Kościoła laodycejskiego, przed którym w *Biblii* przestrzega Jezus jako przed instytucją, której wyznawcy nie są ani zimni, ani gorący: brakuje im żywej wiary; Laodycea to starożytne miasto, znajdujące się obecnie w Turcji. [przypis edytorski]

Wkrótce poszli za swymi ukochanymi, a mnie dosięgła jeszcze jedna niedola. Ojciec mój, tknięty paralizem, zachował jeszcze co prawda zmysłową wiedzę o świecie, ale nie ma ani duchowej, ani cielesnej nad nim władzy. I tak potrzebna mi się stała rzeczywiście owa samodzielność w największym nieszczęściu i osamotnieniu; samodzielność, w której, spodziewając się szczęśliwego związku i wesołego współżycia, wcześniej się ćwiczyłam i niedawno właśnie naprawdę umocniona zostałam prawdziwie ożywiającyymi słowy tajemniczego wędrowca.

Nie powinnam wszakże być niewdzięczna, kiedy mi w tym stanie pozostał jeszcze dzielny pomocnik, który jako komisant zajmuje się tym wszystkim, co w takich sprawach jest obowiązkiem męskiej działalności. Kiedy dziś wieczorem wróci z miasta i pan go poznasz, to się dowiesz o dziwnym stosunku moim do niego.

Wtrąciłem jakieś uwagi swoje i starałem się przychylnym, poufnym współudziałem coraz lepiej serce jej do otwartości nakłonić i mowę jej utrzymać w biegu. Nie zaniechałem też poruszyć z bliska tego, co nie zostało jeszcze całkowicie wypowiedziane, a i ona również coraz bliżej do tego zmierzała. I do tego żeśmy doszli, że przy najłżejszej sposobności wystąpiłaby w słowie jawna już tajemnica.

Powstała, mówiąc:

— Chodźmy do ojca!

Pośpieszyła naprzód, ja szedłem za nią powoli. Potrząsałem głową nad dziwnym położeniem, w jakim się znajdowałem. Wprowadziła mnie do pokoju bardzo czystego, na tyłach położonego, gdzie pocziwy starzec siedział nieruchomy na krześle poręczowym. Mało się zmienił. Podeszedłem ku niemu. On spojrzał na mnie zrazu wzrokiem osłupiałym, potem żywszym. Rysy jego wypogodziły się, usiłował poruszyć wargami, a kiedym wyciągnął rękę, by ująć jego dłoń spoczywającą, pochwylił ją sam, uściśnił i poskoczył, otwierając ku mnie ramiona.

— O Boże! — zawołał. — Panicz Leonard! To on, on sam!

Nie wytrzymałem, przycisnąłem go do serca, a on osunął się znów na krzesło. Córka pośpieszyła mu dopomóc. Ona także zawołała:

— To on! To pan jesteś, Leonard!

Nadeszła młodsza siostrzenica; poprowadziły ojca, który nagle mógł chodzić znowu, do komory, a on, zwracając się do mnie, powiedział bardzo wyraźnie:

— Jakie szczęście, jakie szczęście! Niebawem ujrzemy się znowu!

Stałem w zamyśleniu, patrząc przed siebie. Marynia wróciła i wręczyła mi kartkę, oznajmiając, że to ta sama, o której była mowa. Poznałem zaraz rękę Wilhelma, jak poprzednio jego osoba jawiła się przede mną w opisie. Kilka obcych twarzy kręciło się koło mnie, panował jakiś ruch szczególny w sieniach. Przykre to doprawdy uczucie — z entuzjazmu rozpoznania milego, z przeświadczenia o wdzięcznej pamięci, z dowiedzenia się o dziwnych kolejach życia i z tego, co przy tym ciepłego i pięknego rozwinąć się w nas może, być nagle sprowadzonym do szorstkiej rzeczywistości roztargnień powszedniego istnienia.

Tym razem wieczór piątkowy w ogóle nie był tak pogodny i wesoły, jak zapewne bywał kiedy indziej. Nie wrócił z miasta komisant na statku kupieckim. Zawiadomił tylko listownie, że mu interesy pojawić się pozwolą dopiero jutro lub pojutrze, że przybędzie z inną okazją i przywiezie wszystko, co było zamówione i obiecane. Sąsiadom młodym i starym, którzy przyszli tu jak zazwyczaj w oczekiwaniu, wydłużyły się miny. Elzusia szczególnie, która wyszła na spotkanie, wydawała się być w bardzo złym humorze.

Ja schroniłem się do swego pokoju, trzymając w ręku kartkę, ale nie patrząc w nią, gdyż zrobiło mi to już tajemną przykrość, że się z owego opowiadania dowiedział, iż Wilhelm przyspieszył zaręczyny.

— Tacy to wszyscy przyjaciele, wszyscy są dyplomatami. Zamiast odwzajemnić ufanie nasze uczciwie, idą za swymi poglądami, krzyżują nasze życzenia i kierują los nasz w złą stronę!

Tak wołałem, ale niebawem pozbyłem się niesprawiedliwości i przyznałem słuszość przyjacielowi — zwłaszcza rozważając obecną sytuację — i już nie powstrzymałem się od czytania tego, co następuje:

*

„Každy człowiek od najwcześniejszych chwil życia swego jest z początku nieświadomy, potem na w pół, a w końcu całkiem świadomy. Zawsze widzi się uwarunkowanym, ograniczonym w swoim stanowisku, ale ponieważ nikt nie zna zamiaru i celu bytu swego — owszem, tajemnicę tę dłoń najwyższa zakrywa — więc maca tylko, chwytą, puszcza, stoi spokojnie, rusza się, zwleka i śpieszy się, czy w jaki bądź sposób popelnia te wszystkie omyłki, które nas w zamęt wpędzają.

Kondycja ludzka

*

Nawet najrozważniejszy bywa w wirze życia codziennego zmuszony do ostrożności w danej chwili — i dlatego w ogóle nie dochodzi wcale do jasnego pojęcia rzeczy. Rzadko wie on na pewno, dokąd się ma w dalszym ciągu zwrócić i co właściwie powinien robić, a czego zaniechać.

*

Na szczęście wszystkie te i setne inne, dziwne pytania znajdują odpowiedź w naszym niepowstrzymanym czynnym biegu życia. Nie ustawajcie w bezpośrednim pełnieniu codziennego obowiązku i doświadczajcie przy tym czystości swego serca oraz pewności swego ducha! Jeżeli następnie w swobodnej godzinie odpoczynku i znajdziecie możliwość wzniesienia się wyżej, to z pewnością zajmiecie słuszne stanowisko wobec wzniosłości, której winniśmy się z wszelką czcią oddać, każde zdarzenie rozważać z poszanowaniem i uznawać w nim wyższe kierownictwo”.

*

Sobota, 20 września

Pogrążony w myślach, którym na ich dziwnych manowcach czująca dusza chętnie ze współludziałem towarzyszyć mi będzie, przechadzałem się od świtu nad jeziorem w tę i ową stronę. Gospodyni — czułem zadowolenie, że nie potrzebuję wyobrazić jej sobie wdową — ukazała się, jakby pragnieniu memu czyniąc zadość, najprzód w oknie, potem u drzwi. Opowiedziała mi, że ojciec spał dobrze, wstał pogodnie i wyraźnymi słowami oznajmił, że chce pozostać w łóżku, że mnie dzisiaj widzieć nie będzie, tylko dopiero jutro po nabożeństwie, gdy się z pewnością poczuje wzmocniony. Powiedziała mi następnie, że mnie samego zostawiać dziś musi często, bo to dla niej dzień pełen zajęć. Zeszła na dół i zdała mi z tego sprawę.

Słuchałem, aby tylko jej słuchać. Przy tym przekonałem się, że jest przeniknięta sprawą, że ją przejęła jako obowiązek tradycyjny i ochoczo nią się zajmuje. Mówiła dalej:

— Zwyczajem to ustanowiono, żeby tkanina była gotowa w końcu tygodnia, a w sobotę po południu zanoszona do przedsiębiorcy, który ją przegląda, mierzy i waży, aby zbadać, czy robota jest porządna i bez braków oraz czy mu dostarczono należyłą ilość pod względem wagi i miary. A kiedy wszystko okaże się odpowiednie, wypłaca umówioną zapłatę za tkaninę. Ze swej strony stara się on utkaną sztukę oczyścić ze wszystkich nitek przypadkowo sterczących i węzłów, ułożyć ją jak najśliczniej najpiękniejszą, najbardziej od braków wolną stronę na wierzch dla oka wysunąć i tym sposobem przedstawić towar jak najkorzystniej.

Tymczasem nadeszło z gór dużo tkaczek, przynoszących swój wyrób do domu. Po między niemi ujrzałem i tę, która interesowała naszego bardownika. Bardzo ładnie podziękowała mi za pozostawiony podarunek, opowiadając z wdziękiem, że pan bardownik jest u nich, że robi dzisiaj przy ich próżnych krosnach, zapewniając przy rozstaniu, iż co przy nich zrobi, to pani Zuzanna zaraz spostrzeże po robocie. Potem weszła, jak inne, do domu, a ja nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać miłej gospodyni:

— Na miłość Boga! Jakim sposobem dostała pani to dziwne imię?

Imię

— Jest to już trzecie — odrzekła — jakie mi narzucają. Przyjęłam je chętnie, gdyż moi teściowie tego sobie życzyli. Było to bowiem imię ich zmarłej córki, której miejsce mnie zająć pozwolili, a imię przecież pozostaje zawsze najpiękniejszym, najżywotniejszym zastępcą osoby.

Odparłem na to:

— Czwarte już jest wynalezione. Nazwałbym panią „Piękną-Dobłą”, o ile by to ode mnie zależało.

Zrobiła ukłon mile pokorny i tak umiała zjednoczyć i wzmóc swoje uniesienie z powodu wyzdrowienia ojca z radością widzenia mnie znowu, że w całym życiu swoim nie mogłem sobie przypomnieć, żebym słyszał i czuł coś pochlebniejszego i przyjemniejszego.

Piękną-Dobłą, dwa i trzy razy odwoływana do domu, powierzyła mnie rozumnemu, wykształconemu człowiekowi, który miał mi osobliwości gór pokazać. Szliśmy razem przy najpiękniejszej pogodzie przez wciąż zmieniające się okolice. Łatwo się atoli przekonałem, że nie mogły we mnie obudzić najmniejszej uwagi ani skały i lasy, ani wodospad, ani tym mniej młyny i kuźnie oraz dosyć kunsztownie około drzewa pracujące rodziny. Tymczasem wędrówka była ułożona na dzień cały. Przewodnik niósł w tłumoczku smaczne śniadanie. Na obiad znaleźliśmy dobre jedzenie w karczmie górniczej, gdzie nikt naprawdę rad ze mnie być nie mógł, gdyż dla dzielnych ludzi nie ma nic przykrzejszego jak bezduszne nieinteresowanie się, udające tylko, że je coś zajmuje.

Najmniej atoli rozumiał mnie przewodnik, ku któremu skierował mnie właściwie roznosiciel przedzdy, wychwalając wielce moje piękne wiadomości techniczne i szczególne zajęcie się takimi rzeczami. Opowiadał też dużo ów poczciwy człowiek o częstym przeze mnie zapisywaniu i o moich uwagach, na co się też przygotował towarzysz górski. Długo czekał mój przewodnik, żebym wydobyl swój pugilares, o który w końcu, zniecierpliwiony do pewnego stopnia, zapytał.

Niedziela, 21 września

Nadeszło niemal południe, zanim mogłem znowu zobaczyć przyjaciółkę. Nabożeństwo domowe, na którym nie życzyła sobie, żebym był obecny, odprawiono tymczasem. Ojciec znajdował się na nim, wypowiadając wielce budujące słowa wyraźnie i zrozumiale. Wszyscy obecni i ona sama byli wzruszeni do łez rzewnych.

— Były to — mówiła — znane sentencje, wiersze, wyrażenia i zwroty, które słyszałam po sto razy, gorsząc się nimi jako pustymi dźwiękami. Tym razem wszakże płynęły one tak serdecznie stopione, spokojnie płonące, wolne od żużli, jak widzimy rozmiękczony metal, spływający korytkiem. Lękałam się bardzo, żeby się wśród tych wylewów duszy nie stargał²⁰³, lecz on, zupełnie rzeński, dał się zaprowadzić do łóżka. Chciał się w ciszy skupić i jak tylko poczuje w sobie dosyć siły, zawołać do siebie gościa.

Po obiedzie rozmowa nasza stała się żywsza i bardziej poufała. Ale właśnie dlatego lepiej mogłem odczuć i dostrzec, że się gospodyni z czymś wstrzymuje, że walczy z niepokojącymi myślami, tak że się jej niezupełnie powiodło rozpogodzenie oblicza. Spróbowawszy tak i owak przywieść ją do mówienia, wyznałem jej otwarcie, że dostrzegam w niej jakby tęsknotę, jakiś wyraz troski; że powinna mi się zwierzyć, czy to są kłopoty domowe czy handlowe; że jestem dość bogaty, by się jej w jaki bądź sposób wypłacić ze starego długu.

Z uśmiechem zaprzeczyła, iżby tak było.

— Gdyś pan się pojawił — mówiła dalej — zdawało mi się, że widzę jednego z tych panów, co mi dają kredyt w Trieście. I byłam rada z siebie, że posiadała pieniądze w zapasie, czy by żądano całej sumy czy jej części. Co mnie jednak dręczy, to istotnie troska handlowa; niestety, nie na tę chwilę, nie! Na całą przyszłość. Biorące górę maszyny niepokoją mnie i przejmują lękiem. Nadchodzą one jak burza, z wolna, z wolna, ale już mają rozpęd, zaraz przyjdą i uderzą. Już mój małżonek przeniknięty był tym smutnym uczuciem. Myśli się, mówi się o tym, lecz ani myślenie, ani mówienie nie może przynieść pomocy. I któż by chciał sobie dobrowolnie uprzytomniać takie okropności! Pomyśl pan, jak wielu ludzi przewija się przez góry takie, z których żeś pan schodził. Jeszcze się unosi

Obraz świata, Przemiana

²⁰³stargać się — tu: ulec osłabieniu. [przypis edytorski]

przed panem piękne, wesołe życie, które w tych dniach tam widziałeś, o którym najmielsze świadectwo złożył panu wczoraj tłum wystrojony, ze wszech stron napływający. Pomyśl pan, jak to kolejno będzie upadało, obumierało. Jak pustynia, w ciągu stulecia ożywiana i zamieszkiwana, znowu popadnie w swoją prastarą samotność.

Tu pozostają tylko dwie drogi, jedna równie smutna jak druga. Albo sami musimy chwycić się nowości i zniszczenie przyśpieszyć, albo też zerwać się, pociągnąć za sobą najlepszych i najgodniejszych i szukać przyjaźniejszej doli za morzem. Jedno i drugie ma swe niebezpieczeństwa, ale kto nam pomoże do zważenia powodów, które nas do decyzji skłonić mają? Wiem bardzo dobrze, że w pobliżu noszą się z myślą urządzenia maszyn i pochwylenia dla siebie żywności tłumy. Nikomu nie mogę mieć za złe, że siebie uważa za swego najbliższego bliźniego. Ale wydałabym się sobie pogardy godna, gdybym miała ograbiać tych poczciwych ludzi i widzieć w końcu, jak biedni i bezradni na wędrówkę się wybierają; a wywędrować muszą wcześniej lub później. Domyślają się, wiedzą, mówią o tym, a nikt nie postanawia jakiegos zbawczego kroku. A jednak, skądże ma przyjść postanowienie? Czy i ono dla każdego nie jest tak trudne jak dla mnie?

Narzeczony mój był wraz ze mną zdecydowany co do wychodźstwa. Często rozmawiał o środkach i drogach wydobywania się stąd. Oglądał się za lepszymi, których by można było skupić koło siebie, z nimi zespolić się w sprawie, ku sobie pociągnąć, za sobą porwać. Wzdychaliśmy, może ze zbyt młodzieńczą nadzieją, do takich okolic, gdzie by uchodzić mogło za obowiązek i prawo to, co by tu było występkiem. Teraz jestem w wypadku wprost przeciwnym: zacny pomocnik, który mi po śmierci męża pozostał, wyborny pod każdym względem, do mnie po przyjacielsku miłośnie przywiązany, zupełnie odmienne ma zdanie.

Muszę o nim mówić, zanim go pan zobaczysz. Wolałabym jednak zrobić to później, gdyż obecność osoby rozwiązuje niejedną zagadkę. Prawie w takim wieku jak mój mąż, jako mały, biedny chłopiec przystał do zamożnego, życzliwego towarzysza zabaw, do rodziny, do domu, do rzemiosła. Wzrastali razem i trzymali się razem, a jednak były to dwie zupełnie różne natury: jeden otwarty i wylewny, drugi we wczesnej młodości uciśniony, zamknięty w sobie, pilnujący najmniejszego pochwyconego mienia; pobożny wprawdzie, ale myślący więcej o sobie niż o innych.

Wiem doskonale, że od pierwszej chwili zwrócił na mnie oko. Mógł to zaiste zrobić, bom była biedniejsza od niego. Ale się cofnął, jak tylko spostrzegł skłonność przyjaciela swego do mnie. Będąc wytrwale pilnym, czynnym i wiernym, stał się niebawem współuczestnikiem przemysłu. Mąż mój miał w tajemnicy myśl, że gdy my wywędrujemy, jego tu osadzi i jemu powierzy wszystkie pozostałości. Wkrótce po śmierci mego zacnego męża zbliżył się on do mnie, a przed jakimś czasem zaczął okazywać, iż się stara o moją rękę. Lecz oto zachodzi podwójnie dziwna okoliczność, iż on od dawna oświadczył się przeciw wychodźstwu, a natomiast gorąco za tym obstawał, żeśmy powinni zaprowadzić maszyny. Argumenty jego są zaiste naglące, gdyż w górach naszych bawi pewien człowiek, który, w razie gdyby porzucając nasze proste narzędzia chciał zbudować sobie bardziej złożone, mógłby zniszczyć nas do gruntu. Ten człowiek, bardzo zdolny w swym zawodzie (zowiemy go bardownikiem), przychylny jest pewnej zamożnej rodzinie w sąsiedztwie. I wolno mniemać, że zamierza z owych rozwijających się wynalazków skorzystać dla dobra swego i swoich ulubieńców. Dowodzeniu mego pomocnika nic zarzucić nie można, gdyż w pewnej mierze za dużo już czasu zmarnowaliśmy, a jeżeli tamci zyskają pierwszeństwo, to będziemy musieli zrobić to samo, ale już ze stratą. To więc dręczy mnie i lękiem przejmuje, to właśnie każe mi w tobie, najdroższy przyjacielu, widzieć anioła opiekuńczego.

Niewiele pociechy mogłem w tej mierze udzielić. Musiałem uznać tę sprawę za tak zawiklaną, iż prosiłem o czas do namysłu. Ona zaś mówiła dalej:

— Mam jeszcze do oznajmienia niejedno, co położenie moje tym dziwniejszym panu przedstawi. Młodzieniec, który dla mnie osobiście nie jest niemiły, ale który nie zdołałby wcale zastąpić mi mego małżonka ani też pozyskać istotnej miłości — mówiąc to, westchnęła — staje się od pewnego czasu coraz to bardziej natarczywy, a wywody jego są zarówno pełne uczucia, jak i rozsądku. Konieczność oddania mu ręki, nieroztropność myślenia o wychodźstwie i zaniechanie z tego powodu jedyne prawdziwego środka zachowania siebie, zaprzeczyc się nie dają. Toteż mój opór, moja mrzonka o wywędrowaniu

wydają mu się tak mało zgodne z moim skądinąd gospodarczym zmysłem, że w ostatniej, trochę gwałtownej rozmowie zauważyć mogłam domysł, że skłonność moja chyba w inną zwraca się stronę.

Ostatnie słowa wypowiedziała z pewnym zająknięciem i spojrzała przed siebie. Co mi przy nich przeszło przez duszę, niech każdy sobie wyobrazi, a jednakże po błyskawicznie zjawiającej się rozwadze, poczułem, że każde słowo zwiększyłyby tylko zamieszanie. Równocześnie, stojąc tak przed nią, nabrałem wyraźnej świadomości, że ją pokochałem w stopniu najwyższym i musiałem użyć całej pozostałej mi reszty rozumu i rozsądku, by jej natychmiast nie ofiarować ręki.

„Niechże zostawi — myślałem — poza sobą wszystko, idąc za mną!”. Ale cierpienia lat minionych powstrzymały mnie. „Maszże na nowo żywić ułudną nadzieję, ażeby za to życiem całym pokutować!”.

Oboje milczeliśmy przez czas jakiś, kiedy Elżusia, której nadejścia nie zauważyłem, stanęła przed nami niespodziewanie, prosząc o pozwolenie spędzenia tego wieczoru w najbliższym zakładzie hutniczym. Pozwolenie otrzymała bez namysłu. Tymczasem przyszedłem do siebie i zacząłem opowiadać w ogólności, jak to w podróżach swoich od dawna widziałem zbliżanie się całej tej sprawy, jak codziennie wzmaga się popęd i konieczność wychodźstwa — pozostaje to jednak wciąż rzeczą najniebezpieczniejszą. Nieprzygotowana ruchawka²⁰⁴ sprowadza nieszczęśliwy powrót, żadne inne przedsięwzięcie nie wymaga tyle ostrożności i kierunku. Ten sposób widzenia rzeczy nie był jej obcy, dużo rozmyślała o tych wszystkich sprawach, w końcu jednak rzekła z głębokim westchnieniem:

— Przez te dni pobytu pańskiego ciągle się spodziewałam, że z poufnego opowiadania zaczerpnę pociechy. Czuję się atoli w gorszym niż poprzednio położeniu; czuję bardzo głęboko, jak jestem nieszczęśliwa.

Podniosła wzrok na mnie, ale, by ukryć łzy wytryskające z pięknych, dobrych oczu, odwróciła się i oddaliła kilka kroków.

Nie chcę się usprawiedliwiać, ale pragnienie, żeby tę wspaniałą duszę, jeśli nie pocieszyć, to rozerwać, nasunęło mi myśl opowiedzenia jej o dziwnym związku wielu wędrujących i rozstających się, do którego przystąpiłem już był od niejakiego czasu. Mimowolnie tak żem się już daleko zapędził, że chyba bym się nie mógł powstrzymać, gdy dostrzegł, jak nieopatrznie mogłoby się stać moje zaufanie. Ona się uspokoiła, zdziwiła, rozpogodziła, roztoczyła całą istotę swoją i wypytywała z taką miłością i zręcznością, żem się już wymknąć jej nie mógł i musiałem wyznać jej wszystko.

Nadeszła Małgosia, mówiąc, żebyśmy się udali do ojca. Dziewczyna wydawała się bardzo zamyślona i zmartwiona. Gdy odchodziła, rzekła do niej Piękna-Dobra:

— Elżusia ma urlop na dzisiejszy wieczór, zajmij się ty sprawami.

— Nie powinniście byli dawać go — odpowiedziała Małgosia — ona nic dobrego nie zrobi. Wybaczcie tej figlarce więcej, niż wypada, ufacie jej więcej, niż należy. Dowiaduję się właśnie, że pisała do niego list wczoraj. Podслуchała rozmowę waszą, a teraz idzie na jego spotkanie.

Jakieś dziecko, które tymczasem zostało było przy ojcu, poprosiło mnie, żebym pośpieszył, gdyż pocziwy człowiek niepokoi się. Weszliśmy. Pogodny, ba, rozpromieniony siedział na łóżku.

— Dzieci — rzekł on — spędziłem te godziny na ciągłej modlitwie. Żadnego z psalmów dziękczynnych i pochwalnych Dawida²⁰⁵ nie pominąłem, a dodaję do nich z własnej duszy, ze wzmocnioną wiarą: Dlaczego człowiek spodziewa się tylko na metę najbliższą? Kiedy musi działać i dźwigać się, w dal powinien się spodziewać i Boga zaufać.

Wziął rękę Leonarda, a także rękę córki; i kładąc jedną w drugą, rzekł:

— To nie ma być związek ziemski, lecz związek niebiański. Jak brat i siostra kochające się, ufajcie, bądźcie użyteczni i pomagajcie sobie nawzajem, tak bezinteresownie, jak by wam Bóg dopomagał.

To powiedziawszy, opadł na posłanie z uśmiechem niebiańskim i odszedł w świat inny. Córka osunęła się przy łóżku, Leonard obok niej. Lica się zetknęły, a łzy ich złączyły się na jego ręce.

²⁰⁴ruchawka — tu: niepokoje i problemy społeczne, prowadzące do emigracji. [przypis edytorski]

²⁰⁵Dawid (ok. 1040–970 p.n.e.) — postać biblijna, król Izraela i poeta, któremu przypisywane jest autorstwo słynnych psalmów. [przypis edytorski]

Ojciec, Błogosławieństwo,
Śmierć

Pomocnik wbiega na w tej chwili i drętwieje na widok tej sceny. Z dzikim spojrzeniem, wstrząsając czarnymi kędziorami, woła dorodny młodzieniec:

— Umarł i to w chwili, kiedy miał wzywać wróconej mu mowy, by rozstrzygnął los mój, los córki swojej, istoty, którą po Bogu kocham najmocniej, której bym życzył zdrowego serca, serca, co by mogło poczuć wartość mojej skłonności. Dla mnie ona stracona, klęczy obok innego! Czy was pobłogosławił? Wyznajcież!

Wspaniała istota powstała tymczasem. Leonard podniósł się i przyszedł do siebie, a ona powiedziała:

— Nie poznaję was wcale, tego mężczyzny łagodnego, pobożnego, a nagle tak zdziczałego. Toż wiecie wszakże, jak wam jestem wdzięczna, jak o was myślę.

— O wdzięczności i myśleniu nie ma tu mowy — odparł tamten przytomnie. — Tu idzie o szczęście lub nieszczęście życia mego. Ten obcy człowiek przejmuje mnie niepokojem. Patrząc na niego, nie ufam sobie, bym mógł mieć nad nim przewagę. Wcześniejsza prawa usunąć, dawne związki rozwiązać; tego nie zdołam.

— Skoro tylko znowu będziesz mógł stać się sobą samym — rzekła Piękna-Dobra, piękniejsza niż kiedykolwiek — skoro będzie można mówić z tobą jak dawniej i zawsze, to ci powiem, to ci przysięgnę wobec tych ziemskich resztek mego świętej pamięci ojca, że z tym panem i przyjacielem taki jedynie łączy mnie stosunek, jaki możesz poznać, pochwalić i podzielić i jakim radować się winienesz.

Leonard zadrżał w najgłębszym swym wnętrzu. Wszyscy troje stali cisi, milczący i zamysłeni czas jakiś. Młodzieniec pierwszy zabrał głos, mówiąc:

— Chwila ta zbyt wielkie ma znaczenie, iżby nie miała być rozstrzygająca. Co mówię, to nie bez przygotowania. Miałem czas się namyślić, a więc słuchajcie. Powodem, dla którego odmawiałaś mi swej ręki, była moja odmowa pójścia za tobą, gdybyś z potrzeby albo zachcianki wywędrować chciała. Otóż tutaj, przed tym ważnym świadkiem, objawiam uroczyście, że wywędrowaniu twemu żadnej stawiać nie będę przeszkody. Owszem, dopomogę i wszędzie pójdę za tobą. Za to niewymuszone na mnie, tylko wskutek najdziwniejszych okoliczności przyśpieszone oświadczenie żądam w tej chwili ręki twojej.

Wyciągnął swoją, stał wyprostowany i pewny siebie. Dwoje pozostałych mimo woli cofnęło się w zdziwieniu.

— Już się powiedziało — rzekł młodzieniec spokojnie, z pewną pobożną wyniosłością — stać się to musiało, dla najwyższego dobra nas wszystkich. Bóg tak chciał. Ale żebyś nie myślała, że to skutek porywczoci i zachcianki, to wiedz, że dla ciebie wyrzekłem się gór i skał i wszystko teraz właśnie przygotowałem w mieście, ażeby żyć wedle życzenia twego. Obecnie odchodzę sam jeden. Nie odmówisz mi środków ku temu, zostanie ci jeszcze dosyć, by to postradać tutaj, jak się obawiasz i jak masz rację się obawiać. Bo i ja wreszcie się przekonałem, że ten przebiegły, czynny frant zwrócił się w wyższą stronę doliny, gdzie wprowadza maszyny. Zobaczysz, że on całe pożywienie do siebie ściągnie. Może przywołasz, i to bardzo rychło, wiernego przyjaciela, którego wypędzasz.

Chyba nie stało nigdy w przykrzejszym do siebie stosunku troje ludzi, lękających się nawzajem, żeby się nie utracić, i niewiedzących w tej chwili, jak się mają dla siebie wzajemnie utrzymać.

Namiętnie zdecydowany wypadł młodzieniec z pokoju. Piękna-Dobra położyła swą rękę na chłodnej piersi swego ojca.

— Nie należy się spodziewać na bliską metę — zawołała — ale w dal. To było jego błogosławieństwo. Zaufajmy Bogu, każdy sobie samemu i drugiemu, tym sposobem wszystko da się uporządkować.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przyjaciół nasz z wielkim zainteresowaniem czytał, co poprzedziło, ale wyznać zarazem musiał, że już przy zakończeniu poprzedniego zeszytu przeczuwał, ba, domyślał się, że dobrą istotę odkryto. Opis stromej okolicy górskiej przeniósł go najpierw w owe stosunki, szczególnie jednak wprowadziło go na ślad przeczucia Leonarda wśród owej nocy księżycowej oraz powtórzenie słów z jego listu. Fryderyk, któremu on to wszystko przedstawił szczegółowo, przystał na to z ochotą.

Ale tutaj obowiązek opowiadania, przedstawiania, wykładania i skupiania staje się coraz trudniejszy. Któż nie czuje, że tym razem zbliżamy się do końca? Przy czym obawa nierozpraszania się w szczegółach oraz życzenie niezostawiania niczego bez rozwinięcia wprawia nas w rozdziwienie. Depesza, która właśnie co nadeszła, powiadomiła nas wprawdzie o niejednej rzeczy, lecz listy i różnorodne dodatki zawierały rozmaite wiadomości, niebudzące zainteresowania ogólnego. Umyśliliśmy więc zarówno to, cośmy wówczas wiedzieli i poznali, jak i to, co doszło później do wiadomości naszej, zebrać razem i w tym kierunku spokojnie zakończyć przyjęte, poważne zadanie wiernego sprawozdawcy.

Przede wszystkim winniśmy tedy zawiadomić, że Lotariusz z żoną swoją, Teresą, i z Natalią, która nie chciała rozstać się z bratem, w towarzystwie opata już rzeczywiście udali się w stronę morza. Odjechali wśród wróżb szczęśliwych i spodziewać się można, iż wiatr pomyślny dmie w ich żagle. Zabierają ze sobą jedyne niemiłe uczucie, prawdziwą żalobę moralną, że nie mogli przedtem złożyć odwiedzin Makarii. Zboczenie z drogi zbyt było wielkie, przedsięwzięcie zbyt ważne — już się wynurzało pewne ociąganie się i trzeba było poświęcić konieczności święty nawet obowiązek.

My atoli, ze swego stanowiska opowiadacza i malarza, nie powinniśmy dać tym drogim osobom, które nas dawniej taką przejmowały przychylnością, odjeżdżać na tak znaczną odległość, nie udzieliwszy dokładniejszej wiadomości o ich dotychczasowych zamiarach i działaniach — zwłaszcza, żeśmy od tak dawna żadnych szczegółów o nich nie posłyszeli. Opuszczamy to jednakże, ponieważ dotychczasowe ich zatrudnienie było tylko przygotowaniem do wielkiego przedsięwzięcia, ku któremu widzimy ich sterujących. Żywimy wszakże nadzieję, że z zadowoleniem odnajdziemy ich kiedyś wśród pełni działalności uporządkowanej, objawiającej prawdziwą wartość rozmaitych ich charakterów.

Julisia, myśląca dobroć, którą sobie chyba przypominamy jeszcze, wyszła za człowieka wedle serca stryjka, człowieka współdziałającego i dalej działalność rozwijającego w jego duchu. W ostatnich czasach bywała często u ciotki, gdzie się zbierało kilku z tych, na których miała ona wpływ dobroczynny — nie tylko takich, co pozostają wierni stałemu ładowi, ale i takich, co zamysłają udać się za morze. Leonard natomiast już dawniej się pożegnał, wraz z Fryderykiem. Wiadomość, zakomunikowana przez posłańca, tym żywsze zrobiła wrażenie.

Jeżeli zatem w wykazie gości brakło owych szlachetnych, wyżej wymienionych, to można było w nim znaleźć kilka ważnych i znanych nam już lepiej osób. Hilaria przybyła z mężem, który występował już jako kapitan i wielce bogaty właściciel dóbr. Wielkim wdziękiem swoim i uprzejmością uzyskała tu — jak i wszędzie — chętnie przebaczenie za zbyteczną łatwość, z jaką zmieniała przedmioty swego zainteresowania, a jakiej winną widzieliśmy ją w przebiegu opowiadania. Mężczyźni zwłaszcza nie bardzo za to na nią nastawali. Wady takiej, jeżeli nią jest, nie poczytują oni za gorszącą, gdyż każdemu pozwala ona pragnąć i spodziewać się, żeby i na niego przyszła kolej.

Flawio, jej małżonek — tęgi, rześki i dosyć miły — całkowicie, zdawało się, opanował jej skłonność. Zapewne przebaczyła także sama sobie przeszłość swoją, a i Makaria nie znajdowała powodu, by wspominać o niej. On, będąc wciąż namiętym poetą, wyprosił sobie, by przy rozstaniu mógł odczytać wiersz, który na cześć jej samej i jej otoczenia stworzył w ciągu kilku dni pobytu tutaj. Widywano go często przechadzającego się po dworze. Przystawał na chwilę, to znów z żywymi gestami kroczył naprzód, pisał w pugilarzesie, myślał i pisał znowu. Ale teraz, zdawało się, uważał wiersz za skończony, wyraziwszy za pośrednictwem Anieli owo życzenie.

Dobra pani, lubo niechętnie, przychyliła się do tego. Nadało to, bądź co bądź, rozgłos, choć przez to niczego się więcej nie dowiedziano nad to, co już było wiadome, i nic więcej nie poczuło nad to, co już przedtem czuto. W każdym razie deklamacja była swobodna i miła, zwroty i rymy czasami nowe, chociaż co do całości można by było życzyć sobie, iżby trochę krótsza była. W końcu podał ten wiersz, bardzo pięknie napisany na papierze z obwódka, i rozstano się z całkowitym wzajemnym zadowoleniem.

Para ta wróciła była ze znacznej, dobrze spożytkowanej podróży na południe, by ojca, majora, w domu zluzować, gdyż i ten, ożeniwszy się z ową nieodparcie czarującą kobietą, pragnął także zacerpnąć dla orzeźwienia nieco z owego rajskiego powietrza.

Tych dwoje przybyło tu również na zmianę, a że — jak zawsze — rzecz godna uwagi cieszyła się u Makarii szczególną łaską, która się na tym mianowicie zasadzała, iż dama

Poczja

przyjmowana była w pokojach wewnętrznych i sama, to i major zasłużył sobie następnie na te względy. Przedstawił się jako wykształcony wojskowy, dobry gospodarz na roli i w domu i dobry przyjaciel literatury, a nawet jako godny pochwały poeta dydaktyczny; i doznał dobrego przyjęcia od astronoma i innych domowników.

Wyróżniony też był szacownie nawet przez naszego starego pana, czcigodnego stryja, który, mieszkając niezbyt daleko, przebywał tutaj dłużej teraz niż zazwyczaj, lubo tylko na godziny, bo nigdy nie można go było nakłonić do spędzenia tu nocy, chociażby największą zapewniono mu wygodę.

Atoli w takich krótkich zetknięciach się obecność jego niezmiernie była przyjemna, gdyż jako światowiec i dworak lubił występować pobłaźliwie i pośrednicząco. Przy czym nawet pewien rys pedanterii arystokratycznej nie sprawiał niemiłego wrażenia. Zadowolenie jego tym razem wychodziło z głębi — był szczęśliwy, jak czujemy się wszyscy, kiedy mamy do obrobienia rzecz ważną z ludźmi rozsądnie rozumnymi. Rozległa sprawa była

Kolonializm

w całkowitym biegu, poruszała się stale wedle utrzymywanego wciąż porozumienia. Z niej podamy tylko momenty zasadnicze. Jest on posiadaczem ziemi tam, za morzem, już odziedziczonej po przodkach swoich. Co to ma znaczyć, niech znawca tamtych stosunków objaśni dokładniej przyjaciółom swoim, gdyżby to nas zbyt daleko zaprowadziło. Te ważne posiadłości były do tej pory w dzierżawie i, prócz różnych nieprzyjemności, mało przynosiły dochodu. Towarzystwo, które znamy dostatecznie, ma upoważnienie do zajęcia ich wśród najdoskonalszego urzędzenia społecznego. A stąd, jako wpływowi członek państwa, upatrzeć może swe korzyści i rozszerzyć się daleko w nieuprawianej dotąd puszczy. Tu mianowicie chcą się dać poznać Fryderyk i Leonard, by pokazać, jak trzeba zaczynać od początku i wejść na drogę naturalną.

Zaledwie wymienieni tutaj oddalili się nadzwyczaj zadowoleni z tego miejsca pobytu, zgłosili się goście zupełnie innego rodzaju, lecz także pożądani. Nie spodziewaliśmy się widzieć Filiny i Lidii, wstępujących w tak święte miejsce, a jednak one przyjechały. Montan, bawiący wciąż jeszcze w górach, miał po nie tu przybyć i najbliższą drogą wyprowadzić na morze. Obie przyjęte zostały bardzo dobrze przez gospodynię, szafarki i inne wspólnie pracujące i zamieszkujące kobiety. Filina przywiozła ze sobą parę najmilszych dzieci. A odznaczała się tym szczegółem w prostym, ale powabnym ubiorze, iż przy pasku w kwiaty haftowanym na długim, srebrnym łańcuszku nosiła angielskie nożyczki średniej wielkości, którymi niekiedy, jakby na wypowiedź swoją chcąc położyć nacisk, strzygła w powietrzu i pobrzękiwała, rozweselając tym ruchem wszystkich obecnych. Po czym zaraz następowało pytanie, czy by wśród tak dużej rodziny nie było czegoś do przykrojenia? A wtedy się okazało, że dogodnie dla takiej czynności miała być szyta wyprawa dla pary narzeczonych. Filina spogląda więc na strój miejscowy, każe dziewczętom przechodzić przed sobą w tę i ową stronę i wciąż kraje. Przy czym atoli, postępując pomysłowo i ze smakiem, lubo nie odbiera bynajmniej charakteru takiemu strojowi — umie właściwą mu sztywność barbarzyńską pogodzić z wdziękiem tak łagodnie, że ubrane w ten sposób dziewczęta więcej się sobie i innym podobają i pokonują lekliwość, żeby się nie oddalać od rzeczy tradycyjnie przyjętych.

Strój

Tu nadeszła z doskonałą pomocą Lidia, która szyć umiała z podobną zręcznością, ozdobnością i szybkością. Można się było spodziewać, że za współudziałem reszty niewiast ujrzy się narzeczonych wystrojonych szybciej, niż myśłano. Dziewczęta nie mogły się wtedy oddalać na długo; Filina zajmowała się nimi aż do drobiazgów, traktując je jak lalki lub statystki teatralne. Kupy wstążek i inne, zwykłe w sąsiedztwie, stroje świąteczne zostały, jak należy, rozdzielone. I osiągnięto tym sposobem w końcu to, że te czerstwe ciała i ładne figury, dawniej przykryte barbarzyńską pedanterią, teraz wyszły w pewnej mierze na widok — przy czym wszelka tęgość doprowadzona przeciw została do niejakego wdzięku.

Atoli zbyt czynne osoby stają się w równomiernie uregulowanych stosunkach przykre. Filina ze swymi żarłocznymi nożyczkami wdarła się do pokojów, gdzie się znajdowały obfite zapasy na odzież dla dużej rodziny — w materiałach wszelkiego rodzaju. W widokach skrajania tego wszystkiego znalazła największą swą szczęśliwość. Musiano ją istotnie stamtąd oddalić i drzwi mocno zamknąć, gdyż nie znała ani miary, ani celu. Aniela nie chciała z tego rzeczywiście powodu być traktowana jako narzeczona, bała się bowiem

takiej krojczyni. W ogólności stosunek między obydwoma nie mógł się zawiązać pomyslnie. Ale o tym później dopiero może być mowa.

Montan dłużej, niż przypuszczano, ociągał się z przybyciem, a Filina nastawała na to, by ją przedstawiono Makarii. Zrobiono to, spodziewając się, że tym wcześniej się jej następnie pozbęda. I było dosyć zastanawiającą rzeczą widzieć dwie grzesznice u stóp świętej. Klęczały one po obu jej bokach, Filina między swymi dziećmi, które sama z wdziękiem pochyliła ku ziemi. Ze zwykłą sobie pogodą ducha rzekła:

— Kocham męża, kocham dzieci, zajmuję się ochoczo nimi i innymi także, a resztę mi przebacysz.

Gdy Makaria przywitała ją błogosławieństwem, odeszła z przystojnym ukłonem. Lidia leżała u lewego boku świętej z twarzą ukrytą na jej łonie, płakała rzewnie i nie mogła słowa wymówić. Makaria, na lzy jej zważając, uderzyła ją w ramię uspokajająco, potem ucałowała ją w głowę na rozdziale włosów, jak przed nią była nachylona, gorąco i kilkakrotnie w pobożnym zamiarze.

Lidia powstała najprzód na kolana, potem na nogi i spojrzała ku swej dobrodziejce z czystą pogodą ducha.

— Co się ze mną dzieje? — rzekła. — Co mi jest? Ciężki, bolesny ucisk, który mnie pozbawiał jeżeli nie wszelkiej myśli, to wszelkiej rozważki, nagle zniknął z mej głowy. Mogę teraz swobodnie spoglądać w górę, myśli moje wznosić w górę, a sądzę — dodała, głęboko westchnąwszy — że i serce moje tam pójdzie.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł Montan, jak nieraz zjawia się nagle i niespodziewanie zbyt długo oczekiwany. Lidia wesoło podeszła ku niemu, radośnie go uściśnęła, a prowadząc go przed Makarię, zawołała:

— Niech się on dowie, co winien tej boskiej, i niech dziękczynnie razem ze mną upadnie jej do nóg.

Montan, zdziwiony i wbrew swemu przyzwyczajeniu zakłopotany do pewnego stopnia, rzekł, szlachetny ukłon zacnej pani składając:

— Wydaje się to czymś bardzo wielkim, gdyż jej winienem ciebie. Po raz to pierwszy witasz mnie otwarcie i miłośnie, po raz pierwszy przyciskasz mnie do serca, chociaż zasługiwałem na to od dawna.

Tu musimy powiedzieć poufnie, że Montan kochał Lidię od pierwszej jej młodości, że bardziej ujmujący Lotariusz wydarł mu ją, on wszakże pozostał wierny i jej, i przyjacielowi i w końcu wziął ją sobie, może ku niemałemu zdziwieniu dawniejszych czytelników naszych, za małżonkę.

Ci troje razem, co się w społeczeństwie europejskim nie mogli przecież czuć zupełnie zadowoleni, ledwie miarkowali wyrażenia radości swojej, gdy była mowa o oczekiwanych tam stosunkach. Nożyczki Filiny już drgnęły, gdyż zamierzała sobie zarezerwować monopol zaopatrywania tych nowych kolonii w ubranie.

Filina bardzo zgrabnie opisywała wielki zapas sukna i płótna i strzygła w powietrzu, widząc już przed sobą, jak powiadała, żniwo dla sierpa i kosy.

Lidia natomiast, teraz dopiero na nowo zbudzona przez owo szczęśliwe błogosławieństwo do wspól-udzielającej się miłości, widziała już w duchu uczennice swoje pomnażające się stokrotnie i cały naród gospodyń, zaprawiony i zapałony do dokładności i ozdobności.

Poważny nawet Montan miał tameczną²⁰⁶, górską obfitość ołowiu, miedzi, żelaza i węgla kamiennego tak dalece przed oczyma, że całą wiedzę i umiejętność swoją chciał niekiedy uznać za bojaźliwie, macające próbowanie, ażeby tam dopiero wziąć się dzielnie do bogatego, trud oplacającego, żniwa.

Że Montan rychło się z astronomem naszym porozumie, było do przewidzenia. Rozmowy, prowadzone przez nich w obecności Makarii, były nadzwyczaj zajmujące. Mało jednakże mamy z nich notatek, ponieważ od pewnego czasu Aniela stała się mniej uważna w słuchaniu i bardziej niedbała w zapisywaniu. Zapewne też niejedno wydało się jej zbyt ogólne i nie dosyć zrozumiałe dla kobiet. Dlatego też mimochodem tylko załączamy tu kilka orzeczeń, należących do owej chwili, a które nie doszły nawet do nas za pośrednictwem jej ręki.

²⁰⁶tameczny (daw.) — tamtejszy. [przypis edytorski]

„W studiach nad naukami, takimi zwłaszcza, które zajmują się przyrodą, zarówno konieczne, jak trudne jest zbadanie, czy to, co nam przekazywano od wieków i co przez przodków naszych uważane było za słuszne, jest rzeczywiście pewne w tym stopniu, że można na tym dalej bezpiecznie budować. Czy też tradycyjne mniemanie stało się już nieruchome i z tego powodu sprowadza raczej zastój niż postęp? Jedna cecha pomaga w tym badaniu; mianowicie jeżeli przyjęte zdanie było i pozostało żywotne, jeżeli wpływało i wpływa skutecznie i pomocnie na usiłowania czynne.

Odwrotnie jest z badaniem nowości, gdzie pytać należy: czy rzecz przyjęta stanowi nabytek istotny czy też tylko modną jednogłośność? Zdanie bowiem, wychodzące od mężów energicznych, rozszerza się zaraźliwie wśród tłumu i wtedy nazywa się panującym — uroszczenie, które dla sumiennego badacza nie zawiera żadnego znaczenia. Państwo i kościół mogą, bądź co bądź, mieć powód uważania się za panujące, mają one bowiem do czynienia z oporną masą — a jeśli się tylko utrzymuje porządek, to już wszystko jedno, jakimi środkami. W naukach atoli konieczna jest wolność najbardziej bezwzględna, gdyż tutaj nie działa się dla dziś czy jutra, lecz dla całego szeregu czasów idących w nieskończoność.

A jeżeli nawet w nauce uzyska przewagę fałsz, to przecież pozostanie zawsze mniejszość za prawdą. I choćby się ona skurczyła w jednym, jedynym duchu, to i to by jeszcze nic nie znaczyło. Będzie on dalej pracował w ciszy, w ukryciu i przyjdzie czas, kiedy się będą pytać o niego i jego przekonania lub też kiedy te, wśród rozszerzonego w powszechności światła, ośmielą się także wyjść na widowieństwo”.

*

Co atoli mniej ogólnego, chociaż niepojętego i dziwnego, stało się przedmiotem rozmowy, to okolicznościowe oświadczenie Montana, że w górskich i górniczych poszukiwaniach towarzyszy mu pewna osoba, która ma wielce cudowne własności i szczególny związek ze wszystkim, co kamieniem, minerałem, a nawet w ogóle żywołem nazwać by można. Czuje ona nie tylko wielkie oddziaływanie pod ziemią płynących wód, pokładów i żył metalowych — jak i węgla kamiennego oraz tym podobnych mas skupionych — lecz co dziwniejsze, ma się wciąż to inaczej, w miarę tego, jak grunt zmieni. Różne rodzaje gór wywierały na nią wpływ szczególny, co do którego, potrafiwszy zawiązać z nią mowę dziwną wprawdzie, ale wystarczającą, mógł się Montan bardzo dobrze porozumiewać i w szczegółach go wybadać, ponieważ w sposób zadziwiający wytrzymywała próbę, umiając czuciem dostatecznie rozróżnić chemiczne i fizyczne żywioły, a nawet spojrzeniem samym odróżnić rzecz cięższą od lżejszej. Osobę tę, o płci której nie chciał dać dokładniejszego objaśnienia, wysłał on wraz z odjeżdżającymi przyjaciółmi i bardzo wiele po niej oczekiwał co do celów swoich w niezbadanych dotąd okolicach.

To zwierzenie Montana otwarło surowe serce astronoma, który następnie za zezwoleniem Makarii odkrył i jemu stosunek jej do układu wszechświata. Dzięki późniejszym objaśnieniom astronoma jesteśmy w możności udzielenia jeżeli nie dostatecznych, to najgłówniejszych rzeczy z ich rozmów o tak ważnych przedmiotach.

Podziwiamy tymczasem podobieństwo zdarzających się wypadków pomimo największej ich różnorodności. Jeden z przyjaciół, aby nie zostać Tymonem²⁰⁷, zapuścił się w najgłębsze przepaście ziemi. A i tam zauważył, że w naturze ludzkiej istnieje coś analogicznego z rzeczami najbardziej stęzałymi i najsurowszymi. Drugiemu, na odwrót, duch Makarii dał przykład, że jak tam pozostawanie na miejscu, tak tu oddalanie się właściwe jest dobrze uposażonym naturom, że nie potrzeba ani do środka ziemi się dostawać, ani też wydalac się poza granice naszego Układu Słonecznego, by mieć dostateczne zatrudnienie i wybornie być skierowanym i powołanym do działania. Na ziemi i w ziemi znajdujemy dla najwyższych potrzeb ziemskich materiał, świat materii, oddany najwyższym zdolnościom człowieka do obrobienia. Na owej zaś drodze duchowej znajdujemy zawsze współczucie, miłość, prawidłową, swobodną działalność. Oba te światy ku sobie zbliżać, ich obustronne własności manifestować w przemijającym zjawisku życia — oto najwyższa forma, do jakiej człowiek wyrobić się winien.

²⁰⁷ *Tymon* a. *Tymon z Fliuntu* (ok. 328–238 p.n.e.) — grecki filozof, przedstawiciel szkoły sceptyków. [przypis edytorski]

Następnie obaj przyjaciele zawarli związek i postanowili, bądź co bądź, nie ukrywać swoich doświadczeń, gdyż ten, co by chciał je ośmieszać, jako bajkę stosowną dla romansu, powinien by je przecież rozważać jako symbol tego, co jest najbardziej pożądane.

Odjazd Montana i jego towarzyszek nastąpił niedługo potem. A lubo chętnie by jeszcze zatrzymano go z Lidią, to zbyt niespokojna Filina uprzykrzyła się wielu kobietom, przyzwyczajonym do spokoju i obyczajów — zwłaszcza zaś szlachetnej Anieli, do czego przylączyły się nadto szczególne okoliczności, które powiększyły niezadowolenie.

Już wyżej zauważyliśmy, że Aniela nie spełniała, tak jak dawniej, obowiązku uważania i notowania, ale zdawała się zajęty czymś innym. Ażeby wyjaśnić tę anomalię w osobie tak dalece oddanej porządkowi i obracającej się w kołach jak najczystszych, zmuszeni jesteśmy wprowadzić jeszcze w końcu nowego aktora do tego obszernego dramatu.

Stary nasz, doświadczony przyjaciel handlowy, Werner, wobec wzrastających, ba, jakby w nieskończoność mnożących się interesów musiał się obejrzeć za nowym pomocnikiem, którego nie przypuścił do siebie bliżej bez poprzedniego, szczegółowego zbadania. Takiego to właśnie posyła do Makarii, by się porozumieć co do wypłaty znacznych sum, które dama ta postanowiła i obiecała ze swego wielkiego majątku obrócić na owo nowe przedsięwzięcie — zwłaszcza ze względu na Leonarda, swego ulubieńca. Wspomniany młodzieniec, obecnie już pomocnik i towarzysz Wenera, świeży, naturalny chłopiec i zjawisko cudne, zaleca się właściwym sobie talentem, bezgraniczną zdolnością w rachunku pamięciowym, ważną wszędzie, a zwłaszcza wśród takich przedsiębiorców, jacy się teraz skupiają do działania, gdyż muszą oni zgoła się zajmować i ćwiczyć w liczbach rachunku społecznego w najprzeróżniejszym znaczeniu. Nawet wśród codziennego towarzystwa, gdzie przy porozumieniu się w rzeczach światowych bywa mowa o liczbach, sumach i wypłatach, człowiek taki musi oddziaływać nadzwyczaj korzystnie. Prócz tego grał on niezmiernie mile na fortepianie, w czym z wysoce pożądaną pomocą przychodziło mu połączenie i zjednoczenie rachunku z miłym bardzo temperamentem. Tóny spływają mu w całość łatwo i harmonijnie, niekiedy wszakże daje poznać, że nie są mu bynajmniej obce też głębsze dziedziny. Tym sposobem staje się nadzwyczaj pociągający, lubo niewiele wypowiada słów, a z rozmów jego ledwie przegląda coś silniej odczutego. W każdym razie jest on młodszy od lat swoich — można by niemal odnaleźć w nim coś dziecięcego. Jakimkolwiek był zresztą, pozyskał względy Anieli, a ona — jego, ku największemu zadowoleniu Makarii, od dawna bowiem pragnęła widzieć szlachetną dziewczicę zamężną.

Aniela jednakże, zawsze rozważna i czująca, jak trudno będzie miejsce jej zastąpić, niejedną już miłą propozycję odsunęła; może nawet zadała gwałt jakiejś cichej skłonności. Ale odkąd następstwo stało się możliwe, a w pewnej mierze nawet naznaczone, zdaje się, iż zaskoczona przyjemnym wrażeniem, oddała mu się aż do namiętności.

Lecz teraz właśnie mamy sposobność wypowiedzieć rzecz najważniejszą, ponieważ wszystko, o czym od pewnego czasu była mowa, po kolei się wytworzyło, rozwiązało i znów ukształtowało. Rozstrzygnęło się tedy obecnie, iżby Piękna-Dobra, dawniej cisawą dziewczyną zwana, stanęła u boku Makarii. Plan, w ogólności nakreślony i już przez Leonarda także przyjęty, nader bliski jest wykonania. Wszyscy współuczestnicy są ze sobą zgodni — Piękna-Dobra oddaje swemu pomocnikowi całą majątność. Żeni się on z drugą córką owej pracowitej rodziny i zostaje szwagrem bardownika. Skutkiem tego możliwe się stanie, za pośrednictwem lokalu i współdziałania, doskonałe urządzenie nowej fabryki, a przedsiębiorczy mieszkańcy doliny zostaną zatrudnieni w inny, żywszy sposób.

Przez to godna kochania staje się wolna, ma zajęć przy Makarii miejsce Anieli, która z owym młodzieńcem już się zaręczyła. Tym sposobem na tę chwilę o wszystkim już zawiadomiliśmy. Co nie może być rozstrzygnięte, pozostaje w zawieszaniu.

Ale oto Piękna-Dobra żąda, żeby Wilhelm przybył zabrać ją. Należy jeszcze ułożyć niektóre okoliczności, a ona wielką przywiązuje wagę do tego tylko, żeby zakończył to, co przecież właściwie rozpoczął. On ją naprzód odnalazł, a dziwne tylko zrządzenie losu pchnęło Leonarda w jego ślady. Teraz (tak ona pragnie) niechże jej ułatwi rozstanie się z tamtymi stronami, a tak dozna radości uspokojenia, iż część jakąś splątanych nici losu sam podejmie i rozprostuje.

Teraz atoli, chcąc doprowadzić sprawę duchową, uczuciową do niejkiej zupełności, musimy objaśnić i coś bardziej tajemniczego. A mianowicie, co następuje: Leonard nigdy w najmniejszej nawet mierze nie wypowiedział się o bliższym stosunku z Piękna-Dobrá.

W biegu atoli układów, przy wielokrotnych komunikacjach w tę i ową stronę badano ją w sposób delikatny — co ona o tym stosunku myśli i co zamierza uczynić na wypadek, gdyby o tym mówić przyszło. Z jej odpowiedzi tyle dało się złożyć, że nie czuje się godna odpowiedzieć na takie uczucie jak miłość jej szlachetnego przyjaciela, oddaniem podzielonej swej jaźni, że życzliwość tego rodzaju zasługuje na całą duszę, na całą moc istoty żeńskiej, a tego ona ofiarować nie może. Wspomnienie jej narzeczonego, jej małżonka i wzajemnego ich zjednoczenia jest jeszcze tak w niej żywe, przejmuje zupełnie całą jej istotę w tym stopniu, że dla miłości i namiętności miejsca być nie może i że pozostaje jej tylko najczystsza życzliwość i w tym razie najzupełniejsza wdzięczność. Na tym poprzestano, a że Leonard nie dotykał tej sprawy, nie było potrzeby dawać w tym względzie objaśnień i odpowiedzi.

Kilka uwag ogólnych znajdzie, jak się spodziewamy, odpowiednie tu miejsce. Stosunek wszystkich mijających się tu osób do Makarii był pełen ufności i uszanowania. Wszyscy czuli obecność wyższej istoty, a jednak każdy wobec takiej osoby miał swobodę przedstawiania się całkowicie w swojej własnej naturze. Każdy pokazuje się, jakim jest, bardziej niż kiedykolwiek przed rodzicami i przyjaciółmi — z niejaką otuchą, gdyż wszystko go pobudzało i skłaniało do objawiania tego tylko, co w nim było dobre, najlepsze. Stąd powstało prawie powszechne zadowolenie.

Nie możemy atoli przemilczeć, że wśród tych do pewnego stopnia w roztargnienie wprawiających okoliczności Makaria trwale się zajmowała położeniem Leonarda. Wypowiadała się też pod tym względem wobec swoich najbliższych, wobec Anieli i astronoma. Ci sądzili, że widzą wyraźnie przed sobą duszę Leonarda. W tej chwili jest on uspokojony, przedmiot jego troski staje się niezmiernie szczęśliwy. Makaria, bądź co bądź, zakrzętnęła się około jego przyszłości. Obecnie miał on mężnie przystąpić do wielkiej sprawy i rozpocząć ją, a resztę pozostawić naturalnemu biegowi rzeczy i losowi. Przy tym można było przypuszczać, iż w przedsięwzięciach owych umacniała go głównie myśl, że kiedyś, jeżeli stanie na pewnych nogach, powoła Piękną-Dobrą za morze albo też sam po nią przyjedzie.

Nie można się tu było powstrzymać od uwag ogólnych. Patrzono z bliska na rzadki wypadek, jaki się tu ujawnił: namiętność ze skrupułów sumienia. Wspomniano też zarazem o innych przykładach cudownego przekształcenia niegdyś powziętych wrażeń, tajemniczego rozwoju wrodzonej skłonności i tęsknoty. Żałowano, że w takich wypadkach niewiele co poradzić można. Ale byłoby nadzwyczajnie stosowną rzeczą, żeby — ile możliwości — jasno zdawać sobie sprawę i nie ulegać bezwarunkowo takiemu lub innemu pociągowi.

Przyszedłszy atoli do tego punktu, nie możemy się oprzeć pokusie, by z archiwów naszych nie zakomunikować karty, która dotyczy Makarii i szczególnej właściwości, udzielonej jej duchowi. Niestety, artykuł ten dopiero po upływie długiego czasu, kiedy treść była podana, spisany został z pamięci i nie może być uważany, jakby tego życzyć sobie należało w tak dziwnym wypadku, za całkiem autentyczny. Bądź co bądź jednak, tyle się tu przecież wypowie, żeby wzbudzić namysł i zalecić uwagę, choć może coś podobnego lub zbliżonego już gdzieś zauważono i zapisano.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Makaria znajduje się w takim stosunku do naszego Układu Słonecznego, że się ledwie odważyć można na wypowiedzenie tego. W umyśle, w duszy, w wyobraźni nie tylko go ogarnia, nie tylko przenika, ale tworzy jakby część jego. Widzi siebie w owe koła niebieskie wciągniętą, lecz w sposób właściwy tylko sobie. Od dzieciństwa krąży około Słońca — i to, jak już odkryto, po linii spiralnej, wciąż się oddalając od środka i kołując ku regionom zewnętrznym.

Jeżeli wolno twierdzić, że istoty, o ile są cielesne, dążą do środka, a o ile duchowe — do obwodu, to przyjaciółka nasza należy do najbardziej duchowych. Na to tylko zdaje się zrodzona, by się od ziemskości wyzwolić, by przeniknąć najbliższe i najdalsze przestrzenie bytu. Własność ta, jakkolwiek jest wspaniała, udzielona jej przecież została od lat najwcześniejszych jako ciężkie zadanie. Przypomina sobie od maleńkości jaźń swoją jako przenikniętą istotami świecącymi, rozjaśnioną światłem, którego by nawet najjaśniejszy

blask Słońca zaćmić nie mógł. Często widywała dwa Słońca, mianowicie wewnętrzne i zewnętrzne na niebie, dwa Księżycy, z których zewnętrzny we wszystkich odmianach nie zmieniał się co do wielkości, wewnętrzny zaś wciąż bardziej się zmniejszał.

Dar ten odciągnął jej zainteresowanie od rzeczy zwyczajnych, ale jej zacni rodzice stosowali wszystko ku jej wykształceniu. Wszystkie jej zdolności stały się żywotne, wszystkie czynności — skuteczne, tak że umiała uczynić zadość wszystkim stosunkom zewnętrznym. I kiedy jej serce, jej duch całkiem napełnione były nadziemskimi widzeniami, to jej czynność i działalność zawsze rozwijała się zgodnie z największą szlachetnością, z moralnością. Podrósłszy, zawsze śpiesząc z pomocą, niepowstrzymana w wielkich i małych usługach, chodziła jak anioł boży po ziemi, kiedy jej całość duchowa poruszała się wprawdzie około Słońca wszechświatowego, ale wedle zasady nadświatowej w ciągle zwiększających się okręgach.

Nadmiar tego stanu złagodzony został w pewnej mierze przez to, że i w niej, zdawało się, były dni i noce, gdyż wobec przytłumionego światła wewnętrznego usiłowała jak najsumienniejsze spełniać obowiązki zewnętrzne, a wobec na nowo rozświetlającego się wnętrza oddawała się wielce błogiemu spokojowi. Owszem, zauważyła ona, jak mniema, że ją niby chmury jakieś kiedy niekiedy otaczały i przesłaniały jej widok towarzyszy niebieskich na czas jakiś, a epokę taką umiała zawsze zużytkować dla dobra i radości swego otoczenia.

Dopóki te widzenia trzymała w tajemnicy, wiele potrzeba było siły, ażeby je znieść. Co z nich objawiała, tego nie uznawano albo też fałszywie tłumaczono. W długim tedy swym życiu pozwoliła uważać to na zewnątrz za chorobę i tak też mówi się wciąż jeszcze w rodzinie. W końcu jednak dobra dola nastęrczyła jej męża, którego u nas widzicie — zarówno szanowany jako lekarz, matematyk i astronom, jest to na wskroś szlachetny człowiek, który się atoli zjawiał zrazu właściwie z ciekawości tylko. Ale kiedy ona powzięła do niego zaufanie, kiedy mu powoli opisała swoje stany, kiedy terażniejszość złączyła z przeszłością i zaprowadziła związek między wypadkami, tak się przejął tym zjawiskiem, że się już nie mógł z nią rozstać i usiłował dzień po dniu coraz głębiej wnikać w tajemnicę.

Z początku, jak to dość jasno dał do zrozumienia, poczytywał to za złudę. Gdyż Makaria nie przeczyła, że od pierwszej młodości pilnie się zajmowała nauką gwiazd i nieba, że się w niej dobrze wyćwiczyła i nie zaniedbywała żadnej sposobności, by sobie coraz lepiej uzmysławiać — za pomocą machin i książek — budowę wszechświata. Dlatego nie dawał sobie wyperswadować, że to nie było rzeczą wyuczoną. Twierdził, że należało przypuszczać działanie prawidłowej w wysokim stopniu wyobraźni, wpływ pamięci, współdziałanie władzy sądenia, zwłaszcza zaś utajonego rachunku.

Jest on matematykiem, a więc upartym, jasnym umysłem, a więc niedowiarkiem. Długo się bronił, ale dokładnie notował to, co ona podawała. Starał się pochwycić następstwo różnych lat, oparł się zwłaszcza na najnowszych jej twierdzeniach, zgodnych z wzajemnym stosunkiem ciał niebieskich, i w końcu zawołał:

— No, dlaczegóż by nie miał Bóg i natura stworzyć i urządzić żywej sfery armilarnej²⁰⁸, duchowego systemu kół, który by tak, jak to zegary co dzień i co godzinę czynią, mógł postępować sam przez się we właściwy sobie sposób za biegiem ciał niebieskich?

Lecz tutaj nie śmiemy już iść dalej, gdyż rzecz nie do uwierzenia traci swą wartość, kiedy się chce ją oglądać dokładniej w szczegółach. Tyle więc tylko powiemy, że tym, co służyło za podstawę dla podjęcia obliczeń, była okoliczność następująca: jej, wieszczce, ukazywało się w wizji Słońce nasze o wiele mniejsze, niż je we dnie widziała; niezwykle zaś miejsce tego wyniosłego światła niebieskiego w zodiaku dawało pochop do wniosków.

Natomiast powstawały wątpliwości i pomyłki, gdyż wizjonerka napomykała o tym lub owym ciele, jako ukazującym się również w zodiaku, którego to jednak ciała na niebie śladu nawet dostrzec nie było można. Były to chyba wówczas nieodkryte jeszcze małe planety. Z innych bowiem twierdzeń dawało się wywnioskować, że ona, od dawna już przekroczywszy drogę Marsa²⁰⁹, zbliżała się do drogi Jowisza. Widocznie przez czas jakiś — trudno by powiedzieć było, z jakiego oddalenia — przypatrywała się ze zdumieniem tej planecie w jej olbrzymiej wspaniałości i oglądała krążenie jej księżyców wkoło niej. Ale

²⁰⁸sfera armilarna — przyrząd astronomiczny, używany dawniej do wyznaczania współrzędnych równikowych i eliptycznych. [przypis edytorski]

²⁰⁹Mars — czwarta od Słońca planeta Układu Słonecznego. [przypis edytorski]

Niebo, Gwiazda, Słońce,
Księżyc

potem widziała ją w sposób najdziwniej cudowny jako księżyc malejący i to odwrócony, jak się nam ukazuje Księżyc rosnący. Z tego wywnioskowano, że ona widzi ją z boku i zamierza istotnie wydostać się poza jej drogę, i w przestrzeni nieskończonej podążać ku Saturnowi²¹⁰. W te sfery nie pójdzie za nią żadna wyobraźnia. Lecz mamy nadzieję, że entelechia²¹¹ taka nie oddali się bynajmniej od naszego Układu Słonecznego, ale dostawszy się do jego granicy, znowu się tęsknie ku nam zwróci, by znów wpływać na życie i dobrobyt ziemski naszych prawnuków.

Zamykając tym tę eteryczną poezję i spodziewając się wybaczenia, zwracamy się znowu do tych baśni tellurycznych²¹², o które mimochodem potrąciliśmy poprzednio.

Montan z największą, zdawało się, uczciwością oznajmił, że owa cudowna osoba, co to czuciem umie tak dobrze oznaczać różnicę między materiałami ziemskimi, już się z pierwszymi wędrowcami wybrała w odległe krainy. Ale uważnemu musiałoby się to wydać zgoła nieprawdopodobne. Bo czyżby chciał Montan i sojusznicy jego pozbywać się takiej gotowej różdżki czarodziejskiej? Toteż wkrótce po jego odjeździe, wskutek gadaniny i dziwacznych opowiadań niższej służby domowej, zbudziło się powoli podejrzenie w tej mierze. Mianowicie Filina i Lidia przyprowadziły były ze sobą trzecią jeszcze kobietę pod pozorem, że to służąca, do czego jednak ona wcale się nie nadawała — toteż przy ubieraniu i rozbieraniu pań nigdy jej nie wołano. Prosty jej strój odziewał tęgie, dorodne ciało wcale ładnie, dawał jednak poznać, jak i cała osoba, coś wiejskiego. Zachowanie się jej, lubo nie dzikie, nie pokazywało wcale oglądy towarzyskiej, której pokojówki bywają zazwyczaj karykaturą. Znalazła też niebawem odpowiednie dla siebie miejsce wśród służby — przyłączyła się do wyrobnic w ogrodzie i w polu, chwyciła rydel i robiła za dwie i trzy. Jeżeli wzięła grabie, to latały one jak najrzęczniejsze po skopanej ziemi, a bardzo nawet szeroka powierzchnia podobna była do ślicznie wyrównanej grzędę. Zresztą zachowywała się spokojnie i rychło zyskała względy powszechnie. Opowiadano sobie o niej, że widziano często, jak składała narzędzie i na przełaj przez pnie i kamienie skokiem biegła do jakiegoś ukrytego źródła, gdzie gasiła pragnienie. Rytuał ten powtarzała codziennie, umiejąc z każdego punktu, w którym stała, odnaleźć tę lub ową wodę, czystym strumieniem płynącą, jeżeli jej tylko potrzebowała.

I tak oto pozostało jakieś świadectwo dla twierdzenia Montana, który, prawdopodobnie chcąc uniknąć uciążliwych prób i niedogodnych doświadczeń, postanowił utaić przed szlachetnymi gospodarzami, zasługującymi przecież na podobne zaufanie, obecność tak dziwnej osoby. My jednakże chcieliśmy to, co nam wiadomo — lubo nie w pełnej mierze, jak to tu widzimy — zakomunikować, aby zwrócić przychylną uwagę badaczy na podobne wypadki, które częściej może, niż sądzimy, ujawniają się przez jakąkolwiek wskazówkę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Amtman owego zamku, który niedawno jeszcze widzieliśmy ożywiony przez wędrowców naszych, z natury czynny i zręczny, mając wciąż przed oczyma korzyść swych państwa i swoją własną, usiadł teraz zadowolony, by przygotować rachunki i sprawozdania, w których starał się z niejaką zarozumiałością przedstawić i wyłożyć wielkie zyski, powstałe w jego okręgu podczas pobytu owych gości. Atoli było to wedle własnego jego przekonania rzeczą najmniejszą. Zauważył on, jakie to wielkie skutki są dziełem czynnych, biegłych, swobodnie myślących i odważnych ludzi. Jedni pożegnali się, by się przeprawić za morze, drudzy, by na stałym lądzie znaleźć sobie utrzymanie. Otóż spostrzegł on trzeci, tajemny stosunek, z którego co prędzej skorzystać postanowił.

Przy rozstaniu okazało się, co można było przepowiedzieć i wiedzieć, że niejeden z młodych, dzielnych mężczyzn zaprzyjaźnił się mniej lub więcej z pięknymi dziećmi ze wsi i okolicy. Niektórzy tylko dowiedli dosyć odwagi, by oświadczyć, że stanowczo pozostają, gdy Odoard odchodził wraz ze swymi. Z wychodźców Leonarda nikt nie pozostał, lecz ten i ów spomiędzy nich zaklinał się, że wrócić zamierzają niebawem i osiedlić się,

²¹⁰*Saturn* — gazowy olbrzym, szósta planeta Układu Słonecznego. [przypis edytorski]

²¹¹*entelechia* — pojęcie wprowadzone przez Arystotelesa (384–322 p.n.e.), oznaczające wewnętrzny cel położony u podstaw rozwoju materii i określający cały proces jej rozwoju. [przypis edytorski]

²¹²*telluryczny* — dotyczący Ziemi. [przypis edytorski]

jeżeli im będzie można dać do pewnego stopnia dostateczne utrzymanie i pewność co do przyszłości.

Amtman, który znał na wskroś cały personel i stosunki domowe podległego sobie ludu, śmiał się po kryjomu, jak prawdziwy egoista, z powodu tego zdarzenia — że robiono sobie tyle zachodu i kosztów, by się swobodniejszym i czynnym okazać za morzem lub na lądzie, a przy tym jemu, co sobie całkiem spokojnie siedział na swej hubie²¹³, przynoszono największe właśnie korzyści do domu i dworu i dawano mu sposobność zatrzymać i u siebie zebrać kilku z najwyborniejszych robotników. Myśli jego, przez chwilę obecną rozszerzone, poczytały za rzecz najbardziej naturalną, że dobrze zastosowana liberalność wywołuje całkiem chwalebne, pożyteczne skutki. Powziął natychmiast postanowienie przedsięwzięcia czegoś podobnego w swoim małym okręgu. Na szczęście zamożni właściciele byli tym razem jakby przymuszeni do oddania prawnie swych córek przedwczesnym małżonkom. Amtman wytłumaczył im taki niemiły towarzyski przypadek jako szczęście. A że istotnie szczęściem było, iż ów los spotkał najużyteczniejszych właśnie w tym względzie rzemieślników, nie było więc trudno zrobić przygotowania do stworzenia fabryki mebli, która wymaga tylko biegłości i dostatecznego materiału, nie potrzebując ani rozległej przestrzeni, ani wielkich zachodów. Materiał obiecał dać amtman; żon, przestrzeni i nakładu pracy dostarczyli mieszkańcy, a biegłość przynieśli ze sobą przybysze.

Wszystko to obmyślił już doskonale po cichu zręczny przedsiębiorca, wśród obecności i zgłębku tłumy, a teraz, kiedy się około niego uspokoiło, mógł natychmiast przystąpić do dzieła.

Spokój — ale zaiste jakby spokój śmierci — po przejściu tej powodzi zapanował na drogach owej miejscowości, na podwórcu zamkowym, kiedy naszego rachującego i obliczającego przedsiębiorcę wywołał rozpędzony jeździec, wyrrywając go ze spokojnego nastroju. Kopyta konia nie dudniły wprawdzie, bo nie były podkute, ale jeździec, zeskokczywszy z derki, jechał bez siodła i strzemięcia, a koniem kierował tylko za pomocą trzęzli²¹⁴. Pytał głośno i niecierpliwie o mieszkańców, o gości i był namiętnie zdziwiony, zastając wszystko tak ciche i obumarłe.

Służący amtmana nie wiedział, co zrobić z przybyszem. Wskutek zaistniałej sprzeczki wyszedł sam amtman i także nic więcej nie umiał powiedzieć nad to, że wszyscy się rozjechali.

— Dokąd? — zapytał żywo młody przybysz.

Rozważnie określił amtman drogę Leonarda i Odoarda, a także trzeciego, zagadkowego męża, którego oni nazywali już to Wilhelmem, już to Meistrem. Ten popłynął statkiem po rzece o kilka mil od zamku odległej. Pojechał odwiedzić naprzód swego syna, a potem dalej prowadzić ważną sprawę.

Młodzieniec skoczył już znowu na koń i zasięgnąwszy wiadomości o najbliższej drodze do owej rzeki, popędził ku bramie. I tak szybko wyleciał, że amtmanowi, który z okien swoich na górze patrzył za nim, ledwie przelatujący kurz wskazał, iż opętany jeździec puścił się drogą właściwą.

Ostatni właśnie pyłek w dali opadał, a nasz amtman chciał znowu zasiąść do swego zajęcia, kiedy przez wyższą bramę zamkową nadbiegł skokiemy pieszy posłaniec i również pytał o towarzystwo, dla którego zalecono mu przynieść coś jeszcze dodatkowego. Miał dla niego dużą paczkę, a obok tego list osobny, zaadresowany do Wilhelma, zwanego Meistrem — list, który posłańcowi wręczyła młoda kobieta z gorącym zaleceniem, żeby go oddał jak najrychlej, komu należy. Niestety, i temu również nie można było dać innej odpowiedzi niż ta, że zastaje gniazdo puste i dlatego musi dalej śpiesznie iść w drogę, gdzie albo ich spotka wszystkich razem, albo też może się spodziewać, iż otrzyma jakieś dalsze wskazówki.

Samego jednak listu, który żeśmy również znaleźli wśród wielu powierzonych nam papierów, nie śmiemy, jako niezmiernie ważnego, pominąć. Pochodził on od Hersylii, dziewczicy równie dziwnej, jak milej, która w naszym opowiadaniu rzadko się wprawdzie ukazywała, ale za każdym pojawieniem się pociągnęła zapewne ku sobie nieodparcie każ-

²¹³huba — tu: gospodarstwo. [przypis edytorski]

²¹⁴trzęzla (daw.) — uзда. [przypis edytorski]

dego rozumnego, subtelnie czującego. A i los, jaki ją spotyka, jest zaiste najdziwaczniejszy, jaki w czułe serce uderzyć może.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Hersylia do Wilhelma

„Siedziałam zamyślona, a nie potrafiłabym powiedzieć, o czym myślałam. Napada mnie jednak niekiedy myślące niemyślenie. Jest to rodzaj odczuwanej obojętności. Koń jakiś wbiega na podwórze i budzi mnie z mego spokoju. Drzwi się otwierają i wchodzi Feliks — w blasku młodzieńczym jak mały bożek. Pośpiesza ku mnie, chce mnie uściskać. Ja go odpycham; wydaje się obojętny, pozostaje w pewnym oddaleniu i z niezmaconą pogodą ducha zachwala mi konia, który go przyniósł. Opowiada o swych ćwiczeniach, o swoich uciesach — szczegółowo i poufnie. Wspomnienie dziejów dawniejszych naprowadza nas na świętą skrzyneczkę. Wie on, że ja mam ją, i pragnie ją widzieć. Zezwalam — niepodobna było odmówić. On ją rozpatruje, opowiada szczegółowo, jak ją odkrył; ja się mieszam i zdradzam, że posiadam kluczyk. Ciekawość jego dochodzi szczytu, chce widzieć i kluczyk, z daleka tylko. Niepodobna sobie wystawić, żeby ktoś umiał prosić usilniej i milej. Prosi niby modląc się, klęka i błaga z tak ognistym, ślicznym wejściem, takimi słodkimi, pochlebnymi słowy, że znowu dałam się uprosić. Pokazałam cudną tajemnicę z dala, ale on szybko pochwycił moją rękę, wydarł kluczyk i skakał na boku swawolnie koło stołu.

— Co mi tam skrzynka, co mi tam kluczyk! — wołał. — Serce twoje pragnęłam odebrać, żeby się dla mnie otworzyło, żeby mnie przyjęło, do siebie przycisnęło, dozwoliło mi, iżbym je do piersi swej przytulił.

Był nieskończenie piękny i miły, a gdym do niego przyjść chciała, przysuwał wciąż skrzyneczkę na stole do siebie. Już kluczyk tkwił w zamku — groził, że go przekręci i przekręcił rzeczywiście. Kluczyk się złamał, zewnętrzna połowa spadła na stół.

Byłam bardziej zmieszana, niż można było i niż należało. On skorzystał z mojej nieuwagi, upuścił skrzyneczkę, wpadł na mnie i chwycił mnie w objęcia. Na próżno się wydzieralam. Oczy jego przybliżyły się do moich — i jest to doprawdy coś pięknego ujrzeć własny swój obraz w oku kochającym. Ujrzałam go po raz pierwszy, kiedy usta swoje gorąco do moich przyciskał. Wyznać powinnam, pocałunki jego oddawałam mu. Toż to bardzo pięknie uczynić kogoś szczęśliwym. Wyrwałam się. Przepaść nas dzieląca aż nadto wyraźnie stanęła przede mną. Zamiast panować nad sobą, przekroczyłam miarę. Odepchnęłam go z gniewem, zmieszanie dało mi odwagę i rozsądek. Prosiłam, lajałam, rozkazywałam, żeby nigdy się już nie zjawił przede mną. Uwierzył prawdzie mego wyrazu.

— Dobrze! — powiedział — jadę więc w świat, dopóki nie zginę.

Rzucił się na koń i oddalił się w podskokach. Na wpół rozmarzona, chciałam schować skrzyneczkę. Połowa klucza leżała odłamana. Znalazłam się w podwójnym i potrójnym zakłopotaniu.

*

O mężczyźni! O ludzie! Czyż nigdy nie rozkrzewicie rozumu? Czyż nie było dosyć ojca, który nieszczęść tyle sprowadził, potrzeba było jeszcze syna, by nas uwikłać nie do rozplątania?

*

Wyznania te leżały czas jakiś u mnie. Wtem zjawia się okoliczność szczególna, którą muszę podać, która rozjaśnia i smutniejszą czyni rzecz powyższą.

*

Przybywa pewien stary, szanowany przez stryja złotnik i handlarz klejnotów, pokazuje rzadkie, starożytne skarby. Składa się tak, że przynoszę skrzynkę. On przypatruje się odłamanemu kluczykowi i przekonuje, co dotychczas przeoczono, że złamanie nie jest

szorstkie, lecz gładkie. Przez zetknięcie oba końce spajają się. Wyciąga kluczyk w całości — obie części są związane magnetycznie, trzymają się siebie, ale otwierają tylko wtajemniczonemu. Ów człowiek odstępuje na pewną odległość, skrzyneczka otwiera się, a on ją przymyka natychmiast.

— Niedobrze jest dotykać takich tajemnic — powiada.

*

Mego niewytłumaczonego stanu nie uprzytomnisz pan sobie z pewnością, Bogu dzięki, bo jakże tu rozpoznać zamęt poza zamętem? Znamienita skrzyneczka stoi przede mną; kluczyk, który nie otwiera, mam w ręku. Chętnie bym pozostawiła tamtą nieodemkniętą, gdyby ten mi otworzył choć najbliższą przyszłość.

O mnie niech się pan ani na chwilę nie troszczy, ale o co usilnie proszę, błagam, co natarczywie zalecam — to niech pan odszuka Feliksa! Na próżno posyłałam wkoło, by odnaleźć ślady jego drogi. Nie wiem, czy mam błogosławić temu dniowi, czy się go lękać, kiedy się znowu zejdziemy.

*

Na koniec, na koniec! Posłaniec wymaga, żeby się z nim załatwić. Dostyc długo zatrzymano go tutaj, musi dopędzić wędrowców z ważnymi depeşami. Wśród tego towarzysztwa znajdzie on zapewne i pana albo też dadzą mu tam wskazówkę. Do tego czasu uspokojona nie będę”.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Łódź, oświetlona gorącym słońcem południowym, ślizgała się w dół rzeki. Delikatne powiewy chłodziły rozgrzane powietrze, łagodne brzegi po obu stronach nasuwały prosty wprawdzie, lecz przyjemny widok. Uprawna rola przytykała do strumienia, a dobry grunt sięgał tak daleko, że szumiąca woda, rzucając się w jakiegokolwiek miejsce, naruszała silnie sypką ziemię, porywała ją ze sobą i wytwarzała strome urwiska znacznej wysokości.

Na najbardziej stromym skraju takiego urwiska, gdzie może dawniej przyciągano łodzie, ujrzał przyjaciel kłusującego młodzieńca, dobrze zbudowanego, silnych kształtów. Atoli zaledwie zdołano wziąć go bliżej na oko, gdy murawa, zwieszająca się w tym miejscu, obrywa się, a ów nieszczęśliwy, nagle znalazłszy się pod koniem, z nim razem wpada do wody. Tu nie było czasu myśleć, jak i dlaczego. Żeglarze puścili się jak strzała ku topieli i w jednej chwili schwyтали piękną zdobycz. Wydając się nieżywym, leżał dorodny młodzieniec w łodzi. Po krótkim namyśle popłynęli zrzęzni mężowie ku mieliznie, jaka się wśród rzeki utworzyła. Przybić, ciało na brzeg wynieść, rozebrać i osuszyć — wszystko w mig się odbyło. Ale jeszcze nie spostrzeżono ani śladu życia, piękny kwiat opadał w ich objęciu!

Wilhelm pochwycił natychmiast lancet, by otworzyć żyłę w ramieniu. Krew wytrysnęła obficie i, zmieszana z wężykowato podmywającą wodą, poszła z nurtem, w kręgi się rozwijającym. Życie wróciło. Za ledwie miłościwy chirurg miał czas umocnić opaskę, gdy młodzieniec powstał na nogi i patrząc bacznie na Wilhelma, zawołał:

— Jeżeli mam żyć, to tylko z tobą!

Z tymi słowy padł na szyję poznającego i poznanego wybawcy i płakał rzewnie.

Tak stali w silnym uścisku — jak Kastor i Polluks²¹⁵, bracia spotykający się na drodze przemiennej z Orku²¹⁶ do Światła.

Proszono go, by się uspokoił. Dzielni mężowie przygotowali już wygodne, na wpół słoneczne, na wpół ościenione posłanie pod lekkimi krzewami i gałęzmi. Tu tedy leżał, wyciągnięty na płaszczu ojcowskim, najpiękniejszy młodzian. Ciemne kędziory, szybko osuszone, zwijały się znowu. Uśmiechał się uspokojony i zasnął. Z upodobaniem spoglądał na przyjaciel nasz, przykrywając go.

²¹⁵Kastor i Polluks a. Dioskurowie — w mitologii greckiej nierozłączni bliźniacy, herosi, Argonauci, uczestnicy łowów na dzika kalidońskiego, opiekunowie żeglarzy i żołnierzy. [przypis edytorski]

²¹⁶Ork a. Orkus — w mitologii rzymskiej podziemna kraina umarłych, odpowiednik greckiego Hadesu. [przypis edytorski]

Spotkanie, Ojciec, Syn,
Lekarz, Los

— Wciąż na nowo powstajesz, wspaniały obrazie Boga! — zawołał. — I zaraz też znowu doznajesz okaleczeń i obrażeń z wewnątrz lub z zewnątrz.

Plaszcz spadł na niego. Zmniejszony żar słoneczny rozgrzewał członki łagodnie aż do głębi, policzki jego zarumieniły się — wydawał się już zupełnie przywrócony do zdrowia.

Czynni mężowie, ciesząc się z dobrego, pomyślnie spełnionego uczynku i ze spodziewanej, hojnej nagrody, prawie już wysuszyli na gorącym żwirze ubranie młodzieńca, aby go po obudzeniu się przyprowadzić znowu do towarzystwa najodpowiedniejszego stanu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/goethe-lata-wedrowki-wilhelma-meistra/>

Tekst opracowany na podstawie: Johann Wolfgang von Goethe, Wilhelm Meister (obie części), tłum. Piotr Chmielowski, nakł. i druk S. Lewentala, Warszawa 1893.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Monika Kępska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7507-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).